PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY PIERWSZY. — TOM LXXXI.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1904.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1904.

NEOSCHOLASTYCYZM [1].

(Warunki jego żywotności).

Filozofia Tomasza z Akwinu jest „niespożytą". Ta siła żywotna, która filozofię tę cechuje, płynie stąd, że jest ona owocem rozumnej refleksyi nad rzeczywistością.

Filozofia a wiedza — to jedno ciało; pierwsza jest naturalnem rozwinięciem drugiej. Umysł ludzki bowiem nie podlega dwom przeciwnym normom, ale we wszystkiem, co pod rozwagę bierze, kieruje się jednem i tem samem prawidłem: obserwuje i analizuje fakta, docieka ich przyczyn i tą drogą stara się fakta za pomocą przyczyn wytłumaczyć.

Potrzeba rozdziału pracy umysłowej wymaga wprawdzie, aby władze rozpoczynały od obserwacyi zmysłowej i indukcyi, t. j. od bezpośredniego tłumaczenia pewnej ograniczonej grupy faktów, przechodząc następnie do dalszych nieco wniosków i do ogólniejszych praw natury. W rzeczywistości wszakże jest to tylko jeden jedyny proces, którego komplikacya znajduje powód w ograniczoności naszych sił umysłowych i fizycznych. Obowiązkiem uczonych i filozofów jest składać wyniki swych

[1] Autor niniejszego studyum, głośny filozof belgijski główny przedstawiciel neoscholastycyzmu, zaproszony przez nas do współpracownictwa w *Przeglądzie Powszechnym*, współudział swój łaskawie obiecał. Studyum niniejsze, nigdzie jeszcze nie ogłoszone, przeznacza autor wyłącznie dla naszego pisma. Redakcya *Przeglądu powszechnego.*

podzielonych badań do skarbca wspólnej wiedzy. Szczytem bowiem aspiracyi, oraz najwyższą nagrodą dla myśliciela jest właśnie zjednoczenie ostateczne wszystkich wyników obserwacyi i refleksyi, w którem zaciera się już przejście od przyczyn bezpośrednich do ostatnich, granica pomiędzy empiryą a metafizyką. Tak pojmował badanie filozoficzne Arystoteles, największy znany nam geniusz na tem polu. Doktor anielski i wszyscy wielcy uczeni średnich wieków uzupełnili tylko i wzbogacili jego system. Wieki przeszły i nie zachwiały tej tezy fundamentalnej i tylko stwierdziły jej zgodność z wymaganiami zdrowego rozumu, oraz z wynikami rozwijających się nauk doświadczalnych. Filozofia tomistyczna, jest „niespożytą“ dlatego, ponieważ jednoczy w sobie harmonijnie obserwacyę i spekulacyę rozumową, analizę i syntezę. Czerpiąc poznanie rzeczy ze wszystkich jej źródeł tj. z obserwacyi zewnętrznej, z doświadczenia wewnętrznego i z rozumu, św. Tomasz z Akwinu łączy zawsze harmonijnie analizę i syntezę zarówno w swoich wnioskach naukowych jak i w filozofii.

Empiryzm pozytywistyczny poprzestaje na tem, że zestawia i porządkuje fakty, a nie dozwalając rozumowi wniknąć głębiej w przyczyny i cele zjawisk, zrzeka się tem samem badania rzeczywistości, leżącej poza obrębem aktualnego i bezpośredniego doświadczenia — konsekwentnie nie zna badania Absolutu, który nazywa „nieświadomem“. Przeciwnie, filozofia idealistyczna i panteistyczna uważa za pierwszorzędny przedmiot poznania ludzkiego intuicyę Absolutu, i utrzymuje, że z tej intuicyi pierwotnej wytryska poznanie syntetyczne, a nawet urzeczywistnienie porządku w wszechświecie. Śmielsza od empiryzmu, a mędrsza od idealizmu, filozofia tomistyczna obiera sobie za punkt wyjścia świat widzialny, i z niego wznosi się aż do Źródła bytu. Stanąwszy w tym punkcie Doktor anielski usiłuje za pomocą refleksyi określić dokładnie i uzupełnić pojęcie Istoty nieskończonej, skoro jego wnioski doprowadziły go do poznania Jej istnienia i głównych Jej przymiotów; zastanawia się nad nieskończonością i jednością, nad płodnością i niezmiennością tego istotnego życia, nad źródłami tej wszechmocy bez

granic; potem cofając się wstecz od rozważania Absolutu do rzeczy stworzonych, rozpostartych w czasie i przestrzeni, stara się z tej wyższej perspektywy objąć lepiej ich powstanie, przeznaczenie, nieustanne ich działanie i harmonię powszechną.

Oto wsteczne wnioskowanie syntezy, uzupełniające cierpliwe dochodzenia analizy.

Atoli skąd to pochodzi, że mimo tych zalet filozofia tomistyczna jest dziś tak zapoznaną?

Trzy są główne przyczyny tego objawu.

Najprzód trzeba u niektórych zaznaczyć umyślne jakieś sprzeciwianie się wszystkiemu, co nosi piętno chrześcijańskie, systematyczną niechęć do wszelkiej monety, której nie wytłoczono w mennicy niedowiarstwa, lub z góry powzięty zamiar i spisek, by przemilczeć wszystkie dzieła, wydane przez wierzącego autora. Wszelako, dodajmy to odrazu, sekciarze tego rodzaju stanowią tylko wyjątek w świecie uczonym. Jest ich dotąd o wiele więcej pomiędzy pisarzami drugo- i trzeciorzędnymi którzy zwracają się do ludu, aniżeli wśród uczonych, zasługujących w rzeczywistości na tę nazwę. Zresztą, jakkolwiek rzecz się ma, nie można nic uczynić wobec niechęci, czy otwartej, czy skrytej, — dobra wola i prawość są tu bezbronne.

Inna przyczyna — a wpływ jej sięga o wiele dalej — to przesąd utrzymujący, że katolicki uczony jest tylko szermierzem w służbie religii i wiary, oraz że wiedza w jego rękach nie może być jedno orężem w obronie własnego Credo. Niejeden żywi to uprzedzenie, że każdy katolicki uczony czuje ustawicznie nad sobą cios ekskomuniki, która mu zagraża, lub że tak jest skrępowany więzami dogmatów, stających mu wszędzie na przeszkodzie, iż musi się wyrzec bezinteresownej miłości i swobodnej uprawy wiedzy, jeżeli wiernie ma trwać przy swojej wierze. Stąd to niedowierzanie, które go spotyka: każda publikacya, wychodząca z katolickiej instytucyi, uważaną bywa za mowę obronną *pro domo*, za tezę apologetyczną, której *a priori* odmawia się zaszczytu bezstronnej i objektywnej krytyki. O wiele przychylniej ocenia się instytucye protestanckie, bez wątpienia

dlatego, że buntem swoim przeciw powadze kościelnej stwierdziły już dostatecznie swą niezależność.

Co czynić wobec tego uprzedzenia? Czy zwinąć sztandar i skryć się sromotnie pod płaszcz neutralności, niemożliwej nawet do urzeczywistnienia i konsekwentnie kłamanej? Broń nas Boże od podobnego sprzeniewierzenia się: „Ja nie chcę, mówił kiedyś Jules Simon w parlamencie francuskim w sprawie nauczania w szkołach ludowych, ja nie chcę neutralnego nauczyciela. Nie chcę, bo go nie szanuję. Nie znam na świecie nic, coby było więcej nikczemnem od neutralności w przekonaniach. Proszę panów, co to za człowiek, który chce uczyć, kształcić charaktery, a sam nie przyznaje się do żadnego wyznania. Szkoła neutralna — to szkoła bez honoru. Niema szkoły prawdziwie neutralnej, a gdyby jakaś istniała, musielibyśmy się za nią rumienić".

O ileż więcej niemożliwą staje się neutralność, czyli obojętność naukowa w studyach wyższych! Jakżeż neutralnymi są ci uczeni materyaliści, którzy *a priori* obwołują wieczność materyi i pierwotną jej niezawisłość, oraz przekształcanie nieorganicznej materyi w komórkach żyjących i tkankach zorganizowanych, mimo tak stanowczych eksperymentów, jakimi Van Beneden, Pasteur i Tyndall wykazali niedorzeczność samodzielnego rodzenia *(generatio spontanea)*. Jakżeż, mówię, są neutralnymi ci, co ewolucyę gatunków roślinnych i zwierzęcych stawiają za pewnik, bez cienia jakiegoś eksperymentalnego dowodu, lub owi mężowie nauki, co dlatego tylko, by pozostać w zgodzie z pierwotną swą teoryą, usiłują podać w pogardę całą dziedzinę doświadczenia, stwierdzoną świadectwem własnej świadomości, dziedzinę niemateryalnej myśli i wolnej woli.

Czy są może neutralnymi pozytywiści, którzy się przecież chełpią, że nie przekraczają granic pewności, jakiej im dostarcza doświadczenie, kiedy z góry przyjmują zasadę, iż wszystko zawisło od zmysłów i obserwacyi zmysłowej, jak gdyby idee bytu i bytu materyalnego były identyczne, a istnienie bytu, niemającego własności materyalnych, zawierało w sobie konieczną sprzeczność? Zaiste, żaden człowiek myślący nie jest neu-

tralnym, żaden być nim nie może, gdyby nawet chciał, a my mniej od każdego innego czujemy się ochotnymi do zrzeczenia się naszych przekonań i przeświadczeń.

Chwała Bogu, nie potrzebujemy się wstydzić naszej wiary. Przez ośmnaście wieków doznaje ona wciąż nowych ataków ze strony herezyi, a zawsze pozostała jeszcze tak czystą, jak w dniu, kiedy Apostołowie i Ojcowie apostolscy szerzyli ją po świecie słowem i pismem, kiedy pierwsi chrześcijanie ryli ją w epitafiach i dawali jej wyraz w symbolicznych obrazach katakumb, kiedy zaraz po ustaniu prześladowań, ogłosili ją światu Ojcowie, w Nicei zgromadzeni. Jedność i apostolskość tak obszernego Credo, jak katolickie, a przecież wystawionego na łup zachcianek i słabostek ludzkiego rozumu, to może jedna z najcudowniejszych cech Boskości wiary Kościoła. I nie moglibyśmy tego Credo zakryć płaszczem milczenia i neutralności, nie wypierając się siebie samego w sromotny sposób. Tembardziej, że wyznanie wiary chrześcijańskiej nie staje bynajmniej na przeszkodzie szlachetnej inicyatywie uczonego, a nawet śmiałym porywom geniuszu. Kościół nie czuje się powołanym, by krótko zbywać każdy błąd, skoro tylko się pojawi: umie często cierpliwie czekać, aż błąd upadnie wobec własnych swych konsekwencyi, bo jest przekonanym, że błąd czasem uprzedza prawdę, a często jej towarzyszy, oraz wie dobrze, że duch ludzki, chcąc cząsteczkę prawdy wydrzeć królestwu rzeczy nieświadomych, musi często długo i mozolnie tułać się po ścieżkach, któremi postępując, zdaje się na pierwszy rzut oka błądzić.

Naśladujmy mądrość Kościoła i nie chciejmy stawiać zawad słusznej swobodzie męża nauki. „Nie wsiadaj na okręt, mówił kardynał Newman,[1] jeżeli nie chcesz się narażać na rozkołysane morze, jeżeli nie chcesz stawić czoła wrogim prądom, pasować się z wichrami i nawałnościami, a z trwogą spoglądać na mielizny i rafy. Śpij raczej spokojnie w bezczynności, jeżeli nie umiesz z rezygnacyą i bez bojaźni i niecierpliwości zgodzić się na opóźnienia, wahania się i niepokoje, nieodłączne od pracy

[1] J. H. Newman: *The idea of a University, University subjects, VIII.*

umysłowej. Wyrzeczmy się dobrowolnie i raz na zawsze historyi, nauk pozytywnych, filozofii, jeżeli nie mamy pewności, że Objawienie jest tak dalece prawdziwem, iż nie ma się czego obawiać wobec starć i zawikłań opinii ludzkich". A czyż nie nie jest to losem prawdy religijnej, że dopiero wtedy podbija sobie ostatecznie umysły, kiedy zatryumfowała nad zarzutami, które można przeciw niej podnieść? Przyswójmy sobie tę mądrą radę — będzie to pierwszy środek, by rozprószyć przesądy, według których jesteśmy uważani za niewolników nieustannego zabiegu o wiarę, której wciąż tylko bronić lub ją usprawiedliwiać jest naszem jedynem zadaniem.

Strzeżmy się także, byśmy nie szukali dowodów dla naszych religijnych przekonań w zbyt śmiałych a niepotrzebnych hipotezach. Przykłady niech wyjaśnią naszą myśl. Jak bardzo lubią apologeci w podaniach pogańskich ludów upatrywać wyraz objawionych dogmatów np. Trójcy św., współistotności *(consubstantialitas)* Słowa, dziewictwa Matki Bożej, podczas gdy ledwie można znaleść ślady tego wszystkiego w św. księgach starego Zakonu.

Kilka lat temu sławny astronom francuski, postawił hipotezę o powstaniu naszego systemu słonecznego, która w pewnych punktach zmieniała teoryę Laplace'a, a według której nasz planeta byłby utworzony przed słońcem. Czy nie widzieliśmy zaraz, jak niektórzy apologeci z tryumfem chwytają się tego domniemanego dowodu na potwierdzenie opisu biblijnego, tyczącego się daty światła słonecznego, i oświadczają się z tego powodu odrazu i bez naukowego dochodzenia za Fay'em przeciw Laplace'owi?

W ten sposób, mówi św. Tomasz, wystawia się niemądrze wiarę na pośmiewisko u niewierzących. Teorya Faye'a jest już mocno zachwianą, a może niezadługo będzie ostatecznie odrzuconą, a wtedy zdawać się będzie, że nauka objawiona popiera ruinę, jaka czeka zbyt gorliwych jej obrońców. Objawienie i Kościół są tylko normą negatywną dla wiedzy ludzkiej, a znaczy to narażać na szwank i Objawienie i wiedzę, jeżeli się

szuka pozytywnych zgodności między niemi, zanim końcowe wyniki nauk dostatecznie się utrwaliły.

Do tej pierwszej przyczyny dyskredytu, który filozofia tomistyczna częstokroć napotyka u współczesnych, przyłącza się druga, którą trzeba położyć na karb samych katolików: jest nią różnica punktu widzenia w sposobie zapatrywania się na wiedzę. Dla wielu z pomiędzy nas polega wiedza przedewszystkiem na tem, by przyjmować od innych i zbierać wyniki już nabyte i silić się na ich syntezę pod kierunkiem wiary lub spiritualistycznej metafizyki. Współczesna nauka nie rozporządza już tymi szerokimi poglądami, tem ubarwieniem syntetycznem; jest ona przedewszystkiem nauką cząstkowych i drobiazgowych obserwacyi, nauką analityczną. Wiek nasz powziął skrajną nieufność do wniosków ogólnych i do składania pojedynczych wyników w całość. Nowe środki badawcze, którymi rozporządza, sprzyjały bezmiernemu rozwojowi pewnego rozczłonkowania i zrodziły silne pragnienie dochodzenia rzeczy zapomocą spokojnej obserwacyi pierwiastków składowych. My przeciwnie zostaliśmy przedewszystkiem ludźmi syntezy, czy to pod wpływem naszego teologicznego wychowania, które bierze za punkt wyjścia niezmienne zasady, by z nich wyciągać wnioski, czy to z uszanowania przed tradycyą, której mamy zaszczyt zachować depozyt, czy może i z obawy przed pewnemi niespodziankami, jakie nieznane dziedziny w swem łonie kryją, może też i z oględności przed nierozważnem a śmiałem twierdzeniem. Z tej różnicy punktu widzenia w sposobie zapatrywania się na wiedzę wynika, że katolicy zbyt łatwo przyjmują na się drugorzędną rolę adeptów nauki, i że zbyt mało z nich czuje w sobie ambicyę pracowania nad tem, co nazwano wiedzą przyszłości. Zbyt mało pracuje się nad tem, by zbierać i opracowywać materyały, które w przyszłości służyć muszą do utworzenia odmłodzonej syntezy nauki i filozofii chrześcijańskiej. Bez wątpienia, końcowa ta synteza będzie w harmonii z dogmatami naszego Credo i z zasadniczymi pewnikami chrześcijańskiej mądrości. Ale zanim ta harmonia doczeka się pełni swego blasku, zarzuty podniesione przez niedowiarstwo, zakrywać ją będą

przed oczyma wielu. A ponieważ nasi nie zawsze są gotowymi, by przeciwstawić im z żądaną kompetencyą i powagą odpowiedź prostą i bezpośrednią, jakiej się oni domagają, powstają wątpliwości a przekonania tracą na swej sile. Materyały doświadczalne układają się w grupy, rzędy i klasy bez nas, a zbyt często przeciw nam, a niedowiarstwo przywłaszcza sobie dla własnej korzyści sławę naukowości, która powinnaby jedynie służyć rozkrzewianiu prawdy.

Jak zaradzić temu? Należy wytężyć wszystkie siły, by w wielkiej liczbie kształcić ludzi, którzyby się poświęcili wiedzy dla niej samej, bez wprost apologetycznej tendencyi, ludzi, którzyby z pierwszej ręki nadawali kształt materyałom gmachu wiedzy, i tak przyczyniali się do jej podniesienia i postępu.

Wówczas widoczniejszym się stanie dla ogółu ten szacunek, jaki żywi Kościół dla rozumu ludzkiego, oraz owoce, jakich wygląda po swoich pracach na chwałę Tego, który ogłosił się Mistrzem nauk. Takim zresztą jest cel, który wytknął sobie Leon XIII., kiedy w encyklikach swoich „Aeterni Patris", „Libertas" i innych polecił światu studyum nauk spekulatywnych i społecznych, a w szczególniejszy sposób, kiedy w katolickim uniwersytecie w Louvain ustanowił wyższą szkołę filozoficzną pod wezwaniem św. Tomasza z Akwinu.

Szerokie pole otwarło się naukowej obserwacyi. Ramy dawnej filozofii zbyt okazują się ciasnemi; trzeba je rozszerzyć. Ponieważ filozofia jest naturalnem uzupełnieniem nauk pozytywnych, to jakież czasy sprzyjają bardziej wypracowywaniu się idei filozoficznej, niż nasze?

Do czego doszła przed wiekiem ośmnastym nauka, czyli dokładne i pewne poznawanie natury? Obserwacya nie przewyższała wcale naturalnych danych, jakich dostarczyło poznawanie zmysłowe, a umysł usiłował uzupełnić brak widomych faktów, stawiając hipotezy, których jedyną zasługą była czasem genialność, w nich się przebijająca, gdyż wartość ich eksperymentalnie uzasadnić się nie dała. Dzisiaj przyrządy badawcze pomnożyły stokrotnie potęgę obserwatora: teleskop Herschla,

waga Lavoisiera, mikroskop, spektroskop i tysiączne te środki badania, w które wzbogacają się codziennie nasze pracownie, śledzą przyrodę we wszystkich jej działach, i kontrolują ściśle każde przypuszczenie, które nasuwa.

Zdobywca na polu przyrody mocuje się ustawicznie, mówił Pasteur, z faktami, które nie wyszły jeszcze na jaw i nie mają po największej części jedno charakter możliwości w prawach przyrody, według których mogą się kiedyś urzeczywistnić. To, co spoczywa w dziedzinie możliwości, nie zaś, co należy do przeszłych już czasów, jest jego polem. Chcąc to skutecznie zbadać, ucieka się do tej cudownej metody doświadczalnej, o której prawdziwie można powiedzieć, nie, że odpowiada wszystkim wymaganiom, ale że rzadko wprowadza w błąd, i to tych tylko, co źle się nią posługują. Ruguje ona pewne fakta, sprowadza za to inne, a pytając się wciąż przyrody, czy zdoła odpowiedzieć na nie, nie zatrzymuje się, zanim nie zaspokoi w pełni ducha ludzkiego. Utworzyły się nowe gałęzie nauk: geologia, mineralogia, krystalografia. Odrodziła się chemia, udoskonala się wciąż fizyka, a w pewnych swych działach, np. w optyce, doszła już, jak się zdaje, do szczytu rozwoju. Biologia komórek i histologia wniosły światło w tajniki organizmów. Paleontologia, anatomia porównawcza, embryologia dozwalają domyślać się łączności pomiędzy światem roślinnym a zwierzęcym. Wszystkie objawy działania w człowieku są przedmiotem szczegółowych studyów: filologia, lingwistyka i historya analizują jego czyny; fizyologia mózgu, psychologia doświadczalna śledzą w najrozmaitszy sposób organizacyę i odruchowość w życiu zmysłowem; psychofizyka wreszcie zastosowuje metody doświadczalne do dokładnego określenia faktów, stwierdzonych przez własną świadomość. Z tych wszystkich prac analitycznych wydobywa duch ludzki syntezy, jak świadczy owo przedziwne prawo ekwiwalencyi sił natury i prawo zachowania energii w wszechświecie, ta naukowa i filozoficzna zdobycz minionego wieku.

Niewyczerpane pokłady należy jeszcze wydobyć na światło dzienne; trzeba oddzielać dziedziny i materyały, nadto mieć

zasób pionerów, którzyby wzięli się do pracy i skorzystali z tych wszystkich skarbów.

Konieczną jest rzeczą, mówił wielki papież Leon XIII., abyśmy w rozmaitych gałęziach wiedzy mieli badaczy i mistrzów, którzyby działalnością swoją zawodową i pisarską zdobyli sobie prawo, na mocy którego przemawiaćby mogli do świata uczonego i znajdować u niego posłuch. Wtedy to, skoro znów podniosą się te same wiecznie zarzuty, że wiara jest ślepą, że wiara a rozum niedają się pogodzić, odpowiemy skuteczniej jak przez uczone księgi lub apelacyę do przeszłości, odpowiemy świadectwem aktualnych i żyjących niejako faktów [1].

Atoli, jakkolwiek dobrą jest, a nawet konieczną rzeczą, oddawać się pracom analitycznym, trzeba jednak przyznać, — a doświadczenie aż do zbytku to wykazało — że analiza, sobie samej pozostawiona, rodzi łatwo pewną ciasnotę umysłu, instynktowną jakąś odrazę do wszystkiego, co przechodzi poza badane zjawisko i sięga poza dążności, jeżeli już nie poza doktryny pozytywne. A przecież nauka nie jest nagromadzeniem faktów, ale systemem, który obejmuje fakty, oraz ich wzajemne relacye — nie jest agregatem atomów, ale organizmem. Posłuchajmy w tej mierze kard. Newmana, który tak dobrze pojął rolę wyższych nauk w czasach obecnych: „Wobec ogro-

[1] Przytaczam w tym względzie wspomnienia godne słowa starego kolegi mojego św. p Mgr. de Harlez, sławnego oryentalisty.

„Zastęp katolickich uczonych, których zdanie zaimponowałoby światu, wnet usunąłby tę pogardę, jaką względem katolicyzmu przejęci są uczeni racyonalistyczni, pogardę, która pociąga za sobą ruinę wielu inteligentnych ludzi, czy to wskutek względu ludzkiego, czy zachwiania się ich wiary. Zastęp ten kłamstwom, noszącym na sobie pozór naukowości, i fałszywym zdaniom, postawiłby zagrodę, nie dającą się przekroczyć. A tymczasem rozkrzewiają się one i wywołują spustoszenie na niwie Ojca Przedwiecznego.

„Badacze racyonalistyczni nie ośmieliliby się już, tak łatwo wyjeżdżać z niedorzecznemi a zdradzieckiemi zaczepkami, gdyby mieli pewność, że czuwają oczy argusowe, które odrazu przejrzą ich subtelność i sofizmaty, oraz że znajdą się głosy im przeciwne, które znajdując posłuch u świata, potrafiłyby ich zdemaskować. Zresztą wielu zawahałoby się napadać na religię ludzi, którzy zjednali sobie u nich cześć i uznanie".

(Revue catholique de Louvain, octobre 1882).

mnej księgi, jaką prawda przed nami roztacza, pisał on, jesteśmy poniekąd krótkowidzami; możemy ją czytać tylko pod warunkiem, że całkiem zbliska przypatrzymy się pojedynczym słowom, zgłoskom, literom, z których się składa. Stąd to bierze się konieczność poszczególnych nauk. Ale te nie dają nam dokładnego obrazu rzeczywistości. Nauki szczegółowe wydzielają sobie, jako swój przedmiot, jakąś cząstkę z całości zjawisk. Wydzielonym w ten sposób przez umysł relacyom w nauce odpowiadają relacye w rzeczywistości; relacye te jednak w rzeczywistości stoją między sobą w ścisłym związku, i dlatego domagają się osobnej „nauki nauk", jako wspólnej syntezy — a tą jest filozofia" [1].

Może się komuś zdawać, że obracamy się w błędnem kole, i że domagamy się rzeczy wprost niemożliwych? Tylko co powiedzieliśmy, że ludzie obserwacyi mają antypatyę do syntezy: czyż filozofia nie jest z samego określenia wiedzą syntetyczną?

Trudność zaiste poważna i subtelna. Nauki spotężniały tak dalece, że sama nawet filozofia całkiem naturalnie uległa prawu podziału pracy. Dawniej filozofia obejmowała całość jestestw, uważanych w swoich własnościach fizycznych, matematycznych i metafizycznych, ale od wieku ta szeroka jednolitość rozpadła się. W epoce Wolffa nauki przyrodnicze i matematyka odłączyły się od metafizyki. Odtąd nie było między niemi wspólnego języka: zjawiły się dwuznaczniki. Wyrazy, określające najbardziej podstawowe pojęcia ducha ludzkiego, jak np. pojęcia materyi, przyczyny, siły, energii, ilości i innych, wzięto w różnych znaczeniach, stosownie do ich używania w naukach pozytywnych lub w filozofii. Oto geneza nieporozumień, które obostrzało odosobnienie tych gałęzi wiedzy; stąd też dochodzono często do mniemania, jakby dążności wiedzy pozytywnej a filozofii nie dały się pogodzić pomiędzy sobą, a nawet wykluczały się nawzajem.

Dodajmy do tego lekceważenie Descartes'a dla mozolnych

[1] Loc. cit. *Discourse* III, 4.

spekulacyi dawniejszej filozofii, oraz zawodowy sceptycyzm autora „Krytyki czystego rozumu“ wobec wszystkiego co zachodzi w granicach doświadczenia zmysłowego, a będziemy mieli wyjaśnienie, dlaczego filozofia popadła w niesławę. Tu także mamy klucz do tłómaczenia faktu, że głos Leona XIII., ogłaszający całemu światu w encyklice *Aeterni Patris* konieczność i obowiązek powrotu do tradycyjnej filozofii, której św. Tomasz z Akwinu jest najgłówniejszym reprezentantem, spotkał się nawet u większości katolickich uczonych z milczeniem.

Dlatego też Najwyższy Pasterz oparł swoje nadzieje na młodych pokoleniach. W nich to przedewszystkiem chciał obudzić zamiłowanie zarówno do nauk pozytywnych, jak i filozofii.

Pytanie jednak, jak dzisiaj zadośćuczynić podwójnemu zadaniu, które mamy do spełnienia, by odpowiedzieć zarazem wymaganiom poszczególnych nauk, i ułożyć syntetycznie wyniki ich badań?

Najprzód potrzeba, aby po ogólnem zapoczątkowaniu całokształtu filozofii, każdy gorliwie zajął się zgłębieniem pewnej, określonej dziedziny wiedzy, i usiłował zapomocą monograficznych prac zdobyć sobie skuteczny wpływ na rozwój pojęć. Potem, skoro wobec pola obserwacyi, które z dnia na dzień przybiera coraz szersze rozmiary, dążność jednostkowa będzie się czuć bezsilną, potrzeba, by wspólne złączenie się uzupełniło niedostateczne siły oddzielnych pracowników, trzeba, by ludzie obeznani z analizą i syntezą zjednoczyli się, zapomocą codziennej wymiany myśli i wspólnego działania, dla wytworzenia środowiska, któreby sprzyjało zgodnemu rozwojowi nauk i filozofii.

Takim jest np. cel specyalnej szkoły filozoficznej, którą założył w Belgii Leon XIII., wielkomyślny odnowiciel studyów wyższych, pod patronatem św. Tomasza z Akwinu, tego potężnego wcielenia ducha obserwacyi i ducha syntezy, oraz genialnego pracownika, dążącego zawsze do zapładniania filozofii za-

pomocą nauk, a zarazem do podniesienia nauk ku wyżynom filozoficznym[1].

Ale niewdzięcznym, a dodajmy, niewiernym okazuje się względem ducha filozofii, którą sobie przywłaszcza, perypatetyk lub tomista, któryby zapoznawał szacunek, należący się naukom, oraz konieczność pozostawania z niemi w ustawicznem zetknięciu!

Czy tradycya scholastyczna nie dlatego właśnie, że zapoznała nauki przyrodnicze, stanęła w XVI. i XVII. wieku zdala od żywotnej myśli, i czy nie dlatego właśnie popadła w dyskredyt, z którego dziś jeszcze z trudnością tylko się wydobywa?

Nie zapominajmy tej nauki, jaką nam daje historya. Zostawmy dumne te dąsy, które źle zakrywają naszą opieszałość lub ignorancyę, a częściej jedno i drugie zarazem. Zostawmy niemądre tryumfujące śmiechy, ilekroć tymczasowa hipoteza stoi w sprzeczności z faktami. Zapewne, jak wszędzie, tak i na polu nauk, nie brak szarlatanów, którzy tem więcej zasługują na pogardę, im wyższem jest dobro, które wykorzystują dla własnej próżności albo dla sekciarskiej bezwyznaniowości. Ale czemuż mielibyśmy udawać, jakobyśmy nie wiedzieli, że obok nich istnieje cały legion uczciwych pracowników, którzy zatrudniają się badaniem prawdy z cierpliwością, godną uznania? Jeżeli dobrze zrozumiemy nasze stanowisko, to zdamy sobie sprawę, że w rzeczywistości ludzie ci pracują dla nas, i że w braku podziwu mają przynajmniej prawo do naszej wdzięczności.

Gdyby św. Tomasz stanął w pośrodku nas, coby uczynił?

---

[1] Wykład filozofii w tej szkole dzieli się odpowiednio do potrójnego gatunku faktów, podlegających obserwacyi, na trzy oddziały: o materyi. życiu i moralności. Każda gałąź filozofii wykładaną jest w związku z szczegółowemi naukami, które się z nią łączą. I tak:

kosmologia, czyli filozofia materyi, w związku z fizyką, chemią, mineralogią, krystalografią i wyższą matematyką;

psychologia, czyli filozofia życia w związku z biologią ogólną, embryologią, anatomią, fizyologią, psycho-fizyologią, botaniką i zoologią;

filozofia moralna wreszcie w związku z prawem naturalnem, indywidualnem i socyalnem, z naukami ekonomicznemi i politycznemi.

Takie pytanie stawił sobie niedawno temu niemiecki pisarz dr. Józef Müller[1]:

„Ten umysł giętki i otwarty na wszystko, co wzniosłe i godne naszego poznania, przywłaszczyłby sobie z całym zapałem swej żarliwości zdobycze cywilizacyi, począwszy od swojej epoki aż do dziśdnia; uczyłby się, uczyłby się wiele i podałby nam poprawne wydanie swej „Sumy", w którejby uwzględnił wszystko, czego swego czasu nie mógł wiedzieć. Podałby nam do rąk system teologii, jakiego zawsze jeszcze wyczekujemy, jako dojrzałego owocu kultury, rozwijającej się już przeszło 2000 lat, system, zgodny zarówno z wieczną prawdą zbawienia, jak z najściślejszymi postulatami ukształcenia intelektualnego.

Szlachetny ten umysł, tak mądry w swoich zdaniach i ustawicznie idący za postępem, który często poprawiał samego siebie w miarę dojrzewania swego geniuszu, ujrzałby z wielkiem zdziwieniem, że z pism jego uczyniono sztywny i martwy dogmat, schiboleth dla wszystkich słabych umysłów, niezdolnych do samodzielnego myślenia! Jakich zarzutów nie czyniłby ten myśliciel, tak skromny i tak daleki od żądzy ubóstwiania siebie, własnym swym zwolennikom, którzy całą swą troskę obrócili na to, by zdusić ziarno, zasiane w nadziei, że wypuści kiełki i pączki na wolnem polu i świeżem powietrzu. Ganiłby ich ostro, że za ich winą to ziarno uschnęło i obróciło się w mumię w ich śpichlerzach i ciemnych szkołach, podczas gdy bogaty ten kapitał umysłowy miał obfite rodzić owoce".

Neo-scholastycy muszą także utrzymywać stosunki ze współczesnymi. Averroes, Siger z Brabantu, Piotr Oliwa, pomarli i należą tylko do historyi, ale Kant, Spencer, Comte, żyją jeszcze wśród nas i wśród współczesnych uczonych, a duchem ich przesiąknięta jest cała atmosfera, którą oddychamy. Wystawilibyśmy sobie tylko świadectwo, że mało pokładamy zaufania w gruntowności lub skuteczności naszych doktryn, gdybyśmy się wa-

[1] *St. Thomas und die moderne Wissenschaft.* Studyum to, pełne skrajnej zjadliwości, ale zawierające niejedną ideę, z której można skorzystać, wyszło w dodatku literackim do *Allgemeine Zeitung*, w Monachium (1894, n. 293).

hali, zestawić je z temi, jakie napotykamy na każdym zakręcie ulicy.

By zaś myśl nasza cieszyła się uwagą w kołach otaczających nas, mówmy ich językiem. Ileż to skarbów zagrzebanych nie mieszczą wielotomowe traktaty, pisane po łacinię? Czy opłakujemy je, czy nie, nic nie pomoże. Faktem jest, że nasze pokolenie nabrało niechęci do łaciny, jako naukowego języka. Pisać teraz jeszcze o filozofii po łacinie, znaczy to tyle, co dobrowolnie wyrzekać się wszelkiego porozumienia się z większością naszych współczesnych. A nie mówmy, że św. Tomasza nie można zrozumieć w innym języku, tylko w łacińskim, w którym sam pisał. Bo czemuż nie mielibyśmy iść w głąb tej logiki i nie utrzymywać również, że także filozofię Platona i Arystotelesa trzebaby przedkładać publiczności w oryginalnym języku autorów, by stały się zrozumiałemi. Zresztą postulat ten bardzo jest zabawnym u uległych wielbicieli tomizmu, co pełni czci biją czołem przed komentarzami fizyki, metafizyki i etyki Arystotelesowej, napisanymi przez św. Tomasza z Akwinu, który nie czytał ich po grecku. Wreszcie, czy powiemy, że mistrzowie filologii niemieckiej nie rozumieją, czy nie wyjaśniają dobrze Horacego lub Tacyta dlatego, że ich język wykładowy nie jest lichą jakąś łaciną, która mniej się może zbliża do mowy na forum, niż nasze nowoczesne narzecza?

Jeżeli nie chcemy ponownie tamować przez niemądre nasze postępowanie rozwoju, jakiego nie wyklucza tradycya filozofii perypatetyków i tomistów, usiłujmyż pozostawać w zetknięciu z naukami i z ideą filozoficzną naszych czasów.

Umiejmy także być skromnymi; umiejmy przyznawać się do niewiadomości, a nie miejmy przedwczesnej odpowiedzi na wszystko. Jednym z najgrubszych błędów scholastyków za czasów chylenia się ich do upadku, było przeceenianie granic wiedzy, oraz częste rozstrzyganie zagadnień, niedostępnych ludzkiemu poznaniu, z taką pewnością, z jaką nieomylna powaga definiuje jakiś dogmat.

Bądźmy przekonani, że nie my sami tylko mamy monopol prawdy, i że prawda, jaką my posiadamy, nie jest jeszcze prawdą

całkowitą. W kimże hardość dogmatyzerska wzbudzi wiarę, że ów geniusz, którego ideę przez całe wieki objaśniano i roztrząsano, nie wydał nic innego na światło dzienne, jedno niedorzeczne marzenia?

Jeśli filozofowie neo-scholastyczni będą umieli omijać wskazane szkopuły, wskutek których spełzły na niczem w wieku XVI. i XVII. wziętość i powaga ich doktryn, to mogą z ufnością patrzyć w przyszłość i mieć uzasadnioną nadzieję, że wiek XX. znaczyć będzie dla tych samych doktryn erę postępu.

D. Mercier.

Louvain, 12 grudnia 1903 r.

NOWE KIERUNKI SPOŁECZNE I IDEAŁY PRZYSZŁOŚCI.

W ciągu wieku ubiegłego zaszły w dziedzinie społeczno-ekonomicznej tak olbrzymie i głęboko sięgające zmiany i przeobrażenia, że nadały mu całkiem odrębną i właściwą fizyognomię.

Zmiany te i przeobrażenia zaznaczyły się naprzód w dziedzinie produkcyi i komunikacyi, a główną przyczyną ich był postęp w nauce i postęp w technice. Geniusz nauki wydobył z łona przyrody nowe siły olbrzymie, które ujarzmione w maszynę, poszły w służbę człowieka, aby pracować za niego i pomnożyć jego siły. Geniusz nauki stworzył kunsztownie zbudowane maszyny, które pracują bez wytchnienia tak zręcznie i mądrze, że zda się, jakby dusza rozumna je ożywiała. Geniusz nauki zbadał tajemnicze prawa życia i rozwoju świata zwierzęcego i roślinnego tak, że człowiek stał się naprawdę panem i królem przyrody, jak to się okazuje w zdumiewających postępach ogrodnictwa i hodowli zwierząt. Geniusz nauki wreszcie przezwyciężył czas i przestrzeń. Z bezprzykładną dotąd w dziejach ludzkości potęgą rozwija się system komunikacyi. Budowa i rozwój sieci dróg żelaznych, budowa kanałów i potężnych parowców morskich, szybki wzrost floty handlowej, wszystkie polepszenia techniczne i ułatwienia komunikacyjne zbliżyły do tego stopnia kraje i ludzi, że przestrzeń i czas zdają się być w pewnej mierze przezwyciężone. Najodleglejsze zakątki ziemi

ze swymi płodami i skarbami stanęły w progu świata cywilizowanego.

Za zmianami ekonomicznemi poszły przeobrażenia społeczne.

Miasta rosną potężnie. „Przed stu laty — mówi Bücher — w obrębie dzisiejszych Niemiec było jedno tylko miasto liczące więcej niż 100.000 mieszkańców (Berlin) i Hamburg, który ledwie tyle liczył. Drezdno liczyło wówczas zaledwie 40.000, Lipsk 30.000 i Chemnitz 8000 mieszkańców. Około roku 1850 było w Niemczech nie więcej jak 5 miast liczących przeszło 100.000 mieszkańców i rosnących prawie wyłącznie przez pomnażanie się ludności miejskiej; w r. 1870 było miast takich 8, i odtąd już krokami olbrzymimi idziemy naprzód: w 1880 r. mamy miast stotysięcznych 15, w 1890 r. 26, a w roku 1900 33". A co najdziwniejsza, miasta te zasilają się coraz to nowym przypływem ludności rolnej, która stanowi najgłówniejsze i niewyczerpane źródło żywotności narodu. Bez tego ciągłego i ożywczego przypływu miasta ani istnieć, ani rozwijaćby się nie mogły. Przerafinowana kultura wielkomiejska pochłania rok rocznie tysiące ofiar i rodzi w przeważnej mierze tylko zgniliznę i zepsucie.

Ruch ludności ściągającej tłumnie do miast za zarobkiem jest wielki, ale nie mniejszy jest ruch ludności opuszczającej masami kraj rodzinny, aby za granicami jego lub za morzem zdobyć sobie lepsze warunki pracy i życia. Obok zaś i razem z tym ruchem ludności zmieniają i mięszają się stosunki różnych warstw ludności pomiędzy sobą. Niektóre gałęzie rękodzielnictwa, które przez wieki długie całym klasom ludności spokojne zapewniały utrzymanie, zanikają powoli zupełnie, ustępując miejsca nowym zawodom i nowym kierunkom. Klasy średnie w dawnem rozumieniu obecnie ciężkie przechodzą przesilenie, z którego niewiedzieć w jaki sposób i kiedy się podźwignąą. To pewna, że dzisiejszy na zbyt szerokiej wolności gospodarczej oparty ustrój społeczny prowadzi do powolnej i zupełnej ruiny klasy średnie. Od długich lat już walczą rękodzielnicy i chłopi łzawo i krwawo o swoją egzystencyę, a zmiany na lepsze nie widać prawie

żadnej. Owszem, pole walki jeszcze się rozszerzyło, odkąd dobry handel wtrącony został w opały zabójczej konkurencyi.

Coraz bardziej też pogłębia się rozdział pomiędzy chlebodawcą a robotnikiem. Dawniej tylko robotnicy w większych przedsiębiorstwach czyli w t. zw. przemyśle wielkim stanęli do walki społecznej. Dziś już czeladnicy, subjekci handlowi i robotnicy rolni w rękodzielnictwie, w handlu i w gospodarstwie rolnem organizują się, aby zdobyć sobie lepsze warunki pracy i płacy. Teren walki się rozszerzył znacznie, i równocześnie pogłębia się rozdział pomiędzy pracą a kapitałem.

Najcharakterystyczniejszym zaś rysem dzisiejszych stosunków społecznych jest powstawanie milionowej burżoazyi i proletaryatu.

Na gruncie bezwzględnej wolności gospodarczej razem z wielkim przemysłem i wielkim handlem wyrosła bogata burżoazya, która niebawem stała się potęgą ekonomiczną, społeczną i polityczną. Ona też stoi na straży nieukróconej wolności gospodarczej i obecnego ustroju ekonomicznego, ponieważ ten porządek i ta wolność jest podstawą i koniecznym warunkiem jej życia i rozwoju. Prawdziwa siła, rozumują oni, i zdolność i rozum niech ma wolne pole do bezwzględnego rozwoju a stosunki ludzkie same ze siebie ułożą się do harmonii i ładu społecznego. I ta jest droga do bogactwa i potęgi i znaczenia narodu w stosunkach światowych.

Z drugiej strony na tle tych samych stosunków społecznych i ekonomicznych powstał proletaryat dzisiejszy o ideałach organizacyi, któraby nałożyła żelazne pęta na wolność gospodarczą, o ideałach komunizmu i anarchizmu i kosmopolityzmu.

Co stanowi istotę tego proletaryatu? Czy nędza żyjąca z dnia na dzień, ta nędza snująca się po niezdrowych warsztatach, kopalniach i fabrykach, gdzie zaduch, proch i gorąco? ta nędza, która kobietę matkę wciąga w wir pracy ciężkiej, która przykuwa dzieci do całodziennej pracy męczącej bez względu na to, że ciało przedwcześnie więdnie i dusza dziczeje? nędza gromadząca mnóstwo osób w ciasnych izdebkach w niechlujstwie

i zaduchu bez różnicy płci i wieku, tworząca gniazda rozpusty i zdziczenia moralnego?

Zapewne nędza z całem pokoleniem złego wszelkiego rodzaju jest nieodłączna od dzisiejszego proletaryusza, ale ona nie stanowi jego istoty. Istotę dzisiejszego proletaryusza stanowi niepewność jego egzystencyi wobec niepowodzenia lub bankructwa przedsiębiorstwa, nieraz wobec złego humoru lub widzi mi się urzędników, niepewność egzystencyi, gdy nadchodzi starość, gdy siły robocze słabną, gdy nieszczęście spada na robotnika. Robotnik który chce i może pracować i szuka pracy a jej nie znajduje, robotnik, który w nagrodę za życie pełne trudów i wysileń ciągłych widzi przed sobą widmo głodu i nędzy, który na wypadek choroby lub słabnących sił widzi się bez środków do życia, robotnik uczciwy, który z powodu prześladowań ze strony starszego, lub niepowodzenia przedsiębiorstwa ujrzy się dnia pewnego bez chleba i zarobku na ulicy: to typ dzisiejszego proletaryusza.

Kto bystrym wzrokiem obejmie wszystkie te zmiany i przeobrażenia w dziedzinie ekonomicznej i społecznej, kto śledzi pilnie rozwój wypadków i stosunków ekonomicznych i ten ruch ludności żłobiący sobie potężne łożysko w rozwoju społeczeństw, ten przyjść musi do przekonania, że wokoło nas wypracowuje się świat nowy, świat, którego podstawą będzie nowy ustrój społeczno-ekonomiczny, w którego skład wejdą nowe siły społeczne układające się w nowy porządek społeczny.

Jaki z tych przeobrażeń się świat wywinie, któż zdoła dokładnie przewidzieć? Nie wie tego żaden mąż stanu, ani żaden polityk, ani socyolog, ponieważ wchodzą tu w grę siły i czynniki społeczne, które się usuwają z pod rachuby ludzkiej. Ale to pewna przynajmniej, że zmiany te i przeobrażenia będą donioślejsze i głębiej sięgające niż te, które wywołała rewolucya francuska. Wielka bowiem rewolucya choć przeszła jak burza niszcząca przez społeczeństwo, według Taina była niczem innem jak *translation de propriété* t. j. ziemia, która była w ręku szlachty i kleru, przeszła na własność burżoazyi i chłopów, wszystko zaś inne, absolutyzm państwowy i ustrój ekonomiczno-społeczny,

pozostały nietknięte. Obecnie atoli idzie o zasadniczą zmianę ustroju społeczno-ekonomicznego i częściowe przebudowanie całego społeczeństwa.

Co więcej, kto śledzi rozwój ekonomiczny i rozwój ruchów społecznych ten zdoła, aczkolwiek w najogólniejszych i przyćmionych zarysach, dojrzeć już ogólne zawiązki przyszłego ustroju społecznego i ekonomicznego. Bo dziś już na dzikim gruncie wolności ekonomicznej układają się z siłą elementarną w formy organiczne różne siły społeczne, bo dziś już stosunki własnościowe, które pod formą kapitalizmu rozwinęły się tak bujnie a wobec słabych tak okrutnie, całkiem inną przybierają postać.

Znamiennym takim rysem i pierwszym skutkiem społecznym dzisiejszych przeobrażeń ekonomicznych jest potężnie rozwijający się ruch organizacyjny pomiędzy robotnikami.

Dziwną zaiste linią toczy się postępowy rozwój ludzkości. Pod koniec XVIII wieku rewolucya francuska rzuciła hasło nieograniczonej wolności we wszystkich dziedzinach pracy i życia społecznego. W imię rozumu i wolności rozwiązano wszystkie związki i węzły społeczne, które już nie nadawały się do ujęcia w karby wybujałego indywidualizmu i potężnie rozwijającego się przemysłu. Groźna moc rewolucyi i orły napoleońskie rozniosły idee te rozstroju i negacyi po wszystkich krajach cywilizowanej Europy, przygotowując wszędzie glebę pod olbrzymio rozwijające się siły kapitalistyczne.

Pod koniec XIX wieku na dzikim gruncie wolności ekonomicznej wyrabia się wśród warstw pracujących nowy ruch społeczny, układają się z siłą żywiołową w formy organiczne nowe siły społeczne, aby stłumić skutecznie wybujały indywidualizm ekonomiczny i ukrócić krwawe zapędy okrutnego kapitalizmu. I ruch ten z dniem każdym rośnie i potężnieje w imię tych samych haseł, dla których zniesiono dawne cechy, t. j. w imię wolności i niezawisłości. Tylko że w miejsce stanu mieszczańskiego stanęli obecnie robotnicy usiłujący się wyzwolić z nowoczesnej pańszczyzny roboczej. Najwcześniej i najpotężniej rozwinął się pomiędzy robotnikami ruch zawodowy w Anglii, bo

tam i przemysł najstarszy i oświata pomiędzy robotnikami największa.

Kilka cyfr statystycznych z lat ostatnich da nam miarę rozwoju tego ruchu:

Rok	Liczba członków
1892	1.501.083
1894	1.406.647
1896	1.493.375
1897	1.611.384
1898	1.644.591
1899	1.800.869
1900	1.905.116
1901	1.922.780

W r. 1901 było razem w Anglii 1236 organizacyi, z których 100 największych stowarzyszeń, liczących razem 1.161.226 członków, miało rocznych dochodów 2.061.501 f. szterlingów, rozchodów 1.605.625 f. szterl. Majątek nagromadzony wynosił 4.161.916 f. szterlingów.

W dalszym porządku kroczą na drodze ruchu zawodowego Niemcy, Włochy, Austrya, Dania, Belgia i t. d. stosownie do mniej lub więcej bogatego rozwoju przemysłu i wyszkolenia ekonomicznego robotników.

Kraje	Liczba członków
Belgia (1901 r.)	84.896
Dania (1901 r.)	96.483
Niemcy (1900 r.)	995.445
Francya (1900 r.)	588.832
Galicya (1901 r.)	6.907
Anglia (1901 r.)	1.922.780
Włochy (1901 r.)	262.000
Holandya (1900 r.)	12.244
Norwegia (1901 r.)	13.499
Austrya (1900 r.)	99.308
Szwecya (1901 r.)	67.000
Szwajcarya (1901 r.)	54.562
Hiszpania (1901 r.)	31.558
Węgry (1901 r.)	8.222
Stany Zjednoczone w Ameryce[1] (1901 r.)	161.225

[1] Caroll de Wright podaje w *Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung* (tom XI, str. 187) dla Ameryki i Austryi inne liczby. Według tego autora Stany Zjednoczone liczą 1.600.000, Kanada 200.000, Austrya

Tak tedy mamy na początku XX wieku około 5 milionów robotników zjednoczonych w zwarte szeregi, idących śmiało i wytrwale w jasną czy krwawą przyszłość nowego stulecia.

Na wywołanie ruchu tego różne w różnych krajach złożyły się przyczyny. W krajach owianych duchem szerokiej wolności obywatelskiej jak w Anglii i Ameryce, ruch ten powstał na zasadzie samopomocy ekonomicznej i rozwija się poza partyą socyalistyczną i z jej ideałami nic nie ma wspólnego. W innych krajach organizacye zawodowe rozwinęły się przeważnie w łonie partyi socyalistycznych i w mniejszym lub większym stopniu są przejęte ich duchem sekciarskim. W krajach zaś katolickich obok organizacyi socyalistycznych rozwinęły się w latach ostatnich organizacye, oparte na encyklikach społecznych Leona XIII, i owiane ideą reformy chrześcijańskiej. Najgłówniejsza zaś przyczyna, która powołała do życia ruch zawodowy, jest rozwój dzisiejszego kapitalizmu.

Któż dziś nie słyszał o walce kapitału z pracą. Dzięki wolności gospodarczej z ery liberalizmu i olbrzymiemu rozwojowi przemysłu popadli robotnicy w tak straszną nędzę i zależność ekonomiczną, że rządy zaniepokojone o byt i rozwój państwa z powodu zdziczenia moralnego i strasznego poniżenia całych warstw ludności, wzięły w obronę najpierw kobiety i dzieci, a później i samych robotników. Tak powstały osobne ustawy i przepisy określające czas i warunki pracy po warsztatach i fabrykach, i robotnicze ustawodawstwo ochronne. Pierwsze ustawy mają na celu opiekę nad zdrowiem i życiem robotnika i obronę jego godności ludzkiej, drugie mają chronić go przed nieszczęściami, które nań spadają. Z drugiej zaś strony robotnicy sami wzięli się do pracy, łącząc się w imię samoobrony w stowarzyszenia zawodowe, które po największej części stanęły na stanowisku walki klasowej i wrogie zajęły stanowisko wobec kapitału.

157.773 członków. Inne daty zaczerpnięte są z pisma komisyi generalnej ruchu zawodowego w Niemczech, rok 1901. Cf. *Handbuch der Arbeiterwohlfahrt*, tom 2, str. 323.

Postać zewnętrzna i duchowa fizyognomia organizacyi zawodowej jest rozmaita bardzo: jedne rozciągają się siecią stowarzyszeń, związanych węzłem centralistycznym czy federacyjnym, na kraje całe; inne łączą się w ścisłe związki międzynarodowe, jak np. trójprzymierze ekonomiczne katolickich organizacyi robotników tekstylnych w Belgii, Niemczech i Włoszech; inne związki są jeszcze w pieluchach pierwszych początków i nie rozwinęły się dotąd w doskonałą organizacyę. Jedne przeniknięte są prądem rewolucyjnym i rozwijają się na gruncie walki klasowej; inne owiane są szlachetnym duchem postępu społecznego i duchem wyzwolenia z pod twardej przewagi kapitału; jednym przyświecają ideały socyalistyczne przyszłego społeczeństwa komunistycznego, jeszcze inne przejęte są ideałami chrześcijańskimi na podstawie sprawiedliwości i miłości ewangelicznej. Wszystkie zaś bez wyjątku przeświadczone są głęboko o swej sile milionowej i potędze społecznej i pielęgnują w duszy namiętnie ideały przyszłości.

Głównym celem i zadaniem ruchu zawodowego jest polepszenie bytu materyalnego i zdobycie sobie względnie pewnego dobrobytu. W jaki sposób? przez wywalczenie sobie lepszej płacy i lepszych warunków pracy. Od dwu tych spraw bowiem zależy cały dobrobyt materyalny robotników i w znacznej mierze rozwiązanie kwestyi robotniczej.

Wysokość zarobku od czego zależy? Od ilości rąk poszukujących pracy i od zapotrzebowania robotników, czyli od popytu i podaży rąk roboczych na rynku pracy. Otóż organizacya zawodowa usiłuje przedewszystkiem opanować rynek pracy. Przez co? przez odpowiednie urządzenia w stowarzyszeniach robotniczych, mianowicie przez biura pracy i różne kasy mające na celu uczynić robotnika zdolnym pod względem ekonomicznym do podjęcia i zwycięskiego prowadzenia walki z kapitałem. Kasami takiemi są: kasa podróżna, kasa zapomogowa w czasie bezrobocia, kasa strejkowa i t. d.

Biura pracy mają dostarczać robotników i roboty, mają rozdzielać siły robocze według zapotrzebowania pracodawców, ściągać i przenosić robotników do miejscowości, gdzie znaleźć

można pracę. Zapomogi podróżne pokrywają koszta podróży do miejscowości, gdzie robotę znaleźć można. Zapomogi w czasie bezrobocia mają na celu zapobiegać obniżeniu płacy przez nadmiar robotników szukających zarobku. Za dużo jest rąk do pracy, bieda zmusza robotników do ofiarowania swoich usług za byle co i konsekwentnie do ogólnego obniżenia płacy; jak temu zaradzić? Niema na to innego sposobu, jak robotników szukających roboty trzymać zdala od warsztatów pracy: przez utrzymywanie ich z kasy na wypadek bezrobocia.

Wreszcie strejki, ta broń najpotężniejsza w ręku organizacyi zawodowej, mają na celu polepszyć warunki pracy i wymusić na przedsiębiorcach podwyższenie płacy.

W Anglii, gdzie ruch zawodowy w *Trade Unions*'ach w kwitnącym znajduje się rozwoju, wzięli robotnicy na siebie wszystkie ciężary ubezpieczeń różnych. Są tam kasy pogrzebowe, najstarsze ze wszystkich kas i to we wszystkich stowarzyszeniach zawodowych.

Są tam kasy chorych. Zapomogi na wypadek choroby wynoszą przeważnie po wszystkich stowarzyszeniach tygodniowo 12 koron, i trwają przez 13—25 tygodni. Przy tem wolny jest lekarz i apteka.

Są tam ubezpieczenia na starość, ale nie tak rozpowszechnione, jak kasy chorych. Rentę wypłaca się zwyczajnie po 60 roku życia. Dopełnieniem ubezpieczenia na starość jest ubezpieczenie robotników w razie niezdolności do pracy. Są tam ubezpieczenia od wypadków zwyczajnie pod formą jednorazowej wypłaty w wysokości 1200—2400 koron.

W wielu stowarzyszeniach istnieją nadto kasy dla wychodźców pod warunkiem, że emigranci w przeciągu pewnego czasu nie powrócą do kraju. Najważniejsze ubezpieczenia we wszystkich stowarzyszeniach są kasy na wypadek bezrobocia, które należą do istotnych zadań ruchu zawodowego.

Trade-Unions'y są zorganizowane według prastarego typu dawnych cechów. Z organizacyami robotników wiążą się przez komitety stałe lub wydziały złożone według potrzeby z pracodawców i robotników, organizacye pracodawców. Komitety te

układają wspólnie taryfy zarobkowe, czas i warunki pracy i wszystkie wogóle sprawy zawodowe. W razie potrzeby komitet zamienia się w sąd rozjemczy, rozsądzający sprawy sporne pomiędzy obiema stronami.

Obok różnych instytucyi i spraw zawodowych założyły *Trade-Unions*'y cały szereg spółek wytwórczych i spożywczych, które w przyszłym rozwoju społeczeństw najdonioślejsze może będą miały znaczenie. Według sprawozdania rocznego Biura pracy z roku 1898 było w roku 1897 w całej Anglii 1500 stowarzyszeń spożywczych, liczących $1^1/_2$ miliona członków. Kapitał zakładowy wynosił 18 milionów, a obrót roczny przeszło 40 mil. funt. szterl.

Celem zaopatrzenia pojedynczych spółek w towary wytworzyły się dwa związki olbrzymie, angielski i szkocki, które obracają milionami *(English* i *Scottish wholesale cooperative society)*. Angielski Związek spółek spożywczych ma filie w Newcastle i w Londynie, domy towarowe i agentury kupieckie w 11 miastach angielskich, nadto w Hamburgu, w Kopenhadze, w Calais, w Rouens i w Nowym Jorku, tudzież domy zbytu w 7 wielkich miastach angielskich [1], a wszystko to w tym celu, żeby w ruchu towarowym nie posługiwać się całą rzeszą kupców, ale aby zawsze czerpać z pierwszych źródeł i konsumentów bezpośrednio połączyć z wytwarzającemi towary krajami i fabrykami. Siłą angielskiego stowarzyszenia jest ta ścisła centralizacya, która w dzisiejszym ruchu towarowym pozwala operować olbrzymim kapitałem na rynku światowym i sprowadza towary z tych krajów i z tych rynków, gdzie wyroby są najlepsze a ceny najniższe.

Bezpośrednim skutkiem tego rodzaju międzynarodowych stosunków handlowych są nowe węzły braterstwa, które zadzierzga handel w handlowych stosunkach międzynarodowych pomiędzy poszczególnymi narodami. Dotąd jedyną spójnią, łączącą rozmaite narody na gruncie ekonomicznym był wielki

---

[1] Patrz Hans von Nostiz: *Das Aufsteigen des Arbeiterstandes in England*, str. 330 i dalej.

kapitał, znajdujący się w rękach wielkich kupców i handlarzy. Oni stanowili ten świat kosmopolityczny, który bratał narody, wpływał na kierunek polityki w poszczególnych krajach i na pokój lub wojnę.

Na przyszłość może punkt ciężkości, który trzyma w równowadze stosunki międzynarodowe, przesunie się z wielkiego świata kupców i handlarzy na warstwy średnie zorganizowane w Kółka rolnicze i Spółki spożywcze. Taki *Wholesale* jest już dziś bądź co bądź olbrzymem, który zapuścił już korzenie w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Niemczech, we Francyi, w Danii, w Hiszpanii i Szwecyi, gdzie ma swoje agentury kupieckie [1].

Pod względem społecznym ruch zawodowy uważać należy za rodzaj wyzwolenia robotników z pańszczyzny roboczej, za rodzaj emancypacyi proletaryatu z więzów feudalizmu nowoczesnego. Jak w wiekach średnich kupcy i rzemieślnicy wyzwolili się już to drogą krwawych przewrotów, już to za pomocą powolnych ustępstw z więzów feudalnych książąt, jak w czasie rewolucyi francuskiej mieszczanie i chłopi zdobywają sobie drogą krwawego teroru wolność i prawa szlachty i kleru — podobnie i pod koniec XIX i w ciągu XX wieku wytwarza się z łona burżoazyi pieniężnej, trzymającej robotników w twardej zależności, nowy świat wolnych i niezależnych robotników, zrywających z dawnym hierarchicznie uporządkowanym ustrojem społecznym i wdzierających się na wyżyny i sięgających po owoce naszej pracy i naszego życia kulturalnego. Lud pracujący domaga się wyzwolenia — z czego? Z nowoczesnej pańszczyzny roboczej. Robotnik bowiem znajduje się obecnie nieraz w stosunkach gorszych od pańszczyźnianych. On musi nieraz za byle co sprzedać swoją pracę, bo żyje z dnia na dzień, on musi nieraz imać się pracy pod najuciążliwszymi warunkami, bo inaczej nie znajdzie pracy, on musi nieraz znosić dotkliwe krzywdy i nawet poskarżyć się nie może, bo niechybnie utraciłby swój zarobek, bo na jego miejsce czeka dużo innych rąk. I to jest

[1] Ct. „Wrażenia z Brukseli". *Przegląd Powszechny* z lutego 1903 r.

ta pańszczyzna robocza, z której lud robotniczy chce i usiłuje się wyzwolić przez organizacye zawodowe.

Organizacya zawodowa ma dzisiejszemu robotnikowi zapewnić niezależność ekonomiczną i równość i wolność obywatelską. Bo obecnie robotnik pozornie tylko cieszy się obywatelską równością i wolnością, gdyż brak mu znaczenia społecznego, bez którego wszelka równość prawna jest iluzyą, brak mu tej podstawy i siły ekonomicznej, bez której często bardzo wolność i najświętsze prawo idzie w zapomnienie i w poniewierkę.

Ale powie kto: przecież zupełne zrównanie społeczne pomiędzy robotnikiem a pracodawcą jest niemożliwe. Dlaczego? Bo stosunek robotnika do chlebodawcy z natury rzeczy wyklucza tę równość. W naszym porządku społecznym potrzeba przedewszystkiem pielęgnować w robotnikach poczucie zwierzchności i poszanowanie władzy, bo bez tego niemożliwa jest wogóle praca najemna, niemożliwy stosunek robotnika do chlebodawcy, niemożliwy nasz ustrój społeczny.

Odpowiadają na to zwolennicy ruchu zawodowego. Nie idzie tu o zrównanie społeczne robotnika z chlebodawcą, ale tylko o wprowadzenie w życie rzeczywistej równości prawnej. Dziś chlebodawca naznacza robotnikowi taką a taką płacę i mówi: pracuj, jeżeli się zgadzasz na ten zarobek. Otóż robotnik chce i dąży do tego, aby on również miał wpływ rzeczywisty i skuteczny na ustanowienie wysokości płacy. Dopiero wtedy, gdy to nastąpi, robotnik zdobędzie sobie równość prawną w życiu codziennem, którą mu konstytucya już dawno przyznała. Takie zaś równouprawnienie podnosi tylko i potęguje poczucie zwierzchności i poszanowanie władzy. Samo już przeświadczenie i przekonanie, że chlebodawca uważa go za kontrahenta równouprawnionego, przyczyni się niemało do wzmocnienia poszanowania władzy. Obok równości wobec prawa zresztą pozostanie i nadal cała przewaga ekonomiczna i korzyści z niej płynące po stronie chlebodawcy.

Na zasadzie zupełnego równouprawnienia w kwestyi uregulowania płacy dziennej stoją już od dawna *Trade-Unions*'y. Ciekawe i doniosłe są w tej mierze ich zarządzenia, aby nie do-

puścić do strejków i zarazem robotnikowi zapewnić skuteczny wpływ na ustanowienie płacy roboczej.

Trade-Unions'y angielskie trzymają się takiej zasady:

Płaca dzienna ma się stosować do ceny targowej głównych wyrobów. W miarę jak ceny głównego towaru podskoczą w górę lub opadają, obniża się też lub idzie w górę wysokość zarobku. Skutkiem tego systemu, który nosi nazwę *Sliding scales*, zapewnili sobie robotnicy w granicach możliwych i umiarkowanych udział w zyskach przedsiębiorstwa i zapobiegli w pewnej mierze hyperprodukcyi towarowej. Niedogodne to zapewne dla przedsiębiorcy, który niechętnie widzi, gdy mu kto wgląda w niektóre książki rachunkowe, ale praktyka ta nie przyniosła żadnej szkody przemysłowi angielskiemu. Dała się ona dotkliwie we znaki tylko bankom i pośrednikom finansowym, którzy korzystając z nieudolności akcyonaryuszów i bezsilności administracyi nakładają często niepotrzebny haracz na przedsiębiorstwa. Robotnicy dopiero, którzy sumiennie i pracowicie rozpatrują i roztrząsają dochody przedsiębiorstwa, powstrzymują wszelkie zapędy spekulacyjne kapitalistów, nie dopuszczając ani do majoryzacyi kapitału, ani do niejasnych matactw finansowych w przedsiębiorstwie. „Słyszałem na własne uszy, jak na ankiecie królewskiej w r. 1887 — mówi wybitny znawca *Trade-Unions*'ów — jeden z potentatów przemysłowych Anglii twierdził, iż pod tym względem *Trade-Unions*'y oddały nieocenione usługi przemysłowi angielskiemu popierając swoje twierdzenie charakterystycznymi faktami“ [1].

W ostatnim czasie wszelako system ten stracił dużo na znaczeniu. Natomiast zdobywa sobie coraz więcej uznania zasada, że nie płaca robotnika ma się stosować do ceny towarów, ale przeciwnie ceny towarów mają się stosować do płacy dziennej robotnika.

Spory pomiędzy robotnikami i chlebodawcami, tyczące się płacy, załatwiają się w *Trade-Unions*'ach zwyczajnie w następujący sposób: naprzód układają się między sobą sekretarze sto-

[1] *Revue des deux mondes* 1900, t. I, str. 801.

warzyszeń robotników i chlebodawców i zwyczajnie doprowadzają do zgody obie strony; gdy układy nie prowadzą do celu, tworzy się wydział złożony z 12 delegatów robotników i chlebodawców wraz z sekretarzami, którzy rozpatrują dokładnie kwestye sporne uciekając się niekiedy do środków bardzo kosztownych, np. wysyłają komisye fachowe do innych krajów, aby zbadać podobne urządzenia. Najwyższą zaś instancyę stanowią sądy rozjemcze albo niekiedy sędzia rozjemczy, na którego się godzą obydwie strony.

Pod względem kulturalnym jest ruch zawodowy wytrwałem i świadomem celu dążeniem robotników do coraz szerszej oświaty i do korzystania z dóbr i urządzeń kulturalnych naszego wieku. „My uważamy ruch robotniczy za czynnik postępu w pochodzie cywilizacyi i za środek wychowawczy dla robotników“, woła jeden z katolickich wodzów robotniczych na świeżo odbytym kongresie robotników chrześcijańskich w Franfurcie. Tak dziś już robotnicy poczuli się obywatelami XX wieku i dlatego wdzierają się na światłe wyżyny pracy i życia naszej cywilizacyi, i dlatego sięgają tak chciwie i wytrwale po owoce naszej kultury, i dlatego nie spoczną dopóki nie zrównają się w tej mierze z życiem kulturalnem trzeciego stanu. I pod tym względem ruch kulturalny pomiędzy robotnikami schodzi się z pracą nad oświatą ludu, którą podjęły dziś z wielkim zapałem i niestrudzonem poświęceniem po wszystkich niemal krajach cywilizowanej Europy szerokie koła inteligencyi.

(Dok. nast.)

Ks. Leonard Lipke.

DOKRYNA LWA TOŁSTOJA.

Dwadzieścia pięć lat dobiega od czasu, jak w umyśle znakomitego pisarza rosyjskiego hr. Leona Tołstoja dokonała się zmiana niezmiernie bogata w następstwa tak dla prywatnego życia, jak i dla całej jego pisarskiej działalności. Sam twórca „Wojny i pokoju“ swój ten duchowy przewrót nazwał nawróceniem się do wiary chrześcijańskiej, nawróceniem, które zmieniło całe życie i zapatrywania nawróconego. „Stało się ze mną to — mówi Tołstoj — co z człowiekiem, który wyszedłszy z domu za interesem, osądził w drodze, że sprawa nie warta zachodu i powraca do domu. Wszystko, co poprzednio miał po prawej swej ręce, znajduje się teraz po lewej, a wszystko, co było po lewej, znajduje się po prawej“ [1].

W rzeczy samej wszystko, co się znajdowało po prawej ręce Tołstoja, znalazło się odtąd po lewej. W życiu prywatnem, arystokrata ten gardzi wszelką etykietą, właściwą sferom, do których należy, przywdziewa grubą płócienną koszulę i sadłem smarowane buty i z wykwintnych salonów wyrusza z kosą lub siekierą pracować obok wieśniaka w polu lub lesie, lub z kielnią w dłoni idzie na wieś naprawiać piece babom ubogim. Ulega przeobrażeniu gabinet pisarski, gdzie obok biurka i szafy z książkami staje warsztat szewski i krawiecki, ulega zmianie menu hrabskiego stołu; pokarmy mięsne spotkał wyrok wieczystej banicyi.

---

[1] *Ma religion* 1.

Nierównie większej wagi, niż chłopomania i jaroszowstwo Tołstoja, jest dla nas zwrot, jaki zapanował odtąd w literackiej jego twórczości. Estetyk i poeta przedzierzga się w teologa. Piórem z arcydzieł sławnem kreśli Tołstoj potępienie samego siebie za dotychczasową działalność i odtąd wydaje je na wyłączne usługi propagandzie własnych religijnych teoryi. Jak z rogu obfitości sypią się odtąd z pracowni Tołstoja większe i mniejsze utwory, jedne w szacie niby naukowej, inne popularnej, a wszystkich ten sam cel — rozszerzanie tych religijno-moralnych poglądów, jakie dojrzały w zaciszu Jasnej Polany (majątek hr. Tołstoja) przed dwudziestu pięciu laty.

Kto nie miał sposobności poznania bliżej propagowanej przez Tołstoja nauki, wniknąć w jej treść i zasady, kto o niej wie tylko z drugiej lub trzeciej ręki, z luźnych gazeciarskich notatek, ten zwykle wyrabia sobie o Tołstoju pojęcie nie bardzo zgodne z rzeczywistością. Słyszy się np., że Tołstoj marzy o ziszczeniu w świecie powszechnego braterstwa, że potępia wojnę, że nawołuje do miłości, do praktykowania zasad ewangelii, że gromi panujące w świecie zepsucie obyczajów; wie się przytem o jego ekscentrycznym sposobie życia, o jego oddaleniu się od cywilizowanego świata, o jego miłości przyrody i wiejskich zajęć. Z tego wszystkiego układa się w wyobraźni trochę surowy, trochę śmieszny, ale w gruncie rzeczy sympatyczny obraz dziwaka-zrzędy, któremu to najwięcej zarzucić można, że nie w porę lub niezręcznie wyjeżdża ze swymi morałami do zatopionego w doczesności świata. Dobry i nie głupi to musi być człowiek, szkoda tylko, że dziwak. Taki zwykle sąd słyszy się o Tołstoju i u nas.

Niezawodnie, że wiele dziwnych, wiele także sympatycznych, rysów przedstawia doktryna Tołstoja. Będziemy też mieli sposobność i im poświęcić uwagę. Nie chcielibyśmy jednak, jak to wielu czyni, wysuwać je na pierwszy plan, a wszystko inne zostawiać w cieniu, z uszczerbkiem dla rzeczywistej charakterystyki.

Zadaniem niniejszej pracy dać poznać religijno-etyczno-społeczną naukę Tołstoja, przedewszystkiem z tej strony właśnie, którą najmniej zwykło się brać pod uwagę przy ocenie literac-

kiej działalności głośnego pisarza. Podczas gdy w innych językach powstała już obfita literatura tołstoizmu, nasze piśmiennictwo, o ile mi wiadomo, nie posiada dotąd żadnej wyczerpującej pracy w tym przedmiocie. Jedyną próbą pod tym względem jest praca ś. p. biskupa Michała Nowodworskiego p. t. „Leon hr. Tołstoj i jego doktryna“, której druk, rozpoczęty w *Przeglądzie Katolickim* w r. 1896, przerwano z powodu przedwczesnej śmierci autora.

Zanim przystąpimy do wykładu samej teoryi Tołstoja, przypatrzymy się temu duchowemu procesowi, wśród którego ona się poczęła, dojrzała, na świat została wydaną. Takie podpatrzenie teoryi Tołstoja *in fieri* da nam klucz do zrozumienia niejednego ciemnego miejsca w samej nauce.

Bardzo łatwo poznać przeszłość Tołstoja. On sam bowiem szczególnie lubuje się w pisaniu przeróżnych pamiętników i wyznań, tyczących własnej swojej osoby. Mamy więc jego wspomnienia z dzieciństwa i lat młodzieńczych [1], znamy jego słynną spowiedź, w której najczarniejszemi barwami maluje swoją przeszłość i swoje wady i występki. Niema zresztą książki Tołstoja, któraby nie obfitowała w wynurzenia autora, tyczące jego życia i zapatrywań. Odrzuciwszy z tych licznych spowiedzi szczegóły obojętnego dla nas charakteru, zaczerpniemy z nich tylko to, co może rzucić światło na rozwój jego pojęć religijnych i moralnych.

I.

Lew Mikołajewicz hr. Tołstoj jest członkiem starej, arystokratycznej rodziny, która, począwszy od Piotra Wielkiego, często zajmowała wybitne publiczne w swym kraju stanowiska. Przyszedł więc na świat w wielkopańskim domu wśród dostatków i wygód. Moralna atmosfera rodzicielskiego domu niczem się prawie nie odróżniała od innych rosyjskich magnackich domów, gdzie chleba było poddostatkiem, ale za to ogromny brak

[1] *Souvenirs* traduits par A. Barine. Paris 1887.

zasad panował. Bohater „Wspomnień“ Irteniew, w którym wszyscy krytycy widzą samego Tołstoja, tak się wyraża o swoim własnym ojcu[1]: „Czy posiadał on jakiekolwiek zasady etyczne? Sam tylko Bóg wie o tem; lecz życie jego tak było pełne wszelkiego rodzaju ponęt i zachcianek, że musiało mu braknąć czasu, aby posiąść jakiekolwiek zasady. Zresztą było mu za bardzo dobrze, by mógł spostrzedz konieczność takowych... Dwie jego walne namiętności były to karty i kobiety“. Z góry więc było do przewidzenia, że taki ojciec niewiele mógł dbać o wysokie urobienie moralne syna. Wychowanie początkowe pozostawiono zwyczajem ówczesnym zagranicznym guwernerom.

Wcześnie utraciwszy matkę, która bądź co bądź stała znacznie wyżej od męża pod względem etycznym, dostał się Tołstoj jako młodzieniec pod niepodzielny wpływ ludzi moralnie zepsutych. Własna jego ciotka namawiała go, aby zawiązał bliższe znajomości z jaką młodą mężatką, co według niej miało należeć do dobrego tonu i sprzyjać normalnemu rozwojowi zdolności młodzieńca.

Wiary głębokiej nigdy nie posiadał. Już w domu przyzwyczajono go do lekceważenia obrzędów cerkiewnych i duchowieństwa schyzmatyckiego. Jakieś bardzo niewyraźne pojęcie o Bogu i życiu przyszłem wyniósł z domowego wychowania, lecz obowiązki religijne ograniczały się na tem, że parę razy do roku należało być w cerkwi, a na Wielkanoc wyspowiadać się i przyjąć Komunię, co też czynił do 16 roku życia. Później zaniedbał i to.

Już bowiem w gimnazyum do spółki z kolegami zrobił odkrycie, że Boga niema, a w uniwersytecie stanowczo w nic już nie wierzył. Sam wyznaje, że „przez lat 35 był nihilistą w ścisłem znaczeniu tego słowa, t. j. nie tylko socyalistą rewolucyjnym, ale człowiekiem, który w nic nie wierzy“[2]. W takiej bezbożnej sytuacyi podtrzymywało go całe otoczenie, gdy bowiem niekiedy wypowiedział pragnienie zostania moralnie lep-

---

[1] *Souvenirs*, str. 22 i 23.

[2] *Ma rel.* 1.

szym, spotykał się z szyderstwem i pogardą: społeczeństwo, w którem się obracał, było gorszem od niego, zmysłu moralnego nie posiadało wcale.

Po hulaszczo spędzonej młodości i ukończonych studyach wstępuje Tołstoj do wojska i w r. 1855 jako porucznik walczy pod murami Sebastopola przeciwko sprzymierzonym siłom europejskiej koalicyi. Gdy ominął awans i krzyż Jerzego, porzuca służbę wojskową. Wtedy budzi się w nim uśpiony talent pisarski i Tołstoj zaczyna tworzyć dzieła, z punktu artystyczno-literackiego niezwykłej wartości. Jeden z pierwszorzędnych powieściopisarzy rosyjskich owej epoki, po przeczytaniu jakiejś powieści Tołstoja odzywa się: Ten oficerzyna wszystkich nas zawstydzi.

Powodzenia i uciechy świata nie mogły jednak zagłuszyć refleksyi, jakie często nasuwały się Tołstojowi o wartości życia, jakie prowadził; skłonny do analizy samego siebie i swego postępowania, przychodzi powoli do przeświadczenia, że rodzaj życia, jakie pędził i on i tysiące rosyjskiej młodzieży jest upokarzający, karygodny i wprost zwierzęcy. „Wyzywałem ludzi na pojedynek, są jego słowa, aby ich zabijać, przegrywałem w karty, rozpraszałem owoc pracy chłopów, karałem ich, szalałem, oszukiwałem... Niema zbrodni, którejbym nie popełnił, a jednak chwalono mnie, szanowano i zaliczano do ludzi względnie moralnych“ [1]. Gardzi więc całą przeszłością swoją, gardzi całem otoczeniem; czuje, że i on sam i świat jest podły, głupi, szalony; ale czy oprócz głupoty, podłości i szaleństwa jest dostępnem co innego dla człowieka? Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, wyjeżdża za granicę, w nadziei, że może mu filozofia coś wskaże. Ale widok egzekucyi wyroku śmierci na zbrodniarzu jakimś w Paryżu jeszcze większym przejmuje go wstrętem do okrutnego barbarzyńskiego świata, a śmierć ukochanego brata nasuwa mu natrętne pytanie: co to jest śmierć, co warto życie, jaki jego cel, jaka zagadka? Żadna znana mu filozofia nie daje na te pytania zadawalniającej odpowiedzi.

[1] *Ma conf.* p. 17.

Wraca Tołstoj do kraju i poświęca się nauczaniu wiejskiej dziatwy we własnych włościach, ale wnet mania autoanalizy rzuca mu pytanie, czego ja ich mogę nauczyć, skoro sam nie rozumiem rzeczy najważniejszych, najbardziej żywotnych? Z pola pedagogicznej pracy przerzuca się na pole społecznej działalności, oddaje się pracy około wyzwolenia włościan, i to sprowadza do jego duszy pewne uspokojenie. W tym czasie względnej duchowej równowagi, wstąpił Tołstoj w związki małżeńskie z Zofią Andrzejówną Bers, osobą niezwykłej dobroci serca, wielce praktyczną i gospodarną. Pożycie małżeńskie wyjątkowo szczęśliwe, obdarzone błogosławieństwem 17-ga dzieci, na czas długi przynosi Tołstojowi spokój i równowagę ducha. W tymże czasie talent Tołstoja dosięgnął kulminacyjnego punktu rozwoju i wydaje głośne w Europie powieści: „Wojna i pokój“ i „Anna Karenina“.

Po kilkunastu jednak latach marzycielska mania znowu wraca. Udręczenia z taką odezwały się gwałtownością, dusza Tołstoja uległa takim ciemnościom, że jedynem wyjściem z tego stanu przedstawiało mu się samobójstwo. Silnym być jednak musiał i instynkt samozachowawczy, jeżeli Tołstoj sam przed sobą chował sznur i zaprzestał chodzić w pole ze strzelbą, z obawy, aby pokusa samobójstwa nie zwyciężyła[1]. Życie w jego oczach traciło wszelką wartość i sens, jeżeli się nie posiada odpowiedzi na pytanie, dlaczego ja żyję na świecie. Wiary w życie poza grobem już dawno nie posiadał. Straciły podobnie dla niego wszelki urok owoce cywilizacyi, sztuka, poezya; zdawało się mu, że one są na to tylko, aby zająć czemś ludzi i tak odwrócić ich uwagę od kompletnego bankructwa ducha co do najważniejszych kwestyi. Do samobójstwa nie doszło. Chociaż nie znajdował rozwiązania zagadki życia ani w naukach ścisłych, ani w życiu współczesnego otoczenia, ani w filozofii (dodajmy nawiasem, innej filozofii nie znał oprócz racyonalizmu Kanta i pesymizmu Schopenhauera), nie dał wszakże za wygranę. Odwróciwszy się od uczonych i książek, skierował swą uwagę

[1] *Ma conf.* 52.

w stronę ludu, a przypatrując się mu, wykrył, że niezliczone jego masy żyją w zupełnem zadowoleniu z życia, znoszą z rezygnacyą jego ciężary, o samobójstwie nigdy nie myślą. Oni więc, powiada sobie, posiadają klucz do zagadki. Poszukując przyczyn tego spokoju życia mas ludowych, przekonał się, że on nie skąd inąd płynie u ludu, jeno z wiary. Czyż więc i ja mam powrócić do wiary — pyta siebie Tołstoj — do tej wiary, którą mój rozum dawno za głupotę poczytał? wiary będącej wprost negacyą rozumu? Albo, albo, odpowiada mu rozsądek. Albo zyskać rozwiązanie zagadki życia przez wiarę, albo rozumem uznać nieodzowność samobójswa. Biedząc się nad tym dylematem, wpadł na pomysł czegoś pośredniego. Uznał potrzebę wiary, ale przykroił ją po swojemu. Wiara mu potrzebna do wytłumaczenia zagadki życia, więc weźmie z niej to, co tę zagadkę tłumaczy, o resztę nie potrzebuje dbać wcale.

Tak się zaczęła praca nad wyodrębnieniem rzeczy istotnej we wierze, od wielu obojętnych akcesoryów. Wiara to tylko to, co tłumaczy zagadkę życia. Zrozumieć zagadkę życia, w języku Tołstoja, znaczy wyrównać skończone z nieskończonem. Ponieważ rozum, ścisły, filozoficzny rozum, potrafi zestawiać tylko skończone ze skończonem, a nieskończone widzi tylko jako nieskończone, nic przeto dziwnego, że rozum nigdy postawionego problematu życia nie rozwiąże. Ale do czego niezdolny rozum, zdolna do tego wiara; ona umie odczuć, że skończone równa się nieskończonemu, że ograniczone posiada nieskończoną wartość. Niech więc rozum krzyczy sobie, że wiara wobec niego jest absurdem, jednak pozostanie ona prawdziwą, bo jest konieczną w życiu; i pomimo protestu rozumu rozkazuje Tołstoj samemu sobie przyjąć jako pewnik, że „obok wiedzy rozumem nabytej, którą dotąd za jedyną poczytywał, cała ludzkość posiada jeszcze inne poznanie nierozumowe, a tem jest wiara, która daje możebność życia“ [1]. Łatwo dostrzedz, że to ratowanie się Tołstoja przed sceptycznym rozumem przez nie-

[1] *Ma conf.* 148.

rozumową wiarę jest tylko trawestacyą kantowskiej koncepcyi rozumu praktycznego.

Uznawszy potrzebę wiary, usiłuje Tołstoj stworzyć jej definicyę. Co to jest wiara? Najpierw, odpowiada Tołstoj, że nie jest nią przekonanie mocne rozumu o istnieniu jakichś rzeczy niewidzialnych, jak określają teologowie, nie jest nią fakt i treść objawienia nadprzyrodzonego, nie jest nią stosunek człowieka do Boga, nie jest nią proste przyzwolenie człowieka na to, co od innych usłyszał. Tołstojowskie określenie wiary brzmi, jak następuje: „Wiara jest to znajomość sensu, czyli wartości życia ludzkiego, znajomość sprawiająca, że człowiek nie niszczy swego bytowania, ale żyje. Wiara to siła życia. Wiarą a nie rozumem dochodzę, że skończone równa się nieskończonemu, t. j. życie moje ma jakąś wartość wobec nieskończoności...“

Czy jest jaka gotowa religia, któraby swą treścią usprawiedliwiała tołstojowskie określenie wiary? Czy pomiędzy istniejącymi systematami znajdzie się taki, który potwierdzi zapatrywania Tołstoja? Trzeba było się przekonać o tem, i dlatego wyrusza Tołstoj na poszukiwanie takiej religii, czyli gotowego systemu, któryby dostarczył mu rzeczonej formuły skończone = nieskończonemu, i tym sposobem rozwinął zagadkę życia.

Św. Justyn męczennik, wybierając się na poszukiwania prawdziwej filozofii, rozpoczął od tego, że zapisał się na ucznia tego mędrca, którego najbliżej miał w swej drodze. Tołstoj, przeciwnie, jakoby chcąc okazać, że względy oportunizmu i wygody są mu obce, rozpoczyna swe poszukiwania od tego, co najdalej, bo od budyzmu, następnie dopiero przechodzi do bliższego mahometanizmu, judaizmu, a wreszcie i do chrystyanizmu. We wszystkich systematach, które badał, napotykał pewne ślady poszukiwanego matematycznego równania. Wszyscy wielcy mędrcy, począwszy od Konfucyusza i Buddy aż do Salomona i do stoików, nauczali oddawać na usługi swą skończoną osobistość czemuś nieskończonemu. Najbardziej jednak poszukiwaniom Tołstoja zadosyćuczyniła ewangelia. Wzniosłe jej zasady moralne o powszechnej miłości przemówiły mu do serca; nie mógł już wątpić, że ze wszystkich nauk ta najpięk-

niejsza; dziwił się tylko, że dotąd jej nie znał, że duchowieństwo panującej Cerkwi uczyło tylko dogmatów i ceremonii, z pominięciem moralności, której on właśnie poszukiwał. Najbardziej uderzyły Tołstoja przy czytaniu ewangelii te ustępy, gdzie jest mowa o miłości, pokorze, abnegacyi i oddawaniu dobrem za złe. Był przekonany, że to właśnie jest substancyą istotnego chrystyanizmu. Życie prostego ludu, kiedy się znowu Tołstoj ku niemu zwrócił, wydało mu się potwierdzeniem jego pojęcia wiary. Nie dogmaty, nie ceremonie, powiada, dają mu tę siłę, ten spokój i rezygnacyę w życiu i przy śmierci, lecz to, że ten lud pełni przykazanie miłości. Jeżeli zaś on, Tołstoj, równie jak cała klasa wyższa, nie może oprzeć się rozpaczy, nie może osiągnąć rozwiązania dręczących ją pytań, dzieje się to nie tyle z powodu zboczeń w rozumowaniach, ile z powodu, że on, Tołstoj i cała klasa wyższa, zapoznaje to życie miłości, że pogrąża się w sybarytyzmie, podobna do pasożytów, żyjących kosztem innych. Wystarczy, śladem prostego ludu, przylgnąć do ewangelicznego prawa miłości a łuski spadną z oczu. Dla zrozumienia wartości życia, należy tak żyć, jak żyje cała ludzkość, a nie, jak żyją pewne pasożytnicze jednostki. Ten promień światłości przypisuje Tołstoj nauce Jezusa Chrystusa, siebie przyrównywując do łotra, który na krzyżu nawróconym został. „Odtąd, mówi, wszystko mi się wyjaśniło".

Równocześnie z poszukiwaniem wiary, dusza Tołstoja pracowała w dziwny sposób nad „poszukiwaniem Boga", jak sam się wyraża. Rozum czysty, krytyczny, zgadzając się z Kantem, utrzymywał, że istnienie Boga niczem udowodnić się nie da, serce znowu ciągnęło ku Bogu. Było to uczucie, mówi Tołstoj, jakby bojaźni sieroty opuszczonej wśród obcego sobie otoczenia. A bojaźń tę uspokoić mogła tylko nadzieja znalezienia kogoś, co mi jest blizki i obecny. Za uczuciem serca i rozum począł się skłaniać ku uznaniu Boga, boć przecież ja jestem, a więc jest i przyczyna mojej egzystencyi, tą przyczyną zaś nie może być co innego ostatecznie jak przyczyna wszechrzeczy.

Ale Bóg to nietylko przyczyna przyczyny. Gdym myślał

o Bogu, wyznaje Tołstoj, natychmiast życie we mnie się wzmagało i czułem możliwość życia i radość egzystencyi, skorom zaś myśl tę odrzucił, znowu rozpacz powracała.

Z tego procesu uczuć swych i myśli, doszedł Tołstoj do przekonania, że jeśli na wspomnienie o Bogu życie się w nim wzmaga, więc to on jest, bez którego żyć niepodobna. Poznać Boga i żyć to wszystko jedno. Bóg więc jest życiem *Et ipse vita erat...*

Ale ten Bóg nie jest to Bóg chrześcijański. O Bogu chrześcijańskim, o Bogu w Trójcy, powiada, że myśleć wcale nie mógł, bo skoro o nim pomyślał, rozwiewało mu się i nikło samo pojęcie bóstwa, i zwątpienie znowu zalegało jego duszę.

Znalazłszy wiarę prawdziwą u prostego ludu, usiłuje Tołstoj zbliżyć się doń i zjednoczyć się z nim w tej wierze. I chociaż rażą go dogmaty, rażą święta, przypominające cudowne zdarzenia, rażą sakramenta, chodzi mimo to przez czas pewien do cerkwi, modli się, pości, tłómacząc sobie te praktyki jako symbole jedności i miłości z ludem wiernym, z przodkami, z całą ludzkością. Jednak jak łatwo przewidzieć było można, dwoistość taka długo trwać nie mogła. Czuł i sam Tołstoj fałszywość swego położenia: domagało się ono wyjaśnień. Zabiera się więc do pilniejszego studyowania chrześcijańskiej teoryi, pochlebiając sobie, że przy tej pracy może niejedna trudność się wyjaśni i niejedna rzecz da się wytłómaczyć w pożądany sposób. Tak przynajmniej swą intencyę tłumaczy sam Tołstoj.

Sprowadziwszy sobie tedy obszerny katechizm Filareta, dogmatyczny podręcznik Makarego i parę innych symbolicznego znaczenia książek, rozpoczął Tołstoj studya teologii chrześcijańskiej, których owocem miała być słynna „Krytyka teologii dogmatycznej". „Długo męczyłem się, powiada Tołstoj we wstępie do owej krytyki, nad tem i wreszcie osiągnąłem to, żem nauczył się teologii jak dobry seminarzysta i potrafię wykazać podstawę wszystkiego i związek, jaki zachodzi między pojedynczymi dogmatami i znaczenie każdego z nich dla całości"[1].

[1] *Krytyka* p. 5

Pomimo tego powodzenia, teologia najkompletniej zawiodła prawdziwe czy też udane jego oczekiwania. Nie tylko, że nie wyjaśnia ona jego wątpliwości, ale wyrobiła w nim wstręt do wszelkiej teologii. „W naukach tych, powiada, znalazłem nie tylko bezmyślność, ale świadome kłamstwa ludzi, co wiarę obrali za narzędzie do swoich celów“ [1]. Musiał, powiada, walczyć sam ze sobą, aby powstrzymać się od wybuchu niezadowolenia i aby nie rzucić tych książek.

Cóż mu się tak niepodobało w tej teologii? Najpierw to, że teologia, zamiast podać mu odrazu to, czego szukał, zaraz we wstępie wymaga od czytelnika zaufania do nauki nieomylnego Kościoła, zapowiadając, że dogmaty objawione będą wykładane nie inaczej, jak według rozumienia tegoż Kościoła. Udowodnienie zaś powagi samego Kościoła odrzucone gdzieś do dalszych traktatów. Wybucha niezadowoleniem, iż teologia oznajmiwszy o niedocieczoności istoty Boga, w tejże chwili wylicza rozmaite jego atrybuty. Najbardziej jednak nie podobały się Tołstojowi w teologii chrześcijańskiej tajemnice, a przedewszystkiem tajemnica Trójcy P. Na wszystkie dowody, że tajemnica ta jest objawioną przez Boga, odpowiada Tołstoj jedno i to samo, że to jest nonsens: Bóg jeden a trzech. Teologia powołuje się w tym przedmiocie na słowa samego Jezusa, lecz i to nie przekonywa Tołstoja. Nie wierzę, odpowiada Tołstoj, bo nie rozumiem i rozumieć nie jestem w stanie. Co więcej, Tołstoj zaręcza, że nikt nigdy na świecie w dogmat ten nie wierzył. U nas, powiada, znajduje się kilkadziesiąt milionów wiernych, a iluż z nich wie cokolwiek o Trójcy? Zapytajcie chłopa, babę, co to jest Trójca? Na dziesięciu zaledwie jeden odpowie. Każcie następnie wyliczyć osoby, rzadko kto nie policzy między nie Matki Boskiej i św. Mikołaja. A pomimo to wszystko, ten właśnie lud jest wierzącym, on pełni naukę Jezusa. Nie. „Jeśli powiem, że wierzę, to skłamię, i każdy, kto powie, że wierzy, iż Bóg jest jeden, a trzech, skłamie, gdyż nie można wierzyć w to, czego się nie rozumie. Ustami można

[1] Ib. p. 4.

powtarzać, ale wierzyć — stanowczo nie". Tak więc jednem pociągnięciem pióra, Tołstoj przekreślił istnienie tylu milionów chrześcijan, którzy za wiarę w Boga w Trójcy jedynego krew swą przelewali.

Dalej, Tołstoj nie tylko odrzuca dogmat Trójcy, ale nawet naukę o jednobóstwie. Według niego, zarówno nie można powiedzieć, że Bóg jest jeden, jak nie można utrzymywać, że jest ich 17-tu. Istota, o której tyle tylko wiemy, że jest początkiem wszystkiego, nie ma nic do czynienia z liczbą, bo liczbie podlegają tylko jestestwa, istniejące w czasie i w przestrzeni.

Bóg, zapewnia Tołstoj, według mnie i każdego, kto istotnie wierzy, jest to tylko początek wszystkiego, jest granicą wnioskowania ludzkiego. Bóg — to Bóg i nic więcej.

Opuszczam dalszy ciąg krytyki tołstojowskiej, bo i te przykłady, którem przytoczył, wystarczająco pouczają nas, jak daleko sięga radykalizm Tołstoja. Podobnie jak z Trójcą św., rozprawił się on ze stworzeniem, z grzechem pierworodnym, Odkupieniem, łaską i sakramentami. Gdy skończył swe teologiczne studya, ujrzał, że pomimo, jak zapewnia, wysiłków, aby utrzymać przynajmniej cokolwiek z nauki Kościoła, nic zgoła z niej nie pozostało.

A jednak tylko religia chrześcijańska, ewangelia daje mu rozwiązanie zagadki życia. Cóż pocznie?

Teologia schyzmatycka go zawiodła, protestanccy i katoliccy teologowie, z których kilku przejrzał zbyt gorączkowo i pobieżnie, również mu zadosyć uczynić nie zdołali. Zrażała go zresztą do wszystkich wyznań chrześcijańskich, i ta okoliczność, że przedstawiciele tychże — duchowni życiem swojem przeczą temu, czego nauczają słowem i piórem. Niema więc czego od nich się spodziewać.

Tak więc studya teologiczne doprowadziły Tołstoja do zupełnej negacyi historycznego chrystyanizmu we wszystkich jego postaciach. Pozostało zrobić jeden tylko krok i zerwać z panującym Kościołem i ze wszystkiemi wyznaniami chrześcijańskiemi. Do tego kroku przyczyniła się Komunia święta, którą w owym czasie poszukiwań prawdziwej religii zamierzył razu

pewnego przyjąć, uważając ją jako pamiątkę Chrystusa. Pop, znając nieprawowierność zapatrywań Tołstoja, przed udzieleniem mu Komunii, zapytał, azali wierzy, że pod postaciami chleba i wina znajduje się rzeczywiście Ciało i Krew Chrystusa? Tołstoj, niespodzianie zagadnięty, zmieszał się i odpowiedział twierdząco, wbrew własnemu przekonaniu. Świadomość popełnionego kłamstwa mocno go upokorzyła i zarazem otworzyła oczy, że dwulicowość taka niegodną jest szlachetnego człowieka. Zrywa więc raz na zawsze z Kościołem, aby jednak przytoczyć coś na swoje usprawiedliwienie wobec społeczeństwa, motywuje swój krok tem, że religia, mieszcząca w sobie tak niezrozumiałe rzeczy jak dogmaty, a przytem rozpadająca się na wiele wyznań wrogich sobie, przekonanych, każde na własną rękę, o prawdziwości swojej nauki a fałszu nauki wyznań innych, słowem wiara chrześcijańska, jaką przechowują wyznania dziś istniejące, nie jest i być nie może wiarą i nauką Jezusową, bo Jezus przepowiedział miłość, a nie rozdziały. Nauka Jezusa jest prawdziwą, lecz nie nauka Kościoła.

Odtąd poczyna się w religijnej działalności Tołstoja nowy okres pozytywnej rekonstrukcyi zaginionej wrzekomo nauki Jezusa. Przyjąwszy za probierz owo pojęcie życia, jakie sam wymarzył, oddziela nim w Ewangelii to, co się da naciągnąć i wtłoczyć w ciasne jego ramki od wszystkiego, co do tych ramek nie pasuje. Dogmaty, cały porządek nadnaturalny, nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie, wszystko to poszło na lewicę, jako późniejsze naleciałości i falsyfikaty oszustów, co nauki Jego nie zrozumieli lub ją zdradzili dla pobocznych względów.

W swojej egzegezie Ewangelii, posługując się zwykłą racyonalistowską krytyką, opartą nadto na własnych uprzedzeniach, w szczegółach hermeneutyki swojej dochodzi Tołstoj do przedziwnych wniosków. O autentyczność Ewangelii nie dba on wcale, uważa zresztą za rzecz dowiedzioną, że księgi te powstały dosyć późno, bo dopiero w II wieku, kiedy istotna nauka Jezusowa mogła już uledz niemałemu przeobrażeniu w umysłach ludzkich. Nadto, powiada, „dla mnie wszystko jedno, czy wiem, że

J. Chrystus był Bogiem, lub nim nie był; lub od kogo pochodzi Duch św.; dla mnie niema żadnego znaczenia, kiedy i przez kogo ewangelie zostały napisane, czy ta lub owa przypowieść pochodzi od Jezusa lub nie“ [1]. „Mój cel jest poprostu dobrze określić naukę Jezusa we właściwej jej postaci“. Obojętnymi są mu również takie fakta, jak narodzenie Jana Chrzciciela, jego uwięzienie i ścięcie, poczęcie i narodzenie Zbawiciela, jego rodowód, ucieczka do Egiptu, cuda Kany i Kafarnaum, egzorcyzmy, chodzenie po jeziorze, przeklęcie figi, zmartwychwstanie i wreszcie przepowiednie proroków, które Chrystus swem życiem urzeczywistnił. To też w wydanym przez się popularnym wykładzie a raczej streszczeniu czterech ewangelii, które to streszczenie poczytuje za „próbę przywrócenia prawdziwej nauki chrześcijańskiej“ [2]; opuszcza bez ceremonii wszystkie te i tym podobne ustępy, jako „nie zawierające nic, według jego zdania, z nauki chrześcijańskiej, lecz notujące tylko zdarzenia zaszłe przed, w czasie i po ogłoszeniu nauki Jezusa. Nie dostarczają one nam żadnego elementu dla określenia nauki chrześcijańskiej, owszem, możnaby powiedzieć, że gmatwają i utrudniają jej zrozumienie“ [3]. „Cuda te wyraźnie przeznaczone, pisze dalej, aby udowodnić bóstwo Chrystusowe tym, co w nie nie wierzą. Lecz dla człowieka, którego podobne cudowne historye nie przekonywują, są one bez żadnej wartości“. W naukową powagę swojej egzegezy, zdaje się, sam Tołstoj nie bardzo wierzy, bo chociaż wysila się na najrozmaitsze dowody z archeologii, filologii, psychologii, jednak nie do nich przywiązuje główną wagę. W przedmowie do swego wykładu oznajmia nam, że „słuszność jego pojmowania (nauki Chrystusowej) udowadniają jedność, jasność, prostota, pełność tegoż wykładu, zarówno jak i zgodność jego z wewnętrznem uczuciem człowieka poszukującego prawdy“ [4]. A więc wewnętrzne uczucie to ostateczne kryteryum do rozróżnienia, co jest nauką Jezusa, a co nią nie

[1] *Les Evangiles*, Paris 1896, p. 12.
[2] Ib., p. 2.
[3] Ib. p 3.
[4] Ib, p. 5.

jest. Jeżeli taki jest główny sprawdzian, to nie będziemy się dziwili, że Tołstoj nie poprzestał na samowolnej tylko egzegezie, ale posunął się nawet do zmiany samego tekstu ewangelicznego, który w wielu miejscach wydań tołstojowskich wcale niepodobny do tekstu, jaki znamy z Wulgaty lub innych wydań. W tej krytycznej swej pracy przyrównywa się Tołstoj do archeologa, co z rozsypanych kawałków składa zepsuty a piękny posąg. Przykłada jakiś kawałek, nie pasuje, przykłada gdzieindziej, nie przystaje, odkłada go więc na bok, aż po pewnym czasie spostrzega, że gdzieindziej tego właśnie ułamka mu potrzeba. Sądzę, że słuszniejby postąpił, gdyby użył innego porównania. Jeżeli odbudowywa on coś, to przedtem potłukł gotowy posąg na miazgę, zmieszał go z gliną i dopiero ulepił swoją Ewangelię na obraz i podobieństwo swego umysłu.

Wrzekomo rekonstrukcyjna praca dobiega wreszcie do swego kresu. Tołstoj pierwszy, swem zdaniem, odkrywa prawdziwe rozumienie nauki ewangelicznej, prawdziwą religię Jezusową. „Rzecz dziwna! — zauważa biskup Nowodworski — czego Apostołowie nie wiedzieli, czego najświętsi i najgenialniejsi myśliciele chrześcijańscy się nie domyślali, on to dopiero miał zrozumieć i światu objawić po tylu wiekach błędu“ [1]. Sam Tołstoj dziwi się temu i zdziwienie to niejednokrotnie w swych dziełach wyraża: „długi czas, powiada, nie mogłem nawet oswoić się z tą myślą, że... po ośmnastu wiekach, w przeciągu których tysiące ludzi trawiło całe życie na badaniu tego prawa (Jezusowego) mnie przypadło w udziale odkryć je, jako coś nowego“...[2] bądź co bądź, „wszystko go utwierdza w przekonaniu, że prawdziwe pojęcie nauki Jezusa jemu zostało objawionem“ [3] i że on jest powołany do jej szerzenia. „Jestem przekonany, że moje życie rozumowe, moje światło nie w innym celu jest mi danem, jeno aby świeciło przed ludźmi, nietylko w słowach, lecz i w dobrych uczynkach, aby ludzie chwalili Ojca. Jestem przekonany, że życie moje i poznanie prawdy jest talentem, powie-

[1] *Przegląd kat.* 1896, str. 200.
[2] *Ma rel.*, 54.
[3] Ib.

rzonym mi, abym nim pracował, że ten talent jest płomieniem, który wtedy tylko oświeca, gdy sam płonie“ [1].

Propaganda nowej religii rozpoczęła się od wydania „Mojej religii“, którą, mimo późniejszych poprawek, można uważać zawsze za główny wyraz przekonań Tołstoja, za jego *Credo* religijno-moralno-społeczne.

Dotąd poznaliśmy dopiero genezę nowej nauki, jej psychologiczny rozwój w duszy autora, jak również bezwzględność jego przeczeń i krytyki, teraz z kolei rzeczy wypada przypatrzyć się stronie pozytywnej tołstoizmu. Dowiemy się, jakie nam Tołstoj stawia dogmaty zamiast odrzuconych chrześcijańskich i jaki z nich wysnuwa kodeks moralno-społecznego życia.

II.

Cała doktryna Tołstoja ma służyć do rozwiązania zagadki życia, a więc z góry wiemy, że przedewszystkiem jest to doktryna etyczna. W czem polega dla Tołstoja t r u d n o ś ć o w e j z a g a d k i ż y c i a? Oto w tem. Jest to fakt stwierdzony doświadczeniem, że wszystko, co żyje, dąży do szczęścia, które niczem nie jest, tylko osiągnięciem właściwego danej istocie celu. Podczas gdy istoty niższe od człowieka dążąc do swego indywidualnego celu, zawsze ten cel osiągają, a tego, że człowiek się niemi posługuje w swoich widokach, wcale nie spostrzegają, i stąd są zawsze szczęśliwe, — człowiek, dążąc do osobistego szczęścia, widzi zarazem jasno, że ono jest niemożebnem do osiągnięcia, bo im więcej kto się o nie stara, tem bardziej ściąga na siebie nieprzyjaźń podobnych mu istot, a walka jednego przeciwko wszystkim tylko przegraną skończyć się może. Stąd rodzi się zwątpienie, rozpacz. Po co żyć, kiedy szczęścia osiągnąć nie można. Problemat ten, powiada Tołstoj, staram się w różny sposób rozwiązać, ale na próżno. Faryzeusze, a ma tu na myśli duchowieństwo wszystkich religii, chcąc utrzymać zgodę, że celem człowieka jest jego osobiste szczę-

[1] *Ma rel.*, 260.

ście, a nie widząc tego szczęścia w życiu doczesnem wymyślili życie pozagrobowe. Uczeni zaś, ratując tęż samą zasadę szczęścia osobistego, lecz nie chcąc przyjąć życia poza grobem, twierdzą, że życie człowieka jest nie czem innem, jak jego zwierzęcą egzystencyą, poczynając od chwili urodzenia aż do śmierci, i radzą iść za popędem swojej zwierzęcej natury, aby wyzyskać możliwie największą sumę ziemskiego dobrobytu. Ani jedno ani drugie rozwiązanie nie zadowalnia Tołstoja. On chce wskazać taki cel istnienia człowieka, któryby był zarazem rozumny i w zupełności możliwy do osiągnięcia w tem życiu. Ku temu więc służyć ma etyka Tołstoja albo, jak on sam chce, etyka Jezusowa. Cała teorya rozpada się na dwie części. Jak każda nauka religijna, tak i „nauka Jezusa, pisze on, zawiera w sobie dwie części: pierwsza z nich moralna czyli etyczna poucza, jak ludzie żyć mają, już to uważani każdy z osobna, już to we wzajemnych między sobą stosunkach. W drugiej części, metafizycznej, znajduje się wyjaśnienie, dlaczego ludzie tak, a nie inaczej żyć mają. Pierwsza część jest wynikiem i zarazem racyą bytu dla drugiej". Główną wagę kładzie Tołstoj na część etyczną, której podporządkowuje metafizyczną, jako służebnicę i pomocnicę. Zacznijmy jednak od tej ostatniej, t. j. metafizycznej, bo ona nam zapowie, czego możemy się spodziewać w wynikach praktycznych. Nie obawiajmy się, że Tołstoj wprowadzi nas w jakieś głębiny metafizyczne, że będzie dosięgał z nami ostatecznych przyczyn wszechrzeczy. Kto chce zajmować się tak głębokiemi spekulacyami, ten, według Tołstoja, podobnym jest do młynarza, który zamiast pilnować swego młyna, puścił się na badanie rzeki dostarczającej wody na młyn jego, tłumacząc sobie, że przecież bez rzeki nie byłoby młyna, a zatem przedewszystkiem rzekę i jej źródło dokładnie zbadać należy. My mamy swój młyn — życie. Młyn na to jest potrzebny, aby dobrze mełł, również życie jest tylko na to, aby było dobrem. Badanie więc życia musi się odbywać w zakresie celu samego życia, jest to badanie i urządzenie wewnętrznej maszyneryi naszego młyna i dopilnowanie tejże, nie zaś dociekanie dla-

czego się młyn obraca, skąd mamy życie, czy *principium* ruchu życiowego jest w materyi samej, czy też na zewnątrz niej [1].

Bądź co bądź każdy, kto się zabrał do filozoficznego badania wartości życia ludzkiego, musiał się spotkać z pewnemi metafizycznemi zasadniczej wartości pojęciami, jak np. pojęciami Boga, duszy, wolności. Nie mógł więc ich uniknąć i Tołstoj.

Jakież więc najpierw daje nam Tołstoj pojęcie bóstwa? Widzieliśmy wyżej, że odrzucił on Boga chrześcijańskiego, jedynego w Trójcy, wiemy o tem, że uważa on za niedorzeczne badać kwestyę, czy Bóg jest jeden, czy więcej, twierdzi, że o Bogu tylko tyle wiemy, że jest przyczyną przyczyn, iż Bóg to Bóg. Dokładnej definicyi swojego boga nigdzie nam nie daje, nigdzie również *ex professo* o nim nie traktuje, bo uważa, że pojęcie Boga — to granica dociekań ludzkich. Wspomina o Bogu wprawdzie często, lecz zawsze tylko mimochodem, i coraz to inaczej go nam przedstawia. Raz powiedział, że Bóg, to jest życie nasze, gdzieindziej, że jest on r o z u m e m, nie rozumem jakimś pozaświatowym, ale tym, który w nas mieszka i nas oświeca, to znowu jest tem, co idzie z wysoka i, co najcharakterystyczniejsze, jest On „współistotnym człowiekowi“, jest co najmniej jakąś składową częścią naszego bytu. Zastosowując do swego pojęcia Boga, początek ewangelii św. Jana [2], powiada, że Bóg to Słowo, a słowo to zrozumienie życia, które to zrozumienie znowu jest początkiem wszelkiego bytu [3], a zwłaszcza początkiem dobrego życia. Od razu więc mamy do wyboru kilka koncepcyj bóstwa.

Do tej teodycei dostrojoną jest odpowiednio i antropologia tołstojowska. C ó ż j e s t c z ł o w i e k? Każdy z nas — pisze Tołstoj na kilku miejscach — oprócz świadomości, że pochodzi od ojca i matki, ma jeszcze świadomość tego, co w nim jest swobodne i niezależne od ciała, co istnieje samo przez się, co rodzi

---

[1] „O życiu“. Przedmowa.
[2] *Les Evangiles*, chap. I.
[3] *Les Evangiles*, p. 62.

się z wysoka, z nieskończoności, którą nazywamy Bogiem“ [1]. Człowiek więc to mieszanina tego, co pochodzi od ziemskich rodziców i tego, co pochodzi od Boga, nie przez stworzenie, które już w krytyce teologii zostało odrzucone, ale przez jakieś wcielenie samego bóstwa. Ten więc drugi pierwiastek naszej istoty jest samym Bogiem [2], a o ile jest niejako zindywidualizowany w naszej osobie, zwać się może Synem Bożym, współistotnym Ojcu, o ile zaś jest pierwiastkiem i kierownikiem życia prawdziwie ludzkiego, w przeciwstawieniu do życia istot niższych — słusznie otrzymuje nazwę Syna człowieczego.

Tak naśladując terminologię nauki chrześcijańskiej o usynowieniu nas przez Boga za pośrednictwem łaski i o prawdziwem synowstwie Bożem Jezusa Chrystusa, podaje Tołstoj zupełnie panteistyczną doktrynę i do niej stosuje wszystkie ustępy Pisma świętego, gdzie Chrystus nazwanym został Synem Bożym i Synem człowieczym. Jezus, według Tołstoja, nie więcej był Synem Bożym, jak każdy z nas. I my mamy ten Boży pierwiastek w sobie, jakkolwiek ci tylko w pełnem znaczeniu synami Bożymi nazwani będą, którzy się odrodzą z ducha, to jest, którzy przyjdą do świadomości swego synowstwa Bożego, którzy następnie przez rozumne życie dadzą wzrost temu Synowi Bożemu w samych sobie. Chwila poznania tego wyższego pierwiastka, w nas mieszkającego, jest początkiem wiary, jest początkiem dobrego życia. O takiem odrodzeniu się mówił Jezus do Nikodema, o takiem wspominał gdy wyrzekł: Kiedy wywyższycie Syna człowieczego, wtedy poznacie, żem ja jest [3], co znaczy, gdy rozniecicie w sobie owo światło Boże, owego Syna człowieczego, wtedy będziecie prawdziwymi naśladowcami moimi. Ten jeden przykład tłumaczenia tołstojowskiego daje nam poznać, jak bałamutną jest jego teologia i egzegeza dla niewta-

[1] „Tout homme, en dehors de sa vie corporelle qui lui vient de son père et de sa mère, a conscience d'un esprit libre et indépendent, de la chair, qui réside en lui. Cet esprit infini est la sorce de toutes choses; c'est lui qui est Dieu“. *Les Evang.* 62.

[2] *Les Evangiles*, p. 62.

[3] Jan 8, 28.

jemniczonych w prawdziwą teologię i jak łatwo sprowadzić może błędny wykład dogmatu chrześcijańskiego. Okazyi do tego oryginalnego pojęcia o Synu człowieczym i Synu Bożym dostarczyło Tołstojowi doświadczenie. Mianowicie spostrzegł on istniejący w łonie naszej natury rozdźwięk, widział oprócz zakonu rozumu inny zakon, panujący w członkach naszych. Jest to fakt. Inny fakt, to dążenie człowieka do szczęścia nieskończonego i niemożliwość osiągnięcia tegoż w tem życiu. Duch przeciwieństwa, jak zawsze, tak i tu, nie pozwolił Tołstojowi przyjąć chrześcijańskiego tłumaczenia tych dwu rzeczywistości, lecz że fakta nie mogą pozostać bez rozwiązania, więc wprowadza Tołstoj na widownię swej teoryi jakiś manichejski dualizm w istocie człowieka. Tem się tylko różni od manichejczyków, że nie szuka początku pierwiastka materyalnego w jakimś złym duchu, ale poprzestaje na odesłaniu nas do przyczyny najbliższej naszego materyalnego ja, do ziemskich rodziców.

Postępując dalej w psychologii Tołstoja, widzimy, że pomiędzy wyższym człowieczym pierwiastkiem a niższą naszej natury częścią, którą Tołstoj stale nazywa „osobistością zwierzęcą", zachodzi podobny stosunek, jak pomiędzy życiem zwierzęcem a prawami fizycznemi materyi[1]. Każdy atom ma swoje prawa i dąży do swoich celów, lecz te prawa i te dążenia wyzyskuje życie zwierzęce do swojego wyższego celu i posługuje się materyą, jakby jakiem narzędziem. Podobnież nasza osobistość zwierzęca ma swoje prawa, według których dąży do swoich egoistycznych celów, lecz rozum w nas mieszkający spostrzega, że te prawa i te dążenia nie są prawami i dążeniami człowieka, jako człowieka, zapanowywa więc nad niemi i obraca je w narzędzia swoich wyższych, rozumnych, iście ludzkich celów. „Osobistość zwierzęca dla człowieka jest łopatą, daną istocie rozumnej w tym celu, aby nią kopać, a kopiąc tępić, ostrzyć i niszczyć, nie zaś oczyszczać ją i zachowywać"[2].

Prawdziwe więc życie ludzkie to wyrzeczenie się szczęścia

[1] „O życiu", p. 81,
[2] „O życiu", p. 83.

zwierzęcego czyli osobistego, bo pamiętajmy, że w nauce Tołstoja, to „przymiot wyłączny zwierzęcia i człowieka, jako zwierzęcia, podczas gdy przymiotem człowieka, jako człowieka jest świadomość rozumna“ [1]. Wtedy tylko, gdy się postawi ów wyższy cel człowieka znika sprzeczność, którą spostrzegamy w sobie rozumem, widząc nieosiągalność celów, do których osobistość nasza dąży.

Tak się przedstawia kwintesencya teodycei i antropologii tołstojowskiej. Z tego zarysu same przez się wynikają i dalsze wnioski i zastosowania. Bóg Tołstoja nie jest istotą osobową i pozaświatową, lecz nieskończonością, która i w świecie widzialnym jako ruch i życie, i w człowieku, jako przedniejszy jego składnik, bezustannie się wciela, rozwija i wraca do siebie. Jeżeli do tego weźmiemy na uwagę, że Tołstoj przeczy właściwego stworzenia materyi, a obok tego nazywa Boga początkiem wszechrzeczy, otrzymamy prosty wniosek o identyczności materyi z Bogiem. Będzie więc to Bóg panteistów, Bóg Spinozy, t. j. powszechna substancya, objawiająca się w atrybutach rozciągłości i myślenia. Takiego określenia Boga sam Tołstoj nam nie podał, ale logicznie płynie ono z jego mglistych o Bogu ustępów i zdaje się, że rzeczywiście swoje pojęcie Boga zaczerpnął Tołstoj u Spinozy, którego często w swych dziełach cytuje, uważając filozofię jego, jako opartą na podstawach prawdziwie chrześcijańskich [2].

Człowiek znowu, a tu już wyraźniej wypowiada się, człowiek, nie jako zwierzę, ale jako człowiek, jako syn Boży, również nie posiada bytu samodzielnie osobistego, ale jest wcieleniem Bóstwa, jest jednym z jego przejawów. Życie poszczególne to tylko fala rozkołysanego życiowego morza, występująca na krótki czas w ciele i znowu rozpływająca się w oceanie wszechbytu. Poznanie tego naszego pokrewieństwa a właściwie tożsamości z Bóstwem ma stanowić treść wiary, a wiara ta, jak słyszeliśmy wyżej, jest poznaniem, nie zapomocą rozumowań

[1] „O życiu“, p. 78.
[2] „Religia i moralność“.

i sylogizmów, ale za pośrednictwem jakiegoś czucia rozumowego, czy też jakiejś intuicyi tej prawdy. Wiara, to uświadomienie tego, co jest w nas z wysoka. Teorya ta przypomina nam naukę Jacobi'ego, „filozofa niewiedzy“ o wiarowem poznaniu, jako sprzecznem z poznaniem rozumowem.

Na tych trzech pojęciach: Boga, człowieka, wiary, któreśmy dotąd wydobyli z nauki Tołstoja, buduje się czwarte pojęcie religii. Konsekwentnie do systemu, będzie ona wyrażała stosunek osobników ludzkich nie do Boga osobistego, pozaświatowego, bo ten poczytany za chimerę, ale do Boga, o ile on się objawia w ludzkości. Jedynym kultem w tej religii ma być kult rozumu w nas mieszkającego, kult rozumnem również życiem, nie zaś modlitwą lub ceremoniami uwydatniony. Religia jest koniecznem zadaniem człowieka, bo nikt nie może wyzbyć się tego stosunku do świata, czyli lepiej do Boga w nim mieszkającego, a praktycznym wyrazem religii, kultem jej, jest moralność czyli racyonalny sposób życia. Stąd twierdzi Tołstoj, słusznie zresztą, że moralność zlaicyzowana jest niemożliwą, a „próby oparcia moralności nie na religii podobne są do usiłowań dzieci, które chcąc przesadzić podobającą się im roślinę, odrywają od niej niepodobający się im i zbyteczny ich zdaniem korzeń, i bez korzenia wtykają roślinę w ziemię. Bez religijnej podstawy nie może być żadnej prawdziwej moralności, tak jak bez korzenia nie może się przyjąć życie w roślinie“ [1]. Złota prawda.

Pojęcia Boga, człowieka, wiary i religii to fundamenta każdej nauki obyczajowej. Są to zasady, które ona nie tyle rozwija i uzasadnia, jak raczej bierze gotowe z innych nauk. Ale każda etyka musi wziąć pod uwagę inne jeszcze czynniki, ściśle związane z każdym czynem moralnym i dlatego wprost do etyki należące. I tak na samym progu zagadnień moralnych powstaje pytanie: na mocy jakich danych przenosimy ludzkie czynności z pod panowania praw fizycznych w osobną dziedzinę moralności? dlaczego dla nich tworzymy osobną naukę, osobny mamy

[1] „Rel. i Moralność“.

na nie pogląd? Zdrowa filozofia wszystkich czasów za fundament samego pojęcia moralności stawia wolność woli ludzkiej, woli, którą nie mus, jak w świecie niższym, determinuje do działania, ale która sama się skłania do czynu mocą przedłożonego jej prawa moralnego, opatrzonego sankcyą w tem lub innem życiu.

Nic z tego niema u Tołstoja. Wolność woli, to słowo wynalezione przez teologów i kryminalistów, które zwalczać byłoby prowadzić donkiszotowską wojnę przeciwko wiatrakom[1]. W człowieku jest tylko rozum, światło z wysoka, Syn Boży, który wszystko tłómaczy. Dlaczego jednak ten syn Boży, to światło z wysoka, tak często się buntuje przeciwko Bogu, skąd zło moralne na świecie, którego istnienie uznał Tołstoj z własnego smutnego doświadczenia? Oto stąd ono powstaje, odpowiada Tołstoj, że w człowieku obok rozumu jest jeszcze osobistość zwierzęca, samolubna z natury swej, szukająca dla siebie szczęścia. Stąd wynikają starcia i walki pomiędzy ludźmi, stąd pochodzą i wewnętrzne walki w każdym człowieku między wyższym i niższym jego pierwiastkiem. Rezultat tej walki jest ten, że sama nawet owa osobistość zwierzęca znajduje tylko cierpienia, a jeżeli zazna cokolwiek rozkoszy, to zatrutej przykrościami i obawą śmierci. Zło moralne jest w tem, że rozum, który miał przyświecać jako jedyne prawo działalności człowieczej, obałamucony przez fałszywe teorye faryzeuszów, czyli duchowieństwa, i skrybów, czyli uczonych materyalizmu o szczęściu osobistem, jako celu człowieka, oddawszy się w służbę osobistości zwierzęcej, wynajduje rozmaite pozory dla usprawiedliwienia jej dążeń i środki zaspokojenia tychże. Jedyne lekarstwo na usunięcie zła moralnego jest narodzenie się z ducha, jest uwierzenie w tego syna człowieczego, a zatem podbicie osobistości zwierzęcej pod prawo rozumu, pod prawo Boże aby nam pomagała w osiągnięciu celu ogólno-ludzkiego, czyli szczęścia powszechnego.

W całem tem dziele, według Tołstoja, wolna wola nie ma

[1] *Ma rel.*, 126.

nic do czynienia. Dlaczego? Bo zrzeczenie się przez osobistość zwierzęcą szczęścia osobistego, nie jest żadnym „czynem heroicznym, nadobowiązkowym, lecz tylko spełnieniem koniecznego warunku“ [1], jeśli nie chcemy siedzieć w cieniu śmierci duchownej. Praktycznym wyrazem warunku życia prawdziwie ludzkiego jest miłość. Ona jest jedynym celem naszego życia. „Ludzie winni pojąć i czuć (są słowa Tołstoja), że każdej godziny są czyjemiś dłużnikami; dług ten niespłacalny zaciągają wszystkie pokolenia względem tego, który jest początkiem wszystkiego. Każda chwila życia winna być poświęconą amortyzacyi tego długu; ktoby zaś egoistycznie uchylał się od wypłaty onego, aby swe życie zachował, traci je“ [2]. Prawdziwe życie jest wtedy, gdy dorzuca się coś do dobra nagromadzonego przez pokolenia przeszłe, gdy się mnoży sumę miłości w świecie. Rzecz godna uwagi, że podczas gdy Spinozę panteizm zaprowadził do wniosku: „a więc gdy ja jestem bogiem, wszystko mi wolno, do wszystkiego mam prawo“, u Tołstoja konkluzya tegoż panteizmu wypadła wprost odwrotnie: „Człowiek nie ma prawa do niczego, on ma tylko obowiązki za dobro, które otrzymał i oto dlaczego nie może on targować się z nikim o swe prawa. A zatem choćby wydał całe swe życie, nie zdołałby oddać wszystkiego co otrzymał“ [3].

Zauważyć również należy, że u Tołstoja niema wcale tego, co my nazywamy miłością Boga. Mówi wprawdzie w przytoczonym ustępie o długu względem tego, który jest początkiem wszystkiego, ale my wiemy, co to znaczy ten początek wszystkiego w ustach Tołstoja. Jest nim owo światło, ów rozum powszechny mieszkający w ludziach, a zatem jedynym przedmiotem naszej miłości jest ludzkość, którą, zbiorowo wziętą, Tołstoj nazywa również synem człowieczym. Jak więc niema u Tołstoja Boga osobowego, tak niema miejsca i dla chrześcijańskiej miłości Boga.

Wróćmy do owego obowiązku miłości, który mamy wyko-

[1] „O życiu“, p. 79.
[2] *Ma rel.*, p. 184.
[3] *Ma rel.*, p. 170.

nywać, posługując się osobistością zwierzęcą. Rodzi się pytanie co zrobić z ową osobistością zwierzęcą, jeśli ona nie usłucha tych wszystkich wywodów? Najpierw, powtarza nam znowu Tołstoj, ona sama przez się nie byłaby się buntowała przeciwko rozumowi, gdyby ten sam rozum, źle i fałszywie skierowany, nie rozdmuchiwał jej pożądliwości. Ten więc należy przedewszystkiem oświecić i sprostować, a następnie jako praktycznego środka do nastraszenia osobistości zwierzęcej i pobudzenia jej do służby rozumowi, użyć perswazyi, że gdy samolubnie będzie dążyła do szczęścia, nigdy go nie osiągnie, a przeciwnie, zrzekłszy się go, dozna, że wszelkie cierpienia stracą dla niej swą dotkliwość i sama śmierć nawet straszną jej nie będzie.

Słusznie zauważa tutaj ś. p. biskup Nowodworski, że Tołstoj wprowadza fatalny dualizm aż do łona samego bóstwa, gdy ten sam rozum boski, jedynie czci naszej godny, czyni zarazem sprawcą buntu przeciwko samemu sobie.

(C. d. n.).

Ks. Jan Urban.

ALKOHOLIZM I ANTYALKOHOLIZM.

(Ciąg dalszy).

Przedewszystkiem trzeba zauważyć, że w życiu codziennem nie jest rzeczą określoną, jaką ilość trunków wyskokowych należy uważać za dawkę małą lub umiarkowaną. We Francyi człowiek, wypijający przy śniadaniu i obiedzie po pół butelki wina stołowego, przed obiadem kieliszek aperytywu, po obu posiłkach po kieliszku koniaku lub likieru do kawy, a w ciągu dnia czy wieczoru szklaneczkę piwa, uchodzi za zupełnie umiarkowanego w trunkach; Niemiec, wypijający dziennie 3 litry niezbyt ciężkiego, powiedzmy 4% piwa, z pewnością nie jest uważany za pijaka; gdy się zaś obliczy ilość alkoholu, jaką każdy z nich dziennie spożywa, to wynosi ona około 150 g, a względnie 120 g czystego alkoholu, co w naszych warunkach musiałoby się uważać za dawkę, przekraczającą stanowczo granice umiarkowania, tyle spirytusu zawiera bowiem u nas 15 a względnie 12 kieliszków zwykłej t. j. 40% wódki.

I w badaniach lekarskich panuje pod tym względem pewna dowolność: Anstie uważa za dawkę małą 30 g alkoholu dziennie w stanie rozcieńczonym, Bartholow 45 g, Bienfait 25 g, Ziehen 30—40 g dziennie, inni uważają już 15 g alkoholu za dawkę poważną i t. d. W ostatnich czasach za dawkę małą uważa się niemal powszechnie dawka nie przenosząca dziennie $^1/_2$ g alkoholu absolutnego na 1 kg żywej wagi, a więc dla człowieka dorosłego, ważącego 70 kg, 35 g alkoholu. Po-

nieważ średni kieliszek do wódki u nas mieści około 25 cm^3, szklanka 250 cm^3, średni kieliszek do wina około 75 cm^3, 35 g alkoholu zawierają w przybliżeniu $3^1/_2$ kieliszka wódki 40%-ej, $3^1/_2$ szklanki piwa 4%-go, 4—5 kieliszków wina 10%-go. Za dawkę umiarkowaną uchodzi zazwyczaj dawka wynosząca dziennie 1—2 g alkoholu absolutnego na 1 kg, co odpowiada 70—140 g alkoholu, a więc u nas 7—14 kieliszkom wódki, tyluż szklankom piwa, lub 9—18 kieliszkom wina. Dawki powyżej 2 g alkoholu na 1 kg żywej wagi uważa się za dawki wielkie.

Co do działania fizyologicznego alkoholu w dawkach małych, a nawet umiarkowanych, spotykamy w badaniach lekarskich do dnia dzisiejszego jeszcze wiele sprzeczności. Stąd pochodzi, że jedni uważają, iż alkohol nawet w dawkach małych i najmniejszych działa zawsze silnie trująco i że należy go przeto z wszelkiego użycia usunąć, inni zaś twierdzą, że alkohol w dawkach małych czy umiarkowanych na niektóre funkcye ustroju, zwłaszcza w pewnych warunkach, działa korzystnie, że używanie go w rzeczonych granicach jest przeto poza względami na zwyczaje także i naukowo uzasadnione, a w pewnych okolicznościach może być nawet wręcz wskazane.

Ażeby w tej kwestyi zająć słuszne stanowisko, należy rozejrzeć się dokładnie w odnośnych spostrzeżeniach i eksperymentach, w których najczęściej starano się wypośrodkować działanie alkoholu na jedną tylko jakąś ważną funkcyę ustroju. Dotychczasowe badania najlepiej wyświetliły działanie alkoholu w małych i umiarkowanych dawkach na czynności mózgu.

Doświadczenie codziennego życia poucza, że w stanie już nie upicia się, a lekkiego tylko podchmielenia ludzie zazwyczaj milczący stają się wielomownymi; wśród ożywionej rozmowy gęsto padają dowcipy, wielką obudzające wesołość; człowiek odczuwa jakby pobudzenie wyobraźni i potrzebę wypowiedzenia swoich myśli, co sprawia, że zdania krzyżują się i gonią z niezwykłą chyżością, a przytem człowiek odczuwa pewne wewnętrzne zadowolenie i ma uczucie ogólnego podniecenia. Na tej zasadzie powstało przeświadczenie, że alkohol w dawkach małych i umiarkowanych jest środkiem pobudzającym czynności

mózgowe człowieka. Wniosek ten jest jednak zupełnie nieuzasadniony, trudno bowiem zgodzić się na to, by ilości alkoholu sprowadzające u człowieka stan lekkiego nawet podchmielenia, można było uważać za ilości umiarkowane, a tem bardziej małe; a potem wystarcza przyjrzeć się cokolwiek bliżej owej zmianie, jaka zachodzi w inteligencyi i psychice człowieka podchmielonego, by dojść do przekonania, że owo wzmożenie czynności mózgowych jest tylko pozornem: ilość myśli w mózgu powstałych nie jest większą jak w stanie zupełnej trzeźwości, zwiększył się tylko popęd do ich wypowiedzenia; myśli nie zyskały przytem na logice i głębokości, przeciwnie, są one przeważnie banalne, często nawet głupie; dowcipy, które na trzeźwo uchodziłyby za płaskie, wśród ludzi podchmielonych wzniecają ogromną wesołość; pomimo, że trapiące człowieka troski i kłopoty nie ustały, czuje się on w lepszem, weselszem usposobieniu, gdyż zaczyna lekceważyć pewne względy, z którymi poprzednio się liczył; jeżeli przedtem czegoś się lękał, obawa znika, wzmaga się poczucie wartości osobistej, człowiek we własnych oczach wzrasta. Znamiona tej zmiany wskazują, że w stanie lekkiego podchmielenia czynności umysłowe nie tylko nie są pobudzone, ale przeciwnie, że upośledzone są te sprawy myślowe, z których wynika sąd i krytyka. Pozorne ożywienie umysłowości polega głównie na innym, jak na trzeźwo, niejako niższym sposobie brania rzeczy i patrzenia na świat, co oznacza jedynie obniżenie czyli upośledzenie władz umysłowych.

Spostrzeżenia te nie uprawniają więc bynajmniej do twierdzenia, że małe czy umiarkowane dawki alkoholu pobudzają czynności mózgowe. Inne natomiast spostrzeżenia przemawiają za tem, że używanie trunków wyskokowych nawet w ilościach umiarkowanych, a nawet małych, upośledza zdolności umysłowe człowieka: wiele osób, zwłaszcza lekarzy, którzy dawniej pijali umiarkowanie, a pod wpływem ruchu przeciwalkoholowego stali się abstynentami, twierdzi, że od tego czasu praca umysłowa idzie im znacznie lepiej, że wyraźnie odczuwają zmianę na lepsze pod tym względem. Co do tych spostrzeżeń należy jednak zastrzedz się, że pojęcie umiarkowania w piciu jest bardzo

względnem, że ludzie mają bardzo rozmaitą miarę umiarkowania. Często przytaczane oświadczenie Helmholza na uroczystości 70-tej rocznicy jego urodzin w r. 1891, że nawet najmniejsze dawki wyskoku wypłaszały mu z głowy i mąciły dobre myśli i pomysły naukowe, nie jest przekonywującem o tyle, że Helmholz, jak to podnosi Rosenfeld, cierpiał na wodogłowie wewnętrzne *(Hydrocephalus internus)*, a wskutek tego wrażliwość jego mózgu na wszelkie czynniki szkodliwe, a więc i na działanie alkoholu, mogła być patologicznie wzmożoną. Już bardziej przemawia do przekonania przykład Edisona, ktory, nie używając zupełnie trunków wyskokowych, zauważył, że po winie, zaleconem mu przez lekarza, nie mógł umysłowo pracować, jakkolwiek i w tym przypadku nasuwa się podejrzenie, że owo upośledzenie czynności intelektualnych mogło być poniekąd w związku z cierpieniem, na które lekarz wino zalecił. Przytem we wszelkich takich samospostrzeżeniach, zwłaszcza pochodzących z ostatnich czasów, powstałych pod wpływem szerzącego się antyalkoholizmu, pierwiastka autosuggestyi w zupełności wykluczyć nie można.

Doświadczenia na zwierzętach pouczają nas bardzo mało w kwestyi, o której mowa: stwierdzono na psach, że po małych dawkach alkoholu (0.5 a nawet 0.25 cm^3 na 1 kg) powstaje z początku słabe przekrwienie, potem zaś niedokrwienie *(anaemia)* mózgu; prąd krwi w tętnicy szyjowej jest z początku przyśpieszony, potem zwolniony. Żukowski stwierdził już po zadaniu 0.25 cm^3 alkoholu na 1 kg bardzo słabe zwiększenie pobudliwości kory mózgowej, Okmiański zaś stwierdził to samo po zadaniu 1 g alkoholu na 1 kg; pobudzenie psa objawiało się przez szczekanie bez powodu.

Właściwą podstawę eksperymentalną do oceny działania alkoholu w małych i umiarkowanych dawkach na czynności mózgowe, stworzył dopiero prof. Kraepelin w Heidelbergu, przez doświadczenia na ludziach, ogłoszone w r. 1892, w których stosował odpowiednio zmodyfikowane sposoby pomiarów zjawisk umysłowych i psychicznych, wprowadzone do nauki przez Wundta. Ciekawą jest przytem rzeczą, że punktem

wyjścia dla rzeczonych doświadczeń były badania nad działaniem leczniczem różnych narkotyków; wyniki dotyczące alkoholu były wręcz nieoczekiwane i to zniewoliło Kraepelina do bliższego zbadania jego działania fizyologicznego na zawiłe sprawy mózgowe u człowieka. Po Kraepelinie szereg jego uczniów badania te w dalszym ciągu prowadził.

W doświadczeniach tych oznaczano zarówno u osób przyzwyczajonych do alkoholu jakoteż u abstynentów maksymalną wydajność pracy umysłowej bez alkoholu i pod jego wpływem; badano pamięć przez oznaczenie ilości liczb zapamiętanych w przeciągu pewnego czasu, przyczem notowano, wiele razy trzeba było powtarzać liczby podczas nauki; badano szybkość, z jaką przychodzą do świadomości wyobrażenia, przez naukę poprzednio nabyte, w doświadczeniach, w których dodawano w ciągu określonego czasu szeregi liczb, a zarazem oznaczano ilość zrobionych przy dodawaniu błędów; badano poczucie czasu przez oznaczenie z pamięci 25 razy z rzędu okresów 30 sekundowych; badano ilość odczytanych w ciągu określonego czasu sylab, składających i nie składających się na wyrazy o określonem znaczeniu; zapomocą przyrządu elektrycznego oznaczającego tysiączne części sekundy badano szybkość, z jaką występował t. zw. „odczyn prosty“, przez oznaczenie czasu, jaki upłynął od dania pewnego znaku przez inną osobę, a wykonania umówionego ruchu; badano t. zw. „odczyn wyboru“ przez oznaczanie czasu wykonania jednego z dwu ruchów, z których każdy miał być wykonany na dany odpowiedni znak, przyczem oznaczano także ilość popełnionych błędów; badano czas potrzebny do usłyszenia, percepcyi i powtórzenia wyrazu, wymówionego przez inną osobę, oraz wypowiedzenia pierwszego z asocyacyi myślowej wypływającego pokrewnego pojęcia, jakie usłyszany wyraz wzbudził.

W doświadczeniach tych stwierdzono, że zdolność do pracy umysłowej, oraz powyższe odczyny w warunkach prawidłowych okazują wielką stałość, tak, że według słów Smitha stanowią one dla człowieka niejako jego psychologiczny list gończy, z którego poznać go można. W doświadczeniach Kraepelina i jego

uczniów oznaczano także liczebnie przyrost pracy umysłowej, występujący wskutek ćwiczenia, oraz granicę, poza którą praca ta przejść nie może, a także trwałość, z jaką przyrost pracy nabyty przez ćwiczenie się utrzymuje; uwzględniano przytem pobudzenie, t. j. szybkość, z jaką osoba poddająca się doświadczeniu, przezwyciężała przy przystąpieniu do pracy pewne lenistwo duchowe i czas potrzebny do wpracowania się w zadanie; określano również łatwość, z jaką występuje znużenie, oraz możność powrotu do stanu prawidłowego po wypoczynku.

Doświadczenia przeprowadzono porównawczo, to znaczy, na tych samych ludziach, pozostających w tych samych warunkach, raz w okresie zupełnej od alkoholu wstrzemięźliwości, a potem po zadaniu im alkoholu w dawkach wynoszących 7.5, 15, 20, 25, 30, 45 i 60 g w odpowiedniem rozcieńczeniu wodą.

Wyniki doświadczeń Kraepelina były następujące: uczenie się na pamięć zadanych liczb już po dawkach małych, poniżej 20—30 g alkoholu było utrudnione; pomimo że praca szła raźniej, t. j. pomimo że zadane liczby częściej powtarzano, zapamiętywano je gorzej. Dodawanie liczb szło również gorzej. Charakterystycznem było przytem zjawiskiem, że osoby poddające się doświadczeniu miały wrażenie, że po alkoholu praca idzie im lepiej. Przy oznaczaniu poczucia czasu znużenie występowało po alkoholu szybciej jak na trzeźwo. Odczytywanie sylab po dawkach nie przenoszących 20—30 g alkoholu, szło z początku lepiej, potem gorzej; po dawkach większych odczytywanie szło gorzej od samego początku. Odczyn prosty oraz odczyn wyboru po dawce alkoholu wynoszącej 7·5 g przez pewien czas występował szybciej, a więc był ułatwiony, poczem następowało utrudnienie tych odczynów; po dawkach powyżej 7·5 g alkoholu u przeważnej części badanych osób następowało utrudnienie owych odczynów od samego początku, u niektórych zaś osób i po tych dawkach występowało przejściowe ich ułatwienie; po 20 g zaś u wszystkich badanych osób odczyn prosty i odczyn wyboru były od samego początku utrudnione. Tworzenie kojarzeń myślowych po dawkach do 20—30 g alkoholu z początku szło szybciej, zarazem jednak jakość czyli wartość

tych kojarzeń pogarszała się; po upływie krótkiego czasu występowało zwolnienie w tworzeniu kojarzeń, a jakość ich nie poprawiała się przytem, a przeciwnie jeszcze się pogarszała. Podług Aschaffenburga oraz Tigerstedta kojarzenia myślowe można podzielić co do ich wartości na 3 grupy:

1) kojarzenie wewnętrzne, wypływające ze współrzędności, podporządkowania, przyczynowości lub bliższego określenia, jednem słowem, wypływające z wewnętrznego związku pojęć;

2) kojarzenia zewnętrzne, wypływające ze współistnienia w pewnym czasie lub miejscu, z reminiscencyi językowych, wogóle ze związku powierzchownego lub przypadkowego pojęć;

3) kojarzenia pozbawione związku co do sensu, a wypływające z podobieństwa dźwięku określających pojęcia wyrazów, ich rymowania się, lub wszelkiego związku zgoła pozbawione.

Po większych dawkach alkoholu tworzenie kojarzeń od samego początku było upośledzone.

W doświadczeniach Kraepelina przejściowe pobudzenie czy polepszenie po dawkach poniżej 20—30 g alkoholu dotyczyło jedynie tych czynności, które były połączone z pewnymi ruchami, jakoto podnoszenie ręki przy badaniu odczynu wyboru, wymawianie sylab czy wyrazów przy ich odczytywaniu, powtarzaniu, lub wypowiadaniu powstałych asocyacyi myślowych; bliższe badanie owych asocyacyi wskazuje, że ich wartość jest mniejszą, a więc że praca umysłowa jest w danych warunkach upośledzona; skrócenie czasu reakcyi polega więc tutaj, zdaniem Kraepelina, na przyśpieszeniu części ruchowej odczynu.

Z badań Kraepelina wynika więc, że takie ilości alkoholu, jakie się mieszczą w 2—3 kieliszkach wódki, czynności psychiczne stanowczo upośledzają; mniejsze zaś dawki mogą przejściowo przyśpieszyć tych czynności przejawy, jakkolwiek psychika jest i po tych dawkach upośledzona.

Kraepelin badał działanie alkoholu na czynności mózgowe natychmiast, najdalej w 2 godziny po wypiciu.

Uczeń Kraepelina, Smith, przeprowadził potem badania nad działaniem alkoholu na czynności umysłowe po upływie dłuższego czasu od jego spożycia, przy regularnem poda-

waniu alkoholu w ciągu dłuższego czasu. W doświadczeniach, rwających po 27 dni, okresy zupełnej wstrzemięźliwości zmieniały kilkudniowe i kilkunastodniowe okresy, w których wypijano z początku 40, potem 60 i 80 g alkoholu dziennie, w rozcieńczeniu, odpowiadającem piwu, poczem następował znów okres zupełnej wstrzemięźliwości od wyskoku. Rano odbywała się nauka liczb na pamięć w ciągu pół godziny, w ciągu następnej pół godziny dodawano liczby, a w końcu spisywano w ciągu kwadransa asocyacye myślowe, łączące się z zadanem pojęciem; wieczorem badano odczyn wyboru oraz asocyacye. Do każdego doświadczenia przystępowano dopiero do upływie 8—12 godzin od podania połowy dawki dziennej alkoholu w ilości 20—40 g.

W badaniach tych okazało się, że w okresie alkoholowym zapamiętywanie zadanych liczb było utrudnione. Z diagramatów przedstawiających bieg doświadczenia, dołączonych do pracy Smitha wynika, że owo upośledzenie pamięci po dawkach wynoszących 40—60 g alkoholu dziennie ograniczało się do tego, że ćwiczenie nie zwiększało z dnia na dzień ilości zapamiętanych liczb, czyli nie wyrabiało dalej pamięci, jak to było jeszcze możliwem; ilość liczb zapamiętanych w ciągu półgodzinnej pracy przez dni kilka utrzymywała się mniej więcej na tej wysokości, do której doszła przez ćwiczenie w okresie wstrzemięźliwości, a przewyższającej znakomicie ilość liczb zapamiętanych w pierwszym dniu doświadczenia. Dopiero później ilość zapamiętanych liczb obniżała się; autor przypisuje to kumulacyjnemu działaniu alkoholu, podawanego w ciągu dni kilku; należy jednak zauważyć, że stosunkowo szybkie zmniejszenie się ilości zapamiętanych liczb następowało dopiero wówczas, gdy zaczęto spożywać po 80 g alkoholu dziennie, a więc w ilości, odpowiadającej 8 kieliszkom wódki lub tyluż szklankom piwa. Po zaprzestaniu podawania alkoholu pamięć w ciągu dni kilku stopniowo się polepszała, a przy ponownem codziennem używaniu alkoholu znów się pogarszała. Ważnym wynikiem tych doświadczeń było stwierdzenie faktu, że wyskok w dawce 40—80 g dziennie działa szkodliwie na pamięć jeszcze w 8—12 godzin, a nawet w 20 godzin po spożyciu; co więcej,

po zaprzestaniu podawania alkoholu w dawce 80 g dziennie, pamięć się wprawdzie poprawia, ale w ciągu trzech dni znać jeszcze szkodliwy wpływ podawanego w poprzednim okresie alkoholu o tyle, że zdolność wyrabiania się pamięci przez ćwiczenie w ciągu tego czasu jest upośledzoną; występuje tu więc t. zw. działanie następowe, niezmiernie ważne ze względów praktycznych.

Doświadczenia, w których dodawano liczby, dały wynik o tyle podobny, że dawki 40—60 g alkoholu dziennie zatrzymywały przyrost wydajności pracy mózgowej, sprowadzony przez ćwiczenie, a 80 g wydajność tę obniżało. Działania następowego w doświadczeniach tych nie było.

Odczyn wyboru w okresie alkoholowym wogóle wypadał gorzej, jak w okresie wstrzemięźliwości, mianowicie następował później; gdy zaś występował szybciej, zwiększała się zarazem ilość popełnionych błędów. Powtarzanie usłyszanych wyrazów w okresie alkoholowym wogóle wymagało również dłuższego czasu, jak w okresie wstrzemięźliwości. Przy badaniu kojarzeń myślowych okazało się, że w okresie alkoholowym już po dawce wynoszącej 40 g ilość kojarzeń wewnętrznych zmniejsza się, zwiększa się zaś ilość asocyacyi zewnętrznych i pozbawionych sensu; nadto po zaprzestaniu podawania alkoholu w dawce 80 g dziennie działanie następowe trwa jeszcze około 4 dni.

Eksperymenty Smitha świadczą więc, że stałe spożywanie alkoholu w dawce 40—80 g dziennie czynności mózgowe upośledza i że przy stałem używaniu dawka dzienna wynosząca 80 g sprowadza w mózgu takie zmiany, na których wyrównanie po zaprzestaniu picia potrzeba 3—4 dni.

Inny uczeń Kraepelina, Fürer, w szeregu doświadczeń wypijał od razu po $^1/_2$—$^3/_4$ litra mocnego wina greckiego, a w niem 100—150 g alkoholu absolutnego, co odpowiada 10—15 kieliszkom wódki 40%, ażeby się wprawić w stan lekkiego odurzenia; autor wychodził z założenia, że takie ekscesy często popełniają raz lub dwa razy na tydzień ludzie w piciu zupełnie umiarkowani. Powyższa dawka alkoholu ani nie odbierała Fürerowi snu, ani też nie sprowadzała żadnych nieprzyjemnych na-

stępstw. W stanie owego lekkiego odurzenia odczyn wyboru wypadał gorzej, ilość błędów znacznie się zwiększała, działanie następowe znikało dopiero na trzeci dzień. Dodawanie oraz zapamiętywanie liczb również szło gorzej; szkodliwe następowe działanie alkoholu trwało przez cały dzień następny, a nawet przez część dnia trzeciego; wartość asyocyacyi myślowych w charakterystyczny sposób się obniżała, a obniżenie to trwało również do południa trzeciego dnia.

W doświadczeniach Kürza w okresie przyjmowania dziennie 80 g alkoholu w odpowiedniem rozcieńczeniu przed udaniem się na spoczynek zapamiętywanie liczb, dodawanie, percepcya wrażeń i tworzenie kojarzeń myślowych były nazajutrz upośledzone podobnie, jak w doświadczeniach Smitha. Z dyagramatu, przedstawiającego przebieg doświadczenia, Kürza, w którem dodawano liczby, widać, że upośledzenie dodawania w okresie alkoholowym w ciągu pierwszych dni nie występowało zupełnie, przeciwnie, ilość zapamiętanych liczb nawet wskutek ćwiczenia wzrastała, a dopiero potem wśród wahań opadała tak powoli, że po 12 dniach podawania alkoholu praca umysłowa była jeszcze wydatniejszą, jak ostatniego dnia okresu bezalkoholowego; dopiero w drugiej połowie okresu alkoholowego zmniejszała się zdolność zwiększania wydajności pracy umysłowej przez ćwiczenie — alkohol działał więc tutaj kumulacyjnie, ale przyrost nabyty przez poprzednie ćwiczenie utrzymywał się w całej pełni.

W doświadczeniach Rüdina po jednorazowem spożyciu 90—100 g alkoholu w $^1/_2$ litra wina greckiego u dwu osób dodawanie wypadało gorzej o 19.6% i 17.2%, u jednej osoby, u której alkohol upośledzał zapamiętywanie liczb, zdolność dodawania nie pogorszyła się; u dwu osób ilość asocyacyi myślowych pod wpływem alkoholu zmniejszyła się, u dwu innych zwiększyła się, jak Rüdin uważa, przez ułatwienie ruchów przy mówieniu lub pisaniu, wartość zaś asocyacyi u wszystkich się pogorszyła. Szkodliwe działanie następowe alkoholu trwało około 36 godzin.

Po wypiciu $^3/_4$ l. piwa (30 g alkoholu) odczytywanie przez szparę sylab i wyrazów umieszczonych na obracającym się walcu

było utrudnione. Z początku pogorszenie w porównaniu z pracą w okresie bezalkoholowym wynosiło 10.75%, pod koniec doświadczenia, gdy już występowało znużenie — 21% (Maljarewski). Przy znużeniu umysłowem szkodliwe działanie alkoholu było więc silniejsze, jak przy umyśle świeżym.

Aschaffenburg przeprowadził 8 doświadczeń na 4 zecerach; określał on ilość błędów drukarskich, popełnianych przez zecerów w ciągu kwadransa bez alkoholu i po wypiciu 200 g greckiego wina (36 g alkoholu). Okazało się, że samo znużenie sprowadzało w ciągu tego czasu przeciętnie 6.5% błędów, po alkoholu zaś było ich 15.2%, czyli że sam alkohol sprowadzał tu przeciętnie 8.7% błędów, a więc przeszło drugie tyle, co samo znużenie.

Joss, konrektor seminaryum ewangelickiego w Bernie, przeprowadził 16 zbiorowych doświadczeń z początku na 20, potem na 18 17-letnich uczniach, podzielonych na dwie grupy po 10 i 9 uczniów, zupełnie równe pod względem zdolności umysłowych; uczniowie rozwiązywali w głowie zadania rachunkowe; członkowie jednej grupy pracowali bez alkoholu, członkom drugiej podawano piwo lub stare francuskie wino czerwone w ilości zawierającej 10.2 do 45 g alkoholu. W doświadczeniach tych rozwiązano ogółem 12.240 zadań. Z początku, t. j. w ciągu pierwszej godziny po wypiciu piwa czy wina, praca umysłowa szła lepiej jak bez alkoholu: bez alkoholu rozwiązano 68% zadanych zadań, po trunku 70.3%; różnica wynosiła zatem na korzyść grupy, która dostała piwa czy wina, 2.3% rozwiązanych zadań. W doświadczeniach zaś, w których rozpoczynano pracę po upływie 1, 2 i 3 godzin po wypiciu trunku przez członków jednej grupy, wypadała różnica o 4.9%, 10.9% i 12.5% rozwiązanych zadań na niekorzyść grupy pijącej. Należy jednak zauważyć, że w tych doświadczeniach, w których wyskok upośledzał pracę umysłową, jego dawka dla 17-letnich chłopców wynosiła 22.5 g lub 45 g, co odpowiada $2^1/_4$—$4^1/_2$ kieliszka wódki 40%, tyluż szklankom piwa lub 3—6 kieliszkom wina. Różnica w wydajności pracy umysłowej w doświadczeniach

Jossa wynosiła ogółem 5.3% rozwiązanych zadań na niekorzyść uczniów, którzy przed pracą dostali piwa lub wina.

Zarówno zecerzy w doświadczeniach Aschaffenburga jako też uczniowie w doświadczeniach Jossa po spożyciu alkoholu mieli podczas pracy wrażenie, że praca idzie im prędzej i łatwiej jak bez alkoholu, jakkolwiek w rzeczywistości było zupełnie przeciwnie; zawodne to wrażenie tłumaczy się tem, że alkohol znosi, a względnie zmniejsza uczucie znużenia.

W doświadczeniach nad działaniem alkoholu na pracę umysłową zauważono, że jest ono tem bardziej szkodliwem, im trudniejszą jest praca: zapamiętywanie liczb jest przez wyskok bardziej utrudnione, jak ich dodawanie, odczytywanie zgłosek złożonych w sylaby, nie mające żadnego znaczenia, jest trudniejsze, jak odczytywanie całych wyrazów; innemi słowy, im bardziej zawiłe są czynności mózgu, tem łatwiej ulegają szkodliwemu wpływowi wyskoku.

Ośrodki nerwowe, od których zależą różne czynności ustroju, rozwijają się i kształcą w pewnym porządku; ośrodki funkcyonujące przy zawiłej pracy umysłowej rozwijają się najpóźniej. Z faktu, że alkohol działa szkodliwie na te właśnie ośrodki już w takich dawkach, w jakich na inne ośrodki widocznego wpływu nie wywiera, wyprowadzono wniosek, że wyskok działa szkodliwie na ośrodki nerwowe w odwrotnym porządku ich rozwoju. Wychodząc z założenia, że różne przejawy wyższej kultury człowieka, wyrażające się w jego moralności, poczuciu piękna, sztuki i t. d., są zawisłe od czynności mózgu jeszcze subtelniejszych, jak przy pracy umysłowej, wielu autorów (Lentz, Ziehen, Sikorski i in.) sądzi, że alkohol nawet w najmniejszych dawkach, to jest takich, w których na sferę intelektualną zupełnie nie działa, przy stałem użyciu wpływa ujemnie na szlachetność, zdolność odczuwania piękna i wogóle na sferę moralną człowieka.

Być może, że tak jest istotnie; atoli dowodów bezpośrednich na takie twierdzenie nie posiadamy. Wprawdzie jest faktem pewnym, że stałe używanie trunków wyskokowych w dawkach wielkich moralność człowieka obniża, nie mamy jednak

prawa wysnuwać stąd wniosku, że alkohol w dawkach małych i najmniejszych w podobny sposób działa, raz dlatego, że wogóle działanie fizyologiczne różnych czynników chemicznych, podobnie jak i innych bodźców, tak dalece jest zależnem od natężenia, w danym przypadku od dawki, że kierunek zmiany funkcyi sprowadzonej przez dawkę małą, może być wręcz przeciwny kierunkowi zmiany, sprowadzonej przez to samo ciało w dawce wielkiej; nie jest zaś rzeczą dowiedzioną, by alkohol w dawkach małych i najmniejszych, nie wystarczających do sprowadzenia zmian w sferze intelektualnej, działał na istotę nerwową w tym samym kierunku, co w dawkach większych; a potem jeżeliby nawet przyjąć, że i w tych dawkach alkohol działa szkodliwie, nie wiemy, jak długo po spożyciu alkoholu jego ewentualne złe skutki trwają.

W badaniach Smitha, Fürera, Kürza, Rüdina stwierdzono fakt niezmiernie ważny dla poznania działania alkoholu, mianowicie jego działanie następowe, trwające przez parę dni, co przy stałem użyciu prowadzi do zesumowania się wpływów szkodliwych, czyli działania kumulacyjnego, podobnie jak to bywa w niektórych innych zatruciach chronicznych, np. w zatruciu fosforem. Fakt ten tłumaczy spostrzeżenia lekarskie, które wskazują, że ludzie, używający stale trunków wyskokowych nawet w niezbyt wielkiej ilości, przez długi czas mogą się cieszyć pozornem zdrowiem, a potem zapadają nagle na padaczkę, zapalenie wielu nerwów, obłęd opilczy, lub inną postać obłędu, albo też giną wskutek chorób, powstałych okolicznościowo, na które okazują bardzo osłabioną odporność. Stan taki, w którym objawy alkoholizmu mogą wystąpić nawet po dłuższym okresie zupełnej abstynencyi od wyskoku (Lancereaux), nazwano „alkoholizmem utajonym“; zdaniem Gaule'a i i Niżegorodcewa pociąg do trunków u ludzi używających trunków wyskokowych ma być również skutkiem działania kumulacyjnego alkoholu na układ nerwowy.

W przytoczonych badaniach uczniów Kraepelina szkodliwe działanie następowe alkoholu stwierdzono z wszelką ścisłością dopiero po dawkach, wynoszących najmniej 80 g dzien-

nie, a więc po dawkach stosunkowo znacznych, odpowiadających 8 kieliszkom wódki, tyluż szklankom piwa, 11 kieliszkom wina, jakich żadną miarą za umiarkowane uważać nie możemy. Należy żałować, że w szkole Kraepelinowskiej, która położyła tak wielkie zasługi w kwestyi działania alkoholu na czynności mózgowe, nie zbadano dokładnie ewentualnej kumulacyi złych skutków wyskoku po spożywaniu go w dawkach istotnie umiarkowanych i małych.

Doświadczenia Kraepelina wskazują, że po małych dawkach alkoholu, nie przenoszących 20 g, pewne odczyny nerwowe, będące probierzem pracy umysłowej, okazują z początku przejściowe przyśpieszenie; Kraepelin kładzie to przyśpieszenie na karb części ruchowej rzeczonych odczynów. Pogląd ten zgadza się o tyle z istotnym stanem rzeczy, że, jak o tem jeszcze później będzie mowa, alkohol w małych dawkach rzeczywiście przyśpiesza w początkowych okresach działania wyzwolenie ruchów; nie dowodzi to jednak jeszcze bynajmniej, by przyśpieszenie odczynu jedynie i wyłącznie od przyśpieszenia odnośnych ruchów zależało; zbadanie doświadczalne tej ważnej kwestyi jest jeszcze niestety rzeczą przyszłości. Rosenfeld tłumaczy to zjawisko inaczej: jeżeli wyobrazić sobie, że w warunkach prawidłowych jakaś czynność mózgowa, powiedzmy myśl, jest związana z ruchem cząsteczek, odbywającym się w pewnym kierunku, który można sobie uzmysłowić przez linię prostą, a asocyacye tej myśli głównej, czyli myśli uboczne, są związane z ruchem cząsteczek w innych kierunkach, stanowiących jakby gałęzie odchodzące od pnia, czyli od owej linii prostej, oznaczającej kierunek ruchu cząsteczek związanych z myślą główną, to można przypuścić, że pewna część energii umysłowej będzie zużytą na wprawienie w ruch cząsteczek na tych drogach ubocznych; nadto ruch związany z myślą główną może być zahamowany przez ruch, który powstał w ośrodkach ubocznych, a dotarłszy drogami ubocznemi do drogi głównej, odbywa się na niej w tym samym kierunku, co ruch związany z myślą główną; jeżeli zgodnie ze spostrzeżeniami w tym względzie przyjąć, że alkohol silniej upośledza ruch cząsteczek na dro-

gach ubocznych, jako związanych ze subtelniejszą pracą mózgu, jak ruch cząsteczek na drodze głównej, to jest możliwem, że przy upośledzeniu przez alkohol tego ruchu w pewnym stopniu, ruch cząsteczek związany z myślą główną może się odbywać z większą energią jak w stanie prawidłowym, a przez to ułatwić, a względnie przyśpieszyć wystąpienie związanych z tą myślą przejawów ruchowych.

Według tego tłumaczenia zahamowanie pewnych bardziej zawiłych czynności mózgowych mogłoby więc sprowadzić przyśpieszenie innych prostszych czynności mózgu.

Jakkolwiek tłumaczenie Rosenfelda może bardzo przemawiać do przekonania, należy pamiętać, że opiera się ono na przypuszczeniu, przez ścisłe badania zgoła nie stwierdzonem.

Na podstawie spostrzeżeń lekarskich niektórzy neuropatologowie twierdzą, że alkohol w małych dawkach przemijająco wzmaga czynności mózgowe i pobudza działalność psychiczną człowieka; przytem jedni uważają, że alkohol działa bezpośrednio na istotę mózgową, inni zaś przypuszczają, że działa on odruchowo przez zadrażnienie zakończeń nerwów czuciowych w ustach lub żołądku.

Opierając się na wynikach badań naukowych w tym przedmiocie, to tylko powiedzieć można, że zarówno u ludzi do trunków przyzwyczajonych jako też i u abstynentów alkohol nawet w małych dawkach czynności mózgowe wogóle upośledza, że jednak w początkowych okresach działania może przyśpieszyć wystąpienie przejawów nawet dosyć zawiłej pracy umysłowej. Czy to jest skutkiem istotnego pobudzenia czynności mózgowych, czy przyśpieszenia wyzwolenia pewnych spraw ruchowych, czy też zahamowania czynności ubocznych lub korzystnej na razie zmiany usposobienia, na podstawie tych badań obecnie stwierdzić się nie da.

Alkohol nawet w bardzo małych dawkach upośledza wrażliwość zmysłów: w doświadczeniach Ridgego już 2—4—8 g alkoholu zmniejszały ostrość wzroku, słuchu i dotyku. Przy badaniu zaś wydajności pracy umysłowej stwierdzono, że puszcze-

nie w ruch metronomu mniej przeszkadzało w pracy po miernej dawce wyskoku, jak w stanie bezwzględnej trzeźwości.

Działanie alkoholu w dawkach małych i umiarkowanych na serce i naczynia krwionośne nie jest dotychczas wyświetlone. Spostrzeżenia lekarskie wskazują, że alkohol podany w miernych dawkach pobudza na pewien czas pracę serca, zwiększa parcie ościenne w tętnicach, oraz zwiększa u ludzi zdrowych ilość tętna. Doświadczenia podjęte na zwierzętach w celu bliższego wyjaśnienia tych zmian nie dały do dnia dzisiejszego oczekiwanych wyników; stwierdzono tylko na psach, że po dawce, wynoszącej 0.5 g na 1 kg, prąd krwi mierzony w tętnicy szyjowej z początku jest przyśpieszony, potem zaś zwolniony. Zmiany w ciśnieniu tętniczem i ilości tętna w licznych doświadczeniach różnych badaczów nie były jednostajne, żadnych przeto pewnych wniosków dotyczących pracy serca nie można z nich wyprowadzić. Stąd pochodzi istniejąca dotąd wśród farmakologów zasadnicza różnica w zapatrywaniach na kwestyę pobudzenia serca przez alkohol: jedni, z Binzem na czele, są zdania, że alkohol w miernych dawkach bezpośrednio serce podnieca, że pobudza nerwy przyśpieszające akcyę serca, a na nerw błędny, czynność serca hamujący, w tych warunkach zupełnie nie działa. Inni, jakoto Schmiedeberg i jego uczniowie, twierdzą, że owe objawy pobudzenia serca pochodzą stąd, że alkohol poraża aparaty hamujące czynność serca; albo też, że są one skutkiem nie bezpośredniego podniecenia serca, a występują wskutek wzmożenia ruchów ciała lub odruchowo po zadrażnieniu miejscowem błony śluzowej ust lub żołądka, przyczem stężenie alkoholu w trunku, jego ciepłota, smak i bukiet duże mają znaczenie (Gloetta); jeszcze w roku 1869 Zimmerberg oświadczył, że zwiększenie ilości tętna po wypiciu trunku wyskokowego jest skutkiem nie zadziałania alkoholu, ale sytuacyi, w jakiej najczęściej człowiek pijący się znajduje. Jeszcze inni badacze (Harnack, Hašk ovec) zajmują niejako stanowisko pośrednie, uważając, że alkohol jedne czynności serca pobudza a inne poraża.

Jak to już wyżej zaznaczono, objawy pobudzenia serca

po miernych dawkach alkoholu występują tylko przejściowo; po jakimś czasie praca serca ulega depresyi. Naczynia krwionośne na obwodzie rozszerzają się wskutek porażenia nerwów naczynia te zwężających. To samo zachodzi w mózgu; Nicola i Mossopa już po łyżce wódki, co wynosi mniej jak kieliszek, stwierdzili rozszerzenie naczyń w siatkówce.

W doświadczeniach na zwierzętach, zatruwanych wyskokiem w dawkach wielkich, stwierdzono zmiany patologiczne w komórkach nerwowych zwojów sercowych. Okmiański po stosowaniu dawek małych i umiarkowanych, wynoszących 0.5—2.0 g na 1 kg żadnych zmian w komórkach tych nie znalazł. Wprawdzie znaczenie fizyologiczne zwojów sercowych jest jeszcze dotychczas ciemne, jednak niewątpliwie są one w jakimś związku z czynnością serca. Z ujemnych wyników doświadczeń Okmiańskiego możnaby ten wysnuć wniosek, że jeśli alkohol w dawkach małych czy umiarkowanych na aparat nerwowy serca szkodliwy wpływ wywiera, wpływ ten nie utrwala się przez wystąpienie dających się w nim stwierdzić zmian morfologicznych, sprowadza więc prawdopodobnie w tym aparacie tylko zmiany czynnościowe.

Szkodliwego działania alkoholu w małych dawkach na ciałka czerwone krwi nie stwierdzono (Mayer).

W licznych doświadczeniach przeprowadzonych na ludziach, okazało się, że alkohol w dawkach miernych działa korzystnie na oddychanie o tyle, że zwiększa ilość powietrza wdechanego i wydechanego w jednostce czasu (Willmans, Weissenfeld, Wendelstadt); takie same wyniki otrzymano u zwierząt, nawet po wprowadzeniu alkoholu w dawce 0.5—0.75 g na 1 kg wprost do krwi (Binz). Działanie to występuje bardzo wyraźnie, zwłaszcza gdy alkohol podano naczczo albo w stanie znużenia pracą fizyczną; występuje ono także w stanie senności, oraz podczas snu, a więc przy osłabieniu czynności kory mózgowej. Binz twierdzi na zasadzie doświadczeń na zwierzętach, że zmiana ta następuje wskutek bezpośredniego pobudzenia ośrodka oddechowego, nie zaś odruchowo po zadrażnieniu błony śluzowej żołądka.

W doświadczeniach nad wymianą gazów (Zuntz, Geppert) stwierdzono jednak, że po spożyciu 20—75 cm^3 alkoholu ilość zużytego tlenu oraz wydalonego bezwodnika kwasu węglowego żadnej prawie nie ulega zmianie; słusznie przeto podnosi Rosenfeld, że wobec tego wzmożenie oddychania przez wyskok jest bezowocne, a więc korzystnem dla ustroju nie jest, chyba przez to, że wskutek wzmożenia ruchów oddechowych polepsza się samopoczucie człowieka.

Badania nad działaniem alkoholu w małych dawkach na trawienie, tyczą się głównie trawienia żołądkowego. Wyniki odnośnych spostrzeżeń lekarskich są zupełnie sprzeczne; według jednych alkohol upośledza trawienie żołądkowe (Buchner, Carpenter, Bunge, Rilley i in.); Hueppe sądzi, że alkohol w małych dawkach upośledza wyzyskanie pokarmów; natomiast inni twierdzą, że alkohol w małych dawkach pobudza trawienie żołądkowe (Klemperer, Penzoldt, Wolffhardt, Riegel, Magnus Levy, Binz, Moeli, Richet, Wolff, Boas i in.) czy to przez wzmożenie wydzielania soku żołądkowego, lub zawartego w nim kwasu solnego, czy też przez pobudzenie czynności ruchowej żołądka; według Meyera, alkohol szybko z żołądka sam wchłaniany, przyśpiesza zarazem resorbcyę innych płynów z tego narządu; z badań klinicznych prof. Gluzińskiego wynika, że alkohol dopóty jest dla trawienia szkodliwy, dopóki się znajduje w żołądku; po zresorbowaniu się zaś może poprawić czynność chemiczną żołądka, zdaniem Rosenfelda także i jego czynność ruchową.

W badaniach doświadczalnych nad czynnością żołądka ważną stanowi erę wprowadzenie metody operacyjnej, jaką podał znakomity rosyjski eksperymentator, profesor Pawłow w Petersburgu. Metoda ta polega na tem, że z żołądka psa bez uszkodzenia nerwów wyłącza się pewną jego część i tworzy z niej oddzielny „mały żołądek“, którego ujście wszywa się do rany brzusznej, przez co powstaje otwarta komunikacya pomiędzy wnętrzem „małego żołądka“ a światem zewnętrznym; główną zaś część żołądka, po wycięciu zeń części potrzebnej do wytworzenia „małego żołądka“, zaszywa się i zapuszcza do

jamy brzusznej, tak, że zwierzę posiada żołądek prawidłowy, tylko cokolwiek zmniejszony, co na funkcyę trawienia żadnego wpływu nie wywiera. Przez to, że unerwienie żołądka w całości jest utrzymane, wszelkie zmiany fizyologiczne zachodzące w żołądku głównym po wprowadzeniu doń pokarmów lub zadziałaniu nań innych bodźców wiernie się odbijają w „żołądku małym“, do którego wnętrza przystęp jest w każdej chwili wolny.

Posługując się tą metodą, Zawrjew w pracowni Pawłowa stwierdził, że alkohol w małych dawkach wzmaga wydzielanie się soku żołądkowego w ciągu 1—2 godzin; zdaniem Zawrjewa, następuje to odruchowo, przez zadrażnienie miejscowe zakończeń nerwowych w błonie śluzowej żołądka. Dwaj badacze francuscy, Frouin i Molinier, stwierdzili potem również w doświadczeniach na psach, że alkohol wprowadzony w małych dawkach przez jamę ustną z ominięciem żołądka odosobnionego przez operacyę, wprost do kiszek, sprowadza także silne wydzielanie się soku żołądkowego. Zdaniem Frouina i Moliniera, oraz Popielskiego, który zwalcza zapatrywanie Zawrjewa, owo zwiększenie wydzielania soku żołądkowego pod wpływem alkoholu powstaje nie odruchowo z żołądka, a przez zatrucie ogólne ustroju wyskokiem; atoli twierdzenie to opiera się głównie na doświadczeniach, w których podawano psom alkohol w ilości 40 g, a więc w dawce wielkiej, wynoszącej około 3—4 g na 1 kg żywej wagi, sprawa ta wymaga przeto jeszcze dalszych badań doświadczalnych.

W badaniach nad czynnością wydzielniczą żołądka stwierdził Pawłow doświadczalnie fakt niezmiernej wagi: nietylko wprowadzenie różnych pokarmów do żołądka pobudza ten narząd do wydzielania soku żołądkowego, ale samo wzbudzenie ich łaknienia czyli apetytu na nie sprowadza wydzielanie się silnie trawiącego soku, który w odróżnieniu od soku wydzielanego przez żołądek po wprowadzeniu doń pokarmów Pawłow nazwał sokiem żołądkowym „psychicznym“. Łaknienie, różne od uczucia głodu, jest uczuciem złożonem, nabytem i wyrobionem przez doświadczenie, na którego powstanie składają się rozmaite wyobrażenia smakowe, węchowe i t. d. Wprawdzie

człowiek zdrowy sztucznych sposobów do wzbudzenia łaknienia nie potrzebuje, a powinno ono występować jednocześnie z uczuciem głodu; w warunkach, w których żyjemy obecnie, nie zawsze jednak tak bywa: uczucie łaknienia nie zawsze wśród głodu występuje. Otóż doświadczenie poucza, że w chwilowym braku łaknienia u wielu osób, zresztą zupełnie zdrowych, zwłaszcza do trunków przyzwyczajonych, kieliszek wódki lub wina łaknienie sprowadzić może; że zaś uczucie to wzbudza wydzielanie się silnie trawiącego soku żołądkowego, przeto alkohol w małych dawkach przez sprowadzenie owego soku „psychicznego“ może wywrzeć wpływ korzystny na trawienie w żołądku. Pogląd ten, wynikający z doświadczeń fizyologicznych, zgadza się w zupełności ze spostrzeżeniami z życia codziennego, które wskazują, że wielu ludziom po małej dawce alkoholu najprostszy posiłek lepiej smakuje, a przez to i lepiej służy; doświadczenia poczynione w więzieniach, domach poprawczych i t. p., również za tem przemawiają. Po wzbudzeniu apetytu przez małą dawkę alkoholu powtórna dawka na łaknienie zwykle już nie działa, natomiast według wszelkiego prawdopodobieństwa przedłuża okres zalegania pokarmów w żołądku; spostrzeżenia lekarskie świadczą, że nawet małe dawki stężonego wyskoku często do żołądka wprowadzane, zwłaszcza podczas jedzenia, na trawienie żołądkowe wywierają wpływ bardzo niekorzystny.

Poza badaniami nad działaniem alkoholu w małych dawkach na trawienie żołądkowe posiadamy bardzo nieliczne spostrzeżenia tyczące się innych czynności przewodu pokarmowego. Według Binza rozcieńczony wyskok w miernych ilościach odruchowo zwiększa wydzielanie śliny, Robertson zaś twierdzi, że cukrzenie skrobi jest przytem upośledzone; według Czelcowa alkohol w małych dawkach zwiększa wydzielanie żółci.

Z doświadczeń Moriego wynika, że alkohol wprowadzony do ustroju w miernej ilości, i to w stanie rozcieńczonym, gdy jednocześnie ilość wody we krwi się zwiększa, pobudza czynności nerek. Czy wyskok w małych ilościach a silnem stężeniu, istotnie drażni nerki, jak to twierdzi Glaser o kieliszku koniaku, nie jest jeszcze rzeczą dowiedzioną.

Liczne i ścisłe badania fizyologiczne nad działaniem alkoholu w małych i umiarkowanych dawkach na czynność mięśni (Frey, Destrée, Kraepelin, Deladrier, Ozierecckowski, Glück, Führer, Smith, Scheffer, Lombard) sprawę tę w znacznej mierze wyjaśniły. W badaniach, w których określano *maximum* pracy mięśniowej, przekonano się, że pod wpływem alkoholu zarówno świeży, jakoteż i znużony mięsień przez stosunkowo krótki czas (15—30 minut) pracuje silniej, poczem praca szybko się zmniejsza, i to tem szybciej, im praca jest cięższą, tak, że suma pracy wykonanej w ciągu dłuższego okresu czasu pomimo początkowego jej wzmożenia jest mniejszą od sumy pracy, wykonanej przez ten sam mięsień w czasie, gdy ustrój nie jest pod wpływem alkoholu.

Początkowe wzmożenie pracy mięśnia polega na tem, że ilość skurczów mięśniowych się zwiększa; ich siła jest jednak przytem już od samego początku zmniejszona, tak, że pod wpływem wyskoku mięsień pracuje wprawdzie z większem natężeniem, ale zato jego praca jest gorszą. Przejściowe zwiększenie pracy mięśnia tłumaczy Blumenthal przez zwiększenie jego pobudliwości przez wyskok w początkowym okresie działania; według Scheffera wyskok podnosi w tym okresie pobudliwości nerwów obwodowych, nie zaś mięśni; szkoła Kraepelinowska zaś uważa, że wyskok ułatwia wyzwolenie ruchów przez porażenie pewnych ośrodków mózgowych o czynności hamującej, regulujących w warunkach prawidłowych ruchy dowolne; przez osłabienie a względnie zniesienie uczucia zmęczenia może on na krótki przeciąg czasu zwiększyć pracę mięśni. Osłabienie mięśni, które po tym okresie występuje, ma być tak silne, że według prof. Sikorskiego już po spożyciu 20—30 cm^3 alkoholu w wyrazie twarzy odbija się pewne znużenie mięśni mimicznych, widoczne na zdjęciach fotograficznych.

Że przy wykonywaniu ciężkiej pracy fizycznej, znoszeniu trudów i niewygód, zwłaszcza w ciągu dłuższego czasu, najkorzystniej jest powstrzymywać się zupełnie od trunków wyskokowych, stwierdzają bardzo liczne spostrzeżenia. Zauważył to już w r. 1798 lekarz wojskowy Larey podczas wyprawy egip-

skiej Napoleona; późniejsze doświadczenia armii i marynarki angielskiej, amerykańskiej i holendersko-indyjskiej spostrzeżenia te w zupełności potwierdziły. Zwłaszcza w wyprawach do stref podzwrotnikowych szkodliwy wpływ alkoholu wyraźnie się zaznaczał przez mniejszą wytrzymałość wojska i łatwiejsze ulęganie chorobom. Livingstone, Stanley, Emin Pasza, Gordon, Karol Peters, jenerał Gallieni, uznają wszyscy, że klimat gorący znosi się lepiej przy zupełnem powstrzymywaniu się od alkoholu; według Kolba, niezmiernie uciążliwe, nadmierne pocenie się jest przez to ograniczone. Ale i w zimnym klimacie trudy fizyczne znosi się lepiej bez alkoholu; przekonali się o tem w r. 1812 wstrzemięźliwi Włosi na śnieżnych polach Rosyi oraz podróżnicy, którzy podejmowali wyprawy do bieguna północnego, począwszy od Johna Rossa aż do Fridtjofa Nansena. Doświadczenia przeprowadzone na robotnikach fabrycznych przemawiają również za tem, że przy ciężkiej pracy fizycznej alkohol jej wydajność zmniejsza. Opierając się na własnem doświadczeniu, wielu ludzi uprawiających różne sporty, w zupełności zarzuciło trunki wyskokowe; turyści alpejscy, wioślarze, kolarze biorący udział w wyścigach, jak również zawodowi strzelcy alpejscy oświadczają się przeważnie przeciwko używaniu alkoholu; tak samo łowcy wielorybów, którzy są jednocześnie marynarzami i myśliwymi. Charakterystyczną jest przytem rzeczą, że ludzie uprawiający t. zw. lekką atletykę, piechurzy biorący udział w wyścigach, zwłaszcza dystansowych, przeważnie nie piją, atleci zaś podnoszący ciężary, a więc ci, których wysiłki są krótkotrwałe, są zwykle pijakami (Hueppe).

Z doświadczeń fizyologicznych wynika, że przy wykonywaniu pracy fizycznej w ciągu dłuższego czasu alkohol nawet w dawkach umiarkowanych niewątpliwie działa niekorzystnie. Atoli powyżej przytoczone spostrzeżenia z praktyki, jakie przeciwnicy alkoholu na poparcie rzeczonego twierdzenia często przywodzą, nie są w tym względzie miarodajne; raz dlatego, że, jak to już wyżej zaznaczono, pojęcie umiarkowania w piciu w życiu codziennem różni się zazwyczaj od tego, co w badaniach lekar-

skich za umiarkowanie się uważa, powtóre zaś dlatego, że przy ciężkiej pracy fizycznej, znoszeniu trudów, zwłaszcza zaś przy ćwiczeniach sportowych nie same tylko mięśnie pracują, ale i inne narządy ustroju, głównie serce i płuca, na które alkohol również działa, większym wymaganiom sprostać muszą; nadto prócz pracy mięśniowej wchodzi tu często w grę czynność zmysłów, oraz energia, przedsiębiorczość i inne czynniki psychiczne, podlegające w wysokim stopniu działaniu alkoholu.

Ze sprawą działania alkoholu w małych i umiarkowanych dawkach na wydajność pracy fizycznej łączy się poniekąd kwestya jego wartości odżywczej przy wprowadzaniu go do ustroju w tych dawkach; o wartości odżywczej alkoholu spożytego w dawkach wielkich nie może być mowy z tego powodu, że działając na układ nerwowy, oraz na przewód pokarmowy, alkohol sprowadza wówczas tak wielkie zaburzenia, że nawet ewentualna jego wartość odżywcza w tych warunkach musiałaby zniknąć wobec wywołanego przezeń schorzenia.

W kwestyi tej zapatrywania badaczów różnią się jeszcze bardzo. Jedni uważają, że alkohol w każdej dawce, a więc i w najmniejszej, zawsze jest trucizną, nie może przeto być zarazem pożywką (Lallemand, Perrin, Duroy, Hermann, Brücke, Hoppe-Seyler, Subbotin, Baer, Parkes, Chauveau, Michel, Levy, Lentz, Förster, Bunge, Erismann, Danilewski, Hoffmann, Kantorowitz, Kassowitz, Forel i in.); że sprowadza w ustroju jedynie sprawy kataboliczne, to znaczy spala się na bezwodnik kwasu węglowego i wodę, nie spowadza zaś tak jak prawdziwe pożywki spraw metabolicznych, innemi słowy, przy jego rozkładzie nie powstają związki, które w przemianie materyi mogłyby wejść w skład protoplasmy, a przez to służyć do odbudowy żywej materyi; że wynikające z wielu doświadczeń mniejsze zużycie tłuszczu po spożyciu alkoholu nie dowodzi bynajmniej, że wyskok jest pożywką, a jest tylko skutkiem jego toksycznego działania; że alkohol, choć się spala, nie ogrzewa ustroju, gdyż zwiększa utratę ciepła; że nawet jeśli istotnie przez własne spalanie się chroni od spalenia pewne składniki ustroju,

to jest to zjawisko wielce niepożądane, gdyż prawidłowy rozpad tkanek jest źródłem siły i różnych ważnych spraw fizyologicznych; że pomimo iż oszczędza tłuszcz, jest jadem dla istot białkowych ustroju i t. d. Inni zaś badacze (Binz, Riess, Munk, v. Noorden, Clopatt, Chotzen, Offer, Rosenfeld, v. Jaksch, Neumann, Rosemann, Hüppe, Duclaux i in.) twierdzą, że alkohol stanowi dla ustroju materyał opałowy, który spalając się, oszczędza tłuszcze a względnie węglowodany, przez to oszczędza pośrednio i substancye białkowe, a zatem, zachowując się w ustroju podobnie jak pożywki bezazotowe, może dlań stanowić źródło energii.

Ażeby w omawianej sprawie istotny stan rzeczy wypośrodkować, należy przedewszystkiem uwzględnić, że ów kataboliczny charakter przeróbki alkoholu w ustroju bynajmniej nie jest dowiedziony; przeciwnie, z jego toksycznego działania na żywą materyę wynika raczej, że powstałe przy jego rozkładzie wytwory łączą się grupami atomów, wchodzących w skład protoplasmy, poczem dopiero ulegają spaleniu; że zaś grupy atomów pochodnych alkoholu jedynie niszczą protoplasmę, a do jej regeneracyi nigdy służyć nie mogą, na to brak wszelkiego dowodu. Skoro alkohol nie zawiera azotu, jasną jest rzeczą, że nie może on żadną miarą zastąpić pożywek azotowych, a może być mowa o jego wartości odżywczej jedynie przy normalnem dla człowieka pożywieniu mięszanem, gdy potrzeba azotu dla organizmu jest przez właściwe składniki pokarmowe zaspokojoną, a zatem gdy chodzi tylko o zastąpienie bezazotowych składników pokarmu przez alkohol, i to z powyżej przytoczonych względów w ilości ograniczonej.

Wartość odżywczą pożywek, jako źródła energii dla ustroju, oblicza się z ilości ciepła, jaką dają przy spaleniu; na pokrycie strat fizyologicznych organizm dorosłego człowieka potrzebuje na dobę takiej ilości pokarmów, która przy spaleniu daje około 2300 kaloryi; przy niedostatecznem pożywieniu lub jego braku idą na pokrycie tych strat własne składniki ustroju, głównie tłuszcz, oraz istoty białkowe. 1 g białka daje przy spaleniu

4.1 kaloryi, 1 g tłuszczu 9.3 kal., 1 g węglowodanów około 4 kal., 1 g alkoholu daje 7.2 kaloryi.

W doświadczeniach, w których zastępuje się jedne pokarmy przez drugie, wprowadza się je przeto w ilościach izodynamicznych, t. j. takich, które przy spaleniu dają taką samą ilość kaloryi. Pod względem metabolizmu różne pożywki wprowadzone do ustroju nawet w ilościach izodynamicznych nie są równoważne: nie mówiąc już o białkach, wartość węglowodanów jest większą jak wartość tłuszczów; natomiast pod względem zaoszczędzania białka ustrojowego przy dostatecznym dowozie pożywek białkowych przez własne spalanie się, pożywki bezazotowe, zastępując się wzajemnie w pewnych granicach, w ilościach izodynamicznych mają wartość jednakową, t. j. mogą się przyczyniać w równej mierze do utrzymania równowagi azotowej.

W wielu doświadczeniach przeprowadzonych na ludziach (Offer, Rosenfeld, Neumann, Clopatt, Rosemann, Atwater i Benedict, Ott), zarówno używających zazwyczaj trunków wyskokowych jakoteż abstynentach, którym w stanie równowagi azotowej podawano alkohol w ilościach od 60 g do 100 g, a natomiast odciągano z pożywienia tłuszcz lub węglowodany w ilości izodynamicznej, przekonano się, że w tych warunkach alkohol rzeczone pożywki w zupełności może zastąpić i podobnie jak one może być źródłem energii dla ustroju. Z przytoczonych doświadczeń najbardziej są przekonywujące niezmiernie ścisłe, wielkim kosztem przeprowadzone eksperymenty amerykańskich uczonych Atwatera i Benedicta, którzy posiadali przyrząd, mieszczący w sobie całą pracownię, w której spędzał w każdem doświadczeniu po dni kilka uczony, na którym doświadczenie się przeprowadzało i przez ten czas wykonywał sam część chemiczną doświadczenia; przyrząd ten był aparatem respiracyjnym a zarazem kalorymetrem, tak urządzonym, że całą energię, która wyszła z badanego ustroju w rozmaitych postaciach, można było zamienić na ciepło, łatwo oznaczyć się dające. Za pomocą rzeczonego przyrządu, funkcyonującego niezmiernie dokładnie, można było zupełnie ściśle wypośrodkować bilans chemiczny i energetyczny badanego ustroju.

W 13 doświadczeniach porównawczych, w których 3—4 dniowe okresy, w których nie spożywano alkoholu, zmieniały okresy, w których spożywano dziennie po 72 g alkoholu, okazało się, że wyskok zastępował w zupełności masło, cukier lub jarzyny w ilościach izodynamicznych. Ilość kaloryj przez ustrój oddanych w okresie bezalkoholowym niemal zupełnie się pokrywała z ilością kaloryi, oddanych w okresie alkoholowym zarówno w spokoju, jakoteż i podczas pracy fizycznej. Wyniki doświadczeń tych świadczą nie tylko, że alkohol w miernych ilościach spożyty może stanowić materyał opałowy dla ustroju, ale że można także wykonać pewną ilość pracy fizycznej niejako jego kosztem. Mamy przeto prawo uważać alkohol w dawkach umiarkowanych, przynajmniej w pewnych warunkach, podobnie jak tłuszcz lub węglowodany, za pożywkę.

Bezwzględni przeciwnicy alkoholu twierdzą, że żadną miarą wyskok nie może być pożywką, gdyż jako jad zatruwający protoplasmę sprowadza patologiczny rozpad białka, co przez eksperyment łatwo stwierdzić można. Badania nad wpływem alkoholu na pracę mięśniową wskazują, że wpływ ten niewątpliwie jest niekorzystny. Wynikającą stąd sprzeczność z poglądem dopiero co wyrażonym wyświetlają eksperymenty, w których badano wpływ alkoholu na przemianę materyi, zwłaszcza zaś na przemianę materyi azotowych, nie tylko doraźnie, ale w przeciągu dłuższego czasu. Doświadczenia te (Clopatt, Rosemann) pouczają, że istotnie z początku, w ciągu pierwszych paru dni alkohol nawet w dawkach umiarkowanych sprowadza wprawdzie nieznaczne, ale wyraźne wzmożenie rozpadu białka; po paru dniach zaś równowaga azotowa powraca, czyli rozpad białka odbywa się prawidłowo, a wówczas alkohol zastępuje w zupełności tłuszcz lub węglowodany w izodynamicznej ilości. Stąd wynika, że w okresach późniejszych doświadczenia, innemi słowy u osób przyzwyczajonych do alkoholu, wyskok w dawkach umiarkowanych na białko ustrojowe szkodliwie nie wpływa i może stanowić prawdziwą pożywkę. Badania zaś Atwatera i Benedicta świadczą, że jakkolwiek skądinąd wiadomo, że alkohol maksymalną pracę fizyczną doraźnie upośledza, wyskok

spożywany w ciągu dłuższego czasu w dawkach umiarkowanych na wydajność umiarkowanej, 8-ogodzinnej pracy fizycznej co najmniej wybitnie szkodliwego wpływu nie wywiera.

O wartości odżywczej alkoholu w dawkach umiarkowanych można przeto mówić jedynie dla osób doń przyzwyczajonych, u których poza działaniem na najsubtelniejsze czynności ustroju wyskok żadnych poważniejszych zaburzeń nie sprowadza. Oczywiście okoliczność ta wartość wyskoku jako pożywki niepomiernie obniża; przytem, jeżeli się zważy, że za owe warunkowe, tylko w pewnych okolicznościach wchodzące w grę własności odżywcze alkoholu płaci się bardzo drogo, oraz że po przekroczeniu stosunkowo niewielkiej miary alkohol wogóle przestaje być pożywką, a tylko szkodę ustrojowi przynosi, trzeba się zgodzić z Hueppem, że wyskok jest pożywką bardzo lichą. W życiu codziennem oddawna to już stwierdzono; wszak ludzie używający trunków wyskokowych nie szukają w nich posiłku, ale zupełnie czego innego.

Opierając się na doświadczeniach Chotzena, Rosenfeld twierdzi, że wyskok z pewnem okrucieństwem oszczędza białka nie należące do rzędu nukleinów, ale za to, nie naruszając równowagi azotowej, tem silniej niszczy tak ważne dla ustroju nukleoalbuminy. Rzecz ta wymaga jeszcze bliższego zbadania i potwierdzenia; gdyby istotnie tak było, wartość wyskoku jako substancyi odżywczej musiałaby spaść jeszcze niżej, niemal do zera. Atoli dzisiaj, na zasadzie ścisłych badań naukowych uznać trzeba, że w powyżej określonych warunkach wyskok jest pożywką, wprawdzie dla człowieka zdrowego zupełnie zbędną, a przytem z przytoczonych względów niebezpieczną, ale pożywką; to też zupełnie słusznie wyraził się w tej materyi znany hygienista wiedeński, prof. Gruber, że wyskok „niestety“ jest pożywką.

Czy alkohol w dawkach małych i umiarkowanych u dorosłego zdrowego człowieka ułatwia powstawanie chorób, jest kwestyą, do której rozstrzygnięcia nie mamy prawie zupełnie podstaw faktycznych. W 145 doświadczeniach Laitinena, wykonanych na zwierzętach, z których 75-ciu podawano alkohol

w ilości odpowiadającej 1 cm^3 na 1 kg, 70 zaś służyło do kontroli, po zakażeniu wąglikiem, gruźlicą, oraz zatruciu jadem dyfteryi padło 61% zwierząt, które dostały wyskoku, a 50% zwierząt kontrolnych; pomimo to, że w eksperymentach tych dawka alkoholu nie była małą, a co najmniej umiarkowaną, różnica w zdolności pokonania zarazków czy jadu, jaka wypadła na niekorzyść zwierząt alkoholizowanych, jest stosunkowo nieznaczną, wynosi bowiem tylko 11%. Głównie przeto na zasadzie wiadomości ogólnych, jakie o działaniu alkoholu posiadamy, można przypuszczać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa wyskok nawet w dawkach umiarkowanych przyczynić się może do łatwiejszego powstawania chorób, a względnie przebieg ich cięższym uczynić.

(C. d. n.).

Karol Klecki.

ZE ŚWIATA AGITACYI WŚRÓD NASZEJ MŁODZIEŻY.

„Rozbudzić te zastępy niespożytych sił, (młodzież gimnazyalną), powołać do szerszego rozejrzenia się w otaczającym świecie — było pierwszem zadaniem *Promienia*... Następuje druga faza w jego rozwoju: z roli burzyciela wszystkiego, co jest złe, z roli wykazywania na każdym kroku brudów i wstrętów — z roli agitatora przechodzi *Promień* w rolę organu zaspakajającego wzniecony głód wiedzy, wzniecone pragnienia młodej, rozbudzonej duszy“ [1]. Po tem, cel dla młodzieży przeznaczonego *Promienia* dość jasno określającem zdaniu, czytelnik dużo się spodziewa. Nikt nie może zaprzeczyć, że i w życiu młodzieży i w życiu tych, którzy na młodzież pośrednio czy też bezpośrednio oddziaływają i na nią wywierają swój wpływ, jest dużo rzeczy do zburzenia, więc z radością chyba powitać przedsięwzięcie o tak zaszczytnem zadaniu. Dlatego też nie od rzeczy będzie poznać, jak sobie *Promień* wyobraża to złe, które trzeba zburzyć i te brudy, które trzeba napiętnować, a tem samem jaki wpływ na swych czytelników wywiera. Mamy właśnie przed sobą ostatni rocznik *Promienia* — z r. 1903.

Od pisma przeznaczonego dla młodzieży, można i trzeba żądać, by było istotnie organem młodzieży i to w najszerszem tego słowa znaczeniu, by więc na pierwszem miejscu solidaryzowało się z młodzieżą, broniło jej interesów, służyło jej zdro-

[1] *Promień*, r. v, str. 22 i 23.

wemi radami, utrzymywało wzajemne stosunki i ducha koleżeństwa. Jak pod tym względem przedstawia się działalność *Promienia?*

Niestety solidaryzuje się on tylko z tak zwaną „uczciwą młodzieżą postępową polską“ czyli z młodzieżą socyalistyczną, a częściowo i żydowską, w obronie której na każdym kroku kruszy kopię; dla wszelkich innych odłamów młodzieży ma tylko słowa potępienia i bawi się z nimi w niesmaczne polemiki. Co nie należy do partyi socyalistycznej, to jest „młodzieżą karyerowiczowską“; są to „przeciętni serwusi“ [1], „kretyni“, którym jeszcze „brak ożywiającego ducha“, „widnokrąg ich myśli jest bardzo, bardzo ciasny“, „nie czują jeszcze głębiej i dlatego pogrążeni we śnie, z którego ich trudno rozbudzić“ [2]. „Zobaczysz, pisze korespondent z Krakowa o tutejszych abituryentach, między nimi bigotów, faryzeuszów, tajnych donosicieli, serwilistów i blagierów... a w tem cuchnącem bagnie flirtu i filisteryi jest ledwie paru kolegów, dostrzegających ogrom moralnej zgnilizny i upadku swego otoczenia“ [3]. Młodzież narodowo-demokratyczna, którą *Promień* nazywa niedowcipnie „endekami“, to znów „niedorostkowie“; spraw żadnych wobec nich poruszać nie można, gdyż „wobec indyków gwizdać nie wolno... bo mimo, że indyk to zwierzę spokojne, szanujące siebie i innych, ale gwizdanie i czerwony kolor doprowadza indyczęta do rozpaczy: krew zalewa ptasie mózgi i nikt w takiej chwili nie rozumie ich mowy“ [4]. Sądu własnego ta młodzież nie ma; są to „grzeczne i dobrze wychowane dzieci“, „nie dużo myślą“, „dają broń wrogom ludu“, „lub bałamucą“, a powinni iść w lud nie jako agitatorowie i szerzyciele oświaty, lecz jako uczniowie.

Chociaż z każdego zdania odnoszącego się do narodowo-demokratycznej młodzieży a jest tych zdań wiele, odzywa się głęboka niechęć, czasami nawet nienawiść, zawsze zaś lekceważenie, to jednak forma przynajmniej jest na ogół dość przyzwoitą. Autorzy tracą dopiero panowanie nad sobą, kiedy mówią

---

[1] L. c. str. 292. [2] L. c. str. 301.
[3] L. c. str. 439. [4] L. c. str. 194.

o młodzieży arystokratycznej i klerykalnej. Pierwsi „opisani dokumentnie". Oni „starają się wszystkiem, nawet świństwami, wyróżnić z klasy... łamią solidarność klasy, gdy klasa chce ukarać jakiego belfra, oni biją mu pokłony" [1]; o ich kwalifikacyach moralnych niema nawet co wspominać, a takimi są nie wyjątki lecz wszyscy „arystokraciki". Na młodzież znów klerykalną wylewa swój jad jakiś korespondent z Piotrkowa. „Bo mylicie się grubo wy wszyscy, którzy macie się za przedstawicieli myśli i czynu, że spokojnie pozwolimy spoczywać we waszem królestwie reakcyi, że damy się zachwycać waszem idylicznem życiem i że dopuścimy bez walki do wciągania w śmierdzące bagno młodych i nieuświadomionych kolegów. Tak! was stamtąd wyciągać nie będziemy. Ale bez litości będziemy zdzierać z was wyschłe strupy, pod którymi się kryją roje robactwa, bez litości będziemy wyszydzać egoistów i pasibrzuchów, którzy się tak do was tłumnie zbiegają, bez wahania wytkniemy waszą nicość, zerwiemy maski, pod któremi skrywacie swe wady i pokażemy was społeczeństwu takimi, jakimi jesteście, rozkochanymi w obskurantyzmie, w fałszu i w świństewkach. Wiemy, że w zamian wyrobicie nam opinię ateuszów, kosmopolitów, apostołów zgnilizny, ale dla tej opinii nic prócz wzgardy czuć nie możemy, bo przecież wy ją stwarzacie... Uznajemy najzupełniej religię i przekonania, ale tylko nie wasze. Bo wasz patryotyzm — to brudny szowinizm, wasza religia — to klerykalizm i bigoterya, wasz indywidualizm — to wstrętny egoizm, wasza moralność — to fałsz i obłuda, wasze przekonanie — to blaga" [2]. Dla tych tedy „blagierów, łgarzy i moralnie spaczonych umysłów" ma korespondent tylko pogróżki i ślinę. Wobec tego co najmniej dziwnie przedstawia się zarzut, który *Promień* robi młodzieży narodowo-demokratycznej: „szkalujecie wszystkich i wszystko, co nie od was wychodzi; reformujecie wszystko i wszystkich, a zapominacie o tem, że reformę rozpocząć należy od siebie" [3].

---

[1] L. c. str. 382.
[2] L. c str. 384 sq.
[3] L. c. str. 193.

Takie zapatrywania na młodzież innych stronnictw, rozsypane pełnemi garściami po numerach *Promienia*, młodzieży jednoczyć nie mogą, owszem jadem nienawiści zaprawiają nieukształtowane jeszcze umysły i serca i burzą solidarność wzajemną; ta solidarność jest tem pierwszem złem, które burzyć było zadaniem *Promienia*.

Dziwniejsze jeszcze światło na pierwszy cel *Promienia* rzuca nam jego stosunek do szkoły i władzy szkolnej. Współpracownicy pisma samiby byli chyba w kłopocie, gdybyśmy ich zapytali, jak oni sobie szkołę i władze szkolne wyobrażają i jaką ta szkoła i władza być powinny, by łaskę w ich oczach znalazły. Na takie jednak przypadkowo postawione pytanie odpowiedzi rozumnej nie otrzymujemy, dowiadujemy się natomiast, że szkoły tylko wypaczają dusze, że wtłaczają młodzież w tryby maszyny, impregnującej w niej kolor czerwono-żółty, że odziewają ją jak na pośmiewisko w liberyę[1]. Rada szkolna terroryzuje[2], a składa się ona „z suchych biurokratów w rodzaju Bobrzyńskiego“[3]. Dyrekcye szkolne przytłumiają ruch umysłowy, rozciągają system szpiegowania na całe gimnazya, są niesprawiedliwe, są wrogami wolności i postępu, chcą nagiąć karki młodzieży do niewolniczej obroży, w serca zaszczepić jad płaskich ambicyjek, pogoni za rangą, chcą odwieść umysły od samodzielnej duchowej pracy, zasłonić oczy, by młodzież nie dojrzała zapasów ludzkości o wolność, równość, braterstwo i nie zapragnęła w nich wziąć udziału[4]; szczęście od młodzieży zdala trzymają „zazdrosne ręce pedagogów, katechetów i dyrektorów“[5]. Dlatego też władze szkolne nie znajdują pobłażliwości u współpracowników *Promienia*. Profesorzy są zwykle karyerowicze, „jakich koledzy mogą wszędzie bezpłatnie i dowoli oglądać“[6], są „indywidua z pod ciemnej gwiazdy częstokroć bardzo wrażliwe na dźwięk złota; alfą i omegą ich umiejętności pedagogicznej jest sypanie dwójek. Znaczenie zatem galicyjskiego pro-

---

[1] L. c. str. 339. [2] L. c. str. 379.
[3] L. c. str. 207. [4] L. c. str. 376, 377, 227, 455.
[5] L. c. str. 300. [6] L. c. str. 115.

fesora zależy w prostym stosunku od ilości dwójek, w odwrotnym od ilości pierwszych... poziom umysłowy naszego chłopa i c. k. profesora nie wykazuje żadnych różnic“ [1]. Dyrektorzy, to konserwatyści mamuty, „których kości, niestety, znajdujemy na, a nie pod powierzchnią ziemi“ [2]. Najczęściej taki profesor jest „belfer głupi jak but“, jego „manipulacye deprawują charaktery i psują najprostsze podstawy etyki ludzkiej“ [3].

Nic do życzenia nie pozostawiającą kolekcyę profesorów zestawia nam korespondent z Kowna: dyrektor szpieg, inspektor idyota skończony, następni zaś to łapownicy pierwszej wody, łajdacy, syfilitycy, pijacy, przerażająco głupi [4]. Dlatego też *Promień* chętnie wywiaduje się, gdzie jaki profesor został przez ucznia spoliczkowany, gdzie jaka klasa „ukarała belfra“, gdzie uczniowie „czynnie demonstrowali“, gdzie wybijali szyby, łamali sztachety i gdzie „dzielni chłopcy nawymyślali swym oprawcom“ [5]. Do jak najczarniejszego przedstawienia władzy szkolnej wszystko zdąża, nawet artykuł literacki o Wyspiańskim, który „nie był dość jasnym dla c. k. profesorów gimnazyalnych i innych Flachów i Mazanowskich, by można było odrazu myśl jego objąć“ [6], do tego celu służyć musi. To skrajne podkopywanie powagi, które w krytycznie niewyrobionych umysłach musi wywołać wielki przewrot, a co za tem idzie, i smutne następstwa, jest w myśl *Promienia* jego zadaniem; powaga i władza szkolna jest tem złem, które trzeba burzyć.

Poglądy *Promienia* na społeczeństwo są nie mniej ciekawe. Co nie jest postępowem czyli socyalistycznem, jest burżuazyą, a w niej „jałowość umysłowa łączy się z zgnilizną moralną“ [7], dlatego też burżuazya „stała się niezdolną do ideowego przodownictwa w wielkim ruchu patryotycznym myśli“ [8], wielka więc praca czeka *Promień* „wśród naszych inteligentów, biurokratów i t. d. śmierdzących aż swoją głupotą i strasznem zacofaniem... zwłaszcza po rozchwaszczonych miastach prowincyonalnych,

[1] L. c. str. 377. [2] L. c. str. 115.
[3] L. c. str. 374. [4] L. c. str. 306.
[5] L. c. str. 300, 301, 287. [6] L. c. str. 146.
[7] L. c. str. 68. [8] L. c. str. 167.

pełnych naszej domowej głupoty, jest wiele do zrobienia w najrozmaitszych zakresach“ [1]. I rzeczywiście dużo jest do roboty gdyż u nas, pisze korespondent z Złoczowa, „bagno głupoty, demoralizacyi, nad którem unosi się duch dyrektorski a kościół jest w całej pełni swej władzy“ [2]. Burzy więc *Promień* trzecie zło, wszelką łączność ze społeczeństwem. Największe jednak zło jeszcze pozostało.

Promień zapuszcza się czasami i w filozoficzne labirynty i daje nam swój „światopogląd“, nieuzasadniony wprawdzie, gdyż polegający na gołosłownych twierdzeniach, niemniej jednak nader ciekawy; ten światopogląd tłumaczy nam też całe stanowisko i skrajną tendencyę pisma. Pismo poświęcone młodzieży a więc czytelnikom, których przeważna część nie jest w stanie wyrobić sobie właściwego sądu o rzeczy, pisane przeważnie przez młodych i niewyrobionych jeszcze autorów, jest rozsadnikiem najprostszego w świecie materyalizmu. W artykule: „Nasze dogmaty“ tak pisze młodym swym czytelnikom młody filozof: „Wierzymy w nieskończoność i wieczność materyi, ożywionej nieśmiertelną energią, zmieniającą swą postać według niezmiennych praw, składających się na prawo konieczności, najwznioślejszą zdobycz ludzkiego ducha... wierzymy w absolutny byt materyi, energii i praw niemi rządzących... Wierzymy, że od płonącej bryły, pędzącej w przestrzeni, oderwał się pył, ziemia nasza i rozpoczął krążyć koło macierzystego ciała, czerpiąc zeń światła i ciepło — życie. Że ostygając w ciągu milionów lat przewalająca się z jednych związków w drugie materya ziemi naszej wydała pierwsze organiczne istoty, związki atomów, tworzące komórki, w których energia, zaczerpnięta pośrednio lub bezpośrednio z dawcy życia, słońca, przechodzi w energię życiową. Że one pod działaniem dziedziczności i przystosowania wśród ustawicznej walki o byt prawem naturalnego doboru, panującem w całej przyrodzie, zaczęły powolny rozwój ku formom coraz wyższym, z których najwyższą jest człowiek. Wierzymy, że w ga-

[1] L. c. str. 337.
[2] L. c. str. 115.

tunku tym system nerwowy, będący siedzibą świadomości, rozwijając się potężnie kosztem reszty organizmu, umożliwił jego osobnikom zdobywanie władzy nad resztą ziemskiej przyrody"...[1]. Dlatego też „ziemia jest mu (człowiekowi) matką i jedyną ojczyzną; z chwilą ustania procesu przemiany energii chemicznej węgla i tlenu w energię życiową, kończy się dla człowieka wszystko. I nie widzimy po zgonie rajskich wizyi ni mąk piekielnych — to ziemskie życie ze swą nędzą i tęsknicą do lepszego bytu, jest dla nas wszystkiem, drogą i celem tej drogi. Najpełniejsze użycie tego życia uważamy za jedyny obowiązek człowieka". Wprawdzie przez to użycie chce autor rozumieć harmonijne rozwinięcie wszystkich władz, osłabia jednak to ograniczenie następnym zwrotem: „przedewszystkiem tych, których kształcenie jest podstawą dalszej ewolucyi gatunku" i niedokończonem zdaniem: „zdobycie największej sumy rozkoszy, a przedewszystkiem tych najwyższych, płynących z pracy ducha..."; szuka więc p r z e d e w s z y s t k i e m najwyższej rozkoszy, ale także i innej, i ciągnie dalej: „a przytem i my, choć nie spodziewamy się niczego za grobem, pragniemy nieśmiertelności"[2], ale ta nieśmiertelność to „siew szlachetnych myśli, uczuć i natchnień, cierpienie dla idei przebyte..." Więc też pierwsze i najważniejsze „przykazanie": „złączysz swą moc z mocą uciemiężonych i wyzyskiwanych; będziesz rwał wszelkiemi siłami kajdany nakładane ludzkości przez ohydne przeżytki minionych wieków"[3].

Idąc konsekwentnie dalej, przeczy *Promień* wolności woli. W artykule „Materyalistyczne pojmowanie dziejów", w którym wypacza chrześcijański pogląd na historyę ludzkości, twierdząc, że ogranicza się on do myśli: „Bóg tak chce, tak być ma, a więc sza — kwestya załatwiona" cytuje ustęp Spinozy „ludzie mylą się, jeżeli wierzą, że są wolni... bo jeżeli mówią, że czyny ludzkie zależą od woli, to są to słowa, o których pojęcia nie mają". Ale pogląd ten „jest solą w oku" tych wszystkich, któ-

[1] L. c. str. 332.
[2] L. c. str. 333.
L. c. str. 334.

rzy oddali się iluzyi, że natura stworzyła ich jako istoty wyjątkowe i dała im możność według woli swojej wyzwalać się z pod praw przyrody". Kończy wreszcie ten ustęp ciekawą trudnością Marksa, która pokazuje jak Marks i *Promień* fałszywie i niefilozoficznie wolę pojmują: „dopokąd panowie ideologowie nie pokażą nam człowieka, któryby nie jedząc i nie pijąc, mocą swej woli żył, tak długo" i t. d.[1].

Po takich przesłankach logicznie odrzuca *Promień* samą podstawę wiary: „my polemizować z ludźmi, którzy za główne i nieomylne źródło poznania uważają tak zwane objawienie, którzy zatem są nieprzystępni dla wszelkiego rozumowania niepopartego jego autorytetem, nie mamy wcale zamiaru. Ale młodym naszym braciom... chcemy pokazać, że prócz oficyalnych religii, których podstawą ‚objawienie' a właściwie wyobraźnia, są ‚dogmaty' rozumem zdobyte" [2], czyli te, o których już wyżej wspomnieliśmy. Stąd łatwo już zrozumieć, że „dogmatyzm był zawsze zawadą w rozwoju prawdziwej wiedzy" [3], że „zbijania błędów stoją w rażącej sprzeczności" z wynikami wiedzy [4], że „jak filozoficznych tak i religijnych przesądów nie powinno oszczędzać ostrze świętokradzkiej krytyki" [5], że religię można odrzucić, mając ją już czem zastąpić [6], że religię, wytwór czysto ludowy, przekręca się, a z ludzi, zupełnie zwyczajnych śmiertelników, o których historya nawet nie wie, potworzono bogów... a chcąc odwrócić lud od chęci wynalezienia sobie dobrego bytu, głoszono, że królestwa prawdziwego poza życiem szukać należy. Lecz „przyjdzie czas, kiedy upadnie święty Ilion, zginie Pryam i jego służalcy, przepadnie naiwny podlotek a społeczeństwo wyrzuci ze siebie te robaczywe przesądy, mącące jasny światopogląd, te wierzenia teozoficzne wraz z temi hierarchiami, instytucyami, czarnymi sługusami i bałwanami... brrr, żeby to już jak najprędzej... wrzodzie, ropiący wrzodzie, zagiń, przepadnij, a kysz, a kysz!" [7].

---

[1] L. c. str. 368.
[2] L. c. str. 331.
[3] L. c. str. 157.
[4] L. c. str. 243.
[5] L. c. str. 251.
[6] L. c. str. 416.
[7] L. c. str. 422 i 423.

Mimo to wszystko, cośmy przytoczyli, zdaje się *Promieniowi*, że nie propaguje ateizmu; poruszywszy tę sprawę, prędko się z nią załatwia: „brak miejsca i konieczność omawiania mnóstwa narzucanych nam przez życie spraw społecznych, nie pozwala nam poświęcić tej sprawie miejsca, którego ona wymaga, jeżeli ma być wszechstronnie rozpatrzona. Przytem sądzimy, że życie samo oraz studyum nauk przyrodniczych daleko lepiej od artykułów dorywczych wpływa na wyrobienie się u ludzi racyonalnych poglądów na pochodzenie i istotę wszechświata“ [1].

Wobec takich zapatrywań, jasnem już się staje praktyczne stanowisko, jakie *Promień* zajmuje względem wszystkiego, co się jakkolwiek łączy z Kościołem. Pisze więc jakaś uczennica, że jej katecheta to „zero moralne i umysłowe“, inny donosi o „indywiduum mieniącem się księdzem profesorem“; słyszymy tam dalej o słynnej bladze i bezczelnych wystąpieniach katechetów, o jasnych światłach, które idą od pedagogów w sutannach, o klechach, o szanownych pedagogach i ich jezuickiej logice, o księżach nie mających wstydu, tak że o ich moralnej wartości i arogancyi niema co mówić. Na szczególniejsze pociski narażony jest katecheta, który pilnuje uczniów; wtenczas mówi nam *Promień* i o s t o s u n k a c h i erotycznem napięciu czcigodnego kapłana, grozi że „na młodzież wpływu nie wywrze, choćby jeszcze kilku jezuitów sprowadził sobie do pomocy“, bo „faryzeuszom i padlecom pluje się w twarz“; gdy jednak te wszystkie inwektywy nic nie pomagają, zrezygnowany przechodzi „nad tą figurą do porządku“ [2]. Katecheci, to najwięksi wrogowie młodzieży, bo gdy na XIX Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych opinia całego zebrania była za zniesieniem matury a przynajmniej za ograniczeniem przedmiotów, to przedstawiciel duchowieństwa, ks. P. żądał stanowczo rozszerzenia egzaminu dojrzałości na naukę religii [3].

---

[1] L. c. str. 326.
[2] L. c. str. 65, 74, 77, 115, 117, 124, 125, 375.
[3] L. c. str. 322.

Dlatego też korespondenci *Promienia* tracą panowanie nad sobą, gdy młodzież dobrowolnie bierze udział w jakiejś uroczystości kościelnej; młodzież wtenczas to „bogobojni młodzieńcy“, „wierni barankowie“, „dusze chrześcijańskie“, co „kornie ku ziemi chylą swe głowy dla otrzymania błogosławieństwa świątobliwego pasterza“, który „jest pasterzem do strzyżenia owiec i po to znalazł się na posadzkach carskich siepaczy, aby mieć odpowiednie towarzystwo do butelki szampana“ [1], boć przecież „duchowieństwo to w najgorszym gatunku internacyonał“, „który idzie z rządem ręka w rękę“ [2], o ile nie chodzi o sprawy kościelne.

Dla tej równie racyi pod tytułem „Z powodu jubileuszu papieskiego“ drukuje *Promień* skonfiskowany przez prokuratoryę a imunizowany następnie przez interpelacyę Daszyńskiego w parlamencie artykuł, bryzgający jadem na postać Leona XIII, odmawia mu zasług, w nieprawdziwem świetle przedstawia jego dążności i zamiary [3]. Dlatego wreszcie drwi z uroczystości kościelnych, a dowód wielkiej ograniczoności pewnego profesora widzi w tem, że na pytanie jakiegoś ucznia, czy istnieje dyabeł, odpowiedział on potwierdzająco.

Tak się przedstawia walka *Promienia* z czwartem złem, czyli ze zdrowym rozumem i z zasadami wiary. Wpływ ten stanowczo będzie ujemnym. Wszystkie oczywiście tego rodzaju poglądy nie są niczem poparte; są to przeciwnie proste twierdzenia a wygłaszają je ludzie, którzyby ich uzasadnić pewnie nie potrafili; wszak jeden z nich naiwnie przyznaje się, że dawno przez naukę odrzucone dzieło Büchnera „Siła i materya“ wywarło na niego „niesłychane wrażenie, zdruzgotało i tak nie bardzo trwały światopogląd dawniejszy i przetworzyło go całego“ [4], co nie świadczy wcale pochlebnie o naukowości autora. Niebezpieczeństwo leży w tem, że poglądy te, wygłaszane z wielką pewnością siebie, wsiąkają w niewyrobione krytycznie umysły, boć przecie sam chyba *Promień* nie bierze na seryo tych słów:

---

[1] L. c. str. 383, 384. [2] L. c. str. 319, 70.
[3] L. c. str. 129. [4] L. c. str. 242.

„rozkrzewienia (naszych dogmatów) pragniemy całą duszą, ale też nie chcemy dla nich innych wyznawców, jak takich, którzyby do nich doszli drogą samodzielnej, sumiennej pracy myśli, przyswajając sobie ich prawa, jako własność swej duszy“ [1].

Taką jest działalność negatywna *Promienia,* czyli burzenie i piętnowanie; jak rozumie on drugą część swego zadania, czyli zaspakajanie wznieconego głodu wiedzy, wznieconych pragnień młodej, rozbudzonej duszy, innemi słowy do jakich dąży pozytywnych rezultatów?

Na pierwszy rzut oka uderza czytelnika dążność do wywołania rewolucyjnego ruchu między młodzieżą. „Praca — pisze w odezwie stowarzyszenia ‚Wspólna Nauka‘ — nad wyrobieniem i pogłębieniem naszych poglądów, szerzenie d u c h a r e w o l u c y j n e g o wśród młodzieży... oto szeroki zakres działania... w tym też kierunku chcemy dalej kroczyć... skupiajcie się do męskiej walki z wstecznymi prądami nurtującymi w naszem społeczeństwie, szowinistycznym zapędom przeciwstawcie braterskie zjednoczenie wszystkich żywiołów postępowych i rewolucyjnych“ [2]. Tendencye *Promienia* w tym względzie są widoczne z solidaryzowania się z tymi poglądami i aż z zbytniego zajmowania się tym przedmiotem. Dlatego zaznacza z boleścią, że coraz więcej rozczarowywać się trzeba „co do postępowego lub rewolucyjnego sposobu myślenia starszej młodzieży“, że nie można już o tem myśleć „by obecna polska młodzież uniwersytecka (zaboru rosyjskiego) wystąpiła jeszcze kiedykolwiek masowo, by poprzeć jakieś ideały narodowe“; prawdziwą zaś satysfakcyę sprawia mu stwierdzenie faktu, że „młodzież gimnazyalna w starszych klasach przyjęła teraz głównie rewolucyjną tradycyę niedawnej uniwersyteckiej przeszłości“, że „rosnący ruch proletaryatu polskiego zwraca ich umysły w stronę krytyki obecnego ustroju i prowadzi do wytworzenia między nimi zarówno teoretycznego, jak i czynnego rewolucyonizmu“; więc też i owoce szybkiego dojrzewania i rozwijania się młodzieży

[1] L. c. str. 334.
[2] L. c. str. 387, 388.

gimnazyalnej pokazały się „w postaci licznych tegorocznych wystąpień przeciwko podłościom najezdniczego rządu“ [1]. Stwierdza dalej, że „szeroko rozlany ruch rewolucyjny obejmuje coraz dalsze kręgi w Rosyi“, gdzie „hydra rewolucyjna stłumiona w jednem miejscu podnosi się w drugiem“ [2]; konstatuje z zadowoleniem, że krakowskie stowarzyszenie „Ruch“ stwarza ognisko dla młodzieży prawdziwie rewolucyjnej; łączy się z rosyjskim „Związkiem młodzieży“, który „postanowił pomagać działającym w Rosyi partyom rewolucyjnym pieniędzmi jakoteż przygotowywaniem młodzieży szkolnej do rewolucyjnej działalności i dlatego poleca swemu komitetowi centralnemu zawiązać stosunki z rewolucyjnemi partyami w Rosyi“ [3]; chwali demonstracye uliczne, śpiewanie pieśni rewolucyjnych, obnoszenie sztandarów z napisami rewolucyjnymi; wyraża uznanie młodzieży za pisma rewolucyjne, za nieprzychodzenie na lekcye w celach demonstracyi; wzywa do czynnej akcyi przeciw reakcyjnym siłom, poucza, że w sprawach szkolnych chodzi o czynne protesty, wykazuje zdobycze nieprawnych manifestacyi i burd, nie zna innej miłości kraju, jak tylko tę, która skrajnie występuje do walki nie licząc się z tem, że tysiącom przez to gotuje sroższą dolę [4].

Ruch ten rewolucyjny potęguje propaganda socyalistyczna tak, że *Promień* z organu młodzieży stał się w najwłaściwszem słowa znaczeniu organem służącym do rozszerzania zasad socyalistycznych. Do tego celu zdąża najrozmaitszymi sposobami. Zamieszcza obszerne sprawozdania z zgromadzeń socyalistycznych i z obchodów pierwszego maja, odezwy w duchu socyalistycznym pisane, opowiada historyę socyalistów w Polsce.

Podnosi moralną wyższość socyalistów w społeczeństwie. Oni to — pisze o wytoczonym przeciwko socyalistom procesie w Warszawie — „pierwsze zwiastuny wschodzących zórz, pierwsi apostołowie nowej ewangelii, wielcy bojownicy, bohaterowie walczący za lud... nam młodym cześć głęboką trzeba mieć dla

[1] L. c. str. 254 sq. [2] L. c. str. 261. [3] L. c. str. 268.
[4] L. c. str. 229, 257, 261, 266, 286, 294, 304, 310, 330, 60, 69, 7 i t. d.

ludzi, którzy wszystko poświęcili dla idei wielkiej, głowy swe oddali za lud polski... ich zaliczyć musimy w szczupłe grono tych przejasnych postaci, które żywem swem ciałem budują gmach przyszłego szczęścia ludzkości, bo oni należą do tych niewielu, którzy przestali być sobą a stali się wcieloną ideą, bo oni są z legionu tych, co życiem swem na nas wołają: czynu, czynu naród czeka... więc ognistemi głoskami wyryjmy sobie w duszach nazwiska tych przeogromnych duchów postępu i rewolucyi“ [1]. Wyższość moralna i w tem się pokazuje, że „tylko w socyalizmie można znaleźć obronę godności człowieczej i praw słabszych gwałconych przez mocniejszych“ [2], że w socyalizmie znajduje się „zadowolenie dla uczuć narodowych, zadowolenie rozumne, pozbyte rasowej i religijnej nienawiści, spokój wewnętrzny i to błogie moralne zadowolenie, że się służy idei, która może kąpać się w promieniach słońca krytycyzmu i zawsze świecić będzie przeźroczystą czystością zasad“ [3], więc też nie dziwić się, że wyższe sfery nic dla ludu nie robią, owszem przeszkadzają polepszeniu jego doli [4].

Wybitni kierownicy ruchu socyalistycznego w Polsce często zabierają głos w *Promieniu*. Pod tytułem „Jak się stałem socyalistą“ opowiadają tu dzieje swego wewnętrznego rozwoju Limanowski, Mokłowski, Reger Witołd, Hankiewicz i Piłsudzki.

Promień umieszcza dalej apologię socyalistów, broni między innemi międzynarodowości, którą socyalistom zarzucają, a broni, trzeba to przyznać, wcale zręcznie, choć sprawa ta przedstawiająca się tak niewinnie w teoryi, całkiem inaczej wygląda niestety! w praktyce.

Swoją sympatyę względem socyalistów pokazuje i w artykułach i w kwestyach literackich. Tak dowiadujemy się, że dzieła Limanowskiego i innych socyalistów, to „cały uniwersytet wiedzy społecznej“ [5], że Mickiewicz był wielkim socyalistą [6]; dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej zestawia w je-

---

[1] L. c. str. 81 sq. [2] L. c. str. 247.
[3] L. c. 247. [4] L. c. str. 189.
[5] L. c. str. 49. [6] L. c. str. 240.

dnym szeregu z dziełami Limanowskiego i Niemojewskiego [1], w drobnych nawet obrazkach sprawą społeczną się zajmuje.

Przygotowawszy tym sposobem grunt pod posiew socyalistycznych zasad, stwierdza *Promień* swoją przynależność do partyi nie tylko stylem, jakiegoby się żadne pismo socyalistyczne w kraju nie powstydziło, ale i jasno sformułowanemi twierdzeniami: „nigdyśmy się od socyalizmu nie odżegnywali“ [2], „nas socyalistów“ [3] i t. d. i zaznacza, że „prąd socyalistyczny wśród młodzieży polskiej wzmógł się i jak wszelkie dane po temu zdają się wskazywać, ciągle wzrastać będzie“ [4]. Dlatego zachęca *Promień* do przejmowania się zasadami socyalistycznemi, kiedy ogłasza proklamacyę „Niezależnego Związku Młodzieży Socyalistycznej“: „młodzież — głosi proklamacya — organizuje się, zakłada koła samokształcenia w duchu socyalistycznym... koledzy, wzywamy was do wspólnej pracy, do założenia ‚Niezależnego Koła kształcącej się młodzieży‘. Kółka tego rodzaju winne mieć na celu: samokształcenie w duchu socyalistycznym — obznajamianie się ze współczesnym ruchem socyalistycznym — prowadzić jak najszerszą agitacyę socyalistyczną pośród młodzieży — starać się zawiązywać jak najwięcej Kółek podobnych, aby zgodnie stanąć do walki w obronie wolności, równości i braterstwa“ [5]. Stąd stawia *Promień* potrójne zadanie naszej młodzieży socyalistycznej. Ma ona pracować nad samą sobą: „zanim będziemy mózgiem i sercem walczących o nowy świat, musimy być silni duchem, świadomi swego kapłaństwa niejako. Powinniśmy być ludźmi idei i o ile dzisiejsze stosunki zezwalają stwarzać w sobie ten typ ‚nowego człowieka‘. A więc czystość charakteru i moc, ścisła ile możności konsekwencya między hasłami a życiem i wykształcenie umysłowe“ [6]. Brzmi to trochę niejasno i nieokreślenie, wszystko jednak, cośmy w ciągu naszego artykułu powiedzieli, wskazuje jak *Promień* rozumie ten typ „nowego człowieka“.

Jaśniej określa organ młodzieży pracę nad „wiecznie mło-

[1] L. c. str. 50. [2] L. c. str. 206.
[3] L. c. str. 257. [4] L. c. str. 335.
[5] L. c. str. 171. [6] L. c. str. 337.

dym, zawsze pełnym sił i życia proletaryatem". Tu nasuwa się praca polityczna agitacyjna w partyi, praca w uniwersytecie ludowym, w towarzystwach ludowych, tworzenie naukowych kółek i bibliotek po stowarzyszeniach zorganizowanych już robotników, szerzenie przekonań socyalistycznych ideowych a przedewszystkiem „rozpalanie ognia rewolucyjnego w duszach niezgangrenowanych ludzi z dna" [1]. Największe jednak trudy czekają młodzież w nawracaniu niechętnych socyalizmowi, śmierdzących aż, jak zauważyliśmy wyżej, swoją głupotą i strasznem zacofaniem. Wielkie zadanie, tylko do jego osiągnięcia trzeba rzucić książkę a przedzierzgnąć się w agitatora.

Jak socyalistów łączą wreszcie i *Promień* ścisłe stosunki z Żydami i to tak dalece, że pisze się na zdanie warszawskiego *Robotnika,* iż tak długo nie będziemy mieć wolnej Polski ludowej, jak długo rząd, konserwatyści lub klerykali potrafią skierować wściekłość ludu na pierzyny i księgi żydowskie [2]. *Promień* nie ogranicza się na zwalczaniu tego, co w dzisiejszym przeciwżydowskim ruchu jest do odrzucenia, przeciwnie na każdym kroku swoją sympatyę Żydom objawia; nie każe robić żadnej różnicy między chrześcijaninem a Żydem-Polakiem, gdyż przeciwne postępowanie jest „kopaniem nowego grobu naszej ojczyźnie, opóźnieniem tak dla nas drogiej chwili jej zmartwychwstania"; asymilacya Żydów, którą ogół za utopię uważa, jest dla niego nie tylko możliwa, ale częściowo nawet już dokonana, a dowód na to? „W organizacyach robotniczych chrześcijanie i Żydzi podają sobie rękę i zbijają się w jedną całość, dążąc do wspólnego celu" [2]. Sprawy żydowskie spotykają się więc w tem piśmie z wielką życzliwością, a tyle zajmują miejsca, że najwięcej sam *Promień* na tem ucierpieć musi. — Tak się przedstawia druga strona działalności *Promienia.*

Unikaliśmy ile możności naszych własnych uwag, aby obraz destrukcyjnej działalności *Promienia* z jego własnych zeznań tem lepiej się uwidaczniał. Niesłychanie smutne i przygnębiające

---

[1] L. c. str. 337.
[2] L. c. str. 260.

wrażenie wynosi czytelnik z czytania tych zeszytów. Smutne ze względu na jego twórców, którzy jad nienawiści sączą w młode serca, wyrywają z nich poszanowanie dla tych czynników, któreśmy się w życiu uczyli poważać, wpajają w nie zasady, jakie nigdy szczęścia nie dadzą, bo go dać nie mogą; smutne, ze względu na samą młodzież, bo jak widać z korespondencyi pisma, w wielkiej części solidaryzuje się ona z *Promieniem* i przejmuje się jego zasadami.

Skutki też nie dają na siebie czekać. Pisma codzienne, głosy zasłużonych mężów, ankiety lekarskie malują nam w rozpaczliwych barwach aktualny stan wśród młodzieży. Ci, na których społeczeństwo pokłada swoje nadzieje i buduje przyszłość, przedstawiają smutny obraz fizycznej i moralnej niemocy. Wiele warunków złożyło się na wytworzenie bolesnego stanu, a nie najmniejszym między nimi jest niezdrowy wpływ pism, podobnych *Promieniowi.*

Ks. Wiktor Wiecki.

NAJDAWNIEJSZE KOLĘDY POLSKIE.

(Dokończenie).

Wracamy teraz do przerwanego wątku. W „Żywocie Pana Jezu Krysta“ znajduje się kolęd pięć. Z tych trzy są przekładami starszych oryginałów łacińskich: „Dzięki już wszytcy oddajmy“ przekładem sekwencyi Grzegorza Wielkiego *(Grates nunc omnes);* „Nastał nam dzień wesoły“ przekładem pieśni *Dies est leticie,* z XIV wieku pochodzącej; tak samo kolęda „Z Bożego Narodzenia Anieli się weselą“ przekładem pieśni *In natali Domini gaudent omnes Angeli,* pochodzącej również z wieku XIV [1]. Dwie inne kolędy nie są właściwie pieśniami. Tytuł jednej: „Nabożna rozmowa świętego Bernata z Panem Jezusem, nowonarodzonym dzieciątkiem“, drugiej: „Nabożne i rozkoszne tolenie z przywitanim i pozdrowienim nowo narodzonego Pana Jezusa“ [2]. Są to obszerne poematy, których treścią jest Boże Narodzenie. Do śpiewu jednakże nie mogły być przeznaczone, są na to za długie, za długie są też pojedyncze wiersze, forma bardzo nieregularna, podczas gdy poprzednie mają formę świadomie muzyczną. Dla przykładu, że tak jest, cytujemy kilka zwrotek z obu utworów.

Z «Nabożnej rozmowy»:

1. Zdrów bądź, Jezu maluśki, jenżeś król niebieski,
   O dzieciątko sławętne, wielmi śliczne;

[1] Bobowski 138, 139, 151.

[2] Bobowski 140, 144.

Słońce sprawiedliwości, świeco wszelkiej prawdy,
Boże wielkiej miłości, mocności naszej wiary.
8. Panno nieporuszona, dziewico wybrana,
Weźrzy na płacz sługi twego, nie opuszczaj, prosze ciebie,
Daj Marya dzieciątko, które masz nam dać,
Samo-ć zdrowie ubogich, samo-ć Jezu miły.

Z «Nabożnego i rozkosznego tolenia»:

1. Dziecię namilejsze, proszę cię, nie płaczy:
Aza twoje członeczki już drżą od zimna?
Czyli jasłki kamienne ciebie nie chcą trzymać,
A grzechy tego świata przypędzają cię płakać?
21. Bądź z synem pozdrowiona, matuchno łaskawa,
Prosi-ż za nami synaczka, boś ty miłosierna matka,
Byśmy się polepszyli, szczęśnie dokonali,
A tak z twoją pomocą do nieba się dostali.

Otóż takie dowolności, takie nieregularności formy panują w obu utworach, które nie są pieśniami, ale utworami wierszowanymi wogóle; także treść różni się nieco od zwykłych kolęd, jest tu więcej jakiejś kontemplacyi, rozważania Bożego Narodzenia, więcej westchnień i apostrof do Dzieciątka, podczas gdy w innych kolędach mamy raczej epiczne opowiadania bez tej rozwlekłości, jaka panuje tutaj.

Następują teraz w porządku chronologicznym dwa rękopiśmienne zbiory pieśni. Pierwszy z r. 1551 w bibliotece Czartoryskich, wydany po raz pierwszy przez Bobowskiego, zawiera czterdzieści pieśni, w czem większa część kolęd; drugi z lat 1551—1555 z biblioteki Kórnickiej, znany już przedtem Wiszniewskiemu i nazwany przezeń kantyczkami, ma (obok psalmów, modlitw rymowanych i prozaicznych i t. p.) czterdzieści dwie pieśni, w czem znowu większa część kolęd. Pewna ich ilość jest wspólna obu rękopisom; prócz tego zaś w każdym z nich jest po kilka kolęd, nie znajdujących się w drugim. Tym sposobem w obu zbiorkach znajduje się nowych, dotąd nieznanych pieśni kolędowych trzydzieści dwie. Widzimy więc, jak pokaźna to stosunkowo liczba; dwa te rękopisy zawierają dwie trzecie wszystkich naszych kolęd z wieku XV i XVI. Stąd też ich znaczenie dla historyi kolęd jest bardzo wielkie. One nam dużo pomagają w zrozumieniu tego faktu, że pieśni polskie na Boże

Narodzenie, w wieku XV tak jeszcze nieliczne, tak ogromnie rozpowszechniają się w epoce późniejszej. One dają nam klucz do rozwiązania tej zagadki.

Jest mianowicie między temi pieśniami jedna, której tytuł brzmi [1]: „O nabożeństwie wielkim Franciszka świętego ku dzieciństwu Pana Jezusowemu; a jako ludzie ku temuż insze pobudzał znakiem i okazaniem zewnętrznem pieśń". Otóż pieśń ta jest wierszowanem opracowaniem legendy o urządzeniu jasełek przez świętego Franciszka z Assyżu. Mówi ona:

Toć jest miejsce duchowne, święte i nabożne,
Które wybrał służebnik Jezusów osobny,
Franciszek krześcijański, wszemu światu jawny,
Cnotami okraszony, pokorny, spokojny.

Na pamięć narodzenia w Betleem Bożego
Uczynił jasłki nowe z umysłu czystego;
To słysząc lud w Grecium, w mieście tak rzeczonym,
Wybieżał się dziwować jasłkom uczynionym.

Św. Franciszek wszystko nagotował, „i sianka w one jasłki z wesołością nasłał, wołu też z osiełkiem wespołek postawił". Nie uczynił tego jednakże z własnej mocy, lecz za zezwoleniem Ojca św.:

Jasłek takich uczynić mąż ten byłby nie śmiał,
By był osobliwego dozwolenia nie miał
Od stolca papieskiego, ni by był tak śmiały
Franciszek ten pokorny, w domnimaniu mały.

Dowiedziała się o tem, co św. Franciszek miał czynić, okoliczna ludność. Zbiegli się tedy ku jasełkom, „nabożnie śpiewając, Jezusa i Maryę mile pozdrawiając". Zeszli się też i bracia zakonni i stanęli u jasełek, „by w tym ojcu świętemu wdzięczność ukazali, a Dzieciątko z Matuchną mile pozdrawiali". Rozpoczęła się potem msza święta, w nocy; wśród mszy

Stał u jasłek Franciszek, łzami pokropiony,
Na ciele i na duszy wszystek przemieniony,
Jako gwiazda jaśniuchna, świecąca na morze;
Wesele, które tam miał, Ty znasz Panie Boże.

[1] Bobowski 217

Mąż niektóry z Grecium, rycerz Jan, powiadał później pod przysięgą, że widział Dzieciątko, gdy je śpiące piastował św. Franciszek na rękach. Czytał potem św. Franciszek ewangelię, po ewangelii zaś wygłosił kazanie,

Dzieciątko namilejsze barzo często mienił,
Ludzie wszyscy z pilnością tego przysłuchali,
Z nabożeństwa wielkiego rzewliwie płakali.

Kończy się pieśń temi słowy:

I my w tym naśladując ojca naświętszego,
Przyszliśmy, Jezu miły, do łóżka Twojego,
Wejrzy na nas ubogie, weźm nas w Swą opiekę,
A racz wlać duszom naszym niebieską pociechę.

Cała więc pieśń poświęcona jest opowiadaniu tego faktu, że jasełka zaprowadził św. Franciszek.

W innej znowu kolędzie jest jedna strofa, zwracająca się do braci zakonu św. Franciszka [1]:

Bracia zakonu mniejszego
Naśladujcie Franciszka świętego:
Miłujcie Krysta miłego
I ubóstwo jego,
Przez wątpienia wszego
Królestwa wiecznego
Dostąpicie u niego.

Już z tych dwóch faktów możnaby wywnioskować, że nasze rękopisy pochodzą najprawdopodobniej z jakiego klasztoru franciszkańskiego [2]; przypuszczenie to nabiera tem większej pewności, że w jednym z rękopisów znajduje się „Reguła i zakon świętego Franciszka popisan“ i modlitwa o ranach Pana Jezusa, do których Franciszkanie szczególniejsze mieli nabożeństwo [3]. Zdaje się tedy nie ulegać wątpliwości, że te „Kantyczki“ z połowy XVI wieku zawdzięczamy zakonowi św. Franciszka.

Jakież stąd dalsze wnioski?

---

[1] Bobowski 191.

[2] Że napisane były dla zakonników wogóle, o tem świadczy wiele miejsc i zwrotów; w jednej np. pieśni poeta zwraca się wyraźnie do zakonników; w innej jest prośba do Dzieciątka, aby nie zostawało na mrozie w stajence, lecz poszło z proszącymi do celi.

[3] Bobowski 180—181.

Św. Franciszek powołał do życia jasełka; za jego przykładem piękny ten obyczaj piastowali i rozwijali dalej zakonnicy jego reguły [1], tak na Zachodzie, jak i u nas. Przy jasełkach śpiewano pieśni nabożne, kolędy. Te kolędy zrazu niewątpliwie były łacińskie; ale ażeby i lud mógł brać udział, musiano dla niego przełożyć owe łacińskie kolędy na język ludowy, a w dalszem następstwie tego także i stworzyć nowe. Zatem zwyczaj urządzania jasełek pociąga za sobą rozbudzenie twórczości w kierunku kolęd. Tak było na Zachodzie, tak samo było u nas. Skoro Franciszkanie urządzali w swych kościołach jasełka, starali się także dostarczyć ludowi kolęd w jego języku. To nam tłumaczy, dlaczego nagle w połowie XVI wieku zjawia się naraz tak znaczna liczba pieśni kolędowych polskich. Widocznie jasełka już się były przyjęły i zaaklimatyzowały. Już lud bierze w nich żywy udział — śpiewem; tem chętniej zaś to robi i tem więcej, że podczas zwykłego kościelnego nabożeństwa śpiew w języku ludowym ma zakres szczupły, ograniczony: śpiew ten rozlega się w języku łacińskim, a tylko niewielka liczba dawnych, autoryzowanych już pieśni polskich ma wstęp do kościoła. A że uczucie religijne tego ludu pragnie wypowiedzieć się wszechstronnie, także i w języku własnym, zrozumiałym dla wszystkich, przeto z tem większym zapałem korzysta się ze sposobności takiego śpiewania, z jasełek. Że jasełka były bardzo popularne, na to mamy dosyć świadectw [2] pośrednich; mamy dużo jasełek wyrażonych w rzeźbie i wypowiedzianych w utworach literackich (w. XVII, XVIII); mamy te jasełka przecież jeszcze dzisiaj, choć niezupełnie w dawniejszej postaci.

Śpiewał tedy lud przy jasełkach kolędy polskie. Pierwsze, które w ten sposób powstały, mają wyraźne znamiona tego pochodzenia: kolędy z naszych dwóch rękopisów nieustannie wspominają o jasełkach, przypominają je ciągle, tak, że gdybyśmy nie mieli żadnego innego świadectwa, już z tego mogli-

[1] Bobowski 19.

[2] Por. np. świadectwo Hozyusza, cyt. u Bobowskiego 20.

byśmy twierdzić na pewno, że to pieśni jasełkowe. Skoro zaś raz przyzwyczajono się do jasełek i do kolęd, to twórczość na tem polu naturalnym biegiem rzeczy rozwijała się coraz bardziej. Nie można było przecież powtarzać nieustannie te same pieśni, musiały powstawać nowe. Jasełkom więc zawdzięczamy ogromne bogactwo naszych kolęd; one dały początek gromadnemu pojawieniu się pieśni, one ten płomień dalej utrzymywały i podsycały; z jasełek wychodzi kolęda XVI wieku, jako utwór pełen siły i zdolności do życia, jasełka to życie utrzymują i rozwijają.

Oto dlaczego owe dwa kancyonały z połowy XVI wieku są tak ważne; dzięki im możemy ten proces cały w jego tworzeniu się podpatrzyć; dzięki im, mamy rozjaśniony punkt wyjścia i rozumiemy dalsze linie rozwoju.

Rozpatrując się w tych kolędach, widzimy, że one już prawie zupełnie odpowiadają temu zwykłemu u nas pojęciu kolędy. Z wyjątkiem jednej rzeczy: spolonizowania i zlokalizowania. Tego tu jeszcze niema. Tu pastuszkowie nie mają jeszcze polskich imion; nie przynoszą darów przyrody polskiej; niema tu tej żartobliwości, tego humoru rodzimego, jaki mają kolędy późniejsze. To są jeszcze kolędy ogólnie-chrześcijańskie; mogły one powstać zarówno w Polsce, jak we Włoszech lub w Anglii. Czem się ten brak polskości tłómaczy? Oto zdaje się, że przeważna część tych pieśni nie jest oryginalną, ale tłómaczoną z oryginałów łacińskich. Bobowski sądzi [1], że „niedołężna forma tych pieśni obok wyszukanej, a niekiedy nawet wykwintnej treści, każe nam się w nich domyślać przekładów, i to prawdopodobnie z łaciny, chociaż pierwowzory większej ich części nie są nam znane". Spostrzeżenie to jest trafne. Możnaby je jeszcze poprzeć innymi argumentami. Kolędy te są przeznaczone do śpiewu; jako takie mają często po tytule napis: „ma notę", „ma notę własną" i t. d. Otóż ta uwaga może się rozumieć chyba tylko w ten sposób, że łaciński oryginał, znany i śpiewany, ma tę nutę, znaną i śpiewaną; wtedy ta sama nuta znajduje zasto-

[1] Bobowski 181

sowanie i do pieśni polskiej; inaczej ta notatka nie miałaby wiele sensu. Dalej — kolęda „Anioł pasterzom mówił“ ma łaciński napis: *Angelus pastoribus dixit vigilantibus.* Nie trudno zobaczyć w tym napisie dwa wiersze:

Angelus pastoribus
Dixit vigilantibus,

najwidoczniej początek łacińskiego oryginału. Co więcej — spróbujmy te dwa wiersze zaśpiewać tak, jak kolędę polską, a zgoda będzie uderzającą. Najwidoczniej „Anioł pasterzom mówił“ jest przekładem pieśni łacińskiej, zastosowanym ściśle do jej formy i do jej melodyi. Dalej — skoro tradycya jasełek była żywą w zakonie franciszkańskim, to musiała także być tradycya kolęd łacińskich, śpiewanych przy jasełkach; naturalną jest rzeczą, że zamiast tworzyć wszystkie pieśni nowe, Franciszkanie polscy przekładali na język polski istniejące już i uświęcone tradycyą pieśni łacińskie. Otóż ten fakt, że te kolędy są przeważnie przekładami, wyjaśnia brak w nich pierwiastków lokalnych, wyłącznie polskich. Te pojawią się później, kiedy pobożna poezya polska zdobędzie się już na kolędy oryginalne, w których nie będzie krępowana więzami wzorów obcych i fantazyi, pierwiastkom rodzinnym, danem będzie pole obszerne.

Ale z wyjątkiem owej polskości kolędy XVI wieku mają już wszystkie znamiona kolędy takiej, jak ją sobie zawsze wyobrażamy.

Są to naprzód kolędy do śpiewu. Z nielicznymi wyjątkami takich utworów, które są raczej poematami, małemi eposami, wszystkie te wiersze są naprawdę pieśniami, przeznaczonemi do śpiewu i śpiewanemi. A kolęda może być tylko śpiewaną. Gdzie tego niema, tam jest wiersz, którego treścią, rozwiniętą w jakikolwiek sposób, jest Boże Narodzenie, ale niema kolędy. Tej bez śpiewu, bez melodyi, jako żywo nie potrafimy sobie wyobrazić. Ma przecież poezya XVI i XVII wieku bardzo dużo wierszy tej treści; nieraz nawet z napisem kolęda; pisał takie utwory Kochanowski, Szarzyński, Jagodyński, Grochowski, Miaskowski, Morsztyn, Kochowski, i tak dalej i tak dalej — możnaby lepiej powiedzieć, że nie było poety, któryby nie stąpił

na te obszary. A jednak kolędami te utwory nie są, bo albo nie były przeznaczone do śpiewu, albo do melodyi się nie nadawały. One nieraz nie różnią się od prawdziwych kolęd ani formą ani treścią, a przecież jest między nimi a tem, co nazywamy i co odczuwamy kolędą, jakaś niezbyt ścisła, niezbyt zamarkowana a jednak odczuwalna granica...

Kolędy odznaczają się ogromną rozmaitością form poetyckich. Rozpatrując się w samych tylko dwóch śpiewnikach franciszkańskich, jesteśmy zdziwieni tak wielkiem w tym względzie bogactwem. Budowa tych kolęd jest stroficzną; zwrotki są najrozmaitsze, od trójwierszowych do ośmiowierszowych; wiersze w zwrotkach znowu najrozmaitsze o najrozmaitszej ilości zgłosek. Jednostajność budowy w zwrotce należy do rzadkości. Popatrzmy np. na „Anioł pasterzom mówił“: zwrotka, złożona z pięciu wierszy; wiersz pierwszy, drugi i czwarty mają po siedem, trzeci dziesięć, piąty sześć zgłosek. A ta kolęda należy jeszcze do więcej regularnych i niejako monotonnych. Dla poznania innych przytoczmy kilka przykładów:

O duszo moja, oto miłość twoja
Z nieba stąpiła, w pannie się złożyła,
Pan Jezus ciebie szukając, żałując,
Do nieba wzywając [1].

Albo:

W jasłkach leży
Kwiatek śliczny,
Panieńskie porodzenie;
Jego tulą aniołowie,
Nynu, nynu, nynu,
Nie płacz panieński synu [2].

Albo:

Stała się nam dziś nowina,
Nigdy taka nie była, alleluja,
Iż zawoniał nam syn boży,
Jako kwiat ślicznej róży, alleluja,
Weseląc się, śpiewajmy jemu, alleluja [3].

---

[1] Bobowski 192. Należy, co prawda, mieć w pamięci, że w odpisie rękopiśmiennym forma nieraz ulega zepsuciu.

[2] Tamże 205.

[3] Tamże 229.

Albo:

Bogu ojcu chwałę dajmy,
Synu bożemu śpiewajmy,
Ducha świętego wzywajmy [1].

Albo:

Podźmy do jasłek nowych Jezusa miłego,
Pozdrówmy go pokornie z serca nabożnego,
Jak pana naszego,
Króla niebieskiego [2].

Tych kilka przykładów sądzimy, że wystarczy, aby pokazać wielką form rozmaitość w omawianych kolędach. Ta rozmaitość pochodzi najpierw z naśladowania form oryginałów łacińskich; powtóre zaś stąd, że to są utwory przeznaczone do śpiewu, jako takie zaś musiały nieraz stosować się do już istniejących gdzieindziej melodyi.

Motywy kolęd XVI wieku są oczywiście te same, co późniejszych i co poprzednich. Tutaj odmienności być nie może, bo przedmiot jest ten sam. Ilość zaś tych motywów jest wogóle ograniczona: fakt narodzenia się Boskiego Dzieciątka jest źródłem, z którego one wynikają; motywy epiczne, opowiadające, łączą się z uczuciowymi, z lirycznymi. Otóż całe opracowanie, cały styl i stylowość kolęd polega na grupowaniu i na waryacyi tych motywów. Tak jest już w kolędach średniowiecznych, tak w epoce ich najbogatszego rozwoju, tak wreszcie i w wieku szesnastym. Jedne z tych utworów będą więcej opowiadające; inne więcej wyrazem uczucia; inne wreszcie kombinują i jedno i drugie. Wszystko jednakże poza zakres dogmatycznego (jeśli to jest dobre wyrażenie) pojmowania faktu Bożego Narodzenia wychodzi bardzo rzadko. Kiedy kolędy późniejsze fantazyi nie krępują, owszem, chętnie dają się jej unosić, tutaj do wyjątków należy taka, jak „Druga pieśń o narodzeniu bożym obyczajem historyej“ [3], która nawet potrąca z lekka o apokryfy; wie ona

[1] Tamże 273.

[2] Tamże 284.

[3] Bobrowski 273 i n. Obyczajem historyej = jakoby historya, opowiadanie. Ta kolęda ma też drugi tytuł: Rozmyślanie nabożne.

doskonale, co mówili ludzie betlejemscy do Józefa, na jego prośbę o przytułek:

już mamy pany,
Książęta a i ziemiany,
A już się weselą z nami;

wie ona, że

Sybilla prorokowała,
Iż pannę w niebie widziała,
Dzieciątko w ręku trzymała.
Cesarzewi ukazała,
Wszechmocność mu powiedziała

ta kolęda opowiada, że

W Rzymie w boże narodzenie
Ciekł olej nąd przyrodzenie,
A ciekł tam z jednej studnice,
Podług boskiej tajemnice;

trzej królowie

Z panną ślicznie rozmawiali,
Gdy się z Jezuskiem witali,
I rączki mu całowali:

w szopie betleemskiej było więcej świętych gości:

Anna, Joachim tam byli,
Pannie niebieskiej służyli,
A z wnuczkiem się weselili.

Kolęda ta nadzwyczajnie przypomina apokryf z XV wieku. Ale wśród kolęd w wieku XVI jest ona wyjątkiem [1]. Wszystkie inne trzymają się ściśle opowiadania ewangelijnego, pozwalając sobie na odstępstwa bardzo drobne, jak to naprzykład, że Boskiemu Dzieciątku zimno, więc płacze. Nie należy jednak z powyższych słów wnosić, jakoby były kolędy, które tylko opowiadają; takiej właściwie niema ani jednej. Motywy epiczne występują zawsze w towarzystwie refleksyjnych lub lirycznych. Typowym przykładem jest tu kolęda „Anioł pasterzom mówił".

[1] W innych tu i ówdzie znajdziemy drobny szczegół, podobnie jak tamta przypominający opowiadania apokryficzne; tak np. opis gwiazdy:

W gwiaździe dzieciątko było,
A na głowie swej krzyż miało,
Do nich gwiazda jest mówiła,
Jezusa im zjawiła. (Bobowski, str. 220).

Pierwsze dwie zwrotki są tylko opowiadaniem; ale już w trzeciej i czwartej jest refleksya („Taki pan chwały wielkiej Uniżył się wysoki“ i t. d.; „O dziwne narodzenie“); motywy łączą się w całość, ale od siebie dadzą się łatwo oddzielić, łączą się w grupy, jasno zarysowane. Najliczniej zaś, najczęściej występują kolędy liryczne — zaliczamy tutaj pieśni tak o nastroju czysto lirycznym, jak i refleksyjnym. W tych to kolędach motywy epiczne nie żyją życiem samoistnem, ale służą tylko za ramy dla uczucia. Kilka przykładów lepiej rzecz objaśni.

Druga [1] pieśń Pana Jezusa płaczącego w dzieciństwie cieszyć.

1. Czemu płaczesz Jezu?
Aza zimno czujesz?
Azali cię matka nie odziała?
Azali cię miła nie przyjęła?
Azali cię miła nie piastuje?
Azali cię słodko nie miłuje?

2. Czemu płaczesz Jezu?
Aza domu nie masz?
Betleem cię miasto wzgardziło,
Przyście twoje stworzenie poznało,
Ta noc ciebie słońcem jest wyznawa,
Ta czeladka twoja ciebie żąda.

O narodzeniu Pana Jezusowym pieśń i o Maryej pannie, matuchnie jego naświętszej [2].

1. Stała się nam dziś nowina,
Nigdy taka nie była, alleluja,
Iż zawoniał nam syn boży,
Jako kwiat ślicznej róży, alleluja,
Weseląc się śpiewajmy jemu alle-
2. Z ojca wyszedł namilejszy [luja.
Na ten świat nanędzniejszy, alle-
A opuściwszy anioły, [luja,
Dał się nam znać już miły, alleluja,
Weseląc się i t. d.
3. O dziwnaż to jest nowina,
Iż panna miała syna, alleluja,
Poczęła go w niewinności,
Porodziła w radości, alleluja,
Weseląc się i t. d.
4. Porodziwszy chwaliła,
I w jasłeczki włożyła, alleluja,
Mówiąc: synu namilejszy, [szy?
Któż nad nas jest uboższy i nędzniej-
Jam jest uboga panna i cieślina żona.
6. Poznał wół Boga swego
Stworzyciela naszego, alleluja,
W jasłkach położonego.
I zagrzał tchem swym jego, alleluja.
Rozżaliła się panna płaczącego syna.
10. O któż słychał takie dziwy,
I żeby Bóg prawdziwy,
Leżąc między zwierzętami,
Był uwian szatami ubogiemi, [jąc.
Łoża ciepła nie znając, pomocy żąda-
14. O Boże, ojcze nasz miły,
Chwalim cię z wszej siły i z anioły,
Iżeś nas nawiedził nędzne,
Pocieszył barzo smętne i niemocne,
Przez synaczka swojego dziś narodzonego.

[1] Bobowski 204. — Drugi = inny.
[2] Tamże 229 i n.

Te i poprzednio w całej pracy przytoczone wyjątki dadzą mniej więcej wierne wyobrażenie kolęd XV i XVI wieku.

Mówiliśmy wyżej, że ilość motywów jest w kolędach z natury rzeczy ograniczoną, a odnosi się to tak do epicznych, jak i lirycznych; jak w pierwszych ciągle przewija się fakt narodzenia Bożego, tak w drugich powtarzają się uczucia czułości wobec Dzieciątka, czułości, połączonej z rozrzewnieniem i litością; powtarzają się wezwania do radości i radość sama, objawiająca się tu i ówdzie także pokrzykiwaniem: ej ej! lub ohej ohej! — powtarzają się uczucia wdzięczności względem Boga, wezwania do modlitwy, i modlitwy same nareszcie, do Boskiego Dzieciątka, do Boga Ojca, do Panny Najświętszej; powtarzają się też takie same refleksye nad Narodzeniem i jego skutkami dla ludzkości, podziw i zdziwienie nad niezwykłością zdarzenia. Jednem słowem są to te same motywy, które znajdziemy i w kolędach następnych; wiemy, że inaczej być nie mogło. Są więc pod tym względem kolędy XVI wieku takie same, jak w XVII, z tą różnicą, że późniejsze są artystycznie o wiele doskonalsze, więc też uczuciom i myślom dają wyraz piękniejszy. Brak też w tych wcześniejszych jednego, bardzo wdzięcznego motywu: pasterzy. Oni tam są, ale zajmują zaledwie tyle miejsca, co i królowie, to jest bardzo niewiele. Motyw jest w zawiązku, ale jeszcze nie rozwinięty. Przypomnijmy zaś sobie, jaką on rolę odgrywa w kolędach późniejszych i jak znakomicie pod względem literackim został wyzyskany; nie mówimy tu nawet o jego rozwinięciu epickiem; ale jak doskonałą daje on sposobność do wprowadzenia przed oblicze Dzieciątka ludzi biednych, małych, cichych prostaczków — przecież oni pierwsi otrzymali od anioła radosną wieść, ich to spotkało „witać Go przed bogaczami!“ Otóż tego pięknego i tak bardzo chrześcijańskiego motywu w kolędach XVI wieku jeszcze nie znać [1].

* * *

[1] W jednej kolędzie już coś podobnego się znajduje:

Weselcie się dzisia ubodzy,
Co cierpicie wielkie szkody;
Syn się boży narodził,

Pozostają nam jeszcze trzy kolędy, wydane osobno drukiem w roku 1558. Nie różnią się one od poprzednich niczem szczególnem, chyba większą starannością formy. To jednak, że pojawiają się w druku, jest zjawiskiem wcale charakterystycznem. Znaczy to, że kolędy są już bardzo rozpowszechnione, że jest na nie — mówiąc po kupiecku — popyt. Pojawiają się równocześnie dwa ich wydania. A takie druki ulotne, na paru kartkach, druki ludowe, rozchodzą się bardziej, niż inne, gdyż bardziej odpowiadają potrzebom ogółu. To więc, że w połowie XVI wieku spotykamy kolędy drukowane, świadczy o wielkiej już wtedy ich sile żywotnej, świadczy, że stały się już one własnością najszerszego ogółu. Jest też jeszcze jeden szczegół ciekawy: w obu drukach prócz tekstu znajduje się melodya, na jeden lub kilka głosów; autorem zaś pierwszej jest nie jakiś nieznany muzyk, ale sam mistrz muzyki polskiej ówczesnej, Wacław Szamotulski.

Skorośmy już potrącili o muzykę, to należałoby chyba powiedzieć coś o melodyach ówczesnych naszych kolęd. Niestety na tem polu możemy się wykazać tylko dobremi chęciami. Trzebaby się znać dobrze na historyi muzyki, trzebaby być ks. Surzyńskim lub Polińskim, żeby te melodye omówić, wykazać ich pochodzenie, stosunek do późniejszych. Brak też prawie najzupełniej takich opracowań, na którychby się można oprzeć i po prostu ich wyniki reprodukować. Nadmienimy więc tylko tyle, że przeważna część kolęd polskich XV i XVI wieku już była przeznaczoną do śpiewu i była śpiewaną. Owe trzy kolędy drukowane mają melodyę, skomponowaną dla nich umyślnie; rzeczą historyka muzyki będzie zbadać, na jakich motywach te melodye się oparły. Mniejsze kompozycye Wacława z Szamotuł

Ten was dzisia pocieszy;
Z pokornością cierpcie,
Jezusem się cieszcie
I w nim się kochajcie. (Bobowski, str. 190).

Ale jest to odosobnione, a potem nie są to jeszcze owi „biedni ludzie“ i nie są pastuszkowie.

mają charakter ściśle katolicko-liturgiczny[1]; zapewne tak samo ma się rzecz z kolędą.

Przy wielu kolędach obok tytułu znajdujemy słowa: „ma notę“[2]; wniosek oczywisty, że kolęda była śpiewaną, najprawdopodobniej na tę melodyę, co łaciński oryginał. Albo: „ma notę własną“[3]. Albo: „ma tęż notę“[4]; t. zn. jak pieśń poprzednia. Przy jednej pisarz dodał admonicyę ku czytelnikowi: ta pieśń ma notę własną „przeto się jej z pilnością naucz“. O dwóch kolędach[5] zaś czytamy: „ta pieśń może być śpiewaną jako i o słowiku“, widocznie na melodyę jakiejś popularnej ludowej piosenki o słowiku.

Jakiekolwiek zaś te melodye były, jedno możnaby twierdzić ze znaczną pewnością; do melodyi późniejszych podobne chyba nie były; kolędy XVII i XVIII wieku już mają melodye świeckie, między któremi dominuje polonez i menuet, te zaś poza wiek XVII wstecz nie sięgają.

* * *

Jeżeli teraz jeszcze raz spojrzymy na kolędy XV i XVI wieku, obejmując całość, to łatwo zauważymy kilka wytycznych punktów. Rozwój kolęd — nawet przy dotychczasowym niezbyt bogatym materyale — przedstawia się dość jasno. Ich początek przypada na wiek XV; im dalej idziemy naprzód, tem ich jest więcej; w połowie XVI wieku spotykamy się już z wielkim rozkwitem, objawiającym się z jednej strony w obfitości kolęd, z drugiej pojawianiem się ich w drukach ulotnych. Czyli: linia rozwoju kolęd polskich idzie najzupełniej normalnie, wznosząc się od poziomu stale w górę, aż gdzieś w wieku XVII osiągnie punkt najwyższy. Tak jest co do ilości. Co do jakości tak samo. Bardzo niewyrobione z początku, bardzo ubogie w urozmaicaniu danych faktami motywów, im dalej w wiek szesnasty, tem

[1] Ks. Surzyński: *Monum. musices sacrae in Polonia*, str. v.
[2] Bobowski, nr. 103—108, 111.
[3] Bobowski, nr. 99, 113.
[4] Bobowski, nr. 109, 113.
[5] Bobowski, nr. 113 i 114.

więcej się udoskonalają i urozmaicają, aż wreszcie, znowu w wieku XVII osięgną pełnię rozwoju i bogactwa w grupowaniu i rozwijaniu zasadniczych swoich motywów.

Pochodzenia są kolędy nasze obcego: najstarsze są przekładami z języka czeskiego lub łacińskiego. Te ostatnie są w oryginale przeważnie daleko starsze, np. pochodzą z wieku XIV. Są więc wytworem średniowiecznym. Takiemi też są i nasze kolędy XVI wieku — renesansu na nich nie znać. Przyczyniła się do tego w wysokim stopniu ich treść, czysto religijna, nie dająca pola motywom starożytnym. Potem ich ludowość. Kolędy są od początku poezyą ludową (nie należy tu mieszać pojęcia dzisiejszej ludowości), i taką pozostały. Otóż poezya ludowa szła sobie swoją drogą, rozwijała dalej i bezpośrednio motywy średniowieczne, nie troszcząc się o to, co się działo „w górze". Doskonałego zestawienia dostarczają tu pieśni na Boże Narodzenie, pisane przez Miaskowskiego; jest między niemi taki np. poemat, w którym Muzy stają nad żłóbkiem i śpiewają na cześć Boskiego Dzieciątka, wezwane do tego przez księżyc — Dyanę. O czemś podobnem w kolędzie prawdziwej oczywiście ani nie słychać.

Są więc kolędy wytworem średnich wieków i tradycyę średniowieczną przechowują, nie troszcząc się o prądy literackie. Jest to objaw, na który w innych działach literatury już zwrócono uwagę (Brückner); konstatujemy to samo dla naszych kolęd.

Kto wprowadził kolędy do Polski. Prawdopodobną jest rzeczą, że pierwsze śpiewane kolędy pojawiły się na igrzyskach (chociaż najstarsza kolęda polska „Zdrów bądź królu anielski" jest książkową). Zbytniego jednak rozszerzenia wskutek igrzysk nie widzimy. To sprawiły dopiero jasełka. Dla jasełek i przy nich powstają dopiero kolędy jużto tłumaczone z łaciny, jużto oryginalne. Rozszerzenie wielkie i popularność jasełek sprawiły rozszerzenie się i popularność kolęd. Są to jednak jeszcze dwie kwestye, domagające się szczegółowego zbadania.

Mówiliśmy już nieraz, że kolędy nasze są pochodzenia obcego, przyszły do nas z Zachodu. Rzecz to naturalna wobec

całego biegu naszej kultury. Przyszły z Zachodu igrzyska i jasełka, więc razem z niemi przyszły i kolędy. Kolędy te zaaklimatyzowały się u nas świetnie i rozwinęły tak, że w wieku XVII i XVIII są już zupełnie oryginalne, są wytworem wyłącznie polskim; wytworzyły tu gałąź hymnologii, jakiej na Zachodzie dzisiaj niema. Bardzo zaś dobrym objawem jest to, że te kolędy do dziś dnia żyją, że mają zdolność dalszego rozwijania się i że w całym narodzie jest silne tych kolęd spopularyzowanie i umiłowanie.

Dr. St. Dobrzycki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

Literatura polska w ostatnich latach rozwija się ilościowo coraz pomyślniej; co jednak trochę niemile zadziwia, to w tej produkcyi umysłowej przewaga elementu beletrystycznego, a szczególniej powieści. Dzieła naukowe długo nieraz czekają na nakładcę, rozchodzą się w małej liczbie, latami całemi spoczywają zakurzone na półkach księgarskich; powieść zawsze znajdzie i nakładcę i kupca, rozejdzie się w lot, choć jej wartość zbyt często nie odpowiada najprostszym nawet wymaganiom. Ostatnie miesiące ubiegłego roku były w powieści niezwykle bogate; kilkanaście z nich (mała to tylko garstka w stosunku do całości) leży przed nami; co o nich i o ich wartości sądzić, pozna czytelnik z następujących sprawozdań.

Dwa światy przedstawia „Przystań“ [1] Julii Terpiłowskiej. Jeden rwie się całą siłą młodej duszy do ideałów i nie ustaje na tej drodze mimo przeszkód i trudów, aż zawija do przystani, w której znajduje spokój i otuchę. Tą przystanią jest dla Zygmunta złączenie swego losu z losem zacnej, uczciwej dziewczyny po wczesnem jeszcze zerwaniu węzła w niebacznej chwili zadzierzgniętego, dla Jana zaś odnalezienie żywej, dziecięcej wiary, której brak był jedyną przeszkodą do poślubienia blizkiej krewnej wiejskiego proboszcza. Świat drugi, to książka bez treści, to świat zakuty cały w formalizm, nie myślący

[1] Julia Terpiłowska: „Przystań“. Powieść współczesna. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1903.

o jutrze, żyjący tylko dla siebie i swej wygody, poza szablonem form towarzyskich i to bardzo powierzchownych, niczego niewidzący. Na tem tle rysują się charaktery. Możnaby wprawdzie zarzucić, że autorka nie równomiernie rozdzieliła światła i cienie, a tam gdzie rzuciła światła, rzuciła je tak silnie, że wszelki cień, wszelka ciemność pierzchła, skutkiem czego nabierają te charaktery barw zbyt idealnych; ale za to, jak logicznie, z jaką psychologiczną znajomością duszy są one przedstawione, jak szczególniej typy tego drugiego świata realnie odrzynają się od podkładu. Z rzeczywistem zrozumieniem serca maluje autorka tę przepaść, jaka się zarysowuje nieznacznie i powoli między Zygmuntem i jego pierwotną narzeczoną, Mewą, aż po widocznej zdradzie ze strony tego motyla, co odwrotnym trybem z motyla przemieniał się w poczwarkę, porozumienie zostało wykluczone. Przemiana dokonywująca się w duszy Jura występuje wyraziście: braki wychowania, zły przykład Paryża, zawód w miłości pozbawiły go wiary; życie samotne na łonie przyrody, rozmyślanie, towarzystwo, wpływ siostry, częściowo studyum bezstronne a głębokie każą mu złożyć uprzedzenia; nadzwyczajne prawie wyratowanie z grożącego niebezpieczeństwa wraca mu pierwotną wiarę. Dużo w życiu znaleźć lalek, podobnych pani Mimi, która własnemu synowi każe się nazywać córuchną, która jest bardzo religijną, bo żyje nadzieją zagrobowego szczęścia i nerwową bojaźnią piekła, choć wie, że tam nie pójdzie, gdyż chowa przepisy kościelne, przynajmniej te, które nie są uciążliwe ani trudne i strzeże się grzechu ciężkiego, za jaki uważa jednak tylko złodziejstwo, pijaństwo, zabójstwo i wykroczenia przeciw moralności, lecz te jedynie, które przechodzą ostateczne granice. Do kościoła nie chodzi, bo nerwy nie pozwalają jej na to, postów nie zachowuje, bo doktór orzekł, że pod karą utraty świeżości cery musi jeść befsztyczek trzy razy na dzień; za to w niedzielę idzie do liliowego gabinetu, każe ogrodnikowi uwieńczyć statuę Madonny, a panna Florentyna gra na fortepianie jakiś hymn lub *Ave Maria* — et i surrogat za nabożeństwo. W piątek pali w lampce z różowego kryształu aromatyczną oliwę przed ukoronowanym Chrystusem Reni'ego — ofiara za post. Spowiada się co roku około Zielonych Świąt w Krakowie, u spowiednika odpowiedniego dla pań z towarzystwa, choć jest po tem przejściu przez tydzień fatalnie zdenerwowaną. Jak silnie i korzystnie odbija od tej bezmyślnej postaci siostra Jura, Malwa, a szczególnie zachwycająco urocza, choć trochę bierna, synowica proboszcza, Klara. Aby jednak uspokoić uprzedzonego czytelnika, który gotów wietrzyć w tej powieści klerykalną robotę, możemy za-

pewnić, że choć cała powieść jest tak poczciwa i choć od długich czasów po raz pierwszy znów pojawia się w niej a nawet dość wybitne zajmuje miejsce sympatycznie nakreślona postać wiejskiego proboszcza, niegdyś wygnańca z nad brzegów Angary, człowieka zacnego, inteligentnego i w dobrem znaczeniu postępowego, to jednak nudów w tem wszystkiem ani śladu; owszem sceny, w których pojawia się np. Mewa, są nader zajmujące i zupełnie modne. Za uczciwą tendencyę, za zdrowy sąd, za piękne często w tok opowiadania wplatane udatne opisy, za zaciekawiające przeprowadzenie rzeczy autorce z pewnością wdzięczność się należy; nie jej wina, że niektóre sfery tak czarno wypadły.

Naszego pochlebnego sądu nie możemy w całej rozciągłości powtórzyć o powieści „Obok szczęścia“ [1] Aliny Świderskiej. Właściwie trudno zrozumieć, w czem autorka widzi to minięcie się ze szczęściem; czy w zerwaniu małżeńskich związków Łucyi z Edmundem, czy, co się wydaje również dość prawdopodobnem, w nienawiązaniu związków nielegalnych z potajemnie kochanym Bystrzycem. Przyjmując to drugie, powieść utraciłaby wiele na swej wartości moralnej; przyjmując zaś pierwsze, traci na swej wartości artystycznej, gdyż tę myśl trudno z powieści, tak jak jest, wyłowić. Pominąwszy ten błąd interesuje nas w powieści inna jej strona. Występuje tu niejako *pendant* do Litki z „Połanieckich“, siedmioletni Wituś, syn pani Łucyi. Jest to nie tylko dziecko cudowne, ale i prawdziwe *enfant terrible* w najszerszem tego słowa znaczeniu. Z jednej strony to dziecko prawdziwe, z drugiej nad wiek rozwinięty młodzieniec. Zdaje sobie sprawę z niejasnego stosunku matki, która po separacyi z mężem żyje jako nauczycielka w Krakowie; ocenia jej stosunek do Bystrzyca, zastanawia się nad tem, że ojciec chyba nie z wielkiego kochania mamę porzucił, zgłębia wszystkie tajemnice matki i wykazuje tyle rozumu, że i dorosły człowiek nie zawsze takim poszczycić się może. A przytem niezwykły wpływ wywiera na matkę. Ta zacna, lecz w wysokim stopniu nerwowa i przeczulona kobieta, poddaje się wszelkim kaprysom swego syna, drży zazdrośnie o jego miłość, wtajemnicza go w swoje najgłębsze uczucia, a często gdy wobec kaprysów i uporu Witusia zastosowanie trzcinki byłoby zupełnie na miejscu, ona przed obrażonym się upokarza i do formalnych przeprosin się poniża. Dobrego serca pani Łucyi nie

[1] Alina Świderska: „Obok szczęścia“. Powieść współczesna. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904.

odmówimy, rozumu za to przyznać jej wiele nie możemy, inaczej chyba musiałaby swoje dziecko wychowywać. Postać Witusia, choć w niejednej scenie zjedna sobie czytelnika, jest na ogół chybiona. Całość przeto powieści robi wrażenie nie koniecznie dodatnie, znać nierównomierne jej wykończenie; siła autorki leży w malowaniu pojedynczych scen. Te pojedyncze sceny są wcale udatnymi obrazami; tak np. pierwsze zaraz kartki chwytają za serce, tyle w tym opisie imienin pani Łucyi swojskiego uroku, tyle ciepła, tyle świeżości. To samo można powiedzieć o epizodzie włoskim, gdzie w tej przeczulonej duszy aż zadziwia energiczna walka z powstającą namiętnością i głębokie pojęcie obowiązku. Nie naszem zadaniem jest dawać autorce rady, zdaje się jednak, że więcej potrafiłaby zdziałać na polu noweli, jak romansu.

Najnowszą znów powieść Rodziewiczówny „Macierz“ [1] czyta się jednym tchem. Myślą w tej powieści zawartą, jeżeli się nie mylimy, jest uszlachetnienie kobiety przez miłość i macierzyństwo. Nie jesteśmy jednak pewni, czy tę myśla utorka dobrze przeprowadziła. Bezkorzystnem byłoby wprawdzie robić autorce zarzut z tego, że w tej przemianie przeoczyła i pominęła zupełnie wpływ elementu moralnego i religijnego — na jednem tylko miejscu o nim trochę wspomina. Mniej jednak podoba nam się fakt, że do przeprowadzenia tezy użyła autorka postaci kobiety, która do macierzyństwa doszła na drodze bardzo ślizkiej. Prawda! tryumf autorki byłby tem większy, gdyby wykazała, że nawet taką kobietę macierzyństwo uszlachetnić potrafi, w tym jednak wypadku, naszem przynajmniej zdaniem, autorka tego nie wykazała. Doświadczenie życiowe mówi całkiem co innego, a powieść w obecnej formie mogłaby stać się trochę niebezpieczną, tem bardziej, że to uszlachetnienie jest dziwnie ciekawe, coś w rodzaju niezależnej moralności. Jedna szczególniej rzecz uderza nas w charakterze Magdy. Pomijając już jej stosunek do Szczepańskiego, stosunek, którego nie potrafimy dobrze zrozumieć, a który narzuca nam myśl, że Magda jest trochę patologiczną w swej miłości względem niego, który tak brutalnie wobec niej zawsze się zachowywał, a z pewnością jest już wyjątkiem w zwykłym stanie rzeczy, nie rozumiemy zupełnie jej dziwnej dumy i jej uporu. Upór ten nie jest normalny i naraża ją na niepotrzebne trudności i rozterki moralne. Jakaż była np. racya, że powtórnie opuściła dom ojcowski, gdy ją zaczepiła banda niesfornych pijaków; to zaczepienie mówić jej

[1] Marya Rodziewiczówna: „Macierz“. Powieść. Warszawa. Druk S. Niemiry. 1903.

mogło, że w opinii ludności swej wioski nizko stoi (choć to w tym wypadku się nie sprawdzało), ale na takie i większe upokorzenia była już przedtem przy powrocie do domu narażona. Poza tem powieść ma wiele dodatnich stron. Charakter Magdy cechuje jakaś pierwotna, żywiołowa siła. To kobieta, w której w gruncie rzeczy dużo dobrego się znajduje, a tylko zaślepienie i upór przywiodły ją do tego nędznego stanu. Cała tryska życiem i energią, a ten hart woli pozwala jej dokonywać nadzwyczajnych rzeczy. Jak jakieś ustępy z powieści indyjskich brzmią dwa najbardziej może interesujące miejsca książki: pobyt samotnej Magdy na błotach, w ukryciu, gdzie noga ludzka dotrzeć nie mogła, i drugi pobyt z babą w pustkowiu leśnem. Może kto zarzuci tym miejscom gonienie za senzacyą lub nieprawdopodobieństwo, ale to się podoba. Jest tam i tragizm i idyla i jakaś dzika poezya unosi się nad tymi ustępami, a zmienia się ona czasami w rzewność i łagodność.

Dużo słabiej przedstawia się Emmy Jeleńskiej „Z miłości“ [1]. Pobrali się z miłości, ale niedobrane to pary, brak między niemi porozumienia się, brak pokrewieństwa dusz, więc też brak im szczęścia. Mąż nie wciela żony w swe zamiary, nie dzieli się z nią swymi myślami, uważa ją pod tym względem za dziecko a ona czuje się obcą w domu swoim i wobec męża; sympatya rwie się coraz bardziej aż od definitywnego wiarołomstwa Wandę ratuje samobójstwo. Myśl bardzo rozumna. Do wspólnej drogi na całe życie nie wystarczy sama miłość, jeżeli nie będzie się opierała na obopólnem zrozumieniu i cenieniu się. W rozwinięciu jednak tej myśli powieść szwankuje, brak jej psychologicznego obrobienia charakterów. Karol jest szlachetnym, — w to ostatecznie chcemy wierzyć: jest wielce inteligentnym, tak przynajmniej mówi jego żona a wtóruje jej autorka — to już jest nieprawdziwem. Jak przynajmniej tłumaczyć sobie, że ten wielce inteligentny człowiek nie poznaje, że jego postępowanie musi zrazić duszę żony, że dziwi się, łamie sobie głowę, czem zrazić ją mógł, chociaż żona sama często nasuwała mu myśl, która mu mówiła, czego ona od niego żąda, że wreszcie po siedmiu latach ostrzeżony dopiero przez Julkę, przyjaciółkę żony, błąd swój poznaje? Wszak i Julka i przyjaciel Karola, Rucz, od razu to spostrzegają; sposób zaś, w jaki Julka rzecz sobie tłumaczy (str. 194), nic nie wyjaśnia. I Wanda jest mądrą, gorącą, postę-

[1] Emma Jeleńska: „Z miłości“. Powieść. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff.

pową, w stosunku z mężem szuka pokrewieństwa dusz; jak więc jest możliwem jej grzeszne przywiązanie się do kuzyna Lutka, tego prawdziwego dzieciaka o ptasim mózgu i nerwach histeryka? Wszak o pokrewieństwie dusz w tym wypadku i mowy być nie może? Znajduje się więc kardynalny błąd w przeprowadzeniu rzeczy, a zakończenie nieumotywowane. Wanda twierdzi, że żyć nie może! Dlaczego? Pięknie to wprawdzie, raczej umrzeć, aniżeli złamać wiarę małżeńską, ale ta wiara już była właściwie złamaną, a nic Wandy nie zmuszało, żeby aż do ostateczności się posunęła i nowego życia nie rozpoczęła. Przecież w decydującej chwili, gdy stała nad brzegiem rzeki, w której za chwil parę pogrążyć się miała, to życzenie gwałtem w niej powstawało.

Całkiem już inne wrażenie robi „Szablon“ [1] Orlicz-Garlikowskiej. Rzadko w dzisiejszej literaturze znaleźć książkę, której tytuł odpowiadałby tak dokładnie treści, jak to w powyższej powieści się dzieje. Szablonem są te pozornie zdrowe, a w istocie chore dusze, które autorka nam przedstawia, te aż za dokładnie znane dzieje niedobranego małżeństwa, które powoli lecz pewnie prowadzą do sprzeniewierzenia się uczynionym ślubom, te wycieczki przeciw „etykiecie moralności“, to znaczy przeciw nierozerwalności małżeństwa, takie przedstawienie świętości Kościoła np. spowiedzi, które najgorsze na nie rzuca światło, to zagłębianie się w tajemnice życia i wiary, których się nie rozumie, a stąd też fałszywie oświeca, ta doskonałość ludzi, którzy zerwali z siebie „etykietę moralności“ i mają w sobie coś z nad-ludzi, ta cała galerya zwyrodniałych, wstrętnych w swej bezmyślności typów, to wreszcie lubowanie się w błocie. O jedną tylko nieszablonową kwestyę potrąca autorka, o kwestyę śląską; ale pomijając już to, że trudno sobie zdać sprawę, jak kwestya śląska łączy się z treścią powieści, zabarwienie, jakie p. Garlikowska daje tej sprawie, zniechęca do ludzi nią się zajmujących i konsekwentnie do kwestyi samej. Nieszablonowymi są jeszcze niektóre opisy i najpiękniejsza z wszystkiego rzecz: wytworność wydania.

Pan Żmudzki w swym „Trędowatym“ [2] nie odbiegł daleko od p. Orlicz-Garlikowskiej. Nie o trądzie ciała tu mowa, lecz o trądzie

---

[1] H. Orlicz-Garlikowska: „Szablon“. Powieść. Warszawa. Drukarnia P. Laskauera i Sp. 1903.

[2] Wacław Żmudzki: „Trędowaty“. Z pamiętników psychopaty. Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903.

duszy, a ten trąd zaszedł już bardzo daleko. Pan Żmudzki, jak to z jego dawnych utworów widocznem, odtwarza czasami i zwierzęce objawy rozkiełznanych namiętności, nie cofa się też przed niemi i w niniejszej powieści. Wpływ Przybyszewskiego tak w wyborze, jak i w rozwinięciu rzeczy, widoczny na każdej kartce. Dziwne to zamiłowanie do kreślenia chorobliwych charakterów, bo w całej książce zdrową chyba tylko na chwilę pojawiająca się Pawlukowa, choć i to zdrowie dość podejrzane, i Leon, przyjaciel Skalskiego; niemniej dziwnem to zawiłe, ciemne, urywkowe przedstawienie rzeczy, które może jest bardzo modnem, ale które męczy czytelnika, chcącego sobie zdać jaką taką sprawę z postępu akcyi. Choć „Trędowaty“ niewiele się różni od „Szablonu“ pod względem moralnej wartości, przewyższa go jednak zewnętrzną formą. Jest talent w tej powieści. Obrazy barwne, proces odbywający się w duszy Skalskiego, narysowany wyraziście, a jeżeli już za punkt wyjścia weźmiemy chorą duszę, także i wiernie.

I jeszcze jedna powieść na tle wiarołomstwa: „Jak to się kończy...“ [1] Daniłowicz-Strzelbickiego. Kończy się złamaniem wiary małżeńskiej, zburzeniem rodzinnego szczęścia, trucizną i brutalnym egoizmem. Nie myślimy podsuwać autorowi jakichś złych intencyi; sądzimy przeciwnie, że kierowały nim najlepsze zamiary; zdaje się nam jednak, że kobiety, którąby zeszła na tę drogę, na jakiej znalazła się Zosia, powyższa książka z tej drogi nie zawróci. Potrzeba niesłychanie wiele taktu i wiele moralnej delikatności, by tak drażliwą kwestyę poruszyć a nie pójść za daleko. Tego taktu i tej delikatności trochę brak w tej książce; pokazuje się to choćby i stąd, że mimo swego wielkiego upadku i trwania w nim, Zosia aż do końca posiada sympatyę czytelnika, którego uwagę absorbuje zupełnie siła jej występnej miłości, nie pozwalając mu potępić sprzeniewierzenia się obowiązkowi i rozpatrzeć się w ostatecznym losie wiarołomnej. Zresztą każdy sobie powiedzieć musi, że nie wszyscy uwodziciele są Brzozowskimi i że gdyby Zosia trafiła była na szlachetniejszego, mogła była być szczęśliwą. Takie „sceny z życia“ w życiu niestety często się powtarzają i silniejszego lekarstwa na ich uleczenie potrzeba. Artystycznej wartości tak w pojęciu jak i w przeprowadzeniu rzeczy w tej powieści niewiele.

* * *

[1] Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki: „Jak to się kończy...“ Sceny z życia. Warszawa. 1903.

Następne trzy dzieła mają temat pokrewny; dwie pierwsze przedstawiają stosunki polskie w Poznańskiem, obie atoli z innego punktu. „Zwycięzcy“ [1] Gruszeckiego malują epizod z wojny francusko-pruskiej. Podpułkownik, książę Zasławski, otrzymuje od generała Werdera rozkaz, by oczyścił z franc-tireurów okolicę. Cieszy się z uznania młody żołnierz nie przeczuwając zasadzki. Wojsko zajmuje Landricourt; książę zwołuje sąd wojenny a wszyscy prawie ci Niemcy, brutalni i Zasławskiemu niechętni, głosują za karą śmierci na winnych zbrodni dopomagania wolnym strzelcom. Podpułkownik poznaje, że aby go w oczach świata zohydzić, przeznaczono mu rolę kata, ale musi potwierdzić wyrok między innymi i na proboszcza miejscowego i na właścicielkę wioski wraz z jej córką Rénée de Villourez; z tą ostatnią zapoznał się roku ubiegłego na Riwierze i nić sympatyi zaczęła się nawiązywać między nimi. Wyrok wykonano natychmiast. Gazety zagraniczne pisały ostre artykuły przeciwko katowi i mordercy Zasławskiemu, w nocy pojawiły się przed nim trupy pomordowanych a generał Werder zganił go jeszcze publicznie, że za łagodnie sobie postąpił. Książę podał się więc do dymisyi i zamieszkał w Olchowicach w Galicyi; tu zapadł na umyśle, pisał dzieło „Prawda o morderstwach w Landricourt“, przyczem duchy pomordowanych wydawały mu świadectwo w rzeczach wątpliwych, aż w chwili silniejszego ataku padł rażony apopleksyą. Smutne wrażenie wywołuje ta powieść. Jedna w niej tylko sytuacya, ale stopniowanie uczuć doprowadza tę sytuacyę do tragizmu. Obrazy wojny ponure, sylwetki podkomendnych oficerów aż wstrętne w swej brutalności i w swem okrucieństwie, zrzadka tylko jaśniejsza chwila znajduje się w tej grozie. Duch pruski, tak jak go znamy dzisiaj, w nienawiści swej do wszystkiego co polskie, pojawia się w całej swej nagości i pokazuje, że nie można po nim się spodziewać ani miłosierdzia, ani nawet sprawiedliwości.

Nie tak czarno przedstawia się nowo wydany „Różycki“ [2] Jeske-Choińskiego. Prześladowania pruskie przyprowadzają państwowego urzędnika, który dotychczas czuł jak Niemiec, że czuje się Polakiem, zmienia swoje przybrane nazwisko Ruhsitzke na imię przodków Różyckich, zostaje przeniesiony przez rząd do niemieckiego miasteczka na Śląsk,

---

[1] Artur Gruszecki: „Zwycięzcy“. Powieść. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1903.

[2] Teodor Jeske-Choiński: „Różycki“. Powieść na tle stosunków poznańskich. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1903.

zaziębia się i umiera, a po śmierci przenoszą jego ciało do ukochanych Pleszowiec, by tam w polskiej ziemi czekało wielkiego dnia zmartwychwstania. Rozwinął więc autor tu myśl, której nie umie czy też nie chce zrozumieć najezdczy rząd, że prześladowanie nie zgnębi, lecz rozbudzi ducha narodowego, a rozwinął ją dość szczęśliwie. Spokojne, ciche życie Polaków i Niemców przed kulturkampfem wiernie namalowane; psychologicznie wyłania się widmo niezgody, wywołane nurtowaniami wszechniemieckich urzędników, stopniowo rozszerza się przepaść lecz wzmaga się równocześnie odporność i miłość kraju. Wyjazd Różyckiego do śląskiej mieściny jest tryumfem, jeszcze większym tryumfem jego powrót, choć dopiero po śmierci. Jak ostatni dźwięk wielkanocnego dzwonu brzmi nuta nadziei: „Prześladowanie jest jak krwawy deszcz, który użyźnia nawet popioły. Wyrośnie z niego niebawem wspaniały kwiat poświęcenia i ofiarności, który zmoże wszelaką złość. Nie zginiemy!...“ (str. 234).

Niemniej zainteresuje czytelnika z pewnością „Sergiusz Wasilewicz Gardow“ [1] Józefa Glady. Treścią stosunki polskie pod zaborem rosyjskim. Starych znajomych spotykamy w tej powieści. Znamy ich już z innych dzieł nie tylko polskich, ale i rosyjskich. Autor wniknął dobrze w to, co Niemcy nazywają *Russland daheim* i dał bardzo wierny obraz ludzi i rzeczy. To też w całej swej oryginalności wyłaniają się z książki charaktery — ludzie to płascy, ograniczeni, dobroduszni i źli zarazem, tak prawie, jak sławni bohaterzy Lejkina, tylko stokroć chytrzejsi od nich, zwłaszcza gdzie chodzi o zysk, a względnie o dokuczenie Polakom; proces, jaki się w duszy Gardowa odbywa, uwidoczniony z wielką prawdą. Autor nie jest bardzo oryginalnym w samym pomyśle — nic tak dalece nowego u niego nie znajdujemy: zasługa jego i oryginalność leży w opracowaniu tematu, w tem życiu, jakie z każdej stronicy tryska, w plastyce, która każdy charakter i obraz uwidocznia, w tem szczęśliwem zszeregowaniu i wyborze scen, z których każda coś nowego do utworzenia sobie dokładnego pojęcia o całości dorzuca. Pod tym względem cechuje powieść niepoślednia wartość, która nie pozwoli żałować trochę czasu na jej czytaniu spędzonego; gdyby pod tytułem położyć napis „tłumaczenie z rosyjskiego“, tylko z tych ustępów, w których pojawiają się sympatyczną ręką kreślone charaktery polskie, domyślićby się można, że książkę pisał nie Rosyanin, lecz Polak.

* * *

[1] Józef Glada: „Sergius Wasilewicz Gardow“. Powieść współczesna w dwóch tomach. Kraków. Nakładem St. Gajewskiego. 1903.

Znalazło się wreszcie na półkach księgarskich i kilka powieści historycznych; dwie z nich pojawiły się w nowem wydaniu. Są to „Mirtala“ i „Czciciel potęgi“ [1] Orzeszkowej. Pierwsza z czasów zburzenia Jerozolimy, to prześliczna idylla z jasnem rzymskiem niebem i klasycznym spokojem rzymskiego życia. Dziwnie urocze światło pada z tej powieści na niektóre typy żydowskie. Zniewala sobie serce z wielkim wdziękiem narysowana postać młodej Mirtali i to delikatnymi rysami namalowane uczucie, jakie w jej duszy budzi się względem wytwornego patrycyusza, Artemidora. Nie brak jednak i potężnych, tragicznych strun, które kontrastem swym jeszcze silniej od całości odbijają, a już żal ma się do autorki za tak smutne zakończenie, ale znowu w pojęciu, jakie autorka dała bohaterowi, nie mogło się stać inaczej. O innych dodatnich własnościach, jak np. o piękności opisów, które prawie hypnotyzują czytelnika, niema i co wspominać; są one u Orzeszkowej zrozumiałe i naturalne.

„Czciciel potęgi“ mniejsze już wywołuje wrażenie. Myśl wprawdzie w tej powieści głębsza od poprzedniej: uwielbianie i służenie ziemskiej potędze szczęścia nie przyniesie, są jeszcze inne dobra ponad ziemskiemi. Uzasadnienie tej myśli również nic do życzenia nie pozostawia, przeprowadzenie zato słabsze, co jednak zdaje się wynikać z natury rzeczy. Więcej tu refleksyi i filozofii; akcya nie płynie tak lekko i swobodnie, przerywają ją długie, spokojne opisy. Te obrazy z zamierzchłej przeszłości perskiej chwały za Kserksesa, oddane nie tak na mocy studyów historycznych, jak raczej na mocy intuicyi autorki.

W mniej już odległe czasy wprowadza nas Jeske-Choiński w powieści „O mitrę hospodarską“ [2]. Obrabia on temat nadający się bardzo do powieści. Łaski usiłuje pozbawić tronu hospodara mołdawskiego, Aleksandra Lepuszniana, a w zamian hospodarem zrobić przyjaciela, awanturnika Bazylika Heraklidesa. Pierwszą wyprawę rozbija Sieniawski, druga udaje się; Lepusznianu ucieka, Heraklides zajmuje jego miejsce, lecz po upływie roku bojarzy buntują się; w rokoszu ginie Heraklides, wtenczas właśnie, gdy Łaski z hufcami spiesząc na pomoc, wychylał się z lasów bukowińskich. Autor nie przerywa akcyi, płynie

---

[1] Eliza Orzeszkowa: „Mirtala“. Powieść. Wydanie nowe. — „Czciciel potęgi“. Powieść. Wyd. nowe. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1903.

[2] Teodor Jeske-Choiński: „O mitrę hospodarską“. Powieść historyczna z XVI stulecia. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1904.

ona nieustannie, aż dochodzi do zenitu w ostatniej, prawdziwie bohaterskiej walce Heraklidesa. Na szczególniejszą pochwałę zasługuje historyczne pojęcie awanturnika. Był on istotnie człowiekiem chytrym, ambitnym, szukającym jedynie swego zysku, lecz chytrość jego nie była bynajmniej polityką; to też osiągnąwszy swój cel, nie potrafił się długo przy nim utrzymać i zginął. Szkoda tylko, że tej ostatniej myśli autor dość nie uwidacznia; jedną z głównych przyczyn upadku Heraklidesa jest według niego zawiedziona miłość próżnej kobiety; ta znów kobieta, Mołdawianka Laura, urobiona zanadto według ogólnego szablonu, z jakim wielka część ludzi wyobraża sobie kobiety wschodnie. Tło historyczne, o ile dotyczy ono polskich stosunków, jest wierne; natomiast nie potrafimy sobie urobić jasnego pojęcia, jak wyglądało rzeczywiście w Mołdawii; rysy, malujące nam tamtejszy kraj, są za ogólne. I to tworzy dodatnią stronę powieści, że charakterystyka osób podana w słowach, zgadza się prawie zawsze z ich postępowaniem rzeczywistem. Jeżeli mówi np. o Łaskim, że jest „utkany z siarki, z płomieni i z wichrów“ (str. 135), lub o Laurze „ogień był twoim panem ojcem, burza twoją panią matką“ (str. 355), to trzeba powiedzieć, że do tego samego wniosku może dojść sam czytelnik, badając postępowanie odpowiednich osób. Szkoda tylko, że piękny charakter Krystyny, córki Zborowskiego, wypaczył uwagą, że była ona katoliczką, ale ze względu na ojca brała udział w nabożeństwach innowierczych; ta dużą plamę na Krzysię rzucająca uwaga mogła być zupełnie dobrze pominiętą. Niczego za to nie możemy zarzucić talentowi opisowemu autora; tam jest on i oryginalnym i swojskim i malowniczym i wiernym. Takich scen, jak w Krakowie w winiarni Falendysza, jak nocna wyprawa z Rytwian do Kezmarku i rozpędzanie wilków, jak niektóre chwile z ostatnich walk, chcielibyśmy mieć więcej. Choć tu i ówdzie znać wpływ Sienkiewicza, nie sądzimy, żeby to obniżało wartość powieści; tego wpływu trudno się uchronić, a zawiele go nie znać.

Z siedemnastego wieku powieść kreśli Gomulickiego „Miecz i łokieć“ [1]. Miecz i łokieć — to stan rycerski i stan kupiecki; obraz tych dwóch stanów daje nam autor, szkoda tylko, że jego jednostronność dała obraz niezupełny, może nawet niesprawiedliwy. Wady i zalety znajdowały się po obu stronach, tymczasem powieść przedstawia nam z stanu kupieckiego same ideały, boć przecież trochę

[1] Wiktor Gomulicki: „Miecz i Łokieć“. Powieść z w. XVII. 2 tomy Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1903.

ujemnie namalowana postać starej Drewnowej rzeczy nie zmienia; stan rycerski a więc szlachtę reprezentują same potwory. Nawet te postaci, na które dzisiaj z uwielbieniem patrzymy, postaci Żółkiewskiego i Chodkiewicza przedstawiają się w ujemnem świetle. Mniejsza już o to, że geniuszu tych wodzów, o którym często autor mówi, w powieści właściwie wcale nie widzimy uwydatnionego, z wyjątkiem jednej chyba sceny z pod Chocimia; drobnostkowa jednak niezgoda, jaka między obu wodzami panuje, ich dziecinna zawiść i zazdrość nie pozwalają nam ich dobrze ocenić. Powieść jest historyczną, możnaby ją jednak niemniej słusznie nazwać historyczno-senzacyjną; gonienie za senzacyą na każdym pojawia się kroku, a tej senzacyi towarzyszy nieprawdopodobieństwo, jakie wogóle senzacyę cechuje. Mamy tu więc podsunięcie dziecka, tylko że ojciec do końca życia zbrodni nie poznaje; dziecko to znika i znajduje się, a od czasu do czasu jakieś tajemnicze siły uwiadamiają znękanego ojca o życiu zaginionej córeczki. Jest tu i Czarny doktór, figura *à la* Cagliostro, wiecznie młody i w różnych pojawiający się postaciach; raz on doktorem, to znowu uczonym, to pielgrzymem, to wreszcie hersztem zbójców morskich. Występuje zawsze tam, gdzie nikt się go nie spodziewa, lecz gdzie jest bardzo potrzebny. Postać ta otoczona całą atmosferą niepodobieństw. Jak wytłumaczyć sobie np. fakt, że herszt zostaje zamknięty we więzieniu o murach półtorałokciowej grubości, o oknach zakratowanych, o drzwiach podwójnie blachą obitych, a jednak gdy rano przychodzi strażnik, znajduje więzienie puste, tylko na ścianie błyszczy czerwony napis: *Crux Christi Corona Christianorum?* Autor faktu nie tylko nie tłumaczy, ale nawet domysłu żadnego nie narzuca. O jedynej rzeczy, któraby mogła coś tłumaczyć, o istnieniu sekty Bractwa Róży i Krzyża, których członkiem widocznie był Czarny Doktór, nic nie słyszymy. Charakterystyka osób wypadła też nie koniecznie dodatnio. Ten Czarny Doktór jest zawsze wszechmocnym, a traci całą swoją siłę i znaczenie, stając wobec Drewnowej, której zarzuca podsunięcie dziecka; nie tak przygotowywał on swoje wystąpienie w ciągu całej powieści. Autor staje czasami nawet w sprzeczności z sobą. Tak np. na stronie 343 pierwszego tomu prowadzi Drewno filozoficzną rozmowę z Czarnym Doktorem, bo „długie zatapianie się we własnej duszy nauczyło Drewnę myślenia ścisłego, poniekąd nawet filozofii. Zawsze zresztą miał pociąg do ksiąg, czytał wiele“ i t. d. Tymczasem już na str. 349 słyszymy, iż „czytanie mu nie szło, że z największą tylko trudnością przyswajał sobie i to bardzo powoli, treść książki, „bo najczęściej

mózg jego bywał jak grób pusty". Niefortunne wycieczki przeciw duchowieństwu z pewnością wartości książce nie przyczyniają, przez opuszczenie sceny z Jagą na Kępie, dzieło nicby nie utraciło; dobrzeby też było zwrócić uwagę na poprawniejsze używanie słów łacińskich. Pomijamy *poetus*, ale *coram populi* lub *morimus* mniej się już podobają. I jeszcze jedna uwaga. Niemiło to mówić *pro domo sua*, ale czy pan Gomulicki naprawdę sądzi, że Jezuici są takimi, jak on ich przedstawia? Świadczyłoby to nie bardzo pochlebnie o wiadomościach autora. Sceny, w których w powieści pojawiają się Jezuici, przypominają żywcem „Żyda tułacza" i rozmaite „Tajemnice"; brak tylko sztyletów i trucizny, chociaż z „klasztorku" dochodzą jęki, brak tylko zapadających się podłóg i rozsuwających się murów, chociaż za to drzwi cichutko ni stąd ni zowąd w całym klasztorze się otwierają; poza tem jest wszystko, co mniej więcej o Jezuitach wiemy — a więc ich potęga, wpływy, ograniczoność, chytrość, złość, jakaś tajemniczość, mieszanie się w nieswoje rzeczy i dużo innych podobnych własności. Odpowiednie ustępy powieści są ciekawym przyczynkiem do zakordonowych pojęć o Jezuitach.

Mimo tych usterek nie odmawiamy powieści wybitnej wartości; język jej piękny, całość bardzo barwna, materyał obfity: rokosz Zebrzydowskiego i wojna chocimska, pożar Warszawy i czarna śmierć; niektóre charaktery, jak poety Piotra Quercusa, wcale ciekawe; Krzyś, Dąbek lub Hanusia nie mogą się nie podobać. Dziwne jednak, choć niekoniecznie niefortunne wrażenie wywołują wycieczki przeciw wojnie; czyżby to może było pod wpływem filozofa z Jasnej Polany?

Na zakończenie jeszcze kilka słów o „Skarbcu Króla Kazimierza" [1] przez Stasiaka. Tom ten należy tu tylko częściowo, składa się on bowiem z różnych nowel i obrazków z życia współczesnego wyjętych; ściśle historycznym jest tylko pierwszy utwór zbiorku „Skarbiec króla Kazimierza w przepaściach bocheńskiej żupy", kilka scen z najazdów szwedzkich za Jana Kazimierza. Nie wielkie to rozmiarami, ale za to bardzo udane, tyle tam życia, tyle poczciwości, tyle rzewnego uczucia, tyle siły i plastyki w malowaniu sytuacyi, aż żal, że tak prędko się kończy. Szkoda tylko, że autor wzniósł pewien rozdźwięk w te śliczne obrazy niefortunnym demokratycznym występem burmistrza Bochni; takie myśli w danem położeniu nie bardzo były na miejscu i nie

[1] Ludwik Stasiak: „Skarbiec króla Kazimierza". Warszawa. Synowie St. Niemiry. 1904.

bardzo psychologiczne. Zamknięcie porucznika von Pensa w grobowcu lub straszna śmierć, jaką najeźdzcom szwedzkim w podziemiach górnicy zgotowali, obraża trochę uczucie ludzkie i chrześcijańskie, ale w owych warunkach było to zrozumiałe. Wszystkie inne utwory zbiorku, a są one w treści wcale rozmaite, odznaczają się tą samą uczciwą tendencyą, tem gorącem zamiłowaniem piękna i dobra, które im wartość nadaje. Taki „Pojedynek“ powinien każdy przeczytać; nowela ta może więcej potrafi zdziałać w kwestyi pojedynkowej, jak uczone rozprawy.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ὁμήρου Ἰλιας. Λοιμός-μῆνις. Homera Iliada. Pomór-gniew. Wydał *Stanisław Wyspiański*. 1903. Kraków w drukarni Uniwersyteckiej. Nakład księgarni Altenberga. Lwów.

Książka to zasługująca z wielu względów na wielką pochwałę. Prof. dr. Sternbach opracował tekst grecki, ilustracye do tekstu dał Wyspiański, za tłumaczenie polskie przyjęto znaną parafrazę Słowackiego, stronę zaś zewnętrzną wydawnictwa przeprowadziła drukarnia Uniwersytecka w Krakowie tak sumiennie i umiejętnie, że słusznie może uważać to wydawnictwo za swoją chlubę.

Jak wiadomo, najlepszy kodeks Iliady jest wenecki Martianus 454(A). Na nim oparł swe wydanie Iliady z r. 1902 prof. królewiecki A. Ludwich (na uniwersytecie w Królewcu kwitną oddawna studya Homerowe), wydanie, które przyjęto z wielkiem uznaniem. Niemniej prof. Sternbach wziął tenże kodeks za podstawę swego wydania, ale wystarcza przeglądnąć jego adnotacye krytyczne, aby poznać, jak bardzo sumiennością i bystrością w korzystaniu z kodeksu przewyższył Ludwicha. Lecz to nie wszystko. Ten aparat krytyczny jest także wyrazem studyów długoletnich i mozolnych, głębokiej erudycyi, które profesorowi krakowskiemu zjednały sławę znakomitego krytyka.

Ilustracyi jest jedenaście. Wszystkie noszą na sobie piętno potężnej wyobraźni artysty, jego niezwykłego uzdolnienia do wyrażenia siły, rozpędu, zaburzeń namiętności. Godzi się jednak na tem miejscu zapytać, jaki ich stosunek do tekstu, a ściślej mówiąc, do wyobrażeń i ducha poezyi Homerowej. Zaprzeczyć się nie da, że malarz robił wstępne studya, i na ich podstawie potrafił ująć i wyrazić ducha ówczesnej epoki w kompozycyach, zresztą oryginalnych. Tego sądu uznania nie stosujemy jednak i do szczegółów wszystkich, są bowiem między nimi takie, które trzeba uznać za błędne. Do nich zaliczamy

przedstawienie (str. 11) dusz wiedzionych do Hadesu przez Hermesa; to nie są mary, cienie Homera, ale rzeczywiste ciała zabitych pomorem bohaterów greckich, ciała wlokące za sobą strzały łuku Apollinowego. Helios (str. 21) wyjeżdża z Oceanu na rumaku, poprzedzony Jutrzenką, która sama, bez zaprzęgu, wstępuje na niebo, a przecież powinno być raczej przeciwnie, skoro Homer mówi (przynajmniej w Odyssei) o koniach tej ostatniej, a Heliosowi ich nie daje. Homerowa Tetyda nie nosiła spodnicy, w jakiej każe jej malarz prosić o pomoc Jowisza, który znowu w swem obliczu nie zdradza tej potęgi i świadomości jej, jaką mu daje poeta, i który tyle zdaje się zważać, wbrew Iliadzie, na prośby Tetydy, co na stojącego obok swego orła. Zresztą ilustracye Wyspiańskiego, jak już zaznaczyliśmy, przedstawiają się wspaniale, zwłaszcza sceny z Apollinem, rażącym grotami pomoru (str. 13) lub Agamemno i Menelaus (str. 15).

Ks. B. Mączka.

Z piśmiennictw obcych.

Katholische Moraltheologie. *Dr. Joh. Pruner.* Dritte neubearbeitete Auflage. Herder. Freiburg im Breisgau. I B. 1902, II B. 1903.

W ostatnich czasach rozprawiano wiele o teologii moralnej: o jej treści, zakresie i metodzie nauczania. Dysputy toczyły się nie tylko w zamkniętem kółku uczonych katolickich, ale przeniosły się i do czasopism teologicznych a nawet i do dzienników przeznaczonych dla szerszej publiczności. Ohydny pamflet Grassmanna przeciw teologii św. Alfonsa Liguorego pobudził całą rzeszę nieprzyjaciół Kościoła do nowych napaści na jego naukę, a z drugiej strony zniewolił uczonych katolickich do wystąpienia w obronie zaczepionej i spotwarzonej prawdy. Lecz i w obozie katolickim wszczęła się polemika. Poczęto podnosić w najlepszej, jak należy przypuszczać, wierze, liczne zarzuty, wprawdzie nie przeciw samej nauce moralnej Kościoła, ale przeciw metodzie nauczania w ostatnich czasach powszechnie niemal przyjętej. Brak systematycznego ujęcia przedmiotu, pominięcie prawie zupełne kwestyi w obecnej dobie aktualnych i lekceważenie nowych prądów moralnych w społeczeństwie ludzkiem, zbyt wiele kazuistyki a za mało umiejętnego i ściśle naukowego uzasadnienia praw obyczajowych, pewna

jednostronność nauki uwydatniająca przeważnie samą tylko ujemną stronę życia moralnego, t. j. grzech, jednem słowem brak postępu, zastój w nauce, oto niedostatki, których usunięcia domagają się reformatorowie, jeśli teologia moralna ma być tem, czem być powinna, nauką w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Nie mamy zamiaru odpierać tych zarzutów, o ile one dotyczą całej literatury moralnej najnowszych czasów, nie chcemy też wchodzić w ocenę pojedynczych zarzutów. Uczynił to między innymi moralista tej miary jak O. Lehmkuhl [1]. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w niejednem podręczniku szkolnym, należało więcej uwzględnić powyższe wymagania, o ile mają one słuszną podstawę.

Mamy właśnie pod ręką trzecie wydanie teologii moralnej zasłużonego profesora w Eichstätt, prałata Prunera. W tem wydaniu postawił sobie autor podwójne zadanie: „mieć zawsze przed oczyma wymagania naukowe, a równorzędnie odpowiedzieć praktycznemu celowi teologii moralnej, nie ograniczając się jednak wyłącznie na wskazówkach potrzebnych spowiednikowi w trybunale pokuty. Kapłan jest także nauczycielem prawa obyczajowego, wychowawcą dusz, doradcą wiernych, a teologia moralna i pod tym względem winna mu oddać potrzebne usługi".

Dzieło to „ma służyć jako podręcznik szkolny; ale zarazem przedstawić naukowo objawione prawdy obyczajowe i na nich osnute prawidła życia chrześcijańskiego".

Dzieło więc ma być naukowem — w takiem zaś słusznie domagamy się systematycznego podziału całej materyi, i naukowego uzasadnienia pojedynczych twierdzeń.

Jakiż jest podział całego przedmiotu? „Najlepszy system, mówi autor w przedmowie, będzie ten, który służy za podstawę samego prawa Bożego, czyli dekalogu... Taki system wymaga podziału nie według różnych warunków życia, w jakich znajdują się ludzie podlegli prawu moralnemu, ale według zakresu różnych obowiązków stanowiących razem jeden porządek moralny prawem Bożem określony". A więc podział autora: według obowiązków moralnych.

We wstępie daje nam jasne pojęcie teologii moralnej, wykazuje różnicę od innych gałęzi wiedzy teologicznej, podaje jej źródła, metodę, a wreszcie w trzech rozdziałach trafny pogląd na

---

[1] *Die katholische Moral-theologie uad das Studium derselben.* — *Stimmen aus Maria Laach.* 1901.

historyę nauki obyczajów od pierwszych wieków chrześcijaństwa aż do obecnej doby.

Ogólną teologię moralną dzieli Pruner na dwie części. W pierwszej: „O czynnościach ludzkich w samych sobie“, rozprawia o wolnej woli, o moralności, o sumieniu i prawdzie. Są to dobra dane nam przez Stwórcę, abyśmy przez spełnianie czynności moralnych mogli zdążać do celu wiecznego. A ponieważ cel ten jest nadprzyrodzonym, należało więc w tej części pomówić o wartości nadprzyrodzonej i zasłudze czynności ludzkiej. Pięknem zakończenieniem tej części jest dodatek: „O wolności dzieci Bożych“.

W drugiej części: „O działaniu łaski Bożej w człowieku i współdziałaniu człowieka“ mowa naprzód o cnotach, więc o cnotach w ogólności, o cnotach teologicznych, intelektualnych i moralnych, wreszcie o życiu doskonałem, następnie o grzechach jako winie zaciągniętej wobec Boga, i jako skłonności do grzechu.

Teologię specyalną, czyli naukę o obowiązkach obrabia autor w sześciu księgach:

I Obowiązki względem Boga bezpośrednio (obowiązki religijne. 1—3 przyk.).

II Obowiązki względem zastępców Bożych (*officia pietatis* i obowiązki społeczne. 4 przyk.).

III Obowiązki względem każdego człowieka z osobna, a więc obowiązki miłości i

IV Obowiązki sprawiedliwości (5 i 8 przyk.).

V Należyte uporządkowanie zewnętrznych władz człowieka (9 i 10 przyk.).

VI Obowiązki korzystania ze środków łaski Bożej dla życia nadnaturalnie moralnego, a więc o Sakramentach przeznaczonych tak dla wszystkich ludzi, jak i dla pojedynczych stanów z dodatkiem o Sakramentaliach.

Traktat o przykazaniach kościelnych rozdzielony między różne przykazania; o cenzurach kościelnych umieszczony w II księdze: o obowiązkach względem władzy, o stanach pojedynczych w ks. II i IV; o małżeństwie w ks. II i VI.

Oto w głównych zarysach treść i podział całego dzieła. Na pierwszy rzut oka może się on wydawać nieco zawikłanym i sztucznym, w rzeczy samej jest ściśle logicznym. Myśl jego przewodnia: spełnianie obowiązków — to droga do celu nadprzyrodzonego — stąd główną treść stanowi nauka o poszczególnych obowiązkach; czynniki potrzebne do

spełnienia tychże, to część ogólna — środki nadprzyrodzone udzielone nam w Sakramentach stanowią wykończenie dzieła.

Jakżeż obrabia autor swój przedmiot? czy wogóle to dzieło zaznacza pewien postęp w nauce moralnej? Jeśli mowa o postępie w teologii moralnej, to oczywiście nie można rozumieć postępu w samych zasadach; jak w dogmacie tak i w nauce moralnej zasady zmianie ulegać nie mogą, postęp zatem, jak uważa O. Lehmkuhl, może się ujawnić jedynie w metodzie a następnie zastosowaniu ogólnych i niewzruszonych zasad moralnych do nowych warunków życia ludzkiego. Otóż pod jednym i drugim względem dzieło Prunera powinno zadowolnić nawet najsurowszych, byle tylko sprawiedliwych krytyków.

A naprzód metoda autora jest ściśle naukową. Nie zadowalnia się postawieniem samego twierdzenia lub powierzchownem jego wytłumaczeniem, ale wyjaśniwszy dokładnie rzecz, o którą chodzi, stara się każde twierdzenie gruntowie uzasadnić. Dowody jego krótkie i jędrne, zaczerpnięte ze źródeł teologii moralnej a więc przedewszystkiem z pisma św., tradycyi i orzeczeń kościelnych.

Niemałą usługę, mianowicie w części ogólnej oddaje autorowi filozofia, a w traktacie o sprawiedliwości i prawie *(de iustitia et iure)* także prawo cywilne. W każdej poszczególnej kwestyi opiera się również na powadze teologów i to nietylko teologów tej miary jak św. Tomasz z Akwinu, św. Alfons Liguori, Lugo, Suarez, ale i nowszych, jak Scavini, Gury, Marc, Aertnys, d'Annibale, Lehmkuhl, Génicot, Berardi, a przedewszystkiem Ballerini - Palmieri, którego siedmiotowowe dzieło p. t. *Opus theologicum morale in Busenbaum medullam* nazywa wprost monumentalnem. Posiłkuje się zatem pisarzami wziętymi z tej epoki, w której rzekomo teologia moralna ma leżeć odłogiem. Najlepsza to odpowiedź na zarzut zastoju w teologii moralnej. Powołując się jednak na powagi uczonych, pozostaje samodzielnym, rozbiera dokładnie ich dowody i własne wypowiada zdanie zwięźle a stanowczo.

Czy jednak autor odpowiada również wymaganiom nauki w zastosowaniu prawideł moralnych do warunków życia ludzkiego, czyli innemi słowy czy porusza kwestye t. zw. aktualne? Podręcznik naukowy o tyle jest aktualnym, o ile porusza kwestye żywo obchodzące tych, dla których jest ułożonym, podręcznik więc teologów moralnych musi obrabiać to wszystko, co spowiednik winien mieć zawsze na oku przy spełnianiu swego urzędu jako sędzia, nauczyciel i lekarz dusz ludzkich. Otóż w tem znaczeniu aktualnem dla spowiednika będzie wszystko, co ma związek bezpośredni ze sumie-

niem ludzkiem, bez względu na to czy to kwestya już dawno rozstrzygnięta, czy dopiero wyłaniająca się, czy do tej czy do owej sfery nauk teologicznych należy. Autor odstępuje od zdania tych, którzyby chcieli zanadto ścieśnić ramy teologii moralnej, ale idąc za wzorem większej części moralistów, włącza do teologii moralnej pewne traktaty, które się zwykło *ex professo* omawiać gdzieindziej, np. w prawie kanonicznem albo w teologii pastoralnej — włącza je — oczywiście o tyle tylko, o ile mają związek ze sumieniem. Przez to nie wkracza bynajmniej w dziedzinę innych nauk teologicznych, wszak jedna i ta sama rzecz wzięta z różnego punktu widzenia, może być przedmiotem różnych umiejętności. I tak w traktacie „o prawie“ umieszcza osobny paragraf: *Erlasse der römischen Kongregationen.* Mówiąc o obowiązkach proboszczów, mówi także o ich prawach. Obszernie, bo w 14 paragrafach rozprawia o „stanie zakonnym“. Tłumacząc obowiązki wiernych względem władzy kościelnej, w kilku rozdziałach przechodzi traktat *de censuris ecclesiasticis.* Zresztą całą VI księgę o środkach do uzyskania łaski i zbawienia wiecznego mógłby ktoś uważać za zbędną w podręczniku teologii moralnej. Autor jest innego zdania i słusznie. Wszak przyjmowanie Sakramentów jest równie obowiązkiem chrześcijanina jak zachowanie dekalogu, i pociąga za sobą cały szereg obowiązków do spełnienia. Moralista nie może żadną miarą wykluczyć tego przedmiotu, jeśli dzieło jego ma stanowić całość w sobie wykończoną. W traktacie o Eucharystyi zasługuje na uwagę § 10 „Częsta komunia“ i § 11 „Duchowna komunia“. W traktacie o Sakramencie pokuty prześliczny jest § 8 „Wspólne prawa i obowiązki penitentów i spowiedników“. Uwzględnia też autor rzecz o odpustach, a w szczególności o ołtarzu uprzywilejowanym, akcie heroicznym, o odpustach drogi krzyżowej, kultu eucharystycznego, Porcyunkuły, w godzinę śmierci.

Duszpasterz nie mógłby jednak należycie sprostać swemu zadaniu, gdyby nie poznał potrzeb duchownych swych owieczek w obecnej chwili, niebezpieczeństw, jakie im zagrażają, gdyby nie uwzględnił nowych prądów, nurtujących w społeczeństwie, jednem słowem, gdyby nie poznał ducha czasu. Prawda, że zasady moralne są niezmienne i muszą się dać zastosować do wszystkich warunków życia ludzkiego, ale trudność tkwi w tem, że nie znając tychże warunków, nie można wiedzieć, które z tych zasad i o ile zastosować należy. Otóż autor nie pomija żadnej kwestyi, będącej, jak mówimy, na czasie. Prawo indeksu, hypnotyzmu, stanowisko niewiasty w społeczeństwie, wzajemny sto-

sunek Kościoła i państwa, kwestya socyalna, liberalizm nowoczesny, pojedynki i samobójstwo — wszystko to znajduje należyte uwzględnienie w pomienionem dziele.

Zarzucano, że w teologii moralnej mały kładziono nacisk na piękną stronę życia moralnego, t. j. na cnotę. Autor wykładając obowiązki, musi z natury rzeczy mówić o przekraczaniu obowiązków, t. j. o grzechach. Atoli nie pomija wcale cnót nadprzyrodzonych i to nie okolicznościowo tylko, ale tendencyjnie. Przedstawia nam piękność dobrych uczynków nie tylko w sobie samych ale zawsze i stale w stosunku do celu nadprzyrodzonego. W ten sposób dzieło Prunera jest dziełem ściśle teologicznem, *scientia de Deo,* nauką o Bogu, o ile jest celem naszym nadprzyrodzonym i metą dążności moralnych człowieka. Wystarczy przeglądnąć rozdziały o cnotach teologicznych i moralnych i o doskonałości chrześcijańskiej, o modlitwie ustnej i rozmyślaniu, o czci Św. Pańskich, o cnotach rodzinnych i współczesnych, o używaniu św. Sakramentów i t. d., aby się przekonać z jakiem namaszczeniem iście kapłańskiem właśnie te przedmioty obrabia. Spowiednik znajdzie w nich praktyczne wskazówki życia chrześcijańskiego dla penitentów, a kaznodzieja wspaniałe i prawie już gotowe szkice do kazań i konferencyi treści moralnej.

Mamy więc dzieło naukowe, bo metoda i sposób przedstawienia rzeczy i zakres przedmiotu odpowiadają wszelkim słusznym wymogom nauki. Wszelako teologia moralna chociaż jest nauką, to przecież jest nauką życia, a więc z natury swojej nauką praktyczną. Nie można zatem pojmować teologii moralnej jako czystej teoryi. Umysł teoretycznie tylko wykształcony, w praktyce okazuje się nieraz bardzo niedołężnym. Dlatego w teologii moralnej równie błędnym jest system, w którym gromadzi się jak najwięcej materyału naukowego, a nie uwzględnia wcale, albo ubocznie tylko życie praktyczne, jak i ten, w którym wyłącznie uwzględnia się praktykę życia, a o prawidła ogólne i ich uzasadnienie troszczy się o tyle tylko, o ile to niezbędnie koniecznem do rozwiązania p o s z c z e g ó l n y c h wypadków życia. Najlepszym jest system łączący w sobie i jedno i drugie. Można jeden albo drugi kierunek więcej uwzględnić (zależy to od celu podręcznika), ale żadnego z nich pominąć nie można. Takiego systemu trzymają się autorowie nowsi, jak Lehmkuhl, Génicot, Noldin, Göpfert i inni. Nasz autor nie lęka się zarzutu, że w jego dziele za wiele kazuistyki, owszem, z góry zaznacza, że r ó w n o r z ę d n i e z nauką chce mieć stale przed oczyma praktykę życia. Stąd obrobiwszy nau-

kowo główne zasady, przechodzi zawsze do konkluzyi praktycznych, a często całe rozdziały poświęca zastosowaniu wyłożonej teoryi. Owszem, w niektórych rozdziałach praktyka występuje na pierwszy plan. Cały traktat „o sprawiedliwości i prawie", w którym właśnie spowiednik najwięcej praktycznych trudności znaleźć może, obrobiony jest na wskróś praktycznie, przyczem bynajmniej nie traci cechy naukowej.

Nie wchodzimy w szczegółowy rozbiór pojedynczych opinii autora—zadaniem naszem było określić kierunek ogólny, jaki obrał sobie wobec postulatów niektórych nowszych teologów. Wystarczy nadmienić, że autor odrzucając probabilioryzm, jest zwolennikiem systemu łagodniejszego, daleki od przesadnej surowości a zarazem od zbytniej pobłażliwości. Sąd jego wytrawny, spokojny i umiarkowany. Z całego dzieła, mimo ścisłości naukowej i tendencyi praktycznej wieje duch prawdziwej i głębokiej pobożności. Teologia moralna Prunera, naszem zdaniem, jest najlepszą ze wszystkich napisanych po niemiecku; moralista fachowy będzie musiał zawsze uwzględnić jego powagę.

Ks. Romuald Kudasiewicz.

Grundriss der Patrologie mit besonderer Berücksichtigung der Dogmengeschichte. *Gerhard Rauschen.* Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1903. (Str. XI + 231, w 8-ce).

Za cel postawił sobie autor podać po krótce a zwięźle zarys patrologii i historyi dogmatów tak, jak się przedstawiają na podstawie najnowszych badań naukowych. Dlatego też główną wagę położył na stronie naukowej dziełka, informując o kwestyach spornych lub rozstrzygniętych poszukiwaniami ostatnich lat i ograniczył się do pisarzy ważniejszych i takichże ich pism. W podziale patrologii poszedł utartym od dawna szlakiem trzech epok: przednicejskiej, rozkwitu i upadku literatury patrystycznej. Nowością jest tylko wprowadzenie w obręb patrologii apokryfów Starego Testamentu; godzimy się na to tylko z zastrzeżeniem, żeby to były apokryfy z pod pióra pisarzy ery chrześcijańskiej, starsze bowiem, zdaniem naszem, ubocznie tylko do patrologii należą i nie powinny być na równi z pierwszymi uwzględniane, jak to czyni autor.

Autorowie katoliccy zajmują się w patrologii pismami heretyków o tyle tylko, o ile to potrzebne do zrozumienia pisarzy prawowiernych. Za tą zasadą poszedł i autor, zapominając, że pisze nie tylko patrologię, ale i historyę dogmatów, w której pisma heretyckie muszą być

dokładnie uwzględniane. To samo tyczy się koncyliów. Jest jednak jeszcze inna słaba strona w historyi dogmatów. Autor pragnie być ściśle objektywnym, powodować się tylko prawdą i dowodem,—zamiar chwalebny i słuszny, niestety spotykamy kilka miejsc, w których z krzywdą prawdy zrobiono ustępstwo na korzyść czegoś trzeciego. I tak nie można uważać przynajmniej za rzecz pewną, że Hermas i św. Chryzostom błądzili w nauce o sakramencie pokuty (str. 26 i 119), św. Cypryan w prymacie papieża (str. 68), Justyn i Tertulian w dogmacie Trójcy św. (str. 34 i 64) a św. Hieronim w nauce o piekle (str. 141, 158).

Zresztą całe dziełko oparł autor na najlepszych pracach, głównie na patrologii Bardenhewera i dał ich treściwy wyciąg *sogar mit Zurückhaltung der eigenen Meinung* (str. VI). Nie można mu z tego robić zarzutu, zwłaszcza, że sam to wyznaje, dodając tylko: *da ich mich aber auch selbst lange und eindringend genug mit patristischen Studien beschäftigt habe, wird niemand, wie ich glaube, in denselben die Selbständigkeit des Urteils und im allgemeinen auch der Darstellung vermissen* (l. c.)

M. B.

Scythia biformis, das Urreich der Asen. Eine Skizze aus der polnisch-deutschen Vorgeschichte von *Wajtes prusisk.* Breslau 1903. (Str. 670, w 8-ce, z 15 ryc.)

Autor zamierza w powyższem dziele oznaczyć kraj, w którym powstały pierwsze zawiązki państwowe, czyli kraj będący kolebką ludów zamieszkujących cały świat starożytny, nie wyłączając ani ludów mongolskich, ani semickich. Jest to cel wielki, ale zarazem tak trudny, że samo marzenie o nim zakrawa na śmiałkostwo. Badania bowiem naukowe, mogące posłużyć do rozwiązania tej zagadki, tego węzła gordyjskiego, są dziś jeszcze za mało posunięte, aby zapuszczać się w te dziedziny mgłą i ciemnością pokryte. Nowsze badania zwróciły wprawdzie swą uwagę na ludy fińskie, na stosunek ich do narodów indo-europejskich, na stosunek Semitów do Aryjczyków, ale są to dopiero początki mniej lub więcej udatne. Mimo to autor przystępuje z wielką wiarą w siebie i pewnością do tego zadania. Posługuje się on przytem dwoma głównie środkami: porównywaniem mytów różnych narodów i wywodami etymologicznymi i dochodzi do wniosku, że krajem, który dał ludzkości pierwszy ustrój państwowy, są kraje położone nad Wołgą, ciągnące się od Morza Czarnego do północnej części Bałtyku. Są to te same okolice, które nowsze badania uważają za kolebkę ludów indo-

europejskich. Jeżeli jednakże można się ostatecznie zgodzić na drugie twierdzenie, choć i ono ma jeszcze wiele przeciwników, to trudno tak bez wszystkiego przyjąć twierdzenie autora, że w tych samych okolicach powstały pierwsze zawiązki państwowe wszystkich ludów starożytnego świata, nie wyłączając ani Chińczyków, ani Egipcyan, należących do zupełnie innych grup etnograficznych i językowych, bo dowody autora nie są przekonywujące. Autor cofa się wprawdzie tysiące lat wstecz, do czasów nawet Noego, kiedy różnica pojedynczych ras nie była jeszcze tak wybitna, jak dziś, więc do czasów, kiedy według jego twierdzenia Noachidzi zaludnili Europę; chce tak teoryę swą tem możliwszą uczynić, ale i wtenczas nasuwają się różne pytania, na które niema w książce odpowiedzi. Jeżeli w okolicach Wołgi powstało pierwsze państwo na świecie a z niem razem i pierwsza cywilizacya, to skąd pochodzi, że nie znajdujemy wcale jej śladów nad Wołgą, lecz, jak uczy nas historya najdawniejszej starożytności, nad Gangesem, Eufratem, Nilem. Dowody swe opiera autor, jak już powiedziałem, na porównywaniu mytów, które, według niego, mają znaczenie tylko symboliczno-historyczne. Opiera się głównie na podaniach grecko-łacińskich i skandynawskich. Operuje niemi bardzo dowolnie, tłumaczy wyrażenia Eddy językiem fińskim, litewskim i polskim, imiona osobowe mytów greckich tłumaczy wyrazami wszelkich języków; wogóle etymologia, która ma służyć za drugi dowód teoryi jego, jest bardzo dowolna i nienaukowa. Najlżejsze podobieństwo dwóch wyrazów jest dla autora wystarczające, aby wyrazy te połączyć z sobą; nie pyta przytem, czy one pochodzą od jednej i tej samej grupy językowej, czy od grup całkiem odrębnych; nie waha się przytem zestawiać wyrazów języków młodszych, jak np. francuskiego, będącego już odrośla języka łacińskiego z językiem starszym, np. greckim; etymologie te są naturalnie bez wartości. Dla ilustrowania etymologizowania autora przytoczę kilka przykładów.

Pomijam takie zestawienia, jak: Niemiec = nie miecz, sanskryckie: Kriś = niem. Kreis, Kreuz (autor zapomina o łacińskiem pochodzeniu tego wyrazu), egip. Neb = niem. Nabe, a skutkiem tego: egip. Anubis = A-nubis = niem. A-nabe, gr. Ino, córka Kadmusa ma być to samo co W-ino i t. d., bo takie etymologie znajdujemy prawie na każdej stronie. Podobnie tłumaczy: greckich Ajaxów jako W-Ajaców = pol. wojaków, a trojańskiego Parysa łączy z pol. parzyć (brennen und paaren, str. 652); żona Eneasza trojańskiego Creusa = niem. Graus = pol. Kroto-szyn (miasto w Poznańskiem). W podobny sposób nie waha się autor wy-

wodzić mesyasza od fińskiego: messija = spożywacz miodu, a imienia Matki Boskiej, Maryi z fińskiego wyrazu: marja = jagoda. O pomstę do nieba krzyczące są etymologie w rodzaju następujących: łać. sol, lit. Šaule, niem. Säule, assyr. zululu (słup), które autor łączy z tego powodu, że promienie słońca są niejako słupami między słońcem a ziemią. Filologom klasycznych języków polecam następującą etymologię wyrazu μύθος = niem. Ge-müth, fińskie: miete (namyślanie się), muoto (forma do odlewania, postać); a ponieważ w mytach jest dużo zamieszania, więc wyraz ten łączy się z polskiem: mieszać, a że się miesza w mytach stare wspomnienia, dlatego należą tu dalej wyrazy jak: lit. menu (wspominam), niem. Minne, łać. meus, pol. mnienie, mięć, fińskie: mennyt (= pol. miniony) i t. d. (str. 618). Kapłanom zaś polecam zestawienie ich przez autora z kapłonami, w szczególnem tego słowa znaczeniu (str. 625); czy z tego zestawienia będą kontenci, nie wiem. Autor znów zapomniał, że oba te wyrazy nie są polskiego pochodzenia. Mógłbym przytoczyć jeszcze dosadniejsze przykłady, np. ze str. 630, ale wolę je pominąć, a przytoczyć inne, rażące swą lekkomyślnością w traktowaniu porównawczej etymologii. Autor powiada: jutrzenka zwie się także zorza, serbskie zorja, zarja, a z tem się łączą imiona bogiń Sura, Surya, Syria, Sulis, Sulis, Sirona i francusk. jour (str. 635); autor myśli, że te wszystkie wyrazy można tak samo ze sobą mieszać, jak groch z kapustą. Jeżeli nie zna dobrze etymologii przytoczonych wyrazów, to powinien przynajmniej wiedzieć, że nie wolno stawiać franc. jour pochodzącego od łać. dies, diernum obok żorza, Sura i reszty. Mylnie też uważa autor wyraz bohatyr za polski; jest to wyraz turecki: bhagatur, nie można go więc rozkładać na boga—tur. Grecki Jazon jest polski jasion, a że jasion światowy (Weltesche) stał nad Olchą, Wołchą (Wołgą), a więc Kolchis, ma w sobie ten sam pierwiastek i wyraz ten rozkłada autor na K-Olchis (K-Olcha)! Harpye są to polsk. kury, niem. Huren, łotyskie putns, franc. putain, a były czarownicami, bo fińskie: arpo znaczy czarować. Przytoczyłem kilka tych wyrazów, a jest ich niezliczona ilość, aby każdy jakokolwiek obeznany z nowszą lingwistyką mógł sobie sam sąd wyrobić o wartości zestawień etymologicznych autora. Doprawdy, często przychodzi na myśl, że autor żartuje sobie z nauki i chce wywieść uczonych w pole. Naturalnie wywody oparte na tak słabych podstawach nie mogą budzić w nikim zaufania, zwłaszcza że autor w swych wnioskach jest bardzo nieskrupulatny. Autor mówi np. o wyspie Ogygii, na której przebywał Odysseusz. Wyspa ta była przepełniona zapachami tyonu i cedru.

Otóż cedr pochodzi od polsk. kadzić a kadzidłem najbardziej pachnącem jest bursztyn; ten zaś znajduje się nad morzem bałtyckiem, a więc Ogygia jest krajem dawnych Prusaków i tu była wyspa Kirki. Weźmy inny przykład. „Apollo oznaczał, twierdzi autor, pierwotnie stan kapłański, bo franc. Abeille (pszczoła) jest rodzaj żeński od Abelios, bożka celtyckiego. Pszczoła zaś oznacza kapłankę, bo Sibyla Bôo, która jest to samo co Beo — Biene (pszczoła) utworzyła pieśń na cześć miasta Delfy, w której opowiada, że przybysze z kraju Hyperboreów, a więc Ksienie, a między nimi stary Olen (oleń po rosyjsku: jeleń, święcony) Apollinowi założyli wyrocznię!“ Czy na takich i tym podobnych wnioskach logicznych można polegać? W ten sposób wnioskując, można wszystkiego dowieść. A szkoda, że autor nie jest ściślejszy w swoich wywodach i więcej naukowy w swej pracy. Czytał i pracował bardzo dużo, ma często nawet świetne pomysły, ale niema metody naukowej; postępuje po dyletancku, a dyletantyzm w nauce nie popłaca i prowadzi zwykle na manowce.

Dr. J. Leciejewski.

Des grâces d'Oraison par *R. P. Aug. Poulain de la Comp. de Jésus.* 4-e édition. Pp. 413. Paris 1901. Victor Retaux, éditeur.

Znany autor O. Poulain T. J. z traktatów z teologii mistycznej, drukowanych już to w *Messager du Coeur de Jésus* 1893, już to w *Etudes* 1898, puścił w świat czwarte wydanie dziełka co dopiero cytowanego. Godzą się wszyscy uczeni asceci i mistycy na to, że na tysiąc osób żyjących w Kościele, jedną zaledwie powołuje Bóg do spełnienia rad ewangelicznych, a z pomiędzy tych znowu na 100 jedną zachęca, by drogami nadzwyczajnemi dążyła do ścisłej łączności z Nim. Stąd takich świętych Teres, Brigit, Gertrud, św. Alfonsów Liguorych, św. Franciszków Salezych, św. Alfonsów Rodriguezów i t. d. i t. d. nie liczymy na miliony, chociaż miliardy wiernych pobożnie żyło w łonie Kościoła katolickiego.

Łaska modlitwy nadprzyrodzonej czyli kontemplacyi jest łaską darmo od Boga daną i udziela jej Bóg tylko ulubieńcom swoim. I właśnie o tej to łasce nadzwyczajnej prawi autor w swojem dziełku. W pięciu obszernych częściach rozbiera ten przedmiot O. Poulain. I tak nasamprzód podaje określenie tej modlitwy nadprzyrodzonej, następnie przechodzi do opisania zjednoczenia mistycznego i jego stopni, dalej prawi o objawieniach i widzeniach prywatnych, a wreszcie zachęca, aby prosić o tę modlitwę nadprzyrodzoną i o to zjednoczenie

mistyczne z Bogiem. W końcu umieszcza krótkie ale trafne uwagi o fałszywym mistycyzmie czyli kwietyzmie protestanckim. Zamyka zaś dziełko swoje zapiskami bibliograficznymi, podając nazwiska tych autorów, którzy się modlitwą nadprzyrodzoną czyli kontemplacyą zajmowali.

Do każdej części swego dziełka dodaje cytaty z autorów najznakomitszych, o tym przedmiocie piszących; pomiędzy nimi dostrzegamy bardzo często cytaty z dzieł św. Teresy. Określenia, podziały, dowody są tu dobrane nadzwyczaj jasno, a wszystko zaś napisane pięknie i przystępnie, językiem i stylem ślicznym. Nie brak też uwag i ostrzeżeń przed złudzeniami, które powoduje szatan dla chcących wstępować na te wyżyny i krainy iście niebiańskie bez pokory. To też muszą tutaj wszyscy pamiętać o tych złotych słowach św. Teresy (*Fund.* r. 8): „Kiedy dusza jest prawdziwie pobożna, widzenie pochodzące od ducha ciemności nie może jej wyrządzić żadnej szkody. Atoli kiedy jej brak pokory nawet i widzenie, którego sprawcą jest Bóg, nie przyniesie jej żadnej korzyści". Wdzięczność należy się autorowi za te treściwe uwagi o modlitwie nadprzyrodzonej; zarazem budzi się mimowoli w sercu naszem życzenie, aby i w naszej literaturze coś pozytywnego ukazało się na tem polu. Wiadomo to wszystkim, że oprócz najnowszego tłumaczenia pism św. Teresy przez ś. p. księdza biskupa Kossowskiego, brak nam prac wybitnych z mistyki katolickiej, bo przecież ani „Kartek modlitwy", drukowanych przed kilku laty w Tarnowie, ani dziełka O. Semeneńki za takie uważać nie można; Augusta Cieszkowskiego zaś „Ojcze nasz", który wielu pod niebiosa wynosi, nie jest dziełem dodatniem na polu mistyki.

*X**

La question polonaise. (Gênes, impr. de la Jeunesse. 1903).

Broszura o kwestyi polskiej, dedykowana Francuzowi przez autora Anglika, jest w każdym razie dziwnym objawem w początkach XX wieku, i p. Edward Nourse Rowley Harvey zasłużył bezsprzecznie na naszą wdzięczność. Książeczka zawierająca 91 stron napisana jest francuzczyzną wyrosłą widocznie nad Tamizą a nie nad Sekwaną; tem jest przecież cenniejszą, bo znać, iż pomyślana po angielsku przybrała obcą szatę jedynie gwoli zainteresowania szerszego świata traktowanym przedmiotem. Czy jednak osiągnie zamierzony cel? Jest to nie tyle broszura polityczna, co historyczna rozprawka streszczająca wszystkie dotyczące Polski zaprzysiężone a niedotrzymane artykuły traktatów, począwszy od kongresu wiedeńskiego z r. 1736 a kończąc na zagwa-

rantowaniu rzpltej krakowskiej. Są w niej też cytowane o Polsce i jej losach uwagi różnych pisarzy i wielkich ludzi, długie ustępy z pism Leszczyńskiego, oraz z książki *Histoire abrégée des traités de paix* dyplomaty pruskiego Schoella, z mowy Wybickiego, Pułaskiego i Krasińskiego, marszałka konfederacyi Barskiej. Własnego umieścił autor bardzo mało: widać, że chciał młotem dokumentów odeprzeć czyniony zwykle przyjaciołom Polski zarzut romantyczności. Całość broszury jednak da się streścić w zdaniu, iż rozbiór Polski zrywając więzy sumienia wstrzymujące dotąd ludy europejskie od wielkich politycznych zbrodni utorował drogę, po której gwałt nie przestał odtąd kroczyć po Europie burząc rządy, waląc trony, zgładzając całe narody. Dotyka kwestyi schizmy, kreśląc pokrótce dzieje stosunku jej z Rzpltą, mniema jednak, że car Mikołaj umiał lepiej zjednać sobie Polaków od Wilhelma II. Prześladowanie obecne w Prusach wykazane — ale o wiele zbyt pobieżnie: lepiej było część mów konfederackich opuścić. Te ostatnie mają na celu stwierdzenie, czem był duch narodowy Polaków w chwili rozbiorów i czem, zdaniem autora, być nie poprzestał. Konkluzyi niema, tylko *exposé*, z którego czytelnik może sobie zdanie wyrobić. Autor popełnił kardynalny błąd dedykując utwór Francuzowi, hr. de Rohan-Chabot a więc jednemu z owej starej szlachty francuzkiej, pozostałej jak cień dawnych czasów nad grobem minionej chwały. Jako szlachcic p. de Rohan — nic dla kwestyi polskiej uczynić nie może. Jako Francuz — prawdopodobnie nie zechce. P. Nourse Rowley uczynił to dlatego, iż inny członek tej rodziny, książę Ludwik Rohan był ambasadorem Ludwika XV w Wiedniu podczas pierwszego rozbioru. Logiczny Anglik sądzi zapewne, że potomek winien zadosyć uczynić za przodka; pytanie, czy choć przeczyta broszurę? Niemniej przeto jest coś rozrzewniającego w odważnym czynie dobrego człowieka, który nie waha się podnieść w obronie zgwałconej prawdy dziejowej i zgwałconych praw obcego narodu „głos wołającego na puszczy“...

T. W.

The Cardinal's Snuffbox by *Henry Harland.* I vol. (Tauchnitz ed. 1903, str. 272).

The Lady Paramount by *Henry Harland.* Tauchnitz edition. 1903.

Z ciekawością bierze się do ręki nieznany dotąd płód najmłodszej literatury angielskiej a w miarę przewracania kartek zaciekawienie wzrasta. Nie chce się wierzyć, aby z pod anglo-saksońskiego pióra

wyszła idylla tak lekka, wonna i świeża, tak przytem zabawna i sprytna. Podobnie lekkie rodziły się dotąd tylko nad Sekwaną, bywały jednak zazwyczaj albo pieprzne lub mdłe: utwory jak „Romantyczni" Rostand'a stanowią wyjątek. Powieść zaś, a raczej długa nowela o „Tabakierce kardynała" jest czysta, jak kryształ. Jest też czemś więcej. Naszkicowana na tle Apeninów, dotyka z naciskiem spraw katolicyzmu i choć nie dobrze widać czy przez katolika pisana, może śmiało się mienić utworem apologetycznym. Młody Anglik przybyły z pełnym zapasem anglikańskich uprzedzeń, widzi je topniejącemi pod szerokim powiewem katolickiego ducha, w atmosferze szczerej a prostej miłości chrześcijańskiej, gdzie nie wiadomo co bardziej ukochać: świątobliwy a wykwintny rozum kardynała, anielską prostoduszność starej sługi czy wesołą, uroczą postać młodej księżnej, trawiącej w miłosiernych uczynkach dochody olbrzymiej fortuny. Pewną nieświadomość autora zdradza pomoc udzielana przez kardynała w skojarzeniu mieszanego małżeństwa: czytelnikowi jednak wolno się domyślić, iż zanim wybije godzina zaślubin, pan młody przekroczy progi Kościoła. Nie chcemy dziś wchodzić w bliższy rozbiór powieści w nadziei, że ją wkrótce w polskim przekładzie ujrzymy.

Drugi ten utwór nie pozwala już wątpić o wyznaniu młodego autora. Henry Harland jest katolikiem i, jak wszyscy Anglicy, głęboko wierzącym. Jest też bezsprzecznie utalentowanym, choć znać, że zdolności jego nie rozwinęły się jeszcze w całej pełni. *The Lady Paramount* — „Udzielna pani" jest dziełem obszerniejszem od poprzedniego [1], nie już nowelką, ale całkowitą powieścią. Fabuła przenosi nas zrazu znowu na włoskie wybrzeża. Tu hrabstwo Sampaolo hołdujące Stolicy św. zostało w czasie „najazdu barbarzyńców" (jak mówią w Rzymie) wydarte prawemu dziedzicowi w kolebce przez stryja, który uznaniem władzy Wiktora Emanuela okupił uznanie swych praw. Owdowiałą księżnę, rodem Angielkę, wsadzono przemocą z dzieckiem na statek i odesłano do Anglii. Odtąd już drugie pokolenie wyrosło. Prawy Conte di Sampaolo wyrósł na Anglika, odziedziczywszy majątek po krewnym matki, przyjął jego nazwisko i wnuk jego znany jest ogólnie tylko jako Antoni Craford, obywatel ziemski o obszernych gruntach a skromnych dochodach. Jest przecież ktoś, co o prawach jego pamięta. Obecna dziedziczka hrabstwa Zuzanna, doszedłszy do pełnoletności, wyrywa się z pod opieki starego wuja i ochmistrzyni, by pod

[1] Liczba stron jest ta sama, ale druk o wiele drobniejszy.

przybranem nazwiskiem podążyć do Anglii, poznać kuzyna i przekonać się, czy warto mu całe swoje mienie poświęcić. Z tej nieco fantastycznej sytuacyi wyrasta oczywiście romans. Antoni zakochuje się w mniemanej wdówce Torrebianca i nie chce słyszeć o poślubieniu nieznanej kuzynki, aż w końcu zagadka rozwiązuje się szczęśliwie, ale zbyt nagle dla artystycznego efektu. Wogóle w utworze tym jest dużo a l e; niektóre ustępy o wiele za długie, inne zbyt krótkie, miejscami rażąco podobne do widzianych już w *Cardinal's snuffbox;* za wiele dowcipkowania, za wiele też poetyzowania. Wśród poetyzowania jednak nie brak poezyi. Są zwłaszcza dwa kawałki istotnie piękne. Weźmy naprzykład opis Mszy św. w kaplicy domu Craforda, wązkiej, ciemnej pamiętającej dni prześladowania: „Mszę odprawiał stary Kapucyn O. Dawid z klasztoru w Wetherleigh; służył Adryan (przyjaciel Antoniego i poeta). Znacie ukrytą, niewysłowioną słodkość Mszy św.? Dla Antoniego klęczącego obok Zuzanny słodkość ta zdała się dziwnie spotęgowaną. Nie patrzał na nią, patrzał na ołtarz i chwilami w książkę, ale uczucie jej obecności przenikało jego świadomość. Jej klęczącą postać, jej biały profil, jej suknię — widział je wszystkie bez spojrzenia na nie. Myśl jego jednak nie odwracała się od ołtarza. Uwaga jego była przykuta do wielkiego aktu; wzruszenie sprawione jej obecnością wnikało i stawało się częścią wzruszenia sprawionego Mszą. Ofiarowali pospołu najświętszą Ofiarę, brali pospołu udział w Tajemnicy Ołtarza i zdało mu się, iż byli tem lepiej złączeni, w sposób piękniejszy, bliższy. Kapłan przeszedł na drugą stronę ołtarza i razem na Ewangelię powstali; dzwonek się ozwał i oboje schylili skroń na Podniesienie. Klęczeli obok siebie ciałem, ale czyż ich dusze nie zlały się w jedno, zatopione w podziw i cześć i uwielbienie i miłość wobec tej Obecności, która przyszła i napełniła kaplicę światłem widzianem bez pomocy oczu, harmonią słyszaną bez pomocy uszu, zmieniającą ubogi ołtarzyk w bezbolesną Golgotę pełną spokoju, błogosławieństwa i łask. Klęczeli obok siebie wielbiąc pospołu, oddychając powietrzem, które się stało prawdziwie powietrzem nieba!... I Antoniemu zdało się, jakoby Bóg obecny uśmiechał się nad nimi, pozwalał i uświęcał to, co w jego sercu się kryło.

„*Domine, non sum dignus* — ozwał się uroczyście głos księdza — *Domine, non sum dignus.*

„To była chwila nad chwilami. Wstali oboje i uklękli razem u stóp ołtarza..."

Albo ten inny ustęp, gdzie ów Adryan, który tu służył do Mszy

wbiega cały wzruszony między siedzących w salonie, mówiąc, że osiągnął cel życia, że stworzył pieśń, i ochłonąwszy opowiada w cudnych wyrazach, jak sobie wystawia scenę Zwiastowania. Gdy jednak potem pytają go, jak to w pieśń ułoży, odpowiada, że słów ludzkich nie trzeba, bo to już samo jest pieśnią... Za takie dwa ustępy można różne literackie błędy darować a sam fakt ukazania się w Anglii gorąco katolickich powieści znamiennym jest i radosnym. Niejeden weźmie w rękę powieść, któryby dzieło kontrowersyi z odrazą odrzucił. Szczęść Boże młodemu poecie na obranej drodze.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Anneksya w dawnej Polsce. *Julian Klaczko.* Tłómaczył *Karol Scipio.* Kraków, Spółka wydawnicza. 1901. (W 8-ce, str. 94).

Studya dyplomatyczne. Sprawa polska, 1863—1865. *Julian Klaczko.* W tłómaczeniu *Karola Scipiona.* Z przedmową *Stan. Tarnowskiego.* Kraków. Spółka wydawnicza. 1903. (W 8-ce, str. XXI+150).

Nowsze dzieła Klaczki, jak „Wieczory florenckie", „Juliusz II", mamy w tłómaczeniu polskiem i obszernych sprawozdaniach; lecz wcześniejsze jego prace z zakresu *Etudes de diplomatie,* aczkolwiek obchodzące nas bliżej, z naszą przeszłością złączone ściślej, dotąd nie były znane w polskiej literaturze; dopiero staraniem prof. Stanisława Tarnowskiego zostały uprzystępnione dla czytającej tylko po polsku publiczności, a zdobycz ta ma bardzo wielkie i dodatnie znaczenie, zaznajamiając szersze sfery nasze ze sprawami ogólnie europejskiemi z jednej strony, i przypominając nam lepsze nasze czasy z dalekiej przeszłości z drugiej strony.

Gdy Bismarck w imię rzeczonego prawa słuszności i narodowości zabrał Duńczykom Szlezwik i Holsztyn, Klaczko przypomniał światu cywilizowanemu (w swojem *Une annexion d'autrefois),* w jaki sposób dokonane zostało zespolenie się Litwy z Polską, Unią Lubelską zakończone. Idąc za znakomitem, niezrównanem dziełem Szajnochy, Klaczko ślicznie opisał ostatnich pogan w Europie, skreślił znakomicie charakter Zakonu niemieckiego, opowiadał wyczerpująco o wojnach naszych z Zakonem i nakoniec przedstawił dzieje dwu naszych sejmów — w Horodle i Lublinie. Tłómaczenie polskie bardzo dobre, i chociaż są to rzeczy dobrze znane, ale czyta się z zainteresowaniem i przyjemnością.

Większych znacznie rozmiarów i doniosłości jest praca o sprawie polskiej od roku 1863—1865, oparta na samodzielnych studyach i korzystaniu ze źródeł pierwszorzędnych w tej materyi; tu dowiaduje się czytelnik polski wielu rzeczy naszych,

niezmiernie ważnych i pouczających...

Przymierze po kongresie paryskim i powstanie polskie; gabinety w sprawie polskiej, rozdzielone usiłowania i wspólne przedstawienia; Bismarck i północne przymierze — oto są główne działy w książce pana J. Klaczki, zawierającej w sobie mnóstwo ciekawych faktów.

Cały przebieg sprawy polskiej, ówczesne położenie każdego z państw działających (a więc Rosyi, Francyi, Austryi, Prus, Anglii), warunki czasowe, w jakich się one znajdowały, ich polityka względem siebie i Polski nigdzie tak dobrze i wyczerpująco nie były przedstawione; pomyłki i błędy tych państw, czasem z własną popełniane szkodą, z bystrością właściwą Klaczce, zaznaczone i objaśnione; tylko taki znakomity pisarz polityczny, jak Klaczko, mógł wytworzyć taką całość wspaniałą w tym względzie; tylko taki znawca stosunków dyplomatycznych, jak on, był w możności wyjaśnić wszelkie okoliczności, towarzyszące tej sprawie i ciążące nad ogółem owoczesnych interesów europejskich.

W.

Wspomnienia rewolucyonisty. *Książę Piotr A. Krapotkin.* Z przedmową Jerzego Brandesa, przekład z rosyjskiego M. Sarneckiej. Lwów 1903. Nakładem tłumacza. (8-ka mała, kt. nl. 2, str. 548).

Książka ta ma dla czytelników polskich wielkie znaczenie. Jeśli się zważy, iż „Wspomnienia“ te, pisane z wielkim talentem naratorskim, mają przedewszystkiem za zadanie zaznajomić nas nie tyle z knowaniami rosyjskich rewolucyonistów, ile z życiem i obyczajami rosyjskimi, zrozumiemy, że dla nas, którzy znamy Rosyę i Rosyan bardzo niedokładnie, o których życiu rodzinnem wiemy więcej bajek, niż prawdy, „Wspomnienia“ Krapotkina są nieocenioną kopalnią wiadomości faktycznych a prawdziwych. Życie Krapotkina jest tylko osnową, wiążącą hojnie rozsypane w tej książce spostrzeżenia nad obyczajową stroną życia Rosyan w jedną całość. Zwłaszcza sposób życia w średnio-zamożnych warstwach rosyjskiego społeczeństwa, jego poglądy i zapatrywania na najróżnorodniejsze kwestye, został tu odmalowany bez przesady, bez barw zbyt jaskrawych, jednakże nie przechodząc w karykaturę, oddaje wiernie smutny stan umysłów. Ma zatem ta książka przedewszystkiem znaczenie, jako wizerunek obyczajowy. Na dalekim dopiero planie stoi ruch rewolucyjno-socyalistyczny w Rosyi oraz działania rosyjskich rewolucyonistów za granicą, jakoteż opis życia więziennego. Jako rewolucyonista pochwala naturalnie Krapotkin powstanie styczniowe, dla którego nie ma wprost słów uwielbienia. Rys to bardzo rzadko spotykany u pisarzy rosyjskich.

S.

Narodnopisná mapa uherských Slovaku na základě šćitani lidu z r. 1900, wydal *Lubor Niederle.* (Narodopisny sbornik IX). Praha 1903. Nakladem Narodopisne Společnosti československe. (8-ka w., str. 203).

Nagannem marnowaniem papieru i czasu byłoby udowadnianie, jak wielkie jest znaczenie nie tylko dla nauki samej, map etnograficznych. Dotychczas jedni tylko Kaszubi mieli bezstronnie ułożoną swoją statystykę przez p. Ramułta. U nas mówiło się wprawdzie bardzo wiele o potrzebie wydania mapy etnograficznej pol-

skiej na III Zjeździe historyków polskich w Krakowie, ale też cała sprawa skończyła się tą dyskusyą, z której, jak dotąd, nie widać żadnych konkretnych wyników. Czesi natomiast wcale nie rozprawiali, lecz — co ważniejsze — zabrali się szczerze do pracy. I oto — leży przed nami wspaniała publikacya czeskiego Towarzystwa ludoznawczego, zawierająca szereg map etnograficznych Słowaków wraz z całym aparatem naukowym cyfr.

Dość wglądnąć na chwilę tylko w tę książkę, aby nabrać należytego wyobrażenia, ile to pracy, ile trudów włożył i tak już nad wyraz zasłużony badacz prof Niederle. Miał, co prawda, do pomocy spis ludności, sporządzony przez rząd węgierski. Ale spis ten chyba więcej trudności przysparzał w pracy całej, niźli rzeczywistego pożytku. Wiadomo przecież, jaką stronniczością odznaczają się obliczenia pruskie ludności polskiej. Tej samej metody wobec ludności słowackiej trzyma się rząd węgierski — fałszując cyfry na każdym kroku, gdzie się tylko nadarzyła sposobność po temu, tak, że liczbę Słowaków, liczbę wcale niepotężną, zmniejszono o 200.000. Naturalnie, że i statystyka, podana przez prof. Niederlego, nie może sobie rościć pretensyi do bezwzględnej dokładności: łatwo zrozumieć, że człowiek prywatny nie może mieć ani w porównaniu takiej egzekutywy, jeśli chce sprawdzić cyfrę ludności, jaką ma rząd. Ale mimo to, statystyka prof. Niederlego jest znacznie bliższa prawdy od urzędowej węgierskiej, szan. autor bowiem przed wydaniem swoich map posyłał je znawcom stosunków miejscowych na Słowaczyźnie, skutkiem czego miał możność sprostowania wielu niedokładności i błędów. Przytem do ulepszenia cyfr przyczyniło się także uwzględnienie całej dotychczasowej literatury tego przedmiotu (rzeczy polskie zostały — muszę nadmienić — bardzo sumiennie rozpatrzone i wyzyskane).

Właściwy materyał cyfrowy, stanowiący podstawę map etnograficznych, rozpada się na kilkanaście rozdziałów, których część przeważna zajmuje się zestawieniem liczby ludności słowackiej w poszczególnych komitatach w porównaniu z ogółem zaludnienia. Dopiero w dalszym ciągu mamy procentowy przegląd liczby Węgrów, Niemców, Rusinów i Słowaków podług statystycznych spisów z lat 1890 i 1900, jakoteż drugą tabelę, ułożoną w ten sam sposób, lecz dotyczącą wyznań religijnych. Właściwą pracę prof. Niederlego kończy krótka notatka o koloniach czeskich na Węgrzech. Dalsza część zawiera alfabetycznie zestawiony spis nazw miejscowych w języku słowackim i węgierskim, owoc mrówczej pracowitości p. St. Klimy. Mapy, ułożone na podstawie osiągniętych cyfr, dają doskonały przegląd ludności słowackiej w każdym komitacie z osobna.

Dr. Z.

Polskija bibliograficzeskija izdanija za posliednie gody (1898—1901). *Genrich Ułaszyn.* (Otdielnij ottisk iz Izwiestij Otdielenija ruskawo jazyka o słowiesnosti imp. Akademii Nauk). Petersburg. 1903. (8-ka, str. 37).

Zawstydzająco mało jest u nas ludzi, którzyby postawili sobie za zadanie informować zagranicę o tem, co się dzieje w naszej nauce, jakkolwiek — wiadomo — byłoby to połączone z niemałym pożytkiem i dla nas samych i dla nauki wogóle. Do-

brze tedy uczynił p. Ułaszyn, że zebrał w jedną całość wydawnictwa bibliograficzne, jakie u nas powstały w ostatnich latach, a do których dały podnietę w pewnej mierze jubileusze: Mickiewiczowski, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Słowackiego i Sienkiewicza, i omówił je w poczytnem piśmie, wydawanem przez petersburską akademię. Obszerne omówienie znalazły tu: tom XVIII „Bibliografii" Estreichera, ś. p. Wisłockiego *Incunabula typographica*, dra F. Kopery „Spis druków hr. Hutten-Czapskiego", ks. M. Godlewskiego *Catalogus librorum*, dra L. Finkla „Bibliografia historyi polskiej", oraz szereg drobniejszych prac bibliograficznych. Z czasopism uwzględnione zostały: *Przewodnik bibliograficzny*, *Książka*, *Poradnik dla czytających książki* i *Kwartalnik historyczny*. Szkoda, że autor nie uwzględnił pracy p. A. Strzeleckiego „Bibliografia ludoznawstwa polskiego" (Lwów. 1900).

wi.

Na bezdrożu. Powieść. *W. Weressajew.* Lwów. 1903. Nakładem księgarni H. Altenberga.

Widocznie książki Weressajewa zrobiły u nas należyte wrażenie, kiedy w ciągu ostatnich dwu lat pojawiły się w polskim przekładzie aż trzy wydania „Wspomnień lekarza", a teraz znowu wydano inną pracę tegoż autora. Jak w „Wspomnieniach", tak też i tutaj jest Weressajew takim samym krańcowym pesymistą w poglądzie na sztukę lekarską. Tezę też, jaką sobie postawił, tę mianowicie, że pospólstwo nie jest w stanie zrozumieć starań i usiłowań lekarzy celem powstrzymania rozwoju chorób epidemicznych, udowodnił w strasznym obrazie napadu tłumów na szpital. Ale — mimo wszystko — jako powieść jest ta książka bardzo licha, głównie z powodu nierównomierności w traktowaniu materyału powieściowego.

Z.

Pisma Franciszka Zabłockiego. Zebrał i wydał *Dr. Bolesław Erzepki.* Poznań. 1903. (8-ka, str. 400).

Dzięki zapobiegliwości prywatnej mnożą się u nas wydania nowe krytyczne dawniejszych poetów, tem ważniejsze, że zupełne. Podobnie jak znaczna część komedyi Zabłockiego pozostaje dotychczas w ukryciu, tak samo też drobne jego wiersze były bądź rozprószone po czasopismach, bądź też leżały nieznane w rękopisach. Wydawca zebrał je skrzętnie i uszeregował podług gatunków. Mamy tu więc: ody, pasterki, satyry, wiersze różne, pamflety polityczne wierszem i prozą, przekłady i naśladowania oraz urywki różnych komedyi. Wszystkie te utwory zostały zaopatrzone w objaśnienia, mówiące o czasie powstania ich i o powodach, jakie skłoniły autora do ich napisania. Jak zaś nie szczędził dr. Erzepki czasu i trudów, aby to wydanie uczynić możliwie najdoskonalszem, tego dowodem załączony na końcu książki słowniczek wyrazów przestarzałych i językowych właściwości Zabłockiego, oraz skorowidz osób i nazw miejscowości. Oby przykład d-ra Erzepkiego znalazł licznych naśladowców!

wi.

Melodye. *K. Laskowski* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1903. (Str. 200, w 8-ce mn.)

Pod tym ogólnym tytułem umieścił autor przeszło 80 drobnych utworów, z osobna nie oznaczonych już bliżej żadnym napisem. Tytuł wzięty

nie z treści, ale z formy wierszów, która rzeczywiście odznacza się melodyjną rytmiką, płynnem i swobodnem tempem. Treść rozmaita, zaczerpnięta jednak, jak to autor w wstępnym wierszu zaznacza, z życia i obyczajów rodzinnych, polskich, rozwijanych na tle przyrody krajowej. Spotykamy więc opisy poranka i nocy, jesieni i wiosny, i prawie niema wiersza, któryby nie potrącał o piękności natury, a niektóre z tych wierszów są prawdziwie piękne (np. „Na pierwszy bal, na pierwszy pląs", str. 82). Wymownie i często wyraża się dalej miłość i przywiązanie do roli, pięknie opisany los ludu polskiego (np. str. 106 i 62), nie pominięta szkoła wiejska i ciężka dola biednego studenta, jarmark i zabawy. Chętnie sięga autor swą myślą w przeszłość, która wydaje się mu rajem w porównaniu z gorzką i łzawą obecnością; wiersz porównywujący pokolenia dziada, ojca i wnuka (str. 118) wypadł doskonale. Oczywiście nie pominięta i miłość, choć kręci się w kółku starych, prześpiewanych już motywów. Życie religijne, rys ludu polskiego głęboki, pełen rzewności i siły, ledwie dotknięte.

To treść poezyi, odzianych, jak wspomnieliśmy, w piękną formę, poezyi nie bez świeżości i wdzięku, ale nieznającej potężnego uczucia, lotniejszej wyobraźni, szczytnych porywów ducha. Całość owiana pewnym sentymentalizmem, smutek i jakaś bierność raz w raz się przejawia tak, że tej twardości i hartu, które sobie przypisuje autor w wierszu wstępnym, trudno się dopatrzeć.

M. B.

Weimar. *Dr. J. Flach.* Odbitka z *Przeglądu Polskiego.* Kraków. Czcionkami druk. „Czasu". 1902. (Str. 47).

Nie opis Weimaru wogóle, ale Weimaru z lat Goethego, Schillera, Herdera i Wielanda jest przedmiotem tej broszurki, dlatego tak zatytułowanej, ponieważ tym nazwiskom zawdzięcza dotąd miasto swą sławę i wielkość. Na podstawie historyi a przedewszystkiem literatury i zabytków po owych wielkich mężach kreśli autor umiejętnie piękny obraz ówczesnego życia w niewielkiej stolicy Karola Augusta, a ówczesnych Atenach niemieckich. Przed oczami czytelnika przesuwają się liczne pamiątki od drobnych kamieni, zbieranych ręką Goethego, do budowli i mieszkań (te ostatnie zamieniono na muzea), poznajemy parki, stary i nowy cmentarz, teatr, z którym wiąże się także postać Liszta, wreszcie nowe instytucye, *Goethe-Gesellschaft* i *Goethe-Schiller-Archiv.*

Całość przedstawia się interesująco, dobrze odpowiada celowi autora, który chciał dać w swym szkicu dla jednych pamiątkę, dla innych wskazówkę przy zwiedzaniu Weimaru.

M. B.

Leon XIII. Krótki obraz żywota, czynów Jego ku uczczeniu 25-letniego jubileuszu papieskiego. Skreślił *Franciszek Habura.* Cieszyn 1903.

Broszurka ta to jeden z objawów czci i hołdu składanych stale przez świat cały zgasłemu niedawno Ojcu św. Nie przynosi nic nowego: kreśli tylko z pietyzmem i uwielbieniem żywot i wiekopomną działalność Leona XIII.

K.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NAZWA KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO PRZYWŁASZCZONA PRZEZ INNOWIERCÓW W ANGLII.

Niejeden z czytelników *Przeglądu* spotykał i w Sprawach Kościoła i gdzieindziej wzmiankę o kłopotach, w jakich biedzą się innowiercy, zwłaszcza anglikanie, z nazwą Kościoła Powszechnego. Nazwę tę ogłosili przed całem chrześcijaństwem najstarsi nasi przodkowie po Wierze w Składzie Apostolskim. Nazwę tę natchnęła myśl, żeby przeciwstawić narodowemu wyznaniu Żydów wyznanie chrześcijańskie, przeznaczone dla wszystkich narodów do końca świata. Na tę nazwę żywo uwagę świata zwrócił początek wieku V, kiedy odszczepieńcy, donatyści, chcieli ją sobie przywłaszczyć. Wywodzili, że ta nazwa płynie z treści nauki, więc że każdy chrześcijanin prawowierny, choćby oderwany od posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej, jak dziś janseniści, ma prawo nazywać swój Kościół Powszechnym. Święty Augustyn wraz z gronem swoich biskupów dowodził, że roztrząsana nazwa płynie nie z treści nauki, ale odpowiada wypadkowi dziejowemu, że takim wypadkiem jest jeden Kościół międzynarodowy, rozszerzony po świecie, nie zamknięty dzielnicą jednego kraju albo narodu; że również wypadkiem dziejowym jest odstępstwo biskupów Donata od uczestnictwa i zgody z Kościołem wszech-

światowym: więc im nie przysługuje miano Kościoła Powszechnego, tylko miejscowa nazwa Kościoła w obszarze uległym Donatowi. Również św. Augustyn wraz ze św. Cyrylem zwracał uwagę na pospolity zwyczaj wszystkich chrześcijan, nawet zarażonych herezyą, którzy mimowoli wyznają tę samą zasadę, bo spytani przez przejezdnego w mieście o ulicę, gdzie stoi kościół katolicki, rozumieją i odpowiadają o katolickim Kościele naszym jedynym, a nie żadnym aryańskim, nestoryańskim albo donatysto-katolickim i t. d.; temi słowami zdradzali wszyscy w starych czasach św. Augustyna i św. Cyryla — i zdradzają do dziś dnia, — że odróżniają wszystkie Kościoły miejscowe albo poszczególne od jednego Powszechnego. Na tej samej zasadzie oparci biskupi podczas soboru watykańskiego nie pominęli obojętnie jednego z wniosków, który do nazwy Kościoła Powszechnego wtrącił wzmiankę o Rzymie i wymienił Kościół jako rzymsko-katolicki. Wydział, zajęty wnioskami o wierze pod przewodnictwem podobno biskupa z Brixen, wyraził pierwszy ustęp słowami: „Święty r z y m s k o-katolicki apostolski Kościół wierzy i wyznaje, że jest jeden prawdziwy i żywy Bóg“ i t. d. Sobór w uroczystym wyroku odrzucił dodatek „rzymsko-“ do nazwy „katolicki“ i poprawił na „święty katolicki i apostolski Kościół rzymski“ i t. d. Dodatek ten raził, jako zdolny zaciemnić prawo jedynie Kościoła, opartego na Stolicy Apostolskiej, do czystej nazwy Powszechnego. Obstawali przytem uroczyście, że nie istnieje żaden Kościół Powszechny a nie złączony z rzymskim biskupem: więc sama nazwa „Powszechny“ wystarczyć może i sama wystarczyć powinna, aby zaprzeczyć wszystkim innym wyznaniom praw do uroszczanej czasem przez nie nazwy Kościoła np. anglikańsko-katolickiego albo prawosławno-katolickiego; tę także nazwę spotykamy już w rosyjskich książkach o ich Cerkwi odszczepionej. O katolicyzmie bez żadnych dodatków mówi Skład Apostolski od wieków: wypada nam strzedz i bronić naszego wyłącznie prawa i nazywać nasz Kościół „Powszechnym“ czyli z grecka „katolickim“ bez żadnych dodatków.

Na tę nazwę Kościoła rządzonego przez rzymskiego biskupa, zazdrośnie spoglądają inne Kościoły i nie umieją sobie

z nią dać rady, bo chcą wprowadzić pojęcie katolicyzmu nie wyłącznie rzymskiego; kojarzą tedy dwie nazwy, które zaprzeczają jedna drugiej, bo ostatecznie wyrażają myśl o jakimś Kościele „miejscowo-powszechnym". Jak niema innych kół prócz krągłych, tak niema innego Kościoła Powszechnego, prócz rządzonego przez Rzym: pojęcie nie „rzymskiego-powszechnego" Kościoła zawiera taką treść niedorzeczną, jak pojęcie koła nie „krągło-kolistego" tylko np. kwadratowego. Niektóre z owych wyznań zachowują skład apostolski bez zmiany i widują takie wypadki, jak z Ambrożym de Lisle, któremu kiedy jeszcze był innowiercą, pierwsza myśl o powrocie na łono Kościoła apostolskiego zaświtała wskutek słów: wierzę w święty Kościół Powszechny; zrozumiał wskazówkę, że jako wyznawca wiary poszczególnej nie należy do Kościoła, założonego przez Chrystusa. Inne Kościoły biedują z tą nazwą i zamiast niej w swoim przekładzie Składu wiary używają słów innych. Np. Wołosi wyznają, że wierzą w *sfinta biserica sobornicească*, przerobili sobie słowiańskie słowo „soborna Cerkiew" na dziwoląg językowy, aby zatłumić w sobie wyrzut, którym Skład wiary ich niepokoi, czemu tworzą odrębny „samogłowy" Kościół wołoski zamiast należeć do Powszechnego.

Anglikanie najjaśniej między wszystkimi innowiercami rozumieją wyrzut sumienia, obudzany w ich duszy, kiedy wyznają wiarę w „Kościół Powszechny" a należą do narodowego, zamkniętego obrębem narodu angielskiego. Aby oczyścić sumienie, z największym naciskiem powtarzają, że Kościół Powszechny może rozpadać się na odłamy: stąd jeden odłam, zależny od papieża, ma nosić nazwę rzymsko-katolickiego, a drugi słusznie ma przyjąć nazwę anglikańsko-katolickiego.

Powstała tedy wrzawa o nazwę Kościoła. Pierwsze pismo *Dolphin* w lutym wystąpiło z długą i dzielną odprawą, którą dało anglikańskim pokusom, aby nasz Kościół przyjął nazwę rzymsko-katolickiego. Jest nasz święty Kościół niezawodnie rzymskim, ale jest też apostolskim; nikt nie słyszał o nazwie apostolsko-katolickiego Kościoła; równem dziwactwem będzie przystać na wymysł innowierców o rzymsko-katolickim Kościele.

Dolphin wymienił nawet niektóre wypadki, które doniesione do soboru, przyśpieszyły wyrok biskupów przeciw dodatkowi „rzymsko". Jeden z biskupów dostał w spadku po katoliku kawałek ziemi na pożytek Kościoła, zapisany w testamencie na „Kościół Powszechny". Sąd anglikański unieważnił testament i kazał ziemię oddać anglikanom: „bo ich Kościół jest także katolickim, więc testator powinien był nazwać swój Kościół rzymsko-katolickim". Inny biskup doniósł, że dostaje napowrót od przedstawicieli władzy listy urzędowe, na których kładzie podpis jako biskup katolicki: władza żąda ciągle dodatku po myśli anglikańskiej.

Słowem, Sobór nie przystał na zmianę nazwy Kościoła: wprawdzie nie potępił osobnym wyrokiem nazwy nowej, ale uroczyście zachował dawną. I to, jak uważa *Dolphin*, nam wystarcza, bo nikt niema prawa zmieniać nam nazwy, chybaby sam sobór komuś to prawo przyznał; a sobór trwa stanowczo przy apostolskim zwyczaju.

Wywody *Dolphina* wywołały odpowiedzi ze strony tego i owego katolika, którzy podnosili, że w Anglii nie zawsze można porozumieć się z wyznawcami innych wyznań, jeżeli im się mówi o Kościele Powszechnym bez dodatku „rzymsko". Jednak po stronie *Dolphina* stanęło zaraz mnóstwo głosów, które nalegają, abyśmy sami nie odchodzili od nazwy naszej urzędowej, a tylko wtedy podkreślili nazwę „rzymsko-katolickiego Kościoła", kiedy spostrzeżemy, że inaczej ktoś źle nas rozumie.

Wśród różnych uwag w obronie *Dolphina*, także i tę myśl ktoś podniósł, że Kościół od samego początku powstał jako powszechny a nie miejscowy, i że z istoty swojej ma prawo do tej nazwy, ale nie od początku i nie z istoty swojej został rzymskim, bo nawet swoją pierwszą Stolicę Apostolską święty Piotr założył w Antyochii, a dopiero następnie obrał siedzibę ówczesnych cesarzy za swoją stolicę. Był tedy przez jakiś czas Kościół Powszechny antyocheńskim tak samo, jak dziś jest rzymskim. To, co od zmiennych zależy stosunków, nie może należeć do istotnej nazwy Kościoła.

ANGLIKANIE ZACZĘLI WYPIERAĆ KATOLICYZM MIĘDZY KOPTAMI.

Pomyślne wieści zaczęły przychodzić od kilku lat o zwrocie Koptów ku Kościołowi Powszechnemu. Główną sprężyną był dobry przykład żywota kapłańskiego, którym duchowieństwo katolickie zwróciło na siebie uwagę monofizytów [1]. Liczba nowonawróconych rosła dość szybko: wymagała osobnego zakładu wychowawczego dla młodych lewitów, którzy mieli w obrządku koptyckim pozostać a wyznawać wiarę Kościoła Powszechnego. Leon XIII i cesarz Franciszek Józef złożyli datki dostateczne, aby wznieść potrzebny zakład i budować kościoły [2]. Odnowiona koptycka hierarchia z patryarchą na czele rokowała nadzieje dobre: przesądy przeciw Kościołowi przestawały od niego odpychać zwłaszcza zamożniejsze rodziny koptyckie [3]. Liczba pojednanych z Kościołem wynosiła w Górnym Egipcie 11.000, przez pięć lat kościołów przybyło 22. Co mówi ta liczba, widoczne stąd, że katolików koptyckiego obrządku w r. 1879-m było 5.000, a w r. 1898-m było ich 25.000.

Sprawa na najlepszej drodze stanęła. Zabrakło jej pomocy, której udzielały szkoły katolickie, prowadzone przez łacińskich zakonników i zakonnice, z francuskim językiem wykładowym. O własnych szkołach z wykładem w swoim języku Kopci katoliccy jeszcze nie prędko zdołają pomyśleć: korzystali ze szkół z językiem francuskim. Język ten, jako właściwy warstwom oświeconym, posiada urok nawet na Wschodzie, a nadto w Egipcie oddawał do niedawna ważne usługi w stosunkach kupieckich. Wzgląd ten przemawiał nawet do Koptów innowierców: posyłali dzieci na naukę do francuskich zakonników.

Ale Francya odarła swoje zakony z dawnego uroku na Wschodzie i państwowo nawet straciła sama wpływ w Egipcie, odkąd odmówiła udziału z Anglią w wyprawie przeciw Arabiemu paszy. Ze wzrostem angielskiego wpływu i francuski język musiał ustąpić, a rodzice zaczęli szukać dla dzieci szkół z językiem odtąd pożyteczniejszym: angielskim. Liczne wyznania an-

[1] Por. *Przegląd Powszechny*, t. LIII, 302.
[2] Tamże 457.
[3] Tamże LVII, 341.

glikańskie dostarczyły ochotników, którzy jakby w zawody ze sobą szli, jedni przed drugimi zakładają szkoły z angielskim językiem wykładowym. Skutki tych szkół zwróciły na siebie uwagę panny Fitzgerald Beale, której list ogłoszony w *The Irish Catholic* i powtórzony w *Tablecie* tak smutno opisuje stan Kościoła:

„Mieszkaniec Egiptu wie to i mówi, że ani sam, ani jego dzieci nie mają dziś co robić, jeżeli nie mówią po angielsku. A nie potrzebują daleko szukać nauki. Angielscy protestanci i amerykańscy presbiteryanie na każdem miejscu pootwierali szkoły, w których zarówno nauczyciele, jak uczniowie chodzić muszą na nabożeństwo i protestancką naukę niedzielną. I tylko takie szkoły angielskie istnieją, z wyjątkiem jednej w Kairze, która nie wywiera nacisku wyznaniowego. Praca w szkołach katolickich może ustać zupełnie, jeżeli Francuzi nie wprowadzą angielskiego języka".

Ostatecznie zrozumieli tę potrzebę, ale nie zaraz a tymczasem w innym liście panna Beale szczegółowo opowiedziała, ile dusz odpadło już od Kościoła. Tak np. jedna uboga katoliczka dostała posadę nauczycielki w szkole innowierców z płacą 24 funt. szt. Uradowana, iż zdoła utrzymać biednych rodziców, dostała po jakimś czasie wymówkę za to, że nie chodzi do zboru na nabożeństwo. Zaczęła tedy uczęszczać do zboru a stąd po nabożeństwie szła na Mszę do Kościoła. Wyśledzili to innowiercy i zagrozili jej, że straci posadę, jeżeli nie zerwie z Kościołem. Uwiadomieni o tem katolicy zaczęli dla niej szukać innej posady, ale znaleźć zdołali ledwo jakąś z płacą 6-ciu funt. szt. Biedna nauczycielka odmówiła i zerwała wszelkie stosunki z katolikami.

Uczniowie katolicy muszą przed szkołą zdejmować z piersi godła swojej wiary. Starzec jeden dostawał zapomogę od duchownego innowierców, ale w ciężkiej chorobie wezwał księdza z posługą duchowną. Uwiadomiony o tem innowierca opuścił starca w nędzy ostatniej. Wpływom tych duchownych wielu zawdzięcza posadę rządową: katolicy wpływami swoimi nie mogą współzawodniczyć. Liczba odstępstw od wiary rośnie z roku na rok. Niedawno obudzony zwrot ku Kościołowi liczył np.

w Starym Kairze 100 osób nowonawróconych: z tych blizko połowa odpadła na anglikanizm w ciągu lat czterech.

Ten sam patryarcha Cyryl Makary, który przed kilkoma laty przyjeżdżał zdawać Leonowi XIII sprawę z pomyślnego rozwoju Kościoła, dziś potwierdza smutny opis panny Beale [1]. Innego także świadka za sobą znalazła panna B. w osobie księdza Eugen. Nourrit T. J., zwierzchnika misyi górno-egipskich [2], Uwiadomiony o poprzednio powtórzonym liście panny B. napisał kilkadziesiąt słów, równie smutnych ze względu na opis obecnego stanu sprawy, ale bardzo radosnych z innego powodu. Ks. Nourrit donosi, że Francuzi uznali niebezpieczeństwo, i bez żadnej dumy narodowej zmieniają w szkołach wykładowy język swój na angielski.

Jedyną przeszkodę w tej zmianie stanowi brak sił nauczycielskich, zdolnych wykładać w języku obcym. Temu brakowi jednak Francuzi zaradzili na razie: nim nabędą wprawy sami w angielskim języku, używają pomocy obcej; choć za nią płacić muszą dobrze, jednak bez namysłu odmawiają sobie wszystkiego, aby podołać wydatkom. Nadto katolicy angielscy, uwiadomieni o niebezpieczeństwie z powodu ich języka, pośpieszyli z datkami szczodremi tak, że ks. Nourrit mógł już 15 szkół obsadzić należycie i zachować je dla pracy katolickiej.

Aby ocenić lepiej koptycki Kościół, można przypomnieć, że wszystkich chrześcijan liczy Egipt 600.000 na dziewięć milionów Mahometan. Chrześcijanie katolicy należą do czterech kościołów, różnych między sobą obrządkiem koptyckim, greckim, łacińskim i ormiańskim. Dysydenci należą w części małej ale właśnie najruchliwszej do wyznań różnych protestanckich, w części również małej do wyznania greckiego, zwanego tu Melchickiem pod patryarchą w Aleksandryi, a w przeważnej części do wyznania koptyckiego, zwanego tu prawosławnem pod patryarchą w Kairze; ci liczyli jeszcze w r. 1879-m przeszło pół miliona wyznawców, sami pochodzą od pierwotnego Kościoła

[1] *Przegląd Powszechny*, LVII, 342.

[2] List jego o Koptach do *Przeglądu Powszechnego* w t. CXI, str. 146.

w Egipcie, prześladowani przez Mahometan unikli zagłady przez zmianę stroju narodowego na wzór turecki. Na nich to czyhają protestanci głównie, Grecy po części.

Ks. K. Czaykowski.

Przegląd działalności dla dobrobytu ludu w Galicyi, w roku 1902.

Towarzystwo Kółek rolniczych. — Dopełniające kursa rolnicze. — Ogrody szkolne. — Niższe szkoły rolnicze. — Rolnicze szkoły zimowe. — Instruktorowie ogrodnictwa i sadownictwa. — Szkoła mleczarska. — Biuro mleczarskie. — Krajowe szkoły zawodowe. — Spółki oszczędności i pożyczek — Patronat Spółek oszczędności.

Mniej więcej przed dwudziestu laty poczęto tworzyć w Galicyi różne instytucye, łączyć się w różne towarzystwa, by działać i pracować „dla dobra ludu", a wyrażając się ściślej, dla ludności wieśniaczej. Podniesienie oświaty i dobrobytu tej właśnie najliczniejszej warstwy społecznej było i jest celem tego ruchu, co, wytworzony pomysłowością i przedsiębiorczością jednostek, w początkach dość słaby, przybrał z czasem poważniejsze rozmiary, a obecnie zasługuje już na baczniejszą uwagę, zasługuje, by zeń obszerniejszą zdać sprawę. Uczynimy to na podstawie drukowanych w 1903 roku sprawozdań z działalności różnych towarzystw i instytucyi w 1902 roku.

Wskutek naturalnego przyrostu powiększa się ludność z każdym rokiem. W stosunkowo niewielkim przeciągu czasu przybyło jej w dwójnasób. Rozwój stosunków społecznych zwiększa jej potrzeby, wymaga zapasu gotówki, a organizacya nowożytnego państwa nakłada na nią ciężary niemałe. Odziedziczony po przodkach sposób gospodarowania nie dostarcza dostatecznej ilości środków na wyżywienie zwiększonej ludności, na zaspokojenie nowych potrzeb, na podołanie ciężarom dawniej nieznanym. Brak przemysłu tak domowego jak i fabrycznego, stąd brak zarobku w kraju, a choć zdrowa przedsiębiorczość szuka go na obczyźnie, szuka za morzami i istotnie znajduje, to przecież zdobyty tam grosz, poprawiając los niejednej rodziny, nie pokrywa niedoboru wywołanego zwiększonemi potrzebami ogółu ludności; pokryćby go mogło, jeżeli nie w zupełności, to jednak w znacznej

mierze, powiększenie produkcyi rolniczej, podniesienie gospodarstwa rolnego. By do tego celu dążyć, by go wspólnemi siłami łatwiej osiągnąć, połączyła się większa własność ziemska w dwa towarzystwa, Towarzystwo rolnicze krakowskie i Galicyjskie Towarzystwo gospodarskie. Dla popierania interesów małej własności ziemskiej, dla podniesienia chłopskiego gospodarstwa rolnego, utworzono w 1882 r. towarzystwo odrębne pod nazwą Towarzystwo Kółek rolniczych.

Przechodziło ono różne koleje, zwłaszcza w początkach. Ostatecznie zreorganizowane w 1898 roku zakreśliło sobie jako cel działalność: „pracę nad podniesieniem dobrobytu, oświaty i moralności ludu". Na czele Towarzystwa stoi Zarząd główny we Lwowie, jako najwyższy organ wykonawczy, administracyjny i nadzorujący, odpowiedzialny za rozwój Towarzystwa i kierunek jego prac. Składa się z ośmnastu członków wybieranych przez Ogólną Radę Towarzystwa i ośmnastu delegowanych przez konsystorze wszystkich trzech obrządków, przez Wydział krajowy, Radę szkolną, Towarzystwo gospodarskie we Lwowie, Towarzystwo rolnicze w Krakowie, Krak. Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń, Związek Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Od lat kilku jest prezesem Zarządu głównego pan Artur Zaremba Cielecki.

Działalność Towarzystwa skupiać się ma w „Kółkach rolniczych", bo one to powołane są do tej praktycznej działalności, zapomocą której cel Towarzystwa ma być osiągnięty. „Kółko rolnicze" może powstać w każdej gminie, gdzie znajdzie się przynajmniej dziesięciu gotowych do tego chrześcijan. Na czele stoi Zarząd przez członków wybrany: prezes, jego zastępca, sekretarz, skarbnik i asesor. Członkowie Kółka, nazwani w statucie zwyczajnymi, opłacają wkładki w wysokości oznaczanej corocznie przez ogólne zebranie członków Kółka.

Kółka rolnicze jednego powiatu mają się łączyć w „związek powiatowy" z Zarządem powiatowym na czele, złożonym z pięciu delegatów Rady powiatowej, Towarzystwa rolniczego i Zarządu głównego oraz pięciu członków wybranych przez zgromadzenie powiatowe, na którym prawo głosu mają delegaci Kółek oraz członkowie wspierający, t. j. płacący przynajmniej ośm koron rocznie. Zarządy powiatowe są organem pośredniczącym między Zarządem głównym a Kółkami, obowiązane są organizować nowe Kółka w powiecie, nadzorować ich działalność, służyć im radą i pomocą.

Fundusze, jakiemi Zarząd główny rozporządzać może, pochodzą z subwencyi państwowych, krajowych i powiatowych, z dochodów

uzyskanych z przedsiębiorstw Zarządu głównego i z połowy wkładek członków wspierających, bo druga połowa przypada na rzecz organizacyi powiatowej, w skład której członkowie ci wchodzą. Wkładki członków zwyczajnych przeznaczone są wyłącznie na rzecz Kółek, te zaś wcale nie są obowiązane do płacenia jakichkolwiek wkładek na rzecz ogólnej organizacyi, t. j. do kasy Zarządu głównego lub Zarządów powiatowych.

Praktyczne środki, zapomocą których cel Towarzystwa ma być osiągnięty, liczne i bardzo różnorodne przekazane są do wykonania Kółkom rolniczym. One to mają: 1) krzewić obywatelską oświatę i chrześcijańską moralność zapomocą czytelni, bibliotek i gospód chrześcijańskich; 2) szerzyć między członkami zawodowe wiadomości we wszystkich działach gospodarstwa wiejskiego przez pisma i wydawnictwa, zjazdy i zebrania, lustracye, wędrowną naukę, specyalne kursa i wystawy, tudzież zapomocą gospodarstw wzorowych; 3) nakłaniać do lepszego sposobu budowania domów mieszkalnych i budynków gospodarskich; 4) zachęcać członków do robót melioracyjnych, zapewniających powiększenie dochodów z gospodarstwa i do rozwijania przemysłu rolnego i domowego, nadającego się do miejscowych stosunków; 5) łączyć członków w spółki do gromadzenia i sprzedaży produktów rolniczych i wyrobów przemysłu rolnego i domowego; 6) ułatwiać członkom nabywanie dobrych nasion, nawozów sztucznych, maszyn i narzędzi rolniczych; 7) krzewić handel wiejski przez zakładanie sklepów chrześcijańskich po miasteczkach i wsiach, i innych przedsiębiorstw handlowych; 8) dążyć do ulepszenia stosunków kredytu wiejskiego zapomocą spółkowych kas oszczędności i pożyczek i centralnego Związku tych kas, ułatwiać uzyskanie w zakładach kredytowych pożyczek hipotecznych; 9) pośredniczyć w ubezpieczeniu się na życie, na wypadek choroby, starości, kalectwa i w innych ubezpieczeniach osobistych, w ubezpieczeniu od szkód pożaru, gradobicia i w ubezpieczaniu bydła, zakładać ochotnicze straże pożarne; 10) zapewnić członkom pomoc i opiekę prawną; 11) otaczać pieczą wobec władz krajowych i państwowych interesy drobnego rolnictwa, przemysłu i handlu wiejskiego, tudzież udzielać opinii władzom na ich żądanie; 12) utrzymywać stosunki z towarzystwami rolniczemi i oświaty, tudzież zakładami handlowymi i przemysłowymi, kredytowymi i asekuracyjnymi.

Przytoczyliśmy tu wszystkie w statucie (§ 2) wyliczone środki działania umyślnie, aby przedstawić, jak olbrzymie kręgi zakreślili tu działalności Towarzystwa. Czy obliczono się z możliwością wyko-

nalności tego tak pięknego planu, czy zdano sobie sprawę, skąd się wezmą w Kółku rolniczem ludzie, którzyby zdołali podołać choć w części tak trudnemu zadaniu? Odpowiedzi szukamy w dwudziestem rocznem sprawozdaniu Zarządu głównego z czynności Towarzystwa Kółek rolniczych w roku 1902.

Aby w lepszem oświetleniu wystąpiły na jaw owoce dotychczasowej działalności, wskazuje sprawozdanie zaraz na początku na trudności, jakie Kółka rolnicze napotykały w wykonywaniu swych zadań. Wyjaśnia przedewszystkiem, że instytucya Kółek rolniczych nie wyszła z grona tych, dla których ją stworzono, nie powstała pod wpływem zrozumienia potrzeby i pożytków stowarzyszenia się przez jednostki, dla których działać miała, lecz była poniekąd narzuconym tworem. Kółka rolnicze rozwijały się powoli i nierównomiernie z powodu braku sił, nadających się do należytego kierownictwa. Nie było osób, któreby się garnęły do Kółek, aby ująć w swe ręce ster spraw rolniczych, wskazywać drogi prowadzące do powiększenia dochodów z ziemi, co sprawiło, że Kółka rolnicze „w przeważnej części z tytułu tylko były rolniczemi", że „o zasadniczej części działania, o sprawach rolniczych, prawie zupełnie zapomniano". Podjęcie ulepszeń w gospodarstwie, zmiana kierunków w jego prowadzeniu tak, aby wynikiem był przyrost dochodu, wymaga koniecznie pewnego zasobu wiedzy rolniczej. Włościanin nasz tej wiedzy nie posiada, a światłych przewodników nie znalazł. Założyciele towarzystwa, przekazując Kółkom olbrzymi zakres działania, nie obliczyli się zatem z możliwością wykonalności swych projektów, a Zarząd stojący na czele Towarzystwa i za kierunek jego prac odpowiedzialny, łudząc się piękną teoryą, nie rozpoczynał praktycznego działania z góry, skoro z dołu rozpocząć jej nie można było. Następstwem tej fatalnej pomyłki była strata lat kilkunastu, bo dopiero w 1900 roku nowi ludzie w Zarządzie głównym przekonawszy się o tem zaniedbaniu na polu rolniczem, utworzyli w biurze Zarządu oddział rolniczy. Jednocześnie opracowano program działalności, mającej podnieść włościańską gospodarkę rolną. Postanowiono zakładać pola doświadczalne w celu rozpowszechnienia roślin, w pewnych okolicach najodpowiedniejszych, wprowadzać lepsze odmiany zbóż, poddawać próbom działanie rozmaitych nawozów, zakładać próbne łąki i pastwiska, urządzać konkursy gospodarstw włościańskich, wystawy narzędzi, nasion, nawozów, i udzielać informacyi Kółkom rolniczym we wszystkich sprawach dotyczących

gospodarstwa wiejskiego, oraz badać potrzeby ekonomiczne i techniczne gospodarstw włościańskich.

Dopiero po utworzeniu oddziału rolniczego i wypracowaniu programu praktycznej działalności rozpoczęto działalność w celu podniesienia gospodarstw włościańskich. Oddział rolniczy składał się w 1902 roku z dwóch inspektorów rolniczych i jednego instruktora sadownictwa; są to płatni urzędnicy; pensye ich wynoszą razem 8.600 koron rocznie. W roku 1902 wydano na cele działalności tego oddziału, mianowicie zaś na nasiona i nawozy 5767 kor. a 3494 K. na podróże inspektorów i instruktora. Ponadto wydano na subwencye przy zakupnie nasion 2068 K oraz 431 K na nagrody za ulepszenie gnojowni. Zatem na oddział rolniczy i działalność dotyczącą podniesienia włościańskiego rolnictwa wydano razem 20.360 K. Cały ten wydatek pokryty był z subwencyi udzielonych z funduszów krajowych przez Wydział krajowy w kwocie 8000 koron na podniesienie wiedzy techniczno-rolniczej, z funduszów rządowych przez Towarzystwo gospodarskie w kwocie 10.000 kor. na lustracye gospodarskie i wykłady o sadownictwie i 500 kor. na wzorowe gnojownie, tudzież przez Krakowskie Towarzystwo rolnicze w kwocie 2000 kor. na cele rolnicze.

Jednym z główniejszych powodów małych plonów, osiąganych przez naszych wieśniaków, jest używanie złego lub nieodpowiednio zastosowanego nasienia. P o l a d o ś w i a d c z a l n e rozpowszechnić mają znajomość i używanie do siewu nowych, do danych warunków lepiej zastosowanych, odmian zbóż. Pól doświadczalnych z żytem było w 1902 r. dwanaście, z pszenicą również dwanaście, z owsem czterdzieści dziewięć, a z jęczmieniem czterdzieści. Na każde pole posłano po cztery odmiany nasienia. Jednoroczne doświadczenie — jak wyjaśnia sprawozdanie — nie daje jeszcze dostatecznej podstawy do wydania ostatecznego sądu, która z tych odmian okaże się najlepszą.

Doświadczeń z n a w o ż e n i e m ł ą k nawozami sztucznymi przeprowadzono 71, w 29 powiatach. Wykonanie ich powierzono 65-ciu wieśniakom, 4-m księżom i 2-m nauczycielom. Zarząd główny dostarczył kainitu, mąki żużlowej i mąki kostnej.

By na przykładach okazać korzyść z używania n a w o z ó w s z t u c z n y c h na roli i opłacalność ich w różnych glebach i warunkach, robiono doświadczenia w powiecie mieleckim na gruntach sześciu włościan w sześciu wsiach. Do prób użyto żużli, superfosfatu, kainitu i wapna. Szerzono też teoretyczne wiadomości o takich nawozach przez okolicznościowe wykłady inspektorów rolniczych oraz przez zamiesz-

czanie odpowiednich artykułów w *Przewodniku Kółek rolniczych*. Nakoniec starano się pośredniczyć w zakupnie nawozów sztucznych. Za pośrednictwem Zarządu głównego zakupiły Kółka 98 wagonów żużli, 11 wagonów mąki kościanej, 13 wagonów superfosfatów i 5 wagonów kainitu, ogółem za 74.544 kor. Jest to trzecia część ogólnego zapotrzebowania takich nawozów przez Kółka, bo zakupiły one ich za 252.889 kor., t. j. za 178.345 kor. bez pośrednictwa Zarządu głównego. Najwięcej nawozów sztucznych sprowadzają powiaty zachodnie, zwłaszcza wadowicki i myślenicki, najmniej wschodnie.

Za dokonane ulepszenia w przechowywaniu gnoju stajennego udzielono w kilku powiatach 56 nagród wysokości od 5 do 40 koron włościanom, którzy ulepszenia te według szerzonych przez Zarząd pouczeń przeprowadzili.

Zarząd Towarzystwa pośredniczył w nabywaniu nasion by dostarczyć członkom Kółek rolniczych gatunków najodpowiedniejszych, w jakości najlepszej, po cenie możliwie nizkiej. Pośrednictwo dotyczyło niemal wyłącznie nasion pastewnych, a przedewszystkiem koniczyny czerwonej (53.100 kilogramów za 94.473 kor) i buraków pastewnych (1780 klgr.), oraz w znacznie mniejszych ilościach różnych traw (828 klgr.), seradelli (865 klgr.), końskiego zębu (452 klgr.), grochu, wyki (285 klgr.). By zaś zachęcić do nabywania nasion roślin dotąd nieuprawianych i nieznanych, rozesłał Zarząd główny do 121 Kółek w 55 powiatach, uwzględniając przedewszystkiem powiaty środkowej i wschodniej części kraju, nasiona marchwi pastewnej (104 klg.), buraków (132 kg.), seradelli (180 kg.), esparcety (160 kg.), końskiego zębu (450 kg.) i 200 kg. lnu ryskiego. Rozdano je w ilościach od $^1/_2$ kg. do 10 kg. tym członkom Kółek, którzy się o to zgłosili, zobowiązując się do złożenia sprawozdania z przeprowadzonej próby.

Dowodem, że kultura na małych gospodarstwach rolnych się podnosi, jest zakupowanie co roku większej ilości maszyn i narzędzi rolniczych przez włościan. Dawniej kupowano niemal wyłącznie tylko sieczkarnie. W r. 1902 zakupili członkowie Kółek za pośrednictwem Zarządu gł. 14 pługów, 2 brony, 7 płużków, 6 siewników ręcznych, 14 rzędowych, 50 młocarni ręcznych i kieratowych, 30 kieratów, 187 młynków, 975 sieczkarń, 18 buraczarek i inne w małych ilościach. Razem zakupiono 1334 sztuk, przeważnie krajowego wyrobu, za cenę 82.769 koron, z czego tylko 4% na kredyt sześciomiesięczny a reszta za gotówkę. Zarząd towarzystwa uzyskał na cenie kupna 26% opustów i rabatów na korzyść kupujących.

Na sporządzanie planów i kosztorysów melioracyjnych nie posiadał Zarząd sił ani środków. Ograniczono się do teoretycznego zachęcania za pomocą broszury o drenowaniu, napisanej przez inżyniera p. Blauta a nakładem Zarządu głównego wydanej.

Sprawą, mającą w naszym kraju wielką doniosłość, sprawą rozwoju sadownictwa, zajmował się instruktor, który w kilkudziesięciu miejscowościach wygłosił teoretyczne pouczenia, czasami połączone z praktycznemi czynnościami, oraz w trzech miejscowościach, w Albigowej, Porąbce Uszewskiej i Wadowicach miał wykłady o wyrabianiu jabłecznika i udzielał praktycznych w tym przedmiocie wskazówek.

Sprawami mleczarstwa zajmował się oddział rolniczy tylko o tyle, że na podstawie zbieranych wiadomości doszedł do przekonania, iż w gospodarstwach włościańskich ilość i jakość produkowanej paszy jest za mała, aby wystarczyć mogła do należytego żywienia krów mlecznych, że na pielęgnowanie i poprawę łąk oraz pastwisk nigdzie żadnej nie zwraca się uwagi, że żywienie krów mlecznych i cieląt jest nieumiejętne, że obory i stajnie krowskie mają wiele braków i wad. Techniczną stroną przemysłu mleczarskiego wcale się nie zajmowano. Więcej starań mleczarstwu poświęcić będzie mógł Zarząd gł. tylko w takim razie, jeżeli od kraju i rządu otrzyma dostateczne fundusze na powiększenie sił biurowych w oddziale rolniczym.

Uznając wielką pożyteczność kóz dla wieśniaków, którzy na małym kawałku gruntu nie mogą utrzymać krowy, od dłuższego czasu zachęcał Zarząd gł. do hodowli kóz, ale napotykał na uprzedzenia do nich. By te uprzedzenia usunąć sprowadził Zarząd z Szwajcaryi siedm sztuk i umieścił 1 capka i 3 kozy w Jurkowie, w pow. brzeskim a 1 capka i 2 kozy w Zbłudzy, w pow. limanowskim. Poza tem wcale nie zajmowano się hodowlą bydła.

Oto mniej więcej owoce działalności Zarządu głównego w sprawie podniesienia włościańskiego rolnictwa. Nie są one zbyt obfite, są owszem wynikiem raczej jeszcze okresu początkowych prób, ale wielką ich doniosłość stanowi to, że są. Po długoletniej nieczynności Zarząd gł. jął się tych spraw i to właśnie jest objawem bardzo dodatnim, jest zasługą nowych ludzi w Zarządzie głównym, pozwala mieć nadzieję, że przed kilku laty rozpoczęta działalność zwiększać się będzie z każdym rokiem, kierowana ręką doświadczonych, praktycznych gospodarzy, że rozpocznie okres rozkwitu Towarzystwa.

Kółka rolnicze zajmować się powinny nie tylko rolnictwem lecz także i handlem, powinny krzewić handel wiejski przez zakładanie

sklepów chrześcijańskich i innych przedsiębiorstw handlowych. Sklepik taki powstaje zawsze jako instytucya spółkowa, utworzona z funduszów dostarczonych przez członków Spółki, członków Kółka rolniczego, a prowadzona bywa z początku przez jednego ze spólników lub przez najętego sklepikarza na rachunek spółki. Sklepiki Kółek rolniczych zajmują się głównie sprzedażą towarów mieszanych, spożywczych i innych stosownie do potrzeb domowych, lecz znaczna ich liczba sprzedaje też i wino, słodzone wódki, tytoń, cygara i papierosy a niewielka objęła nawet i propinacyjną wyprzedaż trunków.

Sprawozdanie Zarządu gł., dając ogólny pogląd na przeszłość, wyjaśnia, że Kółka rolnicze „oczekując na próżno zachęty i impulsu do działania w kierunku rolniczym, nie mając na miejscu wskazówek, w jaki sposób pracę tę rozpocząć, nie mając wyobrażenia, czy i jak do tych celów stowarzyszenie może być pomocne, działanie swe przesunęły ku stronie handlowej a nawet w wielu wypadkach wyłącznie tylko na niej się oparły". Niezdrowe stosunki handlowe po wsiach, nadmierny wyzysk, wysokie ceny przy najgorszej jakości towaru z jednej strony a z drugiej nęcąca nowość, nastręczająca widoczne korzyści, bo i obniżenie cen i zyski pieniężne, były powodem, że Kółka niemal wyłącznie zajęły się kramarstwem. „Akcya, która właściwie powinna była być uboczną, a co najwyżej równorzędną, stała się główną i podstawową. W ten sposób troska o zaoszczędzenie drobnych kwot przy zakupnie, a więc o zmniejszenie rozchodu, nabrała większego znaczenia, niż o wiele ważniejsze od niej zadanie podniesienia intraty z gospodarstwa i zwiększenia dochodów". Był to ruch samodzielny, idący od dołu organizacyi, od Kółek rolniczych, zwiększający się szybko z każdym rokiem, w skutkach swych okazał się pożytecznym i niemało przyniósł korzyści, jednak pożytki te i te korzyści byłyby dzisiaj bez porównania większe i donioślejsze, gdyby na czele organizacyi, czy to w Zarządzie głównym, czy w Zarządach powiatowych, znaleźli się byli ludzie, coby Kółkom radą, pomocą i pouczeniem byli dopomagali, coby ruchem tym potrafili byli pokierować. Tak nie było; był niestety brak świadomego celu kierownictwa. Dopiero w czternaście lat po otwarciu pierwszych sklepów spółkowych przy Kółkach rolniczych utworzono w biurze Zarządu gł., fachową kontrolę nad nimi za pośrednictwem lustratorów handlowych i zaczęto udzielać im fachowej porady i pomocy; dopiero wtedy, gdy już około 700 sklepików chrześcijańskich otworzono, rozpoczęto na praktycznych kursach handlowych w Czernichowie przygotowywać fachowych sklepikarzy a in-

strukcyę dla sklepików Kółek rolniczych wydano dopiero z końcem 1900 roku. Prowadzenie przedsiębiorstw handlowych, jako instytucyi spółkowej, okazało się w bardzo wielu miejscowościach niemożliwe z powodu braku świadomości praw i obowiązków u członków takiej spółki; w wielu miejscowościach upaść ono musiało wskutek nieumiejętności prowadzenia rachunków kupieckich tak, jak tego przedsiębiorstwo spółkowe wymaga. Coraz jaskrawiej zaczęły na jaw wychodzić skutki braku fachowych sklepikarzy, braku umiejętności prowadzenia spółkowego przedsiębiorstwa i braku fachowej kontroli, któraby zaraz w pierwszych początkach odkrywała nadużycie i nieuczciwość w administracyi. Oddanie sklepu w dzierżawę przedstawiało się wtedy jako wygodne wyzwolenie z trudów i kłopotów; czyniły też to Kółka coraz częściej. Dzierżawa zapewnia wprawdzie czynsz od własnego domu Kółka, dywidendę od udziałów, ratę na spłacenie długów, wpływa na regulacyę cen towarów spożywczych, nie jest więc bez korzyści dla członków, ale z jej nastaniem znika spółkowe przedsiębiorstwo, które miało być szkołą związkowej działalności. Gdzie Kółko nie miało własnego domu, gdzie nie było czego oddawać w dzierżawę, gdzie chciano ocalić i jak najprędzej odebrać złożone udziały, tam sklepik sprzedawano najczęściej sklepikarzowi. Nabywszy doświadczenia kosztem członków, dają sobie teraz wcale dobrze radę tak ci samodzielni sklepikarze jako też i dzierżawcy, tworząc nową, z pośród włościan powstającą warstwę katolickich kramarzy, na przyszłość zarodek stanu kupieckiego.

Ten przebieg rzeczy sprawił, że obecnie są trojakiego typu pod względem organizacyjnym sklepiki i kramy katolickie z firmą „Kółka“: związkowe, prowadzone we własnym zarządzie spółki, wydzierżawione i należące do samodzielnych osób prywatnych. Sprawozdanie oznacza ilość sklepów pierwszego typu na 456, drugiego na 249; trzecim wcale się nie zajmuje.

Oddział handlowy biura Zarządu głównego składa się z trzech płatnych urzędników, zwanych lustratorami handlowymi. Udzielają oni kółkom fachowych wskazówek, kontrolują ich czynności, przeprowadzają spisywanie towarów celem sporządzenia bilansu i obliczenia sklepikarzy, słowem, służyć mają Kółkom w potrzebie radą i pomocą. W roku 1902 dokonali 297 lustracyj, które podzielić można na sześć grup. Do pierwszej należą lustracye nowo zawiązanych kółek w celu dania wskazówek i pouczeń na miejscu, po zbadaniu stosunków. Do drugiej lustracye wszystkich kółek pewnego powiatu. Takie lustracye przeprowadzono w 1902 r. w powiecie bocheńskim, rzeszow-

skim i żydaczowskim. Trzecią grupę stanowią lustracye, przeprowadzone na żądanie kółek, najczęściej z okoliczności zmiany sklepikarza. Koszt tego rodzaju lustracyi kółek bywa przez kółko zwracany częściowo lub nawet w całości. Do czwartej należą lustracye kółek, które żądają bezprocentowych pożyczek z funduszu krajowego, dla handlowo-przemysłowej działalności przeznaczonego. Do piątej lustracye, spowodowane nieprawidłowościami w administracyi, a szóstą zaś tworzą okolicznościowe lustracye, zarządzane przy sposobności innych lustracyj w tych kółkach, które są w pobliżu, a dawno już zwiedzane nie były. Lustratorowie przeciążeni są nawałem pracy, nie mogą jej podołać, co sprawia, że niejeden sklep cztery i pięć lat czekać musi, zanim lustrator do niego zawita.

Sprawozdanie podaje wyniki lustracyi w 172 sklepikach związkowych, prowadzonych we własnym zarządzie kółek. Według sprawdzonych przez lustratorów handlowych liczb bilans tych 172 sklepików przedstawia się tak:

Stan czynny.		**Stan bierny.**	
Gotówka w kasie . . . kor.	53.820	Udziały . . . . . kor.	167.658
Wartość towarów . . . „	349.198	Fundusz rezerwowy . „	113.325
Wierzytelności . . . . „	262.722	Długi towar. i pieniężne „	397.695
Wartość inwentarza i własnych budynków „	182.040	Nadwyżka . . . . . „	190.045
Niedobór w 10 sklepikach „	20.833		
	868.613		868.613

Obrót roczny wynosił w nich 3,803.864 kor. Lustratorowie sprawdzili nadto, że w 35 sklepikach wydzierżawionych udziały członków wynosiły 14.425 kor., wartość inwentarzy sklepowych, oddanych dzierżawcom w używanie, 3.366 kor., roczny czynsz dzierżawny 6.197 kor. (najniższy 20 kor., najwyższy 600 kor.), roczny obrót 222.500 kor. Liczby te mówią, że — przyjąwszy nawet pięcioletnią amortyzacyę inwentarzy i strąciwszy z tego powodu 20% z zysków — udziały i fundusz rezerwowy w sklepikach, prowadzonych we własnym zarządzie, przyniosły 54% zysku, zaś udziały w sklepikach wydzierżawionych 38%.

Na zalecenie Zarządu głównego udzielił Wydział krajowy z funduszu pożyczkowego dla handlowo-przemysłowej działalności Kółek roln. proszącym o to 25 kółkom 22.900 koron tytułem bezprocentowych pożyczek.

Kursa handlowe w Czernichowie pod Krakowem mają za

zadanie tak uczniów teoretycznie i praktycznie przygotować, aby jako wykształceni sklepikarze posiadali odpowiednie uzdolnienie do prowadzenia handlu towarami mieszanymi po wsiach i miasteczkach w sklepikach Kółek rolniczych. Kurs trwa cztery miesiące, nauki udziela trzech nauczycieli, liczba uczniów ograniczoną jest do ośmiu, bo tylko tylu w internacie szkoły rolniczej pomieścić się może. W roku 1902 było na kursach 24 uczniów, z nich 22 miało od Zarządu głównego z fundacyi ś. p. Dr. Towarnickiego stypendya po 100 koron, jeden 50 koron, jeden miał stypendyum 50 koron od kółka roln. w Barwałdzie, wreszcie jeden utrzymywał się własnym kosztem. Wyszkolonych sklepikarzy wyszło z Czernichowa 18; czternastu z nich znalazło zajęcie w sklepikach kółkowych.

Wydatki Zarządu głównego na działalność handlową były następujące: pensye lustratorów handlowych 4.200 kor., koszta lustracyi handlowych 7.246 kor., kursa handlowe w Czernichowe 6.010 kor., razem 17.456 kor., zaś dochody na działalność handlową: od Wydziału kraj. na lustracye handlowe 8.000 k., na kursa handlowe 4.000 k., od Rządu na te same cele 6.400 kor., z Bazaru Kółka rolniczego w Czernichowie 600 kor.. z Kółek zwrot kosztów lustracyi 1.180 k., razem 20.180 koron.

Zarząd Towarzystwa wydaje dwutygodnik *Przewodnik Kółek rolniczych.* Służy on za łącznik między Zarządem gł. a Kółkami rolniczemi, oraz udziela wszelkich wiadomości, rad i wskazówek w zakresie działalności Towarzystwa, tudzież zamieszcza artykuły z dziedziny rolnictwa, gospodarstwa wiejskiego, handlu i obowiązujących ustaw. W roku 1902 każdy numer polskiego wydania obejmował trzy arkusze druku, a co miesiąc wychodził półarkuszowy dodatek w języku ruskim. Widoczna od lat kilku celowość i staranność redakcyi tego czasopisma zwiększyła jego poczytność. W roku 1898 prenumerata (4 k. rocznie) przyniosła 1.044 kor., w 1900 roku 2.275 kor., w 1902 koron 3.851. Wydawnictwo to kosztowało w 1902 roku 8.916 koron, przyniosło zaś z prenumeraty 3.851 kor., z ogłoszeń 2.313 kor., otrzymało subwencyę Wydziału krajowego 1.000 kor., niedobór 1.751 kor., pokryto z ogólnych funduszów Towarzystwa.

W roku 1899 rozpoczął Zarząd Towarzystwa wydawnictwo broszurek treści rolniczej i ekonomicznej! W ciągu lat czterech wydano 18 polskich i 5 ruskich, z czego na 1902 rok przypada pięć: Niewyzyskane ulgi podatkowe dla domów włościańskich — O opustach podatku gruntowego z powodu szkód elementar-

nych — Wskazówki do uprawy mało rozpowszechnionych roślin pastewnych — O drenowaniu — O współudziale Kółek rolniczych w walce przeciw alkoholizmowi — i pierwszą z wyliczonych po rusku. Wydawnictwa te kosztowały 1.398 kor., a przyniosły z rozprzedaży 987 koron.

Do Towarzystwa należało 432 członków wspierających (tj. płacących po 8 koron rocznie), a 26 różnych instytucyj i stowarzyszeń (312 k.), 221 Kółek rolniczych (1.705 k.) i 185 osób prywatnych (1599 kor.).

Prócz wymienionych już poprzednio subwencyj otrzymał Zarząd główny jeszcze od Wydziału krajowego na cele ogólne 12.000 kor., razem więc od Wydziału krajowego tytułem subwencyj 33.000 kor., od Rządu 18.900 kor., od różnych instytucyj 4.580 kor., z wkładek członków 3.648 kor., zaś co do wydatków dotąd niewymienionych na wzmiankę jeszcze zasługują: pensya kierownika biura i urzędników manipulacyjnych 7.567 kor., koszta administracyjne 7.515 k. Ogółem pensye urzędników, podróże w celach lustracyjnych i koszta administracyjne wynosiły koron 38.622.

W końcu dowiadujemy się jeszcze ze Sprawozdania, że w przeciągu lat dwudziestu zawiązano w kraju 1.668 kółek, że 421 (25%) z nich upadło, a z końcem 1902 r. pozostało 1.247, że z tych 952 (76%) nadesłało Zarządowi sprawozdania. Na podstawie tych sprawozdań informuje Zarząd gł., że wartość własnych budynków kółkowych wynosi około 550.000 kor., że kółka na 2.528 morgach prowadziły drenowania, że posiadają 12 śpichlerzy, 8 mleczarń spółkowych, 6 piekarń, 116 rzeźni, że mają 93 sikawek i 76 ochotniczych straży pożarnych. Z górą połowa sklepików sprzedaje tytoń (353) i wino (366), a piąta część napoje słodzone (154). Z otrzymanych zysków złożyły kółka na cele kościelne 20.058 kor., na inne 5.697 k. Na czele kółek rolniczych stoją przeważnie włościanie. I tak w 1902 r. spełniali obowiązki przewodniczącego: włościanie 50%, duchowni 27%, właściciele dóbr 7%, nauczyciele 4%, — zastępcy przewodniczącego: włościanie 75%, duchowni 4%, nauczyciele 2%, — sekretarza: włościanie 54%, nauczyciele 20%, duchowni 1%.

O organizacyi pośredniej, o związkach powiatowych i zarządach powiatowych dowiadujemy się ze sprawozdania bardzo niewiele, choć działalność ich miała być w roku 1902 żywszą niż w poprzednich. O ile ze sprawozdania można wnosić, to tylko w powiecie jasielskim działalność zarządu powiatowego była ożywioną i przyniosła kółkom

praktyczne pożytki. Ten brak pośredniej organizacyi, a raczej brak ludzi, którzyby po powiatach pracować chcieli, jest najsłabszą stroną Towarzystwa kółek rolniczych i dopóki ten brak usunięty nie będzie, dopóty centralne kierownictwo nie będzie mogło należycie rozwinąć swej działalności.

Żali się w swem sprawozdaniu Zarząd gł. Tow. Kółek rolniczych, że o działalności, mającej na celu podniesienie rolnictwa nie może być mowy w przeważnej liczbie kółek, gdyż sami wieśniacy jeszcze nie są przygotowani do tego, a inni nie garną się do nich, by ująć w swe ręce ster spraw rolniczych. Niestety taki stan rzeczy nie ulegnie tak prędko ogólnej zmianie na lepsze. Nie dokonają tej zmiany ani stowarzyszenia, ani teoretyczne wykłady wędrownych nauczycieli, przygodnie tu i owdzie wygłaszane. Potrzeba tu pracy systematycznej, ciągłej, celowej, potrzeba nauki zaczynającej od podstaw, elementarnej, łączącej teoryę z praktyką, potrzeba tej nauki w każdym powiecie, w każdej gminie. Dopóki nie będzie dostatecznej liczby szkół rolniczych dla włościan, dopóty nie będzie można mówić, że sprawa podniesienia włościańskiej produkcyi jest na dobrej drodze, na drodze wiodącej do celu.

Zwrotem w tym kierunku jest organizowanie nauki na dopełniających kursach rolniczych przy szkołach ludowych. Według artykułu 20 ustawy krajowej z 23 maja 1895 r. mają być w każdym powiecie zorganizowane takie kursa przy jednej szkole. W przeciągu ubiegłych lat siedmiu utworzono ich zaledwie dwadzieścia osiem w 27 powiatach, z czego osiem przypada na 7 powiatów zachodnich. W roku 1902 pobierało na nich naukę 935 chłopców i 20 dziewcząt. Nauka rozłożoną jest na lat trzy. Celem jej tak teoretyczne jak i praktyczne wykształcenie dorastającej młodzieży wiejskiej na myślących rolników, uzdolnionych do dobrego administrowania gospodarstwem włościańskiem. Metoda nauki ma być ściśle poglądowa przy pomocy okazów, modeli, rycin i odpowiednich demonstracyj. Zakładanie takich kursów postępuje zwolna i plan nauki nie jest jeszcze ostatecznie opracowany, brak nauczycieli, a cała działalność w tym kierunku jest jeszcze w okresie początkowych prób, jak to Rada szkolna w ostatniem swem sprawozdaniu wyjaśnia.

Od lat mniej więcej dziesięciu zwrócono baczniejszą uwagę na ogrody szkolne. Widoczne są starania o zakładanie ich tam, gdzie ich dotąd nie było, o ulepszanie, gdzie są. W szkolnych ogrodach warzywnych i sadowniczych mają dzieci szkolne czerpać prakty-

czne objaśnienia wiadomości podawanych w nauce szkolnej, zaś ludność wiejska ma mieć w nich wzór do naśladowania. W roku 1902 było takich ogrodów 2.884. Mogłyby one przynieść pożytku niemało, gdyby nauczyciele ludowi posiadali odpowiednie przygotowanie i wykształcenie ogrodnicze. By tę lukę w ich wykształceniu zapełnić, rozpoczęła Rada szkolna działalność nową, urządza kursa ogrodowniczo-sadownicze dla nauczycieli i wysyła ich na nie, udzielając jednocześnie zasiłku na pokrycie nadzwyczajnych wydatków połączonych z pobytem na kursie. Zaopatrywanie ogrodów szkolnych w potrzebne urządzenia i przybory, umożliwienie pierwszego zagospodarowania w ogrodzie, udzielanie nagród po 100 koron corocznie w każdym powiecie nauczycielowi, który ogród wzorowo prowadzi, oto dalsze usiłowania, aby ożywić działalność, która, prowadzona wytrwale, produkcyę wieśniaczą niepospolicie podnieść będzie musiała.

Niższe szkoły rolnicze, utrzymywane wyłącznie z funduszu krajowego, są instytucyami fachowej nauki rolnictwa. Celem ich jest wychowanie i kształcenie synów włościańskich bądź to na samodzielnych gospodarzy praktycznych, którzyby, osiadłszy na ojcowiźnie, mogli przykładem swym przyczyniać się do podniesienia gospodarstwa włościańskiego, bądź też na pomocników gospodarskich w większych majątkach ziemskich. Jest ich sześć, w Bereźnicy, Dublanach, Horodence, Jagielnicy w Galicyi wschodniej, oraz w Kobiernicach i Suchodole w zachodniej. W ostatniem pięcioleciu liczba uczniów podwoiła się w tych szkołach; w 1902 r. wynosiła 211, nie licząc uczniów szkoły dublańskiej. Uczniowie pomieszczeni są w internatach. Nauka rozłożona na lat trzy, dzieli się na teoretyczną i praktyczną. Pierwsza przeważała w okresie zimowym, druga w letnim. Gospodarstwo prowadzi się na kilkudziesięciu morgach. Uprawiają je uczniowie sami pod kierunkiem i nadzorem nauczycieli i instruktorów. Liczba miejsc w internatach tych szkół jest ściśle ograniczona; są one już wszystkie zapełnione tak, że wobec coraz liczniejszych zgłoszeń uczniów zachodzi potrzeba powiększenia zakładów naukowych tego rodzaju. Spodziewać się należy, że nastąpi to w przyszłości nie bardzo odległej; zwłaszcza, że 193.000 kor., wydane na te szkoły w roku 1902, są wydatkiem dość niewielkim w kraju niemal wyłącznie rolniczym, a pod względem kultury rolniczej bardzo zaniedbanym.

Rolnicze szkoły zimowe, dwie, założone zostały sposobem próby, jako nowy rodzaj szkół, które mają młodzieży włościańskiej, wyszłej ze szkół ludowych, dostarczać potrzebnych w zawodzie rolniczym

wiadomości, a w szczególności wpłynąć na podniesienie ich gospodarstwa. Nauka odbywa się tylko w miesiącach zimowych. W Niewiarowie jest kurs dwuletni, w Wojsławiu jednoroczny. Było na nich 37 uczniów. Koszt utrzymania obu szkół wynosił 4.026 koron. Jakkolwiek dotychczasowe wyniki w obu szkołach są pomyślne, to jednak komisya gospodarstwa krajowego jest zdania, że należy oczekiwać jeszcze dalszego ich rozwoju, zanim można będzie wziąć pod uwagę tworzenie nowych.

W celu podniesienia sadownictwa i warzywnictwa w dwóch punktach kraju, w okolicach Lwowa i Krakowa, gdzie znaczna część ludności żyje z tych zajęć, ustanowił Wydział krajowy dwie posady instruktorów ogrodnictwa i sadownictwa. Pouczaniem, pomocą i poradą wpływać oni mają na podniesienie produkcyi, oraz na jej najpraktyczniejszy zbyt. W powiecie lwowskim instruktor p. Traczewski musi dopiero rozbudzać ruch ogrodniczy; p. dr Goliński w powiecie krakowskim nietylko podnosi rozwinięte tu już ogrodnictwo, ale nadto ma trudne zadanie torowania zbytu i to zbytu hurtownego tak w Krakowskiem, jak i w zachodniej Galicyi, gdzie produkcya sadownicza tak co do ilości jak i jakości z każdym rokiem wzrasta, a pokrywszy miejscowe potrzeby, nadmiar wysyła na Ślązk i Morawy.

Najnowszą szkołą, utworzoną z funduszów krajowych dla podniesienia produkcyi rolniczej, jest szkoła mleczarska w Staromieściu pod Rzeszowem. Zadaniem jej będzie zawodowe kształcenie mleczarzy i serkarzy, jako przyszłych kierowników mleczarń i serowni ręcznych i parowych, prywatnych i związkowych. Mleczarnia szkolna przerabia przez cały rok na masło i sery mleko, dostarczane przez spółkę producentów w okolicy Rzeszowa. Nauka, teoretyczna i praktyczna, udzielana jest na trojakich kursach. Kurs niższy, czteromiesięczny, zastosowany jest do mleczarń ręcznych. Kurs wyższy, ośmiomiesięczny, ma kształcić kierowników większych mleczarń parowych. Wreszcie kurs serkarski trwa cały rok. Internat szkolny urządzony jest na przyjęcie dwunastu uczniów.

Jeszcze przed dwunastu laty utworzone w Wydziale krajowym biuro mleczarskie szerzyło wiedzę zawodową, budząc zainteresowanie się przemysłem mleczarskim. Przebył on już okres pierwszych początków, bo dziś mamy w kraju około 200 mleczarni. Służenie im fachową poradą w kwestyach technicznych i handlowych, organizacya i ułatwienie zbytu, organizacya spółek mleczarskich, to wszystko zakres działalności i obowiązek biura mleczarskiego, obowiązek instruktorów

mleczarstwa. Wprawdzie oddawało ono dotąd usługi przeważnie, niemal wyłącznie, właścicielom większych majątków, jednak obecnie przynosić ono zaczyna pożytek także i włościanom, bo w zachodniej części kraju nie należą już do osobliwości włościańskie spółki mleczarskie.

Nie ma różnicy zdań, że włościanin nasz za mało pracuje, że mały kawałek ziemi nie może wystarczyć na dostatnie utrzymanie, że cała zima to okres nieczynności, który możnaby było zużytkować, gdyby po naszych wioskach był rozpowszechniony przemysł domowy.

Grosz zarobiony w zimie przyczyniłby się do zwiększenia zamożności, a już co najmniej chroniłby od nędzy w latach nieurodzaju. Stąd to wielka doniosłość szerzenie tego przemysłu. Zadanie to spełnia Wydział krajowy.

Krajowe szkoły zawodowe dostarczać mają zastępu robotników w przemyśle domowym, po części z dawien dawna w niektórych miejscowościach się utrzymującym, po części zaś wytworzyć mają przemysł ten tam, gdzie miejscowe warunki sprzyjać mogą jego rozwojowi. Pierwsze miejsce zajmują tu szkoły koszykarskie. Jest ich 11 w miejscowościach: Czerwona Wola, Dynów, Dżurów, Jurków, Niżniów, Rudki, Siedlec, Skołyszyn, Wielowieś, Wojsław, Zator, — koszt utrzymania 54.046 k., — oraz trzy subwencyonowane pracownie w Albigowej, Bilince i Żurawnie, — koszt 3.440 k.; pobierało w nich naukę 293 uczniów. Cztery szkoły kołodziejskie w Grzybowie, Grzymałowie, Kamionce strumiłowej i Tłumaczu miały uczniów 146, kosztowały 67.314 kor. Dwie szkoły stolarskie w Stanisławowie i Kalwaryi Zebrz. — uczniów 81 — utrzymywane były kosztem 32.492 k. Szkoła zabawkarska w Jaworowie (7.152 k.) miała uczniów 42. Gancarstwa uczono w Kołomyi i Podgórzu i subwencyonowanej pracowni w Toustem; uczniów 47, koszt 30.264 kor. Szewstwa w trzech szkołach, w Starym Sączu, Dobczycach, Witkowie; uczniów 70, koszt 28.908 k. W Glinianach, Gorlicach, Korczynie, Kosowie, Krośnie, Łańcucie, Rychwałdzie i Wilamowicach było 8 szkół tkackich, w Budzanowie subwencyonowana pracownia tkacka. Koszt utrzymania 48.020 kor., uczniów 155. Szkoła sukiennicza w Rakszowie miała uczniów 27, kosztowała 16.412. Trzy szkoły koronkarskie były w Bobowej, Kańczudze i Zakopanem, oraz pracownia subwenc. w Jaworowie, uczennic 147, koszt 18.624 k. W Makowie utrzymywano kosztem 3.786 kor. szkołę hafciarską; uczennic 54. Wreszcie powroźnictwa uczono w pracowni subwenc. w Stryju; uczniów 6,

koszt 600 k. Ogółem w 44 szkołach tego rodzaju było uczniów 1.103. Koszta utrzymania, wynoszące łączną sumę 314.920 k., pokryto częścią z funduszu krajowego (137.866), częścią z funduszu dostarczonego przez rząd (76.040 k.), z dochodu ze sprzedaży wyrobów szkolnych (84.380 k.), z subwencyj Rad powiatowych (10.760 k.) i z zasiłków dostarczanych przez gminy (5.874). Szkoły te, służące w części interesom ludności miasteczkowej, przeważnie zaś ludności wiejskiej, bardzo użyteczne, za mało mają dotąd uznania, za mało poparcia, toteż żałować należy, że ich w kraju jest tak mało. Mogłyby one podźwignąć niejedną jeszcze gałąź przemysłu. Przemysł np. koszykarski, co roku silniejszy i pracujący już na eksport, jest dowodem, że w kraju, gdzie przemysł fabryczny rozwinąć się nie może, można jednak stworzyć niejedno źródło zarobku dla ludności wieśniaczej.

Kredyt, mający tak ogromne znaczenie w gospodarstwie społecznem, wywiera wpływ niemały także i na losy naszych gospodarstw włościańskich. Brak lub zbyt wielka trudność uzyskania, zarówno jak i nieoględne korzystanie z łatwego kredytu, lichwiarski wyzysk kredytowy, były przyczyną niejednej ruiny, toteż z zadowoleniem zaznaczyć trzeba od niedawna dopiero coraz liczniej powstające Spółki oszczędności i pożyczek, które, jak się zdaje, tę doniosłą, a tak trudną sprawę załatwić zdołają w sposób, nie pozostawiający nic do życzenia.

Spółki oszczędności i pożyczek powstały w pruskiej prowincyi nadreńskiej. Organizatorem ich był Raiffeisen i dlatego to nazywane bywają spółkami raiffeisenowskiemi. Tworzone są według tych samych zasad prawnych, co i tak zwane stowarzyszenia zaliczkowe pomysłu dra Schultzego z Delitsch; podstawą ich prawnego istnienia w Austryi jest ustawa z 9 kwietnia 1873 r. o spółkach zarobkowych i gospodarczych. Gdy atoli te spółki zarobkowe, gospodarcze i zaliczkowe obmyślane są przedewszystkiem dla stosunków i ludności miejskiej, to spółki raiffeisenowskie zastosowane są do stosunków i potrzeb ludności wiejskiej i małomiasteczkowej, co właśnie stanowi ich wybitną zaletę i wielką użyteczność. Od innych stowarzyszeń kredytowych odróżniają się spółki systemu Raiffeisena właściwemi sobie znamionami, które stanowią ich istotną wartość i umożliwiają skuteczną działalność wśród ludności wiejskiej. Działalność ich ograniczona jest na mały okręg, np. kilka gmin jednej parafii, z ludnością od 500 do 3000 głów, co daje możność dobrej znajomości członków spółki, ich gospodarstw, stosunków i potrzeb, a tem samem możność oględnej i celo-

wej działalności. Członkowie zarządu spółki pełnią obowiązki swe bezpłatnie. Pożyczki udzielane bywają na skrypt dłużny; kredyt wekslowy jest wykluczony. Pierwszem zadaniem wiejskiej spółki oszczędności jest wydobyć i gromadzić drobne oszczędności ze skromnych dochodów i zarobków; wytwarza to z czasem zamiłowanie do oszczędzania. Drugiem zadaniem i polem działalności dostarczenie kredytu tylko ludziom rzetelnym i gospodarnym i tylko w celach ekonomicznych, a więc tylko w celu wytworzenia dochodu, z którego pożyczka będzie mogła być umorzoną, a nadto przyniesie jeszcze dłużnikowi nadwyżkę dochodu. Procent od pożyczek, pobierany z dołu, nie może przewyższać procentu od wkładek oszczędności w Spółce umieszczanych więcej, niż o $1^1/_2\%$. Termina płatności rat nie są wyznaczane szablonowo ani przypadkowo według jednej i tej samej dla wszystkich formułki, lecz rozmaicie stosownie do dochodów dłużnika i natury celu ekonomicznego, na który pożyczka jest zaciągniętą. Członkowie spółki, zmuszeni do czynnego uczestnictwa w działalności Zarządu, Rady Nadzorczej i Walnych Zgromadzeń, uczą się w sposób praktyczny prowadzić rachunki i umieć je kontrolować, wnikać w głąb różnych spraw ekonomicznych, możliwy ich wynik opierać na rachunku, wspólnie o nich radzić i w sposób dla drugich korzystny je załatwiać. Jest to szkoła publicznego życia, szkoła poznawania zagadnień ekonomicznych w ich pierwotnej postaci.

Spółek takich liczyć można na tysiące w Niemczech, Francyi i zachodnich krajach austryackich. W Galicyi założono pierwszą w 1890 roku w Czernichowie pod Krakowem. Szerzył o nich wiadomości i do zakładania zachęcał dr Fr. Stefczyk. Liczniej zaczęły powstawać dopiero z chwilą, gdy na wniosek Wydziału krajowego Sejm w 1899 roku uchwalił utworzyć przy Wydziale krajowym „biuro patronatu dla Spółek oszczędności i pożyczek“, — urządzać praktyczne kursy dla funkcyonaryuszów spółek, — utworzyć stały fundusz pożyczkowy w sumie 2,000.000 koron dla spółek oszczędności i pożyczek pod patronatem Wydziału krajowego zostających. Biuro patronatu otwarto w dniu 1 lipca 1899 r.; zostaje ono pod kierownictwem dra Franciszka Stefczyka. Pomocy swej udziela i opiekę nad spółkami rozciąga w ten sposób, że dostarcza im wzorowego statutu, potrzebnych druków i ksiąg rachunkowych, załatwia, względnie ułatwia różne sprawy z sądami i władzami, udziela porady we wszystkich sprawach, dotyczących ich działalności, urządza praktyczne kursy nauki dla kasyerów, rachmistrzów i kierowników spółek, wydaje

książki, broszury i czasopisma, zawierające pożyteczne dla spółek wiadomości. W celu wykonywania nadzoru nad spółkami przeprowadza biuro patronatu na miejscu lustracye spółki, sprawdza zamknięcia rachunkowe i bilanse, zwraca uwagę na bezpieczeństwo i regularną spłatę pożyczek. Zawiązująca się pod patronatem Wydziału krajowego Spółka otrzymuje 400 koron zasiłku na pokrycie kosztów założenia, oraz oprocentowaną pożyczkę z funduszu krajowego, aby na początek miała odrazu potrzebny fundusz obrotowy. Jaką powinna być działalność spółek, jaką jest działalność patronatu, wskazuje nam ustęp z okólnika Wydziału krajowego z 10 lipca 1899: „Uchwałą sejmową rozpoczęta sprawa wyłącza wszelkie uboczne względy i tendencye. Swoją siłę i zbawienność skutków czerpie ona przedewszystkiem w duchu głębokiej a czynnej, chrześciańskiej miłości bliźniego, która powinna działalność spółki przenikać, być drogowskazem i źródłem zadowolenia dla kierowników, a ciepłem ożywiającem wszystkich członków spółki. Na tym fundamencie i tą drogą pragnie Wydział krajowy prowadzić poruczoną sobie akcyę i spodziewa się, że ona złączy we wspólnej pracy wszystkie o dobro kraju i jego włościańskiej ludności istotnie dbałe żywioły.

W roku 1902 było 177 spółek zostających pod patronatem. Wydany przez biuro patronatu *Rocznik spółek oszczędności i pożyczek za rok 1902* dzieli je na trzy grupy: zachodnią (70 spółek), środkową (57) i wschodnią (50). Obejmowały one 773 gmin a 779.728 mieszkańców; miały 29.222 członków. Im dalej na wschód, tem bardziej maleje ilość członków w Spółkach. W grupie zachodniej wynosiła 14.159, przecięciowo w spółce 202, w środkowej 8.633, przecięciowo 151, we wschodniej 6.430, przecięciowo 129. Włościanie stanowili 89·5% członków, rzemieślnicy z kupcami 5·12%. W skład członków zarządów i rad nadzorczych wchodziło 1.869 wieśniaków, 177 księży, 113 nauczycieli, 97 rzemieślników, 84 urzędników, 57 posiadaczy obszarów dworskich. Suma wpłaconych przez członków udziałów wynosi w grupie zachodniej 83.314 k. (przecięciowo na jedną spółkę 1.190 k.), w środkowej 62.385 (1.094 k.), we wschodniej 43.163 (863 k.). Złożone w spółkach na procent oszczędności wynosiły prawie 3,000.000 koron, z czego 75% przypada na grupę zachodnią, 16% na środkową a 8% na wschodnią. Są to oszczędności przeważnie włościańskie, zwłaszcza w zachodniej Galicyi, gdzie wieśniacy posiadają przecięciowo 60% ogółu książeczek oszczędności, a 57% ogólnej sumy wkładek; natomiast we wschodniej tylko 40% książeczek, a 34·9%

wkładek. W celu zasilenia swego kapitału obrotowego zaciągnęło 151 spółek pożyczki w sumie 776.118 kor. z krajowego funduszu pożyczkowego, 23 w Galic. Kasie oszczędności w sumie 108.800 k. Z kredytu tego korzystały przeważnie grupy środkowa i wschodnia. W ciągu 1902 roku udzieliło 177 spółek członkom swoim 14.798 pożyczek nowych na łączną sumę 2,955.593 k. Z końcem zaś roku tego wynosił ogólny stan wszystkich pożyczek u członków 3,861.563 k. Z nowo zaciągniętych pożyczek przypada 25% na spłatę uciążliwych długów, 33% nakupno gruntu, 12% na budynki, 11% na kupno inwentarza, 8% na spłatę rodziny, 2·5% na prowadzenie handlu. Z ogółu 177 spółek tylko 4 zamknęły rachunki ze stratą 77 koron, zaś 173 miały 55·084 k. czystego zysku. Koszta administracyjne wynosiły prawie 39.000 k., przecięciowo 220 k. na jedną spółkę. Stopa procentowa od wkładek oszczędności obracała się w granicach $4^1/_2$ do 6%, a od udzielanych pożyczek od 6% do $7^1/_2$%.

Spółki oszczędności i pożyczek dopełniają mniej więcej trojaką czynność, mającą ekonomicznie podnieść nasz stan włościański. Bez kredytu nie może się obejść rolnictwo, handel, ani przemysł. Pomysł przeniesienia tych spółek do naszego kraju, zarówno jak i sposób ich rozpowszechnienia są czynem bardzo dodatnim, są objawem bardzo pomyślnym.

W najbliższym czasie damy przegląd działalności dla podniesienia oświaty ludowej w Galicyi.

Dr. Antoni Malkiewicz.

Druk ukończono 30 grudnia 1903 r.

WSPÓŁCZESNA PROPAGANDA ANTYPOJEDYNKOWA[1].

Ubiegłemu stuleciu poświęcano nekrologi przedwczesne już wtedy, gdy się dopiero rozpoczęło jego ostatnie, schyłkowe dziesięciolecie. Pisali te nekrologi nietylko publicyści i fejletoniści, lecz także uczeni różnego autoramentu, przedewszystkiem socyologowie, ci ostatni oczywiście w sposób trzymający się pośredniej drogi między uprzywilejowaną lekkością czy powierzchownością fejletonową a ścisłym wykładem naukowym. Były to niejako bilanse cywilizacyjnego dorobku ludzkości w tym wieku pod wielu względami wybitnie wyróżniającym się od swoich poprzedników. Korzystny efekt tych bilansów zależał od punktu widzenia, z którego poszczególne pozycye były szacowane i zestawiane. Kto uwagę zwrócił głównie na olbrzymi postęp nauk przyrodniczych i wynikłe stąd równie olbrzymie zdobycze we wszystkich kierunkach i gałęziach techniki, ten oczywiście olśniony blaskiem postępu i dodatnią sumą rzeczywistego dorobku wpadał w taki ton zachwytu i uwielbienia, że nie czekając na sąd historyków, którym w tem bilansowaniu przypada niejako rola komisyi rewizyjnej, XIX stulecie tak wywyższał ponad przeszłość, jakgdyby ludzkość w tym okresie postępowała naprzód nie krokiem miarowym, lecz w skokach bajecznych.

Jednakże cały chór tych bilansistów ze schyłku wieku nie był bynajmniej harmonijnie dostrojony. Odzywały się częste

[1] Stosownie do zapowiedzi, danej w rozprawie: „Liga antypojedynkowa", umieszczamy drugi artykuł o tej żywotnej kwestyi. *Redakcya.*

i wcale liczne tony fałszywe, dawały się słyszeć głosy pesymistów, i to takich, którzy nietylko nie wtórowali uwielbieniu, lecz wprost stawiali pytanie: czyśmy się stali lepsi w ciągu tego stulecia? Pytanie takie niejako narzucało się w poglądach z moralnego punktu widzenia na wiek, który, zwłaszcza w drugiej połowie swojej, zachwiał pod społeczeństwem do głębi podstawy religijne jego ustroju, a równocześnie rozpętał drzemiące w niem namiętności i żądze w demonicznej mocy i skali. Tego głosu moralistów nie mogli entuzyaści zakrzyczeć, gdyż wtórował mu otwarcie poważny, trzeźwy, nie na ogólnikach lecz na pozytywnych datach oparty głos prawników. Tak się bowiem złożyło, że właśnie na schyłku dogorywającego wieku statystyka kryminalna dostarczyła w różnych państwach, zwłaszcza we Francyi, materyału aż nadto wystarczającego do stwierdzenia tego smutnego faktu, że w ostatniej ćwierci XIX stulecia przestępstwa wszelkiego rodzaju, tak gwałtowne, wybuchową siłą namiętności wywoływane, jak i wyrafinowane, z chciwości i chłodnej żądzy używania pochodzące, wzrosły, wszędzie procentowo w uderzający, a we Francyi nawet w przerażający sposób. Apologeci XIX stulecia odpowiedzieć zdołali na to fatalne dla ich wniosków spostrzeżenie tem tylko ogólnikowo sformułowanem twierdzeniem, że ze statystyką kryminalną trzebaby zestawić statystykę humanitarnych urządzeń i faktów wszelkiego rodzaju i pochodzenia, a w takim razie zapewne pokazałoby się, iż w tej dobie dobro ostatecznie miało przewagę nad złem. Czy to rzecz pewna? Dlaczegoż nie postarano się o taką statystykę przynajmniej w zarysie, dlaczegoż na daty pozytywne nie odpowiedziano takiemi samemi datami, lecz tylko zagadkowem *x*, na jakiem przecież żadna poważna rachuba oprzeć się nie może.

W każdym razie jednak, biorąc nawet owo *x* na seryo, faktem pozostanie, że na wspaniałych obrazach cywilizacyjnego dorobku w XIX stuleciu odkryto plamy, że w wielkim przybytku kultury XIX stulecia pozostało — jak to nieraz po kątach pięknych salonów się zdarza — śmiecie niedostrzeżone czy zapomniane przez dekoratorów.

Sumaryczny wynik wszystkich tych zestawień cywilizacyjno-bilansowych trafnie określił jeden z poważnych prawników niemieckich (Bekker), który mimo całego uwielbienia dla postępu wiedzy, bezwarunkowo uznał deficyt moralny, a zaznaczając dobitnie wielką wagę tej różnicy aforyzmem: *qui proficit in litteris et deficit in moribus, plus deficit quam proficit;* uznał poprawę obyczajów, więc wyrównanie deficytu moralnego za najpilniejsze zadanie XX stulecia.

Temu refleksyjnemu nastrojowi społeczeństwa na schyłku XIX stulecia zawdzięczać to należy, że niejedno zło, dotąd znoszone obojętnie lub co najwięcej z pewną indygnacyą w wypadkach jaskrawszych, zwróciło na siebie żywszą uwagę a przytem i postanowienie wytężenia wszelkich środków ku uchyleniu złego. Między wielu innemi ujemnemi pozycyami w bilansie cywilizacyjnym XIX stulecia także i pojedynek zwrócił na siebie taką uwagę społeczeństwa i wywołał w opinii ruch antypojedynkowy, dziś tak gorączkowo podsycany, jak gdyby zło dopiero teraz na jaw wyszło, jak gdyby pojedynek nie urągał już długie wieki boskiemu przykazaniu, prawu pozytywnemu państwa i Kościoła, wreszcie zdrowemu poczuciu moralnemu i rozumowi.

Rozpoczęta także na schyłku XIX stulecia z wielkim, cały świat cywilizowany ogarniającym rozmachem propaganda pokojowa z dążnością do zastąpienia krwawych wojen sądami rozjemczymi, sprzyja i sprzyjać będzie nadal ruchowi antypojedynkowemu jako propagandzie pokojowej w ciaśniejszem kole, gdzie nie krocie, lecz jednostki stają przeciw sobie do walki z morderczą bronią. Wspólna idea, zastąpienie siły brutalnej moralną stanowi tło jednej i drugiej propagandy; idea szlachetna i do pewnego stopnia wykonalna nawet na szerokim terenie międzynarodowym, o ile licząc się z realnymi stosunkami nie rozpłynie się w marzeniach o wiecznym pokoju, więc o idealnym stanie ludzkości.

Wyrazem żywego zajęcia się propagandą antypojedynkową są ligi dotąd zawiązane i dalej zawiązywane w różnych krajach Europy, przedewszystkiem tam, gdzie plaga pojedynkowa gra-

suje najwięcej, niemal epidemicznie, t. j. w Austryi i w Niemczech.

O samym pojedynku, jego historyi i istocie mówić tutaj nie zamierzamy. Są to bowiem rzeczy powszechnie i dostatecznie znane. Ograniczając się do samego tylko przedmiotu, w tytule zakreślonego, musimy dodać jeszcze jedno zastrzeżenie. W kwestyi pojedynku, posiadającej już nie samą tylko literaturę, lecz całą bibliotekę, zbiega się tyle zagadnień historycznej, prawnej, wogóle społecznej, o ile chodzi o cześć samą, w której obronie i pod której hasłem pojedynek dotąd się utrzymuje, także i filozoficznej natury, że już sama przezorność autorska każe dokładnie z góry wytyczyć granicę, poza którą ani krokiem wyjść nie należy, żeby się nie zgubić na tak wielkim obszarze tych zagadnień.

To też z góry pragniemy zaznaczyć, że w pracy tej ograniczymy się do rozpatrzenia pytania, czy i o ile ta najświeższa, ligami zaznaczająca się propaganda antypojedynkowa posiada lepsze niż dotychczasowe zabiegi, warunki powodzenia, i rokuje osiągnięcie upragnionego celu.

Na pytanie to nie wahamy się dać odpowiedzi twierdzącej z tem jednem tylko oczywiście zastrzeżeniem, że szczęśliwie powzięta i równie szczęśliwie przez zorganizowanie licznych już dotąd lig zainicyowana propaganda przeciw pojedynkom ani nie pójdzie w zapomnienie, ani nie osłabnie, lecz owszem tak coraz szersze zataczać będzie kręgi, jak to jej koryfeusze zapowiadają i jak to dotąd rzeczywiście się dzieje.

Co głównie i przedewszystkiem wzbudza taką otuchę, to fakt, że inicyatorowie propagandy wprowadzili ją odrazu na drogę właściwą i najprędzej do celu wiodącą, odwołując się wprost do samego społeczeństwa, aby przez tworzenie lig antypojedynkowych zeszeregowało do walki wszystkich zgodnych w potępianiu manii pojedynkowej. Dotąd bowiem w atakach na pojedynek, atakach po akademicku prowadzonych, nie było zgody na to, kto ma w pierwszym rzędzie wyruszyć do walki: prawo ze swoim ciężkim rynsztunkiem paragrafowym, czy samo społeczeństwo ze swoją wypróbowaną bronią moralną, tym na-

ciskiem moralnym, któremu jednostka nigdy oprzeć się nie zdoła? Zgadzano się wprawdzie na to, że oba czynniki są zarówno do akcyi powołane i że ich zgodność w akcyi jest niezbędna, ale chociaż prawo dotąd okazywało się bezsilnem w walce, mimo to częściej do niego niż do społeczeństwa zwracały się głosy nawoływujące do zaradzenia złemu, jak gdyby zapomniano o tem, że pojedynek formalnie zawsze podpadał pod państwowy rygor karny, kiedy tymczasem społeczeństwo zamiast rygor ten wzmocnić, ze swojej strony nadawało owszem pojedynkowi, dotąd przynajmniej, sankcyę zwyczajową. Wszakże w klasach nadających ton pożyciu towarzyskiemu, wogóle dyktujących cały kodeks konwenansowy, utrwalił się zwyczaj wyrównywania zapomocą pojedynku wszelkich zajść, w których w grę wchodzi jakiekolwiek, chociażby najlżejsze albo nawet urojone naruszanie czci i to nawet nie w ścisłem, lecz najelastyczniejszem, pretensyonalność i arogancyę obejmującem, tego słowa znaczeniu. Siłą przymusu społecznego, jaką każdy zwyczaj wywiera, pojedynek formalnie terroryzuje dziś nawet tych, którzy uznają całą zdrożność takiej metody załatwiania spraw honorowych i osobiście pragnęliby się wyłamać z pod zakorzenionego zwyczaju. Cóż jednak znaczy opór jednostki wobec przymusu ogólnego? Bywały nieraz przykłady takiego oporu, ale kończyły się na tem, że ci, którzy pierwsi przykład taki dali, zgnieceni zostali przez opinię ślepo uległą manii pojedynkowej, chociaż z zarzutem tchórzostwa w danym razie nikt nawet nie odważył się wystąpić. Każdy taki przykład pozostał oczywiście wypadkiem odosobnionym, którego w podobnej sytuacyi nikt naśladować nie chciał, a jeżeli egzystencyą swoją zależny był od opinii, nawet mimo szczerej chęci naśladować nie mógł.

Powstające dziś ligi antypojedynkowe, w których skład wchodzą osobistości wybitne nietylko stanowiskiem publicznem, lecz także swojemi stosunkami w najprzedniejszych kołach towarzyskich, zatem osobistości mające prawo do nadawania tonu w pożyciu towarzyskiem, stanowią tedy już przez sam fakt zawiązania się i przez jawną affirmacyę swojej dążności antypojedynkowej taki zamach na siłę zwyczajową pojedynku, jaki

dotąd nie był podjęty, taki punkt oparcia wobec przymusu społecznego, jakiego szczerzy w teoryi, ale z konieczności chwiejni w praktyce przeciwnicy pojedynku dotąd nie posiadali. Z tej sfery dopiero dany być może przez praktyczne stwierdzenie statutowej dążności przykład, który znajdzie naśladowców nawet tam, gdzie pod wpływem terroryzmu zwyczajowego wbrew przekonaniu ulegano manii pojedynkowej.

Już dotychczasowa propaganda antypojedynkowa zjednawszy dla zawiązanych lig tyle nazwisk głośnych, tyle osobistości z powszechnie uznaną powagą i z najsubtelniejszą niezawodnie wrażliwością na wszelkie kwestye czci, przyniosła niewątpliwie ten dobry skutek, że opinia ocknąwszy się, przestaje powoli uważać pojedynek za jakieś dystyngowane urządzenie społeczne, za ogniową próbę wyższości w pojmowaniu nietykalności czci i jej obrony. Drugi równie ważny, może nawet ważniejszy skutek polega na tem, że zbladła już aureola tych profesyjnych niejako pojedynkowiczów, prostych zawadyaków z pozorami bohaterstwa, szukających zwady, wywołujących nawet zwadę, aby potem mieć tytuł do sprowadzenia orężnej rozprawy. A takich indywiduów pełno wszędzie. Wybornie zcharakteryzowało ten typ zawadyaków jedno z niemieckich pism humorystycznych w następującym dyalogu:

A: Dlaczego mię Pan ciągle oczyma fiksujesz?

B: Ależ Panie, ani mi się nie śniło fiksować Pana.

A: W takim razie zarzucasz mi Pan kłamstwo. Proszę o kartę; jutro przyszlę moich świadków.

A ci świadkowie, sekundanci takich profesyjnych pojedynkowiczów! To także już dziś na szczęście zachwiana w swojej powadze klasa ludzi, którzy nie w pokojowem wyrównywaniu błahego zatargu, lecz w jego pojedynkowem zaostrzeniu upatrywali swoją misyę i nie pojednanie przeciwników, lecz wyprowadzenie ich na plac pojedynku uważali za tak ważne i chlubne dzieło, że rościli sobie jeszcze stąd tytuł do wdzięczności ofiar i do uznania ze strony ogółu.

Jeżeliby owocem obecnej propagandy antypojedynkowej było tylko poskromienie ekscesów pojedynkowych, zapobieżenie

pojedynkom dla błahych powodów, dla swawoli, przez patentowanych sekundantów formalnie pielęgnowanych, to już i to stanowiłoby korzyść niemałą. Dość przypomnieć, ile to razy w ostatnich czasach słyszało się i czytało o takich pojedynkach w kołach młodzieży. Wprawdzie pojedynki takie kończą się najczęściej bez rozlewu krwi, ale szkoda moralna jest wielka w każdym wypadku. Bywały jednak i swawolne pojedynki z tragicznem zakończeniem. Przypominamy np. głośny przed rokiem zatarg dwóch warszawskich studentów w Paryżu. Między dwoma młodzieńcami, żyjącymi dotąd w ścisłej ze sobą przyjaźni powstała sprzeczka o brzytwę, więc spór bagatelny, który w najgorszym razie powinienby się skończyć chwilowem a chociażby nawet trwałem zamąceniem dotychczasowej ścisłej przyjaźni. Tymczasem pod wpływem grasującej manii pojedynkowej i za przyczynieniem się profesyjnych sekundantów przyszło do pojedynku na pistolety, który jednego z poważnionych młodzieńców pozbawił życia, drugiego na całe życie przygniótł ciężkim wyrzutem, a rodziny obu pogrążył w żałobę. Jakby dla jaskrawej illustracyi bezsilności prawa dzisiejszego w procesie o ten pojedynek prezydent trybunału paryskiego takie pytania zadawał oskarżonemu, że odpowiedzi musiały wypaść w duchu uniewinniającym i oczywiście skłonić sędziów przysięgłych do wydania werdyktu uniewinniającego.

Ale poskromienie ekscesów pojedynkowych, położenie kresu pojedynkom swawolnym, z błahych powodów wynikłym i tylko przez profesyjnych sekundantów do skutku doprowadzonym stanowi nie cel ostateczny lig antypojedynkowych, lecz niejako wstęp do tego celu, nie rezultat ostateczny współczesnej propagandy antypojedynkowej, lecz dopiero zadatek takiego rezultatu. W program tych lig wchodzi jako punkt główny stworzenie sądów honorowych jako najwłaściwszej instytucyi do wyrównywania nawet takich nieporozumień i zatargów, co do których dotąd także i ludzie poważni zwykli uważać pojedynek za wyjście jedyne, albo raczej wśród danych stosunków i zapatrywań społecznych za wyjście jedynie możliwe bez skazy w panującej opinii. Od takiego urządzenia tej instytucyi honorowej

aby ona dawała rękojmię poważnego i sprawiedliwego załatwiania spraw przed nią wytoczonych, zawisło w głównej mierze osiągnięcie do granic możliwości właściwego celu lig antypojedynkowych, t. j. całkowitego wyrugowania pojedynków. Ale chociażby to urządzenie nie odrazu odpowiedziało wszelkim wymaganiom, to już zawsze bardzo wiele dobrego oczekiwać można po samem wejściu instytucyi w życie, po jednym i drugim przez ludzi poważnych danym przykładzie karnego poddania się orzeczeniu takiego trybunału honorowego. Byłoby to szukaniem gorzkich rozczarowań, jeżeliby się oczekiwało całkowitego osiągnięcia celu, zupełnego wyrugowania pojedynków przez sądy honorowe niejako za jednym zamachem, w ciągu krótkiego czasu. Całe wieki zakorzeniał się zwyczaj pojedynkowy, torowało mu drogę bezsilne prawo gorszącą chwiejnością w swoich dyspozycyach zakazujących i jeszcze więcej gorszącą biernością w stosowaniu wydanych uroczyście rozporządzeń karnych do danych wypadków naruszenia, forytowały ten zwyczaj namiętności, swawola i lekkomyślność jednostek wraz z dziwną tolerancyą całego społeczeństwa! Jakżeż więc w jednej chwili dokonać się ma zwrot stanowczy, jak można myśleć o doraźnem wyplewieniu niemoralnego i nierozumnego, ale tak głęboko zakorzenionego zwyczaju. Jednakże krok najtrudniejszy już zrobiony, bo zainicyowano ruch wiodący ku podkopaniu złego zwyczaju u samej jego podstawy.

W tych horoskopach jeszcze jedno nasuwa się pytanie. Czy takie sądy honorowe, jakie ligi antypojedynkowe organizują, wystarczą zawsze, nawet w takich ciężkich wypadkach, gdy chodzi nie o samo naruszenie czci w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, lecz o śmiertelny zamach na to, co jest najdroższem, na pożycie rodzinne a z niem na całą egzystencyę społeczną? Nie specyalizujemy wypadków tego rodzaju, bo każdy je zna nietylko jako tło licznych tragedyi na scenie i w książkach, lecz także z liczniejszych jeszcze, choć ukrywanych tragicznych zawikłań i rozwikłań w życiu codziennem.

Wypadki takie, jak powyższe, nie mogą być w rachubę brane, gdyż chodzi tutaj nie o normalne sprawy naruszenia

i ochrony czci, lecz o odrębne, nawet wyjątkowe w swojej genezie i całym przebiegu akta afektu, który jak w przyrodzie nagle rozpętana siła żywiołowa, druzgocąca wszystko, co ją powstrzymać lub w karby ująć miało, w człowieku ubezwładnia wszystkie hamujące i kierujące czynniki działania, dyktowane przez rozum, moralność, a nawet religię. Dlatego jednak, że w jednym lub drugim wypadku taka rozpętana siła żywiołowa przemogła wystarczające w normalnym stanie rzeczy urządzenia ochronne i obronne, nikomu pewnie na myśl nie przyjdzie zaniechać wszystkich podobnych urządzeń, więc i dlatego, że w jednym lub drugim wypadku pod nieprzepartym wpływem afektu starcie może wziąć obrót tragiczny, nie można przecież lekceważyć instytucyi sądów honorowych, jeżeli one w mnóstwie wypadków normalnych, dotąd pod przymusem zwyczaju do pojedynku wiodących, dają możność pokojowego wyrównania nieporozumień. A zresztą niema przecież doskonałych urządzeń na świecie. Jeżeliby zaś jakiemu urządzeniu rokować się dawało możliwe zbliżenie do doskonałości, to pewnie takiemu, które, jak wszelkie reformy zmierzające do wyrugowania pojedynku, mają po swej stronie nie tylko względy rozumu i moralności, lecz także przykazanie boskie: nie zabijaj!

Szczęśliwie rozpoczęta akcya lig antypojedynkowych spotkała się na samym wstępie z ciężką zaporą, ustawioną przez koła, w których zawsze a zwłaszcza w ostatnich czasach, kwitła kultura pojedynków, z byle jakiej przyczyny powstających. Mamy na myśli sfery wojskowe, które po pewnem pozornem czy szczerem wahaniu zajęły ostatecznie wobec lig antypojedynkowych stanowisko odporne a nawet niechętne. Chociaż jeden austryacki minister wojny (Krieghammer) zasadniczo oświadczył się przychylnie dla propagandy antypojedynkowej, drugi minister (Pittreich) następca poprzedniego w sekretnym okólniku zabronił oficerom rezerwowym przystępowania do ligi antypojedynkowej w charakterze członków. Sama sekretność tego okólnika wskazuje, że nawet w tych sferach liczono się z silnym prądem antypojedynkowym. Skrupuły były uzasadnione, gdyż niedyskretne wyjawienie okólnika wywołało takie

powszechne, w parlamencie energiczną interpelacyą zaznaczone niezadowolenie, że koła wojskowe uznały konieczność osłabienia swojego rozporządzenia i wytłumaczenia się z motywów zajętego w niem odpornego stanowiska. Z przytoczonych argumentów żaden nie wytrzymuje krytyki. Argument, że wojskowość posiada własne sądy honorowe, więc należenie oficerów rezerwowych do stowarzyszeń z osobną cywilną organizacyą honorowo-sądową mogłoby narazić ich na kolizye, jest naciągnięty, albo raczej nieszczery. W razie takiej kolizyi rzeczywistej oficer należący do ligi wiedziałby przecież sam, jak postąpić zgodnie z honorem, a w razie uchybienia regułom mógłby być pociągnięty do odpowiedzialności. Ale tutaj nie chodziło o takie ewentualne kolizye jednostek, lecz o wzgląd zasadniczy, o odmienność celów jednej i drugiej kategoryi sądów honorowych. Kiedy bowiem ligi antypojedynkowe sądami honorowymi chcą wogóle zażegnać pojedynki i dać za to pokrzywdzonej stronie zupełną satysfakcyę w orzeczeniu ludzi poważnych, których głos w społeczeństwie uszanowany być musi, wojskowe sądy honorowe, jak praktyka codziennie wykazuje, stoją formalnie na straży pojedynków, odsądzając od stopnia oficerskiego już nie tylko tych, którzy w danym wypadku w bagatelnem zajściu poprzestali na honorowej satysfakcyi, chociażby jak najdalej idącej, lecz nawet tych, którzy nie wyzwani na pojedynek, przy danej sposobności w jakikolwiek sposób objawili zasadniczą niechęć wobec pojedynków.

Komentarze, dodawane do owego rozporządzenia ministra wojny przez inspirowane organa prasy uzasadniły je jeszcze i tem, że pojedynek wchodzi niejako w program edukacyi wojskowej, i dlatego nie można zezwolić na należenie do ligi potępiającej i wykluczającej ten wrzekomy środek edukacyjny. Rzecz to całkiem nowa i uderzająca nawet w dzisiejszych czasach, odznaczających się takim potulnym respektem dla wszelkich odrębnych zachcianek i poglądów wybujałego militaryzmu. Że do takiego celu edukacyjnego służą przeróżne ćwiczenia i kosztowne manewry, to jeszcze można zrozumieć, w to profan cywilny bez rozumowania uwierzyć może, bo uwierzyć musi. Co

do pojedynku jednak do jawnego głosu powołany jest i cywilista, bo chodzi tutaj o sprawę czci, nieopatentowanej ani nie zmonopolizowanej przez jedną tylko klasę społeczeństwa. Wolno zatem z najwyższem niedowierzaniem postawić pytanie, jakim sposobem pojedynek miałby służyć celom edukacyi wojskowej, jako jej środek tak niezbędny, że gdzie tylko jest mowa o wyrugowaniu pojedynku, tam żaden oficer nie może być obecny? Czy pochopność do zwady i krwawego wyrównywania jej konsekwencyi podnosi o włos wiedzę fachową lub wzmacnia rękojmię dzielności w przyszłej wojnie? Miałażby edukacya wojskowa polegać na strzeżeniu wyłączności świata wojskowego w zakresie społecznych zwyczajów i pojęć?

Zachodzi pytanie, czy to odstrychnięcie się wojskowości zada może cios zabójczy dzisiejszej propagandzie antypojedynkowej. Bynajmniej. Opóźnia jedynie osiągnięcie jej celu, gdyż stawia zawadę, którą tylko powoli i stopniowo przezwyciężać wypadnie, bez środków drastycznych, samą siłą przymusu społecznego, tą samą siłą, której pojedynek zawdzięcza wiekową egzystencyę swoją. Jeżeli tylko ogół ocknąwszy się z wiekowej tolerancyi wobec zbrodni, czem wobec przykazania Boskiego i litery prawa pojedynek był zawsze i jest ciągle, wskaże dobitnie w ligach antypojedynkowych i urządzonej przez nie instytucyi sądów honorowych właściwy i jedynie godny cywilizacyjnych aspiracyi XX stulecia sposób wyrównywania zajść, zatargów i nieporozumień cześć w grę wprowadzających a koła życiu towarzyskiemu ton nadające zasadę tę w praktykę wprowadzą — dla klasy hołdującej dawnemu zwyczajowi pojedynkowemu i wynoszącej go nawet na wyżynę środka edukacyjnego nie pozostanie nic innego, jak tylko odwrót albo zorganizowanie się w kastę, stojącą poza kołami towarzyskiego pożycia. Społeczeństwo z konieczności musi dziś, w okresie przewagi militaryzmu znosić różne uciążliwości, wynikające z uprzywilejowania stanu wojskowego pod wielu względami, ale do takiej kapitulacyi, aby uznało ową dziwnie pojmowaną edukacyę wojskową, żeby koszary a nie salony dyktowały prawidła pożycia towarzyskiego, nikt społeczeństwa wbrew jego woli zmusić nie

zdoła. Natomiast odwrót sfer wojskowych ze stanowiska obecnie zajmowanego nie byłby kapitulacyą upokarzającą, gdyż poza Austryą i Niemcami pojedynek w innych krajach nie jest bynajmniej protegowany jako wrzekomy środek wojskowo-edukacyjny a przykład Anglii najwymowniej świadczy o tem, że dzielność wojskowa i subtelne poczucie honoru wojskowego nie wymaga bynajmniej kultywowania zawadyactwa pojedynkowego. Byle tylko ligi antypojedynkowe nie zniechęcały się pierwszym oporem sfer wojskowych, byle przejęły się przeświadczeniem, że tym razem nie te sfery lecz ich zabiegi idą w duchu prawdziwie cywilizacyjnego postępu i że skoro ta sama siła potężna, która pojedynkowi dotąd zwycięsko drogę torowała wbrew przykazaniu Boskiemu, moralności i prawu państwowemu a nawet wbrew rozumowi, t. j. przymus społeczny w każdym zwyczaju tkwiący, raz przechylona zostanie na stronę zwyczaju zgodnego z powyższymi czynnikami, padną wszystkie zapory i opory, chociażby one czas jakiś znachodziły w militaryzmie silny punkt oparcia.

Przystępujemy do kwestyi ważnej, od której rozwiązania w znacznej mierze zawisło osiągnięcie celu współczesnej propagandy antypojedynkowej, ostateczne wyrugowanie pojedynku z życia społecznego. Chodzi tutaj o zadanie prawa karnego wobec tej propagandy. Czy może ono pozostać dalej w stanie obecnego kwietyzmu, co więcej w stanie kompromitującej je sprzeczności między stanowczością w paragrafowych zakazach a bezsilnością w praktyce? Wszakżeż cała ta propaganda stanowi właściwie jedno głośne wotum nieufności dla prawa karnego, które nie zdoławszy w obronie czci wznieść się ponad poziom, że tak powiemy, uliczny, przyczyniło się do utrwalenia zdrożnego zwyczaju pojedynkowego w społeczeństwie. Sami prawnicy uznali to pośrednio w osobach swoich znakomitych reprezentantów dzisiejszych, prof. Lammaschu i szefie sekcyi ministerstwa sprawiedliwości (twórcy dzisiejszej nowej procedury cywilnej) Kleinie, którzy nie tylko przystąpili do austryackiej ligi antypojedynkowej, lecz, co ważniejsza, przed rokiem na jej inauguracyjnem zebraniu wystąpili ze znaczącemi przemówieniami. Przebijał z tych przemówień niemal ton upokorzenia i prośby,

aby liga swoją akcyą a szczególnie organizacyą sądów honorowych wypełniła wielką lukę w prawie.

Liga antypojedynkowa nie może żadną miarą uznać tego za pewnik, że wobec pojedynku represya prawa karnego jest i pozostanie bezskuteczna. Historya prawa karnego nie potwierdza tego twierdzenia tak apodyktycznie, żeby je za pewnik uważać należało. Francuscy prawnicy nie podzielający tej opinii przypominają przeciwnikom swoim stan Francyi pod rządami Ludwika XIV, kiedy to surowa represya karna istotnie znacznie poskromiła manię pojedynkową. Także i angielscy prawnicy mogą służyć za świadków klasycznych skuteczności represyi karnej. Ich zdaniem bowiem systematyczna i stanowcza akcya prawa karnego stworzyła w społeczeństwie grunt, na którym dopiero podjęty być mógł decydujący atak na pojedynek za czasów księcia Alberta i Wellingtona, kiedy to nawet z armii pojedynek został wyrugowany.

Współczesna propaganda antypojedynkowa musi zatem nie tylko stanowczo podtrzymywać dotychczasową kryminalną kwalifikacyę pojedynku, lecz także oświadczyć się za większą ścisłością w określeniu tej kwalifikacyi i za silniejszym rygorem środków represyjnych. Wszelkimi środkami, przez obudzenie opinii z moralnego uśpienia i przez wytężenie wpływu członków swoich w parlamencie zasiadających liga antypojedynkowa dążyć musi mianowicie do obalenia postanowień pojedynkowych austryackiego projektu nowego prawa karnego, który przygotowywany w Wiedniu od początku ery konstytucyjnej, kilkakrotnie przerabiany i poprawiany na schyłku XIX stulecia przebył już w Radzie państwa obrady komisyjne i byłby może nawet dostał się pod obrady plenarne, gdyby tymczasem nie był zaszedł lata całe trwający okres obstrukcyjnej stagnacyi w całej pracy ustawodawczej.

Wypada tutaj nie tylko dla rzeczy samej, lecz także dla charakterystyki ducha czasu u schyłku XIX stulecia przypomnieć, co ten projekt kodeksu karnego stanowił o pojedynku. Żeby krótko a węzłowato określić zajęte tam przez ustawodawcę stanowisko, nie wahamy się nazwać go preliminaryami do kapi-

tulacyi wobec zwyczaju pojedynkowego. Na uzasadnienie tego twierdzenia przytoczymy tutaj to tylko, cośmy o tem pisali na innem miejscu w chwili pojawienia się elaboratu komisyjnego, więc wtedy, gdy jeszcze opinia nie była tak rozbudzona przez ligę antypojedynkową a wskutek tego piszący do pewnego stopnia musiał być wstrzemięźliwy w formie krytycznych uwag swoich.

Ukorzeniem się, wstępem do kapitulacyi wobec pojedynku jest już samo wyjęcie go z tego jednolitego szeregu pospolitych zbrodni, w jakim stawia go kodeks karny obecnie obowiązujący i wyznaczenie mu stanowiska uprzywilejowanego, co więcej prawie dystyngowanego nie tylko w rodzaju kary zagrożonej, lecz wogóle w całym sposobie traktowania rzeczy. Dystynkcyę tę posunięto tak daleko, że ustawodawca dla niej czyni jeden wyłom po drugim w tej samej logice, na którą w sprawozdaniu swojem co do innych postanowień karnych zwraca uwagę nieraz aż z prawdziwie lękliwą scisłością. Chociaż bowiem ostatecznie uznaje pojedynek czynem karygodnym, uwalnia samo usiłowanie od kary a funkcye sekundantów, więc osób biorących udział w czynie karygodnym od początku do końca, zostały nie tylko wyjęte z pod odpowiedzialności karnej, lecz nawet wprost ulegalizowane. Położono mianowicie nacisk na przestrzeganie „ułożonych lub zwyczajem ustalonych reguł pojedynkowych“, jako na okoliczność wpływającą w danym razie na surową lub łagodniejszą kwalifikacyę czynu głównych aktorów. Cały dawny rygor karny ostał się w projekcie nowego kodeksu karnego tylko wobec tak zwanego pojedynku amerykańskiego, nacechowanego nadal całem piętnem pospolitej zbrodni, chociaż istota i główne znamiona nie uprawniały bezstronnej polityki ustawodawczej do stanowienia takiej różnicy zasadniczej między obiema kategoryami tego czynu zdrożnego jedynie dlatego, że w jednym wypadku bunt przeciw prawu karnemu zostaje wypowiedziany „według ułożonych lub zwyczajem ustalonych reguł pojedynkowych“ a w drugim wypadku obie strony nie oglądając się na te reguły, wcale zresztą nie zabez-

pieczające zwycięstwa słusznej sprawie, samemu ślepemu losowi pozostawiają decyzyę o życiu lub śmierci.

Sprawozdanie, w którem Komisya Rady państwa wyłożyła motywa kierujące jej uchwałami co do nowego kodeksu karnego, stanowi już prawdziwy dokument na kapitulacyę prawa wobec pojedynku. Zaznacza ono najpierw, że musiano pojedynek pobłażliwiej traktować, gdyż trzeba było „liczyć się z zapatrywaniami, głęboko zakorzenionemi w pewnych klasach społeczeństwa“, zatem i „osłabić dyametralną sprzeczność, w jaką popada ustawodawstwo z zapatrywaniami pewnych kół społecznych“.

To oglądanie się ustawodawcy na zapatrywania pewnych kół społecznych na czyny karygodne brzmi wprost monstrualnie. A czyż ogląda się prawo karne na to, jakie zapatrywania mają pewne koła np. różne figury świata giełdowego na kryterya oszustwa i przeniewierstwa? Z niedawnej kroniki kryminalnej możnaby przykładami illustrować taką na szczęście przez prawo karne jeszcze ignorowaną różnicę między zapatrywaniami „pewnych kół społecznych“ na pewne czyny zdrożne a ich formalną kwalifikacyą przez prawo karne.

Wreszcie uznaje Komisya parlamentarna w swojem sprawozdaniu, że „pożądanego niewątpliwie całkowitego uchylenia pojedynku oczekiwać można tylko po powolnej zmianie zapatrywań i zwyczajów“. Trzeba teraz wziąć za słowo ustawodawcę uznającego, że całkowite uchylenie pojedynku jest pożądanem, lecz z tem zastrzeżeniem co do ostatniego argumentu, że tłumaczy on tylko uznaną już przez prawników starorzymskich niedostateczność samych środków prawnych bez poparcia społeczeństwa *(quid vanae sine moribus leges)*, ale w żaden sposób nie może służyć za powód do osłabiania tych środków. Owszem należy je zaostrzyć, skoro już dotychczasowa propaganda antypojedynkowa w utworzonych ligach wykazała, że nie „pewne koła“ tylko, lecz grona złożone z najwybitniejszych z rodu, stanowiska, zasług i rozgłosu osobistości jawnie i otwarcie uznały dotychczasowy zwyczaj pojedynkowy za zdrożny i nierozumny. Wobec tego faktu wątpić należy, żeby austryackie ministerstwo

sprawiedliwości zechciało, co więcej, żeby się odważyło stanąć przed parlamentem z takim projektem kodeksu karnego, w którymby jak w ostatnim pojedynek był niemal forytowany. Będzie to wielka zasługa ligi antypojedynkowej i zarazem zachęta do dalszej wytrwałej akcyi w raz wytkniętym kierunku.

A już czas najwyższy, aby społeczeństwo samo zapobiegło takiej samobójczej gotowości prawa do kompromisu z pojedynkiem. Te ustępstwa bowiem, które projekt nowego kodeksu karnego pod tym względem zawierał nie wystarczały zwolennikom pojedynku. A jak daleko sięgały ich aspiracye i jak śmiało je głoszono, na to najlepszym a zarazem wielce charakterystycznym dowodem jest fakt, że wśród dyskusyi o nowem prawie karnem w wiedeńskim fachowym organie prawniczym [1] pojawił się naczelny artykuł pod paradoksalnym tytułem: „Prawne uregulowanie pojedynku". Więc chodzi już nie o tolerancyę, chociażby tak daleko idącą, jaką proponują niektórzy prawnicy francuscy zalecając uznanie pojedynku w pewnym wypadku, czyn wprawdzie zdrożny, ale godny usprawiedliwienia *(excusable)*, lecz o prawne uregulowanie! Możnaby pisać humoreskę o takiem prawnem uregulowaniu czynów, które jako zdrożne stanowią antytezę prawa. A uregulowanie to oparte na zasadzie *volenti non fit iniuria* miałoby polegać na tem, że pojedynek uznany przez sąd honorowy za konieczny i rozegrany przy udziale sekundantów według przyjętych reguł zostaje po prostu wyjęty z pod wszelkiej sankcyi karnej. Autor tego artykułu (Dr. Stanisław Korwin-Dzbański) jako major-audytor stanął na stanowisku zajmowanem przez wojskowość i wywiązał się ze swojego zadania z talentem pisarskim. Ale że organ prawników wiedeńskich artykuł ten zamieścił na czele bez żadnego zastrzeżenia ze swojej strony — to rzecz w każdym razie charakterystyczna i godna podniesienia. Czy dziś postąpiłby tak samo, o tem po dotychczasowem powodzeniu akcyi ligi antypojedynkowej wątpić można.

Liga ta daje wprawdzie już przez sam fakt zawiązania się

[1] *Allgemeine oesterreichische Gerichtszeitung*, nr. 41 z r. 1899.

poniekąd wotum nieufności dzisiejszemu prawu karnemu, ale w rzeczy samej łączy się z niem do wspólnej walki a przedewszystkiem toruje mu drogę do pożądanej reformy, najpierw tem, że dla jego rygoru w sprawach pojedynku jedna aprobatę społeczeństwa a powtóre dobitnie zaznaczoną dążnością do stworzenia takich gwarancyi dla ochrony czci, aby one skutecznie zapobiegały pojedynkowi. Galicyjska liga jako samodzielna filia ligi austryackiej wysunęła nawet ochronę czci na pierwszy plan tak w nazwie swojej jak i w programie. Pod tym względem prawo także powołane jest do współdziałania, ale ma w tej mierze zadanie o wiele trudniejsze niż co do karnej represyi wobec pojedynków, gdyż tutaj nie chodzi o samo tylko pojęcie i fakta dokładnie określić i odgraniczyć się dające.

Samo określenie istoty czci stanowi już w teoryi takie sporne zagadnienie, że nierychło praktyka ustawodawcza doczeka się stamtąd jasnej dyrektywy. Jest to kwestya niezmiernie skomplikowana i już sama dla siebie stanowiąca temat rozprawy. Co do trudności w określeniu pojęcia czci i różnorodnych poglądów w tej mierze poprzestajemy na powołaniu się na wywody w innej pracy podane (w studyum prawno-społecznem p. t. „Infamia“).

Z zakresu kwestyi tutaj omawianych musimy przedewszystkiem wyłączyć cześć wewnętrzną w znaczeniu całej moralnej treści i wartości człowieka, dla której głos sumienia stanowi dyrektywę, kontrolę i instancyę wyrokującą. W tem znaczeniu cześć wewnętrzna jest synonimem uczciwości, jak to w negatywie doskonale nasz język określa, mieniąc nikczemników ludźmi bez czci i wiary. W tem znaczeniu określają cześć wewnętrzną także nasze historyczne pomniki prawne *(Volumina legum)*[1] a zgodnie z nimi także i Linde w Słowniku języka polskiego („cześć miasto cnoty i poczciwości bierzemy“).

Jeżeli się zadania prawa wyniesie z dzisiejszego poziomu paragrafowego na wyżynę etyczną i przyzna mu misyę spo-

[1] Dla przykładu wskazujemy tutaj na ustępy, zawarte w tomie pierwszym (str. 370), drugim (str. 172) i czwartym (str. 172).

łeczno-wychowawczą, to także i cześć wewnętrzna nie może pozostać dla niego sferą obojętną. W dzisiejszym ustroju prawa jednak uchodzi to za aksyomat, że cześć wewnętrzna pozostaje zupełnie poza jego sferą. O ile chodzi nie o działalność prawa wogóle, lecz o samą ochronę czci — a tak się rzecz ma tutaj — można się zgodzić na powyższe zapatrywanie. Takiej czci bowiem jak powyżej wskazana nikt obrazić a prawo ani przyznać, ani odjąć, ani zabezpieczyć nie może, bo wszystko to zależy od wyższej siły w sumieniu tkwiącej. To też wprost siłą sumienia *(vis conscientiae)* nazwał poczucie czci wewnętrznej mistrz filozoficzny św. Tomasza z Akwinu, Albertus Magnus.

Inaczej rzecz się ma z czcią zewnętrzną, nazywaną potocznie reputacyą lub opinią, która, jeżeli w swej czystości nie jest tylko sprytnie wyłudzona, lecz zawiera prawdziwy refleks czci wewnętrznej, stanowi nie tylko dobro moralne najwyższej wagi, lecz nadto w obecnych, zaufaniu publicznemu rolę niezmiernie ważnego czynnika wyznaczających, stosunkach obrotowych także jedną z głównych, czasem najgłówniejszą podstawą egzystencyi materyalnej. Moralne znaczenie tego dobra najtrafniej określił nie prawnik, lecz poeta (Goethe), przyrównując cześć zewnętrzną do skóry na ciele ludzkiem, wrażliwej na każdym punkcie na każde draśnięcie. Inny pisarz mozoląc się nad określeniem istoty czci ze stanowiska prawnego i filozoficznego (Ekstein) doszedł w końcu do tego, że przyswoił sobie od poety obrazową definicyę czci zewnętrznej zmieniając ją tylko w ten sposób, że nazwał ją delikatną tkaniną, przylegającą ściśle do osoby a osnutą z tak subtelnego materyału, jakiego dostarczyć może tylko cała działalność człowieka ze wszystkimi jej motywami i cechami. Jest to szczegół znamienny w tej sprawie. Trzeba wejść w sferę uczuć, żeby ogarnąć całe pojęcie czci a w tej sferze poeta najjaśniej widzi i najprędzej się oryentuje.

Jakżeż dzisiejsze prawo nasze strzeże tak ważnego dobra moralnego, jakie cześć zewnętrzną stanowi? I tutaj poprzestajemy na zdaniu wypowiedzianem w tej mierze w powyżej podanem studyum. W Austryi dziś nawet w samych sferach sądowych sprawy kodeksowo-honorowe uważane są raczej za

karykaturę tego, czem być powinny. Postanowienia o obrazie czci, zepchnięte na szary koniec, niejako w kącik kodeksu karnego, zawierają taryfę kar, której pozycye mogłyby wystarczyć od biedy stróżom kamienicznym, dorożkarzom, przekupniom i t. d., wogóle ludziom, stawiającym pospolitą insultacyę, eksces ordynarny, jednem słowem burdę, na równi z obrazą czci i upatrującym w samym fakcie „wygrania“ sprawy przed forum sądowem błogą satysfakcyę, ale ludzi, szanujących siebie, raczej odstraszają od wstępowania na tę drogę. Jeżeli się do tego jeszcze doda zbagatelizowanie spraw tego rodzaju pod względem proceduralnym, po części z winy samego prawa a po części z winy tradycyi biurokratyczno-sądowych, to nie potrzeba już chyba szczegółowo przedstawiać odstraszającej grozy skandalu, jaki sprowadza dla osoby nawet najniegodziwiej dotkniętej, każdy widocznie dla szykany wszczęty tak zwany dowód prawdy, aby litować się więcej nad pokrzywdzonym chociaż zwycięskim wobec sądu oskarżycielem, aniżeli nad skondemnowanym napastnikiem, który znękawszy ofiarę swoją do żywego, raz obrazą a ewentualnie drugi raz takim wrzekomym dowodem prawdy, spotyka się z karą tak bagatelną, w regule pieniężną, iż w oczach niegodziwca jest ona tylko bardzo skromną opłatą za sprawioną sobie piekielną satysfakcyę.

Nasze prawo karne nie uwzględnia wcale psychicznej strony obrazy czci, nie liczy z cierpieniem moralnem, którego doznaje pokrzywdzony, lecz już w samem określeniu istoty czynu stawia się na poziomem stanowisku interesu materyalnego uznając obrazę za karygodną dopiero wtedy, gdy ona stała się publiczną lub przynajmniej jawną wobec innych osób. A przecież obraza czci, popełniona nawet tylko w cztery oczy jest dla człowieka świadomego swojej wartości moralnej niemniej dotkliwą, więc i pokrzywdzenie niemniej karygodnem. Stąd wynikło takie bagatelizowanie spraw tego rodzaju w kodeksie i procedurze karnej, stąd obrońcy pojedynku czerpią najsilniejsze argumenta za jego uznaniem jako konieczności w dzisiejszych stosunkach ominąć się niedającej. Uznał to chociaż z zastrzeżeniem profesor prawa karnego na zebraniu austryackiej ligi antypojedynkowej.

Liga ta wytknąwszy sobie jako cel główny wpływanie na odpowiednią reformę prawa karnego co do ochrony czci, w tę właśnie stronę zwrócić powinna swoje nawoływanie a to tem więcej, że także omówiony już poprzednio co do pojedynku projekt nowego kodeksu karnego nie wziął w rachubę psychicznej strony w sprawie naruszenia czci i wskutek tego w postanowieniach co do jej obrony zawiera zmiany wcale niedostateczne, podrzędnej wagi. A jednak komisya Rady państwa obradując nad tym projektem snać miała na myśli psychiczną stronę sprawy, jako kryteryum kwalifikacyi czynów karygodnych, skoro tak mówi w sprawozdaniu swojem: „Jest to szczególna właściwość przestępstwa obrazy czci, że w ramy jego pojęcia wchodzą obok bardzo karygodnych i z nadzwyczaj niebezpiecznemi następstwami połączonych zamachów na cześć także całkiem drobiazgowe sprawy, które przed forum sądowe dostają się tylko wskutek panującego w niektórych okolicach niezdrowego pieniactwa. Niepodobna jednak nakreślić linii granicznej według pewnych znamion istoty czynu w sposób od biedy zadowalający między cięższymi a całkiem lekkimi wypadkami obrazy czci. Wszystko bowiem zawisło tutaj od indywidualnych okoliczności".

Uwaga końcowa jest niezawodnie słuszna, jeżeli się ma na myśli dzisiejszy biurokratyczny ustrój sądownictwa. Ale czyż ustrój ten stanowi doskonałość, wobec której nie wolno już zamarzyć o jakiejś zmianie na lepsze? We Francyi już nieraz w kołach prawniczych odezwały się głosy bardzo poważne za organizacyą odrębnej instancyi i procedury dla spraw obrazy czci.

Co do zasadniczego kierunku i zakroju reformy postanowień karnych o ochronie czci zdania mogą się rozchodzić, to jednak żadnej nie ulega wątpliwości, że dzisiejsza wprost śmieszna skala kar ani w przybliżeniu nie dorównuje temu znaczeniu, jakie ma dla każdego cześć zewnętrzna, chociażby przy określeniu jej istoty pozostać wypadło na stanowisku materyalnych interesów. Wszakżeż w dzisiejszych stosunkach obrotowych nieraz obraza tej czci, dokonana przez złośliwie w obieg puszczone kłamstwo, może zgubić pokrzywdzonego a krzywdziciel

zapłaci za to tylko pewną kwotę, która w danym razie, jeżeli chodzi o zachwianie konkurenta, nawet sowicie mu się opłacić może. Ustawodawstwo włoskie dało dobry przykład w tym kierunku. Nowy włoski kodeks karny ustanawia bowiem za obrazę czci, popełnioną przez rozpowszechnianie pism lub w inny sposób, na rozgłos publiczny obliczony, karę więzienia od roku do pięciu lat i karę pieniężną od tysiąca lir.

Czy widoki takiej reformy prawa karnego, aby cześć w niem była należycie osłonięta przed obrazami a pojedynki spotkały się ze skuteczną w swej surowości represyą karną są w tej chwili pomyślne — to inne pytanie. Gdyby jednak widoki te miały wpływać na tworzenie się lig antypojedynkowych, na żywość współczesnej propagandy antypojedynkowej wogóle, to inicyatorom i działaczom musiałyby ręce opaść ze zwątpienia. Wszakżeż w ostatnich czasach ciała ustawodawcze systemu parlamentarnego popadły w stan takiej niemocy, że już uchwalenie małej okolicznościowej a niezbędnej ustawy natrafia na przeszkody nieprzezwyciężone. Parlamentarna maszyna ustawodawcza od samego początku funkcyonowała niedołężnie a dziś zaszło w niej takie rozluźnienie, że ruch objawia się nie w prawidłowem tempie, lecz tylko w nieregularnych i krótkich rozpędach. A do tego parlamentaryzm dzisiejszy, austryacka Rada państwa w pierwszym rzędzie, jako widownia ciągłych awantur, nawet prostych burd nieraz karczemne sceny przypominających, tak się wydaje ukwalifikowanym do ustawodawczego unormowania ochrony czci, jak np. kulawy człowiek do dawania lekcyi tańców!

Stan ten nie zniechęcać lecz owszem pobudzać powinien tworzące się ligi antypojedynkowe do wytężenia swojej akcyi, aby obywatelska organizacya uzupełniła lukę po prawie i zaradziła złemu. Dotychczasową akcyę w tym kierunku uważać można za szczęśliwą a jej rezultaty za dobrą na przyszłość wróżbę. Najważniejszym z tych rezultatów jest rozbudzenie i zainteresowanie opinii w szerokich kołach społeczeństwa oraz wciągnięcie do bezpośredniego udziału w akcyi działaczy z pomiędzy kół przodujących w społeczeństwie.

I to stanowi dobry symptom korzystnego dla akcyi lig antypojedynkowych nastroju opinii a zarazem dobrą wróżbę na przyszłość, że w ostatnich czasach w literaturze peryodycznej i broszurowej temat pojedynkowy w duchu tej akcyi stał się bardzo popularny. Mnóstwo artykułów dziennikarskich i stosy broszur zwłaszcza niemieckich świadczą o tem wymownie. Trudno z lekturą podążyć krok w krok za tą obfitą produkcyą.

Na prasie ciąży wobec współczesnej propagandy wielkie zadanie i ważny obowiązek. Jej dzisiejsza ani zaprzeczyć ani zapoznać się nie dająca olbrzymia siła suggestywna w całem życiu społecznem może nie tylko ożywiać i popierać tę propagandę, lecz co ważniejsza wpływać bezpośrednio na rugowanie zwyczaju pojedynkowego. *Gutta cavat lapidem non vi sed saepe cadendo!* Każdy artykuł w tym duchu napisany, to kropla żłobiąca wyłom w skamieniałym przesądzie pojedynkowym. Przedewszystkiem jednak powinno ustać to tak dotąd skrzętne zapisywanie pojedynków odbytych w takiej formie, jak gdyby chodziło o akt heroizmu. Raczej należy zrzec się materyału do zapiski kronikarskiej, aniżeli w ten sposób notować bez nagany, nawet bez zastrzeżeń każdy pojedynek głośniejszy. Każda zapiska tego rodzaju jest z dwóch powodów szkodliwa, raz dlatego, że stanowi zachętę dla łaknących rozgłosu pseudo-heroicznego a powtóre dlatego, że bierne zachowanie się organów prawa wobec takiej jawności czynów w obowiązującym kodeksie karnym mianem zbrodni napiętnowanych jest demoralizującem dla niższych klas, które za każdą choćby najmniejszą kolizyę z prawem karnem czują na karku ciężką rękę jego stróżów.

Współczesna propaganda antypojedynkowa, prowadzona jak dotąd wytrwale i z planem dobrze zakreślonym, musi doprowadzić do pożądanego celu, bo wtóruje jej sumienie przypomnieniem przykazania Boskiego: Nie zabijaj i rozum swoim rozkazującym głosem. Nawet sceptycy dotychczasowi, wierzący w nieśmiertelność pojedynku, powinni jaśniej patrzeć w przyszłość, chociażby tylko przez wzgląd na drugi czynnik, gdyż według znanego aforyzmu — *la raison finira par avoir raison!*

Dr. Bronisław Łoziński.

NOWE KIERUNKI SPOŁECZNE I IDEAŁY PRZYSZŁOŚCI.

II.

Drugim rysem charakterystycznym i potężnym czynnikiem, który na rozwój i ukształtowanie się społeczeństw niewątpliwie znamienny wpływ wywrze, jest socyalizm.

Rzecz charakterystyczna: najpotężniej rozwinął się socyalizm w państwach militarnych i centralistycznych. W krajach o wysokiej kulturze, a przytem przejętych duchem demokracyi lub szeroko pojętej wolności konstytucyjnej nie znalazł on ani odpowiedniego gruntu ani korzystnych warunków dla swego rozwoju. W Anglii mimo potężnego rozwoju organizacyi zawodowej jest socyalizm dotąd tylko towarem importowanym z kontynentu. W Ameryce, w kraju bez stałej armii i sprężystego rządu, w którym strejki olbrzymie są na porządku dziennym, socyaliści mimo powszechnego głosowania ani jednego nie posiadają posła na kongresie w Waszyngtonie. W Szwajcaryi mimo wszystkich równości i wolności demokratycznych socyalizm mało bardzo liczy zwolenników i żadnego nie ma wpływu na rozwój społeczeństwa. W Niemczech tylko, we Francyi i po części w Austryi i we Włoszech partya socyalistyczna wzmaga się i rośnie w siły. O rozwoju socyalizmu w Niemczech mówią najwymowniej daty statystyczne. Przy wyborach do parlamentu oddano, mimo ustaw wyjątkowych, głosów socyalistycznych:

W roku	1881	311.961
„	1884	549.000
„	1887	763.128
„	1890	1,427.298

Pod koniec roku 1890 zniesiono ustawy wyjątkowe:

W roku	1893	1,786.000
„	1898	2,100.000
„	1903	3,010.771

To znaczy, partya socyalistyczna zdobyła sobie mniej więcej w ciągu lat dwudziestu trzecią część głosów oddanych przy ostatnich wyborach do parlamentu i czwartą część obywateli uprawnionych wogóle do głosowania.

W roku 1891, a więc przed 12 laty było na usługach partyi 27 dzienników, obecnie posiada partya 52 dzienników, z tych berliński *Vorwärts* liczy 78.000 abonentów.

Socyalistyczna organizacya zawodowa robotników w Niemczech liczyła w roku 1891 277.659 członków, a obecnie, t. j. w dwanaście lat później liczy już około 800.000 członków dobrze wyszkolonych i silnie zorganizowanych.

Patrząc się na ten niepomierny wzrost i potęgę stronnictwa socyalistycznego w wszystkich kulturalnych państwach Europy, a w szczególności w Niemczech nasuwa się pytanie, w czem tkwi właściwa siła socyalizmu, a powtóre w jakim kierunku on się rozwija. Odpowiedź na pierwsze pytanie wytłumaczy nam główną przyczynę wzrostu jego; odpowiedź na drugie pytanie wyświeci i określi nam w ogólnych zarysach wpływy jego na rozwój i kształtowanie się społeczeństwa przyszłego.

Socyalizm jest stronnictwem opozycyi i ruchem wolnościowym, i w tem tkwi jego siła i znaczenie. Zaniedbywanie w życiu społecznem religii i zasad Chrystusa, które jedne stanowią czynnik żywotny wszelkiego życia i postępu trwałego i zdrowego, nędza, szerokie obejmująca masy ludności, jaskrawo w oczy rzucające się ogromne fortuny bez obowiązków społecznych, jaskrawe różnice życia kulturalnego, różne instytucye polityczne i różne ustawy, które już nie przypadają do potrzeb ludności ani miary naszej cywilizacyi, ruch cywilizacyjny, zmierzający do najszerzej pojętej równości i wolności społecznej: oto źródła i najgłówniejsze przyczyny, z których socyalizm ciągnie soki żywotne. Pasorzytnie zaś krzewiąca się niewiara

lub brak wiary oraz nędza ekonomiczna stanowią zwyczajnie jego tło ekonomiczne i moralne.

Przedewszystkiem wśród protestantów lub tam, gdzie pomiędzy katolikami opieka i praca religijna jest niedostateczna lub nie odpowiada warunkom i potrzebom życia robotników w ogniskach przemysłowych lub miasta ludnego, szerzy się socyalizm z zadziwiającą szybkością. Doniosłe są pod tym względem słowa biskupa Kettelera wypowiedziane przed 30 laty z okładem na konferencyi biskupiej w Fuldzie: „Pracować nad zbawieniem dusz: oto urząd zlecony Kościołowi przez Chrystusa. Ale do milionów dusz ta praca i wpływ nadprzyrodzony Kościoła nie dotrze, jeżeli Kościół będzie ignorował kwestyę socyalną i jeżeli wobec niej się ograniczy na zwyczajnej, dawnej pracy duszpasterskiej". A najkrwawszą może raną dla Kościoła jest dzisiaj wychowanie religijne dzieci i dorastającej młodzieży, nie dostrojone do warunków i potrzeb zbiorowego życia ludności robotniczej. Wszelkie braki i zaniedbania w tej mierze rok rocznie pchają tysiące w szeregi socyalistyczne, a to tem bardziej, o ile socyalizm jest zarazem najniebezpieczniejszą potęgą i sektą antychrześcijańską, jaka kiedykolwiek istniała w historyi Kościoła. „Socyalizm — mówi znane pismo protestanckie *Christliche Welt* — nie jest ani wyłącznie, ani w pierwszym rzędzie nowym systemem ekonomicznym, ani radykalną partyą polityczną, lecz z najwnętrzniejszej istoty swojej antychrześcijańskim światopoglądem i potęgą duchową, która w lot zdobywa sobie serca, i to przedewszystkiem serca protestanckie. Bo — zjawisko to znamienne — właściwą ojczyzną socyalizmu są obszary Kościoła ewangelickiego"[1]. Charakterystyczne wyznanie! socyalizm znajduje rodzinny swój grunt pomiędzy protestantami, bo w protestantyzmie przyjmują i krzewią się łatwo antychrześcijańskie poglądy.

Co się tyczy bliższych przyczyn socyalizmu, przytoczymy tylko dwie najważniejsze. Pierwsza dotyczy wolności a druga sprawiedliwości. Co lud najwięcej i najboleśniej odczuwa? gdy

[1] Rok III, str. 1004.

mniema, że mu się krzywda dzieje, mniejsza o to, czy rzeczywista, czy urojona, gdy podaje się wyobrażeniu, że tam, gdzie znaleźć powinien sprawiedliwość, poniewierają nim. Chłop i robotnik styka się raz po raz z władzą sądową i administracyą, z policyą i urzędnikami skarbowymi. A tu urzędnicy traktują go nieraz wyniośle, zimno i bezlitośnie, jak numery protokólne.

Któż nie zna tej skargi bolesnej, którą tak często robotnicy, a częściej jeszcze robotnice z głębi rozżalonego serca do nieba zanoszą: biednym wszędzie poniewierają, dla biednego niema sprawiedliwości. Nie dzieje się to przypadkowo, że właśnie w państwach biurokratycznych rozwija się potężnie socyalizm. Skostniała w paragrafach biurokracya tu zawiniła, która urzędników zamienia w bezduszną maszynę, a prosty lud w numera. I tu tkwi może najgłówniejszy korzeń wszelkiego ruchu i walki klasowej, ustawicznie tlejąca iskra niezadowolenia klasowego, które zręczna agitacya łatwo rozdmuchać może w pożary nienawiści klasowej. Dodajmy do tego powstanie nowej w ostatnich czasach średniej klasy społecznej, której istotę stanowi zawisłość ekonomiczna od dobrej woli chlebodawcy lub zwierzchności, a zrozumimy olbrzymi rozwój socyalizmu. Obok poczucia krzywdy nic bowiem tak nie szerzy niezadowolenia wśród ludności, nic tak nie osłabia siły oporu wobec ruchu skrajnie wolnościowego, jak spętanie wolności osobistej zależnością ekonomiczną. Ogromna liczba urzędników i funkcyonaryuszów w państwowej i miejskiej służbie, ogromna, z przerażającą szybkością rosnąca liczba egzystencyi zależnych w handlu, w dobrym i wielkim przemyśle, w różnych zawodach inteligencyi wytwarza obok proletaryatu robotniczego, nową klasę proletaryatu inteligentnego który zasila i pomnaża wciąż szeregi opozycyi i socyalistów. „Widzimy — żali się wobec inteligencyi niemieckiej jeden z najwybitniejszych wodzów partyi narodowo-liberalnej w Niemczech — wielką liczbę inteligencyi w szeregach socyalistycznych. Musimy się też liczyć z faktem, że bez wątpienia tysiące urzędników głosowało za socyalistami (bardzo słusznie)! i wiem pozytywnie, że w niektórych częściach Niemiec *Kriegerverein*'y w r. 1903 przy wyborach zgoła nie dopi-

sały w głosowaniu za partyami narodowymi (słuchajcie, słuchajcie!)“ [1].

Nie wolno też pominąć tu mamiącej siły ideałów socyalistycznych.

Kto upatruje w socyalizmie grube instynkta natury ludzkiej pałające zemstą i chciwością albo krzyk serca spragnionego rozkoszy i wygodnego życia nie pomyli się zapewne, bo takie aspiracye żywi w sercu swojem zawsze ciemny motłoch, który wyniszczył w sobie życie i ideały Boże „synów Bożych“. Ale też z drugiej strony przyznać należy, że na dnie socyalizmu kryje się ideał społeczny szczęścia ludzkiego, który zdolny jest omamić najszlachetniejsze serca i popchnąć do wielkich poświęceń. Zwłaszcza kto nie stoi na gruncie chrześcijaństwa, kto nie ukochał całą namiętnością swego serca ideałów i duchowej kultury chrześcijańskiej, ten nie łatwo uchroni się przed mamiącą potęgą ideałów socyalistycznych, głoszonych nieraz wymownie przez pisarzy socyalistycznych. Przyświeca przecież socyalizmowi ideał społeczeństwa wolnego od nędzy i ucisku i krzywdy ludzkiej, albo przynajmniej wolnego od tego piekła wyzysku i nędzy, na które przeróżne ankiety raz po raz tak ponure i krwawe rzucają światło. Przyświeca mu złudny ideał społeczeństwa, w któremby wolność najszerzej pojęta szła w parze z niezawisłością materyalną, w któremby szczęście możliwe było wszystkich udziałem. Socyalizm w rozumieniu jego zapalonych zapaśników jest niczem innem jak nową erą w rozwoju etycznym i kulturalnym ludzkości, jest walką o materyalną podstawę, o niezawisłość dla wszystkich ludzi, jest walką o światło ducha i wolność ducha *ni Dieu ni maître*, jest nową erą, na której sztandarze jaśnieje „ideał nowego człowieka“ i ideał „nowego świata“ [2]. I w tem tkwi cała potęga i wielkie niebezpieczeństwo jego.

Zdumiewającą jest też zręczność i taktyka psychologiczna, z jaką socyalizm stosuje się zawsze do swego otoczenia inte-

[1] *Köln. Volkszeitung* z dnia 22 września 1903.

[2] Patrz: *Promień*, numer wrześniowy, „Nasze dogmaty“, rok 1903.

lektualnego. On inaczej przemawia do robotników, inaczej do młodzieży, inaczej do inteligencyi.

Ażeby poruszyć masy robotnicze, wystarczy wyrwać z ich serca garść skarg i żalów i krzywd i niesprawiedliwości społecznych i powtarzać im raz po raz, że krzywda im się dzieje w obecnym ustroju społecznym, że sprawiedliwości nigdy nie stanie się zadość, bo rząd i sądy i duchowieństwo zawsze stać będą po stronie bogatych, że nigdy lepiej nie będzie, dopóki trwać będzie zależność robotnika od chlebodawcy, dopóki ziemia i fabryki nie przejdą do rąk samych robotników. I tysiące tysięce robotników ciągnie za sztandarem socyalistycznym, bo mają to przekonanie, że socyaliści jedni ich bronią, bo mniemają, że socyalizm to partya, która powstała wyłącznie tylko dla obrony interesów robotniczych, która za robotnikami walczy po bohatersku z wszystkiemi potęgami świata.

Jak pozyskać młodzież? Nie inaczej, jak stawiając jej przed oczy wzniosłe ideały przyszłości. Młodzież tylko przyszłością i dla przyszłości żyje, młodzież wyrywa się z całą namiętnością swojej duszy gorącej z tego świata cierpień i nędzy w krainę piękna, swobody i szczęścia, w przyszłość wymarzoną przez poetów „gdzie zapał tworzy cuda i przyobleka nadzieję w złote malowidła". A więc w *Promieniu* stawia się przed oczy młodzieży gimnazyalnej i akademickiej ideały „nowego człowieka" i „nowego świata", potrąca się o struny, które tak dojmująco drgają w każdem sercu młodem i szlachetnem, mówi się o ogromie cierpień milionów i potrzebie poświęcenia się dla ludu, o kapłaństwie w imię nowych ideałów, nowej sztuki i nowej nauki dla szczęścia ludzkości.

Inteligencyi wreszcie pozbawionej wiary albo zobojętniałej dla niej stawia się przed oczy światopogląd pogański, mający zająć miejsce wiary i wypełnić pustki w duszy, wskazuje się na rzekome przeciwieństwo chrześcijaństwa do dzisiejszej kultury, na rzekomo wrogie stanowisko Kościoła i duchowieństwa do obecnej cywilizacyi. Każdy prawie artykuł wstępny w *Krytyce*, cały szereg artykułów w *Promieniu* owiane są tym duchem pogardy dla chrześcijaństwa, usiłują wykazać wrogie stano-

wisko chrześcijaństwa wobec światła dzisiejszej nauki i blasku dzisiejszej kultury.

Wiadomo, że w łonie partyi socyalistycznej wyodrębniły się od lat kilku dwa kierunki: pierwszy skrajnych rewolucyonistów, którzy owiani nawskroś umiejętnością rewolucyjną Marksa, zapatrzeni w raje przyszłości komunistycznej, zagrzewają robotników do walki nieprzejednanej, choćby krwawej, nieubłaganej. „Dotychczas — mówi fanatyczny Kautsky — na ostatnim kongresie socyalistycznym, odbytym w Drezdnie, parliśmy zawsze bezwzględnie naprzód, przez co zaostrzaliśmy coraz bardziej przeciwieństwo klas, rozgoryczaliśmy coraz bardziej klasy panujące przeciw sobie; każde zwiększenie się naszej siły zwiększało ich strach, wskutek czego starcia zaostrzały się coraz bardziej i zbliżała się chwila porachunku ostatecznego, w której będziemy umieli obalić wroga i wyrwać z jego rąk władzę. Taka była nasza dotychczasowa taktyka. Ale mamy cały szereg towarzyszy, którzy lękają się takiego położenia, którzy starają się złagodzić starcia, obejść je". I to jest drugi kierunek umiarkowanych wśród socyalizmu t. zw. rewizyonistów w Niemczech, i spokrewnionych z nimi duchem possybilistów we Francyi, i *transigenti* we Włoszech. W przekonaniu, że „frazeologią rewolucyjną i szmatą czerwoną nie zdobywają się okręgi wyborcze" [1], wytworzyli oni sobie takie rozumowanie: Czego nam dziś najwięcej potrzeba? pracy pozytywnej i wydatnej na polu reform ekonomicznych i polityki praktycznej. Tu trzeba wytężyć wszystkie siły i rozwinąć szeroką działalność, aby dopomódz biednym, pozyskać sobie lud i wedle możności przyspieszyć rozwój stosunków w kierunku jak najszerzej pojętych ideałów socyalistycznych. To ustawiczne wysuwanie naprzód naszych celów, to ustawiczne roztaczanie przed oczyma ludu czarujących obrazów przyszłego raju i rozniecanie pożarów walki klasowej nie przyniosło nam żadnych rezultatów. Wogóle słowo „ostateczne cele nasze" jest pustym dźwiękiem, a w dodatku trąci skostniałym dogmatyzmem. „Cel, jakikolwiek onby był,

[1] Słowa Frohme'go na kongresie stuttgarckim 1898 r.

jest dla mnie niczem, ruch wszystkiem. A przez ruch rozumiem tak ogólny rozwój społeczeństwa, t. j. postęp socyalny, jak polityczną i ekonomiczną pracę agitacyjną i organizacyjną celem uskutecznienia postępu" (Bernstein).

Zarzucają rewizyonistom, że zwycięstwo robotników w odległe odkładają czasy, że odejmują im ochotę i zapał do walki. Bo „aby tę zawsze możliwą walkę ostatecznie módz przyjąć i w niej zwyciężyć, koniecznem jest podtrzymywanie w proletaryacie obok ducha pracy konkretnej, codziennej, praktycznej, również ducha buntu przeciw całemu ustrojowi kapitalistycznemu" [1].

Ależ można — odpowiadają oni na to — i ochotę, i zapał do walki, i nadzieję zwycięstwa robotników na polu politycznem i ekonomicznem w inny sposób niż frazeologią rewolucyjną i przedstawieniem rajskich obrazów przyszłości, utrzymywać w naprężeniu. Zresztą czem jest dla nas rewolucya, czem czarujące obrazy przyszłego raju? mamidła, któremi długo robotników łudzić nie można. „Zapewne pozyskalibyśmy tysiące, gdybyśmy ludowi opowiadali dużo o wspaniałościach przyszłego państwa, gdybyśmy mu robili urocze przyrzeczenia, nie pytając się o to, czy one urzeczywistnić się dadzą, ale też te tysiące równie prędko opuściłyby nasze szeregi... nic tak prędko się nie zużywa na świecie, jak *Credo* przyszłości" (Heine) [2]. Co się zaś tyczy krwawej rewolucyi, „kto sądzi, że socyalizm łączy się z gwałtem publicznym w smutnym znajduje się błędzie. Mniemanie zaś, jakoby władza polityczna lada dzień mogła przejść w nasze ręce, jest iluzyą Blankistów... i nie mogłoby partyę naszą większe spotkać nieszczęście, jak to, że ster rządu przypadłby nam w chwili, kiedy ona ani pod względem ekonomicznym ani politycznym nie dojrzała do utrzymania go w swoim ręku" (Vollmar).

I my stoimy, mówią rewizyoniści, na stanowisku walki klasowej, ciągłej, nieprzejednanej, ale ta walka wyrasta z nie-

---

[1] *Przedświt*, organ polskiej partyi socyalistycznej: „Porachunek z rewizyonistami", grudzień 1903.

[2] Patrz: „Nowe prądy w socyalizmie na kongresie stutgarckim", *Przegląd Powszechny*, 1898, t. 60.

domagań ekonomicznych i niesprawiedliwości i nierówności w życiu społecznem i w instytucyach politycznych, czyli z gruntu realnego naszych stosunków, a nie z czarujących obrazów przyszłości. Co zagrzewa robotników do naszej sprawy, co przykuwa ich do naszego sztandaru? Nie wiara w krwawe zwycięstwo naszej sprawy, nie nadzieja w urzeczywistnienie rajskich obrazów przyszłości, ale to silne i nieodparte przekonanie, że potęga ich tkwi tylko w solidarności i jedności, że polepszenie ich doli i zwycięstwo ich sprawy zależeć będzie od silnej organizacyi i umiejętnej taktyki na polu ekonomicznem i politycznem.

I niech nikt nie mówi, że młodej partyi zbywa na ideale przyszłości. „Któż śmiałby to powiedzieć — mówi p. Feldmann[1] z okazyi ostatniego kongresu ogólno-austryackiego — o partyi, która nigdy nie spuszcza z oka sztandaru ogólno-ludzkiego. Ale ideał ten jest zasnuty w mgły prawdziwie nowoczesnej melancholii. Natura ludzka jest tak złożona, społeczeństwo maszyną tak dziwnie skonstruowaną, rozwój przedstawia tyle możliwości... Walka klas? zapewne, ale w kwestyach politycznych trudno nie iść w parze bodaj z arcymieszczańskim panem Combes — mówi Jaurès; w kwestyi zaś ekonomicznej trzeba uznać nieraz wspólność interesów przedsiębiorców z robotnikami — mówią zwolennicy koerberowskich inwestycyi wodnych. Milicya ludowa w miejsce dzisiejszego militaryzmu? i owszem, ale trudno zaprzeczyć, że już dzisiejsze koszary przetwarzają analfabetów galicyjskich lub dalmatyńskich w późniejszych czytelników pism partyjnych, otwierają widnokręgi, budzą apetyty... Uspołecznienie produkcyi? ma się rozumieć, ale kto wie, jakiemi drogami proces ten chodzi; państwo, kraj, gmina staje się panem coraz większych dziedzin wytwórczości, zaś powszechne głosowanie może nam dawać większość we wszystkich tych ciałach, technika produkcyi nowoczesnej zaciemnia i gmatwa się tak dziwnie; w dziedzinie rolnej — niewiadomo właściwie, czy mała własność jest formą gospodarczą żywotną, czy skazaną na wymarcie;

[1] *Krytyka*, grudzień, 1903 r.

w dziedzinie przemysłowej niewiadomo, czy kolosalne trusty amerykańskie, do których należy najbliższa przyszłość rynków światowych, są formą wsteczną, czy też postępową. Dyktatura proletaryatu? jak najchętniej, ale trzeba być ślepym, aby nie widzieć, że strupieszałe klasy obecnie rządzące wcale nie okazują ochoty do zakopania się w grobach; klasa społeczna to wogóle ów bogaty starzec z powieści, który na złość spadkobiercom w nieskończoność żyje; z okładem sto lat temu przeszło się do porządku dziennego nad arystokracyą, a ta, z wyjątkiem jednej Francyi, wszędzie jakoś żyje nie najgorzej i rządzi; czyż nie należałoby tedy myśleć o urządzeniu życia sobie obok nich, dopóki się nie stanie ponad nimi? Proletaryat — opoka, na której stanie Kościół przyszłości? no tak, tak, ale proletaryusz jest człowiekiem, nie świętym kościelnym; trzeba go więc tymczasem posyłać do towarzystw wstrzemięźliwości, zanim będzie kierował maszyną państwa, trzeba go nauczyć gospodarować „w konsumie“, trzeba go prowadzić do stowarzyszeń oświatowych, gdy się spotka z niejednym burżują i pozna, że ten jest, że tak powiemy, także człowiekiem... Marks był wielkim uczonym, ale teraz dać nam może tylko metodę; pod względem zaś praktyki politycznej zastrzegał się sam nieraz, że nie jest marksistą“...

Takie są poglądy i zasady rewizyonistów co do taktyki w polityce i w pracy agitacyjnej, a teraz jaki jest ich pozytywny program polityczno-społeczny? Jak z poprzednich wywodów widać, rewizyoniści nie mają żadnego programu. Oni podali wszystkie dogmaty i zasady podstawowe doktryny rewolucyjnej Marksa, który do niedawna miał powagę ewangelii, gruntowej rewizyi, i doszli do przekonania, że istota marksizmu polega właśnie na negacyi wszelkiej doktryny. „Cóż stanowi istotę teoryi Marksa, pyta się socyalista francuski z partyi Jaures'a, p. Berth, jeżeli nie teorya socyologiczna walki klasowej. Ale ta teorya też dobrze zrozumiana, jest negacyą całego jego systemu. Ona bowiem jest dowodem, że życie nie wyrasta z żadnej doktryny, że wcześniejszy jest zawsze czyn, że teorya nie jest niczem innem, jak usystematyzowaniem tego, co jest *a posteriori*... Proletaryat nie

znosi żadnego systemu apryorycznego. Działać, tworzyć, walczyć i budować: oto dobrze ujęta w słowa formuła p. Sorela, w której zamyka się cała działalność proletaryatu... Idea ta, że teorya wypływa z czynu, a nie czyn z tecryi, jest ideą dominującą w socyalizmie Marksa“ [1]. Ileż zmian i przeobrażeń doniosłych nie przechodziła już doktryna socyalistyczna w ciągu kilku lat dziesiątek, odkąd partya socyalistyczna ujrzała światło dzienne? Kto porówna program erfurcki z r. 1891 z programem gotajskim z r. 1875, przekona się, że pierwszy jest zaprzeczeniem gotajskiego, który po raz pierwszy połączył był dwa wielkie stronnictwa socyalistyczne w jedną wielką partyę polityczną. A dziś i z erfurckiego pozostały strzępy tylko. Wszystkie rewolucyjne dogmaty Marksa: materyalizm historyczny, teorya wartości, proletaryzacya mas, koncentracya produkcyi w przemyśle, w rolnictwie i w handlu, teorya przesileń ekonomicznych i wielkie i ostatnie światowe przesilenie krwawe, które miało dać początek nowej erze socyalistycznej — wszystkie one bez wyjątku rozwiały się wobec krytyki rewizyonistów, jak niegdyś prawo spiżowe Lassale'a wobec krytyki samego Marksa. Z całej teoryi Marksa ostała się jedna tylko: walki klasowej, którą rewizyoniści jeszcze w dodatku dowolnie interpretują. Posybiliści francuscy z Brousse'm na czele i wszyscy, którzy się skupili około posła Jaurès we Francyi, powtarzają z Sorelem: Proletaryat nie ścierpi żadnego systemu apryorycznego, naszym programem jest działać, tworzyć, walczyć i budować. Rewizyoniści niemieccy z Bernsteinem mówią: „nasze usiłowania obracają się wyłącznie tylko około teraźniejszości i najbliższej przyszłości, a dalsze perspektywy zajmują nas tylko o tyle, o ile są drogowskazem do rozumnego działania“ [2].

A jednym i drugim wspólny przyświeca ideał społeczno-ekonomiczny, który z komunizmem czy kolektywizmem i przyszłym rajem marksistów, ani z anarchizmem socyalistów romańskich nic nie ma wspólnego. Ideałem tym jest ekonomiczna

[1] Berth: *Mouvement socialiste*, 15 nov. 1903.
[2] Bernstein na kongresie w Stuttgarcie.

demokratyzacya społeczeństwa: w dziedzinie przemysłu fabryka konstytucyjna, która nie wiedzieć, jak się jeszcze ukształtuje na przyszłość, w dziedzinie handlu spółki spożywcze — cele, do których zmierzają organizacye zawodowe robotników. Obok tego usilnie pracować trzeba nad rozszerzeniem i ulepszeniem ustawodawstwa robotniczego i nad wychowaniem politycznem i ekonomicznem robotników. W dziedzinie agrarnej ciemno, ale i tu popierać należy wszelki ruch zmierzający do demokratyzacyi ekonomicznej: a więc spółki współdzielcze i gospodarcze i kasy kredytowe a może i ruch parcelacyjny, który z siłą elementarną rozwija się w kierunku demokratyzacyi społeczeństwa. Wogóle wszystko, co przyczynia się do usunięcia monopolów i dochodów bez pracy, do polepszenia ekonomicznego i wzmocnienia klasowego robotników, wszystko, co odnosi się do równomierniejszego podziału dóbr i rozdziału ciężarów społecznych znajduje wśród neosocyalistów gorących obrońców i namiętnych propagatorów i w pismach codziennych i w pismach i książkach naukowych i po części w pracy parlamentarnej. Niech tylko proletaryat, mówią oni, rozwija wszechstronną działalność za pomocą organizacyi zawodowej, spółek współdzielczych, demokratyzacyi i administracyi gmin i miast, niech robotnicy i chłopi wpierw się kształcą i wychowują w stowarzyszeniach na wolnych i pełnych odpowiedzialności obywateli przyszłego państwa, a wpływ ich i znaczenie niewątpliwie zaznaczy się potężnie w rozwoju społeczeństw i powoli zapewni zwycięstwo ideałom reformy demokratyczno-socyalistycznej, jak się Bernstein wyraża. Podobnie też w duchu szeroko pojętej ewolucyi społecznej zmierzającej do rozszerzenia wolności i wytworzenia większej równości obywatelskiej przemawiał sędziwy wódz socyalistów szwajcarskich, Greulich, na kongresie robotniczym w Lucernie (1899 r.)[1]: „Nasze teorye nie są żadną miarą ani martwe, ani niezmienne, i właśnie zasada Marksa opiera się na krytyce i powinna na krytycznej obserwacyi faktów dalej się rozwijać. I praca doskonale rozwija się, co mnie jako

[1] *Der schweizerische Arbeitertag in Luzern* (Zürich 1899).

zwolennika Marksa bardzo cieszy". „Wielka część środków produkcyjnych już dziś, wytrącona z dziedziny własności i gospodarstwa indywidualnego, przeszła po części na własność gmin lub państwa, po części na własność towarzystw kapitalistycznych. Druga część tych środków produkcyjnych i w przyszłości nawet może nigdy n i e d a s i ę u s p o ł e c z n i ć". „Tu na wiecu robotniczym dwie wielkie mamy grupy o różnych poglądach. Katolicy również odrzucają pojęcie własności zaczerpnięte z prawa rzymskiego, oni trzymają się w tej mierze poglądu św. Tomasza z Akwinu, który własność uważa za rodzaj dzierżawy a właściciela tylko za szafarza, mającego ścisły obowiązek obrócić swą własność tylko dla dobra swoich współbraci. Socyaliści zaś opierają się na wywodach Karola Marksa... Fakta ostatecznie rozstrzygną, czy św. Tomasz z Akwinu czy Marks będzie miał słuszność, albo czy ewolucya na innej leży linii". I we Włoszech i w Austryi idee rewizyonistów i posybilistów potężny znalazły oddźwięk i dużo liczą zwolenników. Pod hasłem rewizyonizmu odbył się ostatni kongres socyalistyczny niedawno we Wiedniu i kongres socyalistyczny we Włoszech, gdzie do zarządu partyi oprócz 7 „reformistów" wchodzi tylko 4 marksistów.

Tak nowe prądy idące w ślad za filozofią rewolucyjną Marksa po wszystkich krajach zdobywają sobie coraz więcej zwolenników, wciskają się do zarządów partyjnych i zwolna ale konsekwentnie pchają całe stronnictwo socyalistyczne na nowe tory demokratyzacyi i reformy społecznej. Jedno tylko nie uległo zmianie w obozie socyalistycznym: niechęć lub nienawiść do religii chrześcijańskiej i do kościoła katolickiego. Ta sama wroga, nieprzejednana, częstokroć do ślepej nienawiści posuwająca się niechęć do religii chrześcijańskiej jeszcze dziś ożywia wszystkich wodzów, jeszcze dziś raz po raz dziko drga i namiętnie wyziera ze wszystkich programów i mów, dzienników i czasopism socyalistycznych. Ta sama walka zawzięta, nieprzejednana przeciwko duchowieństwu i Kościołowi wre z zajadłością właściwą tylko fanatycznym sekciarzom na całej linii.

(Dok. nast.)

Ks. Leonard Lipke.

WOBEC DZISIEJSZYCH BADAŃ
NAD BIBLIĄ ŁACINSKĄ.

Czem pod względem literackim Homer dla Greków, tem pod wielu względami była Biblia dla chrześcijaństwa. Miałem powiedzieć: powinna zawsze być. Z niej spływały na rzesze ożywcze światła, na niej kształciła literatura kościelna swój język, tam szukała natchnień i motywów, o jej cześć i całość, jak o świętość narodową, walczyły najlepsze pióra. Wcześnie rozpoczęto przyswajać Pismo św. innym językom. Oprócz Septuaginty wystąpili jako tłumacze Starego Testamentu na język grecki: Aquila, Symmachus, Theodotion i Bezimienny. Już na początku IV wieku po Chr. mamy teksty syryjskie i koptyjskie, a przed nimi jeszcze łacińskie. Historya tych przekładów jest wiernem odbiciem postępów kultury, a w świecie łacińskim, którego sokami i my żyjemy, ewolucya tłumaczeń szła drogami dalekiemi tak, że poszczególne szlaki gubią się nieraz w pomroce. Wulgata Hieronima jest słupem granicznym i zamknięciem ruchu, rozciągającego się na przestrzeni dwu wieków. Gdzie powstały pierwsze przekłady łacińskie, jak się rozdzieliły na szerokich obszarach zachodu, jak się przenikały, czy uzupełniały? Pomimo stosu prac odpowiedź dotąd jest wątpliwa. Dlatego chcemy mówić o tej kwestyi tyle tylko, ile potrzeba do ogólnej oryentacyi.

I.

Dnia 17 lipca r. 180 sądzono w Kartaginie chrześcijan scylitańskich[1] z Numidyi prokonsularnej. W przekazanych nam aktach męczeńskich czytamy, że oskarżeni przynieśli ze sobą cząstkę Nowego Testamentu, mianowicie Listy św. Pawła[2]. Ponieważ obwinieni, widocznie prości ludzie, noszą przeważnie imiona rzymskie[3], można przypuścić z wielkiem prawdopodo-

[1] Co do położenia miejscowości (Scili?) Scilium (Scillium) por. Paul Monceaux *Histoire littéraire de l'Afrique chrétienne* (Paris 1901) I, str. 67, uw. 5. — K. I. Neumann: *Der röm. Staat und die allgem. Kirche* I, 71. — Adolf Harnack: *Die Mission und Ausbreitung des Christentums* (Lipsk 1902) str. 521.

[2] Por. *Acta martyrum Scilitanorum*, rękop. A (= *British Mus.* 11.880, w. IV): „Saturninus proconsul dixit: quae sunt res in capsa vestra? Speratus dixit: Libri et epistulae Pauli viri iusti". Znaczenie wyrazów *libri et epistulae* jest przedmiotem sporu. Rozumiejąc przez *libri* specyalnie Pismo święte, wnioskowali niektórzy uczeni, że Listy św. Pawła około r. 180 nie były jeszcze złączone w jedną całość z obu Testamentami, gdyż przeciwstawiono je tutaj wyraźnie pismom kanonicznym: „Unsere heiligen Schriften und die Briefe des heiligen Mannes Paulus ausserdem", tłumaczył K. I. Neumann (*Der röm. Staat* I, 73), a za nim M. Schanz, *Gesch. d. röm. Litter.* III, § 769. Ale to byłoby tylko wtedy jasnem, gdyby *libri* miało jakieś określenie, np. *sacri, divini*, lub wreszcie *nostri* i t. p. Trudność starały się usunąć inne recenzye rzeczonego protokółu przez pewne dodatki: „Libri evangeliorum et epistolae Pauli viri sanctissimi apostoli", lub: „quatuor evangelia Domini nostri... et epistolas sancti Pauli apostoli et omnem divinitus inspiratam scripturam"; wreszcie: „αἱ καθ' ἡμᾶς βίβλοι καὶ αἱ πρὸς ἐπὶ τούτοις ἐπιστολαὶ Παύλου τοῦ ὁσίου ἀνδρός". Objaśnienie Theod. Zahna (*Gesch. d. Neutestamentl. Kanons* I, 82): „Unsere Bücher und die mit dazu gehörigen Briefe d. h. Mannes Paulus" uwzględnia parafrazę grecką, nie może zaś być żadną miarą oddaniem tekstu łacińskiego rękopisu A, jak mniema O. Bardenhewer, *Gesch. d. altkirchl. Literatur* II (1903) str. 622, uw. 1. Czy *libri* ma oznaczać Ewangelie? (por. Monceaux: *Hist. litt* I, 106). Takiem samem prawem możnaby przez ogólnikowe *libri* rozumieć np. Dzieje Ap. i wszystko inne. A może *libri* stoi na równi z *epistulae* (*et* = mianowicie, to jest)? (Bardenhewer, l. c.) — co w zwięzłych słowach odpowiedzi wydaje się nieprawdopodobnem. Sądzę, że pierwotnie było tylko *Libri Pauli viri iusti*. Najpierw dodano objaśnienie *epistulae*, które dostało się do tekstu późniejszej redakcyi i spowodowało wszystkie dalsze zmiany.

[3] Speratus, Nartzalus, Cittinus, Veturius, Felix, Aquilinus, Laetantius, Januaria, Generosa, Vestia, Donata, Secunda. Różnicę stanową widzimy w Aktach męczeńskich zazwyczaj wyraźnie zaznaczoną, np. Vibia Perpetua (7 marca 202/203) „honeste nata, liberaliter instituta". Por. nadto Monceaux, l. c. str. 106.

bieństwem, że posługiwali się łacińskim przekładem, bo w tych czasach język grecki w Afryce znalazł szersze poparcie właściwie najwięcej między wykształconymi i zamożniejszymi w Kartaginie i po innych miastach północnej Afryki, środowiskach handlu i oświaty. Obraz życia chrześcijańskiego w tym kraju od końca II wieku rozszerza ramy i nabiera wydatniejszych rysów. Wiara wzmaga się, jak lawina, a ten rozkwit da się porównać tylko z równoległym objawem we współczesnej Małej Azyi. Między rokiem 218—222 na synodzie[1] w Kartaginie zbiera się 70 biskupów z Proconsularis i Numidyi, co najwymowniej świadczy o dalekiem rozkrzewieniu życia kościelnego, a zarazem wskazuje, jak dawno musiał się rozpocząć zwycięski pochód nowej idei. W szeregu pierwszych męczenników jaśnieją nazwiska punickie (Namphamo, Samaë), a w Kartaginie głośno narzekano: „Ludzie chciwi śmierci oblęgają nam miasto". Równocześnie język łaciński zatacza tu coraz szersze kręgi, i trzeba przyznać, że w tej epoce może nigdzie na zachodzie nie było tak licznej społeczności wiernych, mówiącej po łacinie, tak zarazem ruchliwej i gorliwej, jak właśnie w Afryce. Te warunki sprzyjały choćby częściowym tłumaczeniom łacińskim najbardziej używanych ksiąg biblijnych. Potrzeba stała się niemal koniecznością, odkąd zbudziło się do życia piśmiennictwo kościelne, czerpiące siłę i rozpęd z kart uświęconych. Afryka jest ojczyzną literatury chrześcijańsko-łacińskiej, a ten fakt dziejowego znaczenia staje się jeszcze ciekawszym przez tragiczne zrządzenie, które przodownika literackiego sprowadziło z wyżyn żarliwego obrońcy Kościoła do przepastnych zaułków odszczepieństwa. Tertulian, prezbiter kartagiński, był wybitną indywidualnością, i dotąd jeszcze jest dla badaczy jednym z najbardziej interesujących problemów psychologicznych. Z pochodzenia Afrykańczyk, obdarzony rzadkim talentem, odznaczał się ognistą i niesłychanie wrażliwą naturą. Wnętrze tej duszy kryło jad, który ostatecznie zatruł owoce jego myśli i zdolności. Promień chrześcijańskich zasad nie zdołał zupełnie rozjaśnić

[1] Por. A. Harnack: *Die Mission u. Ausbr. d. Christ.* str. 516.

jego piersi, wypełnionej goryczą i ponurością. Skłonność do surowego rygoryzmu nie pozwoliła rozwinąć się w pełni jego istocie. Co więcej: w radykalizmie swoim uważał najmniejszy krok naprzód za zerwanie z przeszłością. To też potrzeba było tylko silniejszej pobudki z zewnątrz, by go pchnąć w ostateczność. Była nią w drugiej połowie II wieku grasująca na wschodzie we Frygii sekta Montanistów[1], która głosiła nowe objawienie Ducha św., a mamiąc zwolenników rzekomą ekstazą prorokowania, nawoływała do umartwienia i zewnętrznej surowości obyczajów. Ten kierunek przynęcił Tertuliana. I odtąd stara się pismami podnieść znaczenie i ugruntować poglądy Montanistów; od tego czasu nie szczędzi ani gryzącego dowcipu, ani ostrej satyry. Animozya i oburzenie nie mają granic, a autora unosi wicher burzącej namiętności. Jako pisarz, wnosi on do zawodu biegłość retora z dyalektyką sofisty, nadto wykształcenie prawnika z adwokackim sposobem dowodzenia. Wiadomości posiada najrozmaitsze: z zakresu filozoficznego, medycznego, przyrodniczego i antykwarskiego. Ale wszystko to ma być dla szermierza chrześcijańskiego tylko środkiem. Człowiek żyjący teraźniejszością, olśniony i porwany nową nauką, bierze rozbrat z klasycyzmem, odwraca się od czarów i blasków pogańskiej poezyi i jak Platon Homera, tak on potępia wszystkich poetów, choć naprawdę nie brak mu poetycznego zacięcia. Gardzi sztuką, a zwłaszcza plastyką i malarstwem, posunął się nawet do osobistych wycieczek przeciw artyście Hermogenesowi. Odkąd stał się chrześcijaninem, przemienił się doszczętnie. Cały żyje w sferze pojęć, obrazów i porównań biblijnych, a jak dalece w nich utonął, świadczą tysiące cytat z Pisma św., któremi przepełnione są jego dzieła. Zauważono już, że jedno i to samo miejsce pojawia się u niego w różnych brzmieniach, i na podstawie tych odmian sądzono, że Tertulian korzystał z kilku łacińskich przekładów[2], albo twierdzono, że pisarz brał przy-

[1] Oczekiwania eschatologiczne Montanistów prowadziły do przewrotu socyalnych stosunków; por. K. I. Neumann: *Hippolytus von Rom*, Lipsk 1902, I, str. 73 n.

[2] Tak np. Rönsch: *Itala u. Vulgata*, str. 3.

kłady z greckiego tekstu i na poczekaniu je przekładał [1]. Stoimy wobec dwu skrajnych zapatrywań. Przedewszystkiem zdaje się nam, że autor dzięki studyom biblijnym, mógł nieraz posługiwać się niepospolitą pamięcią i przytaczać z głowy, zwłaszcza w pismach dotyczących karności i obyczajów, gdzie nie zależało tak bardzo na wielkiej ścisłości. Na mniejszą swobodę pozwalały traktaty apologetyczne, najmniej zaś dogmatyczna polemika, tak skrzętnie uprawiana przez naszego autora. Tutaj stosował Tertulian metodę teologiczną, odwołując się bardzo często do tekstu greckiego, i w tym właśnie zakresie pism musiała się ustalić pewna, stała łacińska postać cytowanych miejsc biblijnych, co też rzeczywiście da się stwierdzić [2]. A mogło to najłatwiej przyjść do skutku, jeśli autor opierał się na pewnem danem już tłumaczeniu. Nie brak też na to dowodów. Sam Tertulian przyznaje, że pewne wyrażenie jest już w użyciu, że taki zwrot napotkał — i w tych razach trudno opędzić się myśli, że pisarz jakby palcem wskazuje przekłady rękopiśmienne [3]. Jeżeli dalej z licznych zestawień, jakich dokonał Monceaux (str. 113—116), wynika wielkie podobieństwo i pewna

[1] Th. Zahn: *Gesch. d. Neutest. Kan.* I, 1, str. 53; por. także H. Hoppe: *Syntax und Stil des Tertullian* (Lipsk 1903), str. 5, uw. 2.

[2] H. Hoppe, l. c. pisze: porównanie wielkiej części cytat wskazało mi, „dass manche Sprüche allerdings in einer schon fest gewordenen Form wiederkehren".

[3] Por. *Tertull. adv. Marc.* 4, 1: „alterius Instrumenti, vel, quod magis usui est dicere, Testamenti"; tamże 5, 4: „haec sunt enim duo Testamenta, sive duae ostensiones (Galat. 4, 24), sicut invenimus interpretatum". *Adv. Prax.* 5: „Ideoque iam in usu est nostrorum, per simplicitatem interpretationis, Sermonem dicere in primordio apud Deum fuisse, cum magis Rationem competat antiquiorem haberi". *Sermo* = Λόγος właściwe jest przekładom używanym w obrębie Afryki; por. F. C. Burkitt: *The Old Latin and the Itala* (Cambridge 1896), str. 13. Potwierdza to również napis. znaleziony w Numidyi, CIL. VIII, 2309. Por. Monceaux, l. c. str. 111, uw. 1. Bardzo nieprawdopodobnem jest zdanie Th. Zahna, że Tertulian mówi tylko o ustnych przekładach, że wogóle tą drogą za pośrednictwem lektorów i kaznodziejów powstawały stereotypowe formy tłumaczeń (l. c. 54, 55, uw. 1). Powyższe ustępy przytoczono z pism polemicznych. Heretykom trzeba było przedłożyć nie rzecz, żyjącą tylko w ustnej tradycyi, ale argument ustalony pismem, bo *verba volant, scripta manent.* Choćby więc dlatego samego teorya Zahna wydaje się być naciągniętą.

analogia pomiędzy Tertulianem a Cypryanem w przytaczaniu ustępów Starego i Nowego Testamentu, to przyznać należy słuszność ostatecznemu wnioskowi, że obaj pisarze korzystali z jednej i tej samej grupy rękopisów. Tak więc na początku III wieku istniały w Afryce w przekładzie łacińskim najprawdopodobniej następujące księgi: Ewangelie, Listy św. Pawła (Dzieje Apostolskie?), *Genesis, Deuteronomium,* czterech większych proroków, *Parabolae,* Psalmy.

Z chwilą, kiedy na stolicy biskupiej w Kartaginie zasiadł Cypryan (r. 248 lub 249), dzięki talentowi organizatorskiemu i energii umiarkowanego ale konsekwentnego sternika stosunki chrześcijaństwa ulegają wszechstronnej zmianie na całej linii, począwszy od Syrt aż do Mauretanii. Z fazy chwiejności i doświadczeń przelewa się życie w nowe, stalsze formy. Cypryan był w pierwszym rzędzie człowiekiem praktycznym, zrównoważonym charakterem, i jako taki taktownie, z wielką znajomością duszy i potrzeb ludzkich przystąpił do pięknego dzieła wewnętrznej budowy i zewnętrznej organizacyi. Utrwalenie dyscypliny kościelnej i ugruntowanie wiary wypełniało program tej szlachetnej postaci. Taka powaga czynu łączyła się z urokiem górnego nastroju i inspiracyi. On pisze listy i traktaty katolickie jako natchniony, z wyższego polecenia *(Deo mandante et inspirante),* i stanowczo przeczy, jakoby tworzył coś własnego i czysto ludzkiego. Ma wizye, jak prorok. W ten sposób drga w nim struna pierwotnych uniesień i porywów apostolskich. Z drugiej strony wyznaje i realizuje zasadę autorytetu, tworząc przez to silne wytyczne na przyszłość. A więc: siedzibę biskupią podnosi i otacza blaskiem, znamionując ją jako podwalinę jedności, wskazując Rzym jako centralne ognisko. Powtóre: w przeciwstawieniu do Tertuliana przyjmuje za normę jeden ustalony przekład Pisma św. i kładzie nacisk nie tylko na myśl, ale także w wyróżniający sposób na stałość, stereotypowość samego słowa, na nieruchomość litery. Jest to zasada, która się później powtórzyła na wielkie rozmiary w historyi Wulgaty. Tertulian w dyskusyi i walce zaczepnej podkreśla sens tekstu biblijnego, porównywa z brzmieniem greckiem; Cypryan nie

prowadzi polemiki, nie ucieka się do pierwowzoru lub do Septuaginty, lecz jak na Zawiszy, polega na raz przyjętej formie przekładu. On nie jest oddany ani spekulacyi, ani dyalektyce, dlatego cała siła i uwaga przenosi się u niego na słowa inspirowane; wszystko inne jest rodzajem dodatku, komentarza. W tym duchu zbierał całe grupy cytat z Pisma św., by niemi udowodnić pewne tezy, lub zachęcić do wytrwałości w czasie prześladowania [1]. Jak się trzymał tej powagi słowa, wskazują *Testimonia*, porównane z innemi pismami Cypryana. Te same cytaty występują i tu i tam w jednakiem brzmieniu [2].

Nie wiemy, jaki udział brał Cypryan w tworzeniu się przekładów. Jeżeli sam nie przyłożył do nich czynnej ręki, to pod jego kierunkiem może uzupełniono, a może tylko dokonano wyboru i ustalono ich całokształt. Dwa znamienite umysły wywierają wpływ na te tłumaczenia, a ich współdziałanie wycisnęło niezatarte piętno i na języku chrześcijańsko-teologicznym. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że tekst przyjęty przez Cypryana był obowiązującym w Afryce. Wprawdzie o względnej popularności świadczą niektóre rękopisy późniejsze [3], w których przechowały się fragmenty Ewangelii, Dziejów Apostolskich i Apokalipsy zgodne z Cypryanem, ale już w r. 256 lub 257 biskupi afrykańscy zgromadzeni na synodzie w Kartaginie [4] przytaczają Pismo św. w odmiennej formie, z czego wnosić należy, że reguła przestrzegana przez Cypryana nie była oficyalną. Ten stan rozbieżności musiał się pogorszyć, kiedy w ciągu 40 lat pokoju po męczeńskiej śmierci Cypryana mnożyły się w Afryce bazy-

---

[1] Por. *Ad Fortunatum (De exhortatione martyrii)* i *Ad Quirinum* (czyli *Testimonia*).

[2] Przy porównywaniu trzeba się opierać nie na ręk. A (Sessorianus), wyszczególnionym przez wydawcę Cypryana, W. Hartla, tylko na ręk. L (Vindobonensis) i pokrewnych BMW.

[3] Ułamki Ewangelii w *Cod. Bobiensis* w. IV–V; *Cod. Palatinus* w. V; *Cod. Sangallensis* w. V; *Cod. Colbertinus* w. XII. Szczątki Dziejów Apost. i Apokalipsy w *Cod.* (palimpsest) *Floriacensis* (Fleury) w. VI. Por. Monceaux, l. c. str. 125—127.

[4] Por. Cypr. *Sententiae episcop.* 7 (Mat. 5, 13) a *Testim.* III, 87; tamże 5 (Galat. 5, 19—21) a *Testim.* III, 64 i t. d. Zob. Monceaux, str. 128—129.

liki i biblioteki kościelne, kryjące w sobie nieraz cenne, okazałe rękopisy[1]. Naturalnem następstwem tego rozrostu było różniczkowanie tekstu, niewątpliwie spotęgowane jeszcze po tryumfie Kościoła w epoce Konstantyna.

Pragnęlibyśmy wiedzieć, czy łacińska biblia afrykańska jest wyłącznym owocem tego kraju? Jaki jej stosunek do Rzymu? Słusznem wydaje mi się przypuszczenie, że Kartagina była tem łożyskiem, przez które przepływały systematycznie prądy chrześcijańskie do Afryki. Odkąd osadowiły się w niej orły rzymskie, między Rzymem a Kartaginą, dawnemi rywalkami, wytworzyła się ścisła i czujna wymiana, prowadząca do jedności. Zapewne koło połowy I wieku głos chrześcijaństwa dobiegł i tutaj z ruchliwej stolicy. Ogniwami pośredniczącemi byli Żydzi, przynoszący Kartagińczykom towary — i nowinki, a może i wychodźcy chrześcianie, których wypędzał ucisk Klaudyusza, a zwłaszcza Nerona, wymierzony pod adresem sekty żydowskiej. To byłby wniosek wydobyty z ogólnych stosunków politycznych i ekonomicznych. Za Rzymem przemawiałoby nadto świadectwo Tertuliana: „Roma, unde nobis quoque auctoritas praesto est“ (*De praescr. haer.* 36), i przestroga, by się liczono z wewnętrzną spójnią obu Kościołów[2]. Otóż Rzym, który w tych warunkach mógłby najprędzej przesłać za morze i łacińskie przekłady, pozostawał dłużej od Afryki pod władzą helenizmu. Język grecki panował w Kościele rzymskim i rzymskiej teologii aż do połowy III wieku[3]. Liczne osady Żydów z całym szere-

[1] Kiedy za Dyoklecyana r. 303 komisya śledcza przeszukiwała bazylikę w Cyrcie, pokazało się, że lektorowie przechowywali u siebie przeszło 40 manuskryptów biblijnych, jeden zaś z nich (Catulinus) „protulit codicem unum pernimium maiorem“. Zob. Th. Zahn: *Gesch. d. Neut. Kan.* I, 1, str. 31.

[2] Por. Alexis Schwarze: *Untersuchungen über die äussere Entwicklung der afrikanischen Kirche mit besond. Verwertung der archäolog. Funde* (Göttingen 1892), str. 28–21. A. Harnack: *Die Mission*, str. 514, uw. 2. Domyślano się, że oddziaływał tu Wschód, czy to przez Palestynę, czy też pośrednio przez Aleksandryę. Mogły to być sporadyczne, słabe czynniki; w każdym razie niknęły wobec atrakcyi i intenzywnego ruchu łączącego Rzym z Kartaginą.

[3] Por. Caspari: *Quellen z. Gesch. d. Taufsymbols*, t. III, str. 267—466.

giem synagog w Rzymie tworzyły część greckiej ludności [1]. Ich napisy cmentarne, znalezione w Rzymie, są tylko greckie. W gminie t. zw. żydów-chrześcijan wyznanie wiary (symbol) przy Chrzcie św. wygłaszano aż do późnych czasów po grecku. Ten język był przystępny niewolnikom i wszelkiego rodzaju przybyszom ze Wschodu, gromadzącym się nad Tybrem. Biskupi rzymscy mniej więcej od r. 150—220 mają greckie nazwiska (Anicetus, Soter, Eleutherus, Zephyrinus, Kallistus). Pisarze, którzy w pierwszych czasach występowali w Rzymie, mieli do walczenia z błędnemi naukami, przeniesionemi ze Wschodu, ze źródła greckiego i żydowsko-heleńskiego. Trzeba więc było zarzuty przeciwników, formułowane po grecku, zbijać tym samym językiem. Dopiero od połowy III wieku staje się gmina rzymska przeważnie łacińską [2], i w tym właśnie czasie występuje niepośledni jako pisarz chrześcijańsko-łaciński prezbiter Nowacyan. Afryka wyprzedza zatem Rzym na polu chrześcijańsko-łacińskiego piśmiennictwa i wcześniej tworzy gminy, złożone z liczebnie silnego elementu łacińskiego. Wśród takich korzystniejszych okoliczności praca nad łacińskim przekładem Biblii, jeżeli się nie rozpoczęła w Afryce, to tam najprawdopodobniej poraz pierwszy była przeprowadzona w szerszym zakresie.

II.

Kiedy przyszła kolej na inne kraje zachodniej Europy, Galia, Hiszpania, a w pierwszym rzędzie Italia zdobyły się również na tłumaczenia. Jak one powstały, samodzielnie, czy były tylko odmianami lub recenzyami jednego typowego przekładu, czy wreszcie było kilka samoistnych tłumaczeń, to są pytania, które do dzisiejszego dnia budzą interes uczonych. Ojcowie

---

Stosunek języka łacińskiego do greckiego w chrześcijaństwie Zachodu nie jest jeszcze dokładnie zbadany.

[1] Ewangelia rozszerzała się najpierw między grecką ludnością w stolicy i w Italii.

[2] Element łaciński w gminie rzymskiej był oczywiście już przedtem, ale niknął wobec greckiego.

Kościoła mówią o wielkiej, a nawet niezmierzonej [1] liczbie tłumaczy, czytamy też, że w samych początkach gorliwi chrześcijanie na własną rękę podejmowali tę czynność [2], ale trudno myśleć o mnóstwie odrębnych, samoistnych przekładów. To byłoby wprost nie do uwierzenia. Raczej trzeba pamiętać, że ci pisarze kościelni nie mieli autentycznej, historycznej wiadomości o rzeczywistym stanie rzeczy, a wyrzeczenia ich mają wartość do mysłu, opartego na stosunkach współczesnych. Często, gdy chodzi o jedno miejsce, każdy rękopis, przedstawiający jakąś odmianę, ma w ich oczach znaczenie takiego *interpres*, a przecież nikt nie powie, że autora poszczególnego waryantu brali na prawdę za samodzielnego tłumacza całości. Nie wiemy też nigdy, czy przez tłumacza rozumieją autora przekładu jednej księgi, czy też większego zbioru, albo wreszcie wszystkich pism. Do przesadnych poglądów przyczynia się i to uprzedzenie, że wszędzie tam, gdzie jakiś odłam ludności nie umiał po grecku, zaraz przychodził do skutku przekład w krajowym języku. Irenaeus, biskup Lyonu, głosił słowo Boże po celtycku, a chociaż część jego wiernych nie umiała ani po grecku, ani po łacinie, nie słyszymy w tym czasie o żadnej biblii celtyckiej [3]. Podobnie w Afryce nie było punickiego przekładu, jakkolwiek chrześcijan tego pochodzenia już około r. 200 było bardzo wielu, a w IV w. biskupi byli obowiązani mówić tym językiem. Tłumaczenie i podawanie nauki w tych wypadkach odbywało się ustnie, stąd też bierze początek instytucya kościelnych, ἑρμηνευταί [4].

Zdania najnowszych badaczy są podzielone. Niektórzy

[1] Np. Augustin *De doctr. chr.* 2, 11: „Si quam dubitationem attulerit latinorum interpretum infinita varietas".

[2] Augustin *Doctr. chr.* 2, 11: „Qui enim Scripturas ex hebraea lingua in graecam verterunt, numerari possunt; latini autem interpretes nullo modo. Ut enim cuique primis fidei temporibus in manus venit codex graecus, et aliquantulum facultatis sibi utriusque linguae habere videbatur, ausus est interpretari".

[3] Por. Th. Zahn: *Gesch. d. Neut. Kan.* I, str. 33n, 39n. Irenaeus III 4, 1: „sine charta vel atramento scriptam habentes per spiritum in cordibus suis salutem" (np. Celtowie, Germanowie); zob. A. Harnack: *Die Mission* str. 507—508.

[4] Por. Th. Zahn, l. l. str. 43.

uczeni niemieccy [1] przyjmują kilka odrębnych przekładów, prawie równorzędnych; angielscy natomiast rozróżniają trzy grupy tekstów dla Nowego Testamentu: afrykańskie, zachodnio-europejskie i italskie, powstałe z poprzednich drogą rewizyi w Italii w II-giej połowie IV-go wieku — dwie grupy dla Starego Testamentu: pierwotną przed wiekiem IV, reprezentowaną przez cytaty autorów afrykańskich, i drugą klasę IV-go wieku, złożoną z recenzyi, biegnących prawie równolegle z grupą italską Nowego Testamentu. Co do tekstów Nowego Testamentu, t. zw. europejskich, wyrażają powątpiewanie, czy to są odmiany afrykańskich, czy przeciwnie reprezentują jeden lub kilka niezależnych produktów [2]. Wreszcie F. Zimmer [3] twierdził, że mamy do czynienia tylko z jednym przekładem, t. zw. *Vetus Latina*, przedstawiającym kilka stopni rozwoju: np. *a)* Pierwotna postać *(Princeps)* znajduje się u Tertuliana i Cypryana; *b) Communis*, recenzya poprzedniej, stanowiąca Wulgatę przed Hieronimem, uwidoczniona w rękopisach: *Claromontanus* i *Boernerianus*, i w t. zw. *Ambrosiaster*, to jest komentarzu do listów św. Pawła z końca IV wieku.

Muszę poprzestać na tem suchem zestawieniu, albowiem twierdzenie, że ta teorya lepsza od drugiej, byłoby przedwczesnem i zbyt śmiałem. Wolno tylko dorzucić uwagę, że za mało mamy umiejętnie zbadanych tekstów, aby ustanawiać oddzielne grupy, że niemniej porównania i wnioski robiono na szczupłej podstawie, bo przeważnie ograniczano się do rozbioru wyłącznie np. listu do Galatów, to znowu samej Apokalipsy i stąd musiała powstać jednostronność twierdzenia. Tracono natomiast z oczu wielkie prądy kulturalne, wychodzące od potężnych osobistości [4],

---

[1] Ziegler: *Die latein. Bibelübersetzungen vor Hieronymus* (Monachium 1879); Corssen: *Jahrb. für protest. Theol.* VII (1881) str. 507—513. Podobnie E. Nestle w *Realencyklop. f. prot. Theol.* (1897) III, str. 25.

[2] P. Monceaux, l. l. str. 98.

[3] T. Z.: *Der Galaterbrief im altlateinischen Text* (= *Theol. Studien und Skizzen aus Ostpreussen*) w Królewcu r. 1887. Tenże w *Theol. Studien und Kritiken*. 1889, str. 331—355.

[4] Tak widzimy, że wpływ Cypryana sięga poza Afrykę aż do czasów św. Ambrożego i Augustyna, on wyłącznie pociąga ku sobie autorów IV

lub poszczególnych krajów i szkół, nie liczono się także ze sferą wpływu, w którą mimowoli wciągnięte były gminy młodsze w stosunku do Kościołów macierzystych [1]. A mimo partykularnych upodobań i prowincyonalnych znamion przechodzi przez całe chrześcijaństwo tych wieków silny duch jedności, wszystko zmierza do środka i wyrównywa się przez nieustanny związek z Romą. Dziwnie sprężysta wymiana kulturalna [1] przez osoby, listy i literaturę, łącząca poszczególne gminy i nauczycieli, imponowała poganom i przyczyniała się stanowczo do jednolitości rozwoju. Jakżeż więc podobne nurty cywilizacyjne nie miałyby unosić ze sobą i tych przepięknych w swojej prostocie świętych „Instrumentów", przez które przemawiał nowy Orfeusz do swojego rodzaju zwierząt i skał? Z tego punktu widzenia spodziewalibyśmy się, że przekłady w czasie aż poza III-ci wiek okazywać będą tendencyę do uproszczenia i ujednostajnienia.

Zauważono przy innej sposobności, że ponad odmianami i różniczkami góruje w przekładach wielka zgoda w szyku wyrazów, w konstrukcyach gramatycznych, w zapasie leksykalnym, a często w drobiazgowych objawach, co się da objaśnić przypuszczeniem, że tłumacze nie pracowali całkiem samodzielnie i niezależnie, tylko trzymali się swoich poprzedników. Tłumaczenie było sztuką, która się musiała powoli wyrabiać. Często czytamy [2], że dawne przekłady starają się o dokładne, sumienne oddanie oryginału. Podobna niewolniczość odnosi się jednak do późniejszych rękopisów. O starszych trzeba powiedzieć: Im swobodniejszy przekład, tem dawniejszy. W początku, w braku

---

wieku, Lucifera z Cagliari i Hilariusza z Poitiers, a św. Hieronim radzi pewnej Rzymiance, by córka jej zamiast kosztowności trzymała w ręku pisma Cypryana (*Epist.* 107, 12).

[1] Zob. ciekawy artykuł Th. Zahna: *Weltverkehr und Kirche während der drei ersten Jahrhunderte* (= *Skizzen aus d. Leben d. alten Kirche.* Erlangen u. Leipzig 1894), str. 156—195. A. Harnack: *Die Mission*, str. 268—272. *(Reisen, brieflicher u. litterarischer Austausch).*

[2] Jeszcze u A. Harnacka: *Die Mission*, str. 272: „Die bis zum Unverständlichen gesteigerte Wörtlichkeit der alten lateinischen Bibelübersetzung"; tak samo P. Monceaux, l. c. str. 169.

wzoru, musiało wystarczyć niedokładne tłumaczenie. I właśnie dążenie do usunięcia takich niedokładności było zadaniem doskonalącej się sztuki. Pierwsze próby odznaczają się wolnem oddaniem tekstu, pochwyceniem sensu *(circumloquendo interpretari)*, a nie przełożeniem fotograficznem poszczególnych słów. Często nie rozumiano znaczenia całych zdań. Szyk wyrazów stosuje się nie do normy greckiej, tylko więcej do zasad łacińskich.

Nieudolność początkujących objawia się także w tem[1], że opuszczają greckie słowa, nie wiedząc nieraz co z niemi począć. Nadto właściwą jest tej kategoryi dążność do zachowania rzymskiego kolorytu; grecyzmy pojawiają się liczniej w późniejszych czasach. Jeżeli te zasady, wynikające z rozbioru księgi Mądrości[2], okażą się niewzruszonemi, uzyskamy miarę do określenia w przybliżeniu stosunku chronologicznego jednych przekładów do drugich; zarazem widzimy, jak wobec trudności co dopiero przedłożonych nie łatwo było na tem polu samodzielnie pracować.

Lecz wzajemna zależność przekładów nie mogła położyć tamy lokalnym i indywidualnym upodobaniom. Z biegiem czasu, przedewszystkiem po Konstantynie, wkradały się różne zmiany, które miały źródło (prócz prostych pomyłek) jużto w poprawianiu tekstu łacińskiego przy pomocy greckich rękopisów, jużto w potrzebie przystosowania formy do smaku klas wykształconych. Ta okoliczność ulepszania w połączeniu z faktem mnożenia się odpisów wskutek wzrastających coraz bardziej zastępów chrześcijan wyjaśnia nam (zdaje mi się) dostatecznie stan zamieszania, jakie się wkradło do przekładów. „Jeżeli ła-

---

[1] Zwykle utrzymują, że starsze przekłady tłumaczą δέ przez *autem*, γάρ przez *enim*. Ale w rzeczy samej jest tu większa dowolność: δέ = *autem, sed, et, ergo, enim, aut, quoniam;* γάρ = *enim, autem, ergo, etenim!*

[2] Por. Ph. Thielmann: *Die latein. Uebersetzung des Buches der Weisheit* (*Archiv f. lat. Lexik.* VIII, 235—277). W podobny sposób rozświetla stosunek przekładów druga metodyczna praca tegoż uczonego: *Die lateinische Uebersetzung des Buches Sirach* (*Archiv* VIII, 501—561 i IX, 247—284). Zobacz tegoż: *Bericht über das gesammelte handschr. Material zu einer kritischen Ausgabe der lat. Uebersetzungen biblischer Bücher [Sapientia, Sirach, Esther, Tobias, Iudith] des alten Testamentes* (*Sitzungsber. d. philos.-philol. Cl. d. bayer. Ak. d. W.* Monach. 1899), tom drugi.

cińskie egzemplarze mają zasługiwać na wiarę, to jakie? — bo prawie tyle tekstów, ile rękopisów, pisze Hieronim [1] — mówiąc o rękopisach biblijnych za jego czasów, i podnosi ten charakterystyczny objaw, że Ewangelie uległy w poszczególnych miejscach powszechnej zmianie, bo krótsze opowiadanie jednego Ewangelisty uzupełniano z obszerniejszego drugiego, lub zdanie, zawierające to samo znaczenie, ale inaczej wyrażone, i językowo, formalnie wyrównywano [2].

Z końcem IV wieku postanawia usunąć ten zamęt papież Damazy, i powołuje do pracy krytycznej nad Biblią człowieka, który szeroką erudycyą i silną wolą mógł sprostać trudnemu zadaniu — św. Hieronima. Czynność jego rozpoczyna się rewizyą czterech Ewangelii na podstawie dotychczasowego tekstu. Gotową recenzyę oddaje papieżowi r. 383 i w tym samym czasie prawdopodobnie dokonywa przeglądu reszty Nowego Testamentu, z pewnością zaś Psalmów. Recenzya Psalmów, znana pod nazwą *Psalterium Romanum*, weszła w życie w kościołach rzymskich i była w Rzymie aż do Piusa V (1566—72) ogólnie używaną; po dziś dzień ma zastosowanie tylko w kościele św. Piotra, do Wulgaty wcieloną nie została. Hieronim, bawiąc w Rzymie, zaniepokoił i wstrząsnął towarzystwem przez nieznaną dotąd akcyę w kierunku anachoretycznym. Wtórowały mu trzy wdowy z najwyższych domów: Marcella, gruntowna znawczyni Pisma św., Melania i Paula z rodu Scypionów. Dlatego po śmierci Damazego pod koniec r. 384, uchodząc przed obelgami i zaczepkami, opuszcza Hieronim stolicę razem z Paulą i zwiedziwszy Palestynę oraz Egipt osiada stale w Betleem. Przybysze wznoszą tu dwa klasztory, męski i żeński. Schronienie swoje podnosi Hieronim do przybytku wiedzy i literatury, którą mnichom polecił się pilnie zajmować, dorzucając do tego ogniska nowe zarzewia: powiększaną ciągle bibliotekę i szkołę dla młodzieńców, uprawiającą kult Wergiliusza, a nawet kome-

[1] Hieronym. *In Evang. ad Damasum praefatio.*

[2] Tamże: „Unde accidit, ut apud nos mixta sint omnia, et in Marco plura Lucae atque Matthaei, rursum in Matthaeo plura Ioannis et Marci et in ceteris reliquorum, quae aliis propria sunt, inveniantur".

dyopisarzy. Już w młodości przeplatał lekturę Cycerona i Kwintyliana nauką języka chaldejskiego; tutaj po długich latach pogłębia studya hebrajsko-chaldejskie przy pomocy uczonych rabinów. Z hebrajszczyzną szło łatwiej, nazywa się sam *sciolus inter Hebraeos*, ale język chaldejski stawiał większy opór: „Czytam tylko i rozumiem po chaldejsku, ale nie mówię".

Zasób wiedzy wzbogaca także znajomością topograficzną Ziemi św. na podróżach, jakie odbywał, bo w ten sposób Pismo jaśniej mu wystąpi przed oczyma. Tak też — pisze do Domniona[1] — ten lepiej zrozumie historyę grecką, kto był w Atenach, i więcej odczuje trzecią księgę Wergiliusza, kto z Troady popłynie do Sycylii i ujścia Tybru. Znajomość języków oryentalnych zużytkował najpierw do rewizyi łacińskiego Starego Testamentu, posługując się Septuagintą, lecz tak, że w wątpliwościach uciekał się do oryginału hebrajskiego. Z tego okresu zachowało się tylko drugie przerobienie Psałterza *(Psalterium Gallicanum)*, i to wchodzi w skład dzisiejszej Wulgaty; opracowanie księgi Job z Wulgaty wykluczono, reszta zaś cała zaginęła. Epokowym i najchlubniejszym owocem, który dojrzewał przez lat 15 (od r. 390—405), jest przekład Starego Testamentu wprost z języka hebrajskiego. Nie przetłumaczył Hieronim tylko deuterokanonicznych pism z wyjątkiem Tobiasza i Judyty. Tak więc rozpada się Wulgata na trzy oddzielne grupy: 1) Nietknięte przez Hieronima części dawnych tekstów, mianowicie Księga Mądrości, Jesus Sirach *(Ecclesiasticus)*, Baruch z dodatkiem Jeremiasza i dwie księgi Makkabeuszów; 2) Dział przejrzany; cały Nowy Testament i Psałterze w drugiem opracowaniu *(Ps. Gallicanum)*; 3) Samodzielny przekład Hieronima z tekstu hebrajskiego, to jest cała reszta St. Testamentu[2].

---

[1] Por. *Ad Domnionem et Rogatianum in eundem (Paralip.) praefatio.*

[2] Przypuszczenie Burkitta (*The Old Latin and the Itala*, str. 60n, 66n), jakoby Augustyn przez Itala (*De doctr. chr.* II, 15) rozumiał Wulgatę Hieronima (porówn. *Isidor. Etymol.* VI, 4), nie da się utrzymać. P. Monceaux (str. 139, uw. 2) podniósł kilka zarzutów. Zwrócono też uwagę, że przekład Hieronima z tekstu hebrajskiego jeszcze nie był ukończony, kiedy Augustyn pisał drugą księgę *De doctr. chr.* (Por. Corssen: *Bericht über d. lat. Bibelübers.* (1899) str. 6, w *Bursiana Jahresber. üb. d. Fortschr. d. class. Altert.*)

Nie tylko na tych trzech wielkich działach w ich wzajemnym stosunku, ale także na poszczególnych ich częściach wycisnęło się odrębne piętno językowe. Grupa pierwsza, przedewszystkiem Jesus Sirach i Księga Mądrości, odznacza się charakterem pospolitym. Partye przejrzane cechuje wielka niejednolitość; ulepszenia Hieronima są tylko częściowe i nie zasadnicze. W ocenie grupy trzeciej trzeba uwzględnić osobistość tłumacza. Przez połączenie klasycznych studyów z patrystycznemi nadał Hieronim swemu stylowi powab i zabarwienie niemal moderni-

---

Można dalej zapytać, dlaczego o przekładzie Hieronima wyrażał się Augustyn w tym samym ustępie raz Itala *(interpretatio)*, drugi raz „horum interpretum, qui verbis tenacius inhaeserunt?“ Wiadomo, że Augustyn stanowczo oddawał pierwszeństwo Septuagincie i przekładom łacińskim na niej opartym (por. *De civ. Dei* 18, 43). Jako praktyk szedł za *vox populi*, a ten domagał się poszanowania greckiej LXX, otoczonej rzekomo powagą boskiej inspiracyi. Prócz tego przy porównywaniu łatwiej było posługiwać się językiem greckim, niż mało znanym hebrajskim. Ale i tak owa „Itala“ znajduje pochwałę, jako środek pomocniczy, interpretacyjny; w tym ustępie *(De doctr. chr.)* niema mowy o zastosowaniu w liturgii w codziennem użyciu kościelnem (P. Corssen, l. c. str. 6). Trzeba też było uwzględniać konserwatyzm prowincyi. Gdy w mieście Oea biskup kazał czytać Jonasza w przekładzie Hieronima, zmiana dawnego *cucurbita* na *hedera* (4, 6) miała lud tak oburzyć, że przełożony musiał porzucić nowość, by się utrzymać na stanowisku biskupa (Augustin, *Epist.* 71, 3). Powyższej hipotezie sprzeciwia się w wysokim stopniu zasada tłumaczenia, przestrzegana przez Hieronima. On dba więcej o treść, niż o wierne oddanie słowa po słowie. Pietyzm zaś dla materyalnej zawartości, *tenacitas verborum*, jest zaletą Itali. Co na prawdę znaczy ten termin? Jest on nazwą pewnej tylko grupy, najprawdopodobniej italskiej, nie może więc żadną miarą służyć za etykietę dla wszystkich przekładów przed Hieronimem! (np. Rönsch: *Itala und Vulgata* — a zwłaszcza Sabatier: *Bibliorum sacrorum latinae versiones antiquae seu vetus Italica*). Z samego określenia „verborum tenacior cum perspicuitate sententiae“ wynika, że ten przekład przedstawia jedną z późniejszych faz, stadyum udoskonalonego tłumaczenia, dlatego niesłusznem jest twierdzenie: „so entstand schon früh im zweiten Jahrhundert die sogen. *Itala*, das älteste christliche Denkmal in lateinischer Sprache“ (A. Baumgartner: *Gesch. d. Weltlitterat.* IV (1900), str. 82—83). Domyślano się, że to ta biblia, którą Augustyn poznał w Medyolanie *(Tolle, lege)*; por. Monceaux, str. 139—140. Z własnych cytat Augustyna w kazaniach i pismach, przy pomocy innych odnalezionych fragmentów da się złożyć cały szereg miejsc, które odpowiadają powyższej charakterystyce Itali. Por. E. Wölfflin: *Neue Bruchstücke der Freisinger Itala* (odbitka), Monach. 1893, str. 3n; 20 (= *Sitzungsber. d. philos.-philol. Cl. d. bayer. Ak. d. W.*).

styczne. Kiedy ongi w Syryi trawiła go ciężka niemoc, szukał pociechy u dawnych przyjaciół, Plauta i Cycerona, ale wtedy jeszcze odpychała go szorstka forma łacińskich Psalmów [1]. I w kołach chrześcijańskich było już dużo wybrednego pierwiastku, stroniącego od prostackiej dykcyi, a prócz tego myśl głęboka biblijnych ustępów godna była lepszej, jeżeli nie wspanialszej formy. Wszystko razem zdawało się prosić o *dictorum honorem*, o co w tym samym wieku błagał Hilarius z Poitiers (*De fide* I, 38). Tak też pojął zadanie Hieronim i przyoblekł St. Test. czystszą szatą językową, bo przypominającą w wielkiej części Cycerona i Salustyusza, niemniej starszych poetów. *Fama per cunctorum ora volitabat* w księdze Esther, to echo Enniuszowego *volito vivos per ora virum* — a już za czasów Seneki filozofa zamierające *quaeso* odżyło u naszego tłumacza nawet w zwrotach mniej zwykłych: *quaeso te, ut hodie hic maneas*, i stąd przeszło do łaciny mszalnej *(quaesumus)*.

Nastrojenie się na taki ton poetyczny szło ręka w rękę z podniosłością słów proroczych, i byłoby pożądanem zbadać kwestyę, o ile Hieronim zachował koloryt oryginału hebrajskiego właśnie w tych prorokach, których różnicę stylową zaznacza we wstępach do poszczególnych przekładów. Pierwsze teksty łacińskie zbliżały się do poziomu plebejuszowskiego w doborze wyrazów i formach, co więcej, w wypowiadaniu zdań przypominały modłę dziecka, które stawia obok siebie słowa, a nie łączy. Lecz i język hebrajski nie był inny; nie bardzo wyposażony przysłówkami i spójnikami, nie mógł oddawać różnych odcieni myśli z taką ścisłością formalną, jak np. łaciński w ustach mowcy lub filozofa. I tu wprowadza Hieronim zmianę, uwydatniając językowo logiczne stosunki zdań. Lecz błędnem byłoby przypuszczenie, że ta reakcya językowa zatarła wszelkie ślady wulgaryzmu. Nawet taki stylista nie mógł się zaprzeć swojego czasu. Łacina na pograniczu IV i V wieku stała na nizkim stopniu i jej wpływowi musieli się poddać wszyscy pisarze. Większy od Hieronima purysta, prezbiter Sulpicius Severus z początku

[1] Hieron. *Epist.* 22, 1. *Sermo horrebat incultus.*

V wieku, używa zwrotów i wyrazów gminnych. Wystarczy więc przytoczyć, że Hieronim pisze tu także: *lateri uno, generationi alterae, orditus est.* Jest to jednak tylko koncesya dla współczesnego prądu, lecz nie główne znamię tej partyi Wulgaty. Podobnie, jak między temi trzema grupami, zachodzą pewne różnice i między składowemi ich częściami, najbardziej w ostatniej kategoryi. I nic dziwnego. W ciągu lat 15, jakie poświęcił trzeciej grupie, styl tłumacza zwolna się kształcił i udoskonalał; prócz tego trzeba uwzględnić, że niektóre księgi przełożył w nadzwyczaj krótkim czasie, w pośpiechu. Salomona kończy w trzech dniach po dłuższej chorobie r. 393 na usilne prośby Pauli i Eustochium, a Tobiasza w jednym dniu, ponieważ dłużej nie mógł mieć do pomocy rabina, który mu przekładał oryginał chaldejski na język hebrajski. Nie więcej czasu zajęła księga Judith.

Dla badacza języka łacińskiego przedstawia Wulgata bogaty materyał i nadaje się dobrze do historycznej obserwacyi właśnie dla tej różnorodności. Wielki tłumacz stworzył w ciągu przeszło 20 lat dzieło, mimo mozaikowego wyglądu, iście mistrzowskie. Tej sławy nie ujmują mu nawet protestanccy teologowie. Składniki językowe, właściwe jego przekładowi, są wiernym wyrazem uczonego Ojca Kościoła, który przez cały ciąg długiego życia starał się pogodzić klasyczne wykształcenie z duchem chrześcijańskim — i tłumaczeniem udowodnił, jak był gorliwym i wiernym przedstawicielem jedności i autorytetu katolicyzmu.

Adam Miodoński.

ALKOHOLIZM I ANTYALKOHOLIZM.

(Ciąg dalszy).

Nie mamy również żadnych dowodów bezpośrednich na poparcie zdania, często wygłaszanego przez przeciwników alkoholu, że stałe, regularne używanie napojów wyskokowych, nawet w ilości małej lub umiarkowanej, prowadzi do powstawania chorób i skraca życie ludzkie. Do zdania tego można się przychylić li tylko na zasadzie przypuszczeń, z których najważniejsze dotyczy kumulacyi szkodliwego działania alkoholu.

Jak to wiadomo z badań uczniów Kraepelina, istotnie zachodzi taka kumulacya działania wyskoku na ośrodkowy układ nerwowy, gdy jego dawka dzienna wynosi co najmniej 80 g. Wprawdzie alkohol jest jadem głównie nerwowym, atoli jest rzeczą możliwą, że i w innych narządach przy regularnem wprowadzaniu do ustroju choćby tylko 80 g alkoholu dziennie, jego złe skutki z biegiem czasu się sumują, zwłaszcza przy używaniu trunków o silnem stężeniu wyskoku w wątrobie, do której stosunkowo dużo spożytego alkoholu dochodzi. Należy jednak mieć na uwadze, że jest to tylko przypuszczenie, w którem upatruje się pewną analogię w działaniu wyskoku na różne narządy, analogię bynajmniej przez eksperyment nie stwierdzoną; działanie zaś, o którem mowa, na układ nerwowy stwierdzono dopiero przy podawaniu wyskoku w ilości wynoszącej 80 g dziennie, a więc w ilości, jaką z naszego stanowiska raczej za wielką niż za umiarkowaną uważać należy.

Na poparcie twierdzenia, że regularne używanie napojów wyskokowych w dawkach małych i umiarkowanych sprowadza choroby i skraca życie, często przytacza się dane wyjęte ze statystyk angielskich i amerykańskich towarzystw ubezpieczenia na życie, o których już wyżej była mowa, zwłaszcza dane towarzystw *United Kingdom Temperance and General Provident Institution*, oraz *Sceptre Life Association*, w których uwzględnia się oddzielnie abstynentów i pijących umiarkowanie, towarzystwa te bowiem pijaków zupełnie nie ubezpieczają na życie. Według tych danych wśród pijących umiarkowanie śmiertelność jest o dwadzieścia kilka procent większą, jak u abstynentów; członkowie stowarzyszenia wstrzemięźliwych Rechabitów mają przeciętnie żyć dłużej jak członkowie stowarzyszenia umiarkowanych w piciu Foresterów. Wobec bałamutnych pojęć o umiarkowaniu w trunkach, jakie panują w życiu codziennem, zwłaszcza w krajach, w których nadużywanie trunków wyskokowych przez ludność takie przybrało rozmiary, że jako reakcyę wywołało dzisiejszy ruch przeciw alkoholowi zwrócony, w bezstronnej ocenie omawianej kwestyi nie można się pewnie opierać na ogólnikowych danych o umiarkowaniu w piciu, mamy bowiem wszelkie prawo przypuszczać, że jeśli nie zawsze, to przynajmniej w wielu bardzo przypadkach przekraczano te granice, jakie używającym trunków wyskokowych umiarkowanie w naszem rozumieniu zakreśla; z drugiej jednak strony, jest rzeczą możliwą, że pewna część umiarkowanych członków tych stowarzyszeń istotnie była umiarkowaną w piciu nawet w naszem rozumieniu, nie wiemy zaś, czy przytoczone zwiększenie śmiertelności wśród grupy wogóle używających trunków wyskokowych sprowadzili jedynie ci, którzy stosunkowo dużo piją; wobec tego nie można również odrzucić zupełnie argumentu, jaki powyższe dane statystyczne stanowią, a uwzględniając przytoczone wątpliwości, dotyczące najbardziej zasadniczego punktu, dane te uznać należy poniekąd za wskazówkę, że stałe używanie trunków wyskokowych nawet w ilościach umiarkowanych, może podkopywać zdrowie i śmierć rychlejszą sprowadzić. Co się zaś tyczy stałego używania trunków wyskokowych w rzeczywiście małych ilościach, odpowia-

dających np. 1—2 kieliszkom wina stołowego dziennie, to nie posiadamy już zgoła żadnych danych, na zasadzie których możnaby orzec, czy rzeczywiście alkohol w tych dawkach nawet przy regularnem, codziennem użyciu, jakiś wpływ szkodliwy na ustrój wywiera.

Powyżej była mowa o tem, jak zgubne dla potomstwa następstwa alkoholizm rodziców sprowadzić może. W nowszych czasach przeprowadzono szereg doświadczeń na ludziach i zwierzętach, które wskazują, że alkohol spożyty w umiarkowanych a nawet małych ilościach, przechodzi do wytworów narządów rodnych; Rénaut stwierdził to u ludzi, u których po podaniu alkoholu w ilości 0·71, 1·14, 1·33 i 1·5 g na 1 kg na 1—2 godziny przed ejakulacyą, wykazał alkohol w spermie. Spostrzeżenie to zasługuje na uwagę z tego względu, że alkohol nawet w dawkach umiarkowanych pobudza popęd płciowy; czy to następuje istotnie przez pobudzenie właściwych ośrodków, czy też, jak to twierdzą niektórzy badacze, przez porażenie ośrodków hamujących, nie jest jeszcze wyjaśnione. Nicloux znajdywał alkohol w płynie owodni i w płodach świnek morskich po wprowadzeniu wyskoku w ilości 0·5 cm^3 na 1 kg do żołądka matki, oraz we krwi wziętej z pępowiny noworodków po podaniu alkoholu w takiej samej ilości kobietom przed porodem. Wobec doniosłości kwestyi powinno się wyniki tych doświadczeń jeszcze sprawdzić i zbadać działanie alkoholu w tych warunkach. Zanim to jednak nastąpi, licząc się z ewentualnością szkodliwego działania alkoholu w tym względzie, już z wyniku dotychczasowych badań należy właściwy wniosek wyciągnąć. Niektórzy psychiatrzy na zasadzie swych spostrzeżeń podnoszą, iż jednym z najważniejszych czynników coraz bardziej wśród młodego pokolenia szerzących się neuropatyi, oraz jego degeneracyi fizycznej i psychicznej, jest regularne, t. zw. umiarkowane używanie trunków wyskokowych przez rodziców.

Ażeby w tej zawiłej, niezmiernie trudnej do rozstrzygnięcia kwestyi, czy używanie alkoholu w małych a względnie umiarkowanych dawkach dla zdrowego dorosłego człowieka jest szkodliwem, do ostatecznej dojść konkluzyi, zestawmy pokrótce to

co na zasadzie dotychczasowych badań naukowych i miarodajnych spostrzeżeń o szkodliwości oraz o korzystnem czy pożądanem działaniu alkoholu w tych dawkach powiedzieć można.

Alkohol nawet w bardzo małych dawkach upośledza zawiłe czynności mózgowe i przytępia wrażliwość zmysłów; jak długo to szkodliwe działanie alkoholu trwa, innemi słowy, czy przy stałem, codziennem używaniu alkoholu w dawkach małych może nastąpić kumulacya jego złych skutków, nie wiemy, w odnośnych badaniach występowało bowiem kumulacyjne działanie alkoholu dopiero przy spożywaniu 80 g absolutnego alkoholu dziennie. W jaki sposób wyskok w dawkach małych działa na serce i naczynia krwionośne, nie wiemy; w dawkach wynoszących 0·5—2·0 g na 1 kg nie sprowadza on u zwierząt zmian histologicznych w zwojach nerwowych serca, jakie powstają po większych dawkach alkoholu. Szkodliwego wpływu wyskoku w małych dawkach na ciałka czerwone krwi nie stwierdzono. Pod wpływem alkoholu w dawkach miernych (0·5 - 0·75 g na 1 kg) oddychanie wzmaga się, a zarazem ilość powietrza wdechanego i wydechanego w jednostce czasu zwiększa się. Jakiem jest miejscowe działanie wyskoku spożytego jednorazowo w dawkach małych na trawienie żołądkowe u człowieka, dokładnie jeszcze nie wiadomo. Sądząc z doświadczeń na psach, alkohol zwiększa ilość soku żołądkowego; skoro zaś u osób doń przyzwyczajonych wzbudza uczucie łaknienia, prawdopodobnie już przez to samo pędzi t. zw. „psychiczny“ sok żołądkowy i korzystny wpływ na trawienie wywrzeć może; natomiast częste wprowadzanie do żołądka alkoholu w dawkach małych, zwłaszcza podczas jedzenia, trawienie żołądkowe upośledza. Na wydajność maksymalnej pracy fizycznej, wykonywanej w ciągu dłuższego czasu wpływa alkohol już w małych dawkach ujemnie; na razie jednak, gdy chodzi o krótkotrwający wysiłek, praca mięśni może pod jego wpływem się zwiększyć, a byle po wysiłku nastąpił potrzebny wypoczynek, takie czasowe pobudzenie mięśni do większej pracy dla ustroju szkodliwem nie jest, o ile nie przekracza granicy, poza którą inne narządy, głównie serce i płuca na szwank są narażone. U ludzi do alkoholu przyzwyczajonych

i dostatecznie odżywianych wyskok nawet w miernych dawkach umiarkowanej pracy fizycznej nie upośledza; u osób do alkoholu nie przyzwyczajonych mierne dawki wyskoku sprowadzają wzmożenie rozpadu białka, trwające przez parę dni, poczem, podobnie jak to bywa u osób do alkoholu przyzwyczajonych od samego początku, wyskok może zastąpić w pożywieniu część tłuszczów lub węglowodanów, a przez to zaoszczędzić białko; alkohol jako pożywka, może być źródłem energii dla ustroju. Wprawdzie nie jest rzeczą ściśle dowiedzioną, by umiarkowane stałe używanie trunków wyskokowych uspasabiało do chorób i skracało życie, nie ma się jednak pewności, że tak nie jest, a natomiast są wskazówki, że tak być może; szkodliwego wpływu wyskoku w dawkach istotnie małych na zdrowie ludzkie w ogólności, nawet przy stałem, codziennem użyciu, dotąd nie stwierdzono. Czy alkohol w dawkach małych, a względnie umiarkowanych, wywiera wpływ ujemny na potomstwo, okaże się dopiero z badań, które w tym przedmiocie należy przeprowadzić w przyszłości.

Z powyższego zestawienia widać, że szkodliwe działanie wyskoku w dawkach małych stwierdzono ściśle tylko na subtelne czynności mózgu, na wyższe stopnie wrażliwości zmysłów, oraz na wydajność maksymalnej pracy fizycznej, wykonywanej w ciągu dłuższego czasu. Stąd prosty płynie wniosek, że ludzie pracujący umysłowo, używający w całej pełni swych władz umysłowych, powinni powstrzymywać się zupełnie od trunków wyskokowych, a przynajmniej nie używać ich w czasie poprzedzającym pracę i podczas niej. Tak samo powinni zachowywać się ludzie, którzy przy swej pracy zawodowej muszą wytężać zmysły, oraz ludzie, którzy w ciągu dłuższego czasu muszą wykonywać pracę, wymagającą wielkiego wytężenia mięśni.

Skoro jest rzeczą pewną, że alkohol nawet w dawkach małych działa szkodliwie na niektóre choćby tylko najsubtelniejsze albo maksymalne czynności ustroju, stwierdzenie jego nieszkodliwości dla innych mniej zawiłych lub mniej intensywnych czynności nie wystarcza jeszcze do tego, by można było wogóle zgodzić się na używanie trunków wyskokowych; do tego

trzeba mieć przeświadczenie, że szkodliwe działanie alkoholu jest conajmniej zrównoważone przez jakieś inne, dodatnie jego działanie. W rzeczywistości nie da się zaprzeczyć, że przynajmniej w pewnych warunkach wyskok może działać korzystnie, i to nawet na ludzi, którym skądinąd największą szkodę przynosi, mianowicie na ludzi, wytężających przy pracy swe władze umysłowe. Wiadomą jest rzeczą, jak bardzo praca taka nuży, tem bardziej, że po niej odpoczynek nie zawsze łatwo nastąpić może; wobec nierozwiązanego zagadnienia, nie znalezionej właściwej formy literackiej i t. p. myśl ludzka raz silnie pobudzona, wytęża się nieustannie w tym samym kierunku jeszcze po zaprzestaniu pracy, wśród innego otoczenia, często nawet odbiera sen, stąd zaś wynika wielkie znużenie umysłowe i rozstrój nerwowy; podobnie mają się rzeczy u ludzi prowadzących wielkie interesy, ryzykowne przedsiębiorstwa i t. p.; tak samo silne wrażenia, zwłaszcza przykre, przez uporczywość myśli, trapiących człowieka, wyczerpują jego władze umysłowe. Otóż doświadczenie codziennego życia poucza, że w takich okolicznościach na wielu ludzi alkohol w dawkach małych działa korzystnie: napięcie umysłowe znika, bieg myśli się zmienia, człowiek ma chwilę wytchnienia. Doświadczenie to bynajmniej nie sprzeciwia się wynikom badań naukowych K r a e p e l i n a, a przeciwnie, zgadza się z niem w zupełności; po kieliszku wina czy szklance piwa wartość myśli człowieka obniża się, jego znużenie umysłowe potęguje się jeszcze bardziej przez porażenie subtelnych czynności mózgu, ale w danych okolicznościach to porażenie może być korzystnem właśnie dlatego, że, znosząc w ciągu krótkiego czasu zdolność do intensywnej pracy umysłowej, sprowadza pożądany spoczynek.

Znany jest także z życia codziennego fakt, że po małych lub miernych ilościach trunków wyskokowych usposobienie człowieka zazwyczaj się poprawia, że zwiększa się jego towarzyskość; zmiana ta polega również na zahamowaniu przez alkohol wyższych czynności mózgowych. Ze stanowiska teoretycznego jasną jest rzeczą, że człowiek powinien zawsze utrzymywać w całej pełni swe władze umysłowe; w życiu praktycznem

świata cywilizowanego stosunki ułożyły się jednak tak, że dla wielu ludzi chwilowe przytłumienie najwyższych czynności mózgowych może być w pewnych okolicznościach korzystnem ze względu na ich usposobienie, a co za tem idzie, na możność odczuwania przyjemności. Niektórzy autorowie niemieccy, którzy tę kwestyę omawiają, przeciwstawiają bardzo jaskrawo poziom umysłowy towarzystwa, pijącego trunki wyskokowe, poziomowi zebrania, na którem trunków takich niema. Przeciwstawienie to jest zupełnie słuszne, tylko że przy zachowaniu właściwej miary porażenne działanie alkoholu może się ograniczać do osłabienia lub zniesienia takich subtelnych czynności myślowych, które stanowią w danych okolicznościach niepożądany czynnik deprymujący.

Że przy ciężkiej pracy fizycznej, wśród trudów i niewygód alkohol użyty w małych dawkach może w pewnych okolicznościach działać korzystnie, świadczy wyprawa Nansena, w której z powyżej przytoczonych względów trunków wyskokowych z reguły nie używano. Wśród monotonii lodów i w braku wszelkiej rozrywki załoga od czasu do czasu upadała na duchu, wynikały nawet starcia z przywódcą wyprawy; szklanka ponczu owocowego sprowadzała nastrój uroczysty, podnosiła ducha załogi, a przywódcy powracała jej zaufanie; zniewoliło to Nansena dawać załodze od czasu do czasu, w wielkie uroczystości, nieco alkoholu (Blessing).

Działanie wyskoku na zakończenia nerwów smakowych i węchowych wielu ludzi odczuwa w sposób przyjemny, nadto polepsza on samopoczucie; dlatego też, będąc lichą, bo tylko warunkową pożywką, alkohol w dawkach małych i umiarkowanych stanowi jedną z najważniejszych używek. Używki, jakie stanowią przeważnie substancye działające głównie na układ nerwowy, jako to kawa, herbata, tytoń, różne przyprawy do potraw i t. d., z biegiem czasu tak się w życiu codziennem zakorzeniły, że obecnie byłoby dla człowieka rzeczą arcytrudną, a może nawet wręcz niemożliwą zupełnie się bez nich obywać.

Dalszem korzystnem działaniem wyskoku jest ułatwianie krótkotrwających fizycznych wysiłków. Nadto jest bardzo prawdo-

podobnem, że w pewnych okolicznościach może on być pożyteczny przez wzbudzenie łaknienia i wzmożenie wydzielania soku żołądkowego.

A zatem wyskok w dawkach małych i umiarkowanych może w pewnych okolicznościach działać na ustrój korzystnie; jego szkodliwe działanie na wyższe czynności mózgowe może przytem albo zupełnie nie wchodzić w grę, albo nawet być wręcz pożądane ze względu na dobro człowieka.

Wobec tego, jakkolwiek uznać trzeba, że najlepiej, najhigieniczniej jest trunków wyskokowych zupełnie nie używać, trunków tych bezwzględnie potępić nie można; okolicznościowe ich użycie w dawkach małych lub miernych ze stanowiska nauki lekarskiej winno być dozwolone.

Chodzi tylko o to, by dawka wyskoku, w trunkach zawarta, istotnie była małą lub mierną. Sądzę, że w naszych stosunkach można i powinno się oznaczyć te dawki poniżej tych wielkości, jakie przyjęto dla nich za granicą i w badaniach lekarskich. Jeżeli za dawkę małą przyjąć $^1/_8$ g alkoholu na 1 kg, to dla człowieka ważącego 70 kg wypadnie przeszło 23 g alkoholu, t. j. tyle, ile mniej więcej mieści się w 2 kieliszkach wódki, albo w 2 szklankach piwa lub też w 2 kieliszkach cięższego, a w 3 lżejszego wina; jeżeli przyjąć za dawkę mierną dwa razy tyle, t. j. $^2/_8$ g na 1 kg, to wypada dla tegoż człowieka przeszło 46 g alkoholu, co odpowiada np. 1 kieliszkowi wódki, 1 szklance piwa i 2—3 kieliszkom wina. Dawki te zupełnie wystarczają do ewentualnego sprowadzenia u zdrowego dorosłego człowieka pożądanego korzystnego działania alkoholu.

Rozstrzygnięcie pytania, czy regularne, codzienne używanie napojów wyskokowych w dawkach małych i umiarkowanych jest dla zdrowia szkodliwe, jest rzeczą niezmiernie trudną, główną bowiem osią, około której kwestya ta się obraca, jest niewyjaśniona dotychczas sprawa kumulacyi szkodliwego działania istotnie małych i umiarkowanych dawek alkoholu. Jak to już wyżej zauważono, kumulacyjne działanie alkoholu stwierdzono dotychczas tylko na wyższe czynności mózgowe i to z pewnością dopiero wówczas, gdy jego dawka dzienna wynosiła 80 g, to

zaś, co Smith w swoich doświadczeniach przy podawaniu 40 g i 60 g alkoholu za działanie kumulacyjne uważa, wielkie wzbudza wątpliwości.

Brak dowodu, że alkohol w dawkach mniejszych jak 80 g dziennie działa kumulacyjnie, nie świadczy jednak, by tak nie mogło być, a gdyby tak było, należałoby zupełnie stanowczo wszelkie regularne używanie trunków wyskokowych bezwzględnie potępić, gdyż przez kumulacyjne działanie nawet małych dawek alkoholu mogłyby powstawać w ustroju zmiany poważne, trudno dające się wyrównać, a może nawet zmiany trwałe, jakie już wogóle nie mogłyby się wyrównać.

Nie mając prawa na zasadzie dotychczasowych badań wykluczyć groźnej w swych skutkach ewentualności kumulacyjnego działania alkoholu nawet w dawkach istotnie małych i umiarkowanych, wobec pewnych wskazówek, jakie w tym względzie stanowią powyżej przytoczone dane statystyczne towarzystw ubezpieczenia na życie, oraz wobec tego, że nie stwierdzono nigdy, by na człowieka zdrowego stałe używanie trunków wyskokowych pod jakimkolwiek względem korzystnie oddziaływało, dochodzimy do przeświadczenia, że regularnego, codziennego używania alkholu, choćby w dawkach małych, należy zupełnie zaniechać. Ci, którzy używają stale trunków w bardzo małej ilości, pijąc dziennie np. 1 kieliszek wina stołowego, w którym mieści się 5—7.5 g alkoholu, wprawdzie w słabym stopniu, ale bądź co bądź narażają się na ewentualność powolnej kumulacyi złych skutków wyskoku.

Już na podstawie samej obserwacyi własnej osoby czy osób innych, wielu ludzi do podobnego doszło przekonania; często się słyszy zdanie, że lepiej jest od czasu do czasu, okolicznościowo, nawet przebrać miarkę i narazić się na dzień lub dwa trwającą niedyspozycyę, jak pić codziennie, choćby umiarkowanie. W motywach, które nas doprowadziły do przeświadczenia o potrzebie zaniechania codziennego używania trunków wyskokowych, znajdujemy poniekąd potwierdzenie słuszności tego zapatrywania.

Konkluzye w sprawie używania trunków wyskokowych, do

jakich doszli rozmaici autorowie, zajmujący się kwestyą alkoholizmu, różnią się zarówno między sobą, jako też i od powyższych wywodów. Ci, którzy zalecają bezwzględną wstrzemięźliwość od wyskoku, jak np. Bunge, często wychodzą z założenia, że choćby umiarkowane używanie trunków było w teoryi nieszkodliwe, to w praktyce jest ono zgoła niemożliwe, gdyż sama natura popycha człowieka do nieumiarkowania; człowiek łatwo do pewnej dawki alkoholu się przyzwyczaja, poczem stopniowo ją powiększa; można więc albo nie pić zupełnie, albo też pije się nieumiarkowanie; stąd wniosek, że należy zarzucić wszelkie wogóle używanie alkoholu. Łatwo ocenić, czy takie założenie odpowiada w rzeczywistości panującym stosunkom, czy społeczeństwa składają się istotnie tylko z abstynentów i pijaków. Inny propagator abstynencyi, prof. Forel, jest zdania, że naprawdę małe dawki alkoholu, wynoszące 1—5 g, nie sprawiają człowiekowi żadnej przyjemności, takie zaś dawki, jakie przyjemność sprawiają, są już dla zdrowia szkodliwe. Istotnie, alkohol już w dawkach małych, jak to wykazał Kraepelin, poczynając od 7.5 g dla człowieka dorosłego, upośledza niektóre wyższe czynności mózgowe, obniża wartość asocyacyi i t. p. Bezwzględnie rzeczy biorąc, jest to niewątpliwie działanie szkodliwe na rzeczone funkcye, ale skoro to działanie w pewnych okolicznościach praktycznie nie wchodzi w grę, a w innych, pomimo swej szkodliwości, jak to powyżej przedstawiliśmy, może być dla człowieka nawet pożytecznem, skoro przytem alkohol w małych dawkach na inne funkcye ustroju może niekiedy działać korzystnie, nie możemy zgodzić się z Forelem, by alkohol w dawkach ponad 5 g był zawsze dla zdrowia szkodliwy. Rosenfeld zaznacza wprawdzie, że brak nam podstaw do rozstrzygnięcia kwestyi, czy alkohol w dawce wynoszącej 0.5 g na 1 kg jest szkodliwy; oświadczając się wogóle za abstynencyą, uważa on jednak, że alkohol w dawkach miernych jest prawie nieszkodliwy; nie przywiązuje on zresztą do tej konkluzyi większej wagi, gdyż jest zdania, że ludzi, którzyby się ograniczali do używania alkoholu w dawce nie przenoszącej 30 g spotyka się tak rzadko, jak wyznawców bezwzględnej wstrzemięźliwości.

Autorzy, którzy zalecają tylko umiarkowanie w piciu (Pelman, Ziehen, Rauber, Petrone i inni) określają zazwyczaj dawkę dzienną trunku, jaka nawet przy stałem, codziennem użyciu ma być dla zdrowia nieszkodliwą; autorzy niemieccy za taką dawkę uważają zwykle 1 litr piwa lub $^1/_3$ litra wina (30—40 g alkoholu). Z autorów polskich L. Nencki i Nussbaum są zdania, że stałe używanie trunków wyskokowych w małych dawkach nie jest szkodliwem, Bregmann zaś uważa używanie alkoholu w małych dawkach za *malum necessarium*, ale *malum* względnie mało szkodliwe, którego skutki są przemijające, nie pozostawiające trwałych śladów w ustroju człowieka zdrowego. Przy ocenie takich poglądów, dozwalających stałego, codziennego używania napojów wyskokowych w dawkach małych czy miernych, należy zdawać sobie sprawę z tego, że opierają się one nie na pewności, że alkohol w tych warunkach jest nieszkodliwy, ale na braku pewności, że jest szkodliwy. Wobec braku ścisłych danych w tym względzie, przebija w tych poglądach brak pewnych podstaw, a natomiast przegląda przez nie często co innego, mianowicie liczenie się może nawet bezwiedne ze zwyczajem czy to narodowym czy osobistym.

Na zasadzie dotychczasowych badań i spostrzeżeń nie sądzę, by można było i należało usunąć zupełnie z życia okolicznościowe używanie trunków wyskokowych; należy tylko nie przekraczać w niem pewnej granicy, co nie tylko jest rzeczą teoretycznie możliwą, ale, począwszy od pewnego stopnia kultury, w rzeczywistości najczęściej się zdarza. Inaczej, co do stałego używania trunków; nie mając pewności, że jest ono dla zdrowia nieszkodliwem i uwzględniając stosunki panujące w naszem społeczeństwie, w którego obyczaju nie leży codzienne używanie spirytualiów, uważam za rzecz wskazaną, regularnego używania trunków wyskokowych zupełnie zaniechać.

Powyższe wywody stosują się jedynie do ludzi dorosłych, zupełnie zdrowych, dziedzicznie nerwowo ani alkoholizmem nie obciążonych. U ludzi bowiem obciążonych dziedzicznie już jednorazowe spożycie alkoholu w dawce umiarkowanej a nawet małej

może sprowadzić ciężką, niekiedy śmiertelną chorobę; kieliszek wódki może pozbawić ich świadomości, a nawet popchnąć do spełnienia zbrodni. Tacy ludzie powinni przeto bezwzględnie powstrzymywać się od wszelkiego używania trunków wyskokowych, choćby w najmniejszej ilości. Podobnie jak ludzie dziedzicznie obciążeni, bardzo źle znoszą alkohol ludzie, którzy doznali ciężkiego urazu głowy, wstrząśnienia mózgu, silnego wzruszenia, ludzie będący pod wpływem silnego popędu płciowego, oraz ludzie fizycznie lub umysłowo wyczerpani; a zatem i ci powinni powstrzymywać się zupełnie od trunków wyskokowych.

Co się tyczy wartości alkoholu jako leku w różnych chorobach, to zdania lekarzy są jeszcze bardzo podzielone. Zwolennicy bezwzględnej abstynencyi odmawiają wyskokowi wszelkiej niemal wartości, opierając się na wynikach leczniczych, otrzymanych przez wielu lekarzy, którzy go ze środków lekarskich w praktyce swojej zupełnie usunęli, zwłaszcza zaś na wynikach leczniczych w szpitalach, w których alkohol albo zupełnie, albo tylko w przypadkach wyjątkowych chorym się podaje, jak np. w londyńskim *Temperance Hospital,* w którym od r. 1873 do r. 1899 podano wyskok tylko 31 chorym i to 22 chorym śmiertelnie, w *Metropolian Hospital, Swansea Hospital,* w kilku szpitalach amerykańskich, niektórych sanatoryach dla gruźliczych i wielu zakładach dla obłąkanych; ale nawet i ci lekarze uznają prawie wszyscy, że w pewnych razach, mianowicie w t. zw. zapadzie *(collapsus)*, wyskok może być pożytecznym; żądają tylko, by jako środek leczniczy trujący był sprzedawany wyłącznie w aptekach, trzymany tam pod kluczem podobnie jak inne silnie działające jady i wydawany jedynie za receptą lekarską. Niektórzy lekarze sądzą, że dobroczynne działanie wyskoku w niektórych chorobach polega nie na jakichkolwiek jego własnościach leczniczych, a tylko na porażeniu ośrodków mózgowych i wynikającej stąd narkozie, przez co dolegliwości mniej się odczuwają i depresya moralna chorego się zmniejsza. Pewna zaś część lekarzy, wśród których spotykamy nazwiska bardzo poważnych klinicystów (Ziemssen, Gebhardt, Runge, Maragliano, Conrad, Breisky, v. Jaksch i in.), wychodząc z założenia, że wnioski

w sprawie alkoholu, wyprowadzone z badań fizyologicznych, nie zawsze są miarodajne dla stanów patologicznych, opierając się na własnem doświadczeniu klinicznem, pomimo całego ruchu antyalkoholowego, stosują w swej praktyce w odpowiednich przypadkach jako lek trunki wyskokowe, a niektórzy z nich twierdzą nawet, że trudnoby im było obejść się bez tego leku. Oprócz zapadu, stosują ci lekarze alkohol głównie w niektórych chorobach zakaźnych, zwłaszcza w tyfusie i gorączce połogowej i to nie tylko jako lek działający korzystnie na czynność serca i stan ogólny chorego, ale zarazem jako pożywkę, z którą w pewnych warunkach patologicznych doprowadza się do ustroju znacznie łatwiej, jak z innymi pokarmami, których wówczas organizm nie znosi, stosunkowo znaczną ilość kaloryi, potrzebnych na pokrycie strat fizyologicznych, zwiększonych przez chorobowe wzmożenie się spraw rozpadowych. Stwierdzono przytem w bardzo licznych spostrzeżeniach, że w stanie gorączkowym człowiek znosi alkohol znacznie lepiej, jak w stanie prawidłowym; znane są przypadki gorączki połogowej, w których słabe kobiety w ciągu dłuższego czasu znosiły bez żadnych bezpośrednio dających się stwierdzić złych następstw bardzo wielkie ilości trunków wyskokowych, nie okazując nawet przytem wybitnego odurzenia; w przypadku Frommla tak było przy podawaniu chorej codziennie dwu butelek szampana i blizko całej butelki wina reńskiego. Nie wdając się na tem miejscu w ocenę wartości leczniczej alkoholu, zaznaczę tylko, że słuszną mi się wydaje zasada, wyznawana dzisiaj przez wielu lekarzy, że, zależnie od poglądu, jaki się ma w tej mierze, można zalecać trunki wyskokowe lub nie zalecać ich w chorobach ostrych, krótko trwających; że z reguły nie należy ich jednak zalecać w chorobach chronicznych, a to ze względu na łatwość, z jaką organizm do alkoholu się przyzwyczaja; kazuistyka lekarska może wskazać niejeden przypadek, w którym alkoholizm chroniczny rozpoczął się od regularnego używania w ciągu dłuższego czasu trunków w celach leczniczych.

Przy omawianiu działania napojów wyskokowych na ustrój uwzględnialiśmy dotychczas jedynie działanie najważniejszego

ich składnika, t. j. alkoholu; napoje te zawierają jednak oprócz alkoholu cały szereg różnych składników drugorzędnych, bądź pożytecznych dla ustroju, bądź szkodliwych, które działanie alkoholu potęgują, albo też, przeciwnie, je osłabiają.

Trunki wyskokowe oprócz alkoholu zawierają pewną ilość substancyi odżywczych. Najwięcej jest ich w piwie, zawierającem cukier słodowy, dekstrynę, gumę i białko, zwłaszcza w cięższych jego gatunkach, tak dalece, że np. wartość odżywcza ciężkiego piwa kulmbachskiego, obliczona na kalorye, zbliża się do wartości odżywczej mleka; dlatego Payen nazwał piwo płynnym chlebem. W winie składników odżywczych, głównie cukru, jest znacznie mniej jak w piwie; wódki słodzone zawierają również nieco cukru. Pomimo to, trunki wyskokowe, zwłaszcza wino i wódka, jako pożywki mają dla człowieka zdrowego bardzo małe znaczenie, gdyż używanie ich w takiej ilości, w jakiej ich wartość odżywcza mogłaby wchodzić w rachubę, jest już szkodliwem z powodu znacznej ilości wprowadzonego do ustroju alkoholu; przytem, jak to już wyżej zauważono, substancye odżywcze w trunkach wyskokowych są bardzo drogie, np. w piwie są one w Niemczech 8 razy droższe jak w chlebie, a jeszcze droższe jak w ziemniakach lub grochu; u nas są one 12—15 razy droższe w piwie jak w chlebie (Ponikło). Ze stanowiska praktyki nie można przeto uważać napojów wyskokowych za pożywki właściwe dla zdrowego człowieka.

Wiele napojów wyskokowych zawiera prócz alkoholu cały szereg składników, czy to powstałych samoistnie przy fermentacyi trunku lub dłuższem jego przechowaniu, czy też rozmyślnie dodanych przy jego przyrządzaniu, które znakomicie podnoszą wartość napojów wyskokowych, jako używek. Od obecności najrozmaitszych składników lotnych, eterów, olejków eterycznych i związków dotychczas chemicznie nie określonych w wysokim stopniu zależy ich bukiet i smak. Jakkolwiek owe drugorzędne składniki znajdują się w trunkach zazwyczaj w niezmiernie małej ilości, mają one pomimo to ogromne znaczenie, są to bowiem przeważnie związki bardzo silnie działające.

Niektóre z nich wywierają na ustrój niewątpliwie wpływ

korzystny: przez przyjemnie odczuwane zadrażnienie zakończeń nerwów węchowych lub smakowych sprowadzają uczucie zadowolenia, wzniecają łaknienie, co najważniejsza zaś, pobudzają ośrodkowy układ nerwowy; najważniejszymi z tych składników są bezwodnik kwasu węglowego, zawarty w piwie, zwłaszcza zaś w winach pieniących się, oraz eter octowy, który nietylko pobudza ośrodkowy układ nerwowy, ale, sądząc z doświadczeń Krautwiga i Vogla, wykonanych w pracowni prof. Binza, wpływa zarazem korzystnie na oddychanie i podnosi parcie ościenne w układzie tętniczym. Sole fosforowe w trunkach wyskokowych zawarte, działają również korzystnie na układ nerwowy.

Przez działanie fizyologiczne tych drugorzędnych składników napojów wyskokowych tłumaczy się powszechnie znany fakt, że nawet po nadmiernem użyciu napojów w dobrym gatunku, po przespanej nocy często nie występują nazajutrz takie zaburzenia jak ból głowy, ogólna depresya nerwowa czyli obrzask, biegunka i t. d., będące niemal stałem następstwem przebrania miary w trunku, gdy jego gatunek był pośledni. Loebisch uważa powyżej przytoczone składniki drugorzędne trunków wyskokowych wręcz za antydot na zawarty w nich alkohol, Binz zaś, który od dłuższego czasu na zasadzie swych badań uporczywie obstaje za przyznaniem napojom wyskokowym tych nielicznych zresztą stron dodatnich, jakie istotnie posiadają, w ostatnich czasach w wywodach swych silnie podkreśla dobroć gatunku spożywanych trunków, a nawet co do napojów o silnem stężeniu alkoholu formułuje swój wniosek tak, że szlachetne destylaty w umiarkowanej ilości nie mają działania następowego na mózg, występującego po użyciu wódek młodych, źle oczyszczonych. Wypada jednak zauważyć, że powyższy wniosek opiera się li tylko na spostrzeganiu tego, co sam człowiek odczuwa, nie zaś na wynikach badania objektywnego, przeprowadzonego za pomocą ścisłych metod naukowych. To też wywody Binza nie mogą zachwiać powyżej wyrażonego poglądu na regularne, codzienne używanie trunków wyskokowych; to jedno tylko przyznać trzeba, że ci nieliczni, którzy mogą używać tych trunków w wysokim gatunku, niewątpliwie mniej narażają na szwank

swoje zdrowie, jak ci liczni, dla których tylko tańsze gatunki napojów wyskokowych są dostępne. Tak jest nie tylko dla tego, że trunki w dobrym gatunku często zawierają składniki, które szkodliwe działanie alkoholu mogą do pewnego stopnia osłabić lub skompensować, ale głównie dlatego, że w trunkach lichego gatunku prócz alkoholu są zwykle inne składniki dla zdrowia szkodliwe, które mogą w wysokim stopniu potęgować zgubne działanie alkoholu. W trunkach wyskokowych pospolicie dzisiaj używanych owe składniki szkodliwe spotyka się istotnie niezmiernie często, działanie zaś ich jest tak silne, że Daremberg nie wahał się wygłosić w paryskiej Akademii lekarskiej zdania, że w napojach alkoholowych składnikiem najmniej trującym jest sam alkohol. Twierdzenie to stanowczo jest przesadne; w trunkach wyskokowych sam wyskok jest głównym składnikiem dla zdrowia szkodliwym, nie ulega jednak wątpliwości, że szereg innych drugorzędnych składników może szkodliwe działanie alkoholu wspierać, zwłaszcza że wiele z tych składników działa na organizm podobnie jak wyskok, mianowicie uszkadza głównie ośrodki nerwowe.

Wśród tych szkodliwych dla zdrowia drugorzędnych składników w wódkach najważniejsze są produkty powstałe przy destylacyi, a nie usunięte przez dokładne oczyszczenie, t. zw. niedogon lub niedochód czyli fuzel, składający się przeważnie z różnych alkoholów o wyższej ciepłocie wrzenia jak alkohol etylowy czyli wyskok, jako to alkohol propylowy, izopropylowy, butylowy, głównie zaś alkohol amylowy. Wszystkie te alkohole działają odurzająco. Alkohol amylowy jest znacznie silniej trujący jak wyskok; sprowadza ból głowy, zaburzenia w trawieniu, u zwierząt zapalenie nerek, a według doświadczeń Strassmanna, dodanie go w ilości 3% do wyskoku skraca do połowy życie zatrutego zwierzęcia; według Dujardin-Beaumetza i Audigé dawka śmiertelna alkoholu amylowego wynosi 1.7 g na 1 kg żywej wagi; Czyż zaś oblicza, że na układ nerwowy działa on 6—8 razy silniej jak wyskok. Zdaniem prof. Mendla fuzel ma duże znaczenie w etyologii *delirium tremens*. Nadto w źle oczyszczonych wódkach spotyka się alkohole nie-

nasycone, głównie alkohol winylowy, również bardziej trujący jak wyskok i alkohol allylowy, który sprowadza ból głowy, drażni błonę śluzową nosa i spojówek, sprowadza zaburzenia akomodacyi wzroku i t. d., u zwierząt zaś sprowadza śmierć wśród drgawek; spotyka się w nich również aldehyd, metaldehyd i paraldehyd, związek odurzający, działający szkodliwie na barwik krwi, hemoglobinę, którą zamienia przez utlenienie na methemoglobinę, oraz furfurol czyli aldehyd alkoholu furfurolowego, sprowadzający drgawki podobne do epileptycznych. Ważnym składnikiem wielu wódek są różne trujące olejki eteryczne, w wiśniówce kwas pruski, w śliwowicy amygdalina i t. d. Wiele substancyi szkodliwych dodaje się rozmyślnie do trunków wyskokowych przy ich fabrykacyi dla nadania im smaku lub bukietu właściwego pewnym znanym t. zw. naturalnym trunkom wyskokowym, a więc przy ich podrabianiu. Podrabianie trunków, zwłaszcza win i koniaku, jest niezmiernie rozpowszechnione; w roku 1886 produkcya prawdziwego koniaku wynosiła 3.000 hektolitrów, a sam wywóz koniaku z Francyi wynosił 250.000 hektolitrów (Vulpian). Bukiety win sztucznych stanowią przeważnie etery kwasów tłuszczowych, głównie kapronian, kaprynian i kaprylan metylowy, etylowy, propylowy i amylowy, związki, które z początku pobudzają, a potem porażają układ nerwowy, u zwierząt zaś sprowadzają śmierć przez porażenie ośrodka oddechowego, oraz eter octowy, masłowy, eter enantowy i inne. W trunkach wyskokowych spotykamy nadto zasady azotowe, jak kollidynę, pirydynę, różne nieobojętne dla ustroju kwasy i sole roślinne, substancye szkodliwe rozmyślnie dodane dla lepszego konserwowania się trunków, jako to pikrotoksynę, kwas salicylowy i inne, substancye pochodzące z nieodpowiednich przyrządów i naczyń fabrycznych, jako to związki cynku, ołowiu, miedzi, oraz dodane przy oczyszczaniu trunku ałun, kwas siarkowy i inne.

Obecność przytoczonych składników drugorzędnych w trunkach wyskokowych ma bardzo duże znaczenie; znaczną część tych składników stanowią bowiem związki lotne, silnie działające, a niektóre z nich, podobnie jak alkohol etylowy mają dzia-

łanie kumulacyjne; smutną tego działania ilustracyą była przeszło rok trwająca choroba niedawno zmarłego fizyologa paryskiego prof. Laborde, który pracując od dłuższego czasu nad działaniem fizyologicznem substancyi wchodzących w skład bukietów win sztucznych, jedynie wskutek wdechania ich w pracowni, której atmosfera substancyami temi była przesycona, nagle ciężko zaniemógł; podczas choroby w ciągu dłuższego czasu wydzielały się aldehydy. Służący zakładu także chorował z tego samego powodu.

Na szczególne uwzględnienie zasługuje niezmiernie rozpowszechnione we Francyi używanie absyntu w stanie nierozcieńczonym lub też rozcieńczonym w wodzie słodzonej. Oprócz alkoholu trunek ten zawiera niezmiernie szkodliwie na ustrój działające olejki eteryczne i goryczkę. Używany w stanie rozcieńczonym trunek ten na trawienie wywiera wpływ szkodliwy. Jednorazowe nadużycie absyntu sprowadza z początku zawrót głowy, odurzenie i stan ogólnej depresyi nerwowej, poczem występują drgawki podobne do drgawek epileptycznych. Stałe zaś używanie absyntu w wysokim stopniu uspasabia do różnych ciężkich chorób nerwowych i obłąkania, zwłaszcza do obłędu opilczego i sprowadza często u potomstwa padaczkę. W ostatnich czasach zwyczaj picia absyntu we Francyi coraz bardziej się szerzy, a przytem coraz więcej kobiet zaczyna używać absyntu; jednocześnie ilość obłąkanych we Francyi stale wzrasta. U nas na największe uwzględnienie zasługuje prosta wódka, pędzona z kartofli ze względu na fuzel w niej zawarty. Ze wszystkich bowiem napojów wyskokowych absynt i źle oczyszczona wódka z ziemniaków są dla zdrowia ludzkiego niewątpliwie najszkodliwsze. Wypada jednak zaznaczyć, że w oczyszczaniu wódki u nas nastąpiła w ostatnich czasach bardzo pożądana poprawa.

Pomimo szkodliwego wogóle działania trunków wyskokowych na ustrój, użycie ich w miarę w pewnych okolicznościach, może być dla człowieka dorosłego pożytecznem. Inaczej jest u dzieci, na które trunki te nawet w najmniejszych dawkach podane, niemal zawsze zgubny wpływ wywierają; przytem im

dziecko jest młodsze, tem bardziej szkodliwie trunki te na nie działają.

Wobec niczem nieuzasadnionego, a niestety bardzo rozpowszechnionego przesądu, że alkohol pędzi pokarm i częstego używania w tym celu trunków wyskokowych przez kobiety karmiące, nasuwa się pytanie, czy alkohol spożyty przez karmicielkę przechodzi do pokarmu. Doświadczenia przeprowadzone w tym przedmiocie w czasach dawniejszych na zwierzętach, oraz na kobietach karmiących (Lewald, Stumpf, Rosemann, Schwarzenbach, Klingemann), dały wyniki prawie że ujemne; po podaniu trunków wyskokowych albo nie znajdywano zupełnie alkoholu w pokarmie, albo też znajdywano go w nim w bardzo niewielkiej ilości dopiero po podaniu trunku w bardzo wielkich dawkach. Dopiero z badań Nicloux, przeprowadzonych w r. 1900 na szeregu zwierząt i pięciu kobietach karmiących, okazało się, że już po podaniu alkoholu w dawce wynoszącej mniej jak 0·5 g na 1 kg, przechodzi on do pokarmu, co prawda, w małej ilości; najwięcej jest go w pokarmie w 45—60 minut po wypiciu trunku.

Że trunki wyskokowe używane przez kobiety karmiące szkodliwie wpływają na zdrowie dziecka, świadczy bardzo długi szereg spostrzeżeń lekarskich (Demme, Baumel, Carpenter, Edmunds, Charpentier, Ferrand i Vidal, Henke, Toulouse, Smith, Combe i wielu innych). Lekarze francuscy określają zaburzenia u dzieci stąd powstałe jako *alcoolisme par allaitement;* tyczą się one trawienia, rozwoju zębów, głównie zaś czynności układu nerwowego: powstaje niezwykła drażliwość, niepokój, bezsenność, albo też nadmierna senność, przechodząca w śpiączkę; występują porażenia członków, przeczulica ogólna, drgawki; wytwarza się usposobienie do chorób nerwowych, powstaje stan podobny do zapalenia opon mózgowych, wodogłowie, pląsawica i t. d.; po ssaniu dzieci często wymiotują; mają one wygląd starczy, ich rozwój umysłowy jest upośledzony; wśród dzieci tych śmiertelność jest bardzo duża. Znane są takie przypadki, w których po zaprzestaniu dawania trunków osobie karmiącej (Vernay, Meunier, Du-Homel), a względnie po

usunięciu mamki pijaczki dzieci powracały do zdrowia, a potem nakarmione przypadkowo przez kobietę, która przedtem piła spirytualia, znów chorowały (Decaisne, Bergeron). Zwłaszcza u dzieci dziedzicznie obciążonych zaburzenia powstałe wskutek używania trunków wyskokowych przez karmiącą je kobietę są bardzo silne; według niektórych autorów, w takich warunkach może już w niemowlęctwie powstać pociąg do alkoholu. Wobec takiego stanu rzeczy w krajach, w których kobiety dużo piją, lekarze często zalecają sztuczne karmienie niemowląt, uważając je dla nich za korzystniejsze, jak karmienie ich przez mamkę, a nawet piersią własnej matki!

Praktyka lekarska wskazuje tedy, że używanie trunków wyskokowych przez kobiety karmiące działa nader szkodliwie na zdrowie dzieci. Wobec tego, że, jak to wynika z doświadczeń, spożyty alkohol przechodzi do pokarmu w stosunkowo małej ilości, zachodzi tylko nierozstrzygnięta dotychczas kwestya, czy w takich warunkach głównym sprawcą owych zaburzeń występujących u dzieci jest sam wyskok, czy też należy zaburzenia te położyć na karb szkodliwych składników drugorzędnych trunku spożytego przez kobietę karmiącą. Wprawdzie wrażliwość młodego organizmu na wyskok jest bardzo wielka; z drugiej jednak strony wobec łatwości, z jaką różne substancye, jako to indygo, rheum, chinina, jod, brom, waleryana, fenol, terpentyna i różne inne olejki eteryczne, u kobiet karmiących do pokarmu przechodzą, oraz wobec tego, że wśród składników drugorzędnych trunków wyskokowych spotykamy wiele związków silnie na ustrój działających, jest rzeczą wielce prawdopodobną, że i tutaj szkodliwe działanie trunków składnikom tym przynajmniej w części przypisać należy.

Ale nie tylko dla dzieci przy piersi są trunki wyskokowe szkodliwe; są one silną trucizną i dla dzieci starszych. Stwierdzenie tego faktu jest rzeczą niezmiernie ważną, gdyż zwyczaj dawania dzieciom trunków, nie wyłączając wódki, niestety, jest bardzo rozpowszechniony. Rodzice lub piastunki często dają małym dzieciom trunki wyskokowe, ażeby dziecko uspokoić, uśpić, zwłaszcza zaś w okresie ząbkowania, gdy dziecko jest nie-

spokojne; dają je także dla poprawy apetytu lub trawienia. Ponieważ małe dzieci w pierwszych okresach odurzenia alkoholem często są zabawne, zdarza się nie tak rzadko, że rodzice nie zdający sobie sprawy z tego, co czynią, dają im gwoli własnemu rozweseleniu trochę wina lub wódki przy stole. Dawanie trunków dzieciom starszym oparte jest tak samo jak dawanie trunków kobietom karmiącym, li tylko na przesądzie; większość rodziców, dających dzieciom przy stole napoje wyskokowe, czyni to w najmocniejszem przeświadczeniu, że przez to wzmacnia się organizm dziecka, że alkohol jest dla dziecka środkiem dyetetyczno-higienicznym; u nas bardzo rozpowszechnionym jest przesąd, że po tłustych potrawach alkohol działa dobrze na trawienie. Wśród biedniejszych warstw ludności zdarza się często, że rodzice, chcąc zrobić dzieciom przyjemność, zabierają je w święta ze sobą do piwiarni lub szynku i tam raczą je piwem, a co gorsza, wódką. W różnych niedyspozycyach, zwłaszcza w zaburzeniach trawienia, matki często dają dzieciom wino, koniak na gorąco, różne domowe grogi i t. p.

U dziecka w okresie wzrostu i rozwoju fizyologicznego, przemiana materyi, a więc praca tkanek jest daleko żywszą, jak u człowieka dorosłego, nietylko bowiem zmierza ona do pokrycia elementów zużytych przy zwykłych czynnościach ustroju, ale sprowadza ponadto pewien przyrost pierwiastków zasymilowanych. Tkanki rozwijające się okazują przeto w porównaniu z już rozwiniętemi pod względem przemiany materyi już w warunkach fizyologicznych równowagę niestałą, sprawy asymilacyi przeważają bowiem nad sprawami dezasymilacyi. Fizyologia patologiczna poucza, że w takich warunkach zaburzenia równowagi czynnościowej tkanek, a zatem i choroby, powstają wogóle łatwiej jak wówczas, gdy ta równowaga jest stałą, jak to jest u człowieka dorosłego; innemi słowy wrażliwość tkanek młodocianych na różne czynniki chorobotwórcze jest wogóle większą, jak wrażliwość tkanek już rozwiniętych, zwłaszcza w okresie najsilniejszego ich rozwoju, t. j. w ciągu pierwszego roku życia; później wzmaga się znowu wrażliwość na niektóre czynniki

chorobotwórcze w okresie fizyologicznej perturbacyi, jaką stanowi pokwitanie. Odczyny chorobowe u dzieci są zazwyczaj silniejsze jak u starszych; przebieg wielu chorób odznacza się ostrością; w takich stanach patologicznych, w których wyrównanie powstałych zmian jest możliwe, sprawy restytucyjne toczą się szybko i intensywnie, w takich zaś stanach chorobowych, w których doraźne wyrównanie fizyologiczne możliwem nie jest, wynikłe stąd zaburzenia niezmiernie silnie na zdrowiu dziecka się odbijają. Szczególną wrażliwością na czynniki chorobotwórcze odznacza się dziecięcy układ nerwowy; stąd częstość i gwałtowność zaburzeń nerwowych u dzieci w takich chorobach, w jakich objawy nerwowe u dorosłych albo zupełnie nie występują, albo też występują w słabym tylko stopniu.

Mózg dziecięcy w stosunku do reszty ciała, jest większy, otrzymuje więcej krwi, a wobec wielkiej pobudliwości układu naczyniowego łatwo przychodzi do jego przekrwienia; wszelkie zaś zaburzenia w krążeniu krwi i limfy na tkance nerwowej silnie się odbijają i łatwo sprowadzają zaburzenia w jej czynności. Ze względu na sprawę alkoholizmu u dzieci jest to okoliczność niezmiernie ważna, alkohol bowiem jest związkiem działającym szkodliwie głównie na układ nerwowy. Upośledzając przytem przemianę materyi, działa alkohol szkodliwie na sprawy rozpadowe i restytucyjne w tkankach, utrudnia tak szczególnie ważne u dzieci sprawy asymilacyi i przez to upośledza ich odżywienie i rozwój fizyczny.

Wobec coraz bardziej rozpowszechniającego się zwyczaju używania trunków wyskokowych nie tylko wśród dorosłych, ale i wśród dzieci, oraz wobec tej smutnej okoliczności, że coraz więcej dzieci przychodzi na świat dziedzicznie alkoholizmem czy nerwowo obciążonych, ze spotęgowaną jeszcze wrażliwością na działanie wyskoku, lekarze coraz częściej spostrzegają u dzieci choroby, będące skutkiem dawania im trunków. Jak silnie nawet małe dawki alkoholu działają na organizm dziecięcy, zwłaszcza w pierwszym roku życia, niech świadczy kilka następujących przykładów, wyjętych z kazuistyki lekarskiej: Millon obser-

wował ciężkie objawy zatrucia wyskokiem u dziecka, którego mamka myła sobie włosy mocnym, starym rumem; Jakubowicz opisuje przypadek, w którym dziecko przy piersi zmarło w 12 godzin po podaniu mu dla uspokojenia dwu łyżeczek wina; w przypadku Frieda u dziecka czteromiesięcznego, w przypadku zaś Gregora u dziecka półrocznego wystąpiły groźne objawy zatrucia wyskokiem po przykładaniu na brzuch kompresów spirytusowych; u dziewczynki 4-letniej po zjedzeniu biszkoptu umoczonego w likierze, nastąpiła ciężka śpiączka *(coma)* (Letulle); w przypadku Leonpachera, zakończonym śmiercią, dawka śmiertelna alkoholu dla dziecka 5-letniego wynosiła 1·79 g na 1 kg, gdy dla człowieka dorosłego wynosi ona 8—11 g na 1 kg.

Alkoholizm u dzieci ma dzisiaj już bardzo wielką literaturę lekarską; znane są przypadki nałogowego pijaństwa już u trzechletnich dzieci, które potajemnie upijały się wódką (Bourneville); opisano *delirium tremens* już u dzieci 18-miesięcznych (Legrain) i inne psychozy powstałe na tle alkoholizmu już w trzecim roku życia (Conrads). Najczęściej trunki wyskokowe sprowadzają u dzieci choroby przewodu pokarmowego, który w wieku młodocianym stanowi niejako *locus minoris resistentiae*, cierpienia wątroby, zwłaszcza marskość wątroby, która zazwyczaj dzieci szybko zabija, oraz różne przypadłości nerwowe, jako to migrenę, zawrót głowy, bezsenność, halucynacye, drżenie języka i rąk, skurcze mięśni twarzy, drgawki ogólne, przykurczenia, porażenia, śpiączkę, zaburzenia mowy, nerwobóle, zapalenie wielu nerwów, przekrwienie i zapalenie opon mózgowych, pląsawicę, epilepsyę i t. d. Dzieci takie okazują przytem większe usposobienie do różnych chorób, oraz upośledzenie rozwoju fizycznego; późno zaczynają chodzić, rosną powoli, przez powstrzymanie rozwoju niektórych części mózgu powstają u nich niekiedy asymetrye mózgowe. Zdaniem Rodieta, w ogromnej ilości przypadków powolny wzrost i słaby wogóle rozwój fizyczny dzieci ma źródło w alkoholu, który dostają w małej ilości, tak, że jego działanie uchyla się z pod zwykłej obserwacyi

lekarskiej. U dzieci dziedzicznie obciążonych już jednorazowe podanie alkoholu, nawet w małej dawce, może śmierć sprowadzić.

W licznych doświadczeniach fizyologicznych, dokonanych na szczeniętach, kociętach, młodych królikach i świnkach morskich (Kremiański, Ruge, Tarchanow, Afanasiew, Jakimow, Hodge, Rejc, Frick i in.) przez podawanie alkoholu wywoływano zapalenie krwotoczne opon mózgowych, zmiany patologiczne w tkance mózgowej, zwłaszcza w komórkach piramidalnych kory mózgowej, zmiany w szarej istocie rdzenia kręgowego, zwłaszcza w rogach przednich i zgrubieniu lędźwiowem, opóźnienie otwierania się oczu u szczeniąt, zatrzymanie wzrostu i ogólnego rozwoju zwierząt, upośledzenie rozwoju niektórych części mózgu, zwłaszcza płatów czołowych, serca i kości, stąd osłabienie ogólne, utrudnienie chodzenia, drżenie, apatyę, zmniejszenie pojętności, pociągu do zabawy, i t. d. Wprawdzie w wielu z tych doświadczeń podawano młodym zwierzętom stosunkowo znaczne dawki alkoholu; wybitne zmiany tyczące się rozwoju głowy i kończyn występowały jednak i przy podawaniu alkoholu w ciągu dłuższego czasu w dawkach małych. Zabielin i Treskin, którzy badali kawałki kości wypiłowane z przednich łap szczeniąt alkoholizowanych, znaleźli, że u zwierząt takich kość jest cieńsza, krótsza i lżejsza, jama szpikowa większa a szpik zawiera więcej tłuszczu, jak w warunkach prawidłowych; kość jest bardziej krucha i łamliwa, jak u zwierząt normalnych, wytwarzanie się kostniny jest zwolnione. Kiparski zaś stwierdził, że u młodych silnie alkoholizowanych królików regeneracya nabłonka jest wybitnie zwolniona; w komórkach nabłonkowych występują zmiany patologiczne, zwłaszcza zaś w jądrach komórkowych, które przyjmują kształt ciał wielokątnych, nierównych, zębatych i okazują zmiany znamienne dla chromatolizy. Na zasadzie doświadczeń nad alkoholizowanemi roślinami *(Impatiens)* dochodzi prof. Rauber do wniosku, że powstrzymanie ich rozwoju przez wyskok polega na szkodliwem jego działaniu na centrosomy i ogólną konstytucyę jąder komórkowych. Że alkohol powstrzymuje

wzrost i rozwój młodego organizmu zwierzęcego, jest faktem dawno w praktyce znanym i stosowanym przy sztucznem produkowaniu karłów zwierzęcych, zwłaszcza małych piesków.

Szkodliwe działanie alkoholu nie ogranicza się u dzieci tylko do zdrowia i rozwoju fizycznego, ale odbija się zarazem i na rozwoju ich władz umysłowych; dzieci dostające regularnie napoje wyskokowe, tracą pamięć, i jak to stwierdzają różne statystyki szkolne, stają się niezdolne do pracy umysłowej. W doświadczeniach, przeprowadzonych na dzieciach w pracowni Kraepelinowskiej, stwierdzono, że już po jednorazowem użyciu alkoholu w miernej ilości dzieci wprawdzie czytają szybciej jak zwykle, ale gorzej rozumieją to, co przeczytały; 13—15-letni chłopcy nie mogli opowiedzieć treści ustępu przeczytanego po cichu, a żeby treść zapamiętać, musieli czytać głośno; charakter pisma się psuje, w rachunkach robią dzieci więcej błędów, jak zwykle, nie kontrolują przytem wyniku zadania, wyraźne nonsensy uchodzą ich uwadze. W doświadczeniach, jakie Kende przeprowadził na 25 dzieciach, 0·5 – 2 decylitry wina (co odpowiada 5 – 20 g alkoholu) podane przed obiadem, po upływie $^1/_4$—$^3/_4$ godziny wybitnie upośledzały ich zdolności do pracy umysłowej. Regularne dawanie dzieciom trunków wyskokowych wpływa także niekorzystnie na ich usposobienie; dzieci takie często są senne, apatyczne, albo też ponure, milczące; u innych rozwija się nadmierna śmiałość, niepowściągliwość, drażliwość, niecierpliwość, nieposłuszeństwo i hardość, lekkomyślność i roztrzepanie, powstają takie zaburzenia w sferze moralnej, jak mściwość, okrucieństwo, egoizm. W epoce pokwitania przez porażenie woli i zagłuszenie poczucia moralności przez alkohol, młodzież traci często czystość, a natomiast nabawia się choroby, która prowadzi do neurastenii, przedwczesnego rozgoryczenia i pessymizmu. Niektóre dzieci popycha alkohol wręcz do przestępstw i zbrodni; w r. 1897 wśród 45.000 karanych 12—18-letnich przestępców w Niemczech 90% było takich, których przestępstwo było w bezpośrednim lub pośrednim związku z użyciem trunków wyskokowych.

Jednem słowem, zarówno spostrzeżenia lekarskie i doświadczenia laboratoryjne, jakoteż obserwacye poczynione przez inteligentnych rodziców i w szkole, oraz statystyka kryminalna wskazują, że alkohol jest dla dziecka silnym jadem fizycznym, umysłowym i moralnym, znacznie silniejszym jak dla człowieka dorosłego. To też nieszczęsny zwyczaj dawania dzieciom trunków wyskokowych ze względu na ich dobro stanowczo winien być zupełnie zaniechany.

(C. d. n.).

Karol Klecki.

„DOM NAJŚWIĘTSZEJ“

W OKOLICY EFEZU.

Z ruin Efezu zwróciliśmy nasze wierzchowce w kierunku południowym na ścieżkę prowadzącą ku wzgórzom lekko zalesionym. Gdyśmy dostali się na pierwszy pagórek, gąszcz zmieniał się w las o skarłowaciałych drzewach. Siekiera barbarzyńców nie dozwoliła im wznieść się wysoko, tylko gdzieniegdzie widzę okazałe dęby, platany i morwy. Jechaliśmy z ks. Jungiem w milczeniu czas jakiś, zajęci tylko śledzeniem ścieżki wijącej się wężowato wśród zarośli, żadnego śladu ludzkich mieszkań nie widzimy, żywej duszy nie spotykamy.

Po półtoragodzinnej jeździe dostaliśmy się na szczyt pagórka około 500 m wysokości, ponad którym jeszcze wyższe wznosiły się góry Karasz-Alti i Bulbul-Dag. W tem miejscu ścieżka zwolna skręca się ku leśnej polance i zwraca ku południowemu-wschodowi. Tu po raz pierwszy ujrzałem domek Matki Bożej, wśród pięknego gaju, prawie pod prostopadłą skałą. Przed domkiem znajduje się mały placyk ocieniony drzewami, przecina go droga leśna prowadząca z jednej strony w góry piętrzące się nad domkiem, z drugiej łukowato się skręca ku świeżo wystawionej willi XX. Lazarystów i dalej ku Arwalii, wioszczynie położonej w pobliżu morza Egiejskiego. Naprzeciw domku Matki Bożej, po drugiej stronie drogi, bije źródełko kryształowej wody ujęte w basen, skąd spływa do głębokiego

wąwozu otwierającego prześliczny widok na obydwa pasma wzgórz gęsto zalesionych aż ku brzegom morza. Lecz oko nie gubi się w jego toni, gdyż u wylotu tego wąwozu wzrok zatrzymuje wyspa Samos z zieleniejącemi się górami, z dala, jakby owianemi fioletową oponą.

Stanęliśmy najpierw przed willą XX. Lazarystów świeżo wybudowaną dla tych, którzy zajęci są pracą w konwikcie smyrneńskim. Służący Greczyn odprowadził do stajni nasze wierzchowce a myśmy udali się na oglądanie domku Matki Bożej, przemienionego w kaplicę.

Już na pierwszy rzut oka przedstawia się jako zabytek budowy z kamienia i cegły, sięgający bardzo starej epoki. Front wynosi około 6 metrów szerokości, pośrodku drzwi. Mury stosunkowo bardzo szerokie, prawie na 1 metr, wnętrze niewiele przechodzi 4 m szerokości, długość naprzestrzał 11 m. Nad murami dochodzącymi do wysokości 4 m, w ostatnich czasach dali XX. Lazaryści dach, nic zresztą nie zmieniając we wnętrzu kaplicy. Jeszcze obecnie zachowała ona kształt mieszkania, w którem uwidocznione są dokładnie cztery izby. Pierwsza jest oddzielona ścianą od następnych, a łączy się z niemi wązkiemi drzwiami. Pierwotnie izba ta była sklepioną, jak można poznać po resztkach górnej części murów. Łuki sklepionego frontu spoczywały na słupach. Prawdopodobnie był to przedsionek, otwarty, o trzech wejściach między słupami, jak świadczą o tem ślady zamurowanych łuków. Przy bliższem oglądaniu murów tej części domu i porównaniu takowych z innymi następnych części, dostrzegłem pewną różnicę w sposobie budowania, która naprowadza na domysł, iż ta pierwsza izba, a raczej przedsionek, później został przyczepiony do pierwotnego domku. Dwie następne izby razem wzięte są $8^1/_2$ m długie o szerokości $4^1/_2$ m. Pierwsza jest nieco większa w kształcie czworoboku, oddzielona od drugiej filarami, od ściany wystającymi ku środkowi.

Trzecia z rzędu izba jest nieco mniejsza od poprzedniej, lecz miała sklepienie, jak można poznać po jego resztkach w rogach ścian. Naprzeciw wejścia głównego, znajduje się tu nisza zwrócona swem położeniem ku wschodowi. Tam znajdujemy

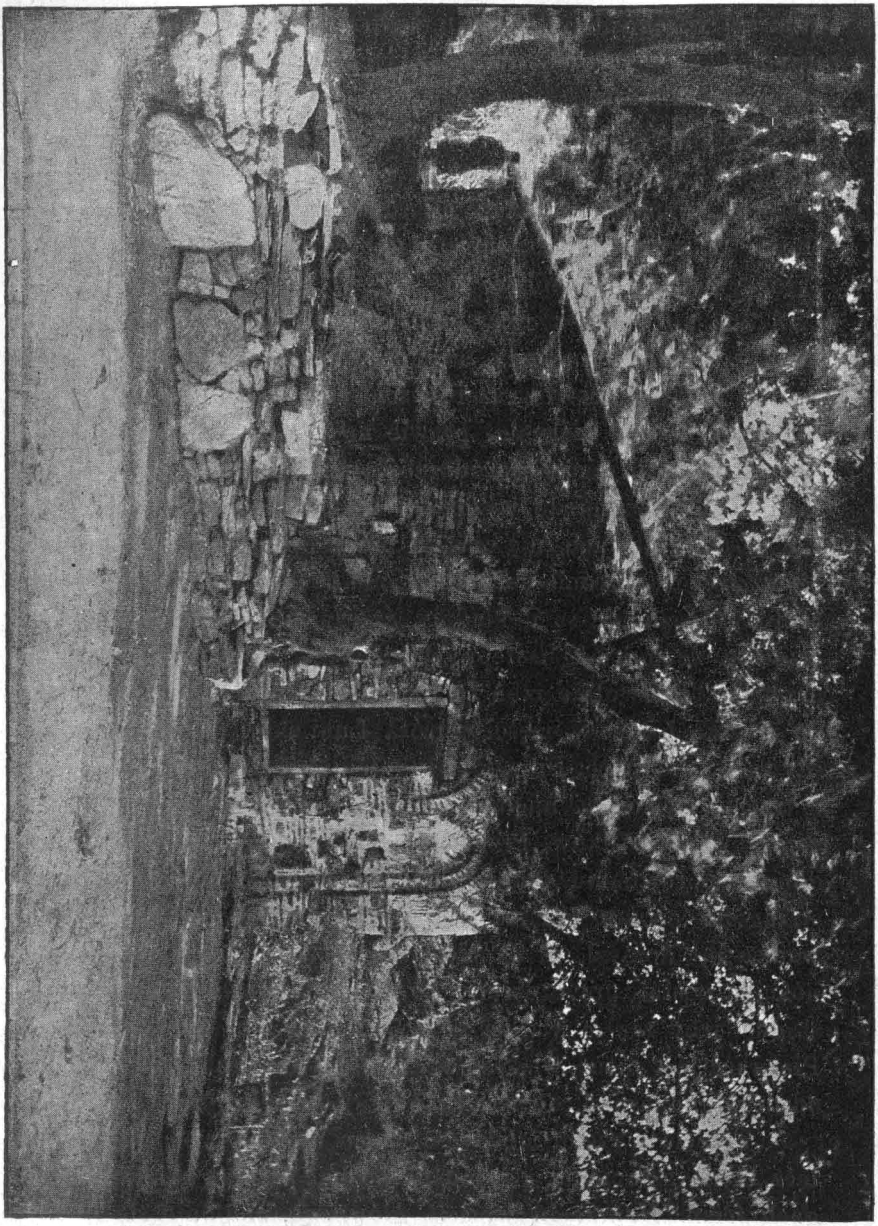

„Dom Najświętszej", Panagia Kapuli z frontu.

skromny ołtarz, na którym od czasu do czasu w większe święta odprawia się Najświętsza Ofiara. W bocznych ścianach, po prawej i lewej stronie izby, widzimy w murze łuki zasklepione, z których wnioskować możemy: iż były nad drzwiami prowadzącymi do jeszcze dwu izb bocznych. Dotychczas zachowała się tylko jedna z nich po prawej stronie, oryentując się od głównego wejścia. Od strony wschodniej posiada ona niszę zajmującą więcej niż połowę ściany, a nadto drugą mniejszą w rogu, w stronie północno-wschodniej, taką samą jak i w poprzedzającym pokoju także po lewej stronie większej niszy. Przy ścianie od strony południowej wzdłuż jej długości znajdujemy podwyższenie kamienne może na $^1/_2$ metra, szerokości około 70 ctm, a długości całej tej bocznej ściany. Pokoik ten miał dwa wejścia: pierwsze jak powiedzieliśmy z trzeciej izby, drugie od strony zachodniej wprost z dworca, gdyż ślady drzwi są zachowane dość wyraźnie w murze. Materyał użyty do budowy domu takiego jakim jest dzisiaj i sposób budowania jest bardzo rozmaity. Widocznie w ciągu wieków naprawiano mury walące się, lecz główne części składowe przypominają materyałem mieszanym z cegieł i kamieni i sposobem budowania gimnazyum efezkie z czasów cesarza Klaudyusza (41—54 po Chr.)

Kilka miesięcy przed mojem przybyciem do *Panagia Kapuli* (byłem tam r. 1899 w końcu maja) ks. Jung w obecności kilku osób i znajomych kazał rozkopać podłogę w kaplicy, mianowicie miejsce między drugą a trzecią izbą, gdzie spodziewał się wedle pewnych danych wskazówek, o których niżej powiemy, znaleźć ślady komina lub pieca.

Znaleziono najpierw ślady dawnej posadzki w całych i połamanych czworobocznych kawałkach marmuru. Pół metra głębiej wykopano całą masę okopconych kamieni większych i mniejszych, jedne więcej drugie mniej miały śladów od ognia i dymu, a ustawione razem zajęły przestrzeń 2 metrów kubicznych. Widziałem te kamienie i nie mam żadnej wątpliwości, iż należały pierwotnie do jakiegoś pieca lub komina, bo gdyby ze spalenia się domu pochodziły, ślady byłyby pozostały w innych częściach kaplicy, a tego nigdzie nie dostrzegłem i nikt nie dostrzegł.

Szczegół powyższy niemałego jest znaczenia, gdyż obok konstrukcyi obecnej kapliczki, drugim jest dowodem, iż pierwotnie była ona mieszkaniem prywatnem. Przecież dotychczas w najstarszych kaplicach nigdzie nie znaleziono śladów pieca lub komina! Skoro więc w tej kaplicy znalazły się one, dowodzą, iż mieszkanie prywatne zostało zamienione w kaplicę, a dla czci

PLAN
DOMKU NAJŚWIĘTSZEJ PANNY, PRZEMIENIONEGO NA KAPLICĘ.

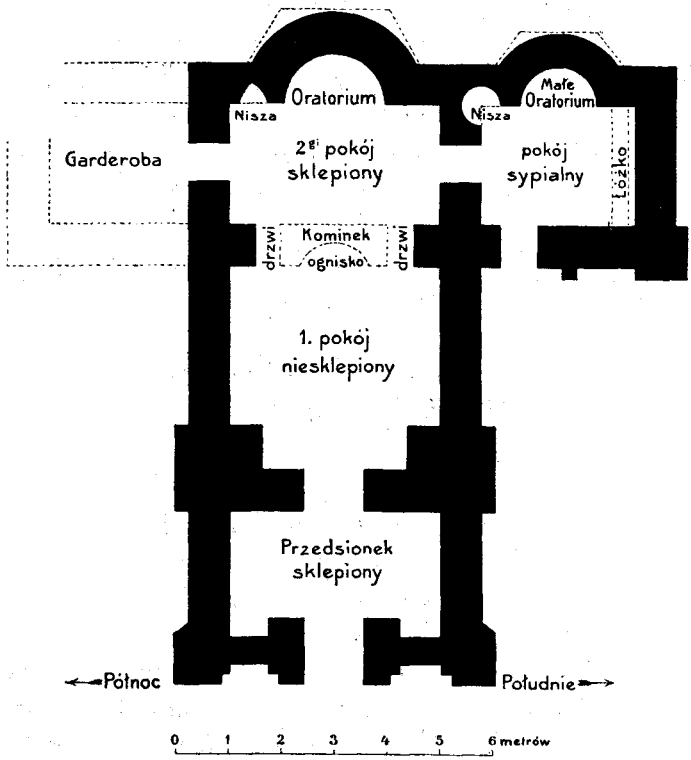

osoby zamieszkującej ten domek nawet kamieniom już bezużytecznym dla kaplicy nie pozwolono zaginąć, lecz je zakopano w tem miejscu, gdzie się znajdowały pierwotnie w mieszkaniu.

Kto była osoba zamieszkująca pierwotnie tę dzisiejszą kapliczkę najlepiej oznacza sama nazwa *Panagia Kapuli* czyli

Brama lub Dom Najświętszej Panny [1], bliższe zaś szczegóły dotyczące Jej przybycia w okolice Efezu podaje nam miejscowa tradycya, o której nam ks. Jung w następujący sposób opowiadał:

W okolicy Efezu, w odległości dwu do trzech godzin drogi na wschód od Ajassuluku, znajduje się w górach wioska Kirkindże, licząca 1030 domów a około 4.000 mieszkańców ortodoksów narodowości greckiej. Ci ludzie urządzają co roku pielgrzymkę do *Panagia Kapuli* od najdawniejszych czasów i do innych kapliczek, jak *Kryfi Panagia, Panagia Kawakli,* których w okolicy jest 33 a wszystkie są pod wezwaniem Najświętszej Panny: *Panagia.* Mieszkańcy wsi Kirkindże mówią o sobie, że gdy Efez zajęli Turcy, a ludność zabrali w niewolę, siedm rodzin efezkich wymknęło się z rąk wroga i osiadło w miejscowości nazwanej później Kirkindże. Potomkowie tych siedmiu rodzin tworzą ludność tej wioski.

Gdy wieść o znalezieniu *Panagia Kapuli* doszła do wiadomości ks. arcybiskupa smyrneńskiego msgra Polikarpa Timoni, zwrócił się on do naczelnika gminy Kirkindże p. Konstantinidis z prośbą, aby zwołał najstarszych i najbardziej wiarogodnych ludzi swej wioski i wypytał o tradycye, jakie wśród nich istnieją o pobycie Najświętszej Panny w okolicy Efezu.

Dla ułatwienia odpowiedzi, ks. arcybiskup Timoni w porozumieniu z kilku osobami ułożył pytania, na które naczelnik gminy pisemną dał odpowiedź, biorąc na siebie odpowiedzialność za dokładność i prawdziwość zeznań Kirkindżan. Z tego sprawozdania wynika, że po ukrzyżowaniu Pana Jezusa w Jerozolimie, Najświętsza Panna pozostając pod opieką św. Jana, z Nim przybyła do Efezu. Na zachodniej stronie tego miasta a na północnym stoku góry Budrun w grocie obrała sobie mieszkanie i tam żyła ukryta przed prześladowaniem pogan. Stąd

---

[1] *Panagia Kapuli* jest nazwą grecko-turecką. Wyraz grecki *Panagia* znaczy najświętsza; wyraz turecki *kapu:* bramę, końcówka *li* oznacza miejsce, w którem coś jest. Ponieważ nieraz bierze się część za całość, więc może być dosłownem tłumaczeniem *Panagia Kapuli,* Dom Najświętszej Panny Maryi.

nazwano tę grotę *Gizli-Panagia* albo *Kryfi-Panagia* t. j. Ukrytą Najświętszą (Panną). Obchodzą tam święto w dniu *Zoodoku-Pyghis* (źródło życia), w piątek po Wielkanocy.

Gdy poganie dowiedzieli się o pobycie Najświętszej Panny w grocie, gdzie dziś jest kapliczka *Kryfi-Panagia*, opuściła ona to schronienie i udała się godzinę drogi w kierunku południowym ku miejscowości zwanej Kawakli. Znajdowały się tam podówczas podobnie jak dzisiaj platany (może topole), stąd nazwa kapliczki *Kawakli-Panagia*. Obchodzą tam święto w dniu 21 listopada w uroczystość Ofiarowania się N. M. Panny.

O pobycie Najświętszej Panny w samym Efezie mieszkańcy z Kirkindże żadnej nie mogli podać wiadomości, bo nic im o tem tradycya nie przekazała. Co do *Panagia Kapuli* opowiadają Kirkindżanie, że Najświętsza Panna przeniosła się z *Kawakli-Panagia* na góry Bulbul-Dag, odległe o 2 godziny drogi od stacyi kolei żelaznej w Ajassuluk i tutaj w domku zwanym dziś *Panagia-Kapuli* zasnęła, a uroczystość obchodzoną bywa w dniu 15 sierpnia.

Co roku kilka razy odbywają się pielgrzymki Kirkindżan do tego miejsca od niepamiętnych czasów, lecz szczególnie na dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny i jego oktawę śpieszą pątnicy pieszo do *Panagia Kapuli*, poczem wracają do swej wioski rodzinnej [1].

Nawet Turcy, muzułmanie z tutejszej okolicy biorą udział w czci tego świętego miejsca. Stróż ubogiego domku upewniał, że często przychodzi ojciec lub matka ze swem dziecięciem chorem, aby u źródła „Wielkiej Pani Maryi" szukać pomocy. Ta cześć powszechna w tej okolicy Najświętszej Panny pomimo oporu wpływowych sfer, obawiających się, aby jerozolimski grób Bogarodzicy nie ucierpiał na kulcie, godną jest zastanowienia. Pomijając kwestyę czy Najświętsza Panna umarła w Efezie, jak chce

[1] Opowiadanie ks. Junga uzupełniliśmy z kopii autentycznego dokumentu naczelnika gminy Kirkindże p. Konstantinidhis z dnia 2 (14) grudnia 1892 r. ogłoszonego drukiem staraniem ks. arcybiskupa Timoni w broszurze *Panagia-Capouli ou Maison de la Sainte Vierge près d'Éphèse.* Paris 1896, p. 86—90.

tego miejscowa tradycya a między pisarzami poważnymi wspomina o tem papież Benedykt XIV [1], czy w Jerozolimie, jak dotychczas wielu innych twierdzi, rozchodziłoby się o to, czy wogóle tradycye dawnych mieszkańców Efezu zasługują na wiarę. Nie widzimy dostatecznej racyi, dla której mielibyśmy odmawiać im wiarogodności, zwłaszcza że są jeszcze inne dane, które za tem przemawiają.

Wiadomo, że Najświętsza Panna była oddana przez samego Zbawiciela św. Janowi w opiekę. Gdy ten apostoł został przeznaczony do opowiadania Ewangelii w Małej Azyi, a jak św. Hieronim powiada, pozakładał tam siedm kościołów (dyecezyi), do których później z Patmos pisał w Apokalipsie to, co mu Bóg objawił: łatwo możemy przypuścić, iż wziął ze sobą Matkę Zbawiciela, aby Jej nie zostawić bez opieki i nie narażać na prześladowania ze strony Żydów jerozolimskich.

Oglądanie domku *Panagia Kapuli* zakończyliśmy zwiedzeniem źródełka wytryskającego z pod jego murów, które ujęto w rurę i odprowadzono na drugą stronę drogi. Tu utworzono basen, w którym woda nagromadzona służy do ogólnego użytku.

Przy obiedzie, na jaki złożyły się nasze podróżne zapasy, opowiadał ks. Jung bardzo interesujące szczegóły odnoszące się do znalezienia tego domku przez europejskich badaczy. Rzecz tak się miała. W połowie listopada roku 1890 wpadła w ręce XX. Lazarystów smyrneńskich książka Katarzyny Emmerich [2],

---

[1] *De festis D. N. I. Chr.* l. 7, 101.

De servor. Dei beatific. et can. l, 14, 12 powołuje się na Tillemonta, który (*Mémoires* I, *La S. Vierge*, art. 7 i koń. 14, 15, 16) jako o wiele prawdopodobniejsze przyjmuje śmierć Najśw. Panny w Efezie. Na innem miejscu mianowicie:

De festis B. V. M. 2, 8, 7—12 obydwie hipotezy podaje, lecz za żadną się nie oświadcza.

Za pobytem i śmiercią w Efezie N. M. P. oświadcza się Benedykt XIV w traktacie o Św. Misteryach w artykule o W. Piątku Za Jerozolimą Cornelius a Lapide *in Act.* 10, 19. Bł. Piotr Canisius *De M. V.* lib. 5, c. 3. (Migne, *Summa aurea* IX, 20).

[2] Anna Katarzyna Emmerich ur. 8 września 1774 w dyecezyi monastyrskiej (Münster) w Niemczech, była córką ubogich rolników. W r. 1802 d. 13 listopada wstąpiła do klasztoru Sióstr Augustyanek w Dülmen. Gdy

zawierająca „Życie Maryi" *(Leben Mariąs)*. Jedni budowali się czytaniem „wrzekomych objawień", ujęci prostotą opisu zakonnicy, inni wyrażali głośno powątpiewania w prawdziwość opowiadanych szczegółów. Do tych ostatnich należał także ks. Jung. Ten przyzwyczajony od młodości do pozytywnych badań matematyki, fizyki, chemii, jako były kapitan inżynieryi francuskiej, bardzo sceptycznie zapatrywał się na treść książki Katarzyny Emmerich. „Skąd ona mogła — mówił on — wszystko opisywać z najdrobniejszymi szczegółami topograficznymi, skoro tam nie była". Wartoby było rzecz sprawdzić, odezwały się głosy, skoro znajdujemy się blizko Efezu — i wykazać złudzenia „jasnowidzącej".

Wykłady w ciągu roku szkolnego nie dozwoliły XX. profesorom na dłuższy wyjazd ze Smyrny, odłożono więc naukowe badania w tym względzie do końca lipca 1891, kiedy wykłady będą ukończone. Przewodnikiem wyprawy wybrano ks. Junga, który najwięcej miał kwalifikacyi do badań tego rodzaju. Miał on szczerą intencyę, jak sam mi to opowiadał, wykazać bezpodstawność opowiadań niemieckiej zakonnicy z Dülmen. W dniu oznaczonym, w towarzystwie kilku osób wyjechał ks. Jung do Efezu i rozpoczął badania. Dwa dni upłynęło bez żadnego pozytywnego rezultatu. W trzecim tak byli wycieńczeni upałem i ciągłem chodzeniem, że omal nie rozchorowali się. Nadomiar złego nie było wody — o nią wołał ks. Jung do jakiejś robotnicy w polu. Ta mu odpowiedziała: tu wody niema, lecz pójdź dalej z 10 minut, tam znajdziesz źródło koło „monasteru". Ścieżynami zbiegł do wąwozu i stanął przed basenem znajdującym się koło *Panagia Kapuli*, lecz żadnego monasteru nie widział. Z początku nawet nie wiedział, jak się nazywają te ruiny kapliczki, lecz gdy wszedł do jej wnętrza i porównał to, co widział, z opisem Katarzyny Emmerich, nie

---

ten klasztor został zniesiony za rządów króla Hieronima Bonapartego w d. 3 grudnia 1811, zakonnice były zmuszone szukać przytułku w prywatnych domach. Katarzyna Emmerich znalazła mieszkanie u biednej wdowy, tamże, w pobliżu dawnego klasztoru, mieszkając w nędznej izdebce, zmarła 9 lutego 1824 w opinii świętości.

wątpił, że stanął przed domkiem Matki Bożej. Dalsze badania wykazały, że nawet fundamenta ośmioboczne zakryte dwumetrową warstwą żwiru, kamieni i ziemi odpowiadały tej budowli pierwotnej, jaką widziała w zachwycie Katarzyna Emmerich. Rzecz cała doszła do wiadomości ks. arcybiskupa smyrneńskiego; ten osobiście zjechał z kilku kapłanami i archeologami, aby na miejscu rzecz zbadać, a przekonawszy się o prawdziwości rzeczy opowiadanych, urzędownie spisał cały proces znalezienia tego domku.

Opowiadanie ks. Junga bardzo mnie zajęło, i wyraziłem tylko żal, że nie zabrałem ze sobą książki Katarzyny Emmerich, aby się przekonać na miejscu, o ile jej opis zgadza się z rzeczywistością.

Na to odpowiedział ks. Jung z uśmiechem: przewidywałem Ojcze, twój żal, i aby go usunąć, zabrałem ze sobą „Życie Maryi", abyśmy mogli razem przeczytać interesujące nas obecnie ustępy i porównać z tem, co widzieliśmy".

Był to egzemplarz niemiecki, wydany w r. 1895 w Regensburgu z rękopisu znanego niemieckiego poety, Klemensa Brentano, i pod jej dyktandem. Po przeczytaniu kilku ustępów udaliśmy się raz jeszcze dla sprawdzenia opisu do *Panagia Kapuli*. Rzecz dziwna! Opis Katarzyny Emmerich zgadza się w najdrobniejszych szczegółach z tem, cośmy widzieli. Położenie domku, okolica z widokiem na Samos, rozkład wewnętrzny mieszkania, każdy kącik, oratorya, nisze wszystkie są tak opisane, jakby na to własnemi patrzała oczyma. A jednak ta zakonnica z Dülmen ani nie miała wykształcenia odpowiedniego do tego rodzaju opisu, ani nigdy nie była na Wschodzie, podobnie jak i Brentano.

Wedle jej opisu, między drugą a trzecią izbą znajdował się komin. Żadnego śladu tego kominu nie było; dopiero znalezienie kamieni okopconych, jak wyżej powiedzieliśmy, nasunęło domysł, że i w tem jasnowidząca z Dülmen nie pomyliła się.

Ciekawy jest również szczegół, o którym taż zakonnica

wspomina w „Życiu Maryi" [1]. Najświętsza Panna miała w pobliżu swego mieszkania założyć drogę krzyżową złożoną z 12 stacyi, przy których rozmyślała rozmaite tajemnice cierpień Swego Syna od Getsemanii aż do grobu. Kamieniami i płytami, które były oznaczone hebrajskiemi literami, otaczała niewielkie przestrzenie nieco zagłębione i takowe ozdabiała różami i innemi kwiatami. Ks. Jung pokazywał mi 9 takich stacyi dotychczas znalezionych, które oczywiście robią wrażenie, iż nie naturalnie powstały, lecz ręka ludzka brała udział w ustawieniu ogrodzeń przed x laty. Na jednej z takich stacyi znaleziono płaskorzeźbę krzyża, może z V wieku, jako oznakę, iż miejsce to było czczonem przez chrześcijan, prócz tego na trzech kamieniach dostrzeżono hebrajskie napisy, a na 3 skałach również podobne litery, które mogą odnosić się do pierwszych czasów chrześcijaństwa.

Czy i w tym wypadku rzeczywistość stwierdza prawdziwość opowiadania Emmerich? Wobec wielkiego podobieństwa rzeczy opisanych z tem, co widziałem — stanowczo przeczyć hipotezie nie miałbym odwagi, chociaż przyjmuję ją z pewną rezerwą.

Jeszcze z większą rezerwą należy przyjąć jej opowiadanie o śmierci Najśw. Panny w okolicy Efezu i Jej tam grobie, którego śladu szuka ks. Jung, lecz dotychczas napróżno. Twierdzi mianowicie Katarzyna Emmerich, że Matka Boża półtora roku przed śmiercią udała się z Efezu do Jerozolimy i tamże zachorowała. Św. Apostołowie, przewidując Jej śmierć, zamówili u rzeźbiarza chrześcijańskiego grób w grocie, u stóp Góry Oliwnej. Gdy grób już był wykonany, Marya wyzdrowiała, a czując się dość silną, powróciła do Efezu, gdzie też i umarła. W ten sposób tłómaczyłaby się tradycya grobu Maryi w Jerozolimie. Nie ulega wątpliwości, że odkrycie grobu Najśw. Panny w pobliżu *Panagia Kapuli* — wobec tradycyi jerozolimskich byłoby wielkiej doniosłości dla archeologii chrześcijańskiej i podniosłoby znacznie powagę Efezu i jego okolicy [2].

---

[1] Wydanie stereotypowe regensburgskie z r. 1895, na str. 412, 422.

[2] Poważny autor, którego miałem sposobność poznać na Wschodzie,

XX. Lazaryści smyrneńscy zaraz po pierwszych odkryciach domku Matki Boskiej, zakupili z rąk prywatnych wszystkie pola, lasy i skały otaczające *Panagia Kapuli* w przestrzeni 2.000 morgów. W ten sposób zabezpieczyli możliwość dalszych poszukiwań, a to, co znaleziono, od wandalizmu muzułmańskiego.

Niebawem przy kopaniu fundamentów pod dom na willegiaturę, o którym wyżej wspomnieliśmy, napotkano resztki starożytnych budowli, sięgających czasów przedbizantyńskich. Przy dokładniejszem badaniu okazało się, że w tem miejscu była osada chrześcijańska, złożona mniej więcej z 30 domów. Główny budynek w tej grupie wynosił od frontu około 20 m. długości, posiadał salę na 4 metry szerokości, której sklepienie spoczywało na okrągłych słupach. Ściany, słupy i sklepienie przechowało w tynku wiele kawałków mozajki. Sam dom był piętrowym, znaleziono w nim schody, chodnik wyłożony mozajką, nadto resztki wodociągu łączącego ten dom z źródłem tryskającem u podnóża *Panagia Kapuli*. Nie mniej ciekawe przechowały się przedmioty na tem miejscu, świadczące o pochodzeniu chrześcijańskiem, tak między innemi stara gliniana forma podobna do takich, jakich Grecy podziśdzień używają do wypiekania hostyi. Odcisk z tej formy wykazał płaskorzeźbę pszenicznych kłosów i winnej latorośli. W sali wyżej wspomnianej i obok całego domu znaleziono kilka dobrze zachowanych grobów, a w nich szkielety z lampkami po obydwu stronach. Groby były zamknięte płytami glinianemi. Kości rąk spoczywały we wszystkich grobach nie z boku, lecz na wierzchu innych pozostałych części, a między kostkami rąk i palców u każdego szkieletu znaleziono wielką monetę czy medal. Na nich z jednej strony jest wizerunek i imię Justyniana, z drugiej strony wielkie M z krzyżem greckim pośrodku (☩).

---

a ukrywający się pod pseudonimem Gabrielowich napisał bardzo interesującą broszurę *Éphèse ou Jérusalem.* Tombeau de la Sainte Vierge. Paris. 1897, p. 8+148. z aprobatą ks. arcybiskupa smyrneńskiego Timoni, w której przedstawiwszy gruntownie źródła historyczne *pro* i *contra*, dochodzi do wniosku, iż raczej w Efezie niż w Jerozolimie, znajduje się grób Matki Boskiej.

Prawdopodobnie w tem miejscu znajdował się jakiś monaster, co i dzisiejsza nazwa tej miejscowości, *Monastiri* po-

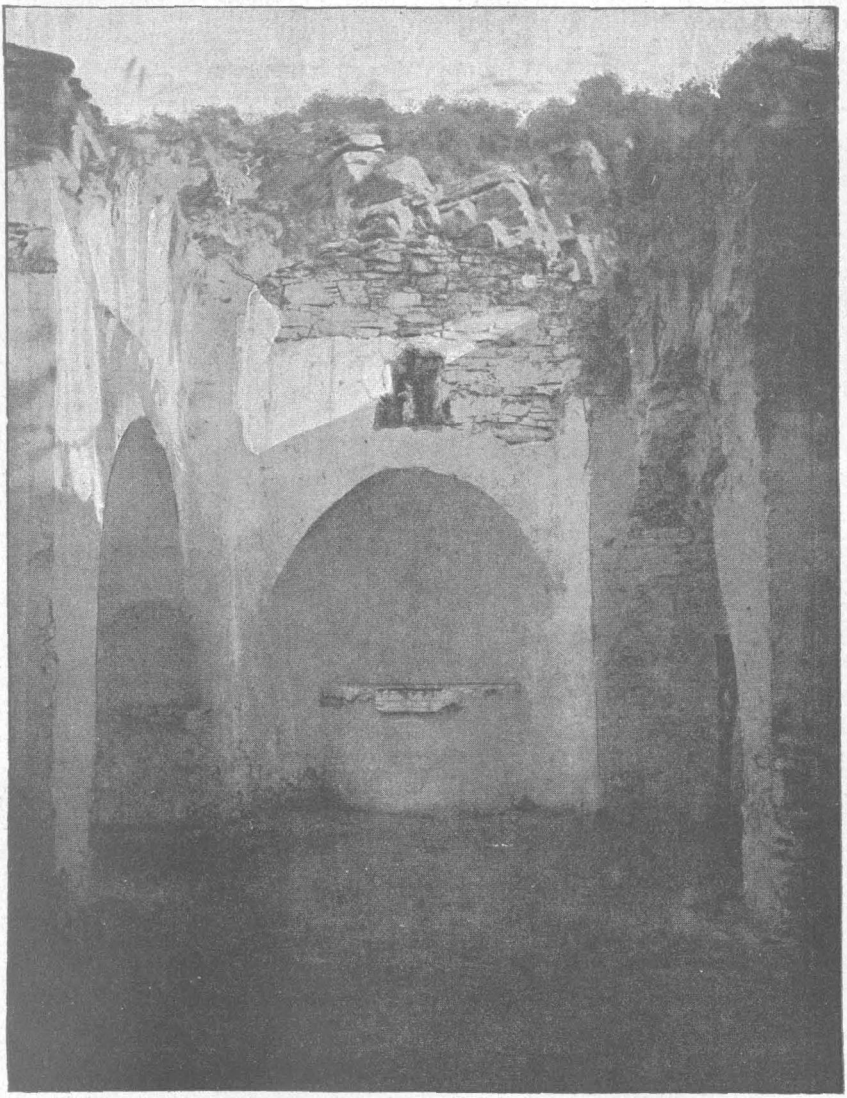

Widok wnętrza „Domu Najświętszej".

twierdza, lub inne mieszkanie osób duchownych pozostających w związku z biskupstwem efezkiem.

Chociaż całość ruin dawnej chrześcijańskiej osady ucierpiała wskutek wybudowania na tem miejscu domu XX. Lazarystów, jednak znaczną część tychże miałem sposobność oglądać.

W jednym ustępie „Życia Maryi" Katarzyna Emmerich wspomina, że nad domkiem Matki Bożej znajduje się skała wyniosła, z której można dostać się na szczyt góry. Stamtąd widać cały Efez i morze z jego wyspami. Było to mieszkanie zdetronizowanego króla lub księcia. Ciekawy byłem, czy i ten szczegół opowiedziany przez jasnowidzącą da się stwierdzić — postanowiłem rzecz zbadać. Ks. Jung, zmęczony upałem i podróżą, nie mógł mi towarzyszyć, natomiast dał mi wiernego przewodnika, który mnie wyprowadził w ciągu niespełna $^1/_2$ godziny na szczyt góry. Znalazłem tam rzeczywiście okazałe ruiny jakiegoś potężnego zamku, o czem świadczą wielkie bloki kamienne i część takichże murów jakby Cyklopów roboty. Widok miałem prześliczny. Cała dolina Efezu z otaczającymi ją górami jakby na dłoni przedstawiła się moim oczom, a od zachodu widać było doskonale wyspę Samos i półwyspy i zatoki w złotym blasku zachodzącego słońca. Jest to jedyny punkt, z którego można równocześnie zobaczyć w całości Efez i wybrzeża morskie. Z ruin tego zamku wprost zeszedłem do *Panagia Kapuli*, aby pacierze kapłańskie odmówić — zanim zmierzch zapadnie krótko w tych okolicach trwający. Gdym skończył modlitwy, rozpoczął się przedziwny koncert słowików, których w tych lasach tak jest wiele, że nawet od nich nazwano te wzgórza Bulbul-Dagh — góra słowików. Ks. Jung żartobliwie twierdził, iż słowiki rozpoczęły po mnie śpiewać *Completorium* ku czci Najświętszej Panny.

Niebawem się zciemniło. Cudny mieliśmy wieczór. Ciemny lazur nieba iskrzył się od gwiazd migocących tak jasno wśród przejrzystego czystego powietrza, jak tylko na południu można to widzieć. Ani jeść, ani spać się nie chciało po tylu wrażeniach w ciągu jednego dnia zebranych. Toż gdy położyliśmy się na polnych wojskowych łożach, ani ja ani ks. Jung nie spaliśmy, lecz raczej tylko drzemali, bo jakżeż tu spać, gdy słowiki w zawody swoją pieśń nucą, a cisza nocy jeszcze ją

potęguje! Około 3-ej rano, bezpośrednio przed świtem, inny lecz mniej przyjemny mieliśmy koncert: wyjących wilków i żałosnego płaczu hyen. Wilki schodzą się tutaj stadami po 20 i więcej sztuk pić wodę u źródła bijącego u podnóża *Kapuli*. Czasem dochodzą w tę stronę także leopardy, dziki, niedźwiedzie i kozice. Dla bezpieczeństwa przez całą noc mieliśmy zazapaloną lampkę oliwną, a ks. Jung przy boku dubeltówkę odtylcową z ostrym ładunkiem, której jednak tym razem wcale nie potrzeba było używać.

Nazajutrz uroczystość św. Trójcy obchodziłem w kaplicy *Panagia Kapuli*. Ileż uczuć cisnęło się do serca i umysłu, podczas Mszy św. na samą myśl, iż tutaj Najświętsza Panna mieszkała, a może na tem samem miejscu — jeśli mamy wierzyć Katarzynie Emmerich — słuchała Mszy św., odprawianej przez św. Piotra — i tutaj jej dusza uleciała z ziemi do nieba! Odczuć taką chwilę można, lecz silić się, aby ją opisać — trudno.

Ks. Marcin Czermiński.

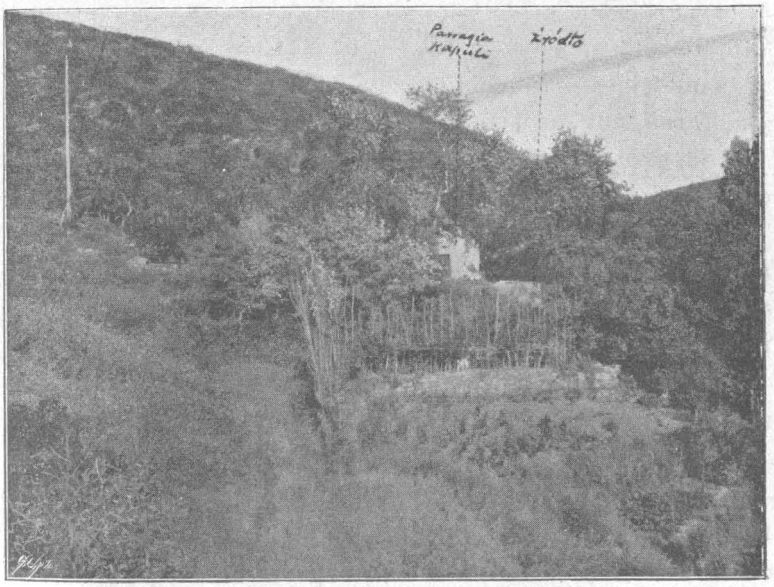

Panagia Kapuli i okolica.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z czasopism polskich w roku 1903 [1].

Ateneum. — Chimera. — Krytyka. — Ognisko. — Kraj. — Tygodnik illustrowany. — Wędrowiec. — Tygodnik polski. — Ziarno. — Biesiada literacka. — Illustracya polska. — Prawda. — Przegląd tygodniowy. — Głos. — Ogniwo. — Bluszcz. — Echo muzyczne i teatralne. — Praca. — Czasopisma dla dzieci. — Teka. — Promień. — Szkoła. — Miesięcznik pedagogiczny i inne pisma z zakresu pedagogii ludowej. — Przegląd pedagogiczny. — Muzeum. — Los. — Kwartalnik historyczny. — Na około świata. — Lud. — Wisła. — Czasopisma prawnicze i ekonomiczno-społeczne. — Czasopisma przyrodnicze i lekarskie. — Technika. — Gospodarstwo, przemysł, handel. — Czasopisma zawodowe. — Książka. — Przewodnik bibliograficzny.

Kiedy w roku ubiegłym ukazał się artykuł podpisanego o niektórych czasopismach naszych, skargom i narzekaniom nie było końca, głównie dlatego, że nie wszystkie pisma zostały omówione. Chociaż już sam tytuł artykułu oddala takie pretensye, mimo to postaramy się obecnie rozpatrzeć to wszystko, co istotnie zasługuje z jakiegokolwiek względu na uwagę, zwłaszcza że ani ilość ani poziom czasopiśmiennictwa peryodycznego nie uległy poważniejszym zmianom, — na lepsze ni na gorsze. Bezwątpienia — fakt to wcale niepocieszający, przyczyny zaś jego należy, mojem zdaniem, szukać niemal wyłącznie w zastraszającym wstręcie szerokich mas naszych do czytania. Jeszcze jakąś powieść, choćby bylejaką, nawet najlichszą i najbanalniejszą czyta

[1] Sprawozdanie z innych czasopism odkładamy dla braku miejsca do następnych zeszytów. Z tego samego powodu nie dajemy w tym zeszycie przeglądu piśmiennictw obcych ani zapisków bibliograficznych.

Redakcya.

się u nas chętnie, ale rzeczy poważnych nie uważa się za godne uwagi. Stąd też pochodzi, że wydawcy pism peryodycznych muszą — nie chcąc tracić na wydawnictwie — dostosowywać się do gustu prenumeratorów, pakując do każdego numeru mnóstwo belletrystyki, przeważnie lichej, skutkiem czego poziom pisma obniża się nieustannie, wobec tego więc o jakimkolwiek postępie nie może być mowy. Tak jest w przeważnej części wypadków, ale — naturalnie — nie zawsze.

Nadzwyczajnie starannie pod względem wyglądu zewnętrznego wydawane jest warszawskie *Ateneum*, powołane na nowo do życia, przez Cezarego Jellentę. Początkowo wydawało się, że będzie ono schroniskiem najnowszych prądów literackich, przynajmniej z pierwszych zeszytów przebijał taki zamiar. Z ukończonego jednakże rocznika trudno wywnioskować, czy zamiar ten nie był tylko złudzeniem, czyli też został skrzywiony brakiem konsekwencyi w doborze prac drukowanych. Tem trudniej powiedzieć o tem coś pewnego, ile że redakcya nie dała od siebie żadnego programu. Wnioskować znowu na podstawie artykułów redaktora (n. p. Twórczość i sztuka) jest niepodobieństwem wobec tego, że są one pisane w sposób tak ciemny i zawiły, jak gdyby ich autor obawiał się prostoty. Mimo wszystko przecież najnowszy prąd literacki odbił się w tem pismie nadzwyczaj wyraźnie czy to w poezyach: K. Tetmajera, Bogusława Adamowicza, Nawrockiego, Żuławskiego, Zbrowskiego i Micińskiego, czy też w powieściach: Jana Zarycza p. t. „Linie Hofera“ (rzecz pisana bardzo pretensyonalnie, ale nie bez większego talentu), lub Juliusza Laforgue „Perseusz i Andromeda, czyli najnieszczęśliwszy z trojga“. Z belletrystyki zasługują ponadto na uwagę: A. Czechowa „Czarny mnich“ i L. Andrejewa „Myśl“. Inne za to prace stoją w zupełnej sprzeczności z kierunkiem, jaki panuje w belletrystyce *Ateneum*. Nie wiem, jak pogodzić z nim sumienne i głęboko pomyślane uwagi W. Nałkowskiego „Z powodu estetyki Guyau“, lub studyum prof. Chmielowskiego p. t. „Nowele Maryi Konopnickiej“ oraz Ign. Radlińskiego „Literaturę grobów“ i gruntowną pracę p. t. „Szkoła Kowieńska i wizyta jej w ostatnim roku wykładów A. Mickiewicza“. Z prac, poświęconych sztuce, wyróżniają się: St. Pieńkowskiego „Scholastyka w sztuce“ i Michała Brenszteina „Styl polski“, rzecz napisana dzielnie w obronie zakopiańszczyzny. To wszystko jednak dysharmonizują „Niekonsekwencye o sztuce w cabaretach“ Neuwert-Nowaczyńskiego, o których mówiliśmy już w roku ubiegłym, to też nie potrzebujemy teraz powtarzać ich oceny, zwłaszcza gdy ona nie może być pochlebna. Całość każdego zeszytu do-

pełniają przeważnie dobre recenzye książek (o ile nie są pisane przez p. Cezarego Jellentę), kronika sztuk i przegląd miesięczny.

Z rozwiniętym sztandarem, na którym wypisana nieograniczona cześć dla nowej sztuki, wychodziła *Chimera*, ale wychodziła tak chimerycznie, że w roku 1903 pojawiły się zeszyty za październik i listopad 1902 r. Jeżeli wydawnictwo będzie postępować dalej tak żółwim krokiem, doczekamy się niebawem pięcio- lub dziesięcioletniego opóźnienia. Zeszyty wspomniane przyniosły wiersze: Staffa, Adama Cybulskiego, Br. Ostrowskiej, Leszczyńskiego, Wyrzykowskiego, Komorowskiej, Rygiera i in. Z belletrystyki na uwagę zasługują: A. Dygasińskiego „Dęby", C. Norwida „Tajemnice lorda Singelworth" oraz utwory J. Zeyera, w mistrzowskim przekładzie „Król Kofetua" i „Dom pod tonącą gwiazdą". Strona zewnętrzna pisma wykończona artystycznie, z wiele większym przepychem, niźli *Ateneum*.

Barwę wybitnie socyalistyczną i judofilską ma miesięcznik krakowski *Krytyka*. Obydwa te kierunki uprawia on stale i wytrwale zarówno w artykułach wstępnych W. Feldmana, poruszających kwestye bieżące, t. zw. aktualne, czy to polityczne, społeczne, ekonomiczne czy religijne („Babilon a biblia"), jak nie mniej w osobnych pracach n. p. dra A. Korkisa „Ruch ludności żydowskiej w Galicyi". Ale też jedyna to konsekwencya w redagowaniu poszczególnych zeszytów. Po za tem bowiem kłócą się utwory wybitnie modernistyczne z pracami innego kierunku n. p. z rozprawą prof. Chmielowskiego p. t. „Zygmunt Miłkowski". Mamy tu zatem utwory Wyspiańskiego („Piast") obok „Dyktatora" Żuławskiego i wierszy M. Wolskiej. Belletrystyka *Krytyki* jest z nielicznymi wyjątkami bardzo licha. Redaktor pisma pakuje do zeszytu byle jaki utwór wierszowany, choćby nawet tak nędzny jak W. Wolskiego „Mystica" *(sic!)*. Niedźwiedzią przysługę wyrządzono też Słowackiemu, który ani przypuszczał, że rymowane jego na marginesach innych rękopisów od niechcenia wiersze (!), których bez wątpienia nigdy nie byłby ogłosił, znajdą się kiedyś na szpaltach *Krytyki*. Wszak z tych wierszy („Gdyby moja matka miła..." lub „Sowiński na Woli") widać najwyraźniej, że były kreślone ot tak sobie, na żart! Czy więc ogłaszanie tego było potrzebne? I dla kogo? Bo dla nauki chyba nie! Z innych prac na wyróżnienie zasługują: A. Cybulskiego o „Teatrze lwowskim", J. Lorentowicza „Z literatury francuskiej" i prof. L. Gumplowicza „Psychologia dziejopisarstwa". Każdy zeszyt zamykał przegląd miesięczny prasy, teatru, sztuk plastycznych, muzyki ekonomicznej, ale niestety, prowadzony w duchu

socyalistycznym, dorywczo w dodatku. Dział recenzyjny był nad wyraz wszelki ubogi i pobieżny.

Inny zupełnie zakrój ma warszawski miesięcznik *Ognisko*, przekształcony z dawniejszego *Miesięcznika Kuryera Polskiego*. Celem jego jest popularyzowanie wiedzy w jak najszerszych kołach społeczeństwa. Ażeby temu zadaniu w zupełności zadośćuczynić, zrobiono wszystko, co tylko było możliwe. Staranność redaktora, którym jest p. Ludwik Straszewicz, zasługuje ze wszech miar na wyszczególnienie, z każdego bowiem zeszytu *Ogniska* jest ona widoczna. Za największą zasługę poczytałbym zadziwiającą różnorodność kwestyi tu poruszanych, a ponadto doskonale utrzymany ton popularno-naukowy. Poezyę reprezentują w *Ognisku:* Or-ot i W. Kosiakiewicz, powieść Conan Doyle („Geniusz śledczy"), Anatol Braz („Trzy legendy bretowskie") i inni. Z artykułów natury ogólniejszej podnieść należy F. Matlaha „Wspierajmy ubogich!", dra Jana Krupskiego „Targowisko małżeńskie", W. Baranowskiego „Pokłóceni z życiem", L. Straszewicza „Hazard", dra St. Trzebińskiego „Zawód i powołanie", A. Górskiego „Człowiek w walce z przestrzenią". Wszystkie zaś one odpowiadają w zupełności swojemu celowi, poruszając w przystępnej formie doniosłe zagadnienia, zmuszając nadto czytelnika do myślenia nad niemi. Z pomiędzy artykułów specyalnych wymieniam: prof. dra M. Rudzkiego „O wieku ziemi", St. Opieńskiego „Opera i dramat muzyczny", dra S. Domuńskiego „Mózg, jego budowa i czynności", prof. dra Włodz. Czerkawskiego „Emigracya, jej istota i znaczenie w życiu narodów", oraz artykuły dra J. Konecznego: „Wskrzesiciel swojego narodu" (życiorys Franciszka Palackyego) i „Co zawdzięczają Czesi Władysławowi Riegerowi?" Tak samo też w tych specyalnych pracach widoczne są wyżej wymienione zalety popularyzatorskiego talentu autorów. Po za tem znajdujemy w każdym zeszycie starannie opracowywany przez p. E. Żmijewską dział o „Sprawach kobiecych" i całe mnóstwo drobiazgów, rozmaitości i t. p. Potrzeba organu takiego, jakim jest *Ognisko*, była od dawna odczuwana. Jeśli pismo to pójdzie dalej tą samą drogą, jaką szło dotąd, wyniknie stąd wielka korzyść dla samej sprawy, dla rozszerzenia światopoglądu szerokich mas naszego społeczeństwa, zwłaszcza że nie ma ono żadnej barwy politycznej, skutkiem czego staje się dostępnem dla ludzi wprost przeciwnych obozów. A wykształcenia ogólnego nikt, chyba, nie ma za wiele!

Mówiąc o najlepszym tygodniku polskim, o petersburskim *Kraju*, powinienbym właściwie powtórzyć wszystko to, co powiedziałem z oka-

zyi zeszłorocznej oceny tego samego czasopisma. Jest ono bowiem i obecnie, jak dawniej, wzorowem pod każdym względem. Sądząc je nawet najsurowiej, musi się przyznać, że pod względem obszerności programu i konsekwencyi w jego przeprowadzeniu nie ma ono między wszystkimi naszymi tygodnikami ani jednego możliwego współzawodnika. W części politycznej jest tak urozmaicone, jak żaden dziennik polityczny polski, z niego można najdokładniej poinformować się o wszystkiem, co się w świecie dzieje: zarówno o bieżącej tendencyi politycznej, o zachmurzonym horyzoncie tu lub ówdzie,, jak niemniej o sprawach społecznych i ekonomicznych, szkolnych i prawnych, narodowych i religijnych. Artykuły wstępne z tego zakresu są wprost niezrównane, wyczerpujące daną kwestyę do dna, oświetlające ją z różnych punktów widzenia. Każdy dalej najdrobniejszy nawet objaw życia naszego narodowego znajduje tutaj omówienie stosownie do swojej wagi obszerniejsze lub zwięźlejsze czy to w przeglądzie prasy polskiej i zagranicznej, czy w bogatych korespondencyach ze wszystkich stron Polski historycznej (z Litwy, Białorusi, Podola, Ukrainy, Śląska i t. d.), emigracyi francuskiej i amerykańskiej, lub też ze stolic europejskich, w których notowany jest każdy krok ważniejszy Polaków, czy w kronice lub wreszcie w osobnych artykułach. Zdałoby się tylko trochę mniej filosemityzmu, jakim miejscami wonieją niektóre artykuły. Część druga *Kraju*, część literacko-artystyczna odpowiada najzupełniej swojemu zadaniu. Zadaniem zaś jej jest przedewszystkiem ilustrować ważniejsze wypadki w świecie się wydarzające, słowem zaś opisywać wszystkie te aktualne wydarzenia, jakie z rozmaitych powodów nie mogły wejść do części politycznej. Mamy więc tutaj opisy illustrowane wybitnych faktów (n. p. wyboru Ojca św. lub pogrzebu Ojca św. Leona XIII), miejscowości i pamiątek historycznych, życiorysy zasłużonych ludzi, przedstawienie nowych wynalazków i t. p. Po za tem zdarzają się często (choć nie bardzo często) artykuły literackie i obszerne sprawozdania z ważniejszych dzieł polskich i obcych. Ponadto mamy jeszcze kronikę naukową, literacką i artystyczną oraz w każdym numerze szereg drobnych notatek bibliograficznych takich, jakie są w *Przeglądzie*. Beletrystyka ma osobny dział dodatkowy, w którym drukują się bądź to krótsze nowele, bądź streszczenia ważniejszych utworów oryginalnych oraz poezye współczesne pierwszorzędnych talentów. Do każdego zeszytu *Kraju* dołączona jest też karta albumowa, zawierająca reprodukcyę doskonale pod względem technicznym wykończoną znamienitszych arcydzieł malarstw i rzeźby. Tu właśnie zdałby się trochę ważniejszy

wybór, bo nie zawsze to, co *Kraj* reprodukuje, jest rzeczywiście warte rozpowszechnienia.

Tygodnik illustrowany zasłużył sobie w zupełności na uznanie starannością około doboru artykułów i rycin. Dając w dalszym ciągu jako bezpłatny dodatek pisma Sienkiewicza (co miesiąc tom) nie zaniedbywał belletrystyki, która przedstawia się w tym roczniku doskonale. Do najcelniejszych powieści należą: Żeromskiego „Popioły“ i Reymonta „Chłopi“. Z tymi utworami harmonizowała doskonale poezya, cokolwiek za skąpo dawana w *Tygodniku*. Artykuły wstępne utrzymały się na dawnej wyżynie, czerpiąc materyał z zagadnień filozoficznych, wychowawczych, etycznych i społecznych. Prac literackich było w tym roczniku niewiele. Najlepsza z nich ocena książki Brücknera, dokonana przez p. J. Chrzanowskiego w artykule p. n. „Najnowsza historya literatury polskiej“. Więcej za to było rozpraw historycznych z których najlepsze: dra Wacława Sobieskiego „Pierwszy protektor Samozwańca“ i „Żałobny hetman“ oraz dra Józefa Kallenbacha „Kalendarz króla Jana III z roku 1683“. Do działu historycznego należy też cały numer, poświęcony uczczeniu O. Kordeckiego. Opisom miejscowości i podróży użyczono sporo miejsca. Najlepszym z nich Sieroszewskiego „Przez Syberyę i Mandżuryę do Japonii“. Z rzeczy przyrodniczych wymieniam Edmunda Jankowskiego cykl p. n. „Nasze drzewa“. W rubryce p. t. „Z tygodnia na tydzień“ poruszano przeróżne sprawy i wydarzenia bieżące, czego uzupełnieniem była kronika, regestrująca pokrótce sprawy: kościelne, literackie, artystyczne i społeczne całej Polski. Z ubolewaniem trzeba podkreślić pewną stronniczość w traktowaniu spraw lwowskich, w tym bowiem dziale daje się rozgłos śmieszny i bałamutny osobistościom przeważnie do jednego kółka należącym. Dział recenzyjny *Tygodnika* jest również bardzo obfity i staranny. Mnogość zaś illustracyi i ich dobór, jakoteż techniczna strona wykonania, zasługują na podniesienie. Z pomiędzy czasopism tygodniowych niepolitycznych jest on bezwarunkowo najlepszy.

Nie może się już z nim mierzyć *Wędrowiec*, dający w bezpłatnym dodatku wybór dzieł Słowackiego, dokonany przez L. Méyeta i F. Hoesicka, bodaj z tej przyczyny, że illustracye, jakie podaje, ani doskonałością wykonania ani wyborem nie dorównują takimże w *Tygodniku*. Główny nacisk położono tu na poezyę, którą reprezentują w przeważnej części: Or-ot (redaktor), K. Gliński i Żuławski, jakoteż na powieści, z których najlepsze były: M. Rodziewiczównej „Macierz“, F. Jeske-Choińskiego „O mitrę hospodarską“ i St. Nałęcz-Ostrow-

skiego „Warna“. I z tego już widać zasadniczą różnicę pomiędzy *Tygodnikiem* a *Wędrowcem*. Bo podczas gdy tamten szedł naprzód z prądem czasu, posiłkując się nowszym kierunkiem literatury to *Wędrowiec* nie wykroczył poza ramy starszej epoki. Przewagę stanowiły w *Wędrowcu* prace z zakresu historyi literatury, bardzo dobre i sumienne, jak n. p. Henryka Gallego „Pan Balcer w Brazylii Konopnickiej“, Antoniego Langego „Elżbiety Drużbackiej pisma nieznane“, Korespondencya Sewera (Maciejowskiego) z Asnykiem lub L. Uziębły „O Mickiewiczu w okresie studyów i nauczycielstwa“. Z pomiędzy prac historycznych na uwagę zasługuje zeszyt, poświęcony pamięci O. Augustyna Kordeckiego i szkic J. K. Kochanowskiego p. n. „Z czasów Jagiełły“. Z opisów podróży wymienić należy pracę o Korei generała Pawła Chrzanowskiego p. t. „Jabłko niezgody na dalekim Wschodzie“, z prac społeczno-obyczajowych piękne studyum W. Gomulickiego p. t. „Polka w życiu, historyi i literaturze“. Ponadto drukował *Wędrowiec* opisy miejscowości, zwyczajów, szkice społeczne i polityczne, życiorysy zasłużonych ludzi, omawiał sprawy teatralne, muzyczne i artystyczne, a chwilę bieżącą fotografował w „Przeglądzie tygodnia“.

Ale już całkiem nie mogły iść w zawody z powyższymi dwoma tygodnikami inne tego rodzaju pisma warszawskie: ani popularno-naukowy *Tygodnik polski*, znowu zmartwychwstały po ciężkich biedach i kłopotach, ani takież *Ziarno*, bardzo a bardzo liche, ani stara *Biesiada literacka*, którą podtrzymuje nazwisko zasłużonego Wł. Malczewskiego i pieniądze akcyonaryuszów. Ostatnie pismo jest bardzo rozpowszechnione dzięki reklamie, że będzie drukować powieść Sienkiewicza „Na polu chwały“. *Biesiada* postawiła sobie za cel, — być pismem dla wszystkich rodzin polskich. Sądzę, że „mądrej głowie dość...“ na określenie, ile warte pismo dla wszystkich.

Rozumiem doskonale pismo dla wszystkich, które w obrazkach przedstawi ważniejsze wypadki światowe lub krajowe tylko. Jeśli illustracye wypadną dobrze i będą podane prędko, zadanie zostało arcywyśmienicie wykonane, a tem samem jest już i pewna zasługa. Takim pismem dla wszystkich, które wypełniało uczciwie przyjęte na się zobowiązania, był krakowski tygodnik *Illustracya polska*. Dbając wielce o szybkość informacyi i o dobre wykonanie rycin, jakoteż o znośny dział belletrystyczny, przekonała *Illustracya* potulnych „Galicyan“, że wszelkie niemieckie *Blatty* (interesujące) są w istocie mniej od niej

interesujące i w krótkim czasie opanowała plac boju, z prawdziwym pożytkiem dla sprawy samej.

Przechodzimy do tygodników nieillustrowanych, dając pierwszeństwo Warszawie, bo, bo... nie mamy w Galicyi ani jednego takiego pisma. Chciał wprawdzie niedawno wychodzić we Lwowie *Tygodnik polski*, ale zgasł rychło. Czasopism tego rodzaju ma Warszawa ośm. *Prawda* radykalno-judofilsko-antireligijna traktuje z takiego to stanowiska sprawy polityczne, społeczne i ekonomiczne. Artykuły literackie są przeważnie ocenami innych dzieł (pisane przez A. Dragoszewskiego są bardzo dobre i bezstronne). Rzeczy prawdziwie udatne w rodzaju takich, jak n. p. Sieroszewskiego „Kawałek Japonii“ lub Smoleńskiego „Spostrzeżenia nad najnowszą historyografią polską“ (z powodu prac prof. Askenazego), należą do rzadkości.

Przegląd tygodniowy ma barwę socyalistyczno-żydowską. Prac samodzielnych w nim jeszcze mniej, niż w *Prawdzie*.

Jeszcze najlepiej z tych wszystkich pseudopostępowych tygodników przedstawia się *Głos*. Najsłabszą jego stronę stanowi dział polityczny, w którym rozstrzygane bywają sprawy znane bardzo niedokładnie (n. p. spór rusko-polski w Galicyi) w zadziwiająco niemądry sposób. Ma on natomiast wiele prac samodzielnych, przewagę zaś daje artykułom literackim pewnego odłamu modernistów warszawskich z Stanisławem Brzozowskim na czele. Rocznik ubiegły zaznaczył się zajadłą a niemądrą walką z Sienkiewiczem.

Niewątpliwie najlepszym warszawskim tygodnikiem jest założone rok temu zaledwo *Ogniwo*. Wielką jego zasługą jest, że wykluczyło ze swego programu politykę, regestrując ważniejsze wydarzenia w kronikach: społecznej i politycznej oraz w korespondencyach: z Galicyi, Petersburga, Grodna, Rygi, Wilna, Czech, Rzymu, Londynu, Paryża i t. d. Główną wagę położono na dział naukowy, w którym napotykamy rzeczywiście cenne prace: dra L. Wernica „Hygiena wobec nauki społecznej i potrzeb prowincyi“, St. Kramsztyka „W cieniu i na słońcu“, Wł. Małkowskiego „Antropogeografia u Francuzów“, L. Krzywickiego „Z powodu kwestyi rolnej“, W. Smoleńskiego „Dzieje konfederacyi targowickiej“, dra Z. Gargasa „Obowiązek wybierania“ lub J. Radlińskiego „Świat i człowiek“. Są one opracowane bardzo sumiennie, z wielką znajomością przedmiotu, przystępnie przytem dla szerokich warstw społeczeństwa. Mogą być bardzo pomocne każdemu samoukowi. Dział literacki jest równie obfity, a w nim prace: prof. Chmielowskiego „Końcowa scena „Nieboskiej“, J. Murzyńskiego „Wi-

traże Wyspiańskiego", prof. Brücknera „Studya najnowsze na polu literatury polskiej", A. Kryńskiego „Jan Karłowicz", oraz szereg rozbiorów dzieł i poezyi, dalej parę nowel i utworów poetyckich, autorów najmłodszych. Sprawy aktualne poruszane są w osobnym dziale; z nich zaś wyróżniają się: S. Posnera „Nad otchłanią" (o handlu dziewczętami), S. Karpowicza „Perspektywy samouctwa", St. Koszutskiego „Praca organiczna a rozwój przemysłowy kraju", dra E. Biernackiego „Narady nad hygieną", Z. Pietkiewicza "Przemysł domowy", Z. Pietkiewicza „Prometeizm w nauce", dra Wł. Biegańskiego „Sprawa pomocy lekarskiej dla ludu", S. Karpowicza „W sprawie reformy wychowania i nauczania", J. Zakrzewskiego „My i wychodźtwo", dra H. Jakubowicza „Walka z gruźlicą" i wiele innych. Słowem — dobór prac jest tak staranny i widoczny, że w tym względzie nie może iść w zawody z *Ogniskiem* żaden wogólności tygodnik warszawski. Zdarzają się i tutaj artykuły stronnicze, jak Mahrburga, lub zbyt specyalne (n. p. niektóre prof. Chmielowskiego), dla których właściwsze miejsce znalazłoby się z pewnością gdzieindziej, ale to trudno. Nie ma niczego bez usterek.

Pism dla kobiet mamy trzy. Z nich najstarsze i najlepsze *Bluszcz*, wychodzące pod redakcyą Gawalewicza, podniosło się od pewnego czasu bardzo, przewyższając wszystkie pisma niemieckie tego rodzaju. Abstrahując zupełnie od dodatków, zawierających formy sukien i t. p., muszę z przyjemnością zaznaczyć, że dział literacki prezentuje się bardzo dobrze. Obok powieści i poezyi mamy tutaj szereg artykułów z dziedziny wychowania dzieci, a nadto sporo prac literackich i historycznych, pisanych przystępnie i pouczająco. Obok *Bluszczu* wychodzi też w Warszawie *Tygodnik mód i powieści*, nie mogący żadną miarą iść w porównanie z omówionem dopiero pismem. Poziom jego jest taki, jak każdego niemieckiego *Frauenblattu*.

Echo muzyczne i teatralne zmniejszyło znacznie w roku minionym swoją objętość — zostając przy dawnym programie, skazanym już w samym tytule i przeprowadzić starało się go systematycznie. Było ono jedynem pismem muzycznem polskiem.

Poznański tygodnik *Praca*, przeznaczony dla niższej klasy ludności, spełniał znakomicie swoje zadanie, szerząc odpowiednio dobieranymi artykułami, powieściami i poezyami poczucie narodowościowe pod zaborem pruskim. Ożywiony myślą zacną i uczciwą stał na straży religii katolickiej i narodowości polskiej oraz języka. Zasługa tego pisma — zważywszy trudne warunki, w jakich wychodziło, — jest nie-

zrównana. Obecnie po przejściu w ręce postępowej szlachty poznańskiej będzie mogło działać tem wydatniej i skuteczniej, czego mu z całego serca życzymy.

Pism dla dzieci w rozmaitym wieku (lat 6—12) mamy sześć. Z nich najstarszy, bo 16-letni *Mały światek*, wychodzi trzy razy na miesiąc pod redakcyą p. A. Lewickiej. Zamieszczał on powiastki i poezyjki, opisy podróży i wynalazków, obrazki z przyrody, utrzymując ciągle, gdzie się tylko dało, ducha patryotycznego. Dla dzieci niżej lat ośmiu dawał osobny dodatek p. n. *Światełko*. Dawał nadto na osobnych arkuszach modele zabaw, odpowiednich w danej porze roku, a zatem w lecie — latawców i t. p., w zimie szopek i t. d. Wszystko byłoby tu dobre, gdyby niejeden błąd wspólny zresztą innym tego rodzaju wydawnictwom, który surowo został skarcony przez nas w roku minionym. Chodzi mi mianowicie o obrazkową stronę wydawnictwa, która zamiast budzić w dziecku zadowolenie estetyczne, tłumi je siłą i mocą, przedstawiając haniebne karykatury. Pamiętni łacińskiego przysłowia — *consuetudo altera natura* i naszego „czem skorupka nasiąknie, tem na starość cuchnie“, powinniśmy baczyć na to, ażeby w dziecku budzić od najrańszych lat zmysł estetyczny. „Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy“. Ponadto wychodziły w Warszawie tygodniki, *Wieczory rodzinne, Moje pisemko*, dwutygodnik *Wiek młody* (Lwów) i miesięcznik *Anioł-stróż* w Krakowie.

O czasopismach dla młodzieży szkolnej — o *Tece* i o *Promieniu* nie mogę powiedzieć niczego innego ponadto, co powiedziałem w ocenie zeszłorocznej. Ani jedno z nich nie postępowało drogą właściwą, budząc w młodzieży niezadowolenie i przedwczesny pochop do krytykowania tego, czego się dobrze nie rozumie. Że mącenie takie spokojnej wody nie prowadzi do niczego dobrego, o tem jestem głęboko przekonany. Żal pomyśleć, że i ta młodzież akademicka, zamiast jąć się pracy poważnej, bawi się w pisanie „politycznych“ (?!) artykułów, nie będąc do tego wcale przygotowaną.

Najpoważniejszem pismem, poświęconem szkolnictwu ludowemu, był organ lwowskiego Towarzystwa pedagogicznego, tygodnik *Szkoła*, który pomieścił cały szereg artykułów, tyczących się bądź to metodyki nauczania, bądź spraw, związanych pośrednio ze szkołą, bądź wreszcie spraw zawodowych, a nadto wiele recenzyi i sprawozdań z dzieł ważniejszych polskich. Rozwój tego pisma jest z rokiem każdym coraz to widoczniejszy.

Takie same zadanie, jak *Szkoła* dla Galicyi, postawił sobie dla

Śląska cieszyńskiego *Miesięcznik pedagogiczny*, wychodzący w szczupłym rozmiarze, ale mieszczący w sobie prace częstokroć bardzo ważne w rodzaju takich, jak n. p.: J Herzki „O potrzebie wyższego wykształcenia nauczycieli", J. Ciembroniewicza „Mikołaj Rej z Nagłowic i jego Żywot człowieka poczciwego w świetle pedagogii". Pomieszczał też prace, nie łączące się ściśle z szkolnictwem, ale nie mniej ważne, n. p. „Nieco o polskim stylu i zdobnictwie". Każdy zeszyt tego pisma podawał stale kronikę szkolną i bibliografię.

Organ lwowskiego Związku rodzicielskiego *Rodzina* i *szkoła*, wychodzący dwa razy w miesiącu, zajmował się głównie sprawami wychowania domowego i szkolnego. Przy tem pismie wychodził też pożyteczny dodatek p. n. *Wiedza i życie* — popularyzatorsko-naukowy.

Inne pisma tej kategoryi, jak: dwutygodnik krakowski *Gazeta szkolna*, wychodzące trzy razy w miesiącu *Szkolnictwo* (Nowy Sącz), dwutygodnik *Głos nauczycielski* (Kołomyja) i *Gazeta nauczycielska* (miesięcznik, organ Towarzystwa nauczycieli szkół ludowych m. Lwowa), zajmowały się przeważnie sprawami czysto zawodowemi i były — nie wywierając żadnego poważniejszego wpływu — malkontentami w rozmaitych tonach. Do nich dodaćby jeszcze należało *Miesięcznik Towarzystwa Szkoły ludowej*, jako złączony z sprawami oświaty ludowej w najszerszem znaczeniu tego słowa.

Królestwo Pol. miało tylko jedno, ale bardzo poważne czasopismo *Przegląd pedagogiczny*, poświęcony sprawie wychowania młodzieży do lat 15-stu. Zaletą jego największą były ogólne artykuły, pisane wybornie przez osoby, rutynowane w zawodzie nauczycielskim, artykuły przynoszące niejednokrotnie wielki zasób nowych myśli i poglądów. Poza tem osobne rubryki poświęcono sprawom szkolnym, rozbiory zaś dzieł pedagogicznych polskich i obcych, jakoteż przegląd prasy krajowej i zagranicznej traktowano wyczerpująco. Każdy zeszyt tego pożytecznego tygodnika kończył się kroniką bieżącą i starannie zebranemi wiadomościami bibliograficznemi o dziełach i pismach polskich i zagranicznych.

Ale najwyżej ze wszystkich naszych pism pedagogicznych stał organ towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie, wychodzące miesięcznie *Muzeum*. Redakcya nie zawiodła nadziei, wyrażonych przez podpisanego w zeszłorocznej ocenie tego pisma. Istotnie krok, jaki zrobiło w ubiegłym roku, jest olbrzymi w rozwoju długoletnim *Muzeum*. Redakcya, rozumiejąc dobrze, że nauczyciel gimnazyalny na prowincyi, będąc zupełnie odciętym od świata cywilizowanego, ograni-

czyć się musi jednem pismem, z którego ma zaczerpnąć wiadomości o tem, co się dzieje na polu pedagogii ogólnej, — położyła główny nacisk nie na prace oryginalne, a za to starała się dać dokładny przegląd wspólnej literatury pedagogicznej europejskiej (referowany przez p. B. Błażka i popisanego), przeglądy poszczególnych gałęzi nauki, mnóstwo ocen dzieł i podręczników szkolnych, książek dla młodzieży oraz programów szkolnych, wreszcie obszerną kronikę szkolną i pedagogiczną, zebraną z pism zagranicznych, tak że obecnie ów prowincyonalny nauczyciel nie potrzebuje oglądać żadnego innego pisma pedagogicznego, w *Muzeum* bowiem znajdzie to wszystko w dokładnych streszczeniach lub rozbiorach, co zawierają pisma obce (niemieckie, francuskie, angielskie, czeskie i t. d.) razem wzięte. Program dzisiejszy *Muzeum* — z uznaniem podnieść należy — jest tak obszerny i wszechstronny, jak żadnego innego pisma obcego. Z prac oryginalnych na uwagę zasługuje sumienne studyum historyczne dra Ant. Karbowiaka „Szkoła pruska w ziemiach polskich", J. Czerneckiego „Z historyi pedagogii", Stanisława Serafina Jagodyńskiego „Calligraphia albo Cancellaria z r. 1695", ponadto cały szereg prac metodycznych i ogólnych n. p. J. Dolnickiego „Egzamin dojrzałości w świetle zarysu organizacyjnego", W. Doleżana „O kąpielach w szkołach średnich", dra B. Mańkowskiego „Przepełnienie szkół" i t. d. Nie należy wątpić, że *Muzeum* pod energicznem a starannem kierownictwem dra Mańkowskiego z każdym rokiem będzie się udoskonalać i pogłębiać, jak dotychczas.

Organ lwowskiego Towarzystwa filologicznego *Eos* zawierał oczywiście wyłącznie prace specyalne, pisane częścią w języku łacińskim częścią w polskim. Z prac zawartych w 1-ym zeszycie z roku 1903 (następne dotąd nie wyszły) zasługują na uwagę: prof. dra Piotra Bieńkowskiego „O fałszerstwach archeologicznych", prof. dra Jana Rozwadowskiego „Semaryologia, czyli nauka o rozwoju wyrazów" (antyteza teoryi Wundta) i prof. Chmielowskiego „Ostatni z poetów polsko-łacińskich".

Ostatni, już XVII-ty z rzędu, rocznik *Kwartalnika historycznego* stanął na tej samej wyżynie, co poprzedni. Obecnie, kiedy historycy literatury uzyskali swój osobny organ, wydzielono z programu pisma rzeczy, tyczące się filologii i literatury, w omawianym roczniku już całkowicie. Naturalnie — stało się to z korzyścią dla *Kwartalnika*, który i tak, wychodząc od lat kilku w zmniejszonej objętości, miał mało miejsca na omówienie prac historycznych. Rozpraw samodziel-

nych jest tutaj kilka z rozmaitych czasów i epok, a zatem prof. dra Karola Potkańskiego „Przywilej z roku 1086“, dra Antoniego Prochaski (jednego z najgorliwszych współpracowników *Kwartalnika)* „Sejmiki wiszyńskie w czasach trzech elekcyi pojagiellońskich“. prof. dra Aleksandra Hirszberga „Maryna Mniszchówna w Tuczynie“. „Międzynarodowy kongres historyczny w Rzymie“ został pięknie opisany przez jednego z uczestników prof. dra Bronisława Dembińskiego. Mamy też tutaj rozprawę ogólną metodologiczną prof. dra Szymona Askenazego p. t. „Metody i warunki krytyki naukowej w zakresie dziejów nowożytnych“, zajmującą się w większej części polemiką z wywodami St. Krzemińskiego i Smoleńskiego.

Dział „Miscellaneów“, przeznaczony dla prac drobniejszych i materyałów surowych, reprezentuje niemal wyłącznie historya porozbiorowa Polski. Mamy więc tutaj wypisy „Z pamiętnika szkoły OO. Dominikanów w Uszaczu“, prof. Askenazego „Projekt wcielenia Galicyi do Węgier (1830)“, Jana Lenicka „Andrzej Wilhelm o wypadkach galicyjskich w roku 1846“, Franciszka Pułaskiego „Listy Szczęsnego Potockiego do Katarzyny II i Zubowa“, dra Stanisława Kętrzyńskiego „List T. Kościuszki do Monsignora Lita nuncyusza“. Prof. dr. St. Dobrzycki rzucił garść trafnych uwag o krytyce historycznej dzieł literackich „W sprawie artykułu prof. dra Askenazego ‚Na marginesie Kordyana‘“. Rzeczy dawniejszych tyczą się „Zapiski historyczne wśród starych almanachów Biblioteki Jagiellońskiej“, podane przez prof. Ludwika Birkenmajera.

Równą troskliwością o rozmaitość otoczony był obfity dział recenzyjny, w którym podano, niejednokrotnie bardzo gruntowne i wyczerpujące oceny około historycznych prac polskich lub obcych, tyczących się naszych dziejów, historyi oświaty, sztuki i archeologii. Współpracownikami tego działu oprócz wymienionych byli: prof. dr. A. Brückner, dr. K. Bąkowski, dr. A. Chmiel, dr. Z. Gargas, L. Janowski, dr. J. Korzeniowski, T. Korzon, dr. F. Kopera, E. Lepszy, dr. Br. Łoziński, dr. Fr. Papée, E. Świeykowski, dr. A. Szelągowski, dr. A. Winiarz, dr. St. Zakrzewski i inni. Prace, tyczące się historyi powszechnej, zarówno polskie jak i obce, były omawiane krótko a zwięźle w rubryce „Przeglądu historyi powszechnej“: mamy tu więc historyę średniowieczną i nowożytną w opracowaniu zasłużonego redaktora dra Al. Semkowicza, jako nowość zaś, której nie było dotąd w *Kwartalniku,* przegląd literatury historyi Żydów w Polsce za czas 1899—1903, ułożony przez dra Schorra i M. Balabana. — Każdy zeszyt

zawierał ponadto „Kronikę“, będącą regestrowaniem wybitniejszych zdarzeń, zaszłych w naszych i obcych towarzystwach naukowych, archiwach, bibliotekach i muzeach, zawierającą dalej ogłoszenie konkursów, nekrologię i inne drobiazgi. A że, jak wiadomo, drobne takie wiadomości giną niepostrzeżenie w bibule dziennikarskiej, to też rubryka ta jest prawdziwie pożyteczną dla ogółu historyków, a kto wie, czy w przyszłości nie przyda się komu na co? Mozolny trud, z jakim dr. E. Barwiński opracowuje systematycznie „Kronikę“, zasługuje na najzupełniejsze uznanie, a nie na zarzuty nieuzasadnione, jakie w swoim czasie pojawiły się w *Słowie Polskiem*. Każdy zeszyt *Kwartalnika* zawiera nadto przez tego samego autora ułożoną według działów „Bibliografię historyi polskiej“, w której uwzględniono bardzo wiele prac, mieszczących się w czasopismach niemieckich, rosyjskich, francuskich i t. p. Z żalem zauważyć należy, iż starania redakcyi około podniesienia objętości tego jedynego polskiego pisma historycznego nie mogą doprowadzić do pożądanego celu, wobec zupełnej obojętności społeczeństwa, z jaką ono odnosi się do *Kwartatnika*. Wspomnijmy, że n. p. każda prowincya niemiecka utrzymuje specyalne pisma historyczne. A my? My prawimy baje o wyższości kultury słowiańskiej czy polskiej nad niemiecką i już jesteśmy ze siebie zupełnie zadowoleni. A tu tymczasem pokazuje się — próchno...

Organ krakowskiego Towarzystwa numizmatycznego *Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne*, których zeszyt pojawiał się dawniej od czasu do czasu, nie dały o sobie ani znaku życia w roku ubiegłym. A szkoda byłoby, gdyby pismo to upadło!

Pismem, poświęconem głównie geografii i krajoznawstwu, był warszawski tygodnik *Na około świata*. Artykuły, jakie pomieszczał, były utrzymywane w tonie popularno-naukowym. Rozmaitość zaś ich była bardzo wielka. Zadanie przyjęte na siebie spełniało to pismo sumiennie. Część illustracyjna dobra.

Od geografii i krajoznawstwa niedaleko do etnografii. Jednem z pism, poświęconem jej, jest organ lwowskiego Towarzystwa ludoznawczego *Lud*, wychodzący kwartalnie pod redakcyą prof. d-ra A. Kaliny. Wszystkie działy pisma były ułożone starannie i równomiernie. Rozpraw większych było w tym roczniku dosyć. Do celniejszych należą: W. Badury „Husów, wieś powiatu łańcuckiego“, d-ra F. Krčeka H. Goldsteina „Przyczynki do księgi przysłów S. Adalberga“, d-ra K. Matyasa „Ludowe nazwy miejscowe w powiecie brzeskim w Galicyi“, E. Świeżawskiego „Dyalog pogrzebowy u Kadłubka na cześć

Kazimierza Sprawiedliwego“ (praca niesłychanie ciekawa i gruntowna), St. Polaczka „Zwyczaje, zabobony, przesądy i wierzenia ludów słowiańskich przy budowlach“, d-ra A. Kaliny „Ś. p. Jan Karłowicz“. Dział drobnych notatek i przyczynków folklorystycznych t. zw. „rozmaitości“ był bardzo obfity. Toż samo należy powiedzieć o dziale recenzyjnym, w którym można napotkać wiele ocen bardzo krytycznych i wyczerpujących.

Dwumiesięcznik warszawski *Wisła* miał za zadanie nietylko uprawianie samego ludoznawstwa, poświęcał też wiele miejsca krajoznawstwu. Niepodobna w tem krótkiem sprawozdaniu kusić się o pobieżny bodaj, ale dokładniejszy przegląd prac, jakie zawiera omawiany rocznik *Wisły*. Do wybitniejszych rozpraw zaliczamy: A. Chudzińskiego „Brodnica w XVIII wieku“, Witowta „Baśni z Kujaw Borowych“, E. Majewskiego i Wł. Jareckiego „Bydło w mowie, pojęciach i praktykach ludu naszego“, M. Wawrzenieckiego „Zabytki budownictwa drewnianego“, J. Radlińskiego „Apokryfy judaistyczno-chrześciańskie“ (jaki one mają związek z ludoznawstwem i krajoznawstwem? — tego nie wiem), d-ra L. Rutkowskiego „Obecna ludność powiatu Płońskiego i okolicy“, J. Pszczółkowskiej „Chrzest, zaślubiny i pogrzeb we wsi Czajkowie“, d-ra Fr. Krčeka „Na marginesie Księgi przysłów Adalberga“, M. Parczewskiej „Szopka w Kaliszu“, d-ra B. Jaworskiego „O kształcie osad“, Witowta „Baśni z powiatu Radzyńskiego“. Od wielu lat prowadzona w *Wiśle* rubryka „poszukiwań“ jakoś od dłuższego czasu nie wydaje pożądanych owoców. Skąpe są bardzo przyczynki do kwestyi: lecznictwa ludowego, zwyczajów prawnych, istot nadprzyrodzonych, pisanek, chaty i t. p. Z tego trudno robić jakikolwiek zarzut redakcyi, rubryka ta bowiem zależy najzupełniej od ochoty prowincyonalnych czytelników *Wisły*. Najsłabszą stroną *Wisły* jest dział recenzyjny, w którym wprost zastrasza ogromne ubóstwo. Recenzyi prac polskich niemal że nie widać. Mniejsza o to, gdyby bodaj recenzye prac obcych były oryginalne. A tu tymczasem przekonujemy się, że są one tłumaczone z różnych pism niemieckich. Niedbałość w tym dziale jest karygodna. A chyba ludzi, którzyby mogli pisywać sprawozdania z dzieł etnograficznych jest u nas dosyć, żeby tylko wymienić pp. K. Ułaszyna, W. Badurę, d-ra J. Leciejewskiego, S. Udzielę i t. d. Widocznie redakcya zdaje się na Opatrzność Boską i czeka tylko na to, co kto zechce nieproszony przysłać. Tem tylko tłumaczę sobie te przerażające pustki, jakie panują niepodzielnie w re-

cenzyjnej rubryce *Wisły*. Może moje słowa, wypowiedziane nie dla prostego krytykowania, jeno z życzliwości dla pisma, nie padną na opokę...

Z pośród czasopism fachowych najlepiej zastąpione jest prawo wraz z naukami społecznemi i ekonomicznemi. Z wieku i urzędu należy się pierwszeństwo lwowskiemu miesięcznikowi, wychodzącemu pod niestrudzoną redakcyą prof. d-ra Ernesta Tilla, *Przeglądowi prawa i administracyi*. Zamieszcza on oprócz rozpraw specyalnych, mogących interesować tylko prawnika zawodowego, także prace historyczne np. d-ra Stanisława Kutrzeby „Studya do historyi sądownictwa w Polsce“ lub d-ra Przemysława Dąbkowskiego „Dwie taksy kancelaryjne sądu halickiego z wieku XVII i XVIII“, a nadto omawia sprawy bieżące, które mogą interesować szerszy ogół lub przynajmniej pewne jego warstwy, np. prof. d-ra St. Starzyńskiego „Zmiana regulaminu obrad Rady państwa“, d-ra Juliana Makarewicza „Projekt ustawy drukowej“, prof. d-ra Władysława Pilata „Znaczenie naukowe socyologii i jej wpływ na pogląd na świat“ lub d-ra J. Buzka „Proces wynarodowienia w świetle statystyki narodowościowej państw europejskich“. Każdy zeszyt przynosi ponadto obfity dział krytyczny i ciekawe orzeczenia Trybunału kasacyjnego z zakresu praktyki cywilno-sądowej i karno-sądowej, oraz dodatek ze spisem protokołowanych firm handlowych.

Krakowski kwartalnik *Czasopismo prawnicze i ekonomiczne* nie różni się bardzo programem od *Przeglądu*. Tak samo, jak w nim, mamy i tutaj rzeczy ogólniejszej natury i historyczne, np. d-ra J. Milewskiego „Stan kwestyi monetarnej na schyłku XIX wieku“, prof. d-ra M. Bobrzyńskiego „Statut Rady szkolnej krajowej galicyjskiej“, dra J. Morelowskiego „O stylu urzędowym i terminologii prawniczej“, d-ra J. Buzka „Wpływ polityki żydowskiej rządu austryackiego na wzrost zaludnienia żydowskiego w Galicyi w latach 1772—1788“. Dział recenzyjny był bardzo staranny i obszerny.

Bardzo ciekawe sprawy poruszał warszawski kwartalnik *Ekonomista* w pracach: M. Sokolnickiego „Czynności komisyi kolonizacyjnej (1866—1903)“, A. Suligowskiego „Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie“, H. Radziszewskiego „Zaludnienie Królestwa Polskiego“, M. Kmiorskiego „Większa i mniejsza własność wobec parcelacyi“. Z pomiędzy innych prac zasługują na wyróżnienie: L. Méyeta „Losy pewnego projektu Steinkellera“, W. Szukiewicza „Angielski ruch kooperatywny“ i St. A. Kempnera „Józef Supiński“. Każdy zeszyt za-

wierał ponadto doskonałą „kronikę ekonomiczną“ oraz dział recenzyjny, bardzo starannie prowadzony i bibliografię wydawnictw z zakresu prawa i ekonomii społecznej.

Z wydawnictw większych krótkim żywotem cieszył się krakowski miesięcznik *Wiadomości społeczno-ekonomiczne*, który upadł wnet po założeniu. Z artykułów, w nich zamieszczonych, wymienię Teofila Rozmarynowicza „Ideał społeczny“ i L. Kulczyckiego „Poglądy socyologiczne Ad. Costea“

Poza temi mieliśmy jeszcze lwowską *Reformę sądową*, miesięcznik, poświęcony nowym ustawom procesowym, tygodnik *Gazetę sądową warszawską*, oraz bardzo liche: *Dobrobyt*, organ Związku galicyjskich kas oszczędności, wychodzący co dwa tygodnie we Lwowie i tygodnik *Dźwignię*.

Czasopism przyrodniczych mieliśmy wszystkiego trzy, ale wszystkie doskonale redagowane, a mianowicie: lwowski miesięcznik *Kosmos*, warszawski tygodnik *Wszechświat* i *Chemika polskiego*, tygodnik pod kierunkiem Br. Znatowicza. Od nowego roku ma zacząć wychodzić w Warszawie tygodnik popularno-naukowy *Przyroda*, pismo bardzo potrzebne wobec coraz to wydatniejszego braku wykształcenia przyrodniczego w młodem pokoleniu.

Za to czasopism lekarskich wychodzi niemal legion. Prym tu dzierży Warszawa, gdzie wydają następujące tygodniki: *Medycynę*, *Gazetę lekarską*, dwutygodniki *Kronikę lekarską* i *Przegląd felczerski*, miesięczniki: *Ginekologię*, *Przegląd dentystyczny*, *Lekarza-homeopatę*, *Bibliotekę lekarską*, *Odczyty kliniczne* i *Zdrowie*. To ostatnie pismo jest poświęcone sprawom hygieny i jako takie może być śmiało zalecone szerszemu ogółowi ze względu na dobór bardzo pouczających prac, np. d-ra T. Tyszeckiego „Statystyka wychowania fizycznego w Galicyi“, H. Dobrzyckiego „Sanatoryum dla chorych piersiowych w Zakopanem“, d-ra J. Piotrowskiego „O hartowaniu ciała“, d-ra St. Kopczyńskiego „Nerwowość młodzieży szkolnej“, d-ra J. Weinziehera „Hygiena jako medycyna przyszłości“ lub E. Geislera „Przepisy ochronne przy porażeniu prądem elektrycznym“. Inny miesięcznik *Krytyka lekarska* pomieszcza również bardzo interesujące rozprawy np.: d-ra Fr. Gedroycia „Król Władysław IV, historya choroby“, d-ra A. Wrzoska „Listy Jędrzeja Śniadeckiego do ks. Adama Czartoryskiego“, d-ra O. Hewdkego „Kornelia Metella w Irydyonie Krasińskiego“ lub J. Bielińskiego „Założenie wydziału lekarskiego w Warszawie“. Ponadto wychodzą w Warszawie dwa kwartalniki: *Przegląd chirurgiczny*

i *Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego*, w ostatnim praca d-ra Gedroycia „Źródło biograficzno-bibliograficzne do dziejów medycyny w dawnej Polsce". W Łodzi mamy *Czasopismo lekarskie*, a w niem parę artykułów ogólnych: d-ra W. Eichlera „Parę słów w kwestyi urządzenia stałej pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej", d-ra S. Sterlinga „Narady nad hygieną prowincyi" lub d-ra Z. Witkowskiego „Stan lecznictwa wśród ludu okolicy Krzepic" i d-ra Wł. Brzezowskiego „Kilka uwag krytycznych o praktyce lekarskiej wśród ludu wiejskiego". — Pod zaborem pruskim wychodzą dwa pisma: czysto sprawozdawcze *Nowiny lekarskie* w Poznaniu i berliński *Przewodnik zdrowia*, redagowany z uwzględnieniem potrzeb uczonego ogółu. — W Krakowie wychodzą pisma czysto fachowe *Przegląd lekarski* (tygodnik) i *Postęp okulistyczny* (miesięcznik). Nie o wiele bogatszy jest Lwów, który ma zaledwo *Przegląd hygieniczny*, miesięcznik pod redakcyą prof. d-ra J. Szpilmana, będący organem Tow. przyjaciół zdrowia, oraz *Przegląd weterynarski. Polskie archiwum nauk biologicznych i lekarskich*, wydawane staranną ręką prof. d-ra H. Kadyiego, wychodzi w miarę gromadzenia się materyału w wydaniu polskiem i niemiecko-francuskiem. Jest jeszcze we Lwowie *Głos lekarzy*, dziecko świeżo urodzone, bardzo dlatego krzykliwe w sprawach bytu materyalnego stanu lekarskiego. — Również farmacya ma parę pism, a zatem: warszawskie dwutygodniki: *Farmaceutę polskiego* i *Wiadomości farmaceutyczne*, krakowski miesięcznik *Kronikę farmaceutyczną* i lwowskie *Czasopismo gal. Towarzystwa aptekarskiego*. Wszystkie one są prowadzone w kierunku spraw zawodu farmaceutycznego.

Technika ma zaledwo trzy pisma: warszawski tygodnik *Przegląd techniczny*, lwowski dwutygodnik *Czasopismo techniczne* i przepysznie redagowany miesięcznik krakowski *Architekt*, pismo poświęcone architekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu. Rozwija się ono bardzo pomyślnie pod redakcyą Wł Ekielskiego. Z prac ogólniejszych zamieściło ono w r. ub. Johna Ruskina „Siedm lamp architektury" i L. Krzyżanowskiego „Notatki z podróży: zamek w Lubowli na Spiżu". Wspaniałe illustracye, zdobiące każdy zeszyt bogato, wykonane w kraju, budzą wprost podziw.

Gospodarstwo, przemysł i handel miały bardzo wielką ilość czasopism. Najpoważniejszym z nich był warszawski miesięcznik *Przegląd polski rozwoju przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa*, który pomieszczał także artykuły ogólne w rodzaju takich: A. Medohory „Kredyt rolny", L. Krzywickiego „Typy zawodowe", Z.

Pietkiewicza „Jak zwalczać przesilenia?“ i M. Szaroty „Szkoły nauk społecznych we Francyi“. Ponadto widzimy organ gal. Towarzystwa gospodarczego, tygodnik *Rolnik*, dwutygodnik cieszyński *Rolnik śląski*, tygodnik bytomski *Rolnik*, tygodnik rolniczo-przemysłowy, wychodzący w Warszawie *Rolnik i hodowca*, miesięcznik lwowski *Hodowca drobiu*, miesięcznik warszawski *Pszczelarz i ogrodnik*, miesięcznik lwowski *Bartnik postępowy*, dwutygodnik lwowski *Przewodnik Kółek rolniczych*, tygodnik lwowski i poznański *Przemysłowiec*, dwutygodnik lwowski *Przewodnik przemysłowy*, *Gazetę handlową i geograficzną*, miesięcznik *Sylwan* (Lwów), miesięcznik *Rybak* (Warszawa) i *Okólnik rybacki* (Kraków), *Przegląd gorzelniczy* (Poznań), tygodniki warszawskie: *Gazeta cukrownicza*, *Gazeta rolnicza*, *Dobra gospodyni*, dwutygodniki: *Głos rolniczy* (Tarnów), *Gospodarz* (Warszawa), *Ogrodnik polski* (Warszawa), miesięczniki: *Pasieka* (Poznań), *Gorzelnik* (Lwów), *Ogrodnictwo* (Kraków), *Ogrodnik zawodowy* (Lwów), *Przegląd gorzelniczy* (Poznań), tygodniki poznańskie: *Poradnik gospodarczy* i *Pasiecznik*.

Czasopism zawodowych: gimnastycznych, handlowych, urzędniczych, kolejowych, sportowych, pocztowych, pożarniczych, górniczych, krawieckich, żandarmskich itd. itd. wychodziła taka masa, że na ich wyliczenie miejscaby nie stało w tym i tak już nieco za długim artykule.

Gromadzenie ich tytułów należy do bibliograficznych pism, o których właśnie teraz pragnęlibyśmy pomówić. Mamy ich „aż“ dwa, ale wcale to nie wystarczająca liczba! Nie ma bowiem dotąd w nich obu rubryki, którąby ogarnęła spis treści całego dorobku umysłowego polskiego, jaki zawierają pisma codzienne i tygodniowe. Potrzeba zaś takiego spisu jest zwłaszcza niezbędna dla ludzi pracujących na jakiemkolwiek polu nauki. Przedewszystkiem nie dla każdego są dostępne wszystkie pisma polskie, powtóre, gdyby nawet były dostępne, strata czasu na ich przeglądnięcie nie opłaciłaby się nigdy. A że potrzeba przeglądu treści dzienników i tygodników jest coraz to gwałtowniejsza, przeto poddajemy ją pod łaskawą rozwagę redaktorów obydwu tych pism, w których zakres wchodzi jej zapobieżenie. Może przy dobrej woli bodaj część wspomnianego desideratu będzie spełniona, a z czasem pójdziemy dalej w przód. Trudności przy wykonaniu, co prawda, wiele, ale może jakoś powiedzie się W każdym razie spróbować nie zaszkodzi!

Warszawski miesięcznik *Książka* nie jest pismem, mającem na oku wyłącznie uprawę bibliografii. Obok niej bowiem lwią część ka-

żdego zeszytu poświęca działowi krytycznemu. Jest czemś w rodzaju znanego niemieckiego *Litterarisches Centralblatt*, tylko z grubo obszerniejszym programem. Zawiera to pismo na czele każdego zeszytu artykuł wstępny z dziedziny księgarstwa (A. Mahrburga „Przesilenie w księgarstwie") lub porusza kwestye, zostające w ścisłym związku z produkcyą naszą umysłową i potrzebami ogółu czytającego książki. Do celniejszych zaliczamy: W. Strzembosza „Układ dziesiętny w bibliotekarstwie", S. Posnera „Potrzeby naukowe naszego prawnictwa" i Ad. Mahrburga, redaktora *Książki*: „Znamiona wyższości duchowej", „Konkursa naukowe" i „Tłum i twórczość duchowa". Następnie zawierał każdy zeszyt bardzo bogaty dział recenzyjny ze wszystkich dziedzin pracy ludzkiej, a więc: z teologii, filozofii, przyrodoznawstwa, matematyki, historyi, historyi literatury, sztuki, medycyny, gospodarstwa, techniki przemysłu, belletrystyki itd. Główną zaletą tego działu była obfitość informacyi oraz zwięzłość i przedmiotowość w ocenach, (z bardzo małym wyjątkiem, głównie z wyjątkiem samego redaktora, p. Mahrburga). O pracach tam omawianych pisali zawsze ludzie, pracujący zawodowo w tym dziale, do jakiego dana rzecz należała. W dalszym ciągu przynosił każdy zeszyt bardzo bogatą kronikę, rozpatrującą wszystkie wybitniejsze wypadki w świecie wydawniczym, oraz w życiu pisarzy, ponadto też „Kuryer księgarski", donoszący o otwarciu księgarni, nowych rozporządzeniach itp. Za zasługę też redakcyi należy poczytać utworzenie osobnego działu, w którym autorowie, mający prace na zbyciu, lub też księgarze, poszukujący dzieł z pewnego zakresu, mogli się swobodnie porozumiewać. Dobrzeby było, gdyby przy tem redakcya zaprowadziła także rubrykę, w którejby były zapowiadane prace, będące w przygotowaniu zarówno u autorów, jak nie mniej będące pod prasą. Spis czasopism miesięcznych i kwartalnych, oraz obszerna bibliografia, podzielona na działy według poszczególnych umiejętności, kończyły każdy zeszyt.

Nadzieja, wyrażona przez nas w roku minionym, — wyjątkowo nie okazała się zwodniczą. Bo rzeczywiście po objęciu redakcyi *Przewodnika bibliograficznego* przez d-ra Kornelego Hecka poziom pisma podniósł się odrazu i doszedł w ciągu roku do takich wyżyn, — mówimy to bez pochlebstwa — na jakich dotąd nie stał jeszcze nigdy. Pracowity redaktor z właściwą sobie zapobiegliwością nie szczędził trudów, ażeby bibliografia bieżących wydawnictw polskich, przekładów z polskiego na obce języki, prac wydanych przez Polaków w obcych językach, lub nakoniec dzieł obcych, traktujących o rzeczach polskich,

była jak najzupełniejsza. Naturalnie matematyczna kompletność w bibliografii musi być niemal że wykluczona zupełnie. Braki być muszą w każdej, nawet najlepszej bibliografii, a ktoby chciał *Przewodnikowi* czynić zarzuty z tego tytułu, mógłby zaraz z początku wytknąć brak treści *Przeglądu prawa i administracyi* za styczeń 1903 r. lub *Architekta* za styczeń i luty. Wykazywanie jednak takich braków byłoby śmiesznem i niedorzecznem. Natomiast z zupełnem uznaniem podnieść należy, że w r. 1903 zanotował *Przewodnik* wszystkich tytułów 3.043, samych książek i broszur bez czasopism i dalszych ciągów 2.696, w tem: uzupełnienia do r. 1902 w cyfrze 530, z r. 1903 — 2.038, z r. 1904 — 128. Jak na siły jednostki jest to dużo, bardzo dużo! Wiele druków prowincyonalnych, a nawet stołecznych, ale drobnych, musi ujść oka człowieka, nie mającego do nich dostępu. To też w takiej pracy obowiązany jest każdy spieszyć z pomocą. Niechaj więc każdy, komu wpadnie do rąk jaka, choćby najnędzniejsza, broszurka stanisławowska, brodzka, czy kołomyjska, nowo-sądecka jasielska, czy przemyska, broszurka, składająca się nawet z dwu kartek, niechaj to będzie odezwa czy cennik, świstek bezwartościowy, niechaj każdy prześle ją redaktorowi *Przewodnika*, a spełni wielką przysługę tanim kosztem. Kto wie, czy takiej broszurki agitacyjnej wyborczej, takiego druku ulotnego nie będzie kto kiedy potrzebował, jak my dziś nieraz potrzebujemy broszur z XVI wieku? Raz jeszcze prośbę moją polecam najgoręcej łaskawej pamięci czytelników *Przeglądu* i proszę od siebie o jej spełnienie! — Kronika *Przewodnika* była bardzo bogata, treściwa i rożnorodna pod względem swojej zawartości. Za największą jednak zasługę poczytuję redaktorowi *Przewodnika* ułożenie spisu wszystkich czasopism polskich, który doszedł do cyfry, wahającej się pomiędzy 560 a 580 tytułów. Spis ten wydany został bardzo starannie z wyszczególnieniem ceny pisma i dokładnego adresu. Za przyprowadzenie do skutku tego przedsięwzięcia zasłużył sobie dr Heck na rzetelne uznanie. Będzie spis ten bardzo pomocnym: bibliografom, redakcyom, księgarzom i uczonym, pracującym w tej lub innej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Nasuwa on na myśl wiele nadzwyczaj ciekawych spostrzeżeń. Ale że dr Heck „zastrzegł sobie zużytkowanie zebranego materyału do osobnego statystyczno-literackiego artykułu", przeto na razie uważam za stosowne wstrzymać się z wypowiedzeniem własnych spostrzeżeń. Nadmienię jednak, że to, co dr Heck powiada, jakoby cyfra 560 pism była zbyt małą, jak na naród 17-to milionowy, nie jest prawdziwe.

Dr Heck przeciwstawia nam Czechów, którzy mają 914 pism. Ale jak też te pisma wyglądają wobec naszych? Wszak Czesi nie mają ani jednego pisma tej objętości, co nasz *Przegląd* lub *Biblioteka warszawska.* Powiada dalej dr Heck, że Niemcy wydają 30.000, a Francuzi 7.000 pism peryodycznych. Zgoda! Ależ po niemiecku czyta każdy, po francusku cały świat, a po polsku kto, oprócz nas samych? Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę i tę okoliczność, że niemal wszystkie pisma galicyjskie są niecenzuralne. Czy wobec tych kilku uwag można porównywać nasze czasopiśmiennictwo z czeskiem lub niemieckiem? Wobec wstrętu do czytania, wobec dalej trudnych warunków, w jakich kazano nam żyć, i ta cyfra czasopism jest już bardzo wielka. Zresztą — *non multum sed multa*, — a wiem, jakby porównanie nas z innymi pokrewnymi narodami wypadło.

Dr Stanisław Zdziarski.

Przegląd Polski. Rok XXXVII—XXXVIII. Ogólnego zbioru tomy 147—150.— W Krakowie 1903. — Biblioteka Warszawska. Pismo miesięczne, poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym. Rok LXIII. Ogólnego zbioru tomy 249—252. Warszawa 1903. — Przewodnik naukowy i literacki. Rok XXXI. Tom 31. We Lwowie 1903.

Przegląd Polski zaprowadził w tym roku jedną, a zaznaczmy to z całym naciskiem, wcale ważną nowość — otworzył stałą, systematyczną rubrykę poświęconą „Sprawom krajowym". O znaczeniu tego ulepszenia niema co mówić, przemawia ono samo za siebie, szczególniej jeżeli uwzględnimy wielką rozmaitość spraw, które żądają reformy, przeprowadzenia lub zwrócenia uwagi społeczeństwa. Faktem jest, że *Przegląd Polski* wywiązał się dobrze ze swego zadania, tyle różnych spraw krajowych poruszył a wszystkie pióra fachowego. Znany na tem polu pracownik, dr. Józef Milewski, od którego ta inicyatywa wyszła, rozpoczął nowy dział interesującą rozprawą o „Biurach pośrednictwa pracy". Stosunki robotnicze, powiada autor, uległy w XIX w. zasadniczej i to w wysokim stopniu ujemnej przemianie. Skutkiem tych przemian jest migracya, której dwie najbliższe przyczyny przypisać należy agentom emigracyjnym, którzy ten ruch doprowadzili wprost do „handlu białymi niewolnikami" a ciągną z niego olbrzymie korzyści (zarabiają oni do 2,400.000 K rocznie), i przyrost ludności nie idący bynajmniej w parze z możnością wystarczającego zarobku. To wszystko odbija się ujemnie na produkcyi krajowej. Potrzebna więc jest akcya, któraby dała robotnikom sposobność do wystarczającego zarobku w kraju, za-

pewniła dostatek sił dla krajowej produkcyi i lepsze warunki dla czasowego wychodźtwa a ograniczyła straty z trwałego wychodźtwa wynikające. Biura pośrednictwa pracy, jeżeli tylko znajdą poparcie społeczeństwa a przedewszystkiem pracodawców, po pewnym czasie potrafią tego przynajmniej w wielkiej części dokonać, gdyż choć same nie rozwiążą ostatecznie kwestyi robotniczej, będą krokiem ważnym na drodze naprawy przestarzałych stosunków. W zajmującym artykule opisuje Wojciech Dzieduszycki „Nasze szkoły średnie". Dużo mają one braków a znieść ich nie można bez ujmy dla oświaty narodowej, możnaby je chyba od czwartej klasy porozdzielać tak, aby uczeń stosownie do swego talentu uczęszczał na wydział przyrodniczy lub lingwistyczny. Powinny one dawać dokładną znajomość języka niemieckiego i ruskiego, który miałby być obowiązkowym po gimnazyach polskich, jak i polski po ruskich; mają dążyć do powstrzymywania młodzieży od politykowania, trzebaby również ograniczyć frekwencyę, gdyż ta wiele złego sprawia. Szkoda tylko, że autor pominął prawie zupełnie tak dziś palącą kwestyę niemoralności wśród młodzieży szkół średnich, choć może uczynił to rozmyślnie, trudno bowiem w jednym artykule tę sprawę rzeczowo opracować. W nowej rubryce znajdujemy dalej artykuły o bezrobociu w czasie żniw na Rusi (W. Dzieduszycki), o sprawie cukrowej (S. Żeleński i D. Abrahamowicz), o reformie ksiąg gruntowych (dr. W. L. Jaworski) i reformie administracyjnej (dr. J. Milewski), o nowej organizacyi rolniczej (A. Dąmbski), o włościach rentowych i parcelacyi (dr. J. Hupka) i kilka innych. Na uwagę zasługuje oprócz tego jeszcze rozprawa d-ra Jordana „O szpitalnictwie krajowem", z której dowiadujemy się, że z powodu niewystarczających urządzeń sanitarnych straciła Galicya w r. 1901 „wskutek chorób i skonów w swem bogactwie społecznem 36,552.000 dni pracy czyli koron, a rodziny chorych straciły w gotówce co najmniej 18,359.640 koron".

Do przynajmniej ogólną treścią pokrewnego działu należą różne rozprawy społeczne i ekonomiczne, jak np. „Podstawy do określenia żądań Galicyi na polu polityki handlowej" d-ra Paygerta, omawiające obszerniej produkcyę kraju o ile dotyczy ona młynarstwa i gorzelnictwa i zagraniczną konkurencyę rolniczą, którą w większej mierze stwarzają Argentyna i Stany Zjednoczone a nawet Kanada.

Aktualne znaczenie ma artykuł d-ra Szwarcenberg-Czernego „Kilka słów o Chinach i kwestyi chińskiej", w którym na tle kultury i charakteru chińskiego wyraziście występuje ostatnia wojna z r. 1900

i artykuł L. Bzury „Macedonia“, zmieniający z pewnością niejedno zapatrywanie.

Ważnym dla spopularyzowania nauk przyrodniczych jest dział „Z filozofii nauk przyrodniczych“, omawiający różne tu przynależne pytania. Tak np. artykuł d-ra Rudzkiego „O budowie kosmosu“ wcale ciekawie wykazuje między innemi, że wiedza empiryczna nie daje odpowiedzi na pytanie, czy świat materyalny jest skończony czy nie. Mnóstwo znowu zagadnień, z których ustęp o przestrzeni uzupełnia niejako artykuł poprzedzający, poruszają prof. Straszewskiego „Pomysły do syntezy“. Tem dziwniejsze zrobiło na nas wrażenie, jak w artykule d-ra Garbowskiego „Życie i wiedza“ można było nazwać powstanie życia tak kategorycznie problemem dotąd nierozwiązanym, kiedy i wiara i zdrowy, poparty doświadczeniami Tyndalla, Pasteura i innych rozum, dały na ten problem dość wystarczającą odpowiedź. Zdaje się również, że mało znajdzie autor czytelników, którzyby uznali nawet możność pytania czy chlor, łącząc się z wodem w drobinę soli doznaje jakiegoś przyjemnego wzruszenia, lub dla których nie byłoby jasnem, że między świadomością a nieświadomością jest granica ścisła i istotna.

Historya jest reprezentowana i dobrze i licznie. Z. Morawski w *Sacco di Roma* przedstawia nam ciekawy dramat, jaki w wieku reformacyi odegrał się w zamku św. Anioła; dr. Kutrzeba zapoznaje nas z handlem polskim na Wschodzie w średnich wiekach, A. Hajdecki poszukuje w *Vestigia Polonorum Viennensia* za śladami polskiemi w naddunajskiej stolicy, a dr. Brückner kusi się o zdjęcie aureoli z świętych słowiańskich, piętnując ich mianem oszustów. Jak ten artykuł dostał się na szpalty *Przeglądu*, jak się zgadza z zasadami pisma, to jest dla nas na prawdę zagadką.

W zakres estetyki wchodzi Bełcikowskiego „Inteligencya a poezya, zwłaszcza najnowsza“. Autor niestety! musi odmówić wielu poetom spółczesnym inteligencyi, choć im przyznaje wiele innych dodatnich własności; drobnostka to ale dobrze napisana. Dr. Flach, czynny jak zwykle na polu historyi literatury niemieckiej, omawia siedmnaście spółczesnych dramatów, i dochodzi do przekonania, że coraz mniej dramatów modernistycznych, przeciwnie pojawia się pewne pogłębienie indywidualności poetyckiej, występują na jaw twórcze zdolności, szczere i żywe. Ferd. Hösick w niedokończonej jeszcze rozprawie analizuje Juliana Klaczkę podając istotnie zaciekawiające szczegóły. Najważniejszą jednak i najbardziej zajmującą jest rozprawa St. hr. Tarnowskiego o mniej znanych lub też świeżo odkrytych utworach Krasińskiego, o koresponn-

dencyi z H. Reeve, o Myślach pobożnych i o Wandzie. Streszczenia tego artykułu lepiej nie próbować, trzeba go czytać.

Pomijając inne różne utwory tak ściśle naukowe jak i beletrystyczne np. tłumaczenie szekspirowskiego „Romeo i Julia“ przez W. Dzieduszyckiego, musimy jeszcze wspomnieć o dziale piśmiennictwa. Niejednego poważnego dzieła ocenę można spotkać na łamach *Przeglądu*, mniej nam się jednak podoba fakt, że oceny powieści, szczególniej niemieckich, zbyt wiele zajmują miejsca. Dużo z tych powieści mogłoby być u nas zupełnie nieznanych a niktby na tem nie stracił; wygląda to tem dziwniej, że *Przegląd* zajmuje się przedewszystkiem utworami powieściopisarzy protestanckich, gdy tymczasem romanse takich pisarzy jak Herbert, Schott, Cüppers, Goldegg i innych większą bezwarunkowo posiadają wartość od niejednego utworu beletrystycznego, omawianego w *Przeglądzie*. Rubryka Teatr krakowski prowadzona już od dawna przez F. Konecznego, jak zwykle wyborna; z tych sprawozdań pozna czytelnik, nie tylko co sądzić o grze jakiejś gasnącej lub wschodzącej gwiazdy, ale co sądzić przedewszystkiem o dziele samem.

Dobrze przedstawia się też ostatni rocznik *Biblioteki Warszawskiej;* każdy prawie dział jest tu obszernie reprezentowany. O „Pamiętnikach generała Jana Weyssenhoffa“, które dobiegły w pierwszym tomie do końca, wspominał *Przegląd* w roku zeszłym. Dr. Bronisław Łoziński w artykule: „Winowajcy. Galicya w r. 1846“ rozwija dalej myśl, poruszoną już w ubiegłym roczniku, że mianowicie wina rzezi spada w wielkiej części na urzędników austryackich a zarazem wyłuszcza racye, dla których Fr. hr. Stadion, przychylnie dla Polaków usposobiony, ostateczne zapatrywania swe i sympatye zmienił. Na uwagę zasługuje w tym dziale jeszcze ciekawa rzecz T. Wyleżyńskiego o jego podróży do Petersburga podczas rewolucyi polskiej z r. 1830—1831, przedsięwziętej w sprawie gen. Chłopickiego do cesarza, K. Rudnickiego „Sprawa biskupa Sołtyka“, „Fata morgana“ A. Brücknera wykazującego, że czeska Libusza jest postacią mityczną i wiele innych.

W sferę polityki wkraczają Poznańczyka „Nowe prądy polskie i antypolskie pod rządem pruskim“, gdzie autor dochodzi do wniosku, że „dopóki Polak nie wyrzeknie się tradycyi, języka i uczuć polskich, dopóty będzie Prusom zawadzał samą swą egzystencyą“, i A. Rembowskiego „Wielkoniemieckie mrzonki polityczne“, polemika z artykułem Karola Jaentscha *Die preussische Polenpolitik*. Jaentsch występuje ostro przeciwko polityce Bismarcka w sprawie polskiej, przypomina

Niemcom, że nie udało im się jeszcze i nie uda chyba przeistoczyć kota w psa, projekty jednak jego są „antypolityczną i antychrześcijańską halucynacyą".

Bardzo obszernie traktowana literatura. Oprócz kończącej się już powieści E. Orzeszkowej i J. Rawskiego „Ad astra. Dwugłos", pełnej istotnie pięknych, silnie na wyobraźnię działających opisów i początku Zapolskiej „A gdy w głąb duszy wnikniemy", modnej i z wielu względów drukowane przed kilku laty w *Bibliotece* „Miraże" Mariona przypominającej powieści, oprócz kilku poezyi Tetmajera, Ostrowskiej i innych, znajdujemy w piśmie dużo rozpraw literackich i estetycznych. W seryi artykułów „Dramat i opera" i „Teatr i muzyka" rozbiera W. Bogusławski najnowsze utwory sceniczne, dr. H. Jarecki w rozprawie „Znaczenie i idea Króla-Ducha" wywodzi ideę tego poematu a jest nią myśl, że „gdy naród we wierzeniu Słowackiego jest tylko związkiem duchów, dążących do wspólnego celu, a duchy te są na różnych stopniach rozwoju, jeden z pomiędzy nich wyznaczony jest na kierownika i ponosi moralną odpowiedzialność za wszystko. Ta jego wyższość, opiera się jedynie na specyalnej misyi, poruczonej mu od Boga, oraz na miłości, którą Król-Duch cały naród obejmuje"; M. Konopnicka chce w artykule o Bohdanie Zaleskim, artykule napisanym tym dźwięcznym, rzewnym językiem, który potrafi oczarować czytelnika „serc kilka dla poety wskrzesić"; Adam Krasiński wydaje Z. Krasińskiego „Traktat o Trójcy", pełen myśli zapożyczonych z Hegla i Schellinga, który nie jest jednak ostateczną krystalizacyą zasad i wiary poety, ale tylko ważnym i ciekawym etapem w rozwoju myśli jego filozoficznej, a w rozprawie „Dzień Ducha św." rozjaśnia stosunek Zygmunta do filozofów XIX w. i do mistyków chrześcijańskich. Niestrudzony dr. Flach twierdzi w swym „Wagner jako poeta i estetyk", że jeżeli uznano dzisiaj wielkość Wagnera-muzyka, to czas już ocenić wielkość Wagnera-poety, a w ciekawem ze wszech miar studyum „Polska w niemieckiej literaturze pięknej dawniej i dzisiaj", poucza nas o wszystkiem, co w beletrystyce niemieckiej o Polsce pisano; literatura piękna austryacka była nam zawsze nieżyczliwą, więcej bezstronności a nawet ciepła znaleźć już w Niemczech, choć i tam czasy, w których gorącemi barwami malowano Polskę i Polaków należą dziś do przeszłości. Nie brak artykułów odnoszących się do sztuk plastycznych. „Losy naszych zabytków" R. Plenkiewicza przedstawiają pokrótce historyę wąchockiego opactwa Cystersów i niesłychanie nieortunną próbę odnowienia tego starożytnego architektonicznego po

mnika, a K. Broniewski zamieszcza wstęp do obszerniejszego studyum o Jacku Malczewskim.

Nie można zakończyć tego sprawozdania nie wspominając o pracach przyrodniczych. M. Ernst w rozprawie „Współczesne poglądy kosmogoniczne“ rozbiera dość obszernie teoryę Kanta i drugą Laplace'a, wskazuje na dzisiejszą ich modyfikacyę i mówi o trudnościach, jakie obecna wiedza im stawia; St. Kramsztyk w artykule „Pierścień Saturna“ uważa za rozstrzygniętą już kwestyę, że pierścień składa się z części rozdzielonych, rozrzuconych, meteorycznych, w łączną całość niezwiązanych; K. Sporzyński opisuje w pracy „Z ostatniej doby wulkanizmu“ katastrofę na Martynice, podaje najnowsze hypotezy tłumaczące wybuchy wulkanów i zastanawia się nakoniec nad niebezpieczeństwem grożącem Europie od francuskich wulkanów w Owernii; prof. dr. Nussbaum w ciekawej rozprawie „Światło i barwy w świecie organicznym“ opowiada o wpływie światła na rośliny i zwierzęta, o barwach, zastosowanych do warunków życia odpowiedniego osobnika i ilustruje rzecz mnóstwem interesujących szczegółów.

Każdy zeszyt kończy wreszcie omówienie prac literackich i naukowych i kronika miesięczna. Działowi piśmiennictwa możnaby tylko zarzucić, że w stosunku do całości, jest za szczupły.

Przewodnik naukowy i literacki odróżnia się od dwóch tu omawianych pism przedewszystkiem swym historycznym charakterem. Więcej niż połowa artykułów zajmuje się pytaniami historycznemi lub archeologicznemi. Niektóre z tych artykułów są wcale aktualne, jak np. d-ra Krotoskiego „Św. Stanisław Biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Smiałym“, inne rozjaśniają niejedną szczegółową kwestyę, tak Z. Wursta „Legacya Stanisława Hozyusza do cesarza Karola V i króla Ferdynanda I w 1549 roku“ lub d-ra Kutrzeby „Urzędy koronne i nadworne w Polsce, ich początek i rozwój do r. 1504“. W tonie więcej beletrystycznym trzymany G. Manteuffla „Pamiętnik z podróży na Zjazd historyczny imienia J. Długosza odbytej w maju 1880 r.“ pełen interesujących, lecz często zbyt drobnostkowych szczegółów i A. Wybranowskiego „Zawsze to samo“, garść ciekawych osobistych wspomnień i przygód z przeszłości.

Literaturę prezentuje „Korespondencya J. Bohdana Zaleskiego“, jasno odbijająca ten czysty charakter i Waleryana Hecka „Kronika Andrzeja Komonieckiego“, zajmująca się losami Żywca. Do artykułów filozoficznych zalicza się ks. d-ra Ciemniewskiego „Poznanie i kształcenie charakteru“, praca, która już się pojawiła w osobnej odbitce; na polu

nauk społecznych występuje dr. Z. Gargas „Reforma ksiąg gruntowych“ i Witołd Lassota rozbierający w pracy „Dwa systemy socyologiczne“ teorye francuskich socyologów Coste'a i Palante'a; dr. Urbański wreszcie daje nam pogląd na powstawanie naszej ziemi jako planety w systemie słonecznym. Wartość zasłużonego *Przewodnika* podniosłaby z pewnością większa rozmaitość artyków, któreby znowu wiele zyskały na tem, gdyby były krótsze. I jeżeli wolno nam wyrazić życzenie, to chyba to, by i dział piśmiennictwa został uwzględniony; aktualności pisma oddałaby ta okoliczność wielką przysługę.

Nie wspomnieliśmy w tem sprawozdaniu z trzech polskich pism o wielu pracach, interesujących rozmaitością tematu i ścisłością wykończenia; to jednak, cośmy tu podnieśli, wykazuje dostatecznie, że każde z nich zaszczytnie się odznacza na polu polskiej nauki i literatury.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z naszych wydawnictw religijno-społecznych.

Kwartalnik teologiczny. — Przegląd kościelny. — Kronika dyecezyi przemyskiej. — Homiletyka. — Kazania i szkice. — Kazalnica. — Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski. — Gazeta kościelna. — Przegląd katolicki. — Kronika rodzinna. — Biblioteka dzieł chrześcijańskich. — Apostolstwo modlitwy. — Misye katolickie.

Nie można zaprzeczyć, że piśmiennictwo polskie, jak na innych polach literatury i nauk tak i w dziedzinie religijno-społecznej czyni postępy wprawdzie powolne ale istotne. Zamierzamy uzasadnić to zdanie pobieżnym szkicem wydawnictw peryodycznych tego kierunku z ostatniego roku. Czasopism religijno-społecznych nie posiadamy wiele — ale niema dzielnicy polskiej, któraby nie mogła poszczycić się przynajmniej jednem tego rodzaju pismem. Tak np. w Królestwie zasługują na wzmiankę przedewszystkiem *Kwartalnik teologiczny*, *Homiletyka*, *Biblioteka dzieł chrześcijańskich*, *Przegląd katolicki*, *Kronika rodzinna*; — w Księstwie Poznańskiem dzierży pierwszeństwo prawie bez współzawodnika *Przegląd kościelny*; — w Galicyi pracują na tem polu: *Dwutygodnik katechetyczny*, *Gazeta kościelna*, *Apostolstwo modlitwy*, *Misye katolickie*, *Kazania i szkice*, *Kazalnica* itd. — a każde z tych pism czy przedsiębiorstw, chociaż do jednego wspólnego wszystkim dąży celu, inne sobie zakreśliło pole pracy, innych ma na oku czytelników, lub przynajmniej różne ich potrzeby, inaczej też jest redagowane. Stąd cech wspólnych, odrazu bijących w oczy — prócz

oczywiście wspólnego dalszego celu — nie posiadają one wiele, a przeto nie współzawodniczą między sobą i nie pozwalają, by je ściśle porównywać i klasyfikować między sobą. Ograniczymy się przeto do najogólniejszych uwag, niemal wyliczenia artykułów roku ubiegłego, bo chcąc dokładnie omówić, a choćby tylko pobieżnie zaznaczyć zalety lub wady pojedynczych prac, trzebaby napisać obszerną rozprawę — tego zaś obecnie nie zamierzamy.

Zacznijmy nasz przegląd od czasopism teologiczno-religijnych.

Kwartalnik teologiczny (Warszawa) rozpoczął dopiero trzeci rok swego istnienia. Już w roku zeszłym podnosił *Przegląd powszechny* (1903, kwiecień, str. 127—133) zalety pierwszego rocznika. Rocznik drugi zasługuje na równe uznanie. Wprawdzie nieregularne wydawnictwo *Kwartalnika* psuje krew i jego współpracownikom, a z pewnością jeszcze w wyższym stopniu prenumeratorom, ale za to zawartość jego zeszytów łagodzi nieco ten słuszny skąd inąd gniew. Na pierwszem miejscu chcemy położyć krótką, skromną, prawie nieśmiałą — ale oryginalną i nadzwyczaj doniosłą pracę profesora seminaryum petersburskiego, ks. Bolesława Pawłowskiego p. t.: „Jeszcze jedno historyczne zaćmienie słońca". Pod tym niewiele mówiącym tytułem autor dzieli się z nami ważnem swem odkryciem, które na razie nie przekracza jeszcze granic prawdopodobieństwa, ale w każdym razie zasługuje na chlubną wzmiankę, jako oczywisty dowód, że samodzielne studya nad Pismem św. i racyonalną egzegezą u nas nie śpią, ale zdobywają się na rzeczy nowe, oryginalne. Autorowi chodzi o znany rozkaz Jozuego: *Sol contra Gabaon ne movearis* (Jozue X, 12). Dotychczas dość powszechnie wyjaśniano to miejsce dosłownie według tekstu Wulgaty unieruchomieniem słońca (względnie rotacyi ziemi) i przedłużeniem dnia. Cud tak olbrzymi i niepospolity mniej przemawiał do przekonania przyrodników i astronomów — toteż niektórzy z nich tłómaczyli go mniejszym cudem, bo zgęszczeniem warstw powietrza i wywołaną tem zjawiskiem bardzo silną refrakcyą, która miałaby przedłużyć światło dzienne aż do 30 godzin. Autor na innej drodze szuka rozwiązania. Dawni rabini (w komentarzu Tanhuma) a także i Akwilas według tekstu hebrajskiego podawali owo miejsce jak następuje: „*Sol in Gabaon ne loquaris*" — ale i to tłómaczenie większość katolickich egzegetów (idąc za Septuagintą, Symmachusem i przekładem chaldejskim, głównie zaś za Wulgatą) odrzucała jako bez znaczenia i niezgodne z księgą Mądrości 45, 5. Ks. Pawłowski przyjmuje za

podstawę rozumowania tekst hebrajskiej Masory i kontekst i stara się udowodnić, że rozkaz Jozuego istotnie brzmiał: „Słońce nad Gibon zamilknij, ponieważ księżyc będzie nad doliną Ajjalon“. Najważniejszem jednak jest to, że owo „milczenie“ słońca według pojęć wschodnich i analogii języka assyryjskiego tłómaczy autor zaćmieniem słońca. W ten sposób rozumiany tekst pierwotny i poprawiony cały kontekst — usuwa odrazu wszystkie trudności, tłómaczy łatwo przestrach Emorejczyków wobec niespodziewanego zaćmienia słońca, a w rzeczy samej domaga się tylko, aby Jozue wiedział o mającem wkrótce nastąpić całkowitem i naturalnem zaćmieniu słońca. Witamy ten oryginalny pogląd petersburskiego profesora i zachęcamy go, aby ku radości biblistów ogłosił swe odkrycie w niemieckich i francuskich czasopismach biblijnych.

Z tejże dziedziny Pisma św. podaje *Kwartalnik* jeszcze inne wybitne prace, jak np. ks. d-ra Wł. Knapińskiego „O formacyi Pentateuchu nowa teorya“, lub ks. A. Szaniawskiego: „Najnowsze odkrycia w teoryi budowy psalmów“. Tutaj wreszcie można zaliczyć rozprawę tegoż autora p. t.: „Księga praw najstarsza w świecie. Kodeks Hammurabiego króla Babilonu“ i ks. J. Gołębia: „O tłómaczeniu Nowego testamentu przez ks. Jakóba Wujka“

Historya kościelna polska poszczycić się może tak źródłową i sumienną pracą, jaką jest niezaprzeczenie studyum ks. d-ra Wł. Chotkowskiego p. t.: „Powrót i powtórne zniesienie Jezuitów w Galicyi“ (1820—1848), opracowana szczegółowo na podstawie nieznanych dotąd rządowych archiwaliów. Związek z historyą kościelną w Polsce mają także artykuły ks. St. Chodyńskiego „Dawna katedra i kościół św. Stanisława we Włocławku“ i ks. d-ra J. Bielińskiego: „Założenie wydziału teologicznego w Warszawie“.

Filozoficzny dział *Kwartalnika* objął w swe udzielne posiadanie zaszczytnie znany nasz filozof ks. dr Fr. Gabryl. Z jego rozpraw wymienić należy artykuły: „Co to jest czas“ i „Co to jest przestrzeń“. Nie można pominąć milczeniem artykułów z dziedziny teologii moralnej, prawa kanonicznego, archeologii chrześcijańskiej, ascezy i innych pokrewnych działów, które już zeszłego roku omawiał szerzej *Przegląd powszechny*, a których ciąg dalszy zamieszcza obecnie drugi rocznik *Kwartalnika*. Tutaj należą: ks. A. Szaniawskiego: „Didache ton dodeka Apostolon“, ks. K. Czajkowskiego: „O erach świata“, ks. L. Jarosińskiego: „O godności stanu kapłańskiego“, ks. W. Rozwadowskiego: „Ku czci Baranka“... itd.

Dział krytyki i bibliografii nadzwyczaj obfity, poważny i urozmaicony. Co nas jednak w *Kwartalniku* (obok nieregularności) niemile uderzyło, to zupełny brak artykułów z teologii dogmatycznej. Redakcya nie powinna tak ważnego działu teologii pomijać w całym roczniku. Wprawdzie rozumiemy zbyt dobrze trudne położenie Redakcyi wobec tego, że współcześni uczeni coraz rzadziej wkraczają na to pole i często zamiast istoty dogmatu, zajmują się raczej jego historyą, ale widzimy też smutne skutki tego zaniedbania, które koniecznie domagają się usunięcia i usilnego przeciwdziałania. Aby więc *Kwartalnik teologiczny* był rzeczywiście organem całej katolickiej teologii, musi koniecznie uwzględniać, jeżeli nie na pierwszem miejscu, to przynajmniej równorzędnie z innymi działami — i dogmat katolicki w jego filozoficzno-pozytywnych badaniach.

Pomocnikiem, kolegą i współzawodnikiem *Kwartalnika* w dziedzinie katolickiej teologii jest jego rówieśnik *Przegląd kościelny* (Poznań). Obrał on sobie za cel: „skupić i odźwierciedlić ruch katolicki umysłowy u nas... uwzględniając przytem wyniki nauki teologicznej w innych krajach", a nadto „zamieszczać rozprawy z filozofii, sztuki kościelnej, a przedewszystkiem obszerniej uwzględnić kwestyę socyalną",... „przedstawiać rozwój życia Kościoła", a wreszcie „podawać recenzye o dziełach i wydawnictwach w zakres teologii wchodzących". Program istotnie bardzo obszerny i trudny do spełnienia. Tem większe więc należy się uznanie Redakcyi, jeśli go zdołała uskutecznić. Przyjrzyjmy się dorobkowi *Przeglądu kościelnego* w ostatnim roku; — jego działalność i zasługi w r. 1902 podniósł już dawniej *Przegląd powszechny.*

Przedewszystkiem zaznaczamy z radością, że postęp w ostatnim roku widoczny na wielu polach. Aby się o tem przekonać, wystarczy przeczytać np. szereg artykułów ks. Hozakowskiego p. t.: „Rzymska komisya biblijna" (wyszło także jako osobna broszura). Czcigodny autor nawiązując do znanego faktu powołania do życia komisyi biblijnej (przez Leona XIII), wypowiada swe poglądy na zadanie i cel dzisiejszej egzegezy, na drogi, któremi kroczyć może i powinna, na jej sporne zagadnienia i prace dokonane w ostatnich latach. Można wprawdzie nie godzić się z niektóremi zapatrywaniami autora, ale nie można odmówić mu szczerego uznania. Rzecz bowiem cała pomyślana głęboko, napisana świetnie, świadczy bardzo chlubnie o autorze i przejawia na każdym niemal kroku gruntowną znajomość całej nowszej (a tak

obszernej!) literatury biblijnej. Szkoda tylko, że szyk wyrazów dość często niemiecki, mąci nieco jasność wykładu.

Z dziedziny Pisma św. przyniósł nam *Przegląd kościelny* w roku ubiegłym jeszcze kilka innych prac wcale dobrych, jak np. rozprawę ks. d-ra J. Kaczmarczyka: „Jak dawne są nasze Ewangelie", ks. d-ra St. Trzeciaka: „Znaczenie i charakter biblii" i „Biblia wobec odkryć egipskich i wykopalisk babilońsko-assyryjskich". Trzeci artykuł tegoż autora: „Chrystus Pan i Apostołowie wobec Starego Testamentu" wkracza częściowo na pole dogmatu. Historyę polsko-kościelną wzbogacili w nowe źródłowe prace ks. dr J. Fijałek artykułami: „Królowa Korony Polskiej" i ks. dr Warmiński dłuższą rozprawą „Z dziejów dyecezyi poznańskiej".

Nie brakło też prac o charakterze socyalno-społecznym. Tu należą ks. d-ra St. Trzeciaka: „Oświata a dobrobyt", ks. B. Markiewicza: „Idźcie w lud", ks. A. J. „Potrzeby naszego czasu", ks. T. Gapczyńskiego: „Socyalizm dualistyczny", „Przemiany w socyaliźmie niemieckim". — Zagadnienia filozoficzne obrabiali: ks. dr Fr. Gabryl: „Kilka uwag nad pojęciem absolutu" i ks. St. Adamski T. J.: „Pogląd na kwestyę nieśmiertelności duszy".

Jeżeli do tego dodamy gruntowne studyum liturgiczno-prawnicze W. S. Andersza p. t.: „Dekreta (a raczej dekrety) św. Kongregacyi Obrządków i Rytuał rzymski a praktyki w naszych archidyecezyach" (rzecz istotnie bardzo na czasie a do tego praktyczna), — lub ks. d-ra Jedzinka: „Jeszcze o istocie moralności" — to choć nie wyliczyliśmy wcale wszystkich artykułów *Przeglądu kościelnego* z r. 1903 — daliśmy jednak czytelnikowi niedokładny ale dość wymowny obraz skrzętnej działalności Redakcyi, którą rozmaitością prac i ich aktualnością stara się przysłużyć w pierwszym rzędzie P. T. Duchowieństwu, a także i wykształconym warstwom naszego społeczeństwa. Szkoda tylko, że *Przegląd kościelny* trochę zamało zajmuje się dogmatycznemi kwestyami. Dział ten należałoby w przyszłości rozszerzyć. Inne rubryki *Przeglądu kościelnego*, jak np. „Ruch katolicki", „Miscellanea" posiadają przedewszystkiem wartość praktyczną i zasługują na uznanie. „Ruch literacki" — w porównaniu z zeszłym rokiem — obszerniejszy, wszechstronniejszy i po części gruntowniejszy. Krytyki pisane najczęściej przez zawodowych uczonych, ale niekiedy — wyznajmy to otwarcie — za surowe, a wskutek tego niekiedy trochę niesprawiedliwe, co z pewnością nie podnosi w oczach ludzi rozumnych opinii o czasopiśmie. Jeśli takie surowe krytyki piszą młodzi „uczeni" — jest to

rzeczą zbyt zrozumiałą — i nikt z poważnych nie bierze bardzo na seryo tego rodzaju recenzyi. Ale jeśli zbyt surowymi recenzentami są ludzie poważni, znani z swych źródłowych badań i prac literackich, wtedy powstają stąd różne szkody: zraża się do pracy młodsze talenty, ogół czytelników nieobznajomionych dokładnie z przedmiotem ślepo *iurat in verba magistri* i wypowiada wyrok bezwzględnego a więc krzywdzącego potępienia na książkę; — mniejszość zaś głębiej myślących gotowa czasem (może niesłusznie) podejrzywać krytyka o stronniczość, boć przecież w każdej nawet miernej pracy jest coś dobrego do podniesienia. Tak np. wydaje się nam za surową recenzya I tomu: „Dziejów Kościoła katolickiego w zarysie ks. Wł. Szcześniaka". Nie chcemy bynajmniej twierdzić, aby zarzuty recenzenta nie były słuszne. Owszem są one zupełnie uzasadnione i podziwialiśmy bystry talent analityczny i spostrzegawczy krytyka, jakoteż wielką znajomość źródeł i przedmiotu; — ale co nas uderzyło to to, że przy sformułowaniu ogólnego sądu nie wziął wcale pod uwagę pewnych niezaprzeczonych zalet „Dziejów", nie uwzględnił warunków, w jakich się „Dzieje" ukazały i co autor w pierwszym rzędzie przez nie zamierzał. Jeśli się bowiem pisze artykuł-recenzyę 16-stronicową, a na tym całym arkuszu bitego petitu, nie znalazła miejsca ani jedna rzeczowa pochwała, ani jedno uznanie, ale wyłącznie surowa krytyka, czasem gryząca ironia — to nieuprzedzony czytelnik z trudnością nabędzie przekonania, że tu jedynie objektywna prawda przemawia. Oczywiście praca ks. Szcześniaka nie jest samodzielną, nie jest nawet wolną od błędnych poglądów i twierdzeń — ale czyż lepiej było pozostawić alumnów seminaryjnych bez wszelkiego polskiego podręcznika historyi kościelnej jedynie dlatego, że nie można im ofiarować coś prawdziwie genialnego?! Zawodowi uczeni odpowiedzą może: „tak"; — ale na ten ich sąd nie zgodzi się z pewnością społeczeństwo, które nie może się obywać bez książek podręcznych, choćby słabszych. Sam przecież ks. Szcześniak zaznacza w przedmowie, że jego książka ma tylko tak długo służyć ogółowi, póki się nie znajdzie „doskonalsza od niej, piórem fachowca skreślona". Oby czcigodny recenzent, który jest właśnie zawodowym historykiem i który — jak z dotychczas ogłoszonych prac wynika — posiada wszelkie dane, aby napisać samodzielne „Dzieje Kościoła katolickiego" — oby zechciał zaradzić istotnemu brakowi tego rodzaju dzieła w języku polskim! Z pewnością mógłby liczyć na uznanie i wdzięczność polskiego społeczeństwa. Dopóki jednak to nie nastąpi, trzeba — nie bezwarunkowo wprawdzie — ale przynajmniej

z wdzięcznością i kilku słowami uznania przyjąć to, co nam ofiaruje nie bez nakładu wielkiej pracy i poświęcenia tak zasłużony koło polskiej sprawy religijnej autor, jakim jest właśnie ks. Wł. Szcześniak. Tych kilka słów niech starczy na rehabilitacyę zbyt silnie „zdruzgotanego“ autora „Dziejów“.

Po tej dygressyi przejdźmy do ogólnej oceny o *Przeglądzie kościelnym*; wypadnie ona nader korzystnie. Rocznik II w porównaniu z pierwszym oznacza wielki postęp pod każdym względem. I tak: wiele artykułów porusza kwestye doniosłe i na czasie; niektóre z nich są wprost świetne, a przytem bardzo gruntowne; inne chociaż mniej wybitne, zawsze jednak pożyteczne i godne uznania, bo są dowodem ożywionego ruchu na polu teologiczno-religijnem. Życzymy więc redakcyi jeszcze większego udoskonalenia czasopisma i rozszerzenia jego ram, jakoteż najszerszego rozpowszechnienia.

Zdając sprawę z teologicznych czasopism polskich, nie możemy żadną miarą pominąć nader ważnego wydawnictwa, jakiem jest *Kronika dyecezyi przemyskiej*. Miesięcznik ten wychodzący już od lat trzech, jest wprawdzie pismem o charakterze przeważnie lokalnym, ma służyć za organ dyecezyi przemyskiej, ma być jakby łącznikiem między duchowieństwem a ordynaryatem — zastępuje więc to, co w innych dyecezyach sprawują kurrendy, notyfikacye i t. d. Obok tego zawiera *Kronika* artykuły z dziedziny historyi kościelnej w Polsce (głównie dzieje dyecezyi przemyskiej), podaje rozprawy w kwestyi socyalnej, a w części i o prawie kanonicznem. Dość często zjawiają się tu recenzye nowszych prac teologicznych tak swojskich, jak i zagranicznych. *Kronika* zamieszcza wreszcie niektóre (nie wszystkie) dekrety Kongregacyi rzymskich i akta Stolicy św. Jest więc bardzo pożytecznem „pismem dyecezyalnem“.

Ponieważ Galicya nie zdobyła się dotąd na czasopismo ściśle teologiczne — i prawdopodobnie to prędko nie nastąpi — dlatego nasunęła nam się myśl, którą przedstawiamy światłemu sądowi redakcyi do rozpatrzenia i oceny. Czy nie możnaby z *Kroniki* stworzyć organu wszystkich dyecezyi łacińskich w Galicyi? Brak tego rodzaju wspólnego czasopisma, na które zdobyły się już pewne kraje zagranicą, daje się dotkliwie uczuwać tym, co pragną pracować czy to nad historyą czy też nad obecnem prawem kościelnem w Polsce. Tak np. rozporządzenia (nieraz wielkiej wagi) Ordynaryatów giną, wydawane na szczupłych kartkach; podobnie przepadają z niezmierną

stratą dla potomności liczne szczegóły historyczno-kościelne, dlatego, że brak im odpowiedniego umieszczenia i ugrupowania. Ileż to np. istnieje spraw wspólnych, obchodzących zarówno wszystkie dyecezye! Takiemi są np. dekrety ogólne Rzymu, wspólne listy pasterskie, reskrypta ck. ministeryów lub namiestnictwa. Te to dokumenty możnaby w jednem wspólnem czasopiśmie umieszczać, a nie drukować ich oddzielnie w kurrendach lub notyfikacyach. Jesteśmy przekonani, że Najprzew. Ordynaryaty chętnieby się zgodziły na taki wspólny organ; trzebaby tylko podjąć pewne rokowania w tym względzie.

Oczywiście wtedy trzebaby koniecznie wprowadzić pewien ład i system do całości. Na pewne braki techniki redakcyjnej *Kroniki* zwrócił już uwagę ks. dr Fijałek w *Przeglądzie kościelnym* (1902, t. I, str. 231—237), a jego nadzwyczaj praktyczne, trafne i cenne wskazówki należało koniecznie uwzględnić, zwłaszcza że nie nakładało to żadnych ciężarów na redakcyę. Wymagało tylko pewnej staranności, a postawiłoby *Kronikę* pod względem formy odrazu na równi z zagranicą. Tymczasem Redakcya *Kroniki* poprzestała na kilku (zresztą nieznacznych) poprawkach — a zasadniczych, życzliwością pokierowanych żądań (a raczej próśb) ks. d-ra Fijałka nie uwzględniła wcale. Nie czujemy się powołanymi lub upoważnionymi, by udzielać Redakcyi rad i wskazówek, ale nakreślimy tylko, jak sobie wyobrażamy tego rodzaju wspólny organ dyecezyalny.

Przedewszystkiem musiałby się on składać z trzech odrębnych działów (oddzielonych korzystnie osobną paginacyą) I. Dział urzędowy dzieliłby się na dwie części: a) ogólną, w której należałoby umieszczać listy i konstytucye papieskie, dekrety Rzymu (ale już wszystkie, a przynajmniej ważniejsze), wspólne listy lub rozporządzenia galicyjskiego Episkopatu, reskrypta ministeryalne lub namiestnictwa, mające na oku cały kler lub przynajmniej jego część np. proboszczów, katechetów; b) część druga szczegółowa obejmowałaby w czterech odrębnych tytułach (odpowiadających 4 dyecezyom) rozporządzenia i odręczne odezwy pasterskie, zapowiedzi święceń, wizytacyi, akta i ogłoszenia czy to kancelaryi konsystorskiej, czy konkursowe, wiadomości o obsadzeniu posad kościelnych, o zmianach w urzędowaniu i odznaczeniu osób duchownych.

II. Dział prywatny (z osobną paginacyą) miałby już charakter nieurzędowy i służyłby wyłącznie tylko ku pouczeniu i zbudowaniu duchowieństwa wszystkich czterech dyecezyi. Tu więc możnaby zamieszczać kronikę dyecezyalną, omawiać i opisywać czynności arcy-

pasterzy nieurzędowe (a przynajmniej nie mające charakteru legislatywnego) jak np. ich przemowy, wizyty kanoniczne, poświęcenie kościołów i kaplic; tu wreszcie zamieszczać wspomnienia pośmiertne, sprawozdania z różnych instytucyi dyecezyalnych, opis kościelnych uroczystości, historye kościołów i t. d. Oczywiście o osobne miejsce wołałyby w tym dziale także ważniejsze sprawy Kościoła katolickiego, natury ogólniejszej, które interesują ogół duchowieństwa.

Trzeci wreszcie dział należałoby poświęcić nauce katolickiej, a więc pracom i artykułom dogmatycznym, historycznym, pastoralnym, egzegetycznym. kanonicznym, kazuistyce, w końcu krytyce i bibiografii teologicznej — jednem słowem trzeci dział mógłby się wzorować na *Linzer Quartalschrift.*

W ten sposób *Kronika dyecezyi przemyskiej* mogłaby się stać organem bardzo pożądanym całego duchowieństwa w Galicyi (tak świeckiego jak zakonnego) — a mając zapewnione (w części przymusowe) poparcie duchowieństwa choćby z powodu I działu urzędowego — mogłaby spełnić wielkie zadanie i uratować od zagłady wiele cennych dla potomności dokumentów historycznych i prawniczych — a wśród kleru podnieść jeszcze w wyższym stopniu poziom wiedzy, poczucie wzajemnej łączności i pracy. W tym wypadku osobno wydawane kurendy i notyfikacye — tak zresztą ważne i pożądane — byłyby konieczne tylko w wyjątkowych nieprzewidzianych okolicznościach.

Czy to *pium desiderium* przyjdzie kiedy do skutku, nie wiemy — spodziewać się tego możemy obecnie jedynie po *Kronice*, która w tych warunkach, w jakich się teraz znajduje, przy skutecznej pomocy swego Najczcigodniejszego Założyciela i Protektora mogłaby sama podjąć się tego zadania i spełnić je z korzyścią i zadowoleniem ogółu. Jak dotychczas *Kronika* zaspakaja chwalebnie potrzeby duchowieństwa przemyskiego — ale *bonum* winno być *diffusivum sui.*

Podczas gdy *Przegląd kościelny* i *Kwartalnik*, a częściowo i *Kronika dyecezyi przemyskiej* w pierwszym rzędzie usiłują służyć naszemu duchowieństwu na polu teologicznego wykształcenia, to miesięcznik *Homiletyka*, wydawany już od lat sześciu w Królestwie, przedewszystkiem poświęca się podniesieniu u nas kaznodziejstwa i życia duchownego. Nagromadzenie bowiem materyału, zawartego w skarbcu wiary, obrobienie i przygotowanie go do bezpośredniego użytku kaznodziei z uwzględnieniem wymagań czasu i potrzeb wiernych przynosi olbrzymią ulgę kapłanom, przeciążonym nieraz pracą pasterską i nie mają-

cym wskutek tego tyle wolnego czasu, by samodzielnie przygotowywać ciągle to nowe kazania. Ułatwić więc tę pracę duchowieństwu — oto cel *Homiletyki*. Rozumiejąc potrzeby naszych czasów, redakcya *Homiletyki* daje w kazaniach i naukach przedniejsze miejsce wykładowi prawd dogmatycznych, które winny być podstawą, siłą i podwaliną moralności chrześcijańskiej. Doświadczenie bowiem poucza, że nie tylko lud ciemny, ale i sfery wykształceńsze nie znają prawd wiary i skutkiem tego błądzą często w ciemnościach. — Obok kazań spotykamy na łamach *Homiletyki*, opracowanie seryi nauk rekolekcyjnych (w obecnym roczniku: dla dzieci i ludu), przemówienia ślubne, pogrzebowe, przy 1-szej Komunii św., różne a bardzo praktyczne nauki przygodne i katechetyczne. Podniesienie życia duchowego u ludu mają na oku „czytania ludowe na niedziele“ i „czytania na miesiąc maj“. Każdy niemal zeszyt zamykają „Wiadomości teologiczno-pastoralne“ i dość skąpe „Zapiski bibliograficzne“. Biorąc to wszystko pod uwagę, należy wyznać, że *Homiletyka* bardzo dobrze wywiązała się ze swego zadania i zasługuje na szczere polecenie.

Wyłącznie kaznodziejskim celom służą *Kazania i szkice XX. Towarzystwa Jezusowego*, wydawane zeszytami w nierównych odstępach czasu, ale w ten sposób, że co trzy zeszyty stanowią tom o wspólnej paginacyi. Dotąd wyszło 21 zeszytów (7 tomów). Kazania te, wydawane okolicznościowo, nie są wprawdzie ugrupowane według treści, ani według kościelnego roku — ani *Homiletyka* nie czyni tego — bo podobnego ugrupowania niepodobna przeprowadzić tam, gdzie materyał wciąż napływa. Cel *Kazań i szkiców* wyłącznie praktyczny, dlatego chociaż i tu znajdujemy raz po raz prawdziwe wzory kaznodziejstwa, mimo to redakcya wyraźnie się zastrzega, że jedynie użytek duszpasterstwa kieruje nią w wyborze kazań podanych. Że jednak zapotrzebowanie tego rodzaju wydawnictw w naszym kraju bardzo wielkie, i że *Kazania i szkice* w zupełności odpowiedziały żądaniom naszego duchowieństwa, tego dowodzi choćby ta okoliczność, że każdy niemal tom *Kazań i szkiców* wita prasa katolicka z uznaniem i że pierwsze cztery tomy mimo wielkiego nakładu całkowicie wyczerpano.

A kiedy już mowa o stałych wydawnictwach Kazań, niechże nam wolno będzie powitać z radością i inne więcej sporadyczne objawy ruchu kaznodziejskiego w Galicyi. Ruch ten naprawdę istnieje i coraz silniejszem bije tętnem. Dowodem tego to choćby świeżo wy-

dane kazania (np. ks. Fr. Walczyńskiego, ks. Langera T. J. i innych), dowodem spolszczenie kazań ks. Segneriego (przez ks. dr. Górkę), dowodem wreszcie od maja zeszłego roku poczynający wychodzić w Przemyślu miesięcznik *Kazalnica*, któremu mimo krótkiego dotychczas istnienia nie można odmówić słów uznania za starannie dobierane kazania i nauki. Czasopismo to jest, zdaje się, wypływem kilkakrotnie poruszanej w Galicyi myśli — którą oby urzeczywistniono — aby kazania, nieraz bardzo piękne, świeckiego duchowieństwa gromadzić i w osobnym organie lub w oddzielnych książkach wydawać ku pożytkowi ogółu.

Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski, wychodzący od lat 7 w Tarnowie, obrał sobie za cel niesienie pomocy katechetom i wogóle duchowieństwu parafialnemu szeregiem artykułów przeważnie treści praktycznej Oczywiście na pierwszym planie podaje *Dwutygodnik* zwykle jedną lub dwie rozprawki religijno-społeczne, dotyczące szerszego ogółu duchowieństwa. By choć kilka tytułów wymienić, wspomnę np. o takich artykułach: jak „Jednorazowa czy dwurazowa nauka szkolna“, „Pierwiastek religijny w poezyach J. B. Zaleskiego“, „Społeczeństwo katolickie w zaraniu dziejów nowożytnych“, „O olbrzymach biblijnych“, „Gestykulacya i mimika kapłańska“, „Eleusis, czasopismo dla Elsów“, „Lektura ślizka wobec nowego prawa kościelnego“, „Cerkiew prawosławna“, „Pius X o zadaniu duchownych“ i t. d. i t. d.

Po artykuliku wstępnym zamieszcza zwykle *Dwutygodnik* albo kazanie, albo egzortę, przystosowaną do czasu i do różnych klas młodzieży, któremi ks katecheci mogą się posługiwać przy nauce szkolnej. Oczywiście wartość literacka i praktyczna tych egzort jest bardzo różną — zawsze jednak przystępnie wykładają prawdy religijne.

W każdym zeszyciku porusza *Dwutygodnik* przeważnie kwestye bieżące lub społeczne. Rzecz odznacza się jasnością i trafnością poglądów, a przytem wielką zwięzłością. „Poradnik katechetyczny i duszpasterski“ podaje krótkie wskazówki liturgiczne, prawnicze, moralne, zaznajamia czytelnika z nowszymi dekretami Kościoła, wreszcie z ważniejszemi nowościami kościelno-literackiemi. Bardzo pożyteczne i praktyczne są „Obrazki z Naprzodu, Promienia, Przyjaciela ludu“ i innych pism o zakroju radykalno-przewrotowym. „Wiadomości dyecezyalne“ zamykają każdorazowy numer.

Poprzestajemy na tym pobieżnym szkicu, bo dokładniejszą ocenę pięcioletniej działalności *Dwutygodnika* podał *Przegląd powszechny* w roku

1902 (kwiecień str. 100 sqq). Z kilku naznaczonych tu myśli widać jak pożytecznym i praktycznym jest *Dwutygodnik* zwłaszcza dla duchowieństwa, zajętego po parafiach i szkołach, któremu brak czasu nie dozwala specyalnie zajmować się naukowemi czasopismami kościelnemi. To też zasługuje on na najżywsze poparcie stron interesowanych i godzien jest tej małej subwencyi krajowej, jaką mu nie bez trudności przyznano.

Wielu mniemało, a może i dotychczas mniema, że *Dwutygodnik* jest rywalem i to niebezpiecznym *Gazety kościelnej*. Wywołało to nawet w swoim czasie dość ożywioną polemikę w łamach obydwu pism. Nam zdaje się, że istotnej i rzeczowej rywalizacyi między temi czasopismami niema. Cele ich dość odmienne, sposób redagowania także różny — a przeto mogą i powinny obok siebie egzystować i służyć pożytkowi ogółu. Jakiż bliższy cel wytknęła sobie *Gazeta kościelna?* Jest ona przedewszystkiem pismem poświęconem sprawom kościelnym i społecznym, a zarazem jest organem „Towarzystwa wzajemnej pomocy kapłanów". Dziesięciolecie istnienia święciła zeszłego roku, a trzeba wyznać, że obfitowało ono w ciernie, nie brakło mu nawet cięższych krzyżów. Mimo to czasopismo, dzięki wysiłkom swych zacnych redaktorów, wytrwało na stanowisku, podniosło się znacznie nawet pod względem technicznym i stara się podawać swym przyjaciołom pomiędzy duchowieństwem to wszystko, co jest niezbędnie potrzebnem w zawodowej pracy. Na pierwszem przeto miejscu uwzględnia *Gazeta kościelna* wszystkie ważniejsze kwestye religijne i społeczne. Świetnym np. i trafnie zestawionym był szereg artykułów ks. A. Pechnika p. t.: „Nowe hasła i dążenia demokracyi socyalnej". W nich to poruszył czcigodny a tyle zasłużony autor wszystko, co można i trzeba było uwzględnić w wyczerpującej rozprawie o nowej demokracyi socyalnej. Inne prace — jak np. „Duchowieństwo parafialne a szkoła", „Warownie katolicyzmu na wschodnich kresach", „Niedzielny i świąteczny odpoczynek", „W sprawie celibatu", „Myśl słowiańska", „Iść czy nie iść w lud", „Dziennikarstwo a Kościół" — wywołane potrzebą chwili obecnej, nie są pozbawione i trafnych myśli, a niekiedy nawet zalet literackich.

Na drugiem zwykle miejscu podaje *Gazeta kościelna* tygodniową „Kronikę kościelną", pióra księdza XX. (nie chcemy zdradzać czcigodnego autora, który sam się ukrył pod tymi iksami). „Kronika", pisana zwykle z werwą, zbiera krótko z tygodnia ważniejsze wydarze-

nia kościelno-społeczne na całym świecie, głównie zaś w Europie. — Myśl istotnie dobra i praktyczna, bo oszczędza duchowieństwu dużo czasu, któryby trzeba łożyć na czytanie kilku przynajmniej gazet, a także i kieszeni. Z innych prac zamieszczonych w roku ubiegłym w *Gazecie kościelnej* warto podnieść „Kazania pasyjne“ i historyczno-bibliograficzny „Przyczynek do historyi ‚Nauk katechizmowych‘“. Uzupełnieniem tej bądź co bądź bardzo pracowitej rozprawy, jest jeszcze żmudniejszy, nie bez pożytku, chociaż zbyt suchy „Przegląd chronologiczny nauk katechizmowych“ tegoż autora. Niekiedy spotkać można w *Gazecie kościelnej* obok trochę skąpej bibliografii, kwestye moralne i kanoniczne. „Wiadomości dyecezyalne“ zamykają zwykle każdy numer tego pożytecznego wydawnictwa, które zasługuje na gorliwe poparcie duchowieństwa.

Czem *Gazeta kościelna* w Galicyi, tem w znacznie szerszym zakroju jest *Przegląd katolicki* w Królestwie. Jest on nie tylko organem duchowieństwa, ale rzec można wykształconych katolików Królestwa. Trzymając wysoko przez 40 lat istnienia sztandar katolickich zasad, mimo burz i nawałnic, zdołał sobie zdobyć uczciwą pracą poważne stanowisko. „Przegląd tygodniowy spraw kościelnych“ obok „Notatek z prasy peryodycznej“, „Kronika kościelna wewnętrzna i zagraniczna“ obok bibliografii — oto stałe rubryki *Przeglądu katolickiego.* Wprost mistrzowskim jest „Przegląd tygodniowy spraw kościelnych“ pióra ks. J. G., wytrawnego znawcy stosunków kościelnych i niepośledniego stylisty. Jego artykuliki pełne rozmaitości, pisane lekko a przytem poważnie, często cięcie a zawsze z literackim zamachem, mogą posłużyć za wzór, jak należałoby zdawać sprawozdanie z wydarzeń bieżącego tygodnia. Dość często zamieszcza *Przegląd katolicki* encykliki papieskie w tekście łacińskim i przekładzie polskim, szerząc w ten sposób ich znajomość wśród swych licznych czytelników.

Na szersze warstwy katolickiego społeczeństwa w Królestwie obliczony jest nader pożyteczny tygodnik *Kronika rodzinna.* Jego wielka poczytność jest dowodem popularności, jaką sobie zdobył, a zarazem zaświadcza, że redakcya nie szczędzi starań, by zadowolnić wszelkie duchowe potrzeby swych przyjaciół. W czasie 36-lecia swego istnienia przechodziła *Kronika* liczne zmiany i ewolucye tak co do treści jak i formy. Obecnie jest to „Tygodnik obrazkowy, popularny, religijno-społeczny“. Odpowiadając swemu założeniu, podaje zawsze trzy od-

rębne działy. Pierwszy z nich, dział religijny, zamieszcza stale ewangelię niedzielną i kilka artykulików treści budującej. W dziale społecznym zaznajamia *Kronika rodzinna* z ważniejszemi wydarzeniami obebnej doby, a częściowo także i z bibliografią polską. Dział obrazkowy przynosi wiadomości z historyi polsko-kościelnej, ze świata wiedzy i wynalazków, stawia przed oczy żywoty zasłużonych Polaków, zamieszcza poradnik praktyczny i łatwe szarady, podaje liczne, często gustowne illustracye — słowem stara się być wszystkiem dla rodziny katolickiej i polskiej. Życzymy tak pożytecznemu wydawnictwu jeszcze szerszego poparcia i jak największego rozpowszechnienia w rodzinach polskich.

Wobec wielkiego braku dzieł naukowych i religijnych, a szeroko rozpowszechnianej u nas literatury wątpliwej wartości, było to prawdziwą zasługą względem społeczeństwa, gdy dobrze myślący katolicy zaczęli w Warszawie wydawać: *Bibliotekę dzieł chrześcijańskich*. Dotychczas wydano około 40 tomowych zeszytów (co miesiąc jeden zeszyt) treści najróżnorodniejszej, ale zawsze zajmującej, poważnej, w duchu katolickim napisanej. Każdy tom (około 20 arkuszy druku in 8^0) podaje jedną (najwyżej dwie) obszerne rozprawy, które wkraczają w dziedzinę historyi powszechnej i kościelnej, Pisma św., teologii, filozofii, socyologii, archeologii, nauk przyrodniczych i t. p. Niektóre z nich jak np. (październikowy z r. 1903) „Snopek kąkolu“ (ks. Biskupa Niedziałkowskiego) tryskają dowcipem i życiem, a dotykają ran, nawyknień, przesądów społeczeństwa polskiego. Inne znowu jak np. „Kartki z dziejów odrodzenia katolicyzmu w Anglii“ zaznajamiają nas z takimi pionierami życia katolickiego w Anglii jak Sydney Smith, Wiseman, Manning, Newmann i inni. Przy każdym poszycie znachodzimy „Notatki bibliograficzne“, które omawiają ważniejsze nowości literackie (także zagraniczne) z dziedziny teologii, filozofii, historyi, ekonomii i socyologii. Recenzye te krótkie a jędrne mogą być dobrą wskazówką w wyborze dzieł; — radzimy jednak redakcyi, aby umieszczała wyłącznie krytyki oryginalne, a nie brała ich żywcem z innych czasopism. Obecnie rozpoczęła *Biblioteka* wydawnictwo podręcznej encyklopedyi kościelnej, a ma w tem zapewnione współpracownictwo najwybitniejszych sił naukowych ze wszystkich trzech dzielnic. „Szczęść Boże“ w tej pożytecznej pracy!

Nie możemy na tem miejscu pominąć milczeniem nader pożytecznej działalności *Apostolstwa modlitwy* w Krakowie na polu religijno-społecznem.

Z nader nieznacznych wyrósłszy początków, wydaje ono obecnie dla ludu, mieszczaństwa i warstw wykształconych dwa miesięczniki w olbrzymiej ilości egzemplarzy, a nadto liczne książki, książeczki do nabożeństwa, rozmyślania, dzieła o życiu duchowem, kazania i konferencye, doborowe żywoty świętych Pańskich, opisy krajów i prac misyjnych, różne drobne druki, służące głównie do celów stowarzyszenia Apostolstwa modlitwy, a nawet dzieła i broszury naukowe i literackie. Podczas gdy jeden miesięcznik Apostolstwa t. zw. *Posłaniec* (Intencya miesięczna) dąży przedewszystkiem do rozkrzewiania gruntownego i praktycznego nabożeństwa ku Najśł. Sercu Jezusowemu i odznacza się charakterem wyłącznie religijnym i pobożnym — pragną *Głosy katolickie* „przeciwdziałać zgubnym wpływom, jakie wywiera na warstwy wykształcone liberalizm, na robotników socyalizm i pokrewna mu agitacya pseudo-ludowa". Pisemko to wydało od r. 1901 około 40 zeszytów $1^1/_2$ arkuszowych, w których omawiało w duchu katolickim, metodą popularną, rozliczne kwestye nie tylko ściśle religijne (jak np. o potrzebie religii, o chrześcijańskiej rodzinie, nauce Chrystusa P., istnieniu Boga, spowiedzi, Najśw. Sakramencie, Komunii, Mszy św., czyścu, różańcu, Najśw. Pannie w Lurd, przekleństwie etc.), ale nadto zagadnienia społeczne (np. o niebie i chlebie, o wyborach, sprawiedliwość i miłosierdzie, o demokracyi chrześcijańskiej), a nawet ekonomiczne (np. o spółkach pożyczek i oszczędności systemu Raiffeisena etc.).

Prócz książek i książeczek, przeznaczonych dla warstw oświeconych, wydało *Apostolstwo* wiele takich, które dla popularnego i przystępnego przedstawienia rzeczy nadają się w pierwszym rzędzie dla ludu. W ten sposób *Apostolstwo modlitwy* wypełniło w wielkiej części przykrą dotychczas lukę naszego piśmiennictwa, bo dało naszemu ludowi strawę duchową silną i zdrową, nie zatrutą blichtrem fałszywej oświaty, a zarazem wolną od podmuchu źle zrozumianej i spaczonej pobożności. Nie tu miejsce wyliczać wszystkie tego rodzaju dzieła i prace. Wystarczy, jeśli wspomnimy o zaletach, jakie cechują wszystkie wydawnictwa *Apostolstwa modlitwy*. Treść podniosła, przedstawiona przystępnie i jasno, często obleczona w szatę pięknego stylu — nader staranna, poważna, nieraz bardzo gustowna forma zewnętrzna, — wreszcie niezwykle nizka cena, zalecają przedewszystkiem to wydawnictwo, które też powszechna wystawa krajowa we Lwowie r. 1894 zaszczyciła listem pochwalnym za pożyteczną pracę około społeczeństwa na polu religijno-moralnem.

Na tem samem polu pracują już od 22 lat *Misye katolickie*. Miesięczne to, bogato illustrowane czasopismo „wzięło sobie za zadanie rozbudzać w społeczeństwie polskiem świadomość o wszechświatowym i apostolskim charakterze Kościoła katolickiego, uwydatniającym się szczególnie w działalności jego misyjnej, oraz dostarczać rodzinom lektury uczciwej a zarazem zajmującej i pouczającej". Tak np. ostatni rocznik podaje w przystępnej, często nader barwnej szacie ciekawe opisy prac misyonarskich już to pomiędzy innowiercami w Europie, już też i to głównie między pogaństwem w różnych częściach świata. W artykułach poważniejszych i dłuższych — są to zwykle oryginalne listy misyonarzy tak polskich jakoteż i obcych — podają *Misye* źródłowe historyczne wiadomości z dziejów misyjnych, czerpane od naocznych świadków. Stała rubryka *Misyi:* „Wiadomości bieżące" zaznajamia nas z życiem, charakterem, sposobem myślenia i postępowania wszystkich nieomal ludów, do których dotarła religia katolicka. Nie brak także szczegółów etnograficznych, kulturalnych i religijnych z tych państw, które należą do krajów, uważanych za misyjne. Treść ostatniego rocznika zdobi około 130 rycin, wykonanych nader gustownie, a przytem zupełnie oryginalnych, bo nie czerpanych z drugiej ręki, ale przesyłanych przez misyonarzy lub osobiście zdejmowanych przez redaktora *Misyi*, podczas jego duszpasterskich wycieczek. Wobec tego, że *Misye katolickie* są jedynem wydawnictwem, które niejako pośredniczy między nami a życiem misyjnem Kościoła, nie możemy dość gorąco polecić tego czasopisma wszystkim prawdziwym katolikom, którym leży na sercu postęp i losy ich religii po całym świecie.

Ks. Władysław Szczepański.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

XIX ZGROMADZENIE KATOLIKÓW WŁOSKICH W BOLONII I »MOTU PROPRIO« PIUSA X.

W dniach 10—14 listopada 1903 r. obradowali w Bolonii na 19 zjeździe katolicy włoscy; następstwem tych obrad było ogłoszenie w kilka tygodni później głośnego *Motu proprio* Piusa X. Jaki wewnętrzny związek istnieje między tymi dwoma faktami?

Katolicki ruch społeczny we Włoszech oparł się od samego początku swego o Kościół, tak dalece, że nietylko prasa zależy tam od biskupów, ale i mężów, na czele całego ruchu stojących, mianuje sam papież; papieżowi też oni we wszystkiem podlegają. Długie lata stał na czele całego ruchu hr. Paganuzzi z Wenecyi. Pełen entuzyazmu i poświęcenia dla dobrej sprawy, niósł dla niej wielkie ofiary i potrafił zjednać dużo serc, lecz nie rozumiał dobrze dzisiejszych prądów; stąd wyłoniło się rozdwojenie, a nowy, przez „młodych“ wywołany ruch, zainicyował ks. Murri. Postępowanie tego ostatniego nie znalazło we wszystkiem uznania Rzymu; ks. Murri otrzymał poważne upomnienie, poddał się sam i do poddania zachęcał również swoich sojuszników. Ferment jednak trwał dalej, aż wreszcie hr. Paganuzzi ustąpił, a miejsce jego zajął hr. Grosoli z Ferary. Zjazd w Bolonii miał połączyć poważnione strony.

Kongres odstąpił tym razem od starej tradycyi. Dotąd wykluczano dyskusye na zebraniach ogólnych i publicznych,

przeprowadzano je natomiast w sekcyach i gotowe już uchwały przedkładano zgromadzeniu do przyjęcia lub odrzucenia. Dawny zwyczaj zmieniono obecnie i na publicznych, ogólnych posiedzeniach obradowano i roztrząsano przedłożone kwestye. Była to zmiana nader niefortunna. Mniejsza już o to, że posiedzenia trwały prawie w jednym ciągu od wczesnego rana do północy i nawet dłużej, trudno jednak, zauważa słusznie *Civiltà cattolica*, w zgromadzeniu liczącem dwa tysiące osób, z których każda ma prawo głosu i głosowania, zachować przy obradowaniu formy parlamentarne. Czas był krótki, poruszać trzeba było kwestye nader ważne, które wymagały osobnych, zawodowych studyów, a o te znowu trudno w tak mieszanem gronie, na najważniejszą zaś pracę w sekcyach zabrakło już czasu. I jedną jeszcze niedogodność miał ten sposób prowadzenia obrad. Urzędowo biorą udział w publicznych tych zgromadzeniach książęta kościelni, a tym sposobem stają się oni niejako współodpowiedzialnymi za to, co na posiedzeniach zajść może; nie najprzyjemniejszem więc jest ich położenie, jeżeli muszą potwierdzić lub potępić to, co większość w ich oczach postanowiła.

Kongres wywołał też niekoniecznie dodatnie wrażenie. Chrześcijańskich demokratów zjechało się wielu, a w zjeździe tym znaleźli oni dobrą okazyę do urządzania burzliwych owacyi ks. Murri'emu. „Starzy“ z wielką tylko trudnością dochodzili do słowa, wygwizdywano ich, nie wiele brakowało, a byłoby przyszło i do czynnych demonstracyi. Dzięki jedynie taktowi, roztropności, zimnej krwi i stałości hr. Grosoli'ego i kilku innych zasłużonych członków, kongres się nie rozpadł. Pogrom Paganuzzi'ego był zupełny, szczególniej gdy mu Grosoli oświadczył, iż Ojciec św. uznaje zwalczane przez niego zapatrywania; pogrom był tem zupełniejszy, że i kardynał Bolonii, Svampa, stanął po stronie „młodych“ [1].

Hr. Paganuzzi udał się natychmiast po skończonym Zjeździe do Ojca św., który przyjął go ze zwykłą sobie łagodnością, pochwalił jednak postępowanie Grosoli'ego. W sferach kato-

[1] *Historisch-politische Blätter* t. CXXX z. II.

lickich objawiło się pewne zaniepokojenie, a z tego powodu ogłosił *Osservatore Romano* 24 listopada u. r., że Ojciec św. wiedział o zamiarach prezydenta generalnego, że nie przekroczył on granic udzielonego mu od papieża pozwolenia, i że, jak przedtem, posiada i dziś pełne jego zaufanie. W obronie chrześcijańskich demokratów stanęła i *Civiltà cattolica*, a jest to fakt tem bardziej znamienny, że Ojciec św. sam przed wydrukowaniem odpowiedniego artykułu odczytał go i potwierdził. *Civiltà* broni „młodych“ od zarzutu, że kongres poprostu przepełnili, wszak ich usilnie zapraszano, a chociaż w przeddzień kongresu oświadczyli, że stoją wiernie przy programie, tak, jak go rozwinęli na swych zgromadzeniach i w pismach, nie wspominając nic o tem, czy pójdą za wskazówkami Ojca św., to jednak na samym kongresie nie przekroczyli zakreślonych granic i można się spodziewać, że ich nie przekroczą w przyszłości. Żeby jednak zachęceni tym pewno niespodziewanym sukcesem Murriści nie poszli za daleko, wystosował kardynał-sekretarz stanu do wydawcy *Domani d'Italia*, organu chrześcijańskich demokratów, list w imieniu Piusa X, w którym tenże dziękuje za wyrażone mu w adresie Murristów z siódmego grudnia słowa poddania się i posłuszeństwa, ale zarazem też wyraża nadzieję, że organ ich nie przyczyni się do rozszerzenia opinii o „nowym kierunku“, że mianowicie stanowisko katolików włoskich ulegnie pewnej zmianie, a zakaz (ma tu Ojciec św. na myśli *non expedit)* wyrosły z dobrze rozważonych i wszystkim znanych pobudek, zostanie cofnięty.

Ostatecznie więc nie można zaprzeczyć, że upragnione zjednoczenie nie przyszło do skutku, a jeżeli wszystko nie myli, ruch katolicki we Włoszech w przyszłości należeć będzie do chrześcijańskiej demokracyi. Ma ona już dzisiaj swoje zasługi, odznacza się ruchliwością i inicyatywą, nie można jednak zaprzeczyć, że w akcyi przeciwko konserwatystom szła często za daleko, a dużo będzie potrzebowała taktu i umiarkowania, by uniknęła konfliktu z władzą kościelną.

Te wszystkie okoliczności spowodowały ogłoszenie w dniu 18 grudnia 1903 papieskiego *Motu proprio*, wskazującego linie

wytyczne dla akcyi katolickiej we Włoszech. Treść tego *Motu proprio* jest, sądzimy, z gazet ogólnie znaną, dlatego ograniczymy się tu do kilku tylko uwag. Papież opiera się na trzech encyklikach swego poprzednika *Quod Apostolici muneris, Rerum novarum, Graves de communi* i na pewnym poszczególnym dekrecie wydanym przez kongregacyę dla nadzwyczajnych spraw kościelnych. Z tych źródeł wyprowadza dziewiętnaście zasadniczych reguł, którymi katolicy kierować się mają w swej działalności społecznej. Po wyłożeniu kilku zasad teologicznych, filozoficznych i socyalnych, które trzeba koniecznie mieć przed oczami, aby uniknąć błędów i nieporozumień, przechodzi Pius X do najbardziej żywotnej strony całej kwestyi, do jej zastosowania praktycznego. Demokracya chrześcijańska nie ma się mieszać do polityki, nie ma dążyć do celów politycznych, nie ma brać udziału w akcyi politycznej; jej celem niech będzie praca dla ludu. Jest ściśle zobowiązana poddać się władzy duchownej i podporządkować się komitetowi ustanowionemu dla przygotowywania zgromadzeń katolickich, któremu to komitetowi zlecili kierownictwo ruchu Pius IX i Leon XIII. Katoliccy pisarze mają w tem, co się odnosi do spraw religijnych i do wpływu Kościoła na społeczeństwo, podlegać i poddać się biskupom i papieżowi; dzieła ich, o ile zajmują się religią i nauką obyczajów, tak chrześcijańską, jako też przyrodzoną, będą potwierdzać biskupi. Te zasadnicze przepisy mają być doręczone wszystkim komitetom, kółkom i zjednoczeniom katolickim, jakiejkolwiek byłyby natury i formy. Gazety zaś katolickie mają to *Motu proprio* przedrukować i zobowiązać się do jego zachowania, w przeciwnym razie będą surowo upomniane, a gdyby i to nie skutkowało, przez władzę kościelną zakazane.

Motu proprio dąży więc do tego, by w działalność demokracyi świeckiej wprowadzić pewną jednolitość i określa zadania i drogi tejże stanowczo i jasno; poleca tworzenie i rozwijanie stowarzyszeń, związków robotniczych, instytucyi ubezpieczeń, ochronę młodzieży, a zakazuje bezwarunkowo mieszać się do polityki. Ton jego jest ostry *(obbligo strettissimo, sieno gravemente ammoniti)*, przebija nawet w nim pewne niedowierzanie względem

samodzielnego postępowania katolików włoskich, dlatego też taki nacisk kładzie na zwierzchnictwo biskupów w akcyi.

Po pojawieniu się *Motu proprio* pytano się z pewnem zaniepokojeniem, czy odnosi się ono tylko do Włoch, czy też do całego świata. Prawda, jak zwykle, leży w środku. Większa część obowiązuje bez wątpienia katolików całej ziemi, gdyż wylicza ona teoretyczne zasady, opierające się na teologii i filozofii chrześcijańskiej; mniejsza ale ważniejsza za to, bo praktyczna część odnosi się wyłącznie do Włoch i tylko niejasne tłumaczenie pewnego ustępu przez *Czas* a po nim i *Gazetę Kościelną* wywołało u nas niepotrzebne zamieszanie. Wynika to choćby i stąd, że Zjazd katolików w Bolonii, jak sam Ojciec św. w wstępie mówi, spowodował to wystąpienie Papieża, a różnica zdań, która wywołała tam gwałtowne polemiki, nie pozwala mu milczeć. Wynika to również stąd, że cztery ostatnie reguły, z wyjątkiem małej klauzuli, opartej na konstytucyi *Officiorum ac munerum*, mogą się tylko do Włoch odnosić; powołuje się bowiem w nich papież na przepisy kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych, które to przepisy wyłącznie dla Włoch wydane zostały. Komu to jeszcze nie wystarcza, tego przekona *Osservatore Romano* w jednym ze swych ostatnich numerów ubiegłego roku. Pisze on, że papież wszedł w ich walki i „przemówił znowu do swych włoskich synów, choć po raz pierwszy dopiero po ojcowsku napominając Pius X do nich się zwrócił, gdyż sądził, że nie potrafi lepiej i jaśniej swych zapatrywań wyrazić, jak słowami Leona XIII“. Wzywa więc *Osservatore Romano* do posłuszeństwa względem „naszych biskupów“, gdyż oni „do jednego tylko zdążają celu, chcą nas na prawdziwej drodze zachować i sprawić, aby naród włoski nie wpadł w ręce naszych wrogów i to za naszą winą“. Tymi słowy, kwestya skądinąd jasna, jest zdaje się rozstrzygnięta; Ojciec św. nie mógł stanąć w sprzeczności z samym sobą.

Ciekawą w sprawie *Motu proprio* uwagę robią *Historisch-politische Blätter*. Zestawiają one działalność dawnego biskupa Mantui i patryarchy Wenecyi z działalnością Papieża. Tam i tu jasno wyraził swoją wolę, tam i tu gorąco i serdecznie wzywał

do bezwzględnego zachowania przepisów, ale również stanowczo groził karami dla nieposłusznych. Na stolicy biskupiej i patryarszej osiągnął tym sposobem zamierzone skutki; wystarczy tu przypomnieć, że w Wenecyi np. stanął na czele zjednoczonych katolickich stronnictw, obalił rządy partyi liberałów i przeprowadził wybór katolickich radnych miasta. Zdaje się więc, że we Włoszech mogą spokojnie patrzeć w przyszłość i że w krótkim czasie nastąpi upragniona jedność między katolikami.

Z POWODU KURENDY KS. BISKUPA WAŁĘGI.

Z treścią ogólnie znanego listu ks. biskupa tarnowskiego nie będziemy czytelników zaznajamiać. Wystarczy tu stwierdzić fakt, że jest on napisany z ciepłem prawdziwie ojcowskiem, że z każdego jego słowa przebija gorliwość kapłańska i chrześcijańska miłość. List wywołał niebywały hałas, i ta okoliczność zdaje się świadczyć, że był on więcej na czasie, jak to niejednemu się zdawało. Prawdą jest, że wystąpić przeciwko jednemu, drugiemu kapłanowi, nie znaczy to jeszcze walczyć z religią, mogą tu w grę wejść pobudki zupełnie innej natury. Jeżeli się jednak taką walkę prowadzi systematycznie, stale i wytrwale, rzecz się zmienia i nabiera charakteru bardzo, bardzo podejrzanego; zbyt często niestety skłaniamy się do tego, by identyfikować osobę z rzeczą samą. Że zaś *Przyjaciel Ludu*, który najwięcej listem dotkniętym się czuje, nie jest tak niewinnym, jak sam o sobie pisze, pokazuje jego zachowanie się po ogłoszeniu kurendy. Jeżeli naprawdę sądził, że mu wyrządzono krzywdę, to przecież ma do rozporządzenia różne prawne środki, którymi mógł tę krzywdę naprawić. Co natomiast widzimy? Rozpoczyna on bezwzględną walkę przeciwko ks. biskupowi, podaje go w pośmiewisko, uczy swych czytelników, jak mają deptać jego powagę i nie rachować się z jego zakazem; odpowiedzią na list biskupi ma być masowe prenumerowanie *Przyjaciela*. Biskup może zakazać jakiegoś pisma, i tej władzy żadna polemika, żadne oburzenie mu nie wydrze; zakaz w naszym wypadku wypadł po długiej rozwadze i zastanowieniu się, i jest prawomocnym, katolik więc, nie z imienia tylko, ale z rzeczy, jest obowiązany mu uledz i go

słuchać. Gdyby współpracownicy *Przyjaciela* byli katolikami, jak to głoszą, zastanowiliby się dobrze nad swoim krokiem, który przyjął zupełnie charakter walki religijnej tem niebezpieczniejszej, że propagowanej między ludźmi, którzy aż zbyt często nie potrafią sobie zdać sprawy z ważności rzeczy, tem gorszej, że naprawdę świętokradzkiej. Jakiż bowiem cel może mieć to fałszywe stosowanie słów Pisma św., którym redaktorzy chcą udowodnić, że wina nie po ich stronie, lecz po stronie biskupa, to nawoływanie do otwartego buntu, nieposłuszeństwa i gardzenia surową karą kościelną, to powoływanie się na Boga, który przecież powiedział „kto was słucha, mnie słucha, kto wami gardzi, mną gardzi", ta wreszcie groźba zawarta w odezwie Naczelnej rady stronnictwa ludowego „jeżeli świątynie Pańskie podobne się staną do targowicy politycznej, na której łaski niebieskie chcą sprzedawać za odstępstwo od zasad i głębokich przekonań politycznych, płaczcie nad upadkiem św. Jeruzalem. Czekajcie chwili, kiedy palec Boży wypędzi ze świątyni kupczycieli rzeczy doczesnych, jak Chrystus Pan powrozem wypędzał tłum jarmarczny, napełniający światowym zgiełkiem dom Jego Ojca". Jeżeli *Przyjaciel Ludu* w imię polityki może dziś burzyć lud przeciwko zwierzchnictwu duchownemu, może kto inny uczynić jutro to samo w imię nauki lub sztuki, a inny jeszcze w imię miłości kraju lub ludzkości. Dokąd dojdziemy? W ten sposób odzywali się ci, którzy od drzewa Kościoła oderwali całe narody i morze nieszczęścia na ziemię zlali. Tego nieszczęścia dziś się nie lękamy, ale ciężka odpowiedzialność, ciężki rachunek czeka tych, z których winy choć jedna zginie dusza, którzy Bogiem przeciwko Bogu się świadcząc, łaski Bożej nadużywają.

O SZKOŁĘ KATOLICKĄ WE WŁOSZECH.

Dość już dziś rozwinięta akcya katolicka we Włoszech zaznaczyła swoją działalność na tem właśnie polu, na którem obecnie wre wszędzie zacięta walka, na polu szkoły katolickiej. Na drodze parlamentarnej nic dla szkoły nie można było zrobić; parlament zniósł wykłady religii w gimnazyach, liceach i szkołach realnych, co do szkół gmin-

nych, zostawiła izba deputowanych wolność odpowiedniej zwierzchności. W szkołach niższych, szczególniej po wsiach, mógł Kościół w pewnej mierze swój wpływ wywierać; po większych za to miastach, gdzie aż zbyt często radę miejską cechował charakter namiętnie antykościelny, musieli katolicy sami do walki stanąć i to, co uczynili w tej mierze w ostatnich latach, zasługuje z pewnością na wszelkie uznanie... We wszystkich miastach włoskich znajdują się dziś średnie zakłady naukowe, oparte na katolickich podstawach, a liczba tych zakładów świadczy o ich frekwencyi. Sześciu katolickim gimnazyom i siedmiu szkołom realnym w samym Rzymie, może rząd przeciwstawić tamże tylko trzy gimnazya królewskie i pięć szkół realnych, a trzeba o tem pamiętać, że przecież uczniowie szkół katolickich muszą składać egzamina dojrzałości przed komisarzami królewskimi, którzy, rozumie się, w myśl rządu nie najłagodniej z maturzystami się obchodzą; mimo to liczba uczniów w gimnazyach katolickich stanowczo przewyższa liczbę uczniów w gimnazyach królewskich.

Wcale nie gorzej przedstawiają się niższe szkoły rzymskie; wciągnięto wprawdzie od niejakiegoś czasu w program niższych szkół publicznych wykłady religii, mimo to istnieje dzisiaj w stolicy 23 szkół papieskich dla chłopców, 15 szkół utrzymywanych przez komitet dla spraw katolickich, 6 szkół Braci szkolnych i przeszło 30 zakładów dla dziewcząt. Jest to objaw tem bardziej pocieszający, że świadczy on o wielkiej ofiarności katolickich Rzymian; szkoły niższe są bezpłatne, a koszta wynajęcia i urządzenia lokalów i pensyę nauczycieli muszą w wielkiej części pokryć katolicy z prywatnej szkatuły; mimo tych wszystkich trudności znajdują się szkoły katolickie w przeważnie kwitnącym stanie.

Na prowincyi rzecz trochę się zmienia; brak tam tej inicyatywy i tych wybitnych sił nauczycielskich, o jakie nie trudno w Rzymie. Lecz i tu dużo już zrobiono. Małe a nader liczne seminarya dyecezyalne zamieniono na gimnazya lub progimnazya, uczęszczają więc do nich i uczniowie eksterniści; ponieważ zaś z wyjątkiem stołecznych miast prowincyonalnych gi-

mnazya rządowe prawie nie istnieją, więc tym sposobem tysiące młodzieży otrzymują wychowanie wybitnie katolickie, tem bardziej, że nawet znane z swych uprzedzeń kościelnych rodziny chętnie do tych zakładów dzieci swe posyłają. W większych znów miastach, jak np. Neapolu, Wenecyi, Medyolanie, Florencyi, Genui i innych istnieją wszędzie katolickie gimnazya.

Gorzej ma się rzecz z szkołami niższymi poza Rzymem. W mniejszych miejscowościach nie wyzuły się one zupełnie z swego charakteru katolickiego, w większych za to, jak w Medyolanie, Mantui, Katanii lub Pizie są w najściślejszem słowa znaczeniu bezwyznaniowe, często wprost antychrześcijańskie. Jeżeli tu coś dla szkół niższych zrobiono, to jest to zasługą przeważnie Braci szkolnych. Nie można jednak zaprzeczyć, że z bardzo wielu niższych szkół po większych miastach włoskich wychodzi i wyjść musi generacya, nie mająca żadnego pojęcia o Bogu i Chrystusie. Dużo już uczyniono, więcej jeszcze pozostaje.

Ks. Wiktor Wiecki.

Nasze Towarzystwa oświaty ludowej w r. 1902.

Macierz Polska. — Fundacya imienia Tadeusza Kościuszki. — Wydawnictwo ludowe we Lwowie. — Towarzystwo Oświaty ludowej we Lwowie. — Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej. — Towarzystwo Szkoły ludowej. — Uniwersytet ludowy.

Nieraz można słyszeć dowodzenie, że przedewszystkiem dbać trzeba o dobrobyt ludności włościańskiej, dbać więcej, niż o oświatę, bo i cóż po oświacie bez dobrobytu. Zapatrywanie słuszne tylko częściowo. Przy dobrobycie niewątpliwie łatwiej podnosi się oświata. Lecz z drugiej strony, czy można na seryo myśleć o podniesieniu dobrobytu bez oświaty? Wszakże oświata nie wytrąci chłopu pługa z ręki, lecz nauczy go, jak tym pługiem orać, aby wyorać z ziemi więcej, niż ona mu dotychczas daje. Trzeba podnieść produkcyjność ziemi; trzeba budzić samodzielną przedsiębiorczość i umiejętność dawania sobie rady bez potrzeby oglądania się na pomoc, mającą wszelkie cechy raczej dobroczynności i jałmużny, aniżeli społecznej działalności; trzeba zwiększyć

energię pracy, dążyć do samodzielności charakterów, bo dopiero to wszystko może dać możność polepszenia dobrobytu. A wszystko to stać się może jedynie za przyczyną oświecenia tej nieoświeconej masy ludu. Zatem oświata i dobrobyt wzajemnie są od siebie zależne. Trzeba się starać jednocześnie i równorzędnie o ich podniesienie.

Bez szkoły nie mogłoby być nawet mowy o podnoszeniu oświaty w szerszem znaczeniu tego słowa, oświaty wymaganej rozwojem dzisiejszych stosunków społecznych. Jednak rozwój szkoły ludowej w Galicyi nie wchodzi w zakres niniejszego przeglądu. Lecz cóż daje szkoła ludowa? Szkoła uczy czytać i pisać, szkoła dostarcza zasobu tylko najelementarniejszych wiadomości nie tylko u nas, ale wszędzie. Jeżeli w szkole nabyta nauka i wiadomości nie ulotnią się z głowy dziecka, to szkoła dała dopiero środek, umożliwiający dalszą działalność. Obowiązkiem jest społeczeństwa zrobić z tego środka rozumny użytek. Czy i w jaki sposób społeczeństwo ten obowiązek pełni dowiadujemy się ze sprawozdań instytucyi i towarzystw szerzących oświatę.

Gdzie szkoła dostarczyła już zastępu ludzi umiejących czytać, tam najłatwiej oddziaływać na nich za pośrednictwem książki. Najłatwiej, bo nie wzbudza ona tylu podejrzeń, co osoba obca, nieznana, po raz pierwszy zbliżająca się do wieśniaka; bo, raz rozpoczęta, ciekawą swą treścią zmusza czytelnika, że ją do końca przeczyta spokojnie, choć z treścią jej zrazu się nie godzi; bo umożliwia oddziaływanie od razu na masy o każdej porze dnia i roku. Ta łatwość ma też i ujemną stronę. W ten sam sposób szerzyć można książkę złą co i dobrą. Czytelnik niedoświadczony, nie mający wyrobionego zdania, przekonań i zasad, weźmie jedną i drugą. Tem pilniejszy tedy obowiązek szerzyć książki dobre a przez nie przekonania i dobre zasady; to jedyny praktyczny środek, który zagrodzi drogę książce złej, szkodliwej. Tem pilniejsza konieczność wydawnictwa książek dobrych dla licznych rzesz naszego ludu. Zadanie to spełnia „Macierz Polska“ we Lwowie.

Macierz Polska jest to fundacya, utworzona w roku 1882 według pomysłu J. I. Kraszewskiego z funduszu dostarczonego niemal wyłącznie przez księży Kazimierza Hulanickiego i Jana Sawickiego z dyecezyi kamienieckiej. Celem jej: „szerzenie oświaty narodowej w tych warstwach społeczeństwa, w których jej potrzeba okaże się najpilniejszą“. Czyste dochody majątku, który, jako żelazny, w żadnym razie nie może być uszczuplony, obracane być mają „na wydawnictwa ludowe w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu“ — po potrąceniu rocznej kwoty 1000 koron, przeznaczonej na zasiłki naukowe dla dzieci

niezamożnych rodziców. Według listu fundacyjnego wydawnictwa „Macierzy polskiej", w języku polskim, względnie ruskim, przedsiębrane być winny: drogą konkursów, przez wybór prac, niezależnie od konkursu nadsyłanych, i przez zamówienia Nie należy do celów fundacyi nabywanie dzieł już wydanych lub wydawanie broszur politycznych. Jakkolwiek tego w liście fundacyjnym nie wyrażono, to przecież wiadomo skądinąd, że, według ogólnego zarysu projektu fundacyi nakreślonego przez Kraszewskiego, wydawnictwa „Macierzy" powinny mieć kierunek katolicki. Sprawami „Macierzy" zarządza Rada wykonawcza. W skład jej wchodzili w r. 1902: prof. dr. L. Finkel przewodniczący, dr. T. Pilat zast. przew., prof. dr. K. Wojciechowski sekretarz, oraz członkowie: dr. T. Skałkowski, ks. arcybiskup Teodorowicz, Wł. Tyniecki, prof. dr I. Zakrzewski i inspektor szkolny M. Zaleski. Kontrola czynności Rady wykonawczej należy do kuratora — był nim hr. Andrzej Potocki — i do Rady nadzorczej: Stan. hr. Badeni, ks. arcybiskup Bilczewski, książę A. Lubomirski i ks. infułat Zabłocki.

W roku 1902 wydała „Macierz" siedem książek: „Konstytucya austryacka" napisał dr. Z. Próchnicki, cena 60 hal., „O budowie i pielęgnowaniu ciała ludzkiego podczas zdrowia i choroby" napisał dr. H. Kowalski, cena 1 K 60 h., „Święty Kazimierz, królewicz polski" napisał dr. F Papée, cena 30 h., „Nad Niemnem" powieść E. Orzeszkowej, skrócona przez A. Morzkowską, cena 80 h., „Praktyczne zasady i wskazówki chowu królików", napisał Prawdzic, cena 30 h., „O Maryi Konopnickiej" napisał dr. K. Falkiewicz, cena 20 h., „Pisma poetyczne A. Mickiewicza", w drugiem wydaniu, cena 48 h. „Macierz" wydaje nadto tygodniowe czasopismo dla włościan *Niedziela*, drukowane w 1340 egzemplarzach. Prenumeratorów pismo to miało 1270, z czego 54% przypada na włościan, 4% na księży, 4% na właścicieli dóbr, reszta na Rady powiatowe, stowarzyszenia, czytelnie i t. p.

„Macierz polska" otrzymuje z funduszów krajowych stały zasiłek, wynoszący 10 000 K rocznie W r. 1902 miała następujące dochody: z subwencyi 10 424 K, z wydawnictwa książek 9.263 K, z wydawnictwa *Niedzieli* 4.540 K, odsetki od kapitału żelaznego 3.182 K, razem około 27.411 K, zaś wydatki wynosiły: na wydawnictwo książek 13.085 K, na wydawnictwo *Niedzieli* 8.506 K, na administracyę 5.151 K, zasiłek dla szkoły polskiej w Białej 500 K, dla dzieci niezamożnych rodziców 1.420 K, razem około 28.663 K. Z końcem r. 1902 miała „Macierz" w gotówce 3.887 K, w papierach wartościowych 77.000 K. Od początku działalności licząc, wybito nakładem „Macierzy" 686.000

egzemplarzy książek, rozeszło się 615.000, pozostało z końcem 1902 r. w magazynie (w gmachu sejmowym we Lwowie) 71.000 egzemplarzy.

Finansowe podstawy działalności „Macierzy“ powiększyły się w r. 1902 bardzo znacznie wskutek powstania nowej fundacyi, „Fundacyi imienia Tadeusza Kościuszki“, która z Macierzą weszła w związek bardzo ścisły, a właściwie połączona z nią została.

W r. 1894 uchwaliło grono obywateli obchodzić setną rocznicę wojny narodowej przez zebranie funduszu pamiątkowego dla uczczenia pamięci Tadeusza Kościuszki. W ogłoszonej przez Komitet odezwie zaznaczono, że zbierany fundusz ma być przeznaczony na szerzenie oświaty między młodzieżą, która opuszcza szkoły ludowe, zasilać instytucye na tem polu pracujące i wspierać usiłowania ludności polskiej w tych okolicach, gdzie ludność ta walczy o utrzymanie swej narodowości. Zamknąwszy zbieranie składek, komitet, z księciem Jerzym Czartoryskim na czele, postanowił połączyć z „Macierzą polską“ nową fundacyę, która spełniać ma swe zadanie przez wydawanie tanich książek dla ludu w języku polskim, tudzież przez rozdawanie bezpłatne swoich wydawnictw, o ile dochody fundacyi na to pozwolą.

Zarząd majątkiem zarodowym fundacyi Kościuszkowskiej powierzony jest Wydziałowi krajowemu, zaś administracya dochodów fundacyi i wydawnictwo Radzie wykonawczej „Macierzy polskiej“, powiększonej delegacyą dwóch członków Zarządu głównego Towarzystwa pedagogicznego. Są nimi: prof. dr. Kalina i p. Jan Soleski. Fundacya rozpoczęła działalność w r. 1902 wydaniem książki „O Tadeuszu Kościuszce“, napisanej przez p. Antoniego Chołoniewskiego (cena 1 K). Wydano ją w 7.500 egzemplarzach kosztem 5.695 K 15 h. Na administracyę wydano 1.068 K. Wydatki wyniosły łącznie 6.762 K, zaś dochody: 3.504 K odsetki od papierów wartościowych i 416 K ze sprzedaży wydawnictw, razem 3.920 K. Z końcem 1902 r. miała fundacya Kościuszkowska 1.114 K gotówki i 67.428 K w papierach wartościowych.

Obecnie więc rozporządza Rada wykonawcza „Macierzy polskiej“ funduszami w sumie około 150.000 K, względnie odsetkami tego kapitału i stałą roczną subwencyą sejmową 10.000 K. Jest to podstawa materyalna, pozwalająca na pokaźną działalność.

Zdanie sprawy z dwudziestoletniej działalności „Macierzy“ i krytyczna ocena wszystkich dotychczasowych już wydawnictw dałyby pojęcie o doniosłości pożytków, jakie tej instytucyi mamy do zawdzięczenia. Wymagałoby to atoli osobnego studyum. Tu wystarczy wyja-

śnienie, że w przeciągu lat dwudziestu wydała „Macierz“ 96 książek, książeczek i broszurek. Przypada z nich 41 na książki treści powieściowej, 31 na książki dotyczące gospodarstwa wiejskiego, przyrody i spraw społecznych, 18 jest treści historycznej a 7 broszurek nie tyle religijnej co raczej kościelno-historycznej, o czem informują już same tytuły: „Święta Kinga, patronka ziemi polskiej“ i „Święty Jan Kanty“ napisane przez E. Zoryana, „Żywot św. Wojciecha“ i „Życie św. Brunona“ przez Darosława Janowskiego, „Królowa Korony Polskiej“ przez Władysława Bełzę, „Jubileusz czyli miłościwe lato“ przez ks. W. Puchalskiego oraz „Święty Kazimierz, królewicz polski“ przez d-ra F. Papée'go. Już na podstawie tego króciutkiego przeglądu każdy, kto zna czytelników „w tych warstwach społeczeństwa, w których potrzeba oświaty jest najpilniejszą“, przyzna, że jest rzeczą pożądaną, aby „Macierz“ wydawała więcej, niż dotychczas, zarówno książek treści religijnej, jak i historycznej.

Mniej więcej jednocześnie z „Macierzą“, bo w r. 1881, powstało we Lwowie Wydawnictwo ludowe z inicyatywy kilku zacnych osób. Celem wydawnictwa było i jest usiłowanie dostarczenia młodzieży wiejskiej przystępnie napisanych książeczek do czytania, by owoce nauki szkolnej nie poszły na marne, a dzieci, nauczywszy się czytać pod kierunkiem nauczycieli, mogły następnie same czytywać bez pomocy i objaśnień, i wdrażać się do czytania rzeczy poważniejszych, któreby uzupełniały albo utrwalały nabyte w szkole wiejskiej wiadomości. Książeczki Wydawnictwa ludowego są tedy w pierwszym rzędzie przeznaczone dla dorastającej młodzieży, jednak za pośrednictwem młodzieży działają one i na starszych. Pisać książeczki takie jest rzeczą dość trudną, to też nie wszystkie one są doskonałe, są między niemi rzeczy słabsze, ale złej książki niema ani jednej, przeciwnie wszystkie noszą cechy jak najuczciwszego dążenia. Wydawnictwo to jest peryodyczne; co miesiąc wychodzi jedna książeczka. Prenumerata roczna wynosi 2 K. Cena książeczki poza prenumeratą od 15 do 50 halerzy. W drodze prenumeraty rozchodzi się rocznie 12.000 do 15.000 egzemplarzy, przez sprzedaż 6.000 do 10.000. Książeczki przeznaczone dla młodzieży szkolnej na nagrody i upominki kupowane bywają przy końcu roku szkolnego w ilości 8.000 do 10.000. W pierwszem dziesięcioleciu (1882—1891) drukowano przecięciowo 25 arkuszy w 25.000 egzemplarzy rocznie, w drugiem około 50 arkuszy w 30.000 egzemplarzach. W przeciągu lat 21 (1882—1902) wydano 234 polskich książeczek, obejmujących 816 arkuszy druku w 601.000 egzemplarzach,

rozeszło się z nich ogółem 574.260, pozostało z końcem roku 1902 26.740 na składzie. Wydawnictwo ludowe drukuje też książeczki i w ruskim języku. W przeciągu lat 21 wydało ich 192, arkuszy druku 535, egzemplarzy 224.000, rozeszło się 197.430, pozostało na składzie 26.570 egzemplarzy. Książeczki w języku ruskim, różne treścią od polskich, wydawane jednak w tym samym celu, co polskie, mało mają poparcia, jakkolwiek obcą im jest wszelka polityka. Sprawozdanie przytacza kilka zdań z recenzyi o książeczkach, złożonej władzy szkolnej przez recenzenta Rusina. Powtarzamy je za sprawozdaniem: „Dziełka te napisane są z istotnym talentem, ze znajomością rzeczy i ludu. Z każdego z nich wieje szczere przywiązanie do każdej piędzi rodzinnej ziemi. Język jest czysty, ludowy, ruski. W każdem widoczne są zdrowe przewodnie myśli".

Pierwszym redaktorem wydawnictwa był Kazimierz Okaz, następnie od r. 1884 do 1891 p. Szczęsny Parasiewicz, w dalszych dwóch latach p. Julian Nowakowski a od r. 1893 jest nim p. Bronisław Sokalski. Pożyteczne to wydawnictwo, wspierane przez sejm rocznym zasiłkiem w sumie 2.000 K, zostaje pod kontrolą Wydziału krajowego, zasługuje więc na poparcie. Spis wydanych książeczek rozsyła biuro wydawnictwa (Lwów, ul. Mochnackiego 10). Obecnie jest ich na składzie 49: treści powieściowej 19, historycznej 10, gospodarczej i ekonomicznej 6, religijnej 6, różnej treści 8. W ostatnim roku wydano: „Za wiarę świętą", „Ciekawe rzeczy", „Trzy domy", „Opowiadania Bartosza Grzymały", „Źli ludzie" powieść na tle strejków rolnych, „O Kornelu Ujejskim", „Na krakowskim zamku", „O Adamie Mickiewiczu", „Gosposia jakich mało".

Towarzystwo oświaty ludowej we Lwowie utworzyło się w 1881 roku. Celem tego towarzystwa, według statutu w 1902 roku po raz trzeci zmienionego, jest „szerzenie oświaty wśród ludności polskiej w Austryi" przez zakładanie bezpłatnych czytelni, publicznych bibliotek, urządzanie odczytów, rozdawanie książek na nagrody, premiowanie osób odznaczających się gorliwością koło krzewienia oświaty. Na czele Towarzystwa stoi Wydział złożony z prezesa — jest nim obecnie p. Adolf Wiesiołowski, poseł na sejm bukowiński — i ośmiu członków: M. Aleksandrowiczówna nauczycielka, prof. polit. T. Fiedler, prof. uniw. ks. dr. Fijałek i dr. L. Finkel, dr. B. Gubrynowicz, członek Rady szk. kraj. L. Dziedzicki, p. W. Schmidt i pan P. Twardowski. Protektorem Towarzystwa jest ks. Arcybiskup Bilczewski. Wkładka członka zwyczajnego wynosi 4 K rocznie, ogólna

liczba członków 97, a mianowicie ze Lwowa 76, z poza Lwowa 21. Według ostatniego zamknięcia rachunków zá czas od 15 czerwca 1901 do 15 czerwca 1902 przychody Towarzystwa wynosiły: z wkładek członków 559 K, z subwencyi 3,500 K (w czem subwencya sejmowa 3000 K), z darów 215 K, odsetki od lokowanej gotówki 86 K, razem 4.361 K 21 h, zaś rozchody: zakupno książek i oprawa 3.368 K, koszt utrzymywania czytelni we Lwowie 550 K, wydatki administracyjne 1.902 K, razem 5.821 K 90 h.

Towarzystwo to ma trzy czytelnie i pięć wypożyczalni książek w mieście Lwowie — w biblioteczce od 130 do 268 książek — ośm czytelni prowincyonalnych, — książek w nich od 150 do 460 — i czterysta wypożyczalni wiejskich, zaopatrzonych w biblioteczki mające od 30 do 300 książek. Najwięcej wypożyczalni takich, bo 42, jest w powiecie lwowsktm, 25 w powiecie czortkowskim, w trzynastu powiatach jest ich od 10 do 20, reszta rozrzucona po powiatach w ilości od 1 do 10. W ostatnim roku Wydział Towarzystwa założył nowych czytelni 70 i uzupełnił biblioteczki 140 czytelni dawniej założonych. Użyto w tym celu 3.528 książek, t. j. przecięciowo po 17 książek na jedną. Drukowanego katalogu książek, przez Wydział do czytelni przesyłanych, Towarzystwo nie posiada. O ruchu czytelnianym i o skutkach przez czytelnie wywołanych niema wzmianki w sprawozdaniu. Przyczyną tego są wielkie trudności, jakie Wydział napotyka w kontroli dobrego funkcyonowania czytelni, „ponieważ czy to apatya czy obojętność dla spraw czytelni, wymagających pracy a nie dających rozgłosu, sprawia, iż nie możemy znaleźć osób chętnych do zajęcia się dozorowaniem czytelni". Wydział wysyłał bezpłatnie dla czytelni prowincyonalnych 25 egzemplarzy *Niedzieli* i 30 egzemplarzy *Przewodnika Kółek rolniczych*. Nakładem Towarzystwa wydano broszurkę „Bartosz Głowacki" oraz „List pasterski" ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Od roku 1901 zwiększyła się ruchliwość i działalność tego towarzystwa pod kierunkiem nowego Wydziału, który usiłuje podnieść je z upadku, w jaki za poprzedników popadło. W przeciągu ostatnich lat dziesięciu bowiem spadła liczba członków ze 173 na 70, a dochód z wkładek z 1.320 K na 431 K. Wobec małych środków pieniężnych, jakimi Wydział rozporządza, zamiast rozpraszania działalności w różnych kierunkach, wskazaneby było ograniczenie jej do jednego i skupienie we wschodniej części kraju, gdzie jest tak bardzo potrzebną. Stałaby się wtedy skuteczniejszą i widoczniejszą. Biuro Towarzystwa

pomieszczone jest w domu pod liczbą 28 przy ulicy Czarnieckiego we Lwowie.

W zachodniej części kraju rozpoczęło swą działalność w 1882 r. Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej, by wśród polskiej ludności szerzyć oświatę narodową w duchu religijnym. Członek obowiązany jest płacić rocznie przynajmniej 2 korony. Od wkładki może być uwolniony, kto osobistą bezpłatną pracą popiera cele Towarzystwa, np. zajmuje się kierownictwem czytelni. W 1902 roku należało do tego Towarzystwa 1735 członków. Protektorem Towarzystwa jest J. E. Kardynał Puzyna. Na czele stoi Zarząd złożony z osiemnastu członków. Prezesem jest prof. uniw. Jagiell. ks. dr. Stanisław Spis.

Działalność Towarzystwa, rozpraszana w początkowych latach w różnych kierunkach, ograniczyła się następnie do jednego, do zakładania wiejskich bezpłatnych czytelni ludowych. Po koniec 1902 roku założono ich 874, zwinięto 125 (14%), pozostało 749, przeważnie w zachodniej Galicyi. Działalność czytelni zmierza do podniesienia oświaty i moralności przez szerzenie zamiłowania do czytania pożytecznych książek, oraz do zajmowania się rzeczami kształcącemi i uszlachetniającemi umysł i serce. W każdej czytelni jest księgozbiór — od 100 do 400 tomów — z którego miejscowa ludność może bezpłatnie pożyczać książki do czytania w domu. O ile miejscowe stosunki na to pozwalają, odbywa się w czytelni wspólne głośne czytanie odpowiednich książek, mogą być urządzane odczyty, przedstawienia, sceniczne, np. jasełka, i udzielana być może nauka śpiewu chóralnego. Tak książki jak i czasopisma, których treścią jest agitacya polityczna i propaganda programów stronnictw politycznych, które nie dobro całego narodu i wszystkich warstw społecznych mają na względzie, lecz dążą do zaostrzenia wzajemnych stosunków tychże warstw i do ich wzajemnej walki, są stanowczo i bezwarunkowo z tych czytelni usunięte. Czytelnią kieruje zarząd złożony z kierownika, jego zastępcy i opiekuna, mianowanych przez zarząd główny Towarzystwa. Kierownikowi przysługuje prawo bezpośredniego kierownictwa czytelnią. Są nimi przeważnie nauczyciele, 71%, i nauczycielki, 8%, następnie duchowieństwo 12%, wieśniacy 5%, a 4% należy do innych warstw społecznych.

Zarząd główny Towarzystwa wskazuje kierownikom w „Przepisach dla czytelni ludowych“ jako najpierwszy i najpilniejszy obowiązek pozyskanie dla czytelni młodzieży, jej wychowywanie, umoralnianie, rozwijanie, uszlachetnianie, zwłaszcza wtedy, gdy skończywszy naukę szkolną, usunęła się z pod bezpośredniego wpływu nauczyciela. Wszyst-

kie książki przez Zarząd Towarzystwa do czytelni przesyłane, objęte są katalogiem administracyjnym drukowanym i do każdej czytelni przesyłanym. Przy ocenianiu i wyborze książek miarodajnemi są dla Zarządu Towarzystwa wymagania, aby książka napisaną była w sposób przystępny i poprawnym językiem, aby napisaną była w sposób zajmujący, aby miała wartość etyczną i mogła pouczyć lub oddziaływać uszlachetniająco. Katalog administracyjny obejmuje obecnie 404 książek, z których ze względu na treść przypada 52 (13%) na książki treści religijnej i moralnej, 61 (15%) na książki treści historycznej i geograficznej, 198 (49%) na powieści i opowiadania, 21 (5%) na nauki przyrodnicze, 44 (11%) na gospodarstwo wiejskie, 21 (5%) na sprawy społeczne, i 7 (2%) na rady lekarskie. Zarząd Towarzystwa stara się o zaopatrzenie biblioteczek w dostateczną liczbę książek i z tego powodu co roku znaczną ich ilość rozsyła. W pierwszem czteroleciu działalności Towarzystwa nie uzupełniano bibliotek wcale, w drugiem uzupełniano średnio po 25 rocznie, w trzeciem po 56, w czwartem po 103, w piątem po 181, zaś w roku 1902 uzupełniono ich 251. Te liczby są świadectwem ożywionej, wytrwałej działalności Zarządu Towarzystwa Po koniec 1902 roku rozesłał zarząd Towarzystwa 210.908 egzemplarzy książek, wartości 145.073 K, z czego na 874 biblioteczek przypada 197.365. Atoli według dokonanego obliczenia było w istniejących 749 czytelniach tylko 147.204 książek. Brak 50.161 wskazuje, że prawie 25% uległo bądź zużyciu wskutek częstego czytania, bądź zagubieniu i zniszczeniu tak przez niesumiennych czytelników, jakoteż i przy zwijaniu czytelni. Według obliczeń Zarządu korzystało z książek czytelnianych w 1902 roku 38.229 czytelników; książek wypożyczono 274.588, przecięciowo wypada siedem na jednego czytelnika. Ruch czytelnictwa najbardziej ożywiony jest w powiatach zachodnich. W miarę posuwania się ku wschodowi, maleje.

W sprawozdaniu za 1902 rok przedstawiony jest obszernie pożytek z działalności czytelni, zakładanych przez Towarzystwo, i poparty niejako dokumentami, bo 114 wyjątkami ze sprawozdań, jakie każdy kierownik co roku Zarządowi Towarzystwa przesyłać jest obowiązany. Na podstawie tych sprawozdań kierowników stwierdza Zarząd Towarzystwa, że biblioteka czytelniana jest przedewszystkiem pomocnicą nauczyciela szkoły ludowej; dzieci, korzystając z niej, nabierają wprawy i biegłości w czytaniu, łatwości pojmowania i rozumienia czytanej książki, rozwijają się umysłowo i dostarczają zastępu inteligentniejszych, lepszych uczniów. Dopiero rozbudzone w młodym wieku zami-

łowanie do czytania wytwarza starszych wiekiem, dojrzałych czytelników. Książka w czasie długich zimowych wieczorów, przeważnie w bezczynności dotąd spędzanych, daje zajęcie przyjemne, odciąga od karczmy, próżniactwa i rozpusty, nie moralizując, lecz uchylając okoliczności prowadzące do złego, usuwając pierwszą przyczynę złego, ową bezczynność i wynikającą z niej nudę. Dopiero na trzeciem miejscu grupuje sprawozdanie pożytki wynikające z istotnego celu dobrej książki: umoralnianie, uszlachetnianie, pouczanie, będące skutkiem czytania książek treści religijnej, powieściowej i historycznej. Dziełka treści rolniczej najmniej mają powodzenia w wiejskich czytelniach.

Sprawozdanie słusznie na to zwraca uwagę, że wpływu, jaki działalność czytelni wywiera, nie można zważyć, zmierzyć ani obliczyć, bo wpływ to nie materyalny lecz idealny na umysły i serca, stąd to trudność przedstawienia go a z tego powodu i niedowierzanie w szerszych kołach, że jest rzeczywiście. Wpływ ten nie objawia się doraźnem osiągnięciem pewnej korzyści, nie sprowadza nagłej zmiany usposobienia ani pewnych zapatrywań. Działa zwolna obliczony przedewszystkiem na oddziaływanie na młodzież, by w ten sposób wychować młode pokolenia umoralnione, uszlachetnione, przygotowane do roztropnego pełnienia obowiązków swego stanu, do samodzielnej zaradności i starania się o poprawę swego bytu ekonomicznego. Dlatego to skutki dzisiejszej działalności czytelni widoczne będą dopiero wtedy, gdy te młode pokolenia dojrzawszy, samodzielny, czynny udział w życiu społecznem mieć będą.

Do zakresu działania Towarzystwa należy także popieranie kształcenia się nauczycieli szkół ludowych przez dostarczanie im książek i innych środków naukowych. Zadanie to pełni Zarząd Towarzystwa dopiero od lat dwóch, zakładając ruchome powiatowe biblioteki nauczycielskie. Biblioteki takie zorganizowane były w powiatach krakowskim, chrzanowskim, podgórskim, wielickim oraz na Śląsku w powiatach bielskim, cieszyńskim i frysztackim.

Nie małą trudność napotyka Zarząd Towarzystwa w doborze książek stosownych do czytelni. Istniejące wydawnictwa nie zaspakajały w zupełności wymagań i rozmaitych potrzeb czytelników, między którymi nie brak już i takich, którym popularna broszurka nie wystarcza, którzy domagają się poważniejszej treścią książki. To było powodem, że Zarząd Towarzystwa podjął przed kilku laty wydawnictwo książek, które ma zapełnić lukę w istniejących wydawnictwach ludowych. Książek takich wydano dotąd dziewięć. Pierwsze miejsce między

niemi zajmują „Dzieje Polski“. Wydano dotąd dopiero dwa tomy, „Dzieje Polski za Piastów“ i „Dzieje Polski za Jagiellonów“, napisane przez dr. Feliksa Konecznego. Jest to historya napisana dość obszernie, w sposób przystępny popularny, odpowiadający jednak wymaganiom nauki. Nie jest to podręcznik do nauki, lecz książka do czytania, z której skorzysta zarówno rozwinięty umysłowo włościanin jak i rzemieślnik, uczeń gimnazyalny, nauczyciel ludowy. Po rozmaitych książkach historycznych, pisanych raczej dla dzieci i młodzieży, jest to pierwsza próba popularyzowania nauki.

Według zamknięcia rachunków za 1902 rok wynosił przychód Towarzystwa: z wkładek 3.655 K, z subwencyi 5.365 K — w czem subwencya sejmowa 3.000 K — z odsetek funduszu zapasowego 670 K, zapisy różnych osób 3.216 K, dary 425 K, zwroty za książki 190 K, razem 13.522 koron. Rozchody były następujące: na czytelnie i biblioteki ruchome, tj. zakupno i oprawę książek 9.272 K, wykłady popularne 24 K, na szkołę dla sług w Krakowie 774 K, na administracyę 3.149 K, razem 13 221 koron. Dochody Towarzystwa nie pozwoliły na pokrycie wszystkich potrzeb roku 1902, wskutek czego sprawozdanie wykazuje dług Towarzystwa, wynoszący 7.820 koron, jako należytość za książki dla czytelni, kupione na kredyt.

Pożyteczne to Towarzystwo otwarcie stawiając zasadę, że szerzona wśród ludu oświata musi być oparta na religijnej podwalinie, zasługuje na poparcie ogólne. Biuro Towarzystwa pomieszczone jest w domu pod l. 8 przy ul. św. Marka w Krakowie.

Towarzystwo szkoły ludowej powstało w Krakowie w 1892 roku. Celem Towarzystwa tego jest wspierać szkołę ludową z językiem wykładowym polskim w państwie austryackiem przez pomaganie gminom w zakładaniu szkół i budowaniu domów szkolnych, przez zaopatrywanie szkół ludowych w przybory naukowe, przez obdarzanie młodzieży w książki szkolne, następnie popieranie dalszego kształcenia się nauczycieli szkół ludowych i udzielanie nagród odznaczającym się pilnością, zakładanie czytelni ludowych, ogłaszanie konkursów na dzieła dla ludu, wspieranie peryodycznych pism dla ludu. Organizacya tego Towarzystwa jest inna, aniżeli obu towarzystw oświaty ludowej; polega na decentralizacyi. W każdej miejscowości, gdzie mieszka najmniej 20 członków, może utworzyć się „Koło miejscowe Towarzystwa“. Delegaci tych Kół, — na 50 członków jeden delegat — zebrani na Walnem Zgromadzeniu, wybierają 24 członków Zarządu głównego, który ma siedzibę w Krakowie (ul. Studencka l. 5). Prezesem jest

obecnie p. dr. E. Bandrowski, prof. szkoły przemysłowej, sekretarzami pp. Kazimiera Bujwidowa i Kasper Wojnar. Do Zarządu głównego należy naczelne kierownictwo. Koła miejscowe zbierają fundusze i rozwijają działalność w celu urzeczywistnienia celów Towarzystwa. Zaletą tej organizacyi jest znacznie większa ruchliwość członków Towarzystwa oraz możliwość zbierania wkładek i funduszów w całym kraju. Takich Kół zorganizowanych było 135 a 89 z nich nadesłało Zarządowi głównemu sprawozdania.

Po koniec roku 1902 założono 15 szkół, jedną w Morawskiej Ostrawie, trzyklasową, dwie w powiecie bialskim, w Białej sześcioklasową i w Leszczynach jednoklasową, jedną w powiecie żywieckim, w Zwardoniu, jednoklasową, i jedenaście jednoklasowych we wschodniej Galicyi, w powiecie kałuskim trzy, dwie w nadworniańskim, dwie w stanisławowskim i po jednej w przemyskim, rohatyńskim, rawskim i tłumackim. W szkołach tych pobierało naukę 2.000 dzieci.

Kursa dla dorosłych analfabetów urządzono w 20 miejscowościach, na Morawie w trzech, w zachodniej Galicyi w czterech i w trzynastu w Galicyi wschodniej. Pobierało na nich naukę 543 mężczyzn, 183 kobiet, razem 726, a ukończyło ją 231. Instytucya to bardzo pożyteczna.

W miarę liczniejszego powstawania Kół miejscowych zaczyna się działalność Towarzystwa zwracać coraz więcej ku zakładaniu czytelni. Sprawozdanie wykazuje ich — po wyłączeniu siedmiu miejskich wypożyczalni w Krakowie — 199, zaopatrzonych w 37.455 książek. Czytelników było 48.216, wypożyczono im 126.588 tomów, przecięciowo więc przypadają trzy książki na jednego. Inicyatywa w zakładaniu czytelni i kierownictwo niemi należy wyłącznie do zakresu działalności Kół miejscowych, podobnie jak i kursa dla dorosłych analfabetów. Odznacza się pod tym względem Koło miejscowe w Tarnopolu. W przeciągu ostatnich lat trzech założyło 40 czytelni w powiatach tarnopolskim, skałackim, złoczowskim, zaopatrzonych w 5.356 książek. Działalność podobną, acz w mniejszym rozmiarze, rozwijają i inne przeważnie we wschodniej Galicyi będące Koła miejscowe, jak kołomyjskie, brzeżańskie, Koła akademickie we Lwowie, trembowelskie, podhajeckie, stanisławowskie.

Szeroki zakres działalności Kół miejscowych i prawie ich niezależność od Zarządu głównego sprawia, że jednolite kierownictwo działalności jest niemożliwe. Jest to raczej związek stowarzyszeń, aniżeli jedno towarzystwo. Tem się tłómaczą np. pewne różnice w kierun-

kach działalności Kół rozmaitych. Gdy we wschodniej Galicyi zauważyć można akcentowanie działalności w budzeniu narodowej świadomości pośród polskiego ludu, gdy tam na czele Kół nie brak duchowieństwa na stanowisku przewodniczącego np. w Buczaczu ks. Gromnicki, w Budzanowie ks. Turczański, w Janowie ks. Guranowski, w Jezierney ks. Horeczy, w Komarnie ks. Frydel, w Rudkach ks. Giemza, w Sieniawie ks. Włazowski, to w zachodniej są Koła reprezentujące w pewnej mierze kierunek społeczno-radykalny, np. Koło zakopiańskie, Koło podgórskie, cechujące się żydowską wyłącznością wyznaniową, lub III-cie Koło miejscowe w Krakowie, które utrzymuje siedem krakowskich wypożyczalni książek, zaopatrzonych w 6.545 książek, gdzie 55.784 czytelnikom wydano 104.412 tomów, przecięciowo po 2 książki na osobę.

Czytelnie wiejskie zaopatrywane są w książki według „Katalogu bibliotek normalnych", opracowanego przez „Akademickie Koło" w Krakowie, a poleconego przez Zarząd główny Towarzystwa. Obejmuje on 300 książek, podzielony jest na trzy stopnie, każdy po 100 książek, w każdym zaś stopniu ugrupowane są książki stosownie do treści według szematu: powieści historyczne przedrozbiorowe 15%, powieści historyczne porozbiorowe 5%, powieści obyczajowe 20%, poezye 5%, historya literatury 5%, historya dziejów 10%, etnografia, geografia, podróże 4%, nauki przyrodnicze 10%, rolnictwo 10%, hygiena 3%, prawo, nauki społeczne 3%, rozmaitości 5%, religia i moralność 5%. Zatem z pośród trzystu książek przypada na „religię i moralność" książek piętnaście. Przytaczamy tu ich tytuły. Stopień I: „O dawnych pieśniach i o św. Wojciechu" przez A. Września, „Królowa korony polskiej" przez W. Bełzę, „Św. Jan Kanty" przez Zoryana, „Z pielgrzymki do ziemi św." przez J. Starkla, „Pogadanka o piciu trunków" przez K. Pułaskiego. Stopień II-gi; „Pięćsetletnie dzieje klasztoru na Jasnej Górze" przez Grabowskiego, „Św. Kinga" przez Zoryana, „Św. Jadwiga" przez T. Jadwigę, „Św. Kazimierz" przez Falkiewicza, „O miłości ojczyzny" Libelta. Stopień III: „Nasi święci patronowie" przez Grzymałowskiego, „Święte niewiasty" przez Hoffmanową, „Kazania sejmowe" ks. Skargi, „O księdzu Boduenie" przez Pułaskiego i „Wielki charakter" przez F. Morzycką.

Organem Towarzystwa jest *Miesięcznik*, redagowany przez Zarząd główny, pismo służące przeważnie celom administracyjnym, zawierające wiadomości o działalności Kół i pomieszczające oceny książek ludowych, redagowane przez Krakowskie Koło akademickie.

Fundusze, jakimi Towarzystwo rozporządza, są znaczne. „Zestawienie dochodów i wydatków Tow. Szkoły ludowej za rok 1902“ wykazuje w przychodzie 181.862 K. Do pozycyi znaczniejszych należą: subwencya sejmowa i inne na utrzymanie szkoły bialskiej 19.800 K, dary i składki 8.175 K, dary w rocznicę 3-go Maja 12 988 K, dary na szkołę w Morawskiej Ostrawie 2.257 K, składki na budowę szkół 2.013 K, odsetki od kapitałów 3.314 K, za książki i druki od Kół 4.290 K, dochody Kół miejscowych z górą 41 000 K. Utrzymanie szkoły bialskiej kosztowało 18.383 K, w Morawskiej Ostrawie 2.972 K, innych szkół 19.684 K, na kupno książek wydano 11.200 K, na kursa dla analfabetów 2.434 K, na administracyę około 18 000 K. Kapitał zakładowy Towarzystwa wynosi 85.000 K, fundacye 21.860 K, wartość budynków 100.000 K.

Punkt ciężkości działalności Towarzystwa Szkoły ludowej przenosi się coraz więcej do wschodniej Galicyi, bo na 137 Kół Towarzystwa jest ich tam 85 (63%), na 15 szkół Towarzystwa 11 (7%), na 20 kursów dla analfabetów 13 (65%), na 206 czytelni i wypożyczalni 162 (74%), tam też działalność Towarzystwa jest najbardziej ożywioną i niewątpliwie pożyteczną.

Uniwersytet ludowy imienia Adama Mickiewicza jest towarzystwem utworzonem przed czterema laty, ma dwa oddziały, krakowski i lwowski, urządza wykłady w obu tych miastach i sąsiednich miastach prowincyonalnych. Prezesem Oddziału krakowskiego jest prof. dr. O. Bujwid, sekretarką p. K. Bujwidowa. „Szerzenie światła, zwalczanie ciemnoty, demokratyzacya wiedzy, podanie ludowi naszemu nowoczesnych badań i dociekań, umysłowego dorobku ludzkości“, to zadanie i cel Towarzystwa. „Z chwilą, gdy Uniwersytet ludowy zdolny będzie działalnością swoją ogarnąć kraj cały, gdy słowo żywe trafi pod strzechy wieśniacze, rozproszą się te mroki, co wieków tyle ciążą nad biednem społeczeństwem naszem“ — czytamy w sprawozdaniu za rok 1902/03. Oddział krakowski ma 523 członków, rozporządzał przychodem 5.100 K, ma uzbierany na budowę domu „Uniwersytetu ludowego“ fundusz 4.139 K. W Krakowie urządzono 107 wykładów przy udziale 16.190 słuchaczy. Wstęp na wykład kosztuje 10 hal. Nadto urządzano wykłady w stowarzyszeniach robotniczych, jak w stowarzyszeniu drukarzy „Ognisko“, kolejarzy, krawców, kupców i młodzieży handlowej „Postęp“ w Podgórzu, w Związku stowarzyszeń robotniczych, na prowincyi zaś w Zakopanem, Oświęcimiu, Białej, Gdowie i Wiśniowej. Przedmiotem wykładów były, I-sze nauki przy-

rodnicze: elektryczność i jej zastosowanie, fizyczne podstawy muzyki, o węglu, katastrofy we wszechświecie, postęp żeglugi powietrznej, teorya Darwina; II-gie historya i geografia: powstanie w r. 1863, historya reformacyi, historya demokracyi angielskiej w XIX wieku, Polska na zachodzie, historya Żydów w Polsce, z krain polarnych; III-gie nauki społeczne i polityczne: o narodowości, o ciałach prawodawczych, o władzach sądowych, administracyjnych, autonomicznych, o stowarzyszeniach zawodowych, o nieznajomości prawa; IV-te literatura i sztuka: M. Konopnicka, A. Asnyk, Ada Negri, O Malczewskim, Żeromskim, Gorkim, Kasprowiczu, Tołstoju, Ibsenie, Wyspiańskim, Dostojewskim, Gosławskim, polityczne idee A. Mickiewicza, dramat polski zeszłej doby; V-te filozofia: socyalizm i indywidualizm jako czynniki postępu w dziejach, światopoglądy sławnych artystów i myślicieli w XIX wieku. Oto tytuły wykładów, co mają rozpraszać te mroki od tylu wieków ciążące nad naszym ludem. Wprawdzie pod „strzechy wieśniacze“ działalność Towarzystwa tego jeszcze nie dotarła, ale w miastach i miasteczkach szerzy ono już doktrynerski materyalizm i radykalizm, a jest jedyne, które dla ludności mieszczańskiej systematyczne odczyty zorganizowało..

W działalności wymienionych instytucyi i towarzystw jest luka. Widoczny jest brak żywszego zajęcia się ludnością w małych miasteczkach i miastach. Usiłowania wszelkie skierowane są niemal wyłącznie do ludności włościańskiej, choć miejska nie stoi od niej wyżej. Przyczyną tego niezawodnie brak na prowincyi ludzi którzyby nie stronili od społecznej roboty. Towarzystwa oświaty mają siedzibę tylko w Krakowie lub we Lwowie. W miastach wschodnio-galicyjskich powstała wprawdzie w ostatnich latach ożywiona działalność Kół Tow. Szkoły ludowej, ale także tylko na ludność wieśniaczą obliczona. Natomiast w zachodnio-galicyjskich miastach i miasteczkach zadziwiająca jest nieczynność, choć przecie nie brak tam inteligencyi. Bez ogródek trzeba stwierdzić, że w pokaźnej liczbie garną się na prowincyi do obywatelskiej działalności tylko nauczyciele ludowi i przeważnie im tylko mają do zawdzięczenia Towarzystwa Oświaty ludowej, że mogą działalność swą po wsiach rozwijać.

Dr. Antoni Malkiewicz.

Varia.

Wyższy instytut filozoficzny w Louvain. — Biblioteki prowincyonalne. — Muzeum szkolne. — Towarzystwo do zwalczania chorób wenerycznych.

D. Mercier, którego rozprawę o neoscholastycyzmie podaliśmy naszym czytelnikom, zawiadamia nas o warunkach przyjęcia do instytutu filozoficznego w Louvain. Treść zawiadomienia podajemy dosłownie:

Aby być dopuszczonym w szeregi uczniów Instytutu, trzeba zadość uczynić warunkom ogólnym wymaganym przez regulamin Uniwersytetu, a nadto złożyć wstępny egzamin, albo też uczęszczać z pomyślnym wynikiem przez rok na kursa dla kandydatów filozofii, albo nauk wyzwolonych, albo na wykłady filozofii, jakie się zwykły odbywać po seminaryach. — Uczniom seminaryum Leona XIII przysługuje prawo wpisu w poczet uczniów Instytutu.

Koszta wpisu na przeciąg wszystkich kursów całego roku wynoszą 200 fr. Tym, którzy są zapisani na innym fakultecie Uniwersytetu użycza się zniżki 100 fr. Jeden kurs pojedynczy kosztuje 40 fr. Uczęszczanie na wykłady jest pozostawione do woli kandydatów. Dla osób duchownych uczęszczających na kursa instytutu jest przeznaczony na mieszkanie osobny dom, noszący imię Leona XIII.

Ustawy organizacyjne dla seminaryum Leona XIII są zatwierdzone przez św. Kongregacyę nauk na publicznej sesyi z d. 31 maja 1895 r., która je zakomunikowała dnia 15 lipca następnego roku Jego Eminencyi Kardynałowi Arcybiskupowi z Malines.

Seminaryum Leona XIII, które stanowi część integralną Uniwersytetu katolickiego w Louvain, podlega jurysdykcyi zbiorowej biskupów belgijskich i rektora uniwersytetu.

Dyrekcya i administracya seminaryum należy do prezydenta, mianowanego z ramienia biskupów.

Wychowankowie seminaryum podlegają regulaminowi wspólnemu dla całego seminaryum, oraz specyalnemu regulaminowi zatwierdzonemu przez biskupów.

Co się tyczy nauk, uczniowie podlegają dyrekcyi prezydenta Instytutu św. Tomasza, zgodnie ze statutem zatwierdzonym przez Stolicę świętą.

Aby być dopuszczonym do seminaryum należy z pożytkiem słuchać jednego kursu humaniorów a przynajmniej wykazać się równoczesnem wykształceniem literackiem i naukowem.

Wpisu nowych uczniów dokonywa rektor wraz z prezydentem. Jego też zadaniem jest rozpoznawać wypadki mogące stanowić o wydaleniu ucznia, w których ostatnią instancyą będzie biskup odpowiedniej dyecezyi.

Uczniowie seminaryum uczęszczają na wyższe kursa Instytutu filozoficznego. Poza tem mogą za pozwoleniem swego biskupa uczęszczać na inne wykłady uniwersyteckie.

Ci, którzy przy końcu roku nie poddają się warunkom wymaganym do otrzymania stopnia uniwersyteckiego, muszą mimo to złożyć egzamin z przedmiotów wykładanych w ciągu roku szkolnego.

Pensya roczna wynosi 800 fr.

* * *

Piękną i doniosłą myśl podjęło Towarzystwo dla popierania nauki polskiej we Lwowie. W uznaniu wielkiej doniosłości, jaką pod względem kulturalnym i cywilizacyjnym przedstawiają biblioteki publiczne, postanowiło wdrożyć akcyę celem zakładania i utrzymywania takich bibliotek w ważniejszych miastach prowincyonalnych.

Najbliższem zadaniem Towarzystwa jest zgromadzenie odpowiedniego zasobu dzieł, książek, druków i wogóle przedmiotów bibliotecznych (atlasy, mapy, ryciny i t. p.), które stanowić mają zawiązek przyszłych bibliotok prowincyonalnych. Pod tym względem Towarzystwo liczy na wydatne poparcie ze strony całego społeczeństwa, upraszając o nadsyłanie na swe ręce darów w książkach, do celu tego przeznaczonych.

„Ze względu — czytamy w odezwie — że mamy na myśli założenie większej ilości bibliotek, przeto, o ile to jest rzeczą możliwą, dary większej ilości egzemplarzy (6—8) tego samego dzieła byłyby nam ze wszech miar pożądane.

„Wszelkie przedmioty, nadsyłane dla naszego zbioru, będą inwentaryzowane; wiadomość o otrzymanych darach podawać będziemy corocznie w sprawozdaniach Towarzystwa, o ile to zaś będzie rzeczą możliwą, także w krótszych odstępach czasu za pośrednictwem dzienników.

„Łaskawe dary prosimy nadsyłać pod adresem Towarzystwa, Lwów, archiwum Bernardyńskie“.

Myśl tę szlachetną powinno społeczeństwo ze wszystkich sił poprzeć.

* * *

Na mocy uchwały Walnego Zgromadzenia Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych z dnia 31 maja b. r. i uchwały zjazdu delegatów Towarzystwa pedagogicznego z dnia 1 listopada b. r. przystępują te Towarzystwa do założenia „Muzeum szkolnego“ we Lwowie.

„Muzeum szkolne ma na celu zbieranie zabytków i materyałów do dziejów wychowania na całym obszarze ziem polskich a zarazem gromadzenie środków nowoczesnych, służących do ulepszenia i uzmysłowienia nauki szkolnej i podniesienia fizycznego wychowania młodzieży.

Stosownie do tego ogólnego programu „Muzeum szkolne“ obejmować będzie dwa działy: dział historyczny i dział spółczesny.

Dział historyczny będzie się składał: *a)* z biblioteki historycznej, obejmującej dzieła treści ogólnej, dzieła traktujące o historyi różnych zakładów naukowych, życiorysy mężów zasłużonych w dziejach szkolnictwa, pamiętniki odnoszące się do dziejów szkół, dzieje stowarzyszeń, zajmujących się nauką i oświatą; *b)* ze zbioru rycin (portrety mężów zasłużonych, widoki budynków szkolnych, obrazy odnoszące się do dziejów szkół); *c)* ze zbioru medali, pieczęci, świadectw i aktów szkolnych; *d)* z biblioteki podręczników szkolnych.

Dział spółczesny będzie się składał: *a)* ze zbioru najnowszych środków naukowych, służących do uzmysłowienia nauki na wszystkich jej stopniach; *b)* ze zbioru przyrządów do nauki gimnastyki, do gier i zabaw młodzieży; *c)* ze zbiorów odnoszących się do hygieny szkolnej, a więc planów wzorowych budynków i urządzeń szkolnych, wzorów sprzętów szkolnych; *d)* z biblioteki pedagogicznej, obejmującej cały zakres wychowania.

Założeniem „Muzeum szkolnego“ zajmuje się osobna komisya, złożona z członków Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, Towarzystwa pedagogicznego i osób przybranych. Komisya ta będzie zamieszczała w czasopismach *Muzeum* i *Szkoła* sprawozdania z postępu prac swoich, ogłasza spisy otrzymanych darów i nazwiska ofiarodawców.

„Położywszy w ten sposób — czytamy w odezwie — podwaliny nowej instytucyi, pierwszej na obszarze ziem polskich, podczas gdy podobne muzea mają już wszystkie narody cywilizowane, zwracamy się do społeczeństwa z prośbą o pomoc i poparcie.

„W pierwszym rzędzie zwracamy się do wszystkich osób stanu nauczycielskiego, aby swą nauką i doświadczeniem raczyły popierać nasze zamiary, wskazywały nam źródła, gdzie mamy szukać zabytków z dziejów wychowania; zabytki te dzisiaj rozproszone po szkołach,

księgozbiorach i u osób prywatnych marnieją często bezużytecznie, zgromadzone zaś i uporządkowane systematycznie mieć będą wartość nieocenioną. Prosimy dalej o radę i o pomoc w założeniu działu spółczesnego i o wiadomości o wzorowych środkach naukowych i urządzeniach szkolnych i hygienicznych, wchodzących w zakres tego działu, a szczególnie o dokładne wiadomości o środkach naukowych, przyrządach i przyborach szkolnych, wytwarzanych w naszym kraju.

„Zwracamy się do władz szkolnych, do dyrekcyi i zarządów szkół wszelkiego rodzaju z prośbą, aby nam pozwoliły korzystać ze swych zbiorów, raczyły nadsyłać nam swe sprawozdania i zawiadamiać nas o nowych urządzeniach i ulepszeniach.

„Zwracamy się do wszystkich instytucyi i osób, zajmujących się szkołami i sprawą oświaty z prośbą o pomoc materyalną, niezbędną do założenia Muzeum, o nadsyłanie nam darów, wchodzących w zakres powyższego programu, lub przynajmniej o wiadomość i wskazówkę o ciekawych zabytkach.

„Muzeum szkolne przyjmuje także cenniejsze zabytki, jako czasowy depozyt i obowiązuje się zwrócić je właścicielowi na każde żądanie".

* * *

Od nowo założonego Towarzystwa w Księstwie, celem zwalczania chorób wenerycznych, otrzymujemy następującą odezwę:

„We wszystkich prawie cywilizowanych krajach zawrzała walka przeciwko strasznym wrogom ludzkości, dziesiątkującym ją obecnie więcej od dżumy, głodu i wojny — a mianowicie przeciwko gruźlicy czyli tuberkulozie i przeciwko alkoholizmowi. Zaledwie lat kilka upłynęło od podjęcia tej walki, a już dają się poznać niektóre błogie skutki tych zespolonych usiłowań nauki i pragnącego z niej korzystać a dobrze interes swój rozumiejącego społeczeństwa. Tylko jednej niemniej strasznej, a może groźniejszej jeszcze, bo ukrytej plagi, czy to z fałszywego wstydu, czy z niedostatecznej znajomości fatalnych dla społeczeństwa jej skutków, wzdrygano się dotychczas dotykać.

„Plagą tą to zakaźne choroby płciowe. Są one tem niebezpieczniejsze, że szerzą się potajemnie pod ponętnym płaszczykiem używania i wgryzają się w społeczeństwo, wybierając na swe ofiary właśnie rozkwitającą i nieświadomą ich następstw młodzież, psującą się łatwiej, niż dawniej, zwłaszcza w większych ogniskach przemysłu i handlu, dokąd się ona garnie.

„I nie dość na tem, że jadem swym zatruwają jednostkę, że łamią jej energię i siłę życiową, ale mszczą się nieraz piekielnie na zgoła niewinnej jej rodzinie. Ileż zerwanych małżeństw, ileż chorób umysłowych, ileż samobójstw, ileż nieszczęśliwych i bezpotomnych stadeł, ileż niedających się wyleczyć zwyrodniałych i okaleczałych dzieci, — ile gnijących powoli istnień ma swe jedyne źródło w tych chorobach, przez wstyd fałszywy i lekkomyślność nie leczonych wcale, lub tylko piśmiennie przez szarlatanów i wyzyskiwaczy, ogłaszających w gazetach, iż wszystkie takie choroby i ich następstwa w kilka dni usuną!

„Jeżeli więc inne, zasobne, wykształcone i wolne społeczeństwa w obecnej chwili z zapałem niemal łączą się w towarzystwa krajowe i międzynarodowe, aby tylko jakąś tamę szerzącej się zarazie położyć, — o ileż więcej my, walczący ciężko o byt nasz, — my, którym nie wolno nic uronić z własnych sił społecznych, winniśmy stanąć jak jeden mąż w walce przeciwko temu wrogowi!

„A niestety statystyka wykazuje, że, o ile gruźlica stosunkowo mniej u nas ofiar zbiera, aniżeli na Zachodzie, — o ile i alkoholizm mniej już teraz nas wytępia, aniżeli przed laty, — o tyle pod względem chorób płciowych od pewnego czasu nasza właśnie dzielnica należy do najbardziej zakażonych w rzeszy, mianowicie w miastach większych.

„Naszym więc świętym obowiązkiem nie pozostać w tyle za innymi narodami, ale połączyć się w jedno silne towarzystwo, świeżo u nas założone, którego celem: szerzenie mową i pismem w poważny i godności pełen sposób — mianowicie wśród młodzieży — świadomości o istocie, niebezpiecznych skutkach i o społecznem znaczeniu tych chorób, dalej o możliwości i konieczności ich unikania, a obok tego popieranie wszystkich dążeń, zmierzających do uszczuplenia źródła złego, to jest zepsucia wpośród młodzieży obojga płci a przez to do zwalczania skutecznego chorób płciowych.

„Odzywamy się więc do wszystkich osób w tych usiłowaniach pomódz nam mogących, już pracujących lub gotowych wspomnianemu złemu zapobiegać, by, nie zrażając się z góry nazwą naszego towarzystwa, do niego przystępowały i cele jego popierały. Na Zachodzie nie wahały się to czynić panie z najwyższego towarzystwa. Czyby się więc godziło jedynie ze względu na brzmienie firmy naszej zapoznawać nie tylko higieniczne, lecz i najwznioślejsze cele naszego Towarzystwa,

które tylko wtedy rozwijać może pomyślnie swą działalność, gdy się tego uprzedzenia pozbędziemy?

„Jeżeli się dobrowolnie sami tego środka ratunku dla młodzieży polskiej nie chwycimy, — to przypadnie chyba to zadanie tym, do których ona nie może mieć takiego zaufania, jak do nas, a zarazem odpadnie nam jedna więcej zasługa i wobec Boga i wobec społeczeństwa naszego!

„Licząc na to, iż u nas nie tylko jednostki, ale dużo osób nasze cele i nasze zadanie zrozumiało, zapraszamy niniejszem do wzięcia udziału w naszym pierwszym w i e c u, który się odbędzie 8 stycznia 1904 roku".

Następują podpisy.

O przebiegu i rezolucyach wiecu pisały już dzienniki. Najważniejszą rzeczą w tej sprawie to usunięcie samego źródła zła, to jest zepsucia. W tym kierunku wartoby akcyę na cały nasz kraj rozciągnąć.

Druk ukończono 6 lutego 1904 r.

DZIWNA HISTORYA.

„I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!“
(Henryk Skirmuntt, »Poezye«).

Za oknami stała czarna noc listopadowa i wzdychała podnoszącym się, to opadającym, szumem wiatru.

W dużym pokoju, pełnym książek i obrazów, panowała cisza, i dotykane dalekiem światłem lampy, mętnie majaczyły iskry pozłot na książkach i zarysy obrazów na ścianach.

Rozmowa nasza, coraz cichsza, staczała się z rzeczy powierzchownych i powszednich ku tym, które zwykle spoczywają na dnie pamięci bezsenne, lecz milczące, i przemawiają tylko w święta ufnych rozrzewnień.

Wysmukła, wątła, siwiejąca, ze śladami niedawnej jeszcze piękności na opłatkowej twarzy, siedziała obok mnie z czołem pochylonem i głębokiem wejrzeniem oczu, w których odbiły się na zawsze oblicza wielkich smutków. Gdy mówiła, drobne wargi jej podobnemi stawały się do drżących płatków pobladłej w upałach róży.

— Wyrzekasz, że nie rozlegają się dziś po świecie czyny wielkie, mające moc obudzania wielkich myśli. Skarżysz się, że na wyobraźnię twą pospolitość serc i losów ludzkich sypie maki uśpienia, że jak wzrokiem zatoczyć, nic nie dzieje się pięknego czy straszliwego, lecz wielkiego, dziwnego.

— Może nie masz słuszności; może to wina nietylko świata, lecz i twojego wzroku. Może w pobliżu twojem dzieją się rzeczy straszliwe lub piękne, których ty odkryć nie umiesz w mgle pospolitości. A pospolitość, czy pewną jesteś, że pospolitością jest aż do dna i na dnie swem nie ukrywa pierwiastków, choćby zaczątków takich, że gdybyś je dostrzedz potrafiła, na widok ich oczy twe szeroko otworzyłyby się od zdziwienia?

— Szczególniej o duszach ludzkich sądów rychłych i wzgardliwych nie wydawaj nigdy, bo dyamentów piękności, korali bólu, żużli pożarów, które drzemią w ich jądrach tajemnych, ani domyślać się czasem można pod grubą zasłoną powszednich spraw i dni. Trzeba umieć zasłonę tę odgarnąć ze statuy, a niekiedy odgarnia ją wicher zdarzeń.

— Pragniesz historyi dziwnej... Za oknami stoi czarna, bezoka noc i wzdycha. Taka cisza w tym pokoju i tam w głębi, to mętne migotanie pozłot na oprawach książek... Posłuchaj!...

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . Miałam lat dwadzieścia. W braku rodziców wcześnie zmarłych wychował i wykształcił mię brat. Wiesz dobrze, kim i jakim był brat mój. Umysł niepospolity, lecz stokroć niepospolitszy jeszcze charakter. Stworzony na wodza, przez krótki moment życia swego był sławnym wodzem. Ale przedtem z czułością niemal macierzyńską i oddaniem zupełnie ojcowskiem przygotowywał mię do życia. Niema też słów, któremi wypowiedziećbym mogła, jak silnie byłam do niego przywiązaną, jak byłam mu wdzięczną za to, że głowie mej dał więcej światła, a sercu więcej ciepła, niż ich zazwyczaj miewają dziewczęta mego wieku i mego stanu. Bo o tem, abym kiedykolwiek umysłowe światło swe na chleb powszedni przerabiać była zmuszoną, nikt ani pomyśleć nie mógł. Byliśmy bogaci.

Jednak, miałam lat dwadzieścia, kiedy pomiędzy mną a tym najdroższym bratem, opiekunem i mistrzem moim, padł kamień obrazy. Nie przestałam kochać go, ale zamknęłam przed nim serce. Nie wybuchnęliśmy widocznemi znakami poróżnienia,

lecz zwątliła się w nas ta najważniejsza w harfie przyjaźni struna, którą jest zaufanie.

Przestaje być przyjacielem naszym ten, przed kim przestajemy otwierać na oścież serce i pokazywać wszystko, a wszystko, co w niem jest. Przestałam serce otwierać przed bratem, ponieważ wzgardliwie i niechętnie spojrzał raz na to, co od brzegu do brzegu wypełniać je zaczynało i stawało mu się bardzo drogiem. Raz tylko okazał swoją niechęć i wzgardę; wystarczyło mi to do szczelnego ust zamknięcia. A on, pomimo szczelnie zamkniętych ust moich, domyślał się, co było w mojem sercu i obrażony, zmartwiony, milczał także.

Mówiliśmy z sobą o wszystkiem, oprócz tej jednej rzeczy, która obchodziła nas najżywiej; więc pomimo przebywania w ścianach jednego domu i pomimo przeszłości, łączącej nas mnóstwem wspomnień drogich, czuliśmy się dalekimi od siebie, rozłączonymi.

Oboje mieliśmy w sobie tę obraźliwość, która nie wylewa się w słowach, lecz owszem, zapadając w milczenie, nabiera od niego trwałości i goryczy. Przyczyną mojej obrazy była wzgardliwa niechęć ku temu, co we mnie obudzało pociągi tak niezmożone, że przeciąć je może tylko niezmożony również nóż przeznaczenia.

Wówczas to właśnie zaczęły rozlegać się po świecie hasła i wołania, poprzedzające zazwyczaj ten huk gromowy, z jakim spadają na ludzkość tragiczne momenty jej dziejów.

Ku tragicznemu momentowi życia naszego i dziejów ogólnych, ku jednemu z tych momentów, które na nici pojedynczych istnień spadają jak noże nieubłaganych przeznaczeń, ja i brat mój, ten brat najdroższy, którego imię stać się miało wkrótce...

— O! sławnem i drogiem!

— Zbliżaliśmy się z duszami rozłączonemi. I patrz tylko, patrz, jak żywiołowo rwącem jest to uczucie, które od krańca do krańca świata i od kresu do kresu wieków chodzi po kwiatach, po motylach, po ptakach, po ludziach i, kto wie, może po gwiazdach, jeżeli na gwiazdach cokolwiek oddycha rozkoszą

i boleścią życia! Ono to rozluźniło nasz związek przedtem tak ścisły...

Bo i o cóż nam poszło? Poszło nam o młodego sąsiada...

Był to właściwie młodszy brat jednego z naszych sąsiadów, nie mieszkający w tej okolicy, mnie dotąd nieznany, i który w odwiedziny przyjechał do domu brata. Raz, wesołą gromadką wpadliśmy do tego domu i zaledwie wpadłszy, wypadliśmy znowu, aby pobiedz do lasu. Wtedy po raz pierwszy go spotkałam...

Czy słyszysz, jak głęboko westchnęła za oknami ta czarna noc? I teraz jeszcze toczy się to westchnienie coraz cichsze, coraz głuchsze, coraz dalsze, a tu, w pobliżu, wzdymać się poczyna nowe...

Zielony dzień majowy. Las szmerami zefirów rozszeptany, młode pędy sośniny, jak pęki świec w kandelabrach wyprostowane i jasne w słonecznem złocie, na murawie usianej deszczem jaskrów i bratków, wysoki krzak róży dzikiej, w pełnym kwiecie.

Szliśmy po murawie rozmawiając, zrywając jaskry i bratki, gdy on, ujrzawszy nas, niespodziewanem spotkaniem zdziwiony i zabawiony, stanął u wysokiego krzaku dzikiej róży. A mnie, od pierwszego spojrzenia przewinęła się po głowie myśl, że jest mu w różach ogromnie do twarzy.

Gdy na powitanie nasze odkrył głowę, to z połyskami ciemnego złota we włosach, z czołem białem, z oczyma i ustami rozbłysłemi od uśmiechów, wydawał się wśród rozradowanego obrazu wiosny wcieloną radością życia. Wydawał się bożkiem tego lasu pięknym i nie znającym z życia nic, oprócz radości.

Szło nas tam razem rówieśnic kilka, lecz tak się jakoś złożyło, że przez krótką chwilę rozmawialiśmy z nim u różanego krzaku tylko we dwoje. Powiedziawszy mi swoje nazwisko, dodał, że w odwiedziny do brata przybył na krótko, ale teraz widząc, że okolica ta nie jest uroków pozbawiona, zabawi też pewnie długo.

Niektóre z róż przekwitały i powiewami wiatru trącane, zrzucały mi trochę płatków na ręce i suknię. Jeden upadł na jego złote włosy i drżał tam jak różowy motyl.

Potem szliśmy już razem. Ze swobodą i wdziękiem ulubieńca losu i świata, czynił nam honory tego lasu, pokazując ścieżki najkrętsze i do najcienistszych ustroni wiodące, drzewa najwynioślejsze, polany najbogatsze w słońce i w kwiaty. Kwiatów, które dla nas zrywał, miałyśmy pełne ręce, a ścieżki, ustronia i polany pełnemi były naszych jasnych sukien i wesołych głosów.

Co do mnie, prawie nie widziałam ścieżek, polan i ustroni, bo oczy moje on jeden tylko napełniał, i wstyd mi wyznać, ale wyznam prawdę — że w tem pierwszem już spotkaniu zakochały się w nim moje oczy...

Spójrz, jak tam w głębi pokoju, w słabem dotknięciu dalekiego światła lampy, mętnie majaczy na obrazie płachta białości, a nad nią wiszą białe plamy, jak z próżni patrzące oka bez źrenic... Wiem! to obraz zimy. Śnieg na równinie, i na gałęziach drzew kwiaty śniegowe...

Śnieg jak marmur twardy i pod niebem chmurnem matowo biały, zaścielał szeroką równinę, gdy kulig huczny, rozdzwoniony, roześmiany, wypadł z bramy naszego wiejskiego dworu, pięknego, wielkiego dworu. Bez celu, bez planu, na parę godzin w przestrzeń szeroką, w pęd szybki po gładkich marmurach pod rzeźwe pocałunki lekko mroźnego powietrza!

Byłoż to zrządzeniem wypadku czy jego zręczności, nie pamiętam, a może nie wiedziałam nigdy, ale jechaliśmy razem, tylko we dwoje. Konie jego, cztery konie stepowe, wpół dzikie, unosić poczęły sanie z szybkością tak niezmierną, że zdawało się, iż nie dotykając ziemi, suną powietrzem. Lecz jeśli było w tej szalonej jeździe niebezpieczeństwo jakie, mnie ono na myśl nawet nie przyszło, tak zajęła mię walka człowieka z temi potężnemi zwierzętami, które w pogoni z wichrem mogłyby, zda się, wicher przegonić i same jak cztery ogniste wichry, pędziły, leciały z ciałami wydłużonemi, z płomieńmi grzyw puszczonemi na wiatry, wydając z paszcz radosne czy groźne chrapania, wyrzucając z pod kopyt odłamy rozbitych marmurów, lub iskry krzesane z drzemiących pod marmurami krzemieni.

Może nie spodziewał się, że przyjdzie mu stoczyć tę walkę, a może chciał stoczyć ją przed mojemi oczyma, nie wiem, ale u samego jej początku obrócił ku mnie twarz zupełnie spokojną i poprosił, abym się nie lękała. Kilka słów tylko, lecz w spojrzeniu, które na mgnienie oka zatopił w mej twarzy, błysnęła siła tak pewna siebie, że uczułam słodycz ufności zupełnej.

Stojąc obok mnie, w dłoniach, które wydawały się żelaznemi, ściskał wodze długie i tak wyprężone, że wyglądały jak czarne struny naciągnięte na białej harfie powietrza, którego ostre świsty wydawały się ich dźwiękami.

Pomimo szalonego pędu sań, postawa jego ani na jedno mgnienie oka nie utracała niezachwianej posągowości swych linii, ani jedno drgnienie nie przebiegało twarzy pobladłej i tylko pod futrzaną opaską czapki złote brwi zbiegły się nad oczyma, w których osiadła i świeciła błyskawica wytężonej woli. Na wargach czerwonych miał ten wzgardliwy uśmiech, z jakim siła świadoma siebie i skupiona, poskramia nieświadome i rozkiełzane siły.

Przebiegła mi przez głowę myśl, że nie inaczej pewno Grecy przedstawiali sobie Faetona, gdy słonecznymi rumakami gnał po sklepieniu niebieskiem.

W świstach powietrza, w piekących pocałunkach mrozu, w stuku bryzgających z pod kopyt końskich marmurów śniegowych, w błyskawicowem migotaniu mijanych drzew, ludzi, zasp śnieżnych, lasów dalekich, ptaków wysoko lecących, z twarzą w płomieniach i piersią pełną dziwnej rozkoszy, nie odrywałam oczu od jego twarzy pobladłej, brwi ściągniętych, ust uśmiechniętych ze spokojną wzgardą, ramion potężnych, a jednak spokojnych i — kochały się, kochały się w nim moje oczy.

Wkrótce jechaliśmy już w sposób zwyczajny, rozmawiając zwyczajnie o rzeczach, o ludziach, aż nagle zamyślił się, długo patrzał na skłon nieba, który rąbkiem seledynowo-srebrnym rozdzielał chmury szare od białej ziemi i w oczach jego odmalowała się bezbrzeżna tęsknota. Wskazał mi świetlisty rąbek.

— Jak tam jasno!...

Z twarzą ku mnie obróconą dodał:

— I pani taka jasna... jasna!

Potem, ze wzrokiem znowu utkwionym w dal świetlistą, rzekł z cicha.

— Są na świecie ludzie pociemnieli, którzy pragną jasności... tak pragną!

I zaraz o czemś zwyczajnem, powszedniem mówić zaczął, ale nie był już wcieleniem radości życia, Jakby żalem, czy tęsknotą powiało na niego od jasności niebieskiej i — mojej.

Wtedy to, po powrocie z tej długiej zimowej przejażdżki, rzuciłam się bratu na szyję i chciałam powiedzieć mu wszystko, ale przy pierwszych słowach moich zmarszczył brwi niemal groźnie i niemal gniewnie zawołał:

— Jakto? ten wietrznik, marnotrawca, próżniak!

Ramiona moje zesztywniały i opadły z braterskiej szyi. Umilkłam i odtąd milczeliśmy o tem oboje.

Zdanie brata mego podzielała w zupełności tak zwana opinia publiczna. Uchodził powszechnie za człowieka z umysłem pospolitym i z charakterem lekkim, słabym. Uchodził za jednego z tych, którzy w mowie potocznej nazywani są ludźmi bez charakteru. Podobno w żadnej szkole i w żadnej nauce nie dotrwał aż do końca. Synem rodziny majętnej będąc, w ten sposób z jedynym bratem podzielił się znacznym majątkiem, że jemu pozostawił ziemię z całą surowością trudów i szlachetnością obowiązków do jej posiadania przywiązanych, a na swój dział zażądał i otrzymał tę rzecz, dającą swobodę wszystkim chęciom, niechęciom, żądzom, kaprysom człowieka, którą są pieniądze. Znaczną też ich część stracił już w czasie niedługim i w stronach dalekich. Tych rodzinnych stron swych prawie nigdy dotąd nie odwiedzał, a teraz przepędzał w nich już miesiące długie, jak wszyscy odgadywali, z powodu owego spotkania w maju, u krzaku dzikiej róży.

Wszyscy to odgadywali i usiłowali, według wyrażenia pospolitego, otwierać mi oczy. U jednych nosił on przezwisko koniarza, z powodu namiętnego rozmiłowania w hodowaniu i ujeżdżaniu koni. Inni napomykali o licznych podbojach sercowych i — gorzej jeszcze...

A ja? Ja wiedziałam, że nikt nie kłamie, i że wszystko to jest prawdą, ale nie całą. Wiedziałam, że przypisywane mu niedostatki i przywary są w nim istotnie, ale, że jest też coś nad to, czego prócz mnie nikt nie spostrzega.

Czem było to, co sama jedna w nim spostrzegałam? Ściśle określić niepodobna. Domysły i przeczucia raczej, niż spostrzeżenia.

Czasem, w oczach zazwyczaj wesołych, jakieś chwilowe zapatrzenie się w dal i w tem zapatrzeniu się wyraz tęsknoty bezbrzeżnej. Jakby pod błyszczącemi prochami pustego życia, w sercu rozpalał się rubin krwawy i piekł serce tak, że aż oczy w dal biegły po ratunek.

To znowu, wśród rozmowy pospolitej, albo płochej, kilka słów odskakujących od niej dziwnie, kilka słów tylko, lecz zabrzmiała w nich nuta czci albo litości, albo wzruszenia, w którem załamał się i utonął głos.

Jakieś stopienie się śmiechu w westchnienie, jakieś ciepło w postępku czy słowie, do skrytej pieszczoty podobne... Czy ja wiem? Chwilki przelotne, promyki drobne, dźwięki wnet milknące, same przeczucia, same domysły, lecz które iskrami sypały się w serce.

Myślałam, że muszą, muszą, prędzej czy później, opaść z niego złe prochy życia; że musi, musi on, prędzej czy później, stanąć przedemną i przed światem wyższym, czystszym nad własne swe życie.

Nieprędko potem przeczytałam w jakiejś książce zdanie, że ludzie bywają czasem gorsi, a czasem lepsi od własnych swych postępków, które często, wbrew ich najgłębszej naturze, zrządzane są przez różne wypadki i wpływy. Nie umiałam jeszcze wówczas myśleć tak jasno, ale zdanie to było we mnie, więcej w uczuciu, niż w myśli. Czułam, że w tym lekkomyślnym człowieku z życiem marnotrawnem i próżniaczem, istnieje jakiś popęd w dal i w górę, że istnieje w nim jakaś żałość i tęsknota.

Po czem żałość? Za czem tęsknota?

Przyszła chwila, że powiedział mi to sam. Wkrótce po owym szalonym kuligu przyszła piękna chwila brylantowych

szronów na drzewach, a złotych snów w upojonych szczęściem sercach naszych.

Podaj mi ten wiersz młodego poety, któryśmy czytały dziś razem.

W przestrzeni przez słońce zalanej
Cienie się ścielą błękitnie,
Na ziemi w puch biały przybranej
Gałązka każda szkłem kwitnie...

Błękitne cienie słały się po białych puchach zaścielających las i na nieruchomych świerkach każda gałązka szkłem kwitła, gdyśmy się spotkali u drzwi otoczonego świerkami domku leśnika.

Czy wypadkiem? Tak się zdawało, lecz w rzeczywistości i tu leżały na dnie domysły, czy przeczucia moje i jego. Faktem jest niejasnym może, lecz najzupełniej prawdziwym, że z oddalenia, bez porozumiewania się głosem czy okiem, odgadywaliśmy nawzajem swoje myśli i zamiary. Nie po raz to pierwszy już wiedziony tem odgadywaniem zamysłów i upodobań moich przybywał tam, gdzie byłam i nie po raz pierwszy, ja ze swej strony, odgadywałam, że on przybędzie...

Więc choć nie oczekiwałam, jednak nie zdziwiłam się, gdy w białej alei leśnej...

Jechał aleą leśną, tworząc razem z pięknym wierzchowcem swym i białością lasu, obraz z zimowej czy z rycerskiej baśni.

Za chwilę dowiedzieć się miałam, jak bardzo, jak wcale nie był dumnym; później, w szacie z grozy i rozpaczy przyjść do mnie miała wiadomość, jak bardzo, jak niezmiernie był słabym. Ale wówczas, gdy wśród cichych szkieł szronu i marmurów śniegu zbliżał się ku leśnemu domkowi, biła z niego siła i duma syna rycerskiego rodu. We krwi mieć je musiał razem z rycerskim wdziękiem; myślałam, że musi również mieć je w duszy. Patrząc na zbliżającego się myślałam, że tuż, tuż, jeździec ten wyciągnie silne ramię i dokona wielkiego czynu lub w turniejowej gonitwie zwycięzca, na ostrze miecza przyjmie wieniec chwały.

Byłyż to tylko pozory, złudzenia? Tak!... Nie!... I tak i nie.

Zeskoczył z konia i w mgnieniu oka znalazł się u stóp moich, na klęczkach. Krzyknęłam ze zdziwienia, bo dotąd nie było pomiędzy nami nic... Zaręczały się dotąd z sobą promienie ócz naszych, uśmiechy ust, brzmienia głosów, ale powiedzianego nie było nic...

Teraz ręce moje uwięzione były w jego dłoniach, a z ust mu płomiennym potokiem lały się słowa miłości i — rozpaczy.

Rozpaczy? Człowiek ten młody, piękny, bogaty, który tam u różanego krzaku wydał mi się upostaciowaniem samej tylko, samej jednej radości życia — rozpaczał.

Bledszy niż wtedy, gdy walczył z szałem swych stepowych koni, ze złotą brwią boleśnie ściągniętą i oczyma do ciemnych otchłani podobnemi, mówił jak mocno, jak głęboko mię kocha i jak głęboko, rozpacznie, czuje się mojej miłości niegodnym.

Domek leśnika chwilowo opustoszały był ze swych mieszkańców; byliśmy sami. Byliśmy sami w białej izbie, za której małemi oknami, ciężko na gałęziach świerkowych wisiały wielkie kwiaty śniegu, i tylko, niewidzialna, w ciemnym kącie jego duszy zaczajona, była z nami — straszna nasza dola.

Lecz jakimkolwiek był i cokolwiek w przyszłości popełnić miał ten człowiek, widziałam go wtedy szczerym aż do dna. Wyznawał przedemną wszystko, co w nim i w minionych dniach jego było słabością i winą, a pokora tych wyznań miała w sobie przejmujące krzyki cierpienia.

Cierpiał. Te niepochwytne drgnienia duszy, które z pomiędzy ludzi wszystkich sama jedna w nim spostrzegałam, czy przeczuwałam, były żalem palącym, tęsknotą bezbrzeżną.

— Czy pamiętasz ostatnią strofę tego wiersza młodego poety?

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!

Człowieczą prawdę, głęboką choć rzadką, zamknął w strofie tej młody poeta.

Byłam wówczas świadkiem palącej tęsknoty człowieka za postradaną czystością swej duszy, niezmiernej żałości jego nad tem, że w dniach próżniaczych i płochych przepadła mu jego *anima immaculata.*

To upragnienie czystości i te namiętne rzuty ducha ku podźwignięciu się z nizin na wyżyny, były najgłębszą przyczyną rozkochania się jego w dziewczynie tak doskonale czystej i myśli swe na wyżynach trzymającej, jaką podówczas byłam. Serce jego uczepiło się mnie, jak nici, po której wspiąć się mogło do krain świetlistych. Z prośbami o szczęście mieszały się mu na ustach prośby o wsparcie, o takie wsparcie, jakiego kropla rosy użycza roślinie, okrytej przydrożną kurzawą. Marzył, że gdy mu podam rękę, podźwignie się z kurzawy. O czynach dobrych, o trudach wytrwałych, o cnocie czystej, roił tyleż prawie, co o raju miłości podzielonej.

Odsłaniało się w nim przedemną ogromnie tkliwe rozróżnianie strony życia ciemnej od jasnej i ogromne pożądanie przebywania po stronie jasnej. Dlaczegóż tyle razy zsuwał się z niej na ciemną?

Z jakże rozumną i z jakże dobrą pokorą wyznawał przedemną te niedostatki natury i te wpływy świata, które wobec pokus i ponęt rozmaitych, czyniły go słabym! Bo nie był z rzędu tych słabych, którzy nie mają w sobie siły, lecz tych, w których z siłą razem mieszka słabość. I ta właśnie siła jego, truta, paraliżowana, zwyciężana przez słabość, przerabiała się na palącą tęskność za marzonemi wiecznie i wiecznie niedościganemi strefami światła, na żałość za umknionym z dłoni, za znikłym w odmętach życia, za postradanym tym ptakiem niebieskim, o skrzydłach z lazuru i kryształu, któremu na imię: *anima immaculata.*

Słuchałam i słowa jego uderzały o najwyższe niebiosy mego serca.

Myślałam, że tylko człowiek z duszą wielką może tak dobrowolnie i aż do dna ukazywać swoją małość przed istotą, która mu jest drogą i której pożąda; myślałam, że ta rozdzierająca mowa jego jest czynem pięknym i że do życia pięknego

zdolność niezmierną posiadać musi ten, kto posiada tak żałosne jego upragnienie.

Więc odpowiadałam mu zrazu łzami tylko, ale potem uczułam, że myśl moja dostaje skrzydeł, i płomiennem natchnieniem porwana mówić mu zaczęłam wszystkie te słowa mowy ludzkiej, które pocieszają, koją, pieszczą, kochają, dźwigają... wszystkie dobre, piękne, jasne, gorące słowa mowy ludzkiej...

I wtedy to, wśród tej rozmowy, zakochała się w nim moja dusza...

A zmierzch, od wiszących za oknami kwiatów śniegowych biały, znalazł nas na ławie leśnego domku, siedzących obok siebie z połączonemi dłońmi i owiniętych lazurami takich marzeń, jakich bezchmurnie słuchaćby mogło, lazurowe oblicze nieba.

Bez oglądania się na ludzkie zdania i opinie, na chęć czy niechęć najdroższego mi dotąd człowieka, mieliśmy cicho i skromnie zaślubić się w maju, miesiącu pierwszego spotkania się naszego i rozkwitania po lasach dzikich róż.

A potem, ileż nadziei, ufności, słodyczy, postanowień wielkich i niemal bohaterskich — ach! — niemal świętych zamiarów!

Nutę bohaterstwa, niemal świętości, on pierwszy wlał w te rojenia nasze. Mniemał, że zła przeszłość jego odebrała mu prawo do szczęścia, do tak wielkiego szczęścia, jakie posiadł wraz z mojem kochaniem i że tę złą przeszłość odkupić mu potrzeba jakiemś wyrzeczeniem się, jakimś trudem, dokonaniem jakiegoś czynu czy zadania.

Myśl ta była tak surowa, że nie mogłam zrazu wyrozumieć jej do głębi. Odkupienie zła przez dobro? Pokuta? Dobrowolne zadawanie sobie cierpień na łonie szczęścia? Lecz gdy wyrozumiałam wzlecieliśmy razem ku tym najwyższym strefom, na których rzadko bardzo bywają ludzkie marzenia.

Mieliśmy majątki nasze rozdać na dzieła miłości i miłosierdzia, a sami żyć zaledwie bez niedostatku, nie pożądając i nie szukając żadnych uciech innych, oprócz tej niewymownej, że należymy do siebie, że jesteśmy z sobą, że trzymamy się za ręce i że dusze nasze trzymają się za skrzydła...

Mieliśmy wzbijać myśli nasze ku najwyższym szczytom wiedzy, a serca rzucać w ogniska uczuć, najszerzej po ziemi rozpostartych. Mieliśmy wspólnemi siłami czynić to, czego nikt nie uczynił i zajść tam, kędy nikt nie zaszedł, nie przez dumę lecz przez pokorę właśnie i z wdzięczności za to szczęście niewymowne, że jedno dla drugiego jesteśmy na ziemi...

O, młodości! O wiaro i siło młodości! Raju serc! Locie dusz! O! oczy śniegowych kwiatów, któreście przez drobne szybki patrzały w nasze rozpromienione ogniem świętym oczy! O, szumie lasu, któryś o zmierzchu, zcicha wtórować począł słodkim naszym szeptom. Czyliż to wszystko złudzeniem tylko było, marą tylko, płonnem okłamywaniem się płonnych dusz człowieczych?

Tak! Nie!... I tak, i nie!

Domek leśnika opuściłam z zaręczynowym pocałunkiem na ustach i z duszą w ekstazie.

Ale...

Daj chwilę spocząć przed spojrzeniem w przepaść!

Ale w maju nie wzięłam ślubu...

Umówiliśmy się, że przyjedzie on wkrótce do brata mego, aby mu o zamiarach naszych oznajmić i o zgodzenie się na nie prosić. Wymagał tego nietylko obyczaj powszechny; wymagało tego serce moje, nie mogące przecież wyrzucić z siebie uczuć wdzięczności, przywiązania i obowiązku.

Myśl o tem spotkaniu się ich i o tej rozmowie napełniała mię trwogą niewypowiedzianą. Pomiędzy dwoma tymi ludźmi stało coś nakształt nienawiści, do wytłumaczenia wcale nietrudnej. Wobec surowych zasad moralnych i obywatelskich brata mego, wobec jego doskonale czystej i bardzo czynnej przeszłości, przeszłość człowieka, który marnie albo i występnie dotąd trwonił lata, siły i majątek, była łachmanem, godnym tylko wzgardy. Ten drugi zaś zazdrościł, strasznie zazdrościł tamtemu nieskazitelności, powagi, nieurzeczywistnionych jeszcze, lecz już przewidywanych i przepowiadanych przeznaczeń, z których przeglądało blade i może krwawe, lecz ukoronowane oblicze bohaterstwa.

Ta wzgarda z jednej strony i ta zawiść z drugiej, które leżały na samem dnie wzajemnych dla siebie uczuć tych dwóch ludzi, pozostałyby pewnie bierne i niewypowiedziane na zawsze, gdyby nie wzmagał ich, nie rozjątrzał i ostatecznie do krzyku nie pobudził wypadek, którego ja byłam przyczyną.

Ach, nie myśl, że był to krzyk rozgniewanego, grubiańskiego głosu! Byli obaj ludźmi dobrze wychowanymi i najlżejsze podniesienie głosu, żadne słowo obraźliwe czy obelżywe, nie dosięgło pokoju sąsiedniego, z za zamkniętych drzwi pracowni mego brata. I dziwnie krótko trwała tocząca się za temi drzwiami rozmowa; i nie wiem, w której sekundzie tych kilku minut padł grom, ze zwarcia się dwóch tych chmur wystrzelony...

Ale gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłam na twarzy człowieka kochanego porażenie od gromu. Coś osłupiałego i razem namiętnie obrażonego, coś złego i razem tragicznego rozlewało się po jego śmiertelnie zbladłej twarzy i świeciło w sztyletach oczu bolesnych i ostrych.

Rzuciłam się ku niemu, ale gestem ręki powstrzymał mię zdala od siebie i białemi wargami wyszeptał.

— Tutaj... nie! Pod dachem tego człowieka... nigdy! Jeżeli wytrwasz, jeżeli zechcesz, to gdzieindziej...

Nie miał prawie oddechu w piersi. Nieprzytomnie prawie ścisnął mi mocno obie ręce, zdaje się, że bez łez załkał i wybiegł z domu.

Stanęłam przed bratem cała w drżeniu i w płomieniu, zamierającym głosem pytając, co mu powiedział?

Tak samo jak tamtem blady i w oczach rozgorzały, ale zawsze panujący nad sobą, zawsze silny i stanowczy, nic mi nie powtórzył, z niczego się nie tłumaczył, tylko z wielkim spokojem w postawie i głosie rzekł, że łacniejby umarł, niżby przystał na to, abym została żoną tego — łotrzyka.

Nie odpowiedziałam ani słowa, lecz nazajutrz nie byłam już pod dachem swojego rodzinnego domu. Byłam pod dachem swojej blizkiej krewnej, kobiety nieskazitelnej, ale wyrozumiałej, kochającej mię, łagodnej. Było to owo „gdzieindziej“, o którem w tej strasznej chwili wspomniał i za które, po dniach paru,

z radością niewypowiedzianą, z wdzięcznością bez granic, na klęczkach mi dziękował.

Trwałam więc. Pomimo, że każde wspomnienie o bracie rozdzierało mi serce, trwałam w uczuciach swoich i w zamiarach, i nadewszystko, — o Boże! Tyś wiedział, że nadewszystko, trwałam w pragnieniu, w namiętnem i zachwyconem pragnieniu ratowania, wznoszenia, zbawiania tej duszy ukochanej, tak słabej i razem tak silnej, tak poplamionej i tak za czystością stęsknionej, która wszystkie swoje słabości, siły, plany i tęsknoty tak prosto i szczerze, pokornie i wzniośle zwierzyła sercu memu i dłoniom mym powierzyła, pomocy ich wzywając.

Ale w maju nie wzięłam ślubu, bo właśnie gdy po lasach rozkwitły róże dzikie, brat mój i on zniknęli mi z oczu. Porwał i uniósł ich wicher wypadków. Wtedy to imię brata mego rozebrzmiało po świecie sławą krótką lecz głośną i świętą...

Nie powiedziałam ci zaś jeszcze, jak nazywał się tamten. Odwróć oczy! Nie patrz na mnie, gdy imię to wymawiać będę... A gdy wymówię je, miej litość!...

Stefan Niegirycz. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . Nie miałam litości i krzyknęłam:

— Zdrajca! . . . . . .

. . . . . .

A ona, jakby wiedziała, że cios tego słowa spaść na nią musi, ani drgnęła, tylko na długą chwilę umilkła; poczem z westchnieniami czarnej nocy złączył się znowu jej cichy głos.

— Że miał w przyszłości stać się czem innem jeszcze, o tem wiemy dotąd my dwoje, ja i mój brat, a ty, dowiesz się zaraz. Ale prawdą jest, co powiedziałaś. Zdradził towarzysza i wodza swego, którym był brat mój. Stał się przyczyną srogich cierpień i śmiertelnych jego niebezpieczeństw. Imię swoje od pierwszej do ostatniej zgłoski, okrył hańbą.

Co nim spowodowało w tej chwili fatalnej, gdy przed ludźmi mającymi rozstrzygać losy ich obydwóch, stał się tak wszystkomównym? Trudno rozbierać i straszno dochodzić.

Podobno w tych grubych ścianach, wśród których przebywali razem, co chwila wybuchały pomiędzy nimi spory krótkie lecz śmiertelne jak zatrute ostrza, padały słowa, raniące srożej od kul i mieczy... Alboż wiem wszystko? Domyślam się tylko wielkości obraz po okropności zemsty. Domyślam się też rozstroju nerwów i mózgu, nagle przerzuconych z szampańskiej czary użycia w cykutę trwóg i udręczeń? Nikt mi o tem nie powiadał dokładnie. Jedne tylko usta, raz jeden miały odwagę część winy przypisać ofierze zbrodni... Może nie myliły się. Nie wiem. Niech Bóg to osądzi!

Odzyskawszy możność rozporządzania się swoją osobą i swoim majątkiem, opuścił strony rodzinne i zniknął. Z początku ten i ów jeszcze, tu lub ówdzie zobaczył go lub o nim usłyszał, lecz po paru latach zginęła wszelka wieść. Może na drugą półkulę świata odjechał, może umarł. Nie wiedział nikt i nie dowiadywał się nikt. Lżej staje się ziemi i piersiom ludzkim, gdy taki człowiek znika.

Kiedy brat mój tylko przez nadzwyczajny zbieg okoliczności strasznej śmierci uniknąwszy, odjeżdżał na kresy innej części świata, ja ziemię u stóp jego włosami swemi zamiotłam, z krwawym płaczem błagając, aby mi krwawą omyłkę moją przebaczył. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . W głębi pokoju, dotykane dalekiem światłem lampy, majaczyło na obrazie śniade ramię, wyciągnięte z toporem nad ciałem bielejącem u kamiennego ołtarza.

— Kaim! szepnęłam.

— Że miał w przyszłości dalszej stać się czem innem jeszcze, wiemy dotąd my dwoje tylko, ja i mój brat, a ty zaraz się dowiesz . . . . . .

. . . . . .

. . . . . Jak żyłam w pierwszych latach, które po tem nastąpiły, ten tylko zrozumie, kto sam przez czas długi, codziennie usypiał i budził się w łzach.

Bywają czasem momenty z takiem nagromadzeniem nie-

szczęść, że góry tej starannie odmalowywać nie potrzeba, bo ktokolwiek pierwsze zarysy jej zobaczy, uczuć musi na sobie jej cień.

Z gniazda zielonego, nad polami szerokiemi, nad strumieniami przeczystymi, nad murawami aksamitnemi i aleami drzew odwiecznych zawieszonego, wypadłam na bruk miejski, pomiędzy mury miejskie, w zgiełk, w tłok, w kurzawę, w zaduchę, w częstą obawę głodu ciała, w ciągły głód serca.

Nikt z moich najbliższych w pobliżu mojem nie pozostał; najbliższy a teraz po dwakroć, po trzykroć najdroższy brat mój, cierpiał w oddali nieprzejrzanej. On — zniknął ze świata — i gdybyż zniknął był z mojej pamięci! Ale nie. W każdą noc bezsenną i w każdej chwili bezczynnej, jak w ciemną topiel, rzucałam się w niepojętą, w przeraźliwą zagadkę jego duszy i jego przeznaczeń...

Czy pewną jesteś, że po zabiciu Abla, Kaim, na kresy świata odchodząc, o każdym wschodzie słońca nie upadał twarzą na ziemię, ze wstydu przed słońcem i zgrzytającymi zębami nie gryzł ziemi z rozpaczy, że jeszcze widzi słońce? Czy nie przypuszczasz, że nocami chodziło za Kaimem widmo Abla i oddechem swym skręcało mu włosy na głowie, w kształt wijącego się w mękach płomienia?

Jeżeli mniemasz, że wielcy winowajcy są zawsze ostatnimi wśród ludzkości, jesteś w błędzie. Ten z nich, którego serce choć raz w życiu miało sen o cnocie, to król nędzarzy.

Po niezliczone razy oczyma wyobraźni widziałam go na jakichś dalekich drogach, upadającego twarzą na ziemię ze wstydu i gryzącego ziemię z rozpaczy. Po niezliczone razy nawiedzała mię mara winowajcy, który w noc ciemną idzie ze zjeżonymi jak płomień włosami nad głową, gdy tuż za nią idą nieubłaganie blade widma jego ofiar.

Czasem z pogardą odpychałam te widzenia, czując wstręt ku samej sobie za to, że nawiedzać mię one mogą i że — o, ciężkie wyznanie! — krzeszą mi w sercu litość. A czasem, z sił opadła i do walki niezdolna, dawałam folgę litości i jakimś rzutom serca bolesnym, w których wołało ono, że chce

podzielać z winowajcą brzemię jego hańby i razem z nim iść jednym szlakiem ciemnym, pod jednym płaszczem strasznego królowania nad wszechnędzą ziemi, — iść, i duszę jego z plam obmywać wiernem pomimo wszystko kochaniem, a może z obmytej, z oczyszczonej, dobywać znowu te piękne światła, o których wiedziałam, że w niej były.

Wiedziałam, że były, i nic nie mogło zabić we mnie tej wiary, a przecież nieraz, po kątach sypialni, próżnej snu a pełnej ciemności, chichotała najstraszliwsza towarzyszka bezsennych nocy człowieka: ironia.

Może w jakiejś dalekiej stolicy, zamiast wić się w męczarniach, pławi się on w rozkoszach, może nie ponury płaszcz króla nędzarzy, lecz wykwintny frak balowy ma na ramionach — może ze złotymi połyskami we włosach, w tych ślicznych włosach, na których tam w domku leśnym kładłam kojące i błogosławiące dłonie, u warg czerwonych trzyma puhar upojeń i znowu jest podobnym do bożka radości życia, ohydnej teraz radości?

Takich chichotów ironii słuchając, twarzą tonęłam w mokrej od łez poduszce i całą siebie rzucałam w daleką dal, pod stopy brata-bohatera; hymnami serca wielbiąc cnotę czystą, pocałunkami omywając rany świętego cierpienia.

Ale potem, znowu...

O, wierz! była to męka wielka!

Lecz życie powszednie, a zwłaszcza życie powszednie ludzi ubogich, to szary, monotonny deszczyk, którego krople malutkie a niezliczone, padają, padają, padają na myśl i serce, aż skrzydła myśli przybiją do ziemi i serca rubiny pogaszą.

Z majętnej córki wiejskiego dworu stałam się biedną dziewczyną, która w ciasnych izdebkach domku, stojącego nad rynsztokiem miejskiego zaułka, całodzienną pracą zarabiała na codzienny kawałek chleba.

Po miastach, po miasteczkach, wiele nas wówczas było takich gołębic, wypadłych z gniazd puchem wysłanych, na ostre kamienie bruku. Trzeba było na kamieniach wić gniazda z ostów i piołunów. Wiły je, jak umiały, gołębice zrazu drżące od stra-

chu, bólu, gniewu, lecz wkrótce pod ręką Bożą ukorzone, coraz mężniejsze i nakoniec spokojne tym spokojem, który panuje w dni monotonnych, szarych deszczyków.

Słońca niema, na szczytach wieżyc złote iglice pogasły, świat szary, skrzydła duszy opadłe i tylko kędyś na dnie pamięci, czerwienieją żary wspomnień o nadziejach, o tęczach, o lotach pod gwiazdy.

Mieszkania tych przybyszek od pól, łąk, lasów i ogrodów rozkwieconych, w najtańszych dzielnicach miast i w najniższych domkach tych dzielnic, poznać można było po obfitości roślin, kwitnących za małemi oknami, po dobywającej się z za okien muzyce fortepianowej, po wybieganiu z drzwi lub bram domków postaci kobiecych często ładnych i zgrabnych, zawsze ciemno i tanio ubranych, śpieszących do pracy.

Pracowały jak mogły; szyły, uczyły, wiele jeszcze robót różnych... czy ja wiem? byleby żyjąc, módz na świat patrzeć okiem czystem, choć niezmiernie prędko i wcześnie utracającem blaski młodości.

Ja uczyłam. Nieprzeliczone są te dziękczynienia, które w myślach i listach posyłałam bratu za to, że sama umiałam tak wiele i dobrze. Mieszkały razem ze mną, w trzech malutkich pokojach, dwie dalekie krewne moje, z któremi w momencie przełomowym mocno wzięłyśmy się za ręce, aby siłami wspólnemi znosić życie. Bo nie było już dla nas mowy, ani myśli o czemkolwiek innem, jak tylko o znoszeniu życia.

Z początku bywało nam często trudno, głodno i chłodno, ale potem ułożyły się jakoś sprawy nasze we względną i stałą pomyślność. Ja i Cesia biegałyśmy z lekcyi na lekcyę, Rózia siedziała za hafciarskiemi krosnami i doglądała niedużego gospodarstwa. Godziny podobne do kropel monotonnego deszczyku składały dni, z dni pwstawały lata, które tworzyły dziesiątki lat...

Jednak na te długie lata nasze, oprócz kropelek szarego deszczyku, sypały się także drobniutkie kwiatki uciech. Tak już stworzony jest człowiek, że z piołunów choćby wydobywać sobie musi krople miodu; myśmy je wydobywały z tkwiących

nam we krwi upodobań i z serc, które stwardnieć ani zamarznąć nie mogły.

Więc słabe echa od rodzinnych ogrodów naszych, te rośliny u okien, które oczyma coraz nowych koron kwiatowych patrzały w nasze zmęczone oczy, trochę muzyki o szarej godzinie, trochę czytania w dzień świąteczny, ubogie dzieci, ubodzy starcy...

Tych ostatnich wprowadziły nam w życie złote serce i praktyczna ręka Rózi. Była ona pośród nas Martą, posiadającą sztukę wypiekania dziesięciu chlebów z jednej garści mąki, i zarazem Maryą, olejki nieskończonego miłosierdzia wylewającą pod stopy ludzkiej nędzy.

Wszystko to razem nadawało życiu barwy nie świetne wprawdzie, lecz chroniące życie przed bladością trupią. Ze wszystkiego też tego wyniknęło, że przyszedł do nas ten niemy tracz...

Ten niemy tracz, którego Rózia przyprowadziła raz z ulicy, aby ogrzał się i posilił, wydał się nam zrazu człowiekiem dziwnym i mnie nawet trochę przestraszył.

Trzymając w ręku list od brata przed chwilą otrzymany, weszłam do jadalnego pokoiku i nie spostrzegając obecności człowieka obcego, poczęłam głośno dzielić się z towarzyszkami treścią listu, gdy nagle, one krzyknęły ze zdziwienia, a ja cofnęłam się z przestrachem, — bo ktoś mi do nóg upadł.

Nie wiedząc ani kto, ani co, ani dlaczego, widziałam tylko zwyczajną siermięgę robotniczą, rzemieniem przepasaną, jakąś głowę osiwiałą i jakieś ręce sine, żylaste, szramami i guzami okryte, które usiłowały pochwycić brzeg mojej usuwającej się sukni. W miarę jak usuwałam się, siermięga pełzła ku mnie po podłodze, ręce latały w powietrzu, jak liście przez wiatr targane i czoło jakieś pomarszczone, krwią nabiegłe, parę razy uderzyło o deski podłogi. Słychać było przytem łkania czy wykrzyki, czy jęki chrapliwe i przerywane; jakby kto ryk mordowanego zwierzęcia na drobne kawałki posiekał.

Towarzyszki moje dość silne fizycznie, prędko podniosły z ziemi i na stronę nieco usunęły tego człowieka, a gdy on,

nagle ucichły i spokorniały stanął u okna, zobaczyłam bardzo zwyczajnego, pokornego biedaka w siermiędze wyrobniczej, w grubem i ośnieżonem obuwiu, z twarzą tak ukrytą w gęstwinie zarostu, że widać było tylko krwawo-czerwone powieki i nad krzaczystemi brwiami czoło zżółkłe, pełne zmarszczek. Włosy splątaną gęstwiną okrywając głowę, ogromny zarost twarzy i zwisające na powieki krzaki brwi, miały barwę ciemnego popiołu.

Nędzarz! Tem większy nędzarz, że niemowa.

Rózia, której litościwy wzrok od dość dawna już ścigał go wśród miejskiego ubóstwa, powiedziała nam, że człowiek ten słuch posiada, ale mowę wskutek wypadku jakiegoś podobno utracił już oddawna, że widywała go przedtem piłującego drzewo na znajomych jej podwórkach, lecz, że teraz chory, pracować nie może, więc...

Ależ naturalnie, ma się rozumieć, niech przychodzi jak najczęściej! Tylko, co znaczyła ta dziwna scena? Ponieważ niemym będąc, nie był głuchym, więc po cichutku szepnęłyśmy sobie do uszu, że zapewne... trochę obłąkany.

Tem większy nędzarz!

A kiedyśmy pomiędzy sobą szeptały, on wyjął z za siermięgi białą tabliczkę, i ołówkiem coś na niej skreśliwszy, podał ją Rózi. Zobaczyłyśmy jeden tylko wyraz: przepraszam! Litery były niezgrabne i zygzakowate. Cóż dziwnego? Prosty tracz! I w dodatku miał ręce zsiniałe od zimna i szramami, guzami okryte od piły, czy może i od innych jeszcze narzędzi ciężkiej pracy.

Śnieg tego dnia leżał na ziemi, na dachach, zasypywał powietrze, oblepiał szyby okien, napełniał wnętrze domu matowem, białem światłem.

Pamiętam!... W białem powietrzu pokoju niemy tracz siedział przy małym stole nad umieszczoną przed nim żywnością i długo nie jadł. Głowa jego nizko pochylona i twarz gęsto obrosła tak wyglądały, jakby je okrywała gruba warstwa popiołu, a postać zgarbiona, od grubej siermięgi bryłowata, odrzynała się na śnieżystem tle okna plamą ciemną, ciężką, smutną...

Pamiętam, że w chwili owej, niewiedzieć skąd, może od śnieżystej białości tego dnia, zalatywać ku mnie zaczęły echa z dalekiej przeszłości, z wczesnej młodości...

Las zasłany marmurem siniejących śniegów, szklane kwiaty szronu po drzewach, w białej alei jeździec na pięknym koniu... za małemi oknami wielkie oczy śniegów na gałęziach świerkowych, u kolan moich złota głowa młodzieńcza...

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata...

Ach, pozwól zamilknąć na chwilę, odpocząć . . . . . .

. . . . . .

. . . . . Umilkła. Cisza napełniająca duży pokój, kończyła:

Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata! . . . . . .

. . . . . .

. . . . . List dnia owego otrzymany przynosił mi nieskończenie radosną wieść, że za kilka miesięcy zobaczę brata. Po dwudziestu kilku latach nieobecności miał przybyć, aby na zawsze już w pobliżu mojem pozostać. Rodzina jego — bo tam, daleko, zaślubił jedną z dalekich krewnych naszych i miał śliczne podobno dzieci — przybędzie nieco później, a on ją wyprzedzi w celu urządzenia wygodnego rodzinnego gniazda. Wygodne, piękne gniazdo dla rodziny swej usłać może, bo wraca z majątkiem znacznym.

Pierwszy początek nowego tego majątku napełniał mię zawsze wdzięcznością dla jakiegoś bezimiennego, wielkiego serca. Bo przed wielu już laty ktoś przysłał bratu memu znaczną sumę pieniężną, tak zręcznie imię swoje ukrywając, że pomimo starań jego i moich, odkryć go było niepodobna. Daru tego zwrócić nikt nie mógł, ponieważ nikt nie wiedział, kędy znajdowało się i jakiem było jego źródło. Fakt ów zresztą, jakkolwiek niezwykły, nie był w gruncie rzeczy bardzo dziwnym, i świadczył tylko o tem, że bywają na ziemi serca wielkie, zdolne do uwielbienia, współczucia i niesienia czynnej pomocy przedmiotom tych uczuć.

W rozumnych i energicznych rękach brata mego, z pierwszej tej cegły wyrósł obszerny gmach. Mniejsza o to, co budował, ale, że w pracę swą wkładał jedną ze swych cech najbardziej znamiennych, którą była do zaciętości posunięta stałość uczuć i dążeń, więc uwieńczyła ją pomyślność. A że przytem posiadał szczęście rodzinne...

Wicher nieszczęścia chłostał przez czas dość długi odważną tę głowę i biczem ognistym zacinał te silne ramiona, lecz pod Bożą ręką ucichł potem i głowa podniosła się znowu z pełnią swych myśli niezłomnych, a ramiona wyprężyły się do trudów i do rozkoszy życia, z pełnią swych sił niepospolitych.

Od otrzymania listu owego długie miesiące przeminęły, zanim w pokoikach naszych rozległ się krzyk szalonej radości, z jaką upadłam w szeroko przedemną rozwarte objęcia brata.

Przepłynął po nas strumień czasu i obojgu przysypał włosy srebrem, mnie przedwcześnie, jemu tak pięknie, że zdawały się być koroną promienną, która zwieńczyła jego trochę tylko zmęczone czoło. Zdrowym ujrzałam go, silnym, pełnym dawnych niezłomnych myśli i uczuć, prawie młodym.

Bywają takie słupy, które z wichrzystej burzy dobywają się proste, nienaruszone, z głowicami, tak jak przed burzą, dumnie i strojnie podniesionemi ku niebu; lecz są to słupy, wykute z jednej bryły drogocennego kamienia.

Biada wśród wichrów i błyskawic tym, których wnętrzności toczą odłamy pięknych kruszców w roztokach lichej gliny!

Z gwarem zapytań, opowiadań, śmiechu, zmieszanego z płaczem, wykrzyków radości roztapiających się w westchnienia, wprowadziłyśmy gościa drogiego do małej jadalni naszej i razem z nim zasiadłyśmy u tego stołu, przy którym, przez lata długie, po niezliczone razy smutne usta nasze z utęsknieniem i uwielbieniem imię jego wymawiały.

Był to jeden z tych obiadów, których nikt jeść nie chce, bo wszyscy nasyceni są przez radość i których nikt jeść niema czasu, bo wszystkie usta zajęte są mówieniem. Zdaje się, że z początku, wszyscy czworo mówiliśmy razem, zaledwie się na-

wzajem rozumiejąc i choć potem rozmowa stała się porządniejszą nieco, gorączkowego tętna długo utracić nie mogła.

Z gorączkowymi rumieńcami na policzkach słuchałam brata, mówiącego o zamiarach swych osiedlenia się w wielkiem mieście i rozpoczęcia tam jakiejś trudnej i ogółowi użytecznej pracy, gdy krzątająca się dokoła stołu Rózia dotknęła mego ramienia z cichym szeptem:

— Spojrz! Niemy!

Spojrzałam w kierunku wskazywanym i oczy moje, z których przez brzegi wylewała się radość, ujrzały widok, z którego przez brzegi wylewał się ciężki smutek.

Przy małym stoliku, u okna, siedział niemy tracz, którego obecności, nikt z nas, oprócz Rózi, w zawierusze wzruszeń nie spostrzegł. Była to zresztą istota, tyle w życiu naszem znacząca, ile dla człowieka znaczyć może wróbel głodny i zziębły, któremu on przez okno sypie z litości garść ziarn czy okruch. Od roku prawie przychodził tu dość często, a nie znałyśmy jego imienia, mówiąc o nim zwykle: niemy tracz albo wprost: niemy. Spotykałam go też niekiedy na ulicach miasta, ale nigdy nie prosił mię o jałmużnę. Rózię, owszem, prosił, w sposób dość dziwny, i który ją wzruszał, bo nie wyciągał nigdy ręki, ani wydawał tych przykrych skomleń, które zazwyczaj wychodzą z gardeł ludzi pozbawionych mowy lecz tylko wątłe ciało jego w grubej siermiędze i głowa osypana popiołem chyliły się w pokłonie jak grób milczącym i w którym Rózia wyczytywała pokorę głęboką i bolesną. Zdawało się, że przez ten rok opadł już był na ostatnie dno nędzy. Zarabiać na chleb nie pozwalała mu choroba dawna, którą uproszony przez nas lekarz, uznał za nieuleczalną. Wiedziałyśmy, że jeśli nie dni, to miesiące lub tygodnie życia tego nędzarza były policzone.

Teraz, przy małym stoliku...

Ten mały stolik był miejscem, na którem zwykle Rózia żywiła naszych ubogich gości. Iluż ich, najrozmaitszych: kobiet i mężczyzn, starców i dzieci, siadywało przez te długie lata tam, u okna, zawieszonego z zewnątrz zielenią ciasnego podwórka w lecie, a białością jego w zimie!

Teraz była jesień i klon rosnący za oknem, zawieszał je firanką z pożółkłych liści, na której tle, ciemną, ciężką plamą odrzynała się postać niemego tracza, dziwna w tej chwili postać!

Siedział tak zgarbiony i z tak nizko pochyloną głową, że twarzy jego wcale widać nie było; tylko opadała mu z niej na piersi puszcza włosów twarz obrastających, przez co i głowa i pierś jego wydawały się grubo osypanemi popiołem. Ręce nieduże, sine, opuchłe, szramami i guzami okryte, leżały na siermiędze okrywającej kolana, a z pod obwisłych krzaków brwi, kapały na siermięgę, na kolana i na ręce, duże, rzęsiste łzy. Padały one w ciszy kamiennej. Człowiek ten cały wydawał się w tej chwili wykutym z ciemnego kamienia i możnaby myśleć, że w tej kamiennej postaci coś tajało i wyciekało z niej ciężkiemi, cichemi kroplami. Ani łkania, ani westchnienia, ani najlżejszego poruszenia. Tylko ze zgarbionych pleców zwisająca ta głowa osypana popiołem i z pod obwisłych brwi padający na pokaleczone ręce ten deszcz ciężkich, cichych łez...

Rózia szybko przybliżyła się ku niemu i zaczęła bardzo cicho zapytywać go, czy pocieszać, a on, głowy nie podnosząc, wyjął z za siermięgi swoją białą tabliczkę i ręką, która trzęsła się, jak liść na wietrze, ledwie czytelnymi znakami napisał znowu jeden tylko wyraz: przepraszam! W parę minut potem nie było go już w pokoju. Rózia chciała wyjść za nim, zapytać, może pocieszyć, ale przemówił do niej o czemś najdroższy gość nasz, więc pobiegła ku niemu z odpowiedzią, zapominając...

Wszyscyśmy po paru minutach zapomnieli o niemym traczu, płacz jego przypisując temu bólowi, jaki w człowieku wszechstronnie nieszczęśliwym, obudzać musi widok ludzi szczęśliwych. A myśmy byli dnia tego tak weseli i szczęśliwi, że nie spostrzegliśmy nawet, iż świadkiem tej wesołości i tego szczęścia naszego jest ten nędzarz. Wkrótce też zapomnieliśmy o jego istnieniu i gdy dni upływały, a on nie przychodził, jedna tylko Rózia zatroszczyła się czasem o to, co się z nim dzieje, lecz i ona, zatroszczywszy się na chwilę, zapominała.

W rozmowach z bratem, we wzajemnych spowiadaniach i zwierzeniach, w przywoływanych z przeszłości wspomnieniach

wspólnych, w układaniu zamiarów na przyszłość jeszcze długą, szybko przemknęły mi tygodnie, prawie miesiące, gdy w tej jasnej pogodzie, tak dla mnie nowej, życie znowu przeraźliwie zazgrzytało...

Godzina była przedwieczorna i byliśmy w domu sami tylko z bratem, gdy ktoś z domowych podał mi list, przez jakąś biedną dziewczynkę z przedmieścia podobno przyniesiony, z tego najbiedniejszego przedmieścia, co to po skłonie wybrzeża opuszcza ku rzece szary rój chatek, lepianek. List niekształtny, szorstki, z mojem nazwiskiem na kopercie, skreślonem pismem niekształtnem, zygzakowatem. Takie pismo gdzieś już widziałam... nie pamiętam! A! na tabliczce niemego tracza. Więc on to zapewne, albo ktoś bardzo do niego podobny pisze z prośbą...

Rozdarłam kopertę, otworzyłam arkusz grubego papieru, wzrok mój przypadkiem upadł najpierw na podpis i — jakby mię kto w plecy obuchem uderzył, tak porwałam się z siedzenia. Musiałam bardzo zmienić się na twarzy, bo brat przyskoczył do mnie, pytając z niepokojem.

— Co to? Co ci jest?

Tyle tylko miałam przytomności, aby mu pokazać podpis na liście i krzyknąć:

— Patrz! Patrz!

Wtedy i on krzyknął także:

— Stefan Niegirycz! Kto? Skąd? Gdzie?

A ja, z dławiącemi się w gardle wołaniami: — Gdzie? gdzie? gdzie? — biegłam do kuchni, w której zapewne była ta dziewczynka. Brat szedł za mną.

Dziewczynka nieduża, podlotek chudy i blady jak głód, suszyła przy kuchennym piecu swe zmokłe od deszczu łachmany. Przez dwoje naraz ludzi z wielkim gwałtem zapytywana, zalękła, ledwie mogła odpowiadać.

— Niemy tracz prosił... zanieść... przed śmiercią...

— Umarł?

— Czy ja wiem? Gadali, że zaraz umrze...

— Więc jeszcze żyje?

— Czy ja wiem? Może już umarł...

— Lećmy! Co tchu wystarczy lećmy! Może jeszcze... może jeszcze...

Okręciłam się na miejscu, chwytając i upuszczając z rąk różne odzieże, dopadając już drzwi w jednej sukni...

Ale brat, powiedziawszy dziewczynce, aby nie odchodziła bez nas, opasał mię ramieniem i zaprowadził do pokoju, gdzie podał mi list.

— Trzeba przeczytać... — rzekł.

Prawda! Trzeba przeczytać. Może tu jakie żądanie, wyjaśnienie... W oczach co chwilę stawało mi się ciemno, jednak czytałam, a brat stał przy mnie z twarzą litościwą, wciąż mię ramieniem opasując.

— „Nie jestem niemy. Żaden wypadek nie pozbawił mię mowy; odjąłem ją sobie sam. Wkrótce potem, gdy mową zgubiłem siebie i innych, zacząłem szarpać sobie włosy na głowie, krzycząc do Boga: czemu mi pierwej mowy nie odebrał? Z tego przyszła mi myśl, że mogę ją teraz sam sobie odebrać... za pokutę!

„Tak uczyniłem. Postanowiłem, że nigdy już w życiu nie przemówię żadnego słowa do żadnego człowieka i dotrzymałem. Już więcej niż dwadzieścia lat minęło, odkąd do żadnego człowieka, żadnego słowa...

„Niememu człowiekowi ciężko żyć, ale dla mnie w tej ciężkości była jedyna pociecha, bo myślałem sobie, że to taka kąpiel, która obmywa moją plamę, nie przed ludźmi, ale przed moją własną boleścią. Im trudniejsze było życie, tem mniejszą stawała się boleść. Bez tego nie zdołałbym jej znieść...

„Może źle się wyrażam i pani mnie nie zrozumie, ale zapomniałem już wielu słów i jak trzeba je układać... Przepraszam, że tak źle i niezrozumiale piszę, ale zapomniałem pisać..."

— Wielki Boże! jęknął brat mój i silniej ogarnął mię ramieniem, bo musiał uczuć, że nogi podemną drżą i mogę upaść.

— „Cały majątek swój oddałem temu, który cierpiał z mojej winy. Cóż mogłem więcej? Rozdałbym pokroiwszy, samego siebie, gdyby to było na co potrzebne, ale że nie, więc oddałem majątek. Nie zaraz to zrobiłem. Z początku myślałem, że będę

mógł żyć tak, jak pierwej. Ale nie. Wszystkiego próbowałem i wszystko mi było coraz gorszą trucizną...

„A ta trucizna lała się we wszystko ze mnie samego, z tych plam, które na mnie były, a zwłaszcza z tej ostatniej. Byłem pomiędzy ludźmi, którzy o nich nie wiedzieli i ludzie zresztą prędko zapominają... Ale ja sam wiedziałem i nie mogłem zapomnieć.

„Spowiedź kościelna nie wystarczyła. Ta pokuta, którą ksiądz na spowiedzi mi wyznaczył, nie była żadnem cierpieniem, a jam cierpieć pożądał, jak człowiek nieczystościami oblany pożąda strumienia czystej wody. Więc bez mowy i bez majątku puściłem się w dalekie strony... za tę winę i za wszystkie inne... i za to, że nie dotrzymałem tego, co tobie, pani, przyrzekałem w tym domku leśnym..."

Tu następowało coś bardzo trudnego do wyczytania, bo ręka od słabości drżąca, od pisania odwykła, od narzędzi ciężkiej pracy guzami okryta, skręciła litery w zawikłany węzeł kresek i zygzaków. Jednak po chwili wyczytałam:

— „Czy pamiętasz?"

Ręce prawie nieprzytomne ku głowie podnosząc, list na ziemię upuściłam, ale brat mój podjął go i głowę mą na piersi swej opierając, czytał dalej.

— „Jako człowiek ubogi i niemy pojechałem w strony dalekie i szukałem pracy. Pan Bóg mię nie opuścił. Na kawałek chleba zarabiałem zawsze, najczęściej jako robotnik po fabrykach, albo tragarz, albo tam co innego, do czego mowa najmniej potrzebna...

„Ubogi człowiek bez mowy musi wiele cierpieć, zwłaszcza, jeżeli był pierwej bogatym i próżnującym, ale ja mogłem już tylko żyć — cierpiąc! Bez tego, roztrzaskałbym sobie głowę kulą rewolwerową, albo o jaki mur. I z początku bardzo myślałem, aby tak zrobić, ale potem zawstydziłem się tego myślenia, jak nowej plamy. Uciekłbym tym sposobem od samego siebie, ale wstąpiłbym do grobu tak samo, jak byłem: poplamionym.

„Kilka lat temu zacząłem słabnąć i opanowała mię ta

choroba, z której teraz umieram. Wtedy zapragnąłem strasznie zobaczyć jeszcze raz w życiu swoje rodzinne strony. Nie miałem pieniędzy na drogę, więc trochę pieszo, trochę o głodzie, trochę o żebranym chlebie dostałem się tutaj i zacząłem najmować się do piłowania drzewa. Ale już nie zdołałem długo. Nie jestem tak stary, jestem młodszy od twego brata, pani, ale czasem jedno życie tyle znaczy, co dziesięć.

„Bóg dał mi to szczęście, że ciebie zobaczyłem. Nie potrafiłem tego szczęścia znieść po cichu, bo było ono pełne boleści... Za to, że upadłem wtedy przed tobą na ziemię i że krzyczałem z okropnej trudności powstrzymania się od mowy, której miałem pełne piersi i pełne usta... przepraszam!

„I za to przepraszam, że list ten piszę. Przez wiele dni go piszę, bo tak mi trudno... ale odeślę przed samą śmiercią. Miałem postanowienie, abyś nigdy nie dowiedziała się, co się ze mną stało i kim był niemy tracz. Ale zabrakło mi siły do pozostania na zawsze czarnym w twojej pamięci... Nie mogłem! Boże mój! Tyś świadkiem, że tego jednego nie mogłem! Niech ona nie myśli, że po wszystkiem co stało się i gdym ją utracił, piłem szampana i różne tam inne...

„Pokaż list ten bratu i wstaw się za mną, aby przebaczył!...

„I ty mi przebacz! Tyle lat przeszło, jestem teraz jak ci prości ludzie, którzy prawie nie umieją pisać... Wszystko stoi mi przed oczyma, jak gdyby wczoraj było... Ten kulig, moje stepowe konie, taki jasny rąbek nieba nad śniegiem... domek leśny..."

Jeszcze dwa wiersze pisma, prawie zupełnie już nieczytelnego. Kilka słów tylko do połowy wynurza się z chaosu znaków.

— „Bóg... może... do grobu... z czystą duszą..."

Jak przez mgłę zobaczyłam pobladłą twarz brata. Silny ten człowiek, obu rękoma ściskał głowę, zbielałemi usty szepcąc:

— Boże! Boże! Boże wielki!

A potem zawołał:

— Chodźmy! Nie! jedźmy! prędzej!

Jadąc, trzymałam na kolanach chudą dziewczynkę, która

wskazywała drogę. Wkrótce przybyliśmy do miejsca, od którego jechanie stało się niepodobnem i puściliśmy się pieszo, biegiem śpiesznym, w gęstym już zmierzchu, przez labirynt uliczek, podwórek, ruder, płotów, śmietnisk, aż przewodniczka nasza zawołała:

— Tu! Tu!

I we wnętrzu nizkiej chałupy zniknęła.

Mała izdebka z ciemnemi ścianami i w świetle nędznej lampki, mętnie majaczące postaci ludzkie, z których jedna, ujrzawszy nas wchodzących, stłumionym głosem rzekła:

— Już! Już!

W tem nawet siedlisku nędzy, można było po uciszonych postaciach i głosach rozpoznać, że śmierć już tu jest, ktoś milczącym gestem wskazał zamknięte, nizkie drzwiczki.

Poprosiłam brata, aby na chwilę tu pozostał, bo chcę tam sama jedna...

Otworzyłam nizkie drzwiczki i cicho je za sobą zamknęłam.

Tam nie izba już była, lecz nora bez okna, z wilgotną ziemią zamiast podłogi. I nie lampka już choćby nędzna, lecz gliniany kaganek, z żółtym płomykiem nad odrobiną tłuszczu. Dym kaganka szedł w ciemność, a płomyk jego czerwoną plamą znaczył spróchniałą ścianę...

Pod plamą czerwonego światła, grubem okryciem zasłonięte, martwo na nizkiem legowisku wzdymały się kształty człowiecze. Ciężkie, kamienne kształty, z twarzą ginącą we włosach, osypanych popiołem.

Oparłam się o nizkie odrzwia i stałam zmartwiała jak ten trup . . . . . .

. . . . . .

. . . . . Był niegdyś zielony dzień majowy... Las, młode pędy sośniny, jak pęki świec w kandelabrach jasne w słonecznem złocie, deszcz jaskrów na murawie, wysoki krzak róży dzikiej... Płatki różane padają mi na ręce i suknię, — jeden upadł na jego złote włosy i drży jak różowy motyl...

Pierwsze spotkanie nasze.

I oto jak spotkaliśmy się po raz ostatni . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . Umilkła. W głębi pokoju, dotykane dalekiem światłem lampy, mętnie majaczą iskry pozłot na książkach i zarysy obrazów na ścianach. Za oknami stoi bezoka noc listopadowa i w czarnem łonie toczy westchnienia coraz głębsze, coraz głuchsze, coraz dalsze...

KONIEC.

Eliza Orzeszkowa.

DOKTRYNA LWA TOŁSTOJA.

(Ciąg dalszy).

Tak więc, skoro już mamy zapewnione posłuszeństwo osobistości zwierzęcej idźmy dalej.

Innym, obok wolności woli, niezbędnym czynnikiem etycznym w każdej zdrowej filozofii jest sankcya prawa i nieśmiertelność duszy ludzkiej. Lecz znowu ani jednego ani drugiego niema u Tołstoja. Sankcya prawa, nagrody i kary, według niego wszystko to wynalazek tych, co moralność chcą zbudować na zasadzie indywidualnego szczęścia, jako celu człowieka. Dla oświeconego człowieka „aby wierzył w naukę (Jezusa), aby odmienił swoje życie i wypełnił przykazania, nie potrzeba zewnętrznych dowodów, a n i o b i e t n i c nagrody; jemu wystarczy jasne zrozumienie, co to jest prawdziwe życie“ [1].

A jak się rzecz ma z nieśmiertelnością człowieka w doktrynie Tołstoja? Do najzabawniejszych chyba punktów nauki jego zaliczyć można te ustępy, gdzie rozprawia o nieśmiertelności człowieka. Odrzuciwszy, zgodnie z zasadniczymi punktami swej teoryi, rzeczywistość indywidualności pierwiastka duchowego w człowieku, Tołstoj w książce „Moja religia“ w wielu miejscach sili się, by wykazać i przekonać czytelnika, że życie indywidualne poza grobem, jak również zmartwychwstanie ciał

[1] *Les Evangiles*, p. 139.

naszych jest chimerą, i falsyfikatem nauki kościelnej, i rzeczą wcale obcą nauce Jezusa. Oto jego słowa: „Jezus nie tylko że nigdy nic nie powiedział na potwierdzenie zmartwychwstania indywidualnego i indywidualnej nieśmiertelności poza grobem, lecz przeciwnie za każdą razą, kiedy się spotkał z tym przesądem, wprowadzonym w owej epoce do Talmudu, nigdy nie zaniechał przeczyć tej nauce“ [1]. Wprawdzie talmud za życia Jezusa jeszcze nie istniał, ale mniejsza o fraszki. Ważna rzecz, że nasze pojęcie życia wiecznego i zmartwychwstania, według zapewnień Tołstoja, nie pochodzi wcale ani z nauki Jezusa, ani nawet z religii żydowskiej. „W prorokach hebrajskich niema ani śladu takiego pojmowania rzeczy“ upewnia nas Tołstoj [2]. „Wiara w życie przyszłe jest pojęciem bardzo poziomem i grubem, mającem swój początek w niewyraźnej idei podobieństwa śmierci do snu w idei wspólnej wszystkim dzikim ludom“ [3]. Jest to tak dalece prawdą dla Tołstoja, że zrozumieć nie może, jak uczeni takiej miary jak np. Max Müller ideę żywota pozagrobowego mogą uważać za cechę wzniosłości religii, która ją posiada. Według nauki Jezusa, zaręcza Tołstoj, „zmartwychwstanie polega na tem, że umarli żyją w Bogu. ...Dla Boga, wszyscy ci, co żyli życiem syna człowieczego są żyjącymi. Jezus to jedno tylko twierdzi: że ktokolwiek żyje w Bogu, jednoczy się z Bogiem i w tem tylko znaczeniu zmartwychwstanie przypuszcza“ [4].

Samo przez się rozumie się, że przy takiej nauce nie mógł Tołstoj uznać autentyczności faktu zmartwychwstania Chrystusa Pana. Stąd też końcowe rozdziały wszystkich czterech ewangelii odrzuca jako bajkę, a zapewniwszy, że Jezus swojego osobistego zmartwychwstania nigdy nie przepowiadał, że słowa, które oznaczały przyszły tryumf jego nauki źle zrozumiano w znaczeniu zmartwychwstania ciała [5], cieszy się, iż tym sposobem podminował sam fundament na którym, według św. Pawła, wspiera się cały chrystyanizm historyczny. Gdyby się był lepiej

[1] *Ma relig.*, 145. [2] Ib. p. 145. [3] Ib. p. 149.
[4] *Ma rel.*, 146. [5] *Ma rel.*, 148 ss.

wczytał w opowieść ewangeliczną, byłby chyba spostrzegł, że Apostołowie nie dlatego uwierzyli w zmartwychwstałego Jezusa, że on to im przepowiedział, gdyż nawet tych przepowiedni z początku nie rozumieli, ale dlatego, że zmartwychwstałego Mistrza widzieli, z nim obcowali, jego ran się dotykali. Nic więc tu nie pomoże wykrętna egzegeza przepowiedni Chrystusa Pana.

Niema zmartwychwstania? więc ze śmiercią kończy się wszystko? Zamiast powiedzieć tak, Tołstoj urządza nowe filozoficzne łamańce, aby udowodnić nie to, że człowiek żyje po śmierci, ale że śmierci wcale niema. Pięćdziesiąt stronic książki „O życiu“ [1] poświęcone temu przedmiotowi, stanowią istne *curiosum* filozofii i logiki tołstojowskiej. I tak zadaje sobie pytanie, dlaczego ludzie z taką trudnością poddają się prawu rozumu, dlaczego często ze wstrętem odwracają się od tego, kto ich wzywa do istotnego życia, polegającego na pełnieniu prawa miłości? Dlatego, odpowiada, że boją się o swe życie ziemskie, boją się śmierci, podobni w tem do baranów, których wyciągają z gorejącej obory, a one opierają się, wystawiając sobie, że ratujący chcą właśnie rzucić je w ogień. „Z bojaźni śmierci, ludzie nie chcą wyjść z niej, z bojaźni cierpień ludzie męczą się i pozbawiają siebie jedynie możliwego szczęścia i życia“ [2]. Tymczasem bojaźń ta jest wcale nieuzasadnioną. N i e m a ś m i e r c i.

Taką jest nauka Jezusa mówiącego: „Wszelki kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki“, taką jest nauka wszystkich wielkich nauczycieli świata, toż samo stwierdzają życiem swojem miliony ludzi, którzy zrozumieli sens żywota. Nie bój się śmierci! Najpierw nie powinieneś się bać, powiada Tołstoj, boś jej nigdy nie widział; jeżeli się więc jej boisz, toś podobny do pogrążonego w gorączce, który boi się widm, które tworzy chora jego głowa. A zresztą, cóż z tego, że umrzesz? Nic w tem strasznego, ani nieprzyjemnego. Co do mojego ciała, zajdzie ta tylko zmiana, którą ustawicznie widzimy naokoło siebie i która w nas samych się ustawicznie odbywa bez naszej świado-

[1] Od 127—174.
[2] „O życiu“, p. 127.

mości; materya, która jest dziś w naszem ciele, jutro przejdzie w inne ciało, ale nie zginie. Cóż w tem strasznego? Jeżeli więc życie pojmujesz materyalistycznie, jako przypadkową grę pewnych sił materyi, objawiającą się w czasie i w przestrzeni, jako widzialne zjawiska, w ciele od chwili narodzenia do śmierci, lub też gdy życiem nazywasz świadomość siebie, świadomość, która wybucha jak iskra przy pewnym stanie materyi i jest jej wytworem [1], która co chwila gaśnie, znowu wybucha, i znowu gaśnie, aż zgaśnie na zawsze, jeżeli to nazywasz życiem, to nie żałuj, że je utracisz, bo to życie to tylko igraszka śmierci. To życie dla materyi jest czemś nienaturalnem, a śmierć powrotem do normalnego stanu materyi. Przy takiem pojmowaniu rzeczy raczej życia tego bać się należy, aniżeli jego utraty, jak też słusznie czynią wszyscy pesymiści.

Ale jest inny pogląd na życie. Życie, poetyzuje dalej Tołstoj, jest to, czego w sobie jestem świadom, świadom zaś jestem zawsze nie tego, co było lub będzie, lecz świadom jestem tego, że jestem, nigdy i nigdzie nie zaczynam się, nigdy i nigdzie nie kończę się. Moje więc prawdziwe życie nie ma nic wspólnego z wymiarami czasu i przestrzeni; tych dwóch kategoryi do życia wcale stosować nie można. Przy takiem pojmowaniu życia, nie świadomość życia jest urojeniem, ale urojeniem jest wszystko to, co podlega czasowi i przestrzeni, jak moja cielesna egzystencya, a zatem przerwanie tejże niema w sobie żadnej rzeczywistości, i jako takie nie może przerwać mego prawdziwego życia. A zatem, czy tak czy inaczej pojmuje się życie, konkluduje nasz filozof, śmierci niema i bać się jej nie należy.

Cóż więc znaczy i czego dokonywa to zjawisko, które my śmiercią nazywamy? Śmierć ta cielesna niszczy tylko ciało przestrzenne i świadomość czasową, ale nie może zniszczyć tego, co stanowi osnowę życia, odpowiada nagłówek rozdziału 28 książki: „O życiu“. Stajemy więc zdumieni przed nowem pojęciem tołstojowskiej psychologii, przed jakąś osnową życia. O czem tu mowa? pytamy z ciekawością. Obawa śmierci, znowu

[1] „O życiu“, p. 130.

ab ovo zaczyna Tołstoj, pochodzi stąd, że ludzie boją się utracić w niej swoje „ja". Tymczasem nic fałszywszego. Moje „ja" nie jest to ciało moje, bo „ja" mieszka w tem ciele, nie jest to również świadomość, jak chce pewna filozoficzna szkoła, bo świadomość często niknie, a „ja" trwa. Cóż więc? Wierzącemu czytelnikowi i serce bije z pewnej radości, że tutaj przynajmniej wyczyta wyznanie Tołstoja w istnienie duszy, lecz wnet doznaje zupełnego rozczarowania. Po kilkunastu akrobatycznych łamańcach logiki tołstojowskiej dowiadujesz się, że twoje „ja" to nic więcej ani mniej, tylko charakter, który już się ujawnił, gdyś dzieckiem będąc, mówił: ja to lubię, ja tego nie lubię. „Ja" jest to to, co lubi i nie lubi. Dlaczego ktoś lubi tę rzecz, a inny inną — nie wiemy, nie ulega jednak wątpliwości, że ta właśnie racya lubienia jednej rzeczy i nie lubienia innej jest owem poszukiwanem „ja", jest nicią, na którą nawlóczymy akty naszej świadomości, jest tem, co stanowi osnowę życia. Ten charakter, to nasze „ja" rozwija się poniekąd i w czasie życia, jednak wnosimy go już gotowym w to życie z jakiejś niewidzialnej i nieznanej nam przeszłości [1]. Charakter ten tłumaczy, dlaczego jedne i te same zjawiska czasu i przestrzeni na jednego człowieka działają inaczej, a na drugiego inaczej, czyli innemi słowy, charakter nie jest, jak ludzie mylnie sądzą, rezultatem pewnych warunków czasu i miejsca, ale przeciwnie, jest powodem, że jedne i te same warunki rozmaity w rozmaitych ludziach wydają wynik.

A zatem moje „ja", którego utraty przez śmierć obawiam się, jest tylko takim a nie innym stosunkiem do otaczającego mnie świata; lecz tego stosunku śmierć zburzyć nie jest w stanie. Może się rozpaść moje ciało, może zniknąć i moja świadomość czasowa, nie ulegnie jednak zniszczeniu mój właściwy stosunek do świata, moje własne „ja" [2]. Moje „ja" nigdy się nie zaczęło. Nie mogę powiedzieć, że żyję 59 lat, jak nie mogę powiedzieć, że żyję 59 sekund, lub 59.000 lat [3]. Moje „ja" nie ma nic do czynienia z miarą czasu, jest więc zawsze, nigdy nie umiera.

[1] „O życiu", p. 137.
[2] „O życiu", p. 139.
[3] Ib., p. 134.

W innym rozdziale tejże książki Tołstoja dowie się cierpliwy czytelnik, że chociaż nasze „ja“ to jest nasz stosunek do świata nigdy nie ginie, to jednak przez śmierć wstępujemy w nowy stosunek; dalej że życie człowieka nie kończy się ze śmiercią, bo i po śmierci żyje on w pamięci ludzi, owszem że człowiek, który żył zgodnie z prawem rozumu, wchodzi niejako w innych ludzi i oddziaływa na nich po śmierci, „że ta siła życia, powiada Tołstoj, która była w moim bracie, nie tylko że nie zginęła, ani nie zmniejszyła się, lecz przeciwnie wzrosła i mocniej niż poprzednio oddziaływa na mnie; bo właściwe jego żywe „ja“, jego stosunek do świata staje się moim stosunkiem do świata“ [1].

Resztę fantazyi tołstojowskich na dany temat opuszczam, by nie nadużywać cierpliwości czytelnika. I tak już zamiast jednej nieśmiertelności chrześcijańskiej otrzymaliśmy aż cztery tołstojowskie: nieśmiertelność, czyli niezniszczalność materyi, z której się składa nasze ciało, nieśmiertelność naszego rozumu, czyli Syna człowieczego, który i po śmierci każdego z nas żyć będzie w innych ludziach; nieśmiertelność naszego właściwego „ja“, to jest stosunku do świata, i wreszcie nieśmiertelność istnienia w pamięci innych ludów. Któżby jeszcze po tem wszystkiem bał się śmierci lub wierzył, że śmierć jakaś istnieje?

Podobnież jak ze śmiercią, rozprawił się Tołstoj z cierpieniami, których obawa również odwodzi wielu ludzi od życia zgodnego z rozumem. Cierpienia nie tylko że nie powinny nas od dobrego odwodzić, ale owszem są one nam potrzebne do życia prawdziwie ludzkiego. One bowiem otwierają nam oczy, że życiem naszem prawdziwem nie jest życie indywidualne zwierzęcej osobistości, one nas pouczają, w czem mamy innym ludziom swą miłość okazywać, wreszcie samą zwierzęcą osobistość chronią od przedwczesnej zagłady.

Dobiegliśmy do kresu tołstojowskiej antropologii, dowiedzieliśmy się przytem, choć tylko mimochodem, o głównem prawie etycznem — miłości bliźniego. Zanim przejdziemy do

[1] „O życiu“, p. 149, 150.

szczegółowych przepisów moralności, zbierzmy w krótkiem streszczeniu to wszystko, co się dotąd obszerniej powiedziało z zakresu ogólnej części nauki Tołstoja. Będzie to pewnego rodzaju odpoczynkiem dla zmęczonej uwagi. I podróżny, gdy wzniesie się na szczyt wzgórza, zwalnia kroku i ogląda się wstecz za siebie. Oko, jednym rzutem obejmując wszystkie wertepy i nierówności przebytej drogi, napawa się całością krajobrazu, podczas gdy pierś zmęczona chwyta zapas nowych sił do dalszej podróży.

W ślad za Tołstojem przebyliśmy dotąd etapy następujących twierdzeń:

1. Bóg, jest to życie, nieskończoność, światło, rozum powszechny; jest czemś, co się ustawicznie rozwija w całym wszechświecie.

2. Człowiek jest to ten sam rozum Boży, zindywidualizowany w pewnej osobistości zwierzęcej i w ramce jakiegoś szczególnego „charakteru“, stanowiącego samo „ja“ ludzkie. Każdy przeto człowiek jest współistotnym Bogu i identycznym z nim [1]; jest synem Bożym i zarazem synem człowieczym. Wolna wola i nieśmiertelność osobista to złudzenie; za to posiada człowiek inną i to wieloraką nieśmiertelność przedewszystkiem mocą tożsamości ze źródłem wszelkiego bytu.

3. Wiara to uczuciowe poznanie znajdującego się w nas bożego pierwiastka, czyli światła; innemi słowy, jest ona zrozumieniem zagadki życia.

4. Całą treścią religii i życia ludzkiego jest miłość bliźniego, jest mnożenie sumy miłości i szczęścia ogólnego. Jednostka żadnych praw nie posiada, na niej ciążą same tylko obowiązki.

Ta ostatnia teza wprowadza nas na próg szczegółowej etyki Tołstoja.

III.

Jakkolwiek część metafizyczną swojej teoryi uważał Tołstoj za uzasadnienie części praktycznej, jednak jakby nie do-

[1] *Les Evangiles*, chap. VII.

wierzając wartości swych rozumowań, które skądinąd przypisuje Jezusowi, wyznaje pod koniec „swojej religii", „że siła nauki Jezusa nie spoczywa w jego tłumaczeniu sensu życia, lecz w nauce, kierującej tem życiem" [1]. O tę drugą praktyczną część, mniejsza o to, jaki jest stopień jej metafizycznego uzasadnienia, najbardziej chodzi Tołstojowi; jej poświęca co najmniej trzy czwarte części zawartości swoich dzieł, w niej szczególniej popisuje się swoim chrystyanizmem, każde twierdzenie popierając jakimś ustępem Ewangelii, w oryginalnym swym wykładzie.

Gdzie mamy szukać całkowitego kodeksu moralności? W piątym rozdziale Ewangelii św. Mateusza.

Przed przyjściem na świat Jezusa Chrystusa, ludzie w prywatnem i publicznem życiu rządzili się zasadami, przekazanemi przez Mojżesza, przez prawo rzymskie i prawa innych pogańskich narodów. Prawa te, oparte na zasadzie indywidualnego szczęścia, były wprawdzie wprost niezgodne z naturą ludzką, z właściwym jej stosunkiem do wszechbytu, czyli z prawem odwiecznem, naturalnem, miały jednak powodzenie, gdyż sprzyjały osobistości zwierzęcej. Od czasu do czasu powstawali mędrcy wskazujący istotny cel człowieka, lecz nie znajdowali posłuchu. Przyszedł wreszcie na świat Jezus Chrystus. Ten, wysłuchawszy pewnego razu kazania niejakiego Jana Chrzciciela, przepowiadającego, że zbliża się już królestwo Boże, czyli chwila zrozumienia istotnego celu życia, odosobnił się na pewien czas na puszczy, aby przetrawić, przemedytować Janową naukę [2]. I w rzeczy samej reflektując nad życiem ludzkiem, doszedł do jasnego i całkowitego poznania wartości i celu naszego żywota. Nasuwały się wprawdzie przytem umysłowi młodego mędrca rozmaite wątpliwości i przeróżne wybiegi samolubstwa, znane w ewangelii pod nazwą pokus złego ducha, lecz wytrwały filozof wszystkie te wątpliwości rozwiązał, wszystkie egoistyczne wykręty odepchnął z pogardą. Ale dla szlachetnego serca Jezusa nie dosyć, że sam poznał prawdę; on chce, on pragnie gorąco, aby

[1] *Ma rel.*, p. 242.
[2] *Les Evangiles*, chap. I.

wszyscy ludzie poznali ją, a poznawszy, życie swe odmienili. Serce mu się ściskało z bólu na widok ciemności, w jakich ludzkość pogrążoną była dzięki prawodawstwu pogaństwa i judaizmu. Wyrusza tedy między ludzi, aby im nieść pomoc, i objawia nowe prawodawstwo, będące wyrazem praw odwiecznych, a wręcz niezgodne z istniejącemi dotąd prawami. Naukę swoją stwierdza stale życiem, pełnem poświęcenia i miłości, i przypieczętowywa śmiercią z rąk doktorów, którym dowiódł fałszu ich nauki. Jezus umarł, lecz umierając, dokonał zbawienia świata, bo nauką swoją i przykładem wyrwał go z ciemności i wskazał drogę do istotnego człowieczego życia.

Co przez cały ciąg życia swego publicznego głosił Jezus w postaci kazań, dysput, przypowieści, to w krótkich słowach zebrał w znanem klasycznem kazaniu, jakie wygłosił na górze błogosławieństw. Zapowiedziawszy naprzód „jeżeli sprawiedliwość wasza nie będzie obfitowała bardziej, aniżeli faryzeuszów i skrybów, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego“, nie będziecie żyli życiem godnem człowieka, podaje następnie Chrystus w pięciu antytezach do starego prawa nowe istotne prawo moralne. Słyszeliście, iż powiedziano jest starym, tak a tak... A ja wam powiadam, czyńcie tak a tak... Ten frazes pięciokrotnie powtórzony, osądził i potępił istniejące prawa i przepisy moralne, sądowe, obrzędowe, tworząc nowy pełny a treściwy kodeks prawdziwie moralnego życia. Dekalog Mojżeszowy ustąpił miejsca pięciu przykazaniom Jezusa.

Ciekawa jest historya owych pięciu przykazań Jezusowych. Zaraz z początku rozmaity w rozmaitych słuchaczach wydały one owoc, według tego, na jaką rolę padło ziarno Jezusowej nauki. I tak, niektórzy wcale nie zdołali zrozumieć nowej nauki, z powodu panujących przesądów, inni zrozumieli ją połowicznie. Do rzędu np. tych ostatnich należał, według Tołstoja, Paweł Apostoł, „amator nauczania“ [1], który zamiast etycznej nauki Jezusa głosił światu jakąś metafizyczno-kabalistyczną teoryę całkiem Chrystusowi obcą. Ta jego nauka stworzyła coś w ro-

[1] „Kościół i państwo“. Berlin, 1891, str. 13.

dzaju talmudu chrześcijańskiego i dała początek i przykład licznym odtąd skażeniom ogłoszonej przez Jezusa dobrej nowiny. Nie brakło jednak między uczniami Jezusa i takich, co zrozumiawszy znaczenie usłyszanej nauki, poszli za przykładem Mistrza i urządzili swe życie według jego przykazań. Epoka, która była świadkiem życia prawdziwie chrześcijańskiego, to epoka męczenników; ci ostatni to prawdziwi wyznawcy Chrystusa. Nie długo jednak trwał kwitnący okres tryumfu nauki Jezusowej. W początku IV wieku nawracają się do wiary chrześcijańskiej cesarze i potentaci rzymscy, lecz nawracają się połowicznie i stąd wyłania się pewien rodzaj kompromisu między Kościołem, stróżem przykazania Jezusa i pogaństwem, uosobionem w cesarskiej władzy. Państwo obiecuje zbrojną opiekę Kościołowi, a Kościół zapomniawszy, że nauka Jezusa stoi nie siłą, ale prawdą, przyjmuje ofiarowaną pomoc, a z wdzięczności dyspensuje połowicznie nawróconych swych opiekunów od zachowywania przykazań Jezusa i legalizuje pogańskie zasady i prawa. Sojusz chrześcijaństwa z „rozbójnikami“ i następujący po nim Sobór nicejski były to zdarzenia, gdzie większość chrześcijan wypierała się swojej wiary“ [1]. Odtąd poczęto tłumaczyć inaczej pięć przykazań Jezusowych, dopuszczając w nich wyjątki, lub poczytując je za rady, które można przyjąć lub nie przyjąć, i tak na miejscu kodeksu Jezusa znowu stanął dekalog Mojżesza i prawo pogańskie. Punkt ciężkości w nauce Kościoła przesunięto z etyki na metafizykę, wszystkie lepsze siły ducha poczęto trawić bezużytecznie na kłótnie dogmatyczne, niebawem powstały rzekome herezye i odszczepieństwa, przeciwko którym trzeba było soborów, ogłaszania dogmatów, inkwizycyi i t. p. straszliwych rzeczy. Wierni zwolnieni zostali od prawa moralnego, a natomiast przepisano im wiarę w dogmaty, ceremonie i sakramenta, jako środki, zapewniające żywot wieczny bez własnej pracy i bez dobrego życia. Kościół nawet zagrodził drogę powrotu do ewangelii, albowiem spostrzegłszy, że sam od niej odstąpił, zakazał wiernym czytać ją, aby nie dowie-

[1] „Kościół i państwo“, str. 14.

dzieli się, iż zostali zdradzeni. Tak więc świat z imienia chrześcijański, z winy instytucyi, zwanej Kościołem, powrócił do zasad potępionych przez Jesusa i stał się znowu pogańskim, owszem w gorszem znalazł się położeniu, aniżeli był w przeddzień wystąpienia Jezusa ze swoją nauką[1]. Na szczęście dla świata udało się jasnopolańskiemu filozofowi po długich i mozolnych wysiłkach odnaleźć pierwotny moralny kodeks Jezusa, perły prawdziwej nauki obyczajów oddzielić od śmieci nagromadzonych przez oszukańczą naukę Kościoła. Niech czytelnik nie sądzi, że używamy tu ironii względem Tołstoja. Powtarzamy tylko własne jego przekonania temi samemi co on słowami[2].

Wypada nam teraz poznać owe pięć przykazań Jezusa, zapisane u św. Mateusza, a wytłumaczone przez proroka z Jasnej Polany.

Przykazanie pierwsze mieści się w rozdziale św. Mateusza od wiersza 21 do 26. „Słyszeliście — czytamy tam — iż rzeczono jest starym: nie zabijaj, a ktoby zabił winien będzie sądu. A jam wam powiadam, że każdy kto gniewa się na brata swego winien będzie sądu, a ktoby rzekł bratu swemu: „raca“ winien będzie rady, a ktoby rzekł: głupcze, winien będzie ognia piekielnego“, poczem, jak wiemy, następuje rozkaz pogodzenia się z nieprzyjacielem przed złożeniem ofiary, dopóki się jest z nim w drodze.

Przekład rosyjski, który Tołstoj miał pod ręką, idąc za niektórymi starymi kodeksami, ma pewien nieznany Wulgacie dodatek, mianowicie, że zakazano tam gniewać się na brata swego bez przyczyny. „A ja wam powiadam, że każdy, kto gniewa się na brata swego bez przyczyny, winien będzie sądu“. Ten dodatek niezmiernie drażnił Tołstoja, wydawał mu się bowiem rażącą sprzecznością z ogólnemi słowami Chrystusa! Nie sprzeciwiajcie się złemu. Boryka się więc długo z owym wtrętem, aż wreszcie, przekonawszy się, że wiele kodeksów nie zna go wcale, przychodzi do przeświadczenia, że

---

[1] *Ma rel.*, 177.

[2] *Les Evangiles*, p. 11, *Ma rel.*, p. 54 i indziej.

to późniejsi komentatorowie dopisali te słowa, aby uniewinnić gniew, wywołany złością innych ludzi i tym sposobem ograniczyć a właściwie znieść prawo Jezusowe dla nich niedogodne. Oczyściwszy więc przykazanie pierwsze z owego wtrętu i zmodyfikowawszy to, co mu nie było na rękę, Tołstoj tak je wygłasza w poprawnej swej redakcyi, podając, notabene, w cudzysłowie, jako słowa samego Chrystusa: „Żyj z każdym w pokoju; gniewu twego nigdy i przeciw nikomu nie uważaj za uzasadniony. Nikogo nie nazywaj nicością *(raca)*, ani głupią żadnej istoty ludzkiej, i nie uważaj jej za taką. A nie tylko nie sądź, by twój gniew przeciwko innym był słuszny, lecz nadto nie masz mniemać, jakoby gniew innych przeciwko tobie był czczy, nieuzasadniony. Stąd choćby ktoś, bez dania racyi z twej strony, miał co przeciw tobie, idź i przeproś się z nim. Staraj się wszelką nieprzyjaźń względem ludzi usunąć bez żadnej zwłoki, by snać gniewliwość nie opanowała cię całego i nie zgubiła“ [1]. Proszę zauważyć, że w tej poprawce zniknęły z rozkazu Jezusa wszelkie wzmianki o sądach, radzie, ofiarach, karach, zamienione zupełnie innemi kategoryami pojęć.

Drugie przykazanie, zawarte w tymże rozdziale św. Mateusza, od wiersza 27 do 32 włącznie, normuje kwestyę małżeństwa, podcinając w korzeniu wszystko to, co może splamić jego świętość. „Słyszeliście, iż rzeczono starym: Nie cudzołóż. A ja wam powiadam, że każdy, ktoby spojrzał na niewiastę, aby jej pożądał, już ją zcudzołożył w sercu swojem“. Następują znane ustępy o wyrwaniu oka i odcięciu ręki, jeśli są nam powodem zgorszenia i odwołanie rozwodu dozwolonego w prawie mojżeszowem. Jak przy pierwszem przykazaniu Tołstoj miał kłopot z dodatkiem „bez przyczyny“, tak w drugiem nie wie co zrobić ze słowami *excepta fornicationis causa,* które cerkiew prawosławna przytacza dla uzasadnienia rozwodów *quoad vinculum.* Zestawia więc znowu ten wyjątek ze słowami: Nie sprzeciwiajcie się złemu i tak argumentuje: Być to nie może, aby Jezus dla przeniewierstwa żony upoważniał męża do jej porzu-

[1] *Ma rel* p. 81.

cenia i wystawienia tym sposobem i siebie i jej na większe zło. Te słowa *excepta fornicationis causa* albo wcale nie wyszły z ust Jezusa, albo inne posiadają znaczenie, aniżeli to, które im przypisują teologowie i egzegeci. Przy pomocy filologicznych wykrętów otrzymuje Tołstoj możliwość tego drugiego przypuszczenia. Słowa te mogły być wyrzeczone przez Jezusa, ale nie w tem znaczeniu, w jakiem rozumie je Kościół wschodni, ani nawet w tem znaczeniu, jakie przyjmuje Kościół zachodni, gdy uzasadnia niemi rozłączenie małżonków co do stołu i mieszkania. Według przypuszczenia Tołstoja, rzecz się tak miała: Kiedy Chrystus stanowczo i bez wyjątku zwalczał wszelkie rozwody, wielu z doktorów żydowskich poczęło tłumaczyć, że rozwód wtedy tylko jest naganny, jeśli mąż daje go żonie w tym celu, aby sam mógł swobodniej oddawać się rozwiązłości *(fornicationis causa)*, poza tym zaś wypadkiem rozwód według nich miał być godziwy. Otóż Chrystus zwalcza i tę wymówkę, orzekając: „Każdy, ktoby opuścił żonę swoją nawet nie dla rozwiązłości, wystawia ją zarówno na niebezpieczeństwo upadku: *facit eam moechari.* Greckie παρεκτος λογου πορνειας ma tutaj znaczyć *etsi non fine fornicationis.*

Skąd się jednak wzięło, zapytuje Tołstoj, fałszywe tradycyjne pojmowanie tego ustępu w Kościele? Komentatorowie są jego sprawcami. Zapewne trzeba było ulegalizować rozwód jakiegoś cesarza bizantyńskiego i oto Kościół wyzyskuje ciemniejsze słowa Jezusa, ograniczając tym sposobem rozciągłość jego przykazania. „Straszna prawda — woła Tołstoj w oburzeniu — znaczenie nauki Jezusowej jest proste i jasne, twierdzenia jego są wyraźne i stanowcze, lecz komentarze tej doktryny, wywołane chęcią uświęcenia istniejącego zła, do tego stopnia ją zaciemniły, że zaledwie przy wielkich wysiłkach można ją odkryć [1]. Wszystkiemu winny komentarze. „Ja pragnąłbym — pisze Tołstoj, zapominając, co sam robi — jednej tylko rzeczy, mianowicie, aby było zabronione komentować Pismo święte [2].

---

[1] *Ma rel.* p. 89.
[2] *Ma rel.* p. 2.

Rezultatem oczyszczenia drugiego przykazania Jezusowego z kościelnych naleciałości zjawiło się następujące prawodawstwo małżeńskie. Małżeństwo jest absolutnie nierozerwalne i monogamistyczne. Niewierność jednej strony nie może służyć za pretekst porzucenia winnej w celu wstąpienia w nowe związki lub też separacyi, jaką dopuszcza prawodawstwo Kościoła katolickiego.

Na kwestyę małżeństwa nie zawsze jednakowo zapatrywał się Tołstoj. W książce „Moja religia“ (str. 254) oświadcza się stanowczo przeciwko celibatowi, małżeństwo zaś uważa za rzecz świętą i drugie przykazanie tak formułuje: „Z pożądliwości seksualnej nie czyń zabawki. Każdy mężczyzna jeśli nie może powstrzymać się od stosunków seksualnych, niechaj ma żonę, każda niewiasta męża; mąż niechaj nie ma więcej jak jedną żonę, a żona jednego tylko męża, i nigdy pod żadnym pozorem żadne z nich niechaj tej jedności nie narusza“ [1].

W kilka jednak lat po wydaniu „Mojej religii“, poglądy Tołstoja na małżeństwo uległy ogromnej zmianie. Wyrazem nowych zapatrywań miała być „Kreuzerowska Sonata“. Małżeństwo postawione tu na równi z rozpustą. Jest ono grzesznem z natury swojej i żadna ceremonia kościelna nie jest w stanie go uświęcić, stąd też pojęcie małżeństwa chrześcijańskiego jest tak samo niedorzeczne, jak pojęcie chrześcijańskiej władzy i t. p. Ideał chrześcijanina, to doskonała czystość. Dlatego ostro piętnuje to wszystko, co zdolne podniecić w człowieku wrażliwość zmysłową: obfite pokarmy, napoje, próżniactwo, muzykę, poezyę, teatr, sztukę i t. d. Kto jednak, pomimo wszystkich przedsiębranych ostrożności, upadnie, ma poczytywać swój upadek jako wejście do nowego stanu nierozerwalnego małżeństwa, które otwiera mu pole do nowej działalności około wychowania potomstwa. Nie powinno jednak ono służyć za pokrywkę rozpustnego życia. Czystość i dla związanych małżeństwem nie przestaje być ideałem, do którego dążyć powinni i dlatego słowa Jezusa: „Ktoby spojrzał na niewiastę“ i t. d. stosują się nie tylko

[1] *Ma rel.* p. 90.

do wolnych ale i żonatych i mają na względzie nie tylko obcą ale i własną żonę. Bez żadnej litości chłoszcze Tołstoj panujące w pewnych sferach towarzyskich stosunki i zapatrywania, wskutek których nowożeńcy strawiwszy młodość i zasoby życia na przygodnych miłostkach, resztki tylko swej wartości moralnej wnoszą do ogniska rodzinnego.

Trzecie przykazanie Jezusa wypełnia następne pięć wierszy ewangelii Mateuszowej, a treścią jego zakaz wszelkich przysiąg.

„I zasię słyszeliście, iż powiedziano starym: Nie będziesz krzywo przysięgał, oddasz zaś Panu przysięgi twoje. A ja wam powiadam: Nie przysięgajcie wcale, ani przez niebo, gdyż tronem Boga jest, ani przez ziemię... ani przez Jerozolimę... ani przez głowę twoją... albowiem nie możesz jednego włosa uczynić białym lub czarnym. Niech będzie mowa wasza: tak, tak — nie, nie, co zaś nadto jest, ode złego jest", „Ten ustęp — powiada Tołstoj — porażał mię zawsze swoją jasnością, prostotą i łatwością wykonania" [1]. Żaden komentarz nie zdołał przekonać Tołstoja, aby tu była mowa o jakiemś tylko ograniczeniu nadużyć w przysięgach lub o pewnej ich formie. Nie, tu jest bezwzględne potępienie wszelkich przysiąg. I słusznie. Przysięgi bowiem to źródło wszelkiego zła. Mocą przysięgi tyle milionów żołnierzy zobowiązuje się do zabijania ludzi podczas wojny, inni pod przysięgą obiecują uczestnictwo w wielu zbrodniczych czynach, podejmowanych w imię powagi rządów, którym zaprzysięgło się wierność i posłuszeństwo. I dlatego, jak twierdzi Tołstoj [2] i Epiktet i Seneca, bezwzględnie potępiali przysięgę, Chrystus bezwzględnie jej zakazał i słusznie, boć jeżeli według nauki Jezusa dobre życie polega na bezustannem pełnieniu woli Bożej (czyli światła rozumu), to jakim sposobem może człowiek przysięgać, że będzie pełnił wolę innego człowieka? „Wola Boża nie da się pogodzić z wolą ludzką" [3] — konkluduje Tołstoj.

Jak się to stać mogło, że tak wyraźne prawo poszło w zapomnienie, uległo błędnej interpretacyi, zapytuje Tołstoj? „Zor-

[1] *Ma rel.* p. 91. [2] *Ma rel.* p. 92. [3] *Ma rel.* p. 93.

ganizowaliśmy, odpowiada, nasz porządek społeczny, umiłowaliśmy go i uważamy za rzecz świętą. Przychodzi Jezus i Bóg w naszem przekonaniu, i mówi nam, że nasza organizacya jest złą. Uznajemy go za Boga, lecz pomimo to nie chcemy wyrzec się naszej organizacyi“ [1]. Co więc czynimy? Przy jednem przykazaniu dodajemy słowa „bez przyczyny“, przy drugiem *excepta fornicationis causa*. Trzeciemu zaś przykazaniu, aby odjąć wszelką siłę, zmuszamy bezczelnie ludzi do przysięgania na tę właśnie ewangelię, która najkategoryczniej potępia przysięgę. Tak się zagłusza sumienie i prawo pozostaje martwą literą.

Czwarte przykazanie u Mat. V, 38—42 brzmi jak następuje. „Słyszeliście, iż rzeczono jest: Oko za oko, ząb za ząb. A ja wam powiadam: Nie sprzeciwiajcie się złemu“, lecz gdy kto uderzy cię w prawy twój policzek, podaj mu i drugi, chce ci ktoś zabrać tunikę, puść mu i płaszcz; zmusza cię ktoś, abyś szedł z nim 1000 kroków, idź z nim jeszcze dwa tysiące; prosi cię kto o co, daj mu; chce pożyczyć czego od ciebie, nie odwracaj się“.

Wyrazy „nie sprzeciwiajcie się złemu“, powiada Tołstoj [2], były dla mnie kluczem do zrozumienia wszystkich innych przykazań i wszystkich nauk ewangelicznych. W świetle tego tekstu, wziętego w całej jego bezwzględności, doszedł Tołstoj do przekonania, że przykazanie o podstawianiu drugiego policzka, o oddaniu obydwóch szat, należy brać w ścisłem literalnem znaczeniu, że nie jest to jakiś ideał, jakaś rada, ale absolutnie obowiązująca wszystkich reguła, wypływająca z natury ludzkiej. Wywnioskował dalej, że nie tylko prywatnie złemu sprzeciwiać się nie wolno, lecz zarówno zbrodnią jest wzywać powagi sądowej w celu ochrony własnej osoby lub mienia, owszem żadnej takiej powagi Tołstoj nie uznaje, bo ona sama sprzeciwiałaby się temu przykazaniu. W całym rozdziale III swojej religii dowodził Tołstoj, że Jezus potępia ustanowienie wszelkich ludzkich trybunałów, urzędów, kar. „Jezus bowiem mówi: nie sprzeciwiajcie się złemu, cel trybunałów — sprzeciwianie się złemu.

[1] *Ma rel.* p. 94. [2] *Ma rel.* p. 14.

Jezus nakazuje oddawać dobrem za złe, trybunały złem za złe płacą... Jezus rozkazuje przebaczać winowajcom, sądom jest obcy wyraz przebaczenia“ [1].

Gdy przyprowadzono niewiastę cudzołożnicę przed Jezusa z zapytaniem, czy należy ją ukamienować, Zbawiciel rzekł: Kto z was bez winy, niech pierwszy rzuci na nią kamień. Wtedy wskazał racyę, dlaczego potępia wszelkie trybunały i urzędy. Nikt z nas nie jest bez winy, a więc drugich sądzić nie mamy żadnego prawa. Jedyny środek usunięcia zła ze świata, to oddawać dobrem za złe bez żadnego wyróżniania osób.

Słowa: Nie sprzeciwiajcie się złemu, winny stać się podstawą nowego porządku społecznego, wręcz odmiennego, niż porządek oparty na prawie Mojżesza i pogańskich kodeksach. Tego nowego porządku trzymali się pierwsi naśladowcy Jezusa, bo, jak zapewnia Tołstoj, do Konstantyna W. żadnemu z wiernych nigdy do głowy przyjść nie mogło, aby chrześcijaninowi wolno było sprzeciwiać się prześladującym lub brać jakikolwiek udział w sądzeniu innych. Dopiero przymierze Kościoła z pogańskiem cesarstwem sprawiło radykalny wyłom w przykazaniu o niesprzeciwianiu się złemu, dzisiejszy zaś mechanizm społeczny i polityczny sprawia, iż ludzie, którzy z natury swojej nie odważyliby się nikogo krzywdzić, zaprawieni jednak przez przysięgi, dyscyplinę wojskową, zbrojne wyprawy, sądzą, więżą i zabijają swoich bliźnich bez żadnego wstydu i wyrzutu.

Jak się to stać mogło, że ludzie, którzy z natury swojej nie odważyliby się nikogo ukrzywdzić, stworzyli jednak ten mechanizm społeczno-polityczny, będący dla nich szkołą wszelkich zbrodni? Tego nam Tołstoj nie wyjaśnia, ale pamiętajmy, że właśnie w najciemniejszych punktach swej teoryi Tołstoj starannie unika wszelkich objaśnień. Za wszelkie racye wystarczyć tu musi światło, które nagle zaświtało w jego głowie. On tak zrozumiał, a więc tak jest. I czwarte więc przykazanie o zupełnej bierności wobec zła musi się rozciągać aż do zaprzeczenia wszelkich przymusowych instytucyi.

---

[1] *Ma rel.* p. 29.

Nie mniejszym radykalizmem tchnie piąte i ostatnie przykazanie w poprawce Tołstoja. „Słyszeliście, iż rzeczono: Będziesz miłował bliźniego twego, a w nienawiści miał nieprzyjaciela twego. A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was prześladują i t. d.“ [1] Upewniwszy czytelnika, że wyrazy: bliźni, nieprzyjaciel znaczyły w języku Żydów to samo, co współrodak i człowiek obcej narodowości, wyprowadza Tołstoj prosty wniosek, że znaczenie piątego przykazania polega na potępieniu i odrzucenia wszelkiego patryotyzmu, wszelkiego podziału nacyi, państw i t. d. powodującego tyle antagonizmów, niezgód, wojen między narodami. Żadnej a żadnej absolutnie różnicy między rodakiem a obcym czynić nie należy, lecz wszystkich równą trzeba obejmować miłością, nawet wtedy, gdy obcokrajowcy nam źle czynią, gdy nas najeżdżają, podbijają, spustoszenie szerzą. A zatem nie tylko w wojnie zaczepnej, ale i odpornej i w żadnych do niej przygotowaniach uczeń Jezusa udziału brać nie może. Mało tego. Według nauki Tołstoja nie dosyć wyzbyć się nieprzyjaznych względem obcokrajowców uczuć, trzeba jeszcze pozbyć się wszelkiego przekładania tego, co swojskie, nad to, co obce, choćby to swojskie najdroższym dla nas wydawało się skarbem. „Zadanie każdego narodu w przyszłości, pisze w pewnym liście Tołstoj, polega na wyswobodzeniu się z pęt odrębności oraz namiętnego przywiązania do narodowości własnej i religii, na zrozumieniu i przyswojeniu sobie ogólno-ludzkich ideałów w życiu“.

Widzimy już dokładnie, jak daleko się rozciąga radykalizm tołstojowskiej etyki, zawartej w mniemanych pięciu przykazaniach Jezusa. Sięga on aż do negacyi całego porządku społecznego i politycznego, jaki obecnie istnieje. Obala państwo; nie tylko taką lub inną jego formę, ale państwo w zasadzie, odmawiając mu władzy prawodawczej, sądowniczej, karnej. Praw nikt stanowić nie może, bo wszyscy ludzie są zasadniczo równi i podlegają jednemu tylko prawu natury czyli prawu rozumu,

[1] Mat. v, 43—48

ogłoszonemu w pięciu przykazaniach. Sądzić nikt drugich nie może, bo każdy sam jest grzeszny, a wszelkie sądy ziemskie są potępione, gdy powiedziano: Nie sądźcie... Karać nie może, bo powiedziano: Nie sprzeciwiajcie się złemu: Panować i przewodniczyć innym nie może, bo wszelka zwierzchność znosi zasadę powszechnego braterstwa. *Nolite vocari magister, quia unus est magister vestrum.* Obala więc wszelki porządek, znosi kary, sądy, więzienia. Obala dalej stosunki międzynarodowe, oparte na odrębności nacyi. Nie tylko zarozumiały i ślepy nacyonalizm, ale wszelka forma patryotyzmu, w języku Tołstoja, są to pojęcia i uczucia nienaturalne, nierozsądne, bo sprzeczne z powszechnem braterstwem, szkodliwe, bo sprowadzają wielką liczbę nieszczęść na ludzkość w postaci wojen, zabójstw, poborów wojskowych, podatków i rozbudzają w ludziach krwawe okrutne popędy. Patryotyzm, to choroba najniebezpieczniejsza ze wszystkich, którą też w zarodku należy tępić bez miłosierdzia, nie zaś rozdmuchiwać i pielęgnować, jak to się dzieje w obecnym systemie wychowania młodzieży [1].

Co więcej, Tołstoj obala inne jeszcze zasadnicze prawo stosunków ludzkich, mianowicie prawo własności, nakładając na człowieka same obowiązki względem innych, a nie pozwalając mu niczego od nich się domagać i zakazując bronić tego, co kto posiada, przed chcącymi wydrzeć mu rzecz posiadaną.

Potępia wreszcie i piętnuje, jako fałszywe bożyszcze, prawie wszystkie zdobycze, z których się szczyci współczesna cywilizacya, postęp techniki, naukę, sztukę. Wszystkie te, jak je po hebrajsku nazywa, *tohu,* sprowadzają niewolę klas pracujących, a małej garstce wybranych służą ku rozbudzeniu namiętności niższych i odwodzą od życia godnego natury rozumnej [2].

Co się tyczy w szczególności sztuki, to całe najnowsze o niej studyum Tołstoja ma na celu zastosowanie religijnych jego pojęć w dziedzinie piękna i artystycznej twórczości. Potępia tam dekadentyzm, bezmyślność, odrzuca sztukę, której celem

---

[1] Cfr. broszurę: „Duch chrześcijański a patryotyzm".

[2] *Ma rel.* p. 46.

sprzyjanie rozpuście, lecz obok tego odrzuca również wszelką sztukę, podobającą się tylko pewnym klasom społecznym lub pewnym wyznaniom religijnym lub ludziom pewnej tylko narodowości, słowem wszelką sztukę, w której nie widać tołstojowskiego uniwersalizmu. W myśl tej reguły, taka np. Bitwa pod Grunwaldem lub Sobieski pod Wiedniem, jak również dzieła chrześcijańskiej twórczości — są sztuką wysoce niemoralną, gdyż rozbudzają uczucia patryotyczne lub partykularno-religijne, wrogie powszechnemu braterstwu. „Żadne dzieło nie jest dziełem sztuki prawdziwej chrześcijańskiej, jeżeli wyraża uczucia, dostępne tylko człowiekowi w pewien określony sposób wychowanemu, albo tylko szlachcicowi, kupcowi, albo tylko Rosyaninowi, Japończykowi, albo katolikowi albo buddyście i t. p., lecz (wtedy jest sztuką, gdy wyraża) uczucia dostępne wszystkim ludziom“ [1]. Słowem wszelkiej sztuce, jeśli ma cokolwiek innego na celu, jak szerzenie w świecie tołstojowskich poglądów, zaprzecza prawa do istnienia, natomiast przyznaje sztuce jej godność i zaszczyt zasadniczego organu postępu ludzkości [2], jeśli zaprzęże się do rydwanu jasnopolańskiego chrystyanizmu. „Za sztukę (przyszłości) będą uważane te tylko utwory, które wyrażać będą uczucia, pociągające ludzi do bratniej jedności albo także ogólno-ludzkie uczucia, które zdolne będą połączyć wszystkich ludzi“ [3]. „Sztuką chrześcijańską jest ta tylko, która jednoczy wszystkich ludzi bez wyjątku“ [4].

(C. d. n.).

Ks. Jan Urban.

---

[1] „Co to jest sztuka“, przekład polski, p. 219.
[2] Ibid. p. 234. [3] Ibid. p. 254. [4] Ibid. p. 218.

NOWY INDEKS[1].

Po wybuchu tak zw. reformacyi mocarstwa katolickie a za niemi i po nich Kościół, aby ratować zagrożony porządek społeczny, poczęły dla dobra swych poddanych czynić spisy, wykazy czyli indeksy książek lub pism szczególnie niebezpiecznych wierze lub moralności. Tak np. Paweł IV (r. 1559) kazał sporządzić i wydać Indeks imienny autorów; wkrótce potem sobór Trydencki (r. 1563) uzupełnił go i ułożył ogólne prawidła, obowiązujące wiernych przy czytaniu i wydawaniu książek. Imienny indeks z natury rzeczy musiał z biegiem czasów coraz bardziej się powiększać, zwłaszcza gdy św. Pius V zdał obowiązek śledzenia za ruchem wydawniczo-religijnym osobnej Kongregacyi kardynałów i uczonych, tak zw. Kongregacyi Indeksu, dla której Benedykt XIV (r. 1758) wydał osobną ustawę, którą normował całą procedurę prawną przy zakazywaniu książek i umieszczaniu ich na Indeksie. Tak się rzecz miała aż do Leona XIII (r. 1897).

Jak inne gałęzie prawodawstwa kościelnego, tak i prawo Indeksu gwałtownie domagało się reformy. Zrodzone w innych czasach i warunkach, a w ślad za tem najczęściej niezachowywane i dlatego zbyt wolno tłumaczone, nawet przez katolickich

[1] Autor niniejszego studyum wydał w ostatnich miesiącach o tej kwestyi osobne dzieło. Ważność samej kwestyi, jak i zainteresowanie się szerszych sfer wzmiankowanem dziełem skłoniły nas do poproszenia autora o artykuł, któryby treść zawodowej książki uprzystępnił. *Redakcya.*

prawników i teologów, nie odpowiadało ono tej nagłej zmianie, stosunków państwowych i umysłowych, i nie przynosiło tej korzyści, nie osiągało tego celu, dla którego je postanowiono. To też już przedwstępne narady do Soboru Watykańskiego w program działalności Soboru wciągnęły reformę i to radykalną prawa Indeksowego. Tego samego domagali się w swych postulatach biskupi Francyi, Niemiec, Włoch, i innych krajów[1]. Było więc rzeczą prawie pewną, że pożądana reforma przyjdzie do skutku; atoli Sobór Watykański (1869—1870) po kilku sesyach musiał być przerwany, a sprawa reformy wśród przeróżnych kłopotów i ciosów, jakie na Stolicyę Apostolską padały, nie mogła być uwzględnioną, — drzemała.

Dopiero Leon XIII, który na wszystkie potrzeby wieku miał baczne oko, zabrał się i do tej żmudnej sprawy z wielką roztropnością, wyrozumiałością, ale i ze stałością a energią, która cechowała wszystkie jego czyny. Założył on sobie podwójny cel: naprzód sam „Indeks (zakazanych książek) poddać pilnej a gruntownej rewizyi“, a następnie „reguły Indeksu nieco złagodzić, nie zmieniając wszakże ich natury“. Rewizya samego Indeksu wymagała pewnych stałych zasad i praw; te zaś były zawarte w regułach ogólnych Indeksu; toteż naprzód owe reguły należało poddać pilnemu rozbiorowi, poczynić w nich potrzebne zmiany, uzupełnić braki i usunąć nieodpowiedne przepisy a dopiero potem przekształcić sam Indeks.

W tym celu Leon XIII z końcem roku 1895 przedłożył Kongregacyi Indeksu podwójne pytanie: czy i w jaki sposób należy zmienić reguły Indeksu? Pierwsze pytanie nie zajęło wiele czasu; jednogłośne: tak, było odpowiedzią. Drugie pytanie zabrało przeszło rok czasu. Po wyznaczeniu rozmaitych komisyi, złożonych z ludzi wszelkiej narodowości i głębokiej wiedzy, a z oddzielnym programem działania, po różnych długich naradach, wymianach myśli, poprawkach, uzupełnieniach, przeróbkach, ułożono nareszcie i zgodnie t. zw. „Ustawy ogólne“,

[1] Postulaty te podaje *Collectio Lacensis*, t. VIII, str. 506. 822, 843, 874, 1020, 1179.

które przedłożono naprzód kardynałom do zbadania i osądzenia, a gdy i oni wypowiedzieli swoje poglądy i poczynili niektóre zmiany, przedłożono całą rzecz Ojcu św., który po wielu naradach i głębokiej rozwadze, jak to sam zaznacza, wydał osobną konstytucyę *(Officiorum ac munerum)*, którą unormował dokładnie całe nowe prawo prasowe Kościoła.

Druga część zadania: reforma samego imiennego spisu czyli indeksu dzieł i autorów wymagała kilku lat wytężonej i ciężkiej pracy, a udało się jej dokonać jedynie przy pomocy wielu komisyi i uczonych rozmaitych narodowości. Toteż dopiero r. 1900 wydano nowy Indeks, zreformowany radykalnie i gruntownie. Przeszło połowa starego indeksu padła ofiarą dziesiątkowania, dokładniej mówiąc, około 2600 dzieł i broszur.

„Nowy Indeks“ składa się więc z dwóch części zasadniczych: z tak zw. Ustaw ogólnych o zakazie i cenzurze książek, i z imiennego wykazu dzieł lub broszur zakazanych. W jakimże stosunku stoją do siebie te dwie nierówne objętością części? Imienny Indeks i Ustawy ogólne mają to wspólne, że nas pouczają, jakich książek strzedz się należy. Różnią się zaś od siebie tem, że do tego celu dążą w odmienny sposób. Podczas gdy Ustawy ogólne zabraniają bardzo wielu (prawie wszystkich) niebezpiecznych książek lub pism, których czytania zakazuje zresztą po największej części samo już prawo natury, to imienny Indeks wylicza tylko pewną ich część, znikająco drobną. Ustawy ogólne zabraniają całych rodzajów, całych klas i kategoryi książek przewrotnych, podczas gdy imienny Indeks wymienia szczegółowo niektóre książki z podaniem ich tytułu i nazwiska autora.

Jakiż stąd wniosek? Oto ten, że nie tylko książki imiennie na Indeksie umieszczone, ale nadto te są wzbronione, których zakazują Ustawy ogólne. Stąd to bardzo się mylą ci, co mniemają, że całą kwestyę o niedozwolonych książkach można rozstrzygnąć zajrzeniem do imiennego wykazu. Wobec tego bowiem, że corocznie setki tysięcy książek wychodzą, a wśród nich tysiące złych lub podejrzanych, niemożliwą jest rzeczą umieszczać wszystkie na indeksie. Wtedy należałoby Indeks o całe

tomy corocznie wzbogacać, gdy tymczasem doświadczenie nas poucza, że przeciętnie 10—15 książek dostaje się rocznie na Indeks. Aby więc do czytania jakiejś podejrzanej książki można się zabrać ze spokojnem sumieniem, trzeba się wprzód upewnić, że dane dzieło nie jest ani imiennie ani ustawami ogólnemi zabronione. Kto wątpi, czy jakaś podejrzana książka objęta jest ogólnemi ustawami, powinien się o to zapytać ludzi w tej sprawie kompetentnych. Jeśliby mimo to wątpliwości nie można rozwiązać, wtedy wolno takie dzieło czytać, wyjąwszy, gdyby podczas samego czytania przekonał się czytelnik, że ta książka podpada pod ustawy ogólne, albo doświadczył, że ta lektura mu szkodzi. W tym wypadku dalsze czytanie jest wzbronione choćby samem tylko prawem przyrodzonem.

Ponieważ każde prawo rozumne i sprawiedliwe musi mieć na oku pewien ściśle oznaczony cel, do którego zmierza, a bez takiego celu samo prawo jest nieracyonalnem, często kaprysem prawodawcy, a niekiedy nawet nie obowiązuje, przeto zupełnie na miejscu jest pytanie, co też zamierzał osiągnąć Kościół konstytucyą *Officiorum?* Odpowiada na to sam prawodawca. Celem nowej ustawy: wskazanie jasnej i pewnej normy działania w kwestyi czytania i wydawania książek lub pism, jakoteż złagodzenie dawnej ustawy indeksowej i zastosowanie jej do dzisiejszych potrzeb ludzkości. Nie zamierzam bynajmniej podawać dokładnej oceny wszystkich w szczególności zmian i ulg, uczynionych na rachunek naszych czasów — ciekawy czytelnik znajdzie je w mej książce „Nowy Indeks“ [1]. Zaznaczam tu tylko niektóre ulgi więcej ogólnej natury. Tyczą się one częścią kar, które dawniej spotykały gwałcicieli prawa, częścią samych zakazów, które obecnie albo wcale nie istnieją, albo pod pewnymi warunkami przestają obowiązywać, częścią cenzury książek, ich druku i składu, wreszcie — a to uważam za zmianę zasadni-

[1] Nr. 96, 97, 140, 144, 151—153, 161, 167, 172, 174, 187—189, 195, 206, 224, 230, 237, 241, 247, 249, 253, 255, 262, 276, 281, 283, 293, 295, 302, 303, 312, 317, 326, 328, 347, 357, 382, 385, 389, 408, 411, 415, 418, 421, 427, 432—434, 437—438, 441, 443, 447, 448, 462, 475, 479, 485—486, 492, 496, 497, 502 520, 537, 544.

czą — nowe prawo nie bierze już odtąd pod uwagę samego autora, jego charakteru, wyznania religijnego, ale jedynie i wyłącznie przedmiotową wartość książki, czyli innemi słowy nie potępia już książek *in odium auctoris*. To też nawet słynnej klauzuli: *opera omnia* nadał Kościół obecnie inne znaczenie.

Nie można nie podnieść i tej ważnej okoliczności, że kiedy mówimy o ulgach i złagodzeniu dawnego prawa, stanowczo nie można stąd wyciągnąć wniosku, jakoby Rzym miał zamiar porzucić dawną starą zasadę Kościoła w potępianiu książek niebezpiecznych; bo Leon XIII wyraźnie zaznacza, że pewne ulgi czyni, nie zmieniając natury dawnych reguł *(incolumi earum natura)*. Mając to na oku, łatwo wytłumaczymy sobie tę zagadkę, czemu miasto spodziewanego złagodzenia spotykamy się niekiedy w niniejszej konstytucyi ze znacznem obostrzeniem nie tyle dawnego prawa, jak raczej prawie powszechnie przyjętej dotychczasowej luźnej praktyki. Słusznie zauważa Hollweck[1], że „ktoby niedawno temu (przed wydaniem konstytucyi Leona XIII), powołując się na dawną ustawę, zechciał bronić zdań, które obecnie, jako niezaprzeczalne prawo zostały potwierdzone, temuby z pewnością nie oszczędzono zarzutu rygoryzmu".

Gdy się zapytamy, jakiem jest stanowisko prawne i moc obowiązująca nowej konstytucyi, to wola Prawodawcy, która jest w tej mierze czynnikiem rozstrzygającym, oznajmi nam, że nowa Ustawa Indeksowa ma być przedewszystkiem jedynie na przyszłość obowiązującą, że więc wszystkie poprzednie przepisy kościelne w tej materyi należy uważać za zniesione; powtóre że ustawa ta jest powszechną, czyli, że obowiązuje w sumieniu wszystkich bez wyjątku katolików jakiejkolwiek godności i stanu, świeckiego czy duchownego.

Miarodajną normą w zakazywaniu książek winna być ich szkodliwość dla wiernych na punkcie wiary lub dobrych obyczajów. Otóż „Ustawy ogólne" Leona XIII jedynie tym względem się kierują: niczego więcej nie zakazano nadto, co zakazać musiano.

---

[1] *Das kirchliche Bücherverbot*, 1897, str. 15.

Niebezpieczne książki potrzebujące zakazu można ująć w trzy klasy:

Pierwsza z nich obejmuje wszystkie pisma siejące niewiarę, błędy, zabobony lub niemoralność.

Druga: wszystkie paszkwile, skierowane przeciw Bogu i Kościołowi.

Trzecia: wszystkie książki przeznaczone do religijnego pouczania i zbudowania (począwszy od Pisma św. aż do małej książeczki do modlitwy) — dopóki nie dają dostatecznej rękojmi, że wiernym nie będą szkodziły. Tej gwarancyi udziela aprobata kościelna, która ręczy czytelnikowi, że w danej książce niema nic przeciwnego wierze katolickiej lub dobrym obyczajom. Gdy w tem świetle przypatrzymy się nowej ustawie indeksowej, widzimy, że istotnie niczego więcej nie zawiera nad owe trzy kategorye.

Ustawy ogólne składają się z dwóch tytułów, z których każdy rozpada się na rozdziały i paragrafy.

Tytuł I. składa się z dziesięciu rozdziałów *(capita)*, podzielonych na 29 paragrafów *(numeri)*, a zajmuje się wyłącznie oznaczeniem, jakie rodzaje książek i broszur są zakazane prawem kościelnem i obowiązkami, które stąd wynikają. Tytuł II poświęcony jest cenzurze książek. Przejdźmy, choćby bardzo pobieżnie nową ustawę, a rzuci nam ona snop światła na całą sprawę, odkryje jasno ducha Kościoła, a nadto zaznajomi nas bliżej z „Indeksem“.

Rozdział I (§§ 1—4) zajmuje się książkami treści religijnej. Postanawia zaś, że bez względu na wyznanie i przekonania religijne autora jedynie w przyszłości te książki mają uchodzić za wzbronione, które: *a)* bronią dowodami herezyi lub odszczepieństwa; *b)* podkopują podstawy religii. Natomiast dozwolone są dzieła akatolików, jakiejkolwiek byłyby treści, nawet religijnej, jeżeli tylko nie są napisane w duchu nieprzychylnym religii, ale przedmiotowo, bezstronnie.

Przez podstawy religii *(fundamenta religionis)* nie należy rozumieć zasadniczych dogmatów samej wiary katolickiej, ale te prawdy przyrodzone, które są konieczną podporą i ostoją Objawienia, a które dla dojrzałego poganina mogą być przesłankami w przyjęciu wiary katolickiej. Takiemi są np. istnienie Boga, duchowość i nieśmiertelność duszy ludzkiej, możliwość cudów i porządku nadprzyrodzonego.

Obojętną jest rzeczą, w jaki sposób odbywa się podkopywanie podstaw religii katolickiej lub religii wogóle. Dlatego § 2 wyraźnie powiada: „książki, które podkopują w jakikolwiek sposób“ *(utcumque)* czy to żartem lub szyderstwem, a nawet karykaturami lub oszczerstwami krzywdzącemi, — czy też poważnie, dowodami czerpanymi ze (źle zrozumianej) historyi, filozofii lub nauk przyrodniczych; — czy to wprost czy ubocznie przez to, że bronią na seryo jakiejś teoryi, podkopującej religię np. sceptycyzmu powszechnego, materyalizmu, racyonalizmu, pozytywizmu, panteizmu, ateizmu, deizmu, czystego naturalizmu i t. p. Tego rodzaju teorye przypuszczając tylko to, co bezpośrednio podpada pod zmysły, przeczą tem samem nadprzyrodzonemu porządkowi, a stąd logiczną koniecznością wiodą do odrzucenia podstaw lub prawd wszelkiej religii objawionej. Dla zakazu jest obojętną rzeczą, czy podkopywanie podstaw religii katolickiej ma miejsce w jakiejś książce wyłącznie treści religijnej, lub też w dziele, poświęconem innym umiejętnościom.

Rozdział II i III (§§ 5—8) obejmują całe prawo kościelne dotyczące czytania Pisma św. Rzeczą rozstrzygającą w tej mierze jest aprobata kościelna. Biblie wydane bez aprobaty kościelnej, chociażby wydanie było dokładnem, są bezwzględnie wzbronione dla wiernych. Jedynie uczeni oddający się studyom teologicznym lub biblijnym mogą je czytywać, ale i to pod warunkiem, że ani wstępne uwagi ani objaśnienia w takich bibliach nie zawierają zbijania dogmatów katolickich.

Rozdział IV (§§ 9—10) określa bliżej stanowisko wiernych wobec książek zawodowo niemoralnych. Prawo przyrodzone w tej materyi o wiele dalej się posuwa, niż prawo kościelne, które zabrania wyłącznie książek pornograficznych i takich romansów lub nowel, których celem i tendencyą praktycznie pouczyć nieświadomych, jak sobie mają radzić i postępować, by żądzom zadość uczynić. Mniejsza o to, czy taki zamiar w książce jest wręcz wypowiedziany, czy też pod osłoną ukryty, a nawet starannie zaprzeczony.

Aby książka była zawodowo sprośną potrzeba dwóch rzeczy: *a)* aby lubieżnemi i sprośnemi rzeczami zajmowała się wprost; *b)* w znacz-

nej części. *Wprost,* aby z całej książki przebijał zamiar autora pouczenia czytelnika o szpetnych grzechach lub rozbudzenia w nim najniższych namiętności, czyli innemi słowy, główna treść dzieła powinna być lubieżną. *W znacznej części,* t. zn. aby autor nie tylko, gdzieniegdzie, zlekka, jakby mimochodem ślizkiemi rzeczami się zajmował (pouczał lub opowiadał), ale trzeba, aby to czynił albo w całej książce albo przynajmniej w znacznej jej części. Jeśli atoli opis rzeczy ślizkich nawet obszerniejszy, nie ma ścisłego związku ze złą tendencyą całej książki, wtedy nie można książki nazwać *ex professo* sprośną. Taką jest książka jedynie wtedy, gdy one dwa warunki, o których co dopiero mówiliśmy, są w niej razem uwzględnione.

Nie podpadają tu:

1) Dzieła medyczne, fizyologiczne, anatomiczne, chirurgiczne, teologiczno-moralne, chociaż zajmują się materyą sprośną. Atoli tylko wtedy nie są § 9-ym objęte, jeżeli nie dążą (pod pozorem i płaszczykiem nauki) do zaspokojenia występnej ciekawości i drażnienia namiętności.

Tyle prawo kościelne; prawo przyrodzone zabrania i tego rodzaju książek dla tych, którzy tej lekturze się oddają bez poważnej przyczyny, lub z nieuniknionem niebezpieczeństwem upadku.

Aby módz czytać książki medyczne, anatomiczne, trzeba mieć poważną racyę. Taki słuszny powód ma np. słuchacz medycyny, aby czytać książki medyczne, chirurgiczne, anatomiczne a nawet i moralne; teolog, aby zaznajomić się z dziełami z zakresu teologii moralnej a nawet i medycyny, o ile to do jego studyów jest potrzebnem.

2) Powieści i romanse, w których mowa nawet o grzesznej miłości, jeśli o nich nie można jeszcze powiedzieć, że są „zawodowo" sprośne, ale są tylko ślizkie.

Czego nie zabrania prawo kościelne, tego może wzbraniać (a często istotnie wzbrania) prawo przyrodzone dla wielkiego i blizkiego niebezpieczeństwa upadku. Aby więc módz czytać ślizkie powieści, dramaty, poezye lub romanse trzeba mieć ważny powód. Dla młodzieży akademickiej i gimnazyalnej (w wyższych klasach) dostatecznym powodem byłoby, gdyby tego rodzaju powieść ślizka była dziełem klasycznem, gdyby trzeba zdawać z niej sprawę w szkole i t. d. Sama racya (a raczej pozór), aby wykształcić sobie styl, nie wystarcza; — dla wyrobienia stylu jest podostatkiem w każdym języku prawdziwie stylistycznie wzorowych a przytem czystych książek, nie potrzeba się oglądać za ślizkiemi.

Podczas gdy § 9 zabrania dzieł lub książek zawodowo niemoralnych, to § 10 wykazuje wyrozumiałość Kościoła i dbałą pilność, aby nie przeszkadzać nikomu ani w wykształceniu umysłowem, ani nawet w wyrobieniu stylistycznem. Mając więc na uwadze wykwintność i piękność stylu, Leon XIII pozwolił

prawem kościelnem na czytanie klasyków tak starożytnych jak i nowożytnych, chociażby ich dzieła były zawodowo niemoralnemi. Kierując się jednak duchem roztropności, rozciągnął niniejsze pozwolenie jedynie na tych, których tłumaczą obowiązki urzędu lub stanu nauczycielskiego, i to w granicach prawa przyrodzonego, od którego, rzecz jasna, żaden Papież zwolnić nie może. To też komu z osób nawet uprawnionych taka lektura jest bezpośrednią sposobnością upadku, ten jej zaniechać musi.

1. Pozwolenie § 10 przysługuje wyłącznie osobom, których *a)* stały zawód lub urząd ma ścisły związek z literaturą, a więc literatom z powołania, krytykom z zawodu, pisarzom zajmującym się historyą literatury, cenzorom książek i t. d., następnie: rektorom, dyrektorom (prefektom) seminaryów, kollegiów, gimnazyów, szkół realnych, a nawet bibliotekarzom wielkich publicznych bibliotek. Redaktorzy czasopism, adwokaci, sędziowie mogą *ratione oficii* czytywać wspomniane książki tylko w tym wypadku, gdyby o jakiś niemoralny utwór wszczęła się publiczna dysputa lub zatarg i gdyby uprzednio nie było sposobności lub czasu wystarać się o pozwolenie biskupa. Albowiem w tym wypadku dobro publiczne wymaga, aby katolickie czasopisma osądziły i potępiły jak należy dany utwór, aby adwokaci a głównie sędziowie i prokuratorzy katoliccy mogli z godnością spełnić swój urząd i obowiązek.

b) drugą kategoryą osób uprzywilejowanych § 10 to stan nauczycielski a więc: profesorowie literatur i języków w gimnazyach i na uniwersytetach. Profesorom innych wydziałów lub innych przedmiotów (jak np. matematyki, nauk przyrodniczych, medycyny, prawa, filozofii, teologii i t. d.) nie przysługuje § 10.

2. Pozwolenie § 10 nie odnosi się do wszystkich książek zakazanych ale tylko do tych zawodowo plugawych utworów, które czy dla treści czy dla sztuki lub stylu uchodzą u znawców za klasyczne. Tu więc należą nie tylko arcydzieła Grecyi, Rzymu ale także i nowożytnych pisarzów.

Pozwolenie § 10 nie obejmuje tych dzieł autorów klasycznych, których nie wolno czytać z innego tytułu, np. z powodu przewrotnych doktryn, podkopujących wiarę, małżeństwo i t. d.

W drugiej części § 10 zabrania Kościół dawać do rąk lub odczytywać młodzieży klasyków należycie nieoczyszczonych ze scen niemoralnych.

Obok książek heretyckich lub tendencyjnie plugawych istnieje jeszcze bardzo wiele innych utworów nieraz złych i przewrotnych, a równie (jeśli nie więcej) niebezpiecznych, niż dzieła

wyżej omawiane. Książki te treści najróżnorodniejszej, przybierają formę bądź to paszkwilów, skierowanych przeciw osobom lub rzeczom najświętszym, bądź zabobonów, bądź powieści lub rozpraw, których celem szerzenie pewnych chorób wśród najszerszych warstw społeczeństwa — albo wreszcie przedzierzgają się w formę pobożną — i tą niewinną drogą starają się bałamucić umysły wiernych i prowadzić je na manowce. To też tego rodzaju publikacyom poświęcił Leon XIII osobny Rozdział V (§ 11—14) co do treści najobfitszy, którego zawartości niepodobna ująć w kilku zdaniach. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko pojedyncze jego paragrafy oddzielnie, choć krótko, omówić.

§ 11 rozpada się na 3 działy, stosownie do jakości dzieł:

a) Część I zabrania dzieł lub książek uwłaczających w jakikolwiek sposób Bogu, Najśw. Maryi Pannie, Świętym, Kościołowi katolickiemu, jego obrządkom, sakramentom, albo Stolicy apostolskiej.

„Stolicy apostolskiej“ uwłacza jedynie ten, kto się rzuca na samą powagę i godność urzędu papieskiego. Stąd nie uwłacza „Stolicy Apostolskiej“ to dzieło, które szarpie sławę, czyny, lub intencyę tego lub owego papieża — bo pojedynczy papieże nie stanowią Stolicy apostolskiej. Atoli gdyby ujemne opowiadania lub bajki przeciw wielu papieżom gromadzono w tym celu, by przez to podać w pogardę samą św. Stolicę — wtedy książka podpadałaby pod § 11.

b) Część II-ga § 11-go potępia dzieła, w których pojęcie inspiracyi Pisma św. bywa fałszowane, albo jego rozciągłość zbytnio ścieśnianą. Zarządzenie to konieczne w naszych czasach, gdzie powołani i niepowołani uczeni zajmują się Pismem św. a często występują przeciw jego boskiemu charakterowi i natchnieniu.

c) III część § 11 zakazuje wiernym czytania paszkwilów czy to na kościelną hierarchię, czy na stan duchowny lub zakonny.

Aby tego rodzaju książka była zakazaną prawem kościelnem, musi to czynić tendencyjnie, nie zaś dorywczo, przygodnie jakby mimochodem. Innemi słowy: zamiar szkodzenia na sławie

musi obejmować albo całą książkę, albo przynajmniej znaczniejszą jej część.

A więc pod § 11 nie podpadają dzieła historyczne, które w jaskrawych barwach, ale zgodnie z prawdą malują upadek lub smutny stan hierarchii kościelnej, duchowieństwa lub zakonów w danej epoce;— dalej paszkwile, skierowane przeciw pewnym tylko osobom z hierarchii, stanu duchownego lub zakonnego — wreszcie książki, które powstają wprawdzie przeciw hierarchii, zakonom lub duchowieństwu, ale czynią to tylko krótko, jakby mimochodem.

Gdyby atoli nagromadzenie obelg, szyderstw i t. d. przeciw wielu osobom z hierarchii, duchowieństwa lub ze stanu zakonnego zmierzało do tego, aby cały stan duchowny lub zakonny lub całą hierarchię jako taką w oczach ludzi zohydzić, poniżyć i podać w pogardę — wtedy tego rodzaju paszkwile byłyby zakazane § 11-tym. Toż samo należy powiedzieć o dziełach historycznych, któreby jedynie dla tego malowały jaskrawo (chociaż zgodnie z prawdą) smutny upadek niektórych papieży, duchowieństwa lub niektórych zakonów, aby stąd mieć pochop do powstawania na kościelną hierarchię, duchowieństwo lub zakony.

§ 12 zakazuje czytać, wydawać lub przechowywać jakiekolwiek książki, które przesądnego losowania, wróżbiarstwa, magii, wywoływania duchów, spirytyzmu, magnetyzmu, hypnotyzmu i t. d. pouczają lub takowe polecają.

a) P o u c z a j ą — a więc nie wystarczy proste opowiadanie wydarzeń lub podawanie fałszywych sposobów, które mogą nierozsądnych w błąd wprowadzić, ale trzeba podawać oznaczone jakieś środki, w istocie pomocne przy wykonywaniu zabobonów, któreby zapewniały skutek.

A więc nie są zabronione książki, które naukowo obrabiają, historycznie przedstawiają lub zbijają owe zabobony, bo takie dzieła dążą raczej do podkopywania zabobonów, niż do ich szerzenia.

b) P o l e c a j ą — nie wystarczy więc podać choćby chlubną wzmiankę o zabobonnych praktykach losowania, wróżbiarstwa..., ale potrzeba nieco dłużej (stosownie do rozmiarów książki) rzecz samą w ten sposób przedstawiać i zachwalać, aby tą tendencyjną pochwałą dodać drugim bodźca do naśladowania.

Do książek, które Kościół dla zabobonów potępił i zabronił należą jeszcze dwa dzieła żydowskie: *Thalmud* i *Magazor*.

§ 13. Żądza nowości, tak powszechna w naszych czasach, objawia się nie tylko w pragnieniu poznania przyszłości, ale także w nieprzezwyciężonym popędzie zaprowadzania w Kościele nowych, nieznanych, specyalnych nabożeństw i połączo-

nych z niemi książeczek, obrazków, medalików, a następnie w gorączce publikowania wszelkich rzeczy nadzwyczajnych, jakoto: pozornych czy prawdziwych objawień, cudów i t. d. Stąd nieprzyjaciele Kościoła biorą często pochop do wyśmiewania religii, i pogardy dla wszystkiego, co nadprzyrodzone, bo powiadają, że nauka Kościoła o rzeczach nadprzyrodzonych jest podobną śmiesznością, jak owe objawienia wizyonerów i wizyonerek naszych czasów, którzy płód swych urojeń podają za prawdę. Wielka stąd płynie dla Kościoła szkoda; maleje jego znaczenie i powaga. To też Leon XIII, aby zapobiedz i powstrzymać szerzenie się złego, zakazuje bezwzględnie § 13-ym ogłaszania, czy to w książkach, czy broszurach lub jakichkolwiek kartkach i pismach — nowych, nawet prawdziwych objawień, zjawień, widzeń, proroctw, cudów, nawet zaprowadzania i ogłaszania nowych, choćby godziwych nabożeństw, — bez pozwolenia prawowitej władzy kościelnej.

§ 14. Podobną chorobą naszych czasów są pojedynki, samobójstwa i rozwody. Kościół już oddawna je potępił, a chcąc wiernych uchronić przed niemi, zakazuje § 14 czytania książek, które pojedynek, samobójstwo lub rozwód przedstawiają za rzecz dozwoloną lub godziwą. Tu więc należą nietylko dzieła naukowe, ale także i powieści, apoteozujące owe występki.

Druga część § 14 zakazuje książek zalecających i rozpowszechniających masoneryę i inne pokrewne jej duchem sekty jak np. karbonaryzm, fenianizm, rewolucyonizm, anarchię, nihilizm, komunizm i socyalizm.

Samo przez się rozumie się, że nie są zabronione dzieła naukowe, rozbierające doktryny owych sekt, ani też prace historyczne o nich, ale wyłącznie i jedynie te książki, które dowodami uzasadniają, lub zalecają powyższe związki jako pożyteczne lub przynajmniej nieszkodliwe dla społeczeństwa lub Kościoła.

Trzecia część § 14-go zabrania książek, które bronią błędów potępionych przez Stolicę apostolską. Nie wystarcza do zakazu, aby książka podawała tylko błędne opinie jako prawdziwe, lub twierdziła, że Rzym się pomylił w ich potępieniu —

ale musi starać się uzasadnić je, i musi to czynić przez znaczną część swej objętości.

Po książkach treści podejrzanej lub wprost niegodziwej przechodzi konstytucya: *Officiorum* do obrazów i odpustów, co do których w ostatnich czasach nader wielkie a szkodliwe wydarzały się nadużycia, i poświęca tej sprawie osobny Rozdział VI (§ 15—17). Obrazy i obrazki niezgodne z myślą i duchem Kościoła są bezwzględnie wzbronione, nowych zaś obrazów, chociażby zgodnych z duchem Kościoła, nie wolno wydawać bez pozwolenia władzy kościelnej (§ 15). Podobnie zakazane jest wszystkim bez wyjątku rozpowszechnianie w jakikolwiek sposób odpustów nieprawdziwych i przez św. Stolicę potępionych lub odwołanych. Takie odpusty — jeśli już są rozpowszechnione — winna władza duchowna usuwać z rąk wiernych (§ 16). Aby zaś zapobiedz na przyszłość wszelkim w tej mierze nadużyciom, nie wolno odtąd bez pozwolenia prawowitej władzy ogłaszać jakichbądź książek, wykazów, książeczek, kartek i t. d., w których mieszczą się wykazy udzielonych odpustów (§ 17).

Rozdział VII (§§ 18—12) zajmuje się księgami liturgicznemi i do nabożeństwa. Publikacye te zbyt wielką odgrywają rolę w całem życiu katolików, to też muszą podlegać kontroli Kościoła, czy nie zawierają jakich niewłaściwości lub nawet błędów dogmatycznych. Toteż

§ 18 raz na zawsze zabrania wszelkich zmian w księgach liturgicznych, na własną rękę, bez pozwolenia Rzymu, który wyłącznie jest w tym względzie czynnikiem rozstrzygającym; samowolnie zmieniane lub poprawiane wydania są wzbronione.

§ 19 zakazuje bez pozwolenia biskupa wydawać nowych litanii — z wyjątkiem już raz przez Kościół zaaprobowanych i potwierdzonych. Przepis bardzo na czasie, jeśli się zważy, ile to nadużyć w tym kierunku miało miejsce i do ilu błędów dogmatycznych takie „nowe“ litanie doprowadziły!

Aby ludowi chrześcijańskiemu podawano jedynie zdrowy pokarm duchowy, w tym celu rozporządza § 20, aby bez aprobaty biskupiej nikt nie śmiał wydawać książek czy książeczek do modlenia, nabożeństwa, pouczenia lub zbudowania religij-

nego o treści moralnej, ascetycznej, mistycznej i innych, chociażby się zdawało, że przyczynią się do pomnożenia i spotęgowania pobożności ludu. Toteż wszelkie tego rodzaju publikacye, nawet broszurowe, są wzbronione, jeśli im brak aprobaty kościelnej.

Bodaj czy nie najważniejszem rozporządzeniem całego Indeksu jest Rozdział VIII (§§ 21—22), poświęcony dziennikom, czasopismom i wydawnictwom peryodycznym. Za czasów Soboru Trydenckiego nieznane i stąd w dawnem prawodawstwie kościelnem nie uwzględnione — dochodzą w naszych czasach gazety, czasopisma i inne publikacye do niebywałych rozmiarów tak co do ilości, jak i jakości wydawnictw. Zaprzeczyć też niepodobna, że niema może skuteczniejszego środka do szerzenia złych i przewrotnych zasad, do podkopywania wiary i moralności w całych narodach, na złe gazety.

Aby przeto zapobiedz złu, szerzącemu się bez granic i miary, Leon XIII podał w rozdziale VIII swej konstytucyi pewne a jasne przepisy postępowania tak dla biskupów i duchowieństwa, jak i dla wszystkich wiernych. Dwoma paragrafami obejmuje krótko całe kościelne prawodawstwo prasowe, nowe co do formy, nowe co do treści, chociaż oparte na praktyce Kościoła i na przepisach prawa przyrodzonego, które zwłaszcza w kwestyi gazet, w bardzo wielu wypadkach, o wiele jest surowszem od prawa kościelnego.

§ 21 odwołując się na prawo natury, zakazuje czytać, prenumerować, trzymać na składzie lub rozpowszechniać: dzienniki, czasopisma i wydawnictwa peryodyczne, które tendencyjnie i jakby zawodowo napadają na religię lub dobre obyczaje. Aby więc dziennik lub czasopismo jako takie były zakazane, nie wystarcza, że jeden lub drugi numer zawiera jakiś bezbożny artykuł, jakieś jadowite, jakby od niechcenia rzucono strzały przeciw religii, Kościołowi lub dobrym obyczajom — prawo natury może nawet takiego pojedynczego numeru dla niektórych wzbraniać — ale ten duch nieprzyjazny religii musi się objawiać często, że tak powiem, nałogowo.

Pod § 21 podpadają więc:

Dzienniki, czasopisma i t. d., które tendencyjnie rozsiewają lub bronią ateizmu, deizmu, panteizmu, czystego naturalizmu, filozoficznego idealizmu, pozytywizmu, powszechnego sceptycyzmu, materyalizmu i t. d. — jednem słowem teoryi, podkopujących podstawy religii wogóle czy to przyrodzonej czy katolickiej.

Powtóre gazety, które tendencyjnie występują przeciw katolicyzmowi i jego dogmatom lub rozsiewają błędy przez Kościół potępione. Tu należą np. gazety, w całem tego słowa znaczeniu „liberalne“ a po części i socyalistyczne.

Następnie czasopisma i dzienniki, które występują przeciw Kościołowi i jego hierarchii, a głównie przeciw biskupom, które podburzają wiernych do nieposłuszeństwa, osławiają Kościół, jego powagę nadwerężają i t. p. Tu należą gazety t. zw. antyklerykalne, które pozornie walczą z klerykalizmem, w rzeczywistości zaś z Kościołem i jego przedstawicielami. Takiemi są także pisma socyalistyczne.

Dalej dzienniki, które teoretycznie lub praktycznie podkopują dobre obyczaje, buntują warstwy społeczeństwa przeciw sobie, stoją w obronie występków, rozwodów, wolnej miłości; wreszcie gazety wprost pornograficzne.

Aby te ogólne zakazy Rzymu osiągnęły tem większy i pewniejszy skutek, nakazuje § 21 biskupom, aby pilnie upominali wiernych o niebezpieczeństwie i szkodach lektury gazet przewrotnych, a nadto § 29 upoważnia ich a nawet poleca im, aby imiennie zakazywali tego rodzaju niebezpiecznych lub przewrotnych gazet, czasopism lub wydawnictw.

§ 22. — Przewrotnych gazet, dzienników, czasopism i t. d. nie tylko nie wolno czytać, prenumerować lub rozpowszechniać, ale nawet nie godzi się katolikowi popierać ich moralnie, np. artykułami lub inseratami. Albowiem myliłby się katolicki pisarz, któryby sądził, że posyłając do złych gazet artykuły dobre lub obojętne, tym sposobem przysługuje się dla dobra jej czytelników, bo przynajmniej od czasu do czasu znajdą jakąś pożywną, dobrą strawę duchowną. Dobre artykuły pióra znanego katolika, powiększają tylko powagę pisma, które je w swoich łamach umieszcza i sprawiają, że katolicy nie uważają gazety złej za tak przewrotną, jaką jest w istocie, gdyż są przekonani, że uczciwi katolicy nie posyłaliby do niej swych elaboratów, bo uwłacza niemało godności prawego katolika i jest czynem moralnie złym: wspomagać złe pisma i w ten

sposób przyczyniać się do ich rozpowszechniania. Toteż wyraźnie zakazuje § 22 konstytucyi *Officiorum* tak duchowieństwu jak i wiernym współpracować w złych gazetach i t. d., chyba że bardzo poważna i rozumna przyczyna nakłania czasem do napisania jakiegoś artykułu.

Za dostateczną przyczynę uchodzi: odparcie obelgi rzuconej na siebie lub drugich, sprostowanie poczynionych zarzutów, wyjaśnienie sprawy, na której religii zależy, wszelka wreszcie obrona, która może wyjść religii na chlubę lub pożytek.

§ 22-im zabronionem jest nawet ogłaszanie w zakazanych dziennikach inseratów, anonsów lub wiadomości kupieckich. Atoli wielka szkoda materyalna jakąby poniósł, usprawiedliwia kupca od wszelkiego grzechu za umieszczenie ogłoszenia w gazecie zakazanej, zwłaszcza jeśli tego rodzaju inseraty przesyła równocześnie do wszystkich lub przynajmniej do wielu gazet dobrych.

Rozdział IX (§§ 23—26) rozstrzyga co czynić należy, jeśli kto potrzebuje czytać książki zakazane, czy to imiennie, czy ustawami ogólnemi. (O tem mówimy nieco niżej.)

Rozdział X (§§ 27—29) daje wskazówki przeważnie przełożonym kościelnym, jak mają czuwać nad tem, by złe książki lub pisma przewrotne nie szerzyły się na szkodę wiernych.

Z rozdziałem X kończy się I tytuł konstytucyi.

Tytuł II ustaw ogólnych zawiera przepisy dotyczące cenzury książek a na końcu podaje sankcyę całego prawa prasowego. Składa się on z pięciu rozdziałów.

Rozdział I (§§ 30—37) omawia szczegółowo, do kogo należy cenzura pojedynczych książek lub pism, wymagających aprobaty kościelnej. Wogóle można powiedzieć, że najczęściej należy się zwracać do biskupa tej miejscowości, w której książki wychodzą na widok publiczny, czyli, gdzie będzie główny skład książki.

Rozdział II (§§ 38—40) stawia przepisy dla cenzorów, wyszczególniające, na co winni zważać przy badaniu i ocenie książek. Rozporządzenia te są nader umiarkowane i roztropne.

Rozdział III (§§ 41—42) określa bliżej, jakie książki lub pisma podlegają prewencyjnej cenzurze kościelnej.

Dla wygody i praktycznych celów podaję krótki a dokładny skorowidz:

a) **Aprobaty Rzymu potrzebują:**

1) Tłumaczenia Pisma św. w językach nowożytnych, jeżeli nie są opatrzone przypiskami (§§ 7, 30).

2) Wykazy lub spisy odpustów, zebrane razem z pojedynczych dokumentów autentycznych, potrzebują aprobaty św. Kongregacyi Odpustów (§ 17) [obecnie: Św. Kongregacya Obrządków].

3) Książki potępione dekretami szczegółowymi Rzymu, jeśli dla ważnych przyczyn wypada je na nowo wydać, potrzebują pozwolenia św. Kongregacyi Indeksu (§ 31).

4) Wszystko, co w jakimkolwiek związku stoi z beatyfikacyą lub kanonizacyą Sług Bożych podczas toku sprawy, potrzebuje aprobaty św. Kongregacyi Obrządków (§ 32).

5) Zbiory dekretów oddzielnych rzymskich Kongregacyi mogą być wydane jedynie za poprzedniem pozwoleniem Prefekta odnośnej Kongregacyi i z zachowaniem warunków przepisanych (§ 33).

6) Wikaryusze i misyonarze apostolscy w krajach Propagandzie podległych, nie mogą wydawać książek lub pism, które wprost lub ubocznie traktują o sprawach religijnych lub kościelnych bez upoważnienia tejże Kongregacyi. (Wyjątek stanowią katechizmy, małe książki treści pouczającej, instrukcye, książki do nabożeństwa i inne podręczniki przeznaczone do codziennego użytku; — dla tych wystarcza aprobata biskupa lub wikaryusza apostolskiego (§ 34).

7) Autor przebywający w Rzymie, nie potrzebuje dla swych książek, podległych cenzurze (choćby je poza Rzymem wydawał) innej aprobaty, prócz pozwolenia Kardynała-Wikaryusza i Mistrza pałacu papieskiego (§ 38).

NB. Książki wyliczone pod 1), jeśli nie mają aprobaty są tem samem zakazane.

b) **Aprobaty biskupiej potrzebują:**

1) Przekłady Pisma św. opatrzone przypiskami (§ 7), jako też objaśnienia i komentarze do Pisma św. — ktoby tego nie uczynił popada w klątwę *latae sententiae nemini reservatam.*

2) Książki lub pisma opowiadające o nowych objawieniach, wizyach, proroctwach, cudach (§ 13).

3) Książki lub pisma zaprowadzające nowe nabożeństwa (§ 13).

4) Nowe święte obrazy i obrazki (§ 15).

5) Książki, spisy, wykazy, książeczki, kartki i t. d. podające odpusty (§ 17).

6) Nowe wydania ksiąg liturgicznych, wydane wiernie według autentyków przez Rzym zaaprobowanych (§ 18).

7) Wszystkie litanie — prócz litanii już przez Rzym potwierdzonych: do Wszystkich Świętych, za konających, do Najsł. Imienia Je-

zus, do Najsł. Serca Pana Jezusa, do Matki Boskiej Loretańskiej, i św. Józefa (§ 19).

8) Wszystkie książki lub książeczki do modlenia, nabożeństwa, pouczenia, przeznaczone dla ludu, treści religijnej, moralnej, ascetycznej, mistycznej i inne, które mają na celu obudzenie pobożności w ludzie lub jego pouczenie (§ 20).

9) Zbiory uchwał powszechnych Soborów i prowincyonalnych synodów, — kollekcye bul, brewiów, encyklik i konstytucyi; — a nadto przekłady ich na języki nowożytne (§ 33).

10) Wszystkie książki z dziedziny Pisma św., teologii, historyi kościelnej, prawa kanonicznego, teologii przyrodzonej, etyki i innych religijnych lub moralnych nauk (§ 41).

11) Wszystkie pisma (także czasopisma), które wyłącznie lub przeważnie zajmują się religią albo dobrymi obyczajami (§ 41).

12) Nowe wydania lub tłumaczenia książek i pism, nawet już aprobowanych (które skąd inąd już aprobaty potrzebują) (§ 44).

NB. 1. Książki wyliczone pod 1) 2) 3) 8) są dla braku aprobaty tem samem zakazane.

2. Jaki Biskup winien dawać aprobatę, zobacz „Nowy Indeks“ NN. 428—430.

3, Książki pod 1), wydane przez zakonników w ścisłem tego słowa znaczeniu, potrzebują *de iure communi ecclesiastico* obok aprobaty biskupiej, także pozwolenia Przełożonych zakonu (§ 36). — Obydwa pozwolenia należy wydrukować na początku lub na końcu dzieła.

Rozdział IV (§§ 43—46) zawiera przepisy dla drukarzy, księgarzy, wydawców i nakładców. Są one następujące:

§ 43. Książki podległe cenzurze kościelnej mają na wstępie podawać imię i nazwisko autora i wydawcy, miejscowość i rok druku. Na zatajenie nazwiska autora może dla słusznych powodów pozwolić biskup miejscowy.

§ 44. Nowe wydania dzieł już raz aprobowanych potrzebują nowej aprobaty, podobnie jak i przekłady z obcych języków.

§ 45. Książki potępione przez Rzym są wzbronione po całym świecie i w każdym przekładzie.

§ 46. Księgarz katolik nie może sprzedawać, pożyczać lub przechowywać na składzie książek zawodowo sprośnych; inne zakazane książki może mieć na składzie jedynie za pozwoleniem kościelnem, ale powinien je sprzedawać tylko tym, o których może słusznie przypuszczać, że są upoważnieni do zakupna.

Rozdział V (§§ 47—49) podaje sankcyę całego prawa prasowego Kościoła — kary i następstwa moralne dla świadomie przekraczających.

Pozwolenie Kościoła w normalnych warunkach jest jedyną drogą zwolnienia się od prawa indeksowego. Orzeka to najwyraźniej Prawodawca w § 23. Pozwolenia takiego, praktycznie rzecz biorąc, może prawie zawsze udzielić biskup miejscowy, do niego więc w pierwszej mierze zwracać się należy. Pozwolenie otrzymane czy to z Rzymu, czy od biskupa, sprawia jedynie to, iż wszystkie (albo tylko pewne) przepisy kościelne, dotyczące Indeksu, dla danej jednostki wcale nie istnieją, czyli innemi słowy: otrzymane pozwolenie przenosi katolika z pod prawa kościelnego pod prawo natury, od którego już, rzecz jasna, żaden Papież uwolnić nie może.

Ten zakaz, jaki w tych sprawach samo prawo natury daje, jest najlepszem uzasadnieniem prawa indeksowego. Może jeszcze kiedy wypadnie nam do tej kwestyi powrócić.

Ks. Wł. Szczepański.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

VII.

Ciekawość wielką obudziła w świecie naukowym monografia Aleksandra Hirszberga „Dymitr Samozwaniec“ (Lwów 1898). Autor rozporządzał kilku nowemi nieznanemi dotychczas źródłami: Dyaryuszem Stanisława Niemojewskiego, naocznego świadka wypadków, który miał nadto wiadomości od Stanisława Słońskiego, zaufanego sekretarza Samozwańca, tudzież dyaryusz Marcina Stadnickiego, ochmistrza dworu Maryny, zbiory listów i dokumentów z Muzeum Czartoryskich, Biblioteki Ossolińskich, z Archiwum Głównego w Warszawie, z cesarskiej Biblioteki w Petersburgu, z Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu i Biblioteki Jagiellońskiej. Wszystkie zaś znane dotychczas źródła poddał autor nowej rewizyi i na tej szerokiej podstawie przystępuje do swej własnej konstrukcyi.

Kim właściwie był Samozwaniec, tego jeszcze nie wiemy. Ks. Pierling, zasłużony badacz historyi stosunków Moskwy z Rzymem, uważa go za prawdziwego Dymitra, syna Iwana Groźnego. Ale przeciw temu świadczą opinie współczesnych, takich, którzy mogli znać prawdę: Basmanowa, wodza Godunowa, a następnie Samozwańca, samego Zygmunta III, kanclerza Gębickiego, Lwa Sapiehy, a co najważniejsza, blizkiego krewnego Mniszchów, Marcina Stadnickiego. Nie był Griszką Otrepiewem; czerniec ten był tylko żarliwym ajentem pretendenta. Być może, że był

naturalnym synem... Stefana Batorego; domyślano się tego już w r. 1604 i tak potem mówili jeńcy polscy w Kałudze; niema jednak ani na to poważniejszych dowodów. Nie brak ich natomiast do tego, żeby powziąć silne przekonanie, że Moskalem on nie był.

Kiedy po śmierci głupkowatego Fiedora (19 stycznia 1598) Borys Godunow nie był jeszcze pewnym swego wyboru, postanowił podstawić samozwańca, któryby udawał Dymitra Iwanowicza, podczas gdy rządy sprawowałby za niego Godunow. Wydał nawet odezwę od rzekomego Dymitra, ale podstęp wykryto. Pomimo to wybrano Borysa carem. Opozycya: Bielscy, Szujscy, Romanowowie chwycili się teraz przeciw niemu podstępu, który on sam pierwszy wymyślił, a nie mając w Moskwie stosownego do tej roli kandydata, zwrócili się o pomoc do panów litewskich i ruskich, do Wiśniowieckich, Wojnów, Sapiehów, Mniszchów i Stadnickich. Lew Sapieha, posłując w r. 1600 do Moskwy, zabrał tam z sobą Samozwańca i zostawił Bielskim. Odtąd chował się po różnych monasterach, poznając zwyczaje i obyczaje, w końcu przeniósł się do Ławry peczerskiej w Kijowie. Stąd odbył wędrówkę po dworach panów polskich, był w Dermaniu i w Hoszczy (tu przejął się aryanizmem); z końcem lata 1602 przyjechał tam Griszka Otrepiew z poleceniem, żeby się przeniósł do Brahimia do Adama Wiśniowieckiego, gdzie przebywał blizko rok. Sporadyczne wieści, że Dymitr żyje, zamieniły się w głośną wrzawę wiosną 1603 r. Do Brahimia pozjeżdżało sporo zwolenników moskiewskich, którzy go „poznali". Przedwczesny bunt w Siewierszczyźnie stłumił Borys w połowie 1603 r., ale pożar się szerzył tem łatwiej, że właśnie ciężkie klęski elementarne doprowadziły lud do takiej rozpaczliwej nędzy, że nawet pojawiło się ludożerstwo! W Łubnach, miasteczku Michała Wiśniowieckiego, była główna kwatera przygotowań wojennych ze strony polskiej.

Panów polskich skłoniła do tej komedyi politycznej nadzieja przeprowadzenia unii z Moskwą, owa wielka myśl, kiełkująca już od schyłku panowania Zygmunta Augusta. Kandydatury Iwana Groźnego i jego syna Fiedora, były wymownemi

świadectwami tej idei, następnie zaś wielkie plany Batorego. Po śmierci Fiedora sam Zamojski doradzał, żeby Zygmunt III starał się o tron moskiewski. W dwa lata potem, w r. 1600, jechał do Moskwy Lew Sapieha z projektem ścisłego związku prawnopaństwowego, któryby przygotował unię Polski i Litwy z Moskwą. Borys Godunow projekt odrzucił, a Sapieha pozostawił wówczas w Moskwie — Samozwańca. Zawarto wówczas 20-letnie przedłużenie rozejmu; już w 3 lata potem pojawia się sprawa Dymitra. To, co się działo w Łubnach, mogło wywołać wojnę z Moskwą. Król zwraca się zrazu surowo przeciw całemu przedsięwzięciu, ale wkrótce zmienia zdanie, każe Dymitrowi przyjechać do Krakowa i udziela mu audyencyi. Zamojski i Chodkiewicz nie chcą za żadną cenę łamać zaprzysiężonego rozejmu, olbrzymia większość senatorów sprzeciwia się; ale król nie dba o nic i postanawia działać samowolnie. Zamojski i Ostrogscy nie chcą przepuścić zbrojnych rot ochotniczych na tamtą stronę Dniepru, ale Samozwaniec umiał sobie tymczasem pozyskać opinię. Tysiące osób uwierzyło, że jest prawdziwym Dymitrem, że więc jemu należy dochować wiary, a nie Godunowowi. Pozyskał króla (który może z początku sam uwierzył w autentyczność Dymitra), przyrzekając unię polityczną i popieranie kościelnej, ofiarując połowę Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny i — co dla Zygmunta III zawsze było najważniejsze — pomoc do odzyskania korony szwedzkiej. Nuncyusza Rangoniego miał wkrótce swym protektorem, a dnia 16 kwietnia 1604 r. przyjął katolicyzm przed ks. Sawickim, Jezuitą krakowskim, wysłał zaraz nazajutrz pierwszy list do papieża i z najlepszemi nadziejami wyjeżdżał z Krakowa dnia 25 kwietnia 1604 r.

Publicznym patronem całej tej sprawy podjął się być Jerzy Mniszech; nie za darmo! Potrzebował on milionów, żeby się ratować od bankructwa i rzeczywiście miliony na tem zarobił. W ostatniej chwili, dnia 25 maja 1604 r. przybyło mu piśmienne zobowiązanie, że Samozwaniec carem zostawszy, ożeni się z jego córką, Maryną. Do Sambora wyprawił Borys Godunow swych siepaczy; ale zamach na Dymitra nie udał się, a zbrodniarzy ścięto. Sytuacya stawała się tem poważniejsza, że stronnictwo

Bielskich i Romanowych wciągnęło do zmowy wdowę po Iwanie Groźnym. Oświadczyła ona w marcu 1604 r. Borysowi, że syn jej żyje, że go rzeczywiście uprowadzono niegdyś z Uglicza przed siepaczami, jakkolwiek stało się to wówczas zupełnie bez jej wiedzy.

Na zdobycie olbrzymiego państwa wybierał się Dymitr ze Sambora w 2.500 zbrojnych! Widocznie w państwie tem grunt od dawna był już dobrze przygotowany. Jakoż zaraz na wstępie dalekiej wyprawy, już w Glinianach, spotkało go poselstwo od Kozaków Dońskich, oświadczających się z poddaństwem „przyrodzonemu“ panu. W Kijowie miał już 20.000 żołnierza koło siebie, wcale nie werbując! Pierwszym grodem do zdobycia było Morawsko: przysłano mu w więzach dowódców tej forteczki; w Czernichowie zabito wojewodę, gdy nie chciał z góry poddać się Dymitrowi. Podobnież poddał się Putywl, Rylsk i t. d. Nie udało się tylko oblężenie Nowogrodu Siewierskiego, gdzie dowodził dzielny Basmanow, w polu odniósł jednak Mniszech zwycięstwo. Z końcem stycznia 1605 r. poniósł Samozwaniec klęskę pod Dobryniczami. Wtenczas stronnicy jego zwrócili się do króla polskiego z prośbą o poparcie, ale opinia publiczna była jak najgorzej dla niego usposobiona; na sejmie warszawskim cały szereg senatorów ganił postępowanie króla, a Jan Zamojski miał długą mowę, w której użył owych znamiennych wyrazów: „Przebóg! Plautaż-to czy Terencyusza komedya?... jest-li to rzecz podobna tak kogo zamordować, zwłaszcza w owem państwie, a potem nie baczyć, jeśli ten a nie inny zamordowany?“ Król trwał jednak dalej przy swojem. Tymczasem Samozwaniec miał wojsko obce i tak źle zorganizowane, że gdyby Godunow zaraz wtenczas zabrał się był do oblęgania Putywla, mógłby był jednym zamachem Dymitra się pozbyć. Ale w wojsku Godunowa nie brakowało cichych zwolenników Dymitra, a autor podnosi cały szereg „rzeczywistych i umyślnych błędów“, popełnianych na korzyść Samozwańca; zbiegostwo w wojsku Borysa było coraz częstsze, zaszedł też powtórny zamach skrytobójczy na Dymitra, lecz nie powiódł się. Samozwaniec siedział w Putywlu i nie przedsiębiorąc wogóle niczego, czekał spokojnie

rozwoju wypadków. Wiedział, że dni Borysa są już policzone; nagle dnia 23 kwietnia rozchodzi się wieść, że Borys Godunow nagłą śmiercią umarł, według wszelkiego prawdopodobieństwa otruty. Następcą jego miał być 16-letni syn Fiedor, ale armia jego rozprzęgła się i sam naczelny wódz Basmanow, wierny sojusznik Borysa, wolał już obecnie Dymitra, niż Fiedora. Teraz dopiero ruszył się Dymitr z Putywla, wziąwszy ze sobą zaledwie dwa tysiące żołnierza, których główną siłę stanowiło 600 polskiej jazdy. W Moskwie wybuchł bunt przeciw Wasylowi Szujskiemu na korzyść Samozwańca i sam Szujski, żeby ujść zemsty ludu, oświadcza w stanowczej chwili, że Samozwaniec jest prawdziwym Dymitrem. W dziewięć dni później zamordowano Fiedora i jego matkę, a 29 czerwca ruszył Dymitr do Moskwy, do której odbył tryumfalny wjazd.

Wasyl Szujski uznał Dymitra, ale po cichu knuł dalej swe zamysły, ażeby samemu zasiąść na carskim tronie. On-to rozgłaszał, że Dymitr zamierza z polską pomocą zamienić cerkwie na kościoły katolickie, a gdy nie udało mu się podkopać popularności Samozwańca, wpadł na inny pomysł: ostoją Dymitra były chorągwie polskie, przeciw Polakom więc należało zwrócić namiętność tłumu. Szerzył pogłoskę, że Polacy nie tylko cerkwi, ale samemu carowi wrodzy, że czyhają na jego życie. Rzecz prosta, że gdyby udało się wymordować polskie rycerstwo, Dymitr byłby zupełnie bezbronny. Knowania wydały się, Szujski na kolanach błagał o miłosierdzie, skazany na śmierć, został jednak ułaskawiony. Dnia 31 lipca 1605 r. odbyła się koronacya Dymitra, przy której przyjmował komunię według obrządku schizmatyckiego, a w kilka dni potem wybuchły pierwsze rozruchy przeciw Polakom. Pozorów nie brakło, boć rzecz to prosta, że wśród ochotników Samozwańca więcej było awanturników i ludzi wątpliwej konduity, aniżeli poważnych głów. Ciekawa rzecz, że powstała wieść, jakoby Godunow nie był umarł, lecz w Anglii się znajdował; samozwańcy rośli w tym okresie, jak grzyby po deszczu.

Po szczęśliwie odbytej koronacyi wyprawił Zygmunt III do Moskwy Aleksandra Gosiewskiego, pragnąc sojuszu z Mo-

skwą przeciw Karolowi Sudermańskiemu i przypominając dawniejsze obietnice. Ale Dymitr nie chciał teraz ani Jezuitów, ani Kościoła katolickiego, ani też nie chciał zwracać Siewierszczyzny. Ksiądz Trzyżowski T. J. skarżył się już we wrześniu 1605 roku, że może się porozumiewać z Dymitrem tylko przez pośredników. Na próżno też przypominano sprawę katolicką i wysłano do Moskwy kapelana polskiego nuncyusza. Jedno tylko przyrzeczenie spełnił Dymitr święcie, wyprawiając we wrześniu 1605 r. Własiewa, ażeby poślubił Marynę Mniszchównę *per procuram*. Ślubu udzielił kardynał Bernard Maciejowski dnia 22 lipca. Panna młoda nie spieszyła jednak do oblubieńca; wojewoda Mniszech wziął nowy milion rubli, ale miał pewne wątpliwości, czy Dymitr ustali się na tronie.

Były jednakowoż plany, mające Samozwańcowi zapewnić jeszcze większy tryumf. Opozycya przeciw Zygmuntowi III coraz gwałtowniejsza z powodu ponownego małżeństwa z arcyksiężniczką austryacką Konstancyą, myślała już w połowie roku 1605 o wypowiedzeniu posłuszeństwa, a kandydatem pewnej jej grupy do korony polskiej był nie kto inny, jak Samozwaniec. Z Mikołajem Zebrzydowskim i ze Stadnickimi łączyły go stosunki; Mniszech o tem oczywiście wiedział, zalecał ostrożność i czekał, jak wypadki się rozwiną. Równocześnie stronnictwo Szujskiego pragnęło pozyskać Zygmunta III przeciw Samozwańcowi i w grudniu 1605 roku własny goniec Dymitra, Bezobrazow, działał w Krakowie w imieniu Szujskiego i proponował wybór królewicza Władysława na cara. W styczniu 1606 roku dał król polski odpowiedź, że „nie uwodzi go chciwość panowania i zdaje tę sprawę na wolę Bożą". Szujscy próbowali nowego zamachu na życie Dymitra, ale straż i lud żywcem rozszarpali przychwyconych skrytobójców. Z tychto powodów Mniszech, wiedzący o misyi Bezobrazowa, namyślał się, czy nie lepiej poprzestać na milionie rubli i dalej nie wdawać się już w tę zabawę w cara. Faktem jest, że dopiero w marcu 1606 r. zdecydował się wojewoda wyjechać z córką do Moskwy. Podczas koronacyi przyjmowała komunię według obrządku schizmatyckiego, jakkolwiek nie miała na to papieskiej dyspenzy

z Rzymu; w Polaków starano się wmówić, że to nie było udzieleniem Sakramentu Ołtarza, lecz tylko „ceremonią przypominającą wesele w Kanie galilejskiej“. Swoją drogą umiał Samozwaniec tak dyplomatycznie pisać i mówić, że ze Stolicą apostolską pozostawał ciągle w jak najlepszych stosunkach. Wyprawiony od niego do Rzymu Jezuita ks. Sawicki byłby przysiągł, że Samozwaniec jest w sercu szczerym katolikiem, toteż sprawozdanie jego sprawiło w Rzymie jak najlepsze wrażenie. Ponieważ wychwalano katolickie jego uczucia, Aleksander Rangoni, bratanek polskiego nuncyusza, jechał teraz umyślnie do Moskwy.

Na koronacyę Maryny wyprawił Zygmunt III od siebie poselstwo, i znów układano się o unię, żądając przedewszystkiem pomocy na wojnę szwedzką, tudzież zwrotu Smoleńska, księstwa siewierskiego, ziemi pskowskiej i z nowogrodzkiej pewnych części, o których twierdził, że niegdyś od W. Ks. litewskiego były oderwane. (Mylono się w tem, bo z ziemi tej nigdy nic a nic do Litwy nie należało). Propozycya unii była określona bardzo ściśle; miano zawrzeć wieczyste przymierze, politykę zagraniczną mieć wspólną, tak, żeby ani król polski, ani car nie mogli wojować, ani zawierać z osobna żadnego traktatu zagranicznego, a w razie bezpotomnej śmierci Samozwańca król polski miał być jego następcą. Gdyby zaś wcześniej Zygmunt III umarł, nowa elekcya miała nastąpić dopiero po porozumieniu się z carem. Wspaniały obraz roztacza się przed wyobraźnią, gdy się czyta warunki tego sojuszu: wzajemna wolność przesiedlania się, nabywania majętności, piastowania publicznych urzędów; wolność handlu z jednej strony aż do Niemiec, z drugiej do Persyi; zupełna wolność zakładania w miastach przynajmniej głównych, zwłaszcza zaś w Moskwie kościołów katolickich, również szkół i kolegiów; wspólna moneta i zamiar wystawienia wspólnej floty! A tymczasem ten sam Samozwaniec zamierzał strącić Zygmunta III z tronu i porozumiewał się z Maciejem Stadnickim bawiącym w Moskwie! Miał wtenczas Dymitr około stu tysięcy gotowego wojska, które pod dowództwem jednego z Szujskich miało ruszyć na Litwę.

Ale u Wasyla Szujskiego odbywały się wciąż tajemne schadzki i już 22 maja rozpoczynają się rozruchy przeciw Polakom z jego namowy. Już w nocy z dnia 24 na 25 kwietnia 1606 r. zanosiło się na rzeź Polaków. Polacy wiedzieli, na co się zanosi, a Dymitra ostrzegali, ale ten lekceważył przestrogi; być może, że sam radby się Polaków pozbyć, bo w tej wielkiej komedyi politycznej intrygowali wszyscy i nawzajem chcieli się w pole wyprowadzić. W stanowczej nocy z dnia 26/27 maja lud moskiewski rzeczywiście myślał, że Polacy mordują cara i dlatego na Polaków się rzucił, a jak dokładnie wszystko było obmyślane, świadczy okoliczność, że omijano skrupulatnie Polaków należących do orszaku urzędowego poselstwa Rzeczypospolitej. Rzucono się na wszystkie domy zamieszkałe przez Polaków w mieście, żeby nie ruszyli na pomoc Dymitrowi. Ciało Dymitra leżało przez trzy dni na t. zw. Krasnoj Płoszczadi („czerwony plac“) jakby przewidywano, że może się znaleźć nowy Samozwaniec. Dopiero po czterech dniach zakopano je w otwartem polu za miastem, potem jeszcze raz odkopano, obwożono po mieście, oblano smołą, spalono na stosie, a popioły wystrzelono z działa. W dwa dni później Wasyl Szujski wybrany był carem. Ale w dwa miesiące ruszył na Moskwę nowy Samozwaniec.

Zarzucić trzeba mniemanie, jakoby Samozwańcem był czerniec Griszka Otrepiew; trudno też pójść za ks. Pierlingiem, jakoby Samozwaniec był rzeczywiście prawdziwym synem Iwana Groźnego. Ze współczesnych uważali go za Samozwańca nie tylko Zygmunt III, Zamojski, Gębicki, ale stronnik jego Lew Sapieha, a co najważniejsza, mamy na to świadectwo Marcina Stadnickiego, blizkiego krewnego wojewody Mniszcha. Kim on był rzeczywiście, prawdopodobnie nigdy wiedzieć nie będziemy. Ajent polityczny Habsburgów Bussow, (który przebywał kilkanaście lat w Moskwie, i miał blizkie stosunki z Basmanowem, a potem bawił w Kałudze i widział się tam ze znakomitymi polskimi jeńcami), twierdził, że Samozwaniec był nieślubnym synem Stefana Batorego. Jakoż rzeczywiście na Litwie było to mniemanie rozpowszechnione. Faktem jest, że w charakterze

jego i usposobieniu nie było nic a nic oryentalnego, owszem natrafiamy na same europejskie tylko rysy. Umiał on być wspaniałomyślnym, a nieraz naprawdę wielkodusznym. Marzył, że państwo pchnie na tory zachodniej cywilizacyi i rozmaite rozsnuwał w tej mierze plany. Pod względem religijnym był zupełnie indyferentny; prawdopodobnie przekonania jego były aryańskie.

Książka p. Hirschberga zawiera mnóstwo arcyciekawych szczegółów do historyi kultury. W Moskwie podczas uczty koronacyjnej jadło się jeszcze palcami, a kości rzucano pod stół, tak, jak w Polsce niegdyś w połowie XIV wieku. Ceremoniał dworski był tak śmiesznie drobiazgowy, a bałwochwalstwo względem osoby panującego takie niesłychane, że ani pierwsi Mieszkowie i Bolesławowie nasi nie mieli chyba pojęcia o takiem służalstwie poddanych, a służalstwu temu towarzyszy chytrość, nienawiść i gotowość każdej chwili do wszelkiej zbrodni. Szujscy przysięgali, że Dymitr jest prawdziwym carewiczem, a równocześnie spiskowali; klękali przed Samozwańcem, ale trupa jego kazali włóczyć po ulicach. Co za charakterystyczne sceny odgrywały się podczas zaślubin Maryny, przy której osobę cara reprezentował podskarbi moskiewski Własiew; trzeba go było formalnie zmuszać, żeby się dotknął ręki Maryny, bo nie mogło mu się w głowie pomieścić, jak on śmiałby pozwolić sobie na taką poufałość względem carskiego jej majestatu. Europejskość Samozwańca zaszkodziła mu bardziej może od wszystkich politycznych względów. Bojarowie, a cóż dopiero lud prosty, upatrywali w tem własną swą osobistą obrazę, że ich car obcuje zbyt poufale (jak mniemali) z Polakami. Obcował z nimi tak, jak zwykli obcować zachodni królowie ze swymi dworzanami, a Moskalom wydawało się to poniżeniem majestatu. Dymitr musiał się poddać rad nie rad temu bizantynizmowi; czasem musiał i sam manifestować publicznie, że gniewają go np. pretensye posła polskiego, żeby jadał przy jednym z nim stole. Ale choć demonstracyami takiemi chciał czasem poprawić sobie opinię, nie mógł się ustrzedz całego szeregu błędów, popełnianych przeciw zwyczajom i pojęciom ludu, nad którym chciał

panować. Szalona różnica kultury pomiędzy moskiewskimi a polskiemi pojęciami, była główną przyczyną tragedyi Samozwańca.

Autor całemi stronnicami rozpisuje się o zjazdach, biesiadach i t. p., rozwodząc się nad każdym drobiazgiem. Ma to być prawdopodobnie ustępstwem na rzecz „popularności“ książki. Nie w porę byłoby tutaj wywodzić, na czem właściwie polega popularne pisanie, ale cennej książce p. Hirschberga zarzucić możnaby, że pisana jest po kronikarsku. Brak też w niej perspektywy, a zasadnicze rzeczy zepchnięte nieraz do przypisków, podczas gdy w głównym tekście rozpierają się powieściopisarskie szczegóły.

Dzieło to uzupełnia się innem, a mianowicie wydał p. Hirschberg osobno nowe źródła w książce p. t. „Polska a Moskwa w pierwszej połowie wieku XVII. Zbiór materyałów do historyi stosunków polsko-rosyjskich za Zygmunta III“. (Lwów, 1901).

Dużo nowego światła na dzieje panowania Zygmunta III pada z książki Adama Szelągowskiego: „Ślązk i Polska wobec powstania czeskiego“ (Lwów 1904, 8-ka, str. 423). Wyjaśnia się w znacznej mierze (chociaż jeszcze nie w zupełności) sprawa dążeń do odzyskania Ślązka i udział króla polskiego w wojnie trzydziestoletniej, w obronie Habsburgów. Jeszcze w roku 1613 pisał Maciej do swego brata stryjecznego, Ferdynanda, że po jego śmierci cała budowa habsburska zapewne się rozpadnie. W trzy lata potem zwrócono się po raz pierwszy o pomoc do Polski, a mianowicie biskup wrocławski, arcyksiążę Karol (brat późniejszego cesarza Ferdynanda) odbył w tym celu z Zygmuntem III zjazd w Częstochowie we wrześniu 1616 r., poczem król polski wyprawił posła do Stanów protestanckich na Ślązku, ostrzegając przed wybuchem wojny. Stany wyprawiły niebawem do Warszawy swego posła, który zapytał, jakiem prawem król mięsza się w sprawy wyznaniowe śląskie. Odpowiedziano mu, że prawa i przywileje Kościoła wrocławskiego pochodzą z nadań przodków polskiego monarchy, który też nie pozwoli uchylać ich. W Polsce nie zapomniano zupełnie o Ślązku. W słynnej mowie Andrzeja Ciesielskiego na konwokacyi podczas bezkró-

lewia 1572 r. jest ustęp o Ślązku, jako o ziemi niesłusznie przez obcych przywłaszczonej. Pozostała też tam polską ludność wiejska i uboższa miejska, szlachta zaś śląska pokrewniła się z polską i czuła pociąg do polskich urządzeń stanowych. W Głogowie wspominano wdzięcznie czasy Zygmunta Starego.

Zygmunt III stanął od samego początku wojny 30-letniej bezwzględnie po stronie habsburskiej. Już 1618 r. spodziewali się kilku tysięcy jazdy polskiej posiłków, ale nie można było wysłać żadnej pomocy, bo właśnie latem tegoż roku spustoszyli Tatarzy Wołyń i uprowadzili blizko 50 tysięcy jassyru, w Inflanciech był Gustaw Adolf, królewicz Władysław potrzebował do Moskwy 50 tysięcy Kozaków, a równocześnie zbliżał się z wojskiem Skinder-basza. Stany śląskie uzbroiły się jednak wówczas przeciw spodziewanej wyprawie polskiej, a gdy jesienią połowę wojska ruszono do Czech, na pomoc powstańcom, połowę drugą rozłożono na polskiej granicy. Następnego roku wiedziano, że król polski otwartej wojny prowadzić nie może, ale zezwala chętnie na cesarskie zaciągi i skłonnym jest do wszelkiej pomocy przeciw protestantom. W czerwcu 1619 r. jeździł królewicz do Nysy (posiadłości arcyksięcia Karola), zalecając zaciągi Kozaków tudzież Lisowczyków na cesarską służbę i rzeczywiście czekało na Podolu 50 tysięcy Kozaków i 5 tysięcy Lisowczyków, którzy mogli być na sierpień gotowi do pochodu. Po ukończeniu spodziewanej wojny tureckiej obiecał Żółkiewski ruszyć na pomoc w 20 tysięcy żołnierza. Odbywały się jakieś tajemne rokowania, do których przypuszczeni byli prócz Żółkiewskiego (w tych czasach stanowczego już zwolennika króla) prymas Wawrzyniec Gębicki i kasztelan krakowski Janusz Ostrogski. Poseł cesarski, hr. Althan, przybył do Warszawy z różnemi propozycyami; wtenczas też przywiózł statuty „Milicyi chrześcijańskiej“, nowo założonego zakonu rycerskiego, nad którym protektorat przyjął Zygmunt III, który jednak wcale nie zakwitnął. A tymczasem zawisło nowe niebezpieczeństwo nad habsburską sprawą, bo we wrześniu 1619 wystąpił Betlen Gabor, do którego przystała olbrzymia większość Węgrów. Współzawodnik Betlena do księstwa siedmiogrodzkiego, Hamonay,

uciekł do Polski. Habsburgowie prosili o zbrojną interwencyę w Siedmiogrodzie a sprawa z Betlenem łączyła się ściśle ze sprawą czeską, a więc i śląską. Zygmunt III przedstawił całą rzecz swej radzie przybocznej. Rada uchwaliła wyprawić poselstwo do Czech, któreby nakłaniało powstańców do powrotu pod posłuszeństwo ich monarchy, ale zastrzegano, żeby przytem „w żadne niechęci i zawadzenia nie wchodzić". Pozwalano cesarzowi na zaciągi, powołując się na ścisły związek z domem rakuskim, „po którym na króla i jego potomstwo prawem dziedzicznem spadała sukcesya", ale znowu zastrzegano się, że zaciągi nie mają być za polskie pieniądze, ani też pod imieniem króla, ni Rzpltej; pieniężnych zasiłków wręcz odmówiono. Na zaciąg 10 tysięcy Lisowczyków łożył sporo z własnej szkatuły królewicz i niektórzy panowie, jak Janusz Ostrogski. Pozbywano się ich chętnie, bo zachodziła obawa, że napadną na Wołoszę i sprowadzą wojnę turecką. Dywersya Lisowczyków na Węgrzech pod wodzą Hamonaya i Rogawskiego była wielce skuteczną. Odnieśli walne zwycięstwo pod Humiennem, Betlen musiał wysłać na Spiż 20 tysięcy wojska i odstąpić od rozpoczętego już oblężenia Wiednia. Bitwę tę nazywa autor miniaturą przyszłej odsieczy wiedeńskiej za Sobieskiego.

Społeczeństwo polskie nie bardzo jednak solidaryzowało się ze sprawą habsburską; nawet katolicy byli u nas politycznymi przeciwnikami tej dynastyi i z wyjątkiem dość szczupłego grona osób życzyli powodzenia raczej powstańcom, niż dążącym wszędzie do absolutyzmu Habsburgom. Cóż dopiero protestanci polscy! Odbyli oni zjazd w Żarczynie na granicy, a wnet poczęły obiegać dwory europejskie fantastyczne pogłoski, nawet o zamiarze detronizacyi Zygmunta III. To pewna, że utrzymywali bez przerwy ożywione stosunki z protestanckim obozem w Czechach i na Ślązku. Ajent króla zimowego, Achacy Dohna, pisał do Betlena Gabora, że polscy różnowiercy gotowi zrobić to samo, co czescy, byle tylko mieli środki pieniężne. Tymczasem jednak wkrótce po przejściu „cesarskiej" granicy na Ślązku przez Lisowczyków, zawiadamia król senatorów, że Ferdynand gotów odstąpić Ślązka i że z tem przyjechał hr. Althan. Był

list od arcyksięcia Karola, ale upoważniający tylko do czasowej okupacyi, bez naruszania zwierzchniczych praw cesarskich; ale i to jeszcze było niepewne, czy cesarz zezwoli choćby tylko na okupacyę. Na razie odbyła się na zamku krakowskim dnia 20 grudnia 1619 uroczysta nominacya czteroletniego królewicza Karola Ferdynanda na koadjutora biskupstwa wrocławskiego. Ukazał się pamflet na politykę królewską, a do pokrzyżowania zamiarów Zygmunta III zabrali się Zbarascy, najpopularniejsi wśród szlachty całego kraju, już od końca XVI wieku katolicy, lecz poróżnieni z królem o dostojeństwa, które pozyskać pragnęli. Jerzy Zbaraski wydaje broszurę przeciw jakiemukolwiek udziałowi w sąsiednich zamieszkach i przestrzega, że w danym razie rozdzieli się Polska na dwa wrogie obozy i może wybuchnąć wojna domowa, a król, straciwszy już szwedzką koronę, mógłby jeszcze stracić i polską; lepiej niechaj myśli o swych dzieciach! W polityce zaś lepiej pilnować, żeby Prusy nie odpadły do Rzeszy Niemieckiej, niż łudzić się nadzieją odzyskania Ślązka. Opinie wyrażone w tej broszurze odbiły się głośnem echem na zjeździe szlachty na rokach ziemskich w Krakowie z początkiem stycznia 1620 r., tem zapalczywiej, że Lisowczycy nie otrzymywali żołdu i chcieli wracać do kraju; stanęli rzeczywiście pod Duklą i obawiano się, że napadną na Kraków. Wyprawiono z krakowskiego zjazdu poselstwo do szlachty wielkopolskiej, która odpowiedziała z podziękowaniem. Przerażony król wydał hetmanowi Koniecpolskiemu rozkaz zniesienia Lisowczyków, poczem większość ich rozeszła się, a tylko 4.000 zaciągnęły się na nowo z początkiem lutego 1620 roku i ruszyły przez Ślązk i Morawy do Wiednia. Betlen Gabor zawarł w styczniu 1620 rozejm z Ferdynandem do św. Michała, a w Polsce powszechnem było przekonanie, że rozejm ten i ocalenie swej korony zawdzięcza Ferdynand Zygmuntowi III i jego interwencyi. Betlen groził nawałą turecką, gdyby się Polska dalej miała mieszać w te sprawy, a wiadomem było, że ma pewne umowy z Portą Ottomańską i że już z końcem 1619 r. przyrzekał wystawić przeciw Polsce 24.000 wojska; ale na dwóch stołkach siedząc, wyprawił niebawem poselstwo z zapewnieniami

przyjaźni. Ale już z końcem kwietnia 1620 r. wyprawili Węgrzy i Czesi wspólne poselstwo do Konstantynopola. Sułtan zezwalał Betlenowi przyjąć tytuł króla węgierskiego pod tureckiem zwierzchnictwem. Obiegały pogłoski, że poselstwo to otwierało Turkom przejście przez Węgry do Polski. Jakoż z początkiem lipca 1620 r. stanął w Pradze goniec turecki z obietnicą ukarania Polski za najazdy na Węgry i Śląsk, że sułtan wyśle niebawem 80.000 wojska przeciw Polsce. Już dnia 25 czerwca donosił z Konstantynopola Otwinowski, że Porta z pewnością wojnę wypowie. Jakoż mieliśmy wnet klęskę cecorską.

Cesarz pozyskał sobie elektora saskiego, Jana Jerzego, dając mu za to pełnomocnictwo do zajęcia Łużyc i Śląska. Polska okupacya była tedy już odrzucona, a tem mniej tu mogło być nadziei odzyskania Śląska, gdy zwycięstwo na Białej Górze zmieniło zupełnie stosunki polityczne. Z końcem listopada, w 19 dni po bitwie na Białej Górze, a w półtora miesiąca po klęsce cecorskiej stanęło w Konstantynopolu uroczyste poselstwo czesko-węgierskie; jego skutki okazały się następnego roku w postaci wyprawy chocimskiej. Austrya zawdzięczała Zygmuntowi III nie tylko ocalenie Wiednia od Betlen Gabora, ale też wzięcie na siebie wojny tureckiej, która inaczej byłaby się dała we znaki krajom habsburskim. A w zamian miała Polska tylko niechęć sąsiadów i rozgoryczenie ich z powodu straszliwych najazdów Lisowczyków, owych szumowin polskiej szlachetczyzny. Król wypierał się wszystkiego wobec stanów śląskich, zasłaniając się tem, że sam prześladuje w Polsce Lisowczyków. Pogróżki nowego rokoszu tyle tylko sprawiły, że Zygmunt III poczynał być przezorniejszym w stosunkach z Habsburgami. Domagał się stwierdzenia dyplomem nowych obietnic, że dzieci jego będą na Śląsku wyposażone i żądał, żeby skonfiskowane tam powstańcom dobra nadawano szlachcie polskiej. Tym sposobem spodziewał się skłonić sejm na swą stronę. Ale cesarz nie dawał niczego na piśmie, a tymczasem nastąpiła nowa nawała turecka, przygotowana w porozumieniu z koalicyą protestancką. Rozległe miała wówczas Porta plany! Rojono sobie, że po zdobyciu Polski sięgnie półksiężyc aż po Bałtyk, a owła-

dnąwszy tem morzem — wygłodzi chrześcijańską Europę. Winę tych wojen przypisywano królowi i gotowała się jak najgwałtowniejsza opozycya, złamana jednak zręcznie tem, że król nadał kasztelanię krakowską Jerzemu Zbaraskiemu. Od stanów czeskich, morawskich i śląskich przybyło na sejm wielkie poselstwo z orszakiem złożonym ze 125 osób; już stanąwszy na polskiej ziemi, dowiedzieli się o klęsce na Białej Górze. Poselstwo to nie uzyskało w Warszawie urzędowej odprawy od króla, tylko prymas zbył ich frazesami w imieniu deputacyi sejmowej, doradzając zgodę wewnętrzną. Ale tyle przynajmniej zyskali, że Zygmunt III jawnej pomocy Habsburgom dawać nie śmiał. Ale też Ślązacy woleli po Białej Górze uciec się do opieki saskiej, niż polskiej. Nie otrzymała też Polska od Habsburgów pomocy czynnej przeciw Turcyi, cesarz cofał się od zawarcia ligi, uważając ją za sprawę przyszłości, podczas gdy Polska była już w wojnie z Portą. Podobnież cofał się teraz od dawniejszych przyrzeczeń pomocy do odzyskania korony szwedzkiej, tego ulubionego marzenia Zygmunta III.

Wyprawa turecka na Polskę pokrzyżowała plany Betlena, który wolałby widzieć Turków w krajach habsburskich. W styczniu 1622 zawarł Betlen z cesarzem pokój w Nicolsburgu, zrzekając się tytułu króla węgierskiego. Teraz począł cesarz czynić starania o sojusz przeciw Turcyi, ale do Konstantynopola jechał już Krzysztof Zbaraski starać się o stały pokój.

Tymczasem Lisowczycy na własną rękę ruszyli do Niemiec; nie mając z czego żyć, szukali żołdu za granicą. Była to czwarta z rzędu wyprawa tych jedynych polskich zaciężników. Znaczna ich część wróciła niebawem. Myślano użyć ich na Wołoszczyźnie, bo było to jeszcze przed wyprawą chocimską, ale przeważył wzgląd, że spustoszyliby cały kraj, nimby doszli na granicę. Z końcem maja ruszyli przeto przez Śląsk ku Pradze; wyprawiono ich do Palatynatu, a z początkiem września odesłano z powrotem. Rozłożyli się po całej Polsce, dopuszczając się najgorszych łupiestw. Była to poprostu kwestya ekonomiczna; tysiące ludzi chwytało się z konieczności wojenki, nie mając innego utrzymania. Po wojnie tureckiej zgłaszało się

20.000 Kozaków z ochotą służenia i to bez żołdu przeciw Gustawowi Adolfowi! Nie użyto ich. Nie potrzebował być prorokiem Jerzy Zbaraski, gdy przepowiadał, że Rzplta może się lada dnia spodziewać od Kozaków dziwnych rzeczy. Kilka tysięcy Lisowczyków ruszyło po raz piąty na Morawy z końcem 1623 r., gdy Betlen zerwał rozejm i rozpoczął z pomocą Turcyi nową wojnę, która trwała jednak tylko do maja 1624, nie dawszy mu żadnych korzyści.

W sierpniu 1623 r. występuje Gustaw Adolf przez posła swego w Hadze z propozycyą, że wyląduje w Pucku i sam przeniesie wojnę na Śląsk, ażeby rozerwać sojusz Habsburgów i króla polskiego. Jakoż już od czerwca przybrał nieprzyjazną postawę na Bałtyku. W odpowiedzi niejako na jego plany wystąpił Zygmunt III z projektem dywersyi katolickiej koalicyi od strony Szwecyi. Podczas gdy na dworze warszawskim układano misterne plany krucyaty nowego zakonu rycerskiego przeciw Turcyi i Szwecyi, Gustaw Adolf, korzystając z wojny tureckiej, przystąpił do zaboru Inflant i zajął Rygę. Cecora i Ryga — to dwa najcięższe pogromy Polski. Powetować je miała ogólna katolicka liga całej Europy, którą utwierdzić przedsięwziął królewicz Władysław, wybrawszy się w długą podróż za granicę w drugiej połowie 1624 i pierwszej 1625 roku, *incognito*, pod imieniem Snopkowskiego. W Nysie na Śląsku projektowano jakiś układ o nadanie mu księstw opolskiego i raciborskiego. Był potem w Wiedniu, Salzburgu, w Monachium, Kolonii, w Bonn, w Brukseli, skąd przez Szwajcaryę i górę św. Gotarda wybrał się do Włoch. Dnia 20 listopada 1624 stanął w Rzymie, skąd z powrotem odwiedził Florencyę i Wenecyę, poczem zatrzymał się w Gracu i przez Wiedeń na Nysę wracał we wrześniu 1625 r. do Polski. Przedłużone zawieszenie broni ze Szwecyą obowiązywało do marca 1625 r. Ale przeniesienia wojny do Polski nie życzono sobie na dworze brandeburskim; król zaś szwedzki tak cenił sobie sojusz z Brandeburgią, że zmienił wobec tego swe plany i postanowił wyprawić się, zamiast na Polskę, w głąb Niemiec. Nie zrzekał się jednak zamiarów względem Polski, tylko je odkładał. Liczył już Szwed wówczas na to, że za jego

przybyciem na Ślązk powstaną przeciw królowi różnowiercy i schyzmatycy, a spodziewał się też poparcia hetmana polnego litewskiego, Krzysztofa Mikołaja Radziwiłła, w czem jednak mylił się, a hetmana niesłusznie podejrzywano. Występuje znów na widownię Betlen i poczyna się składać sojusz Szwecyi, Prus z Brandeburgią połączonych i Siedmiogrodu przeciw Polsce. Z przejętych korespondencyi dwóch ajentów Betlena wiedziano w Warszawie o wszystkiem już w sierpniu 1624 r. Równocześnie dojrzewało międzynarodowe porozumienie różnowierców. Rafał Leszczyński, głowa polskich protestantów, utrzymywał stale podejrzane stosunki z zagranicą, z elektorem Jerzym Wilhelmem i Betlen Gaborem, a sejm zwołany w r. 1625, gdy upływał rozejm szwedzki, musiał się rozejść na niczem dzięki połączeniu się oligarchów Leszczyńskich, Zbaraskich i Radziwiłłów. W r. 1624 przejęto w Belgii jakieś listy, w których podawano nadzieję księciu orleańskiemu, bratu Ludwika XIII, do polskiej korony. W maju 1625 r. pojawiła się znów nowa pogłoska, tym razem o spisku na życie króla i jego rodziny.

Zanim królewicz Władysław wrócił ze swej podróży po zagranicznych dworach, już Gustaw Adolf nietylko poczynił zdobycze w Inflanciech, ale był już na Litwie; zawarto znowu naprędce rozejm do 21 maja 1626, a sejm uchwalił tym razem wojnę obronną i zaczepną przeciw Szwecyi. Bo też Szwed niebawem już do Prus dobierać się począł i jeszcze tego roku opanował całe Prusy królewskie — a pomocy od Habsburgów nie było żadnej.

Opole i Raciborz nadał cesarz Betlenowi Gaborowi. Być może, że wobec ciągłego zrywania pokoju przez Betlena, zamierzał je cesarz przenieść na królewicza Władysława, ale i to wątpliwe, a faktem jest, że Władysław IV otrzymał te dwa księstwa dopiero w r. 1637, kiedy poślubiał Cecylię Renatę, córkę cesarza Ferdynanda. Ze źródłowych badań p. Szelągowskiego jeden jest niewątpliwy rezultat, że mianowicie Habsburgowie wcale nie myśleli pozbywać się Ślązka, lecz łudzili króla polskiego, któremu też chodziło tylko o zaopatrzenie swych synów w tej krainie i o nic innego. Stany śląskie wcale

nie okazywały pragnienia połączenia się z Rzpltą pod berłem króla tak bezwarunkowo katolickiego, a co najważniejszym może jest rezultatem, ani też w Polsce nie było zgoła zapału do tej sprawy. Opinia publiczna szlachecka nie uznawała niczyjej polityki dynastycznej, ani Habsburgów, ani Zygmunta III, a traktaty i sojusze dawne z Czechami interpretowała jako umowy ze społeczeństwem, ze stanami, a nie z królami. Odrywanie Ślązka od czeskiej korony z pomocą jej własnego króla, wtenczas, kiedy ten król występował zbrojnie przeciw narodowi, było przedsięwzięciem wstrętnem dla polskiego uczucia. Pozostaje zresztą jedna wątpliwość, czy plany królewskie miały jakikolwiek związek z polityką narodową; według wszelkiego prawdopodobieństwa, niektóre księstwa śląskie byłyby tylko dostały nowych panów w osobach nieletnich Wazowiczów, ale pod zwierzchnictwem Habsburgów, a nie polskiego państwa.

Dzieło p. Szelągowskiego jest też ciekawym przyczynkiem do historyi powszechnej, zawierając mnóstwo materyału do ówczesnych pertraktacyi dyplomatycznych wszystkich niemal europejskich dworów. Ubocznie dotyka też rozmaitych innych kwestyi z dziejów polskich, tak, że niema prawie takiej sprawy współczesnej, do której nie znalazłyby się tam nowe, a bardzo cenne przyczynki. Może skutkiem tej obfitości powstała pewna nieprzejrzystość układu, tak, że trzeba nie dwa, ale trzy razy odczytać książkę, zanim się doliczymy jej wszystkich pożytków.

Ten sam autor wydał równocześnie drugie jeszcze dzieło „Walka o Bałtyk“ (Lwów, 1904, 8-o, str. 399), w którem do panowania Zygmunta III jest druga istna kopalnia nowych wiadomości. Autor zaczyna od rozważania morza jako żywiołu dziejowego; zapoznaje czytelnika z naukowymi poglądami na tę sprawę, daje następnie krótki pogląd rozwoju polityki morskiej od czasów starożytnych począwszy, obszerniej jednak traktując czasy nowożytne; zestawia znaczenie Bałtyku z morzem Śródziemnem i zwraca uwagę, jak długo jeszcze po odkryciu Ameryki morze Bałtyckie było zasadniczą arteryą handlową. Jeszcze w roku 1595 wypadało w Amsterdamie 83% rocznego przywozu na handel bałtycki, a jeszcze w roku

1666 $^3/_4$ kapitału giełdy amsterdamskiej tkwiło w handlu bałtyckim. Od XVI w. mieli tam przewagę Holendrzy, a Filip II starał się napróżno utworzyć własną potęgę morską na Bałtyku. Za panów tego morza uważali się królowie duńscy, którzy mając w ręku Sundy, mogli postępować dowolnie z okrętami przepływającymi przez cieśniny i byli rzeczywiście Bałtyku panami. Autor przechodzi kolejno stanowiska rozmaitych państw europejskich wobec kwestyi morskiej i zwraca między innemi uwagę na mało znany fakt, że już w XVII wieku elektorowie brandeburscy sięgali za oceany. W r. 1647 powstała wschodnio-indyjska kompania handlowa brandeburska; traktatem w Saint Germain zmuszono elektora wyrzec się floty, ale pomimo to w r. 1681 posiadały Prusy 30 okrętów zbrojnych w 312 dział, a w Królewcu powstała nawet afrykańska kompania dla handlu z Gwineą. W zachodniej Afryce, w kraju zwanym Akkada, powstała osada nazwana Gross-Friedrichsburg, zniszczona atoli przez Holendrów. Dla Polski panowanie nad Bałtykiem było pierwszorzędną sprawą, zwłaszcza, że Gdańsk był faktycznie wolnem miastem pod nominalnem nieraz tylko zwierzchnictwem Rzpltej. W kilku ustępach przechodzi autor politykę Jagiellonów względem morza Bałtyckiego, zatarg Zygmunta Augusta z Gdańskiem, t. zw. konstytucyę Karnkowskiego i sprawę gdańską króla Stefana Batorego. Ostatni z Jagiellonów postawił jasno sprawę bałtycką w polityce zagranicznej i, jak się autor wyraża, „wytknął przez to narodowi kierunek na całe dwa wieki naprzód“. Stanisław Karnkowski i Jan Zamojski byli kontynuatorami jego myśli w tym względzie. Pierwszy okres wielkich wojen północnych skończył się za Batorego zupełnem zwycięstwem Polski. Jedynym sojusznikiem Polski była tam od r. 1568 Szwecya, i przez czas jakiś zanosiło się na sojusz dwóch państw katolickich, Polski i Hiszpanii ze Szwecyą (za Jana III) przeciw Danii, Anglii i Niderlandom. Tą też polityką kierował się następnie Zygmunt III. Do sojuszu polsko-szwedzkiego mogła dostarczyć podstaw wspólna niechęć do Danii i Moskwy, ale w Inflanciech natomiast tkwiło groźne zarzewie wzajemnej nienawiści.

Zygmunt III zaraz na wstępie miał kłopoty o Estonię, którą Polacy kazywali sobie darować, podczas gdy Zygmunt jeszcze przed wyjazdem ze Szwecyi musiał ojcu i Szwedom zaprzysiądz, że niczego z szwedzkich posiadłości nie uroni. Nie tylko bowiem Polska stawiała mu swe warunki w paktach konwentach, ale nie mniej także i Szwecya, zastrzegając na wszelki sposób swą samodzielność, tak, że gdyby kiedyś obydwa trony równocześnie zawakowały, starszy syn miałby panować w Szwecyi a młodszy być kandydatem do tronu polskiego. Z powodu sporów o Estonię zwlekał Jan III z wyprawieniem syna do Polski i uczynił to wtenczas dopiero, gdy Polacy zagrozili, że w razie odmowy Zygmunta zawrą sojusz z Moskwą; ale na wyjezdnem musiał Zygmunt jeszcze zaprzysiądz, że w Estonii komendy grodów nie tylko nie powierzy Polakom, ale nawet nikomu z Polakami spokrewnionemu i że przysięga wierności, składana przez obywateli szwedzkiej części Inflant, będzie się odnosiła do szwedzkiej korony, a nie do polskiej. Skutkiem tej przysięgi nie wysiadł też Zygmunt III na ląd, póki nie utargował ustępstw w sprawie estońskiej; odroczono rzecz do koronacyi, a następnie po kłótliwym sejmie koronacyjnym aż do śmierci Jana III. W roku 1589, kiedy Moskwa rozpoczęła wojnę ze Szwecyą, powstrzymała Polska pierwszy impet nieprzyjacielski, ale zaraz w miesiąc potem 24 stycznia 1590 zawiadomili Polaków senatorowie szwedzcy, że mają sami gotowe już wojsko do odparcia Moskwy, to znaczyło, że nie życzą sobie wcale, ażeby polskie wojsko wyprowadzać na pole walki. Stanął wówczas za polskiem pośrednictwem jednoroczny rozejm pomiędzy Szwecyą a Moskwą, podczas gdy rozejm polski trwał aż do roku 1592.

Sprawa bałtycka interesowała wszystkie państwa zachodniej Europy, gdyż zajęte były w tym handlu kapitały nie tylko Stanów holenderskich, ale też samej Hiszpanii, tudzież Anglii; przewidując wojnę Zygmunta III z Karolem sudermańskim, układano zawczasu rozmaite horoskopy polityczne. Dania stanęła zrazu po stronie Zygmunta, ale wojny jawnej nie wypowiedziała jeszcze Karolowi. Hanza, a zwłaszcza Lubeka, oba-

wiając się, ażeby żegluga bałtycka nie stała się monopolem Szwecyi, również należała do stronnictwa Zygmuntowego. Zygmunt III miał wśród arystokracyi szwedzkiej stronników, ale i ci rozróżniali doskonale pomiędzy sporem dynastycznym o tron szwedzki, a stosunkami politycznymi, a więc pragnącą rozszerzyć panowanie nad Bałtykiem Polską. Charakterystycznem jest, że kiedy w sierpniu 1598 roku Zygmunt III wybierał się przeciw Karolowi, doradzano mu, ażeby w jednym z polskich portów zebrał flotę szwedzką; odradzali mu zaś tego Szwedzi, obawiając się, żeby te okręty nie posłużyły do wyrobienia Polsce przewagi na Bałtyku i sam król obawiał się, że Polska tę flotę zatrzyma. Wkrótce Karol zajął Finlandyę, a później Estonię i całe niemal Inflanty, a po stronie jego stanęła Anglia i Francya. Związek Zygmunta III z Habsburgami wpłynął na osłabienie stosunków z Danią, bo w Kopenhadze bano się, żeby się nie spełniły plany Filipa II, ażeby Habsburgowie nie usadowili się na morzu bałtyckiem. Później doszedł nawet do skutku sojusz moskiewsko-duński, skierowany wprawdzie głównie przeciw Szwecyi, ale mogący i dla Polski być w danym razie dotkliwym. Jan Zamojski i Lew Sapiecha radzili odrazu udzielić całego poparcia królowi do odzyskania korony szwedzkiej, przewidując, że po zerwaniu łączności dynastycznej i tak nastąpi wojna. Całe panowanie tego króla zajęte też było myślą odzyskania dziedzicznej korony, a na dworze warszawskim rozmaici awanturnicy stawali się przedstawicielami polityki szwedzkiej. Zarzucano później Zygmuntowi III, że podstępem narzucił Polsce wojnę szwedzką, każąc Jerzemu Farensbachowi zaczepić wojska szwedzkie. Farensbach wykonywał jednakże nie tylko królewskie rozkazy, ale też i hetmańskie i to w porozumieniu z senatorami nie tylko litewskimi, lecz także koronnymi. Pomimo to sejm odmówił posiłków. Farensbach i Krzysztof Radziwiłł robili co mogli, a winy niepowodzenia nie przypisywał wówczas nikt królowi. Dopiero następnego roku oświadczyły się sejmiki za poparciem wojny z Karolem, i w niespełna pół roku odzyskano całe Inflanty, a Zamojski twierdził, że ocaliłby bez trudu Estonię, gdyby miał piechotę. Właśnie wtenczas Dania zawarła

w grudniu sojusz z Moskwą przeciw Szwecyi, skutkiem czego Karol wycofał się z Inflant. Do zupełnego zwycięstwa nad Szwecyą trzeba było floty, która mogła być tylko duńską. Karol sudermański starał się natomiast o sojusz z księciem kurlandzkim i margrabią brandeburskim Jerzym Fryderykiem, administratorem księstwa pruskiego. Niesłusznie zarzucano królowi podczas rokoszu konszachty z elektorem. Faktem jest, że na samym początku szwedzkich zamieszek elektor brandeburski ofiarował Zygmuntowi III milion dukatów za przyznanie sobie lenna pruskiego, a król odmówił. Książę administrator nie śmiał teraz jawnie łączyć się z Karolem, bo spodziewał się od Polski zapewnienia sukcesyi dla swej linii w księstwie pruskiem. Ale biorąc rzeczy ściśle, samo zachowanie neutralności było już zdradą, gdyż obowiązkiem jego było dostarczyć Polakom posiłków; elektor pragnął jednak narzucić się na pośrednika pomiędzy Polską a Szwecyą.

Nie wyzyskano w r. 1605 świetnego zwycięstwa pod Kirholmem, poprzestając na krótkim zrazu rozejmie, przedłużonym następnie do końca października 1608 r. Rozejm ten uważała zresztą Szwecya później za niebyły. Pod ten czas podjął król sprawę moskiewską. Szwedzi rozejm zerwali, ale wkrótce zawarto go na nowo aż do grudnia 1614 r., a sam Chodkiewicz, główny obrońca Inflant, udał się na moskiewską wyprawę. Karol Sudermański zawarł przymierze z Wasylem Szujskim i posłał mu posiłki, a przez jakiś krótki czas myślano o wezwaniu na tron moskiewski młodszego królewicza szwedzkiego, Filipa (żył niedługo). Wielką korzyścią dla Polski mogło się stać wypowiedzenie wojny Szwecyi ze strony duńskiej, które nastąpiło w kwietniu 1611 r. Zygmunt III stał wtenczas pod Smoleńskiem. Autor mniema, że trzeba było wówczas podać tylko rękę Krystynowi IV, a pogrom Szwecyi i Moskwy byłby nieunikniony. Ale Zygmuntowi III chodziło o zachowanie pozorów, że wojuje tylko z Karolem jako wydziercą tronu, a wcale nie z narodem szwedzkim, podczas gdy Krystyn IV marzył o podbiciu Szwecyi. Z końcem października 1611 r. objął tron szwedzki 18-letni Gustaw Adolf, do którego udał się z propozycyą pośredniczenia

o pokój z Danią nowy elektor brandeburski, Jan Zygmunt. To pośrednictwo nie doszło do skutku, udało się natomiast angielskie i w styczniu 1613 r. stanął pokój, w którym nie poruszono całkiem uroszczeń Zygmunta III do korony szwedzkiej. Z początkiem r. 1614 uważał kanclerz szwedzki Oxenstierna rozejm z Polską za potrzebny, ale przeszkodą było, że Zygmunt III żadną miarą nie zrzekał się tytułu króla szwedzkiego. Rozpoczęto jednak łudzić Polaków, ażeby mieć czas na nową wojnę moskiewską, która trwała 3 lata. Obawiano się wówczas, że Szwecya zawrze pokój z Moskwą wcześniej, aniżeli Polska, i dlatego polityka polska chciała sama do traktatu z Moskwą wciągnąć Szwecyą. Wśród tego zawarto ze Szwecyą rozejm od św. Michała 1614 na lat 2, a tymczasem zmieniły się stosunki polityczne w Europie, a Gustawowi Adolfowi udało się zebrać koalicyę przeciwko Danii. Równocześnie zawarł Zygmunt III z cesarzem Maciejem i wogóle z habsburską dynastyą przymierze dnia 23 marca 1613 roku. Zawierało ono zezwolenie na wzajemne zaciągi, wyłączając jednak z traktatu po stronie cesarza Turcyę i Inflanty, a po stronie Zygmunta Szwecyę. Głównym punktem traktatu było zobowiązanie do pomocy przeciw własnym poddanym na wypadek buntu. Przez 2 lata trzymano traktat ten w tajemnicy, a kiedy w r. 1615 ogłoszono go na sejmie, stany potwierdziły go tylko z opuszczeniem owego ustępu o poddanych. Dla sprawy szwedzkiej i moskiewskiej sojusz ten był bez znaczenia, a więc dla obydwóch najdonioślejszych zagadnień panowania Zygmunta III.

Anglia i Francya starały się pośredniczyć pomiędzy Polską a Szwecyą, ale proponowany w tym celu zjazd szczeciński wcale nie dopisał. Zygmunt obmyślił nowy projekt. Ułożył sobie, że równocześnie nie tylko odzyska szwedzką koronę, ale też podbije Moskwę, wcieli do Korony Prusy, upokorzy i nawróci Niderlandy, zapewni przewagę katolikom w Niemczech, a Habsburgom we Włoszech. Prowadził w tym celu daleko sięgające układy międzynarodowe, spodziewał się z Hiszpanii 6.000 a z Rzeszy niemieckiej 20 tysięcy żołnierza. Wobec tego protestanckie państwa starały się o ukończenie wojny szwedzko-moskiewskiej

i znów tak Polska, jako i Szwecya obawiały się wzajemnie, żeby jedno z tych państw nie uprzedziło drugiego w zawarciu pokoju z Moskwą i nie połączyło się z nią przeciw współzawodnikowi. Łudzono się więc wzajemnie, obiecując przyjaźń, zanimby stanął należyty sojusz. Dania odmówiła jednakże rozpoczęcia nowej wojny szwedzkiej, w Anglii odmówiono zezwolenia na polskie zaciągi. W r. 1618 elektor brandeburski Jan Zygmunt zbliżył się do Szwecyi i powziął zamiar ożenienia Gustawa Adolfa ze swą siostrą Maryą Eleonorą. Szwecya miała bowiem pokój już od lutego 1617 i to ze znacznemi korzyściami terytoryalnemi, tak, że Moskwa była odciętą od morza, a jezioro Ładoga stanowiło granicę. Stała się też Szwecya panią żeglugi narewskiej. Teraz mogła zwrócić się przeciwko Polsce, proponuje jednak dłuższy rozejm na lat 10 do 12, byle tylko obowiązywał on wszystkie ziemie Polski i Litwę, a nie same tylko Inflanty i ażeby uznał go także sam król; ale Zygmunt III nie chciał osobiście wchodzić w żadne układy z uzurpatorem. Zawrzała więc na nowo wojna, podczas której ani jeden okręt hiszpański nie pojawił się na Bałtyku i ani jednego żołnierza, ani też jednego dukata zasiłku znikąd Zygmunt III nie otrzymał. Król polegał na swym szwedzkim doradcy Jerzym Possem i Franciszku Gansnep, Niemcu z pochodzenia, a mianowanym przez niego kanclerzem szwedzkim. Wojnę przerwało 2-letnie zawieszenie broni, zawarte na św. Michał 1618, ale król uchylił się od potwierdzenia traktatu; toteż obie strony nie bardzo czuły się nim skrępowane. Na sejmie 1619 r. pojawia się projekt, aby co 20-go chłopa posyłać na wojnę; wszak równocześnie w Szwecyi co 10-ty, a w razie wyjątkowym nawet co 5-ty chłop stawał pod broń. Projektu tego nie przyjęto jednak. Biskup wendeński wystąpił z innym ciekawym wnioskiem, ażeby Inflanty wraz ze Smoleńszczyzną połączyć w jedną całość i oddać w zarząd królewiczowi Władysławowi. Senat przystał już na to, ale uchwały tej w konstytucyi sejmowej niema. Następnego roku oddano wprawdzie Smoleńszczyznę Władysławowi, ale Inflanty wykluczono; prawdopodobnie ze względu na to, że Władysław był równocześnie szwedzkim także królewiczem.

Wybuchła wojna 30-letnia a Gustaw Adolf myślał o utrwaleniu swego wpływu w północnych Niemczech, ażeby wziąć we dwa ognie króla duńskiego, a Bałtyk uczynić szwedzkiem morzem wewnętrznem. Zygmunt III, wierny Habsburgów sojusznik, gotował się do najazdu Ślązka. Znamiennem jest, że już w 1619 przewidywano na dworze palatyna reńskiego Fryderyka II, że wchodzi tu w grę Betlen Gabor, że Turcya wypowie Polsce wojnę, a Szwecya może się cieszyć długim pokojem ze strony Polski. Po klęsce cecorskiej proponowała Szwecya 10-letni rozejm za ustąpieniem Parnawy i roszczeń estońskich, żądając jednak, ażeby król ten rozejm zatwierdził także w imieniu swojem własnem. Pókiby nie miał pokoju z Polską, nie mógł Gustaw Adolf wdać się skutecznie w sprawę czeską. Król duński niechętnie był usposobionym względem Szwecyi, Anglia trzymała się polityki pojednawczej, podczas gdy Niderlandy przygotowywały się właśnie do nowej wojny z Hiszpanią. Ale komisarze polscy nie otrzymali na zjazd w maju 1621 r. pełnomocnictwa ani instrukcyi od króla, następny zaś zjazd naznaczony na koniec czerwca całkiem już nie dopisał. Z początkiem sierpnia 1621 r. ruszyło już kilka tysięcy Szwedów pod Rygę. Zdobyli szereg grodów, a wszystko to było niespodzianką dla Zygmunta III, który był silnie przekonany, że Gustaw Adolf gorąco pragnie pokoju z Polską i zamierzał nawet hetmana wysłać na Ukrainę. Nie dziw, że wobec tego kraj był niemal bezbronnym a Ryga musiała się poddać. Gustaw Adolf nazwał Prusy i Inflanty skrzydłami orła polskiego. Po upadku Rygi jedno z tych skrzydeł było już odcięte, podczas gdy Prusy były od Szwecyi zagrożone. Nim hetman zdążył z odsieczą, już Księstwo Kurlandzkie było w szwedzkiem ręku; dopiero ostra zima przerwała nieszczęśliwą wojnę. Król szwedzki liczył wiele na wojnę turecką, a gdy w przeciągu 6-ciu tygodni odparto turecki najazd i zakończono wyprawę chocimską, nastąpiła straszna konsternacya; toteż ze strony szwedzkiej pojawia się propozycya rozejmu. Ale król pokoju nie chciał, a na rozejm zezwalał tylko o tyle, o ileby to nastąpić mogło bez ujmy dla jego dziedzicznych praw do Szwecyi. Ciekawem jest, że Szwe-

cya proponowała obecnie zawarcie pokoju samej tylko Litwie; ta pierwsza próba kuszenia do zdrady nie dopisała jeszcze. Gotował się równocześnie nowy konflikt szwedzko-duński o panowanie na Bałtyku. Ani też Anglia nie sprzyjała Szwedom, a tylko Niderlandy stanęły po ich stronie. Była pogłoska, że Moskwa zerwie rozejm w porozumieniu ze Szwecyą, odwołano nawet część wojska z pod Smoleńska. Zwolna dochodziły jednak polskie posiłki do Inflant, odzyskano niektóre grody, a Szwecya godziła się już w zasadzie na zwrot ziem zabranych, żądając jedynie ratyfikacyi królewskiej. Za pośrednictwem Ryżan stanęło zawieszenie broni do 1 maja następnego roku. Rozejm ten nie tylko nie był zatwierdzonym przez Zygmunta III, ale spotkał się nawet z jego naganą, jakkolwiek w chwili, gdy go zawierano, hetman miał zaledwie kilka beczek prochu i wszystkiego razem 20 kul armatnich, podczas gdy Szwecya otrzymała świeżego żołnierza 5.000 a nadto morzem 17 chorągwi piechoty. Zawarł rozejm Gustaw Adolf, bo czuł niebezpieczeństwo ze strony duńskiej. Po zawarciu zawieszenia broni zjechał się Gustaw Adolf z Radziwiłłem i wojewodą płockim Kiszką, oświadczając im gotowość do sojuszu przeciw Turcyi; wojnę z Polską uważał więc tylko za przymusową ze względów dynastycznych. Układano się o pokój przez całą drugą połowę 1622 r., zjeżdżali się wzajemnie komisarze, ale okazało się, że układy o pokój wieczysty są przedwczesne, propozycyę zaś międzynarodowego sądu rozjemczego Gustaw Adolf odrzucił. Dłuższego rozejmu nie życzył sobie Zygmunt III, łudząc się ciągle, że się w jakiś sposób odzyska tron szwedzki, to też stanął zaledwie 2-letni rozejm do 10 czerwca 1624 r. Gdy go zawierano, pisał król właśnie list do hetmana, nakazując rozpocząć na nowo kroki wojenne i obrać leże zimowe w Estonii. List nadszedł za późno.

Sejm w r. 1623 nie poparł jednak wcale wojennych planów królewskich, przeciwnie postanowił prowadzić dalej rokowania; po 20-letniej walce wyrzekała się Rzplta dalszej obrony Inflant, ale Gustaw Adolf nie tylko się nie cofał, lecz gotował się jeszcze na Prusy i urządzał właśnie demonstracyę floty w zatoce gdańskiej.

Po długim nieurodzaju nadeszło nagle i niespodzianie piękne żniwo historyograficzne do czasów Zygmunta III i oto mamy zasadnicze zagadnienia jego panowania w nowych opracowaniach, opartych na nowym w znacznej części materyale źródłowym.

(D. c. n.).

Dr. Feliks Koneczny.

ALKOHOLIZM I ANTYALKOHOLIZM.

(Ciąg dalszy).

Jak to już wyżej zaznaczono, pijaństwo nałogowe nie zawsze jest skutkiem złego charakteru, próżniactwa lub złego przykładu, a może się także rozwinąć na tle ściśle patologicznem. Pierwszy zwrócił uwagę na tę okoliczność na początku XIX wieku lekarz amerykański Benjamin Rush, głos jego przebrzmiał jednak bez echa. Dopiero od czasu założenia pierwszego przytułku dla pijaków w r. 1851 w Lintorf pod Düsseldorfem przez pastora Engelberta z Duisburga zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na etyologię alkoholizmu chronicznego. Przekonano się, że wielu pijaków nałogowych stanowczo należy zaliczyć do ludzi chorych, psychicznie zwyrodniałych; są to przedewszystkiem pijacy dziedzicznie obciążeni, pijacy okresowi i cierpiący na różne inne postacie obłędu lub padaczkę; ludzie ci nie są w stanie oprzeć się pokusie, jaką trunek dla nich stanowi i piją nie tyle dla przyjemności, co z potrzeby odurzenia się. W ostatnich czasach wielu lekarzy stanęło nawet na tem stanowisku, że każdy wogóle pijak nałogowy jest człowiekiem chorym, trudno atoli zgodzić się na tak bezwzględny pogląd. Wobec pewnego zamieszania pojęć, jakie w tej materyi do dziś dnia zachodzi, jest rzeczą niekiedy bardzo trudną orzec, czy dany alkoholik jest istotnie człowiekiem chorym, a zatem i ocena sądowa przestępstw popełnionych przez pijaków opiera się dotąd na bardzo niepewnych podstawach; kwestya ta ze

względu na sprawiedliwość wymaga jeszcze gruntownego zbadania. Oczywiście ci nieszczęśliwi, u których pijaństwo powstało na tle patologicznem, mają najzupełniejsze prawo do tego, by społeczeństwo otoczyło ich podobną opieką, jaką otacza innych chorych; zachodzi tu pewna analogia z obłąkanymi, których nieszczęścia naturę wyświetliła dopiero medycyna nowoczesna. W ostatnich czasach uznano urzędowo w niektórych krajach pijaństwo nałogowe w pewnych przypadkach za chorobę i wprowadzono przymusowe jej leczenie w odpowiednich zakładach.

W pewnej części przypadków nałóg pijaństwa jest uleczalny nawet wówczas, gdy powstał na tle patologicznem; nawet chorobliwe pijaństwo w najcięższej postaci, pijaństwo okresowe, które Kraepelin uważa za chorobę nieuleczalną, sądząc z przypadku, jaki podaje Rosenfeld, niekiedy może być uleczone.

Głównym warunkiem pozbycia się nałogu jest bezwzględne powstrzymanie się od wszelkich napojów wyskokowych.

Ażeby odzwyczaić pijaka od trunków, stosowano dawniej różne środki farmakologiczne. Dla obrzydzenia trunków dodawano do nich środki wymiotne; za poradą Hussa podawano pijakom pokarmy z domieszką fuzlu, wydającego przykrą woń; żaden z tych sposobów nie prowadził jednak do pożądanego celu. Dzisiaj panuje zupełnie powszechnie przekonanie, że wyleczenie pijaka z nałogu możliwem jest tylko w odpowiednio do tego urządzonym zamkniętym zakładzie, w którym wszyscy, dobrowolnie czy przymusowo, są bezwzględnymi abstynentami. Wpływ psychiczny kierownika zakładu, który, zdaniem niektórych wybitnych specyalistów, nie koniecznie musi być lekarzem, ale koniecznie powinien być dobrym psychologiem, oddziaływanie religijno-moralne kapłana, pobudzenie ambicyi pijaka, wpajanie weń przekonania o niebezpieczeństwie alkoholu, ochrona od pokusy, wpływ innych chorych, którzy zaczynają już odczuwać i oceniać zbawienne skutki wstrzemięźliwości i okazują wzrastające stąd zadowolenie, praca na wolnem powietrzu lub w warsztacie, ćwiczenia cielesne, przyzwyczajenie do porządku i systematycznej pracy, rozrywki, dobre odżywianie,

niekiedy suggestya w hipnozie, kąpiele i elektryzowanie stanowią dzisiaj główne środki lecznicze, zapomocą których zwalcza się w takich zakładach już rozwinięty nałóg pijaństwa; powstałe zaś przezeń choroby leczy się jednocześnie według zasad sztuki lekarskiej.

W braku specyalnych zakładów leczenie pijaków w wielu krajach odbywa się w zakładach dla nerwowo chorych, w domach dla obłąkanych i zakładach wodoleczniczych. Wprawdzie na ostatnim Zjeździe południowo-zachodnich psychiatrów niemieckich w Sztutgarcie w r. 1902 odzywały się głosy za umieszczaniem nałogowych pijaków nie w specyalnych zakładach, a w specyalnych oddziałach zakładów dla nerwowo chorych, przeważna jednak część neuropatologów jest zdania, że tylko alkoholicy dotknięci jedną z postaci obłędu winni być leczeni w zakładach dla obłąkanych, inni zaś alkoholicy mają szanse wyleczenia się ze swego nałogu jedynie w specyalnych zakładach leczniczych. Dla uratowania więc tych jednostek, które przez nałóg nie są jeszcze zupełnie zgubione, jest rzeczą konieczną, by odpowiednie zakłady dla pijaków powstały tam, gdzie ich dotąd jeszcze niema, i by państwo czy kraj, ponosząc część kosztów utrzymania takich zakładów, podobnie jak ponosi koszty innych szpitali, umożliwiły korzystanie z nich ludności biedniejszej, zwłaszcza że dla tej właśnie części ludności zakłady takie są bodaj najpotrzebniejsze. Zagranicą zakładów leczniczych dla alkoholików jest dzisiaj już dosyć dużo: w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest ich kilkadziesiąt; najstarszy z nich, założony w r. 1854 w Stanie Maine przez dra Turnera już nie istnieje, obecnie więc najstarszym jest Washingtonian House w Bostonie, założony w r. 1857, od r. 1867 uznany za zakład państwowy. W Europie najstarszym jest zakład w Lintorf założony pierwotnie jako przytułek dla wypuszczonych z więzienia przestępców. Szwajcarya liczy kilkanaście zakładów leczniczych dla pijaków; najsłynniejszym jest Ellikon pod Zurychem, który powstał z inicyatywy prof. Forela, zasłużonego działacza na polu zwalczania alkoholizmu; kierownikiem tego zakładu jest Bosshardt, z zawodu szewc, który

znakomicie wyspecyalizował się w leczeniu pijaków; wszystkie zakłady szwajcarskie są prywatne, ale nie są prowadzone dla zysku, mają więc poniekąd charakter instytucyi użyteczności publicznej. W Anglii i prawie we wszystkich koloniach Wielkiej Brytanii są prywatne zakłady dla pijaków. W Niemczech jest ich kilkadziesiąt; są nawet specyalne lecznice dla dam z lepszych sfer towarzyskich; wszystkie te zakłady są również prywatne. Szwecya i Norwegia posiadają po kilka zakładów, we Francyi, Belgii i Holandyi niema ich dotąd zupełnie. W Rosyi jest zaledwie kilka małych zakładów prywatnych, jakkolwiek we wskazówkach kierowniczych z d. 28 stycznia 1897 ministerstwo finansów zaleciło nowoutworzonym kuratoryom trzeźwości otwieranie zakładów leczniczych dla pijaków. W Austryi istnieje zakład prywatny w Pranthof prowadzony przez dra Hackera, oraz również prywatna lecznica *Tannhof* w Gratwein w Styryi. Sejm dolno-austryacki w r. 1892 polecił Wydziałowi Krajowemu opracowanie projektu zakładu leczniczego dla pijaków i uchwalił na ten cel 50.000 fl., projekt ten dotychczas jednak się nie urzeczywistnił; próba umieszczania nałogowych pijaków z biedniejszych warstw ludności w prywatnym zakładzie pod Mühldorfem nad Dunajem, za których kraj płacił dziennie po K 2 h 70, i nadto którym dostarczał ubrania i bielizny, nie powiodła się z powodu braku poparcia przez ludność miejscową, która nie oceniała należycie doniosłości tej próby. U nas sprawa zakładów dla nałogowych pijaków nie wyszła jeszcze poza nawoływania lekarzy.

W sprawie tej nawet co do niektórych punktów zasadniczych wśród praktyków zawodowych brak jeszcze jednomyślności. Jedni żądają, by zakłady takie fundowało państwo lub kraj na wzór innych szpitali; inni, np. niektórzy psychiatrzy szwajcarscy, uważają, że zakłady dla pijaków powinny być nie rządowe, a prywatne, niewielkie, obliczone najwyżej na 35—40 chorych, gdyż tylko w takich warunkach jest możliwe dobre ich kierownictwo i utrzymywanie pewnej łączności ze stowarzyszeniami wstrzemięźliwości, bez której zakładu prowadzić nie warto, a przytem zakłady prywatne wzbudzają wśród pu-

bliczności większe zaufanie jak zakłady rządowe. Jedni są zdania, że kierownikiem zakładu stanowczo powinien być lekarz, inni zaś uważają przeciwnie, że lepiej jest, gdy kierownik zakładu nie jest lekarzem, leczenie bowiem traci przez to charakter przymusowy. Związana z tworzeniem zakładów dla alkoholików sprawa przymusowego oddawania do nich pijaków i prawa przymusowego zatrzymywania ich tam w ciągu dłuższego czasu również nie jest jeszcze przez praktykę zupełnie wyświetloną. Leczenie alkoholików w specyalnych zakładach ma przytem i tę niedobrą stronę, że trwa długo, przeciętnie około roku, wymaga przeto opuszczenia domu i rodziny na czas dłuższy; człowiek ponosi przytem zazwyczaj znaczną stratę materyalną nie tylko z powodu utraty zarobku w czasie leczenia się, ale i z tego powodu, że traci posadę czy zajęcie stałe, jakie miał poprzednio. Wprawdzie wiele zakładów za pośrednictwem stowarzyszeń wstrzemięźliwości, z którymi stale utrzymuje stosunki, wyszukuje swoim pacyentom pracę po wypisaniu ich z zakładu, a w niektórych zakładach zwraca się część zarobku, jaki ma pacyent z pracy w warsztacie, jego rodzinie lub jemu samemu po pozbyciu się nałogu, wszystkie te środki zmniejszają jednak tylko w małym stopniu straty pieniężne, jakie leczący się ponosi. Do tego przychodzą jeszcze koszty leczenia się. Niektóre zakłady otrzymują subwencyę od rządu, przez co koszty leczenia się w nich są mniejsze; tak jest w niektórych Stanach Ameryki Północnej i w Szwajcaryi, gdzie rząd przeznacza na utrzymanie zakładów leczniczych dla pijaków pewną część dochodu z monopolu wódczanego.

Pomimo powyższych wątpliwości oraz stron ujemnych leczenia pijaków w specyalnych zakładach, pożyteczność takich zakładów żadnej nie ulega kwestyi, albowiem tylko przez kuracyę przeprowadzoną w zakładzie społeczeństwo może odzyskać pewną część bez tego straconych swych członków, którzy po wyleczeniu się z nałogu mogą być jeszcze dlań pożyteczni, zaś nie leczeni mogą się stać sprawcami wielu nieszczęść.

Wyniki leczenia nałogowego pijaństwa w różnych zakładach są rozmaite: zakłady amerykańskie wykazują przeciętnie

około 35% uleczonych. W zakładach szwajcarskich odsetka uleczonych w ostatnich czasach jest wyższa; wynosi ona w zakładzie Ellikon 70·1% uleczonych, nadto 6% poprawionych, inne zaś zakłady wykazują 50—60% uleczonych, oraz znaczną odsetkę poprawionych. Według ogłoszonego we wrześniu 1903 r. sprawozdania, w lecznicy dla alkoholików w Jekaterynosławiu z 338 chorych uleczono 274, czyli 81%.

Z powyższych liczb wypada, że nawet w najpomyślniejszych warunkach tylko część nałogowych pijaków może być uleczoną. Reszta niezmiernie łatwo ulega recydywom i nie może do śmierci pozbyć się swego nałogu; są to przeważnie ludzie dziedzicznie obciążeni. Jeżeli się zważy, wiele nieszczęść i strat ludzie tacy przyczynić mogą ogółowi, często nawet zupełnie nieświadomie, to nie tylko już z poczucia humanitarnego, ale zarazem z dobrze zrozumianego własnego interesu społeczeństwo powinno zapewnić im schronienie i odpowiednią opiekę w przytułkach lub koloniach rolniczych czy przemysłowych. Według postulatu psychiatrów szwajcarskich zakłady dla nieuleczalnych pijaków powinny być instytucyami rządowemi, urządzonemi podobnie jak zakłady lub kolonie dla obłąkanych; przytem nie powinny one mieć charakteru instytucyi karnych. Zakłady takie czy to państwowe, czy też będące dziełem towarzystw dobroczynności istnieją już dzisiaj w Ameryce Północnej, w Anglii i Niemczech; we Francyi Rada departamentu Sekwany uchwaliła kredyt na założenie przytułku dla 500 nałogowych pijaków. W Austryi projektu rządowego w tej mierze z r. 1887 dotąd nie urzeczywistniono.

Nadto potrzebne są zakłady lub też odrębne oddziały innych zakładów, w których należałoby umieszczać alkoholików przestępców, których często, jako ludzi chorych, winno się traktować inaczej, jak zwykłych zbrodniarzy.

Szerzenie się alkoholizmu, zwłaszcza w ostatnich czasach, w przeważnej części krajów starego i nowego świata wywołało niemal wszędzie potrzebę zaradzenia złemu i dążność do zwalczania tego wroga ludzkości. W walce z nałogiem pijaństwa, jak zresztą z każdem złem społecznem czy osobistem, znacznie

ważniejszem od zaradzania skutkom nieszczęścia, które już powstało, jest działanie zapobiegawcze; ażeby zaś takie działanie pożądany odnosiło skutek, musi ono być skierowane na samo źródło, z którego złe płynie, tu je razić i tłumić w zarodku. Poznanie przeto przyczyn, popychających ludzi do pijaństwa jest w zwalczaniu alkoholizmu czynnikiem pierwszorzędnej wagi.

Historya i etnografia wskazują, że wszystkie niemal ludy po wsze czasy odczuwały i do dziś dnia odczuwają potrzebę używek, działających na układ nerwowy. Na Wschodzie, gdzie Islam zabrania wina, ludzie odurzają się haszyszem i opium, a w ostatnich czasach zaczynają używać wódki i piwa, których Koran nie zna, a przeto nie potępia. Prawie wszystkie znane dziś ludy dzikie używają napojów wprawiających człowieka w stan przyjemnego pobudzenia lub odurzenia; wstrętny dla Europejczyka smak takich napojów ani obrzydliwy sposób ich przyrządzania nie odstręcza ludów pierwotnych od takich używek, skoro tylko pożądane działanie na układ nerwowy wywierają: Kamczadali piją nastój na muchomory; bogaci Polinezyjczycy piją odurzający napój zwany kawa-kawa, którego sposób przyrządzenia w Europejczyku wstręt budzi; biedniejsi zaś, których na ten trunek nie stać, piją wydzielinę bogatych, z którą część działających składników trunku z organizmu uchodzi. Na tej podstawie wielu badaczów uważa, że u ludzi kulturnych pociąg do napojów wyskokowych jest czysto popędowy, instynktowny; pogląd ten zwalcza prof. Forel, twierdząc, że używanie wyskoku utrzymuje się dotąd tylko przez znaną w psychologii inercyę, która sprawia, że wiele czynów ludzkich bardziej od przyzwyczajenia, niźli od rozumu zależy. Inni badacze sądzą, że obecnie pociąg do alkoholu czy odczuwanie potrzeby używania trunków wyskokowych występuje na tle dziedzicznem; że tak jest istotnie bardzo często u potomków rodów pijackich, żadnej nie ulega wątpliwości, atoli w odniesieniu do całego ogółu przypuszczenie to nie wydaje się uzasadnionem, gdyż nawet w społeczeństwach bardzo zalkoholizowanych w poprzednich pokoleniach pewna część ludności,

często nawet znaczna, nie używała trunków wyskokowych z powodu ich drożyzny, w późniejszych zaś pokoleniach w tych samych warstwach ludności wraz z obniżeniem się ceny alkoholu powstał pociąg do trunków. Natomiast ta okoliczność, że człowiek, nie zdający sobie dokładnie sprawy z działania alkoholu, który raz poznał przyjemne czy pożyteczne w jego mniemaniu działanie trunku, w pewnych warunkach odczuwa jego potrzebę i dąży do poddania się jego działaniu, jest niewątpliwie jedną z najgłówniejszych przyczyn, jakie zniewalają ludzi do używania, a co za tem często idzie, do nadużywania trunków wyskokowych.

Wszak nie wszyscy wiedzą, że wyskok już w miernych dawkach obniża ciepłotę ciała przez wzmożenie utraty ciepła, a w dawkach większych zarazem i wskutek upośledzenia przemiany materyi; wszyscy natomiast po napiciu się wódki odczuwają ciepło wskutek zadrażnienia błony śluzowej żołądka oraz rozszerzenia naczyń skórnych; chociaż więc wyskok oziębia, piją go ludzie dla rozgrzania się.

Ludzie ciężko pracujący fizycznie nie zdają sobie sprawy z tego, że alkohol obniża wydajność ich pracy, jeśli praca ta trwa w ciągu dłuższego czasu; natomiast po miernej dawce alkoholu ludzie ci na razie odczuwają, że im sił przybyło; chociaż więc wyskok przy dłuższej pracy osłabia, ludzie go piją dla wzmocnienia się.

Wielu ludzi, którzy odczuwają po napiciu się wódki przed jedzeniem zwiększenie łaknienia, piją ją regularnie dla pobudzenia apetytu i lepszego trawienia; ludzie ci nie zdają sobie jednak sprawy z tego, że regularne używanie trunków wyskokowych choćby w niewielkiej ilości może być skądinąd dla zdrowia szkodliwem; chociaż mamy pewne wskazówki, że przy takiem użyciu alkohol zdrowie podkopać i rychlejszą śmierć sprowadzić może, ludzie używają go jako środka higieniczno-dyetetycznego.

Nie wszyscy wiedzą, że alkohol już w małych dawkach użyty poraża pewne wyższe czynności mózgowe, a w większych dawkach upośledza jasność sądu i zdolność krytyki; natomiast prawie wszyscy, właśnie dlatego, odczuwają przy trunku pewne

zadowolenie ze siebie i jakby pobudzenie duchowe, którego istotnej wartości nie są w stanie ocenić; jakkolwiek więc alkohol w rzeczywistości deprymuje, przytępia władze umysłowe, ludzie piją go, ażeby się podniecić i umysł sobie rozjaśnić.

Jak to widać z powyższego zestawienia, wielu ludzi używa trunków wyskokowych w pewnym ściśle określonym celu, a przytem odczuwa, że przez trunek zamierzony cel został osiągnięty. Niewątpliwie bardzo często uczucie to jest zawodne; nie da się jednak zaprzeczyć, że w pewnej części przypadków, w których chodzi czy to o ułatwienie jakiegoś krótko trwającego wysiłku fizycznego, czy o doraźne wzniecenie łaknienia przez małą dawkę alkoholu, to co człowiek odczuwa, odpowiada rzeczywistości, którą łatwo stwierdzić, a stąd powstaje silne, bo z własnego, głębokiego przekonania płynące przeświadczenie, że alkohol działa korzystnie. Sądzę, że te nieliczne wprawdzie, ale bądź co bądź niekiedy zachodzące przypadki doraźnej pożyteczności alkoholu nawet dla człowieka zdrowego i powstałe przytem zgodne z rzeczywistością głębokie przekonanie ludzi, że tak jest istotnie, są jedną z najgłówniejszych przyczyn, dla których trunki wyskokowe pomimo wogóle szkodliwego ich działania i ogromu nieszczęścia, jakie na ludzkość sprowadziły, przez tyle wieków przetrwały.

Niebezpieczeństwo trunków wyskokowych polega głównie na tem, że ludzie często lub stale ich używający szybko się do nich przyzwyczajają, tak że muszą stopniowo zwiększać ich dawkę, ażeby mieć poczucie, że zamierzony cel osiągnęli. Najczęściej poczucie to jest wówczas zawodnem, co zaś ważniejsza, zwiększenie dawki alkoholu prowadzi szybko do przekroczenia granicy, poza którą wyskok tylko szkodliwe dla zdrowia następstwa sprowadza. Powstawanie nałogu pijaństwa w powyższych warunkach jest zjawiskiem niezmiernie częstem; może nie tak częstem, jak to twierdzi Bunge, skoro istnieją ludzie, i to nie wyjątkowi, którzy używając przez długie lata trunków wyskokowych w bardzo małych ilościach, umieją do końca miarę zachować; nie ulega jednak wątpliwości, że najczęściej pijaństwo, czyli picie nieumiarkowane rozpoczyna się od regularnego picia

umiarkowanego. Okoliczność ta jest także jednym z ważnych powodów, dla których wszelkiego stałego używania trunków wyskokowych zupełnie zaniechać należy.

Wielu ludzi pije dla przyjemności towarzyskiej, wiadomo im bowiem, że przy trunku w towarzystwie czas przyjemniej im schodzi. Wprawdzie bliższa analiza stanu pijących wskazuje, że owo zwiększenie towarzyskości polega na przyćmieniu władz umysłowych, ale ludzie sami tego zazwyczaj nie spostrzegają, natomiast wesołość powstała przy kieliszku, a potem przyjemne wspomnienia zabawy sprawiają, że ludzie piją dla tej właśnie zabawy. Inni szukają w trunku tego, co u człowieka zdrowego, nieobciążonego występuje dopiero po przekroczeniu granic umiarkowania, mianowicie odurzenia. Rzadko się zdarza, by ludziom tym chodziło o samą przyjemność odurzenia, o ów stan pewnej błogości, w jaki alkohol niektórych ludzi wprawia; najczęściej szukają ci ludzie w trunku zapomnienia i ukojenia w nieszczęściu czy zgryzocie. Są ludzie, u których trunki wyskokowe potęgują jeszcze sprowadzoną przez zmartwienie depresyę psychiczną; atoli najczęściej alkohol istotnie pozwala człowiekowi chwilowo zapomnieć o trapiących go troskach. Ażeby jednak cel ten osiągnąć, potrzeba zwykle znacznej dawki alkoholu, a przy trwającem strapieniu i stałem szukaniu pociechy w trunku trzeba stopniowo dawkę tę jeszcze powiększać; przez to oczywiście człowiek nie tylko się nie krzepi na duchu, ale przeciwnie, odporność jego na przeciwności życiowe maleje; nie mogąc zaś oprzeć się pokusie chwilowego zatopienia zgryzoty w kieliszku, człowiek wpada w nałóg pijaństwa.

Na przedostatnim zjeździe antyalkoholistów w Wiedniu prof. Massaryk wśród przyczyn, popychających ludzi do kieliszka, przytacza tę okoliczność, że człowiek współczesny wskutek pożądania nadmiernego szczęścia zazwyczaj czuje się nie szczęśliwym; alkohol wprawia go w stan rozweselenia, wprawdzie głupiego *(macht ihn mopsvergnügt)*, ale niewątpliwie przyjemniejszego od depresyi odczuwanej na trzeźwo. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wielu ludzi czułoby się bardziej szczęśliwymi, gdyby nie trapiły ich różne czy to w naturalny

sposób powstałe, czy też sztucznie w nich rozbudzone pożądania, obecnie, a może i nigdy urzeczywistnić się nie dające. Pomijając pożądania przesadne i niesłuszne, nie licujące z kulturą, a przeto z istotną potrzebą pożądających, w sprawiedliwej ocenie warunków życiowych wielkich mas ludności, pracującej czy to na roli, czy w zakładach przemysłowych, uznać trzeba, że do dnia dzisiejszego masy te często nie tylko są pozbawione wszelkiej szlachetniejszej rozrywki, ale muszą się nawet obywać bez zaspokojenia niektórych elementarnych potrzeb, z których najważniejsze dotyczą mieszkania i pożywienia; brak dobrej wody do picia w miejscu pracy, w pobliżu którego szynku zazwyczaj nie brakuje, brak odpowiedniego miejsca do zebrania się dla pogawędki w chwilach wolnych od pracy, przy powszechnym niemal braku oświaty tych mas ludności są bodaj najważniejszym czynnikiem, prowadzącym ludzi do pijaństwa. Dlatego to na strejkach robotników zarabiają często najlepiej okoliczni szynkarze; we Francyi szynkarze niekiedy nawet sami takie strejki organizują, zapewne nie tylko jako osobistości wśród robotników wielce wpływowe, ale i nie wbrew własnemu interesowi.

Ostatnio przytoczone źródło pijaństwa jest bez kwestyi jednem z najważniejszych, gdyż powstawanie nałogu wiąże się tutaj z doniosłemi zagadnieniami społecznemi doby obecnej. Nałóg pijaństwa nie tylko bowiem prowadzi do nędzy, ale często także z nędzy się rodzi.

Poza tem ludzie piją niekiedy w pewnych szczególnych okolicznościach dla nabrania odwagi, uspokojenia gniewu, pobudzenia gasnących chuci. Poeci i artyści piją niekiedy dla pobudzenia wyobraźni i nabrania natchnienia. Tołstoj twierdzi, że ludzie piją głównie dla zagłuszenia sumienia. Pesymistyczny pogląd ten nie jest jednak uzasadniony; z obserwacyi życiowej, przynajmniej u nas, wynosi się to przekonanie, że większość ludzi, używających trunków wyskokowych, pije je wprost przez naśladownictwo lub z przyzwyczajenia, nie mając w tem żadnego szczególnego celu i nie zastanawia się ani nad potrzebą alkoholu dla organizmu, ani też nad jego działaniem i skutkami.

Dalszą przyczyną pijaństwa jest pewna presya, a nawet

przymus picia, jakiemu podlegają ludzie w niektórych zawodach; w wielu browarach dotąd istnieje zwyczaj wypłacania robotnikom części zarobku w piwie, co w niektórych browarach niemieckich czyni dziennie do 6 litrów piwa, którego przytem nie wolno z fabryki wynosić i które można tylko na miejscu wypić. Służba żeńska w wielu zakładach restauracyjnych i kawiarniach ma obowiązek picia z gośćmi i zachęcania ich do picia. W niektórych armiach panuje zwyczaj, poniekąd nawet przymus częstowania starszych przez młodszych. U nas wśród tej grupy przyczyn wysuwa się na plan pierwszy demoralizująca działalność szynkarzy na ciemny lud, zwłaszcza na tych, którzy mieli nieszczęście wpaść w zależność pieniężną od nich. Zakorzeniony zwyczaj używania trunków wyskokowych przy różnych uroczystościach i różnych okazyach jest również częstą przyczyną pijaństwa; zmuszanie do picia innych jest przytem zwyczajem bardzo rozpowszechnionym, zwłaszcza u nas, gdzie jest on często wyrazem gościnności lub uprzejmości; nieznoszenie zaś trunków czyli słaba głowa jest dotychczas w bardzo szerokich kołach uważana za rzecz śmieszną a nawet poniekąd poniżającą, której ludzie się wstydzą i dlatego nieraz zupełnie świadomie narażają się na fatalne następstwa alkoholu.

Zły przykład, jaki dają rodzice dzieciom, warstwy wyższe niższym, stanowi również ważną przyczynę pijaństwa.

Do rzędu przyczyn popychających ludzi do pijaństwa należy także zwyczaj dawania ludności czy wojsku napojów wyskokowych w wielkie uroczystości; w Rosyi np. prócz okazyi nadzwyczajnych żołnierze dostają wódkę 9 razy do roku.

Do tego samego rzędu czynników należy łatwość, z jaką przy nizkiej cenie alkoholu można dziś wszędzie dostać trunków wyskokowych. Że czynnik ten ma rzeczywiście duże znaczenie, wskazuje powszechne niemal pijaństwo panujące w zawodach związanych z produkcyą lub sprzedażą trunków; małe gorzelnie domowe, jakie dawniejszemi czasy istniały w Norwegii, Szwecyi, Finlandyi, Szwajcaryi i Francyi również wymownie o tem świadczą. Po większych miastach na każdym niemal rogu ulicy można dostać alkoholu, wiele zaś zakładów opartych głów-

nie na sprzedaży trunków wabi przytem ludzi przez inne atrakcye, jako to muzykę, produkcye szańsonetek, kuglarzy i t. p. Niedawno usiłowano nawet w niektórych miastach austryackich zaprowadzić na ulicach i w miejscach publicznych automaty, wydające za 20 halerzy flaszeczkę koniaku.

Do rozpowszechnienia się pijaństwa przyczyniło się także niewątpliwie panujące w najszerszych kołach ludności mniemanie, że alkohol jest cennym środkiem wzmacniającym. Nie da się zaprzeczyć, że do powstania i utrwalenia się takiego mniemania przyczynili się poniekąd lekarze, którzy do niedawna może za rozlegle środek ten stosowali. Winić o to lekarzy stanowczo jednak nie należy, gdyż dopiero ścisłe badania nad alkoholem, podjęte w ostatnich czasach, jego działanie fizyologiczne na niektóre ważne czynności ustroju dokładnie wyświetliły, w innych zaś szczegółach działanie to, zwłaszcza w chorobach, do dnia dzisiejszego zupełnie jasnem jeszcze nie jest; opierano się przeto głównie na obserwacyach z natury swej nieścisłych, oraz na poczuciu podmiotowem, niestety często zawodnem.

Na początku niniejszej pracy zauważyliśmy, że obecnie pijaństwo grasuje przeważnie wśród biedniejszych warstw ludności, a zatem wśród ludzi, używających tanich gatunków trunków wyskokowych. Niebezpieczeństwo stąd płynące jest o tyle większe, że trunki te oprócz alkoholu zawierają najwięcej drugorzędnych trujących składników. W zwalczaniu nałogu pijaństwa i z tego względu należy przeto nad biedną a przytem ciemną ludnością szczególną roztoczyć pieczę.

Wobec mnogości czynników, popychających ludzi do pijaństwa, w nowoczesnym ruchu antyalkoholowym zespoliły się działania zapobiegawcze, zwrócone w rozmaitych kierunkach i obejmujące różne okresy i różne dziedziny życia ludzkiego.

W wielu krajach zrozumiano, jak dużo mogą w tym względzie zdziałać dobre ustawy państwowe, oparte na wynikach badań naukowych i zastosowane do warunków miejscowych. Wprawdzie same ustawy, zwłaszcza takie, które wkraczają do życia prywatnego obywateli i obejmują tradycyą uświęcone zwyczaje, odnoszą bezpośrednio pożądany skutek jedynie wów-

czas, gdy nie tylko są wyrazem istotnej potrzeby, ale gdy potrzebę tę odczuwa co najmniej znaczna część rozumnych obywateli i danym ustawom udziela niejako swego moralnego poparcia; ale wobec tego że w ustawach, mających na celu zwalczanie pijaństwa, nie tyle chodzi o element poprawczy, co o czynnik wychowawczy, działający na pojęcia ludności przez napiętnowanie złego, dobra ustawa, choćby na razie przyjęta z niechęcią, po pewnym czasie może działać bardzo korzystnie, z biegiem czasu coraz więcej ludzi poznaje bowiem i przekonywa się, że to, czego ustawa zabrania, jest istotnie szkodliwem i karygodnem. Jak wielkie znaczenie w zwalczaniu zakorzenionego zwyczaju mają środki karne, świadczy okoliczność, że pojedynki w armii angielskiej ustały dopiero wtedy, gdy zaczęto za nie nakładać na oficerów zniesławiające kary. Bunge podnosi fakt, że morfinistami są przeważnie lekarze, a więc ci którzy bez obejścia ustawy mogą w każdej chwili dostać tej trucizny w dowolnej ilości.

Wszystkie narody cywilizowane posiadają od dawna ustawy, zwrócone przeciwko pijaństwu. Według ustaw dawniejszych władza wkracza jednak dopiero wówczas, gdy wskutek pijaństwa nieszczęście się już stało, lub gdy już nastąpił czyn karygodny, najczęściej wtedy, gdy pijaństwo w miejscu publicznem stało się powodem zgorszenia innych, lub obraziło poczucie obyczajności; profilaktyki zaś pijaństwa ustawy te albo zupełnie nie obejmują, albo też uwzględniają ją tylko w bardzo małym stopniu. Nowoczesna reforma odnośnego ustawodawstwa zmierza głównie do dwu celów, mianowicie do zapobiegania przynajmniej pijaństwu wyższego stopnia, zanim wyniknie stąd szkoda czy przestępstwo, oraz do unieszkodliwienia, a względnie ratowania tych, którzy już się stali ofiarą nałogu.

Zapobiegać pijaństwu ma zwykle szereg ustaw, ujętych w jedną całość czyli system. Najdalej idącym, najradykalniejszym z tych systemów jest t. zw. System maineński wprowadzony po raz pierwszy w r. 1851 w stanie Ameryki Północnej Maine. System ten polega na zakazie produkowania, przywozu i sprzedaży wszelkich trunków wyskokowych; zaprowadzono go

w niektórych stanach Ameryki Północnej. W ostatnich czasach negus abissyński Menelik wydał podobny zakaz w swojem państwie.

System znany pod nazwą *Local Option* nadaje poszczególnym gminom lub okręgom prawo zakazu wyrobu i sprzedaży trunków wyskokowych w swoich granicach. System ten zaprowadziły niektóre stany Ameryki Północnej. Podobny system panuje w Szwecyi, gdzie gminy mają prawo zakazu drobnego handlu wódką w swoich granicach; zakaz ten nie tyczy się jednak kupców, którzy uzyskali specyalne pozwolenie na handel trunkami w ilości przez władze określonej; przytem rząd ma prawo oddawać sprzedaż detaliczną trunków specyalnie w tym celu zawiązanym stowarzyszeniom.

W Gotenburgu powstał w r. 1865 system specyalny, zwany gotenburskim, zaprowadzony dzisiaj w przeważnej części większych miast szwedzkich. Elita obywateli miejscowych założyła podówczas „Gotenburskie Towarzystwo akcyjne sprzedaży trunków", które wykupiło koncesye na wszystkie szynki w mieście; przez lat 20 pomimo znacznego przyrostu ludności zredukowano ilość szynków ze stu kilkudziesięciu do 19. Akcyonaryusze zadawalają się dochodem, wynoszącym 5% od wyłożonego kapitału, a resztę zysku, osiągniętego przy sprzedaży trunków, oddają miejscowym instytucyom dobroczynnym, kasie miejskiej, oraz kasom robotniczym. Szynki Towarzystwa Gotenburskiego są to obszerne, czysto utrzymane lokale, w których prócz trunków wyskokowych można dostać innych napojów i różnych potraw; przy każdym szynku jest czytelnia. Lokale te są otwarte od 9 rano; trunki wydaje się do godziny 7 wieczorem i to tylko w dnie powszednie; jadalnia zaś i czytelnia są otwarte do godz. 10 wieczorem. Nieletnim do lat 18-tu, pijanym, oraz nałogowym pijakom, których fotografie zakłady te posiadają, trunków się nie sprzedaje; nie wydaje się ich również na kredyt. Zarządców szynków wybiera się wyłącznie z pośród abstynentów; pobierają oni stałą płacę, a nadto mają pewien dochód ze sprzedanych potraw, wszelkich napojów bezalkoholowych oraz piwa.

W Norwegii panuje podobny system jak w Szwecyi; w kilkunastu miastach wódki wcale nie wolno sprzedawać, w innych

zaprowadzono system gotenburski. W Finlandyi wprowadzono również *Local Option;* wszystkie gminy wiejskie zabroniły w swoich granicach sprzedaży wódki, a nadto 97% gmin zabroniło wyszynku piwa i wina; każdy browar może sprzedawać swój produkt tylko w jednem miejscu; w wielu miastach zaprowadzono system gotenburski.

System holenderski, który powstał w r. 1881, polega na ograniczeniu ilości szynków podług ludności, oraz na nadaniu gminom prawa udzielania pozwolenia na drobną sprzedaż w swoich granicach trunków poniżej 2 litrów. W gminach z ludnością ponad 50.000 ilość szynków nie może przekraczać stosunku 1 na 500 mieszkańców, w gminach o ludności 20.000 do 50.000 1 na 300, a w pozostałych gminach ilość szynków nie może przekraczać stosunku 1 na 250 mieszkańców.

System monopolu państwowego zaprowadzono dotychczas w dwu państwach, w Szwajcaryi i w Rosyi.

W Szwajcaryi, według ustawy z 23 grudnia 1886 r., od r. 1887 prawo produkcyi i przywozu alkoholu przysługuje tylko Związkowi, z tem jednak ograniczeniem, że $^1/_4$ skonsumowanego alkoholu może być wyprodukowana z krajowych płodów rolnych przez producentów miejscowych, zakontraktowanych przez rząd; rząd wielką przywiązuje wagę do dokładnej rektyfikacyi alkoholu. Fabrykacya likierów oraz destylacya wina, owoców i jagód krajowych jest zupełnie wolna. Import wyższych gatunków trunków wyskokowych do kraju jest dozwolony osobom prywatnym za złożeniem pewnej opłaty.

Monopol rządowy rosyjski, zaprowadzony w niektórych guberniach w r. 1895, a rozciągnięty na wszystkie gubernie Rosyi Europejskiej w lipcu 1902 r., polega na ześrodkowaniu w rękach rządu sprzedaży spirytusu. Gorzelnie krajowe, na których prowadzenie potrzeba uzyskać zezwolenie rządu, mają wyznaczony kontyngent pędzonego wyskoku; alkohol rektyfikuje się albo w zakładach rządowych, albo też pod kontrolą rządu. Sprzedaż alkoholu, głównie jako 40% wódki, w naczyniach zamkniętych, odbywa się w sklepach rządowych; znaczną część szynków i małych traktyerni zamknięto, w pozostałych

zaś wolno sprzedawać wódkę tylko w naczyniach zamkniętych i po cenie rządowej. Wraz ze zmonopolizowaniem sprzedaży wódki założył rząd rosyjski kuratorya trzeźwości, których organizacya jest zupełnie urzędowa; do komitetów powiatowych, którym przewodniczy marszałek szlachty, powołano miejscowego duchownego, przeważnie urzędników państwowych, oraz po 2 członków rady powiatowej i 2 przedstawicieli miasta; komitetom tym przysługuje prawo dobierania członków z pośród osób prywatnych. Według wskazówek kierowniczych ministra finansów dla kuratoryów trzeźwości z dnia 28 stycznia 1897 r., nie powinny one dążyć do celów utopijnych t. j. do szerzenia zupełnej wstrzemięźliwości od wódki; we wskazówkach tych zaleca się tylko kuratoryom zwalczanie pijaństwa, gdyż ze stanowiska państwowego ważnem jest tylko zabezpieczenie ludu od nieumiarkowanego używania napojów, jako niszczącego zdrowie i dobrobyt ludu i działającego nań szkodliwie pod względem moralnym. W tym celu mają kuratorya nadzorować sprzedaż trunków, rozpowszechniać wiadomości o szkodliwem nadużywaniu trunków, dostarczać ludności sposobności do spędzenia czasu wolnego poza szynkami przez zakładanie herbaciarni, czytelni, urządzanie odczytów, zabaw ludowych i t. p., oraz popierać instytucye i towarzystwa, które do tych samych celów dążą. Na ten cel przeznacza rząd rocznie 3,000.000 rb. Do niedawna w herbaciarniach założonych przez kuratorya trzeźwości wódki zupełnie nie sprzedawano; w ostatnich zaś czasach powstał w ministerstwie skarbu zamiar wprowadzenia sprzedaży wódki w umiarkowanej ilości w herbaciarniach, a to w celu przeciwdziałania piciu wódki przez ludność na ulicy.

W Niemczech projekt zaprowadzenia rządowego monopolu wódczanego w r. 1884 i 1886 rada państwa odrzuciła.

We Francyi projekt monopolu fakultatywnego w r. 1886 i projekt monopolu rządowego w r. 1891 upadły. Od 1 stycznia 1905 r. rząd ma zmonopolizować w swym ręku produkcyę, rektyfikacyę i sprzedaż alkoholu.

(C. d. n.).

Karol Klecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Studya i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi. *Maryan Sokołowski.* Tom I.

Nie tylko uczonemu światu, ale i szerszym kołom oświeconych czytelników, oddał wielką przysługę znany i tak słusznie ceniony profesor historyi sztuki w Uniwersytecie Jagiellońskim, zbierając w jeden tom cały szereg swych rozpraw, których przedtem trzeba było szukać „w rozmaitych przeglądach i dziennikach". Już tych kilka słów z przedmowy charakteryzuje dostatecznie książkę: nie zawiera ona ciężkich i suchych, ściśle naukowych prac, przeznaczonych wyłącznie dla zawodowych badaczy sztuki, te bowiem ogłasza prof. Sokołowski w wydawnictwach Akademii. Lecz i w tych lekko i przystępnie skreślonych szkicach odbija się rzetelna praca i głęboka wiedza, której plonem uczonemu nie zawadzi od czasu do czasu podzielić się z bardziej wykształconemi warstwami społeczeństwa. Jest to niezawodnie ofiara czasu i trudu, tem cenniejsza, że ją uczeni tak rzadko spełniają. Prof. Sokołowski nigdy się od niej nie usuwał, w parze z ścisłemi badaniami źródłowemi, które mu w nauce zapewniły wybitne stanowisko, idą u niego już od lat wielu prace przyczyniające się niemało do wykształcenia ogółu, do rozwinięcia pojęć i zamiłowań artystycznych. Sam autor we wstępie zaznacza, że najdawniejsza z nich była pisana w r. 1876, a ostatnia w r. 1889. W obszernym tomie, liczącym przeszło 500 stron druku, mieszczą się więc rzeczy pochodzące z trzynastoletniego okresu i z najróżnorodniejszych dziedzin sztuki. Studya te i szkice — podług słów przedmowy — zgrupowane zostały w trzech

działach odpowiednio do epok i cywilizacyi, do których należą. Pierwszy dział obejmuje starożytność i wieki średnie, drugi dotyczy Włoch i Odrodzenia, a trzeci i ostatni odnosi się do Bizancyum i do Rusi.

Otwierają książkę nader zajmujące „Austryackie poszukiwania archeologiczne w Azyi Mniejszej". Od czasu słynnych odkryć Schliemanna, dokonanych w małoazyatyckim Hissarliku, który okazał się według wszelkiego prawdopodobieństwa Homerową Troją, nie poprzestaje archeologia klasyczna na poszukiwaniach w Grecyi właściwej. Zakres badań rozszerzył się także i na Azyę Mniejszą, tę pierwotną kolebkę greckiej cywilizacyi. Tam właśnie poczynione w ostatnich dziesiątkach lat mnogie odkrycia, rzucają pełne światło zwłaszcza na najstarszy archaiczny okres. Amerykanie w Assos, Niemcy w Pergamie, Francuzi w Sardes i Mirynie odgrzebali nieocenione skarby naukowych i artystycznych zabytków. W ślad za tamtemi poszły i austryackie wyprawy archeologiczne pod kierunkiem Ottona Benndorfa, przedsięwzięte do Karyi i Lykyi w latach 1881 i 1882. Wyniki uzyskane w lykyjskiej osadzie Gjölbaszi, która nie wiadomo jak zwała się w starożytności, przeszły wszelkie oczekiwania. Prócz śladu warownych murów jakiegoś nieznanego miasta, prócz ruin doryckiej świątyni, odnaleziono pełne lykyjskich sarkofagów cmentarzysko czyli *Heroon*. Jest to przybytek grobowy historycznie nieokreślonych bliżej władców Lykyi, wznoszący się na najwyższem wzgórzu wpośród zwalisk miasta, a utworzony z czworoboku murów, które wieńczy fryz bogato rzeźbiony. Płaskorzeźby wcale dobrze zachowały się jak na tak odległą dziejową przeszłość. Jedna wyobraża powrót Ulissesa do Itaki i rzeź gachów tak iż streszcza niemal całą XVII ks. Odyssei; druga odnosi się do etolskiego mytu o Meleagrze, Atalancie i dziku kalydońskim; fryz od strony południowej ukazuje najważniejsze momenta Iliady: wylądowanie okrętów achajskich na trojańskie wybrzeża, Priama i Helenę siedzących na murach i przyglądających się greckim wojownikom (Pieśń III), szturmy do illiońskiego grodu przypuszczane zawzięcie i z równem odpierane męstwem, a tuż obok rozwijają się płaskorzeźbione walki Greków z Amazonkami. Fryz północny, to sceny łowieckie i boje Centaurów z Lapitami, oraz porwanie có r Leukippa, Hilarii i Phoebe przez Dioskurów, Kastora i Polluxa. Nie tu miejsce na szczegółowy opis wszystkich tych dzieł greckiego dłuta, które praca prof. Sokołowskiego wyczerpująco rozbiera i umiejętnie ocenia, objaśniając je nadto licznemi zdjęciami fotograficznemi. Wystarczy zaznaczyć, że w płaskorzeźbach tych czuć tchnienie wielkiej, wspaniałej sztuki grec-

kiej z pierwszych jej klasycznych czasów, z V w. przed Chr. Znać to z szlachetnej prostoty, z piękności i przejrzystości ugrupowania, z harmonijnego układu linii, z wyrazistości i swobody ruchów, odtwarzających pełnię życia. Niezbitym dowodem, pozwalającym odnieść ten fryz do V w. są wreszcie wyraźne wpływy paru dzieł znanych a uznanych za pochodzące właśnie z tej pierwszej epoki klasycznej, jak słynna cisza Ficoroniniego, jak sławna grupa Kritiosa i Nestesiotesa przedstawiająca morderców tyrana Hippiasa lub jak niedawno odkryty prześliczny fryz figalejski. Niejeden charakterystyczny szczegół z tych dzieł odnaleźć można niemal żywcem powtórzony w rzeźbach z Gjölbaszi a tem samem odnieść epokę ich powstania do V w. Potwierdza to w końcu już sama treść przedstawień: walki z Centaurami i Amazonkami bywają ulubionym przedmiotem rzeźbiarzy w tych właśnie czasach. Niemniej ważne dla historyi sztuki jest i to, że gjölbaszyjski fryz w pojęciu i wykonaniu okazuje cechy niektóre, właściwe raczej malarstwu niźli rzeźbie. Jest on rozłożony na dwa pasy równoległe, z których jeden biegnie bezpośrednio pod drugim, takie użycie podwójnego fryzu jest obce późniejszej sztuce greckiej, tu zaś tłumaczy się ono tem, że artysta chciał widocznie przedstawić sceny rozgrywające się na jednym obrazie w perspektywie jedne poprzed drugiemi, a nie mogąc dać sobie z tem rady, umieścił jedne nad drugiemi tak, jak w każdem pierwotnem archaicznem malarstwie. Tak np. w górnym fryzie pokazał Priama i Helenę przypatrujących się z muru walkom pod Troją, a bezpośrednio pod nimi, na pasie dolnym roztoczył przebieg tych bojów; malarz byłby patrzących wymalował na pierwszym planie a w głębi przedstawiłby walkę lub odwrotnie. W samym układzie figur zachodzą skrócenia ciał perspektywiczne, sztuce rzeźbiarskiej o wiele mniej niż malarstwu właściwe. Fryzy z Gjölbaszi należą zatem do tych zajmujących i szczególnie cennych rzeźb, jak fryzy z Figale, z Xantos lub z świątyni Nike Apteus w Atenach które prawdopodobnie powstały pod wpływem greckiego malarstwa, zaginionego doszczętnie i pozwalają powziąć o niem pośrednio niejakie wyobrażenie. W Gjölbaszi wpływy malarskie są tak wyraźne, że dadzą się poniekąd odnieść do ściśle określonych choć niezachowanych niestety malowideł wielkiego Polygnota i jego ucznia Mikona w V wieku. Mnogie szczegóły, całe postacie a nawet grupy na fryzach tych przedstawione, odnaleźć można w pomniejszeniu i w odpowiedniem zastosowaniu na wielu wazach, jak np. „rzeź gachów“ na wazie z Cervetri, wiadomo zaś, że wazy powtarzały częściowo i w miniaturze motywa zaczerpane

wprost z ówczesnego malarstwa. Z literackich źródeł wiemy również' iż w czasach Kimona i Periklesa malowidła Polygnota i jego szkoły zdobiły w Atenach t. zw. Stoa Pojkile czyli „Barwne Podcienia", Pausanias wymienia nawet, że wyobrażały one zdobycie Troi oraz walki Amazonek z Achiwami. Można tam było widzieć wylądowanie Greków na trojańskie wybrzeża i ludzi uciekających z zagrożonego miasta z osłem obładowanym resztkami dobytku. Opis Pausaniasza co do słowa zgadza się w każdym szczególe z rzeźbami w Gjölbaszi. Zdaje się nie ulegać wątpliwości — pisze autor — że rzeźbiarze nad tymi fryzami pracujący mieli przed sobą rysunkowe kartony kopiowane bezpośrednio z głośnych malarskich wzorów Polygnota i Mikona, co potwierdza się tem, iż Lykya właśnie w V wieku należała do attyckiego związku.

Znaczną część książki zajmuje śliczny szkic „Z podróży na Wschód", jaką autor odbył w r. 1884 wraz z ówczesnym profesorem Uniw. Wiedeńskiego, Hartlem, obecnie ministrem oświaty w Austryi, i wielkim malarzem Jackiem Malczewskim. W artystyczno-naukowym a zarazem niezmiernie malowniczym opisie, którego streszczać tu niepodobna, przesuwają się przed czytelnikiem słoneczne krajobrazy morskie, kreślone barwnem piórem na Adryatyku, na greckim Archipelagu, mijają kolejno białe wyspy rozsiane w pośród szafirowej toni, rysują się na promiennym południowym widnokręgu sine wybrzeża Azyi Mniejszej tak, że czytając żyje się przez parę godzin w tym cudnym świecie z lazuru, złota i zieleni jaki rozpościera się między Tryestem, Atenami, Smyrną a wyspą Rhodos.

Wśród opisów jarzących się bogatym i świetnym kolorytem od czasu do czasu rozbrzmiewa jak echo przeszłości jakieś mityczne czy historyczne wspomnienie związane z tą lub ową miejscowością; uczona uwaga rozjaśni nagle jakieś artystyczne, naukowe, czy cywilizacyjne zagadnienie z dziejów helleńskich ludów; a niekiedy umysł badacza uniesiony zachwytem nad pięknością klasycznej ziemi i klasycznych tradycyi, składa broń wiedzy i cały poddaje się czarowi wrażeń. Ale po chwili ton się zmienia, bo autor z humorystycznem zacięciem chwyta realistyczne rodzajowe rysy, maluje kłopoty i niewygody podróży albo charakteryzuje dosadnie i zamaszyście różnojęzyczne towarzystwo na statku czy w drodze. Wszystko to razem wzięte daje zajmujący, pełen życia i wdzięku obraz podróży. O Ateny, w których był już poprzednio, autor zawadza tylko pobieżnie, rzucając kilku pociągnięciami pióra ogólny widok zatoki morskiej, gór Hymetu i Pentelikonu i roz-

sianego na tem tle miasta z panującym wysoko Akropolem. Szerzej skreślony jest opis największego portu Azyi Mniejszej, Smyrny. Odmalowawszy dzisiejszy, wschodni charakter miasta, prof. Sokołowski zestawia umiejętnie przedhistoryczne myty do tych okolic przywiązane, o Tantalu ojcu Pelopsa i Nioby, opowiedziane w VI Pieśni Iliady — z zabytkami przedhistorycznymi, jakie znajdują się na poblizkiej górze Sypilos i mają według podań pochodzić od Tantalidów. Szczątki jakiejś prastarej świątyni, w skale wykowany posąg t. z. Niobe, a wreszcie „grób Tantala", świadczą, że istotnie w pomroce przeddziejowej istniało tam jakieś państwo potężne i szczęśliwe, myty zaś dowodziłyby, że je zmiotła i rozbiła jakaś nagła katastrofa. Tę wielką tragedyę przedhistoryczną wyjaśnia prof. Sokołowski wiadomościami o najezdniczym ludzie Hittytów zaczerpanem ze źródeł egipskich: ostateczną zaś miasta Tantalis zagładę przypisaćby można wulkanicznym wybuchom, których ślady widoczne są dotąd na Sypilonie. Przeważną część podróżnego szkicu zajmuje pobyt na wyspie Rhodos, której stolica była w wiekach średnich siedzibą Rycerzy Krzyżowych i do dziś dnia zachowała w całej pełni średniowieczny charakter. Wspaniałe mury obronne wzmocnione krępemi wieżycami i potężnemi basztami i warownemi bramami, okalają dotąd miasto, a wewnątrz całe ulice, jak *Starda dei Cavalieri* w niczem nie zmieniły się od czasów Zakonu. W ruderze, ale jeszcze nie w ruinie, stoją gmachy przez mnichów-rycerzy budowane w osobliwym gotyckim stylu, który w ornamentyce i w rysunku arkad przejął się poniekąd wschodniemi, maurytańskimi pierwiastkami, podobnie jak niektóre pałace weneckie. Osobliwszą cechą gotyki rhodyjskiej są kamienne oprawy okien, podzielone w środku szerokiemi krzyżowemi ramionami, stawiającemi nam przed oczyma obraz krzyża, jako godło chrześcijaństwa i zakonu. Niemniej oryginalne jest przyozdabianie budynków misternie rzeźbionemi tarczami herbów W. Mistrzów i Komturów i dewizami rodzinnemi rycerzy. Zajmująca i w archeologiczne spostrzeżenia bogata wycieczka z miasta Rhodos do innych miejscowości na wyspie, jak Lindoos, Kamiros i Jalissos kończy to piękne studyum podróżne.

Już w pierwszym szkicu była pobieżna wzmianka o greckiej sztuce keramicznej, w jednej z dalszych prac p. t. „Gołuchów" poświęca prof. Sokołowski znaczny ustęp wazom w Zbiorach Gołuchowskich, wszelako przedmiot ten był nazbyt ponętny, aby na tem poprzestać, zwłaszcza, że publikacya J. Wittego, poznańskiego archeologa o wazach nagromadzonych przez J. hr. Działyńskiego w Hôtel

Lambert w Paryżu nastręczała sposobność do napisania osobnej rozprawy o greckiej keramice: „Wazy greckie w naszych zbiorach“. Pierwsze bodaj dwie wazy, jakie się na ziemię polską dostały, sprowadził z polecenia Stanisława Augusta cavalière Ignazio Brocchi architekt jegomości króla polskiego, jak wynika z urzędowych rzymskich zapisek pod rokiem 1778. Zdaje się, że i ks. Lubomirska za przykładem króla o wazy greckie się starała, a stolnik kor. August Moszyński, ciekawy typ estety i starożytnika, zakupił nawet cały zbiór waz w Neapolu dla Poniatowskiego i do listu swego dołączył ich pomiary i rysunki. Gabinet archeologiczny Uniw. Jagiell. i Muzeum Czartoryskich posiadają nieliczne, ale cenne okazy tych wykwintnych naczyń, zbiorem jednak na całej przestrzeni ziem polskich najbardziej zupełnym jest wspomniany już zbiór Działyńskich, liczący 144 sztuk waz greckich a przewieziony z Paryża do gołuchowskiego zamku. Doniosłość waz, jako jedynego niemal źródła, z którego można sobie odtworzyć przypuszczalnie pojęcie o zaginionem greckiem malarstwie wystarczyłaby już, aby im zapewnić niepoślednie naukowe znaczenie. Poza tem jednak, pod względem artystycznym należą one do rzeczy najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek człowiek stworzył. Przedstawiają one wielką ilość typów i odmian, z których każda, stosownie do swego przeznaczenia, ma odrębne, właściwe sobie kształty. Nie wchodząc w szczegółowe rozróżnienia tych różnorodnych typów, które ciekawy czytelnik znajdzie szczegółowo scharakteryzowane w książce prof. Sokołowskiego — podnieść tu należy tych naczyń rozkoszną piękność linearną i osobliwszy urok ślicznych malowideł, jakiemi są pokryte. Wyobrażone bywają na nich pełne naiwnego wdzięku i prostoty sceny rodzajowe odzwierciedlające domowe życie Greków. Jedne, na wino, przedstawiają uczty i pląsy przy dźwięku fletni, drugie związane z kultem umarłych i z obrzędami pogrzebowymi, wyobrażają alegorye śmierci i symbole nieśmiertelności; na innych roztaczają się sceny myśliwskie lub wojenne, nie brak także waz pokrytych przedmiotami z mitologii. Jak cała grecka cywilizacya, tak i one pochodzą pierwotnie z małoazyatyckich pobrzeży, skąd wyrób ich przesunął się z czasem na zachód do Grecyi właściwej i z osadnikami greckimi do t. zw. *Magna Graccia* czyli środkowych i południowych Włoch. Tam je też początkowo z rozkwitem archeologii klasycznej najliczniej znajdowano, a przypisując je mylnie Etruskom, „etruskiemi wazami“ nazwano. Nowsza dopiero nauka wyjaśniła należycie ich pochodzenie i ukazała grecki przemysł keramiczny w całym historycznym rozwoju. Najstarsze z tych wyrobów

glinianych wykonywane były ręcznie, bez użycia krążka garncarskiego, a zdobione ornamentyką skąpą i ubogą, rytą nie malowaną i polegającą wyłącznie na geometrycznych motywach. W następnym okresie zaczyna się malowanie waz czarną farbą na tle naturalnem gliny a równocześnie zdobnictwo rozszerza się na motywy zaczerpane z przyrody, jaką nabrzeżna, rybacka ludność miała przed oczyma. Pojawiają się więc na wazach rośliny wodne i morskie zwierzęta jak annelidy, polipy, meduzy, małże. Na rozwijający się tak pierwotny przemysł zduński zaczynają zwolna oddziaływać azyatyckie prastare cywilizacye, na wysokim poziomie będące, a dzieje się to za pośrednictwem Fenicyan. Pod wpływem wschodnich naczyń pojawiają się na wazach greckich lwy i inne greckim krajom nieznane zwierzęta, lub wręcz fantastyczne potwory i rośliny. Wszystkie te motywy zwierzęce czy roślinne, na wzór wschodni symetrycznie ułożone, układają się w poziome szeregi, okalające naczynia na kształt obręczy albo pierścieni. Z wprowadzeniem postaci ludzkiej do dekoracyi keramicznych wyrobów, poczyna się zwolna duch grecki wyzwalać z azyatyckich wpływów i rozwija samodzielniejszą twórczość. Zrazu ciągle jeszcze figury i wszelkie ornamenta kreśli się czarnym tuszem na jasnem tle gliny, skutkiem czego artysta musi ograniczać się do przedstawień w profilu, podobnych do sylwetek, jakie wycinano z początkiem XIX w. z czarnego papieru. Dopiero po wojnach perskich, w epoce klasycznej, dochodzi malarstwo na wazach do przeciwnego rozkładu kolorów: tło powleka się czarną farbą a na niej odcinają się jasno przedmioty. Z tą chwilą sylweta zmienia się w obraz, postacie ustawiane dotąd wyłącznie w profilu mogą przybrać wszelką dowolną postawę, oprócz zewnętrznego konturu występuje wewnętrzny rysunek przedmiotów. To są czasy największej świetności i skażenie doskonałej piękności waz greckich. Ten rozkwit sztuki keramicznej idzie równolegle z największym rozwojem ducha greckiego na wszystkich innych polach. Z upadkiem politycznym i cywilizacyjnym Grecyi obniża się i artystyczny przemysł garncarski. W epoce aleksandryjskiej powszechne wyjawienie wszelkiej twórczej myśli ukrywało się pod pozorami przeładowanego przepychu. Tak jest we wszystkich dziedzinach sztuki, więc i w keramice: nie wystarcza już niepokalana czystość plastycznej formy, pojawiają się zatem dodatkowo ponalepiane wypukłe ozdoby, które łamią spokojną harmonię linearną tych naczyń; nie wystarczają dwie barwy, czarna i czerwonawa glinie wypalanej właściwa; im później tem więcej kolorów na wazach występuje. Ostateczny cios twór-

czości zduńskiej zadaje edykt senatu rzymskiego z r. 186 przed Chr. zakazujący bachanaliów, uroczystości związanej ściśle z wyrobem waz przeznaczonych na wino. Wyrób tych przecudnych naczyń odtąd coraz mniej się opłaca, słabnie powoli, aż ustaje zgoła. Rozprawa naukowa A. Mieczyńskiego „Danae i Perseusz na wazie cesarskiego Ermitażu w Petersburgu“ nastręczyła prof. Sokołowskiemu sposobności do zajmowania się ponownego keramiką grecką. Tak powstał krótki szkic dalszy, dorzucający niejedną ciekawą uwagę o wazach i potrącający o powstanie mytów i mitologii greckiej. Przynosi on zbyt wiele zajmujących spostrzeżeń i szczegółów, aby się dał zbyć niedokładnem streszczeniem, lepiej tedy poprzestać na krótkiej o nim wzmiance, przechodząc do następnego studyum.

„Zbiór gemmo-glyptyczny Muzeum Krak.“ tak brzmi tytuł, ale właściwie praca sięga daleko szerzej i głębiej, bo wypadłszy z oceny głośnego zbioru Kamei, który Muzeum krakowskie nabyło od zasłużonego starożytnika Schmidta-Ciążyńskiego, podaje ona zarys wiadomości o sztuce rżnięcia drogich kamieni. Najstarsze są t. zw. cylindry chaldejskie i assyryjskie, kamienne wałki grubości palca, pokryte wklęsłemi rzeźbami i napisami klinowymi. Datują one z VII i VI wieku przed Chr. a służyły jako pieczęcie — wedle świadectwa Herodota — dostojnikom babilońskim i niniwskim. Osobną grupę stanowią pieczęcie, amulety i talizmany perskie z epoki Achemenidów i Arsacydów, tudzież arabskie i tureckie, kuficzne i koptyjskie. Klasyczna starożytność grecka i rzymska znała kamienie dwojakie: wypukło rżnięte (kamee) i wklęsło żłobione (intaglie). W Grecyi wyrobiła się osobna technika i odrębny styl sztuki glyptycznej. Rycie w maleńkim kamyku nie polegało bynajmniej na proporcyonalnem we wszystkich częściach i równomiernem pomniejszaniu przedmiotu, ale przeciwnie na względnem powiększeniu części najważniejszych, stanowiących typ i charakter przedstawianej rzeczy. Rozszerzały się np. stosunkowo rozmiary głowy, ramion rąk i nóg, a zmniejszały inne części postaci z pominięciem nawet zupełnem podrzędnych szczegółów. Im gemma była mniejsza, tem z jej wnętrza prawdziwy artysta kolosalniejszy i bardziej monumentalny wydobywał kształt postaci. Z greckich glyptystów najsławniejszy był Pyrgoteles, który od Aleksandra W. otrzymał wyłączny przywilej na rżnięcie rysów królewskich w kosztownych kamieniach. W ślad za gemmo-glyptyką klasyczną idą rżnięte kamienie starochrześcijańskie, bizantyńskie i średniowieczne, wśród których zwłaszcza ciekawe są t. zw. *abraxas*, wyraz ten bowiem kaba-

listyczny na nich wyryty u tajemniczych sekt gnostycznych oznaczał mistyczną nazwę Najwyższej Istności. W epoce odrodzenia pod wpływem zmartwychwstającej starożytności odżyła i gemmo-glyptyka, a rozkwit jej sięga do pierwszych dziesiątków XVII w. Przez dwa stulecia pogrążona w upadku, budzi się ta sztuka na nowo pod działaniem klasycyzmu winckelmannowskiego z końcem XVIII i z początkiem XIX w. Czem w tych czasach na polu rzeźby Thorwaldsen i Canova, tem dla glyptyki tyrolska rodzina Pichlerów, która, przesiedliwszy się do Rzymu, wydała kilku znakomitych artystów tego miniaturowego kunsztu, jak Giovanni, Luigi, Giacomo i Giuseppe Pichler. Nowy ten rozkwit glyptyki kończy się dopiero z upływem pierwszej połowy XIX stulecia. W różnych czasach wartość gemm dochodziła do sum wręcz bajecznych, zarówno dla kosztowności materyału, jak dla artystycznego wykończenia, a jedno łączyć nieraz umiano z drugiem w sposób zadziwiający. Z niepospolitym kunsztem i zręcznością wyzyskiwano naturalne plamy, słoje i żyłki drogich kamieni tak np. czerwone skazy w białym kamyku służą do uwydatnienia krwi spływającej strugami po twarzy Chrystusa w jednej z kamei krakowskiego zbioru; niemniej różnobarwne warstwy kamienia zdołano częstokroć wyzyskać artystycznie: rogata głowa Jowisza, Ammona ma rogi wyrobione w zwierzchniej warstwie brunatnej, w pośredniej, białej, wyżłobiona jest sama twarz, a tło stanowi najniższa warstwa — czarna. W historyi sztuki odegrały też gemmy niepoślednią rolę, jako łącznik między klasyczną starożytnością a epoką odrodzenia. Podobnie jak wazy przedstawiają często w pomniejszeniu dzieła greckiego pendzla, tak starożytne gemmy powtarzają niejedno dzieło greckiego dłuta, to też artyści odrodzenia mogli studyować na gemmach cały szereg posągów klasycznych przed odkopaniem ich w oryginale Tem tłumaczy się niezrozumiały napozór wpływ rzeźb greckich odkrytych dopiero w XVI w. na sztukę włoską XV w. Dawno dowiedzioną jest rzeczą, że Donatello całą dekoracyę florenckiego pałacu Medyceuszów, dzisiejszego Palazzo Riccarda wysnuł z gemm starożytnych.

Do średniowiecza odnosi się jedna tylko ale bardzo zajmująca rozprawka. Dała do niej powód i tytuł jej nadała „Restauracya Sukiennic“, treścią jednak jest wyjaśnienie, w jaki sposób mogły powstać krzywizny architektury średniowiecznej. Oś wielu budynków gotyckich, zwłaszcza kościołów, jest skrzywioną, jak np. w katedrze na Wawelu, albo też pionowe linie uległy dość widocznemu odchyleniu od pionu. Jedno tłumaczy się tem, że często do istnieją-

cych już budowli dostawiano przedłużenie, aby gmach powiększyć. Nie chcąc w kościele przerywać służby Bożej, rozpoczynano kościół nowy osobno i budowę jego posuwano w całości od fundamentów do sklepień, póki się z dawnym kościołem nie zetknął. Wówczas dopiero przebijano ścianę dzielącą oba budynki i świątynię dawniejszą wcielano do nowej. Lecz skutkiem niedokładnych pomiarów osi obu gmachów nie trafiały czasem na siebie i tworzyły linie krzywe. Drugą podobną nieregularność architektury średniowiecznej, owo zboczenie linii pionowych można wyjaśnić niedostateczną siłą fundamentów albo ich założeniem na nieutrwalonym gruncie, co wywołać musiało pochylenie się budowli. Słynna wieża pizańska w pierwotnym planie nie miała być krzywą, ale w ciągu budowy obsiadły się z jednej strony fundamenta, architekt zaś przyjmując fakt dokonany, w dalszem prowadzeniu dzieła tak obliczył ciążenie i równowagę mas, że wieża, mimo skrzywienia, przestała wieki. Są jednak w średniowiecznej architekturze krzywizny i nieregularności, których nie można wytłumaczyć materyalnemi przypadkowemi przyczynami. Jedynie ówczesne wyobrażenia estetyczne wpłynęły na ich powstanie. Budzące się do kulturalnego życia świeże rasy i młode cywilizacye nie lubią trzymać się suchotniczo reguł utartych, ma dla nich jakiś urok samowolna, kapryśna i bujna nieregularność. Za tym instynktem idąc, łamią one i zacierają schematyczne linie proste. Nawet w klasycznej Grecyi najstarszy styl dorycki unika linii ściśle pionowych, zlekka rozszerzając od dołu a zwężając od góry zarysy budowli, otwory drzwi, przekroje kolumn, co zresztą wywołane było także dążeniem do nadania tem silniejszych podstaw budynkowi. Ledwie już dostrzegalne ślady takich odchyleń od pionu można stwierdzić i w późniejszych epokach budownictwa greckiego. Dopiero Rzym ścisły, sztywny i aż do oschłości pedantycznie wyrachowany we wszystkiem, wtłoczył architekturę klasyczną w bezwzględnie proste, pod sznur i pion wyciągnięte linie i karną regularnością zastąpił odrębną swobodę form. Dział II Włochy i Odrodzenie z trzech tylko studyów się składa a ma na czele rycinę odtwarzającą Rafaelowskie „Złożenie do grobu“. Należy ona do szkicu: „Wspomnienie o Rafaelu Sanzio“. Zwiedzając rodzinne wielkiego mistrza Urbino i Perugię, gdzie pierwsze lata młodzieńcze spędził, wskrzesza prof. Sokołowski współczesne Rafaelowi czasy i dzieje obu tych miast włoskich na podstawie kronik historycznych. Opowiadanie to snuje się na tle opisu miejscowych okolic, budowli i zabytków, skutkiem czego żywiej i wyraziściej występują główne tej epoki wypadki i postacie z młodością Rafaela zwią-

zane. Zamek w Urbino pełen jest wspomnień wielkiego Federigo da Montefeltro, który wzorem był mądrego i oświeconego władcy. Na jego dworze przebywał Baltazar Castiglione, autor słynnego „Cortegiano", którego nasz Górnicki w swym „Dworzaninie" przerabiał i naśladował. Federigo miał najbogatszą swego czasu bibliotekę rękopiśmienną, utrzywywał trzydziestu przepisywaczy, którzy na pargaminie kaligrafowali autorów rzymskich i greckich, a księgi te oprawne w karmazynowy aksamit i srebrne klamry przechodziły w ręce najuczeńszych humanistów, którzy je pod przewodnictwem księcia objaśniali. Wojownik, fortyfikator, budowniczy, filozof i humanista, książę Federigo umiał na palcach Plutarcha, Liviusza, Arystotelesa, zwiedzał pracownie artystów i warsztaty rzemieślników. Ojciec Rafaela, malarz Giovanni Santi, napisał na jego cześć panegiryczny poemat a lud podwładny uwielbiał swego władcę. Opodal od pałacu w skromnym domu jednopiętrowym urodził się Rafael, o czem głosi złoty napis na marmurowej tablicy. Po pogodnem i wesołem Urbino ponuro wygląda średniowieczna Perugia, pełna tragicznych ech przeszłości. Najważniejszym zabytkiem jest Palazzo Publico, tuż obok Collegio del Cambio słynnego wspaniałymi freskami. Wspaniały ten ratusz o poczerniałych murach i pysznych gotyckich oknach był świadkiem krwawych rzezi, jakie wyprawiały walczące ze sobą rodziny i stronnictwa Baglionich i Oddich. Po długich walkach przyszło do zgody. Młody Astorre Baglione obchodził zaślubiny z Lavinią Colonna. Ale krewniak oblubieńca Griffone Baglioni powziął podejrzenie, że brat Astorra, Gianpaolo ma stosunek miłosny z jego żoną Zenobią. Griffone uknuł spisek a do wybuchu przyszło podczas godów weselnych. Pozamykano drzwi domów i wymordowano wszystkich uczestników uroczystości z wyjątkiem właśnie Gianpaola. Griffone tryumfował niedługo. Wszyscy odtrącili go ze wstrętem, a własna matka publicznie rzuciła nań przekleństwo. Tułał się więc opuszczony i odepchnięty, a tymczasem Gianpaolo wkroczył do miasta jako mściciel, i schwytanego Griffona służbie kazał zabić, nie chcąc sobie rąk plamić krwią krewniaka. Ciepłe jeszcze zwłoki rzucono na schody pod ratuszem. Alalanta Baglione matka Griffona z Zenobią jego żoną stanęły nad ciałem w żałobie. Pragnąc boleść swą po stracie syna złożyć u stóp największej i najświętszej macierzyńskiej boleści poleciła młodemu Rafaelowi wykonanie owego „Złożenia do grobu", przeznaczając obraz dla kościoła Franciszkanów w Perugii. Dziś zdobi on Galeryę Borghese w Rzymie.

W dzieje i w sztukę Odrodzenia wprowadza czytelnika następne

studyum: „Wielka rezydencya i wielki ród“. Zwiedzając rzymski pałac Colonnów, autor podaje obszerny opis tego gniazda potężnej rodziny i nagromadzonych w niem dzieł sztuki, a przy tej sposobności kreśli wyborne porównanie i zestawienie dwóch największych mistrzów szkoły weneckiej Tiziana i Veroneza. Charakterystyki tej niezmiernie trafnie z ogromnem poczuciem i znawstwem sztuki naszkicowanej paru słowami streścić się nie da, lecz kto ją przeczyta, temu na zawsze utkwi w pamięci i dopomoże do zgłębienia obu wielkich artystów. Niemniej świetnie charakteryzuje prof. Sokołowski Parisa Bordone, poczytując go słusznie za najwybitniejszy talent z czasów późnego Odrodzenia. Pod względem kulturalno-historycznym niemałe zajęcie budzi przegląd rodzinnych portretów Colonnów i na podstawie współczesnych świadectw i dokumentów wysnuta z tego przeglądu historya rodu tego związana tak ściśle z dziejami wiecznego miasta. Wysuwa się niejako z ram i sunie poważnie przed oczyma czytelnika długi korowód postaci niewieścich słynnych z urody, z wielkich nieszczęść i z tragicznych przygód i orszak dumnych mężów, co świat napełnili sławą swych czynów, a wpływ potężny wywierali na losy Rzymu i całej Italii. Za tło takiego opowiadania służą, bo służyć muszą całe dzieje włoskiej cywilizacyi, zwłaszcza w epoce odrodzenia, w której najwięcej na szali zaważyli Colonnowie. Dziwne jest to, że rodzinna galerya Colonnów nie posiada portretu, któryby godnie przedstawiał najsłynniejszą domu tego córkę, Vittorię, poetkę niepospolitą, kobietę piękną i wybitną, a z Michałem Aniołem związaną przyjaznymi węzłami. Mówiąc o niej i stosunkach jej z Buonarottim, prof. Sokołowski nawiasem rzuca niezmiernie cenną i zajmującą wiadomość o jakiejś innej kobiecej postaci, która żywo musiała oddziałać na Michała Anioła, bo ją nietylko przedstawił w rysunku przechowanym w Windsor-Castle, a kopiowanym przez któregoś z uczniów w obrazie Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie — ale także w kaplicy syxtyńskiej powtórzył jej rysy na sklepieniu malując przodków Zbawiciela w grupie Zorobabela, Abiuda i Eliachim. Postać ta kobieca historycznie bliżej nieokreślona, nie jest z pewnością Vittorią Colonną, bo tę poznał Buonarotti dopiero znacznie później po wymalowaniu syxtyńskiej kaplicy, ale kto wie, czy nie jest ona ową bezimienną i nieznaną pięknością, do której zwracają się niektóre sonety Michała Anioła?

Długo możnaby się rozpisywać o następnym szkicu, którego przedmiotem jest „Gołuchów“. Zamek ten w X. Poznańskiem niedaleko od Kórnika położony, był niegdyś własnością rodzin Leszczyńskich

i Rozdrażewskich, ale oddawna już popadł był w ruinę. Dopiero hr. Janowa Działyńska podźwignęła go z upadku i wspaniale odnowiwszy w stylu francuskiego Odrodzenia przeniosła do Gołuchowa nieocenione skarby sztuki nagromadzone w paryskim Hôtel Lambert. Największą zbiorów tych ozdobą są wazy greckie, którym osobne studyum poświęcił prof. Sokołowski. W niniejszym zaś obszernym szkicu rozpatruje on architekturę zamku istotnie bardzo wykwintną i artystyczną, i ocenia inne zabytki gołuchowskie jak płaskorzeźby, obrazy, portrety, meble z wyszukanym smakiem dobrane i przedstawiające bez wyjątku niepoślednią wartość artystyczną. Obok arrasów z XV w. i gobelinów z XVIII w. dzieła Velasqueza, Rembrandta, Van der Neera, Halsa, Flinka, Lebrana posiada Gołuchów niezwykle zajmujące portrety królów polskich, jak np. Zygmunta Starego, Elżbiety austryackiej, pierwszej żony Zygmunta Augusta, Henryka Walezego, Stanisława Augusta przez Bacciarellego i t. d Do urządzenia komnat należą wszędzie pyszne marmurowe kominki mające muzealną wartość; w jednej z sal stoi na tle flandryjskich arrasów iście królewskie rzeźbione łoże pochodzące po admirale weneckim Barberigo, bohaterze z bitwy pod Lepantem, w ścianę zaś pod kolumnadą wiodącą do biblioteki wmurowano płaskorzeźbę ze słynnej kaplicy grobowej Filipa de Commines w zniszczonym przez rewolucyę francuską kościele paryskim *Petit st. Augustin*. Na wielkopolskich piaskach wśród leśnej ciszy wzniesiony gołuchowski zamek świadczy najlepiej o wysokiej kulturze artystycznej swej właścicielki a zarazem dowodzi, że nie samochwalstwo i brutalna buta pruska wnosi cywilizacyę na tę ziemię, która poszczycić się może przed każdym cudzoziemcem takim zamkiem jak Gołuchów. Obecnie, po śmierci hr. Działyńskiej, jest on majoratem i przeszedł wraz ze zbiorami na X. Witolda Czartoryskiego.

Zamiast równie szczegółowo rozwodzić się nad trzecim działem książki, obejmującem Bizancyum i Ruś, należy scharakteryzować prof. Sokołowskiego jako pisarza i stylistę, zwłaszcza, że to, co powyżej o tamtych dwóch działach pierwszych powiedziano, dostateczne wyobrażenie daje o studyach i szkicach. Trzy rozprawy: „Bizantyńska i ruska średniowieczna kultura“, „Badania archeologiczne na Rusi galicyjskiej“, oraz „Sztuka cerkiewna na Rusi i na Bukowinie“ wyświetlają całe mnóstwo zagadnień artystyczno-kulturalnych i niemniej od poprzednich studyów okazują wiedzę autora, bystrość sądu i umiejętność przedstawienia rzeczy. Dzięki temu książkę od deski do deski czyta się w ustawicznem napięciu uwagi z ogromnym pożytkiem i przy-

jemnością i bez najmniejszego znużenia, mimo że częstokroć sam przedmiot nastręczał nielada trudności. Ale w tych zwłaszcza miejscach nieco trudniejszych do ujęcia zdwaja się barwność, żywość i wyrazistość wykładu, skutkiem czego zajęcie potęguje się jeszcze zamiast słabnąć.

Miłej i ciekawej książce nie ujmie chyba wartości uwaga dotycząca niektórych usterek językowych; wskazać je, o ile są, obowiązkiem jest sprawozdawcy, któremu tego nie poczyta za złe szanowny autor „Studyów". Poniesiony wartkim potokiem opowiadania, nadużywa on często wyrazów obcych, co razi zwłaszcza wtedy, gdy w polszczyźnie istnieją rodzime a nie gorsze określenia tych samych pojęć. Przykładowo wskażemy kilka typowych, jak negocyant (str. 52, 80), sedentarne życie (str. 70), eksploracye (str. 75) zamiast poszukiwania; skulpturalny (str. 87) zamiast: rzeźbiarski lub rzeźbiony; dewocya do Najśw. M. Panny, zamiast cześć, nabożeństwo (str. 89); rewerberować się (str. 96), zamiast odbijać się, odbłyskiwać (o świetle); faktory, zamiast czynniki; szwalerya (str. 103) zamiast rycerstwo; inwazya (str. 128) = najazd; kamera = komora (str. 121) i t. p. Niewłaściwie użyte są formy gramatyczne jak leżyć = leżeć (str. 44); okręta (str. 57) i odcienia (str. 90) zamiast okręty, odcienie; wreszcie dwoma używane na rodzaj żeński zamiast dwiema (str. 56, 106). Czasem niedbały szyk wyrazów zaciera budowę zdań i mąci przejrzystość myśli, np. „podwórza otoczone kolumnami, ocienione zielenią zmozajkowaną takimiż samymi jak bruk ulicy, posadzką kamykami" (str. 106). Albo: „w podwórzach leżą rodyjskie dolije obrosłe skamieniałymi ślimakami i znajdowane w morzu — na posadzce" (str. 107).

Bądź co bądź usterki te językowe czy stylistyczne zdarzają się rzadko, a w obszernem dziele nikną niemal niepostrzeżenie. Okupuje i wynagradza je zaś hojnie tyle piękności i tyle zalet pióra, że wybaczyć można im i należy, aczkolwiek pominąć ich milczeniem nie pozwalała miłość i cześć dla języka polskiego.

We wstępie do cennej tej książki zapowiedział szanowny autor, że stanowi ona wstęp do tomów dalszych, które przeważnie jeżeli nie wyłącznie, poświęcone będą historyi sztuki i kultury w Polsce". Dane drukiem przyrzeczenie spełnić należy i to jak najrychlej, bo każdy, kto I tom „Studyów i szkiców" przeczytał z upragnieniem oczekuje dalszych. Tak dobrych książek nie wiele bywa, a nie może ich być nigdy za dużo.

Lucyan Rydel.

Poezye. *Henryk Skirmuntt.* Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1903.

Autor niniejszego zbioru poetyckiego po raz pierwszy występuje przed publicznością jako poeta-liryk, ale dawniej już dał się poznać jako muzyk dramaturg przez wystawioną dwa lata temu we Lwowie operę swą „Pan Wołodyjowski“, o której w swoim czasie *Przegląd* sprawozdanie pomieścił. Połączenie talentu poetyckiego z muzycznym czyż to nie pomyślny nader warunek twórczości lirycznej? Jeśli jaki rodzaj poezyi, to liryka przedewszystkiem powinna wydawać prawdziwe pieśni, nie z imienia tylko, lecz z rzeczy. Wprawdzie takie pieśni tworzyli nieraz poeci nie będący muzykami, którzy jednak, jak mówi Asnyk, „melodyę mieli w duszy“ (co, nawiasem powiedziawszy, nie zawsze się zdarza i u zawodowych muzyków); tem lepiej oczywiście jeśli melodya nie tylko w duszy dźwięczy lecz i w tonach się uzewnętrznia. Z niej powstały wszystkie pieśni p. Skirmuntta i z nią równocześnie niejedna z nich na świat się pojawiła. To też są one prawdziwemi pieśniami lirycznemi. Pełno w nich uczucia, wyrażonego zawsze w zwięzłej, nastrojowej formie słownej, bez najmniejszego śladu pustej frazeologii lub sztucznej retoryki. Forma owa bardzo jest zawsze artystyczna, stylowo wykończona, posiada znamiona wytwornego smaku a przytem nader osobistego charakteru poety. Treść w niej zawarta nie odznacza się wielkiem bogactwem ni urozmaiceniem, ale zawiera w sobie wiele prawdy życia indywidualnie odczutej i przemyślanej. Głównym jej motywem, który, niby nić barwna, ciągnie się przez osnowę wszystkich pieśni, jest pragnienie jakiegoś ideału doskonałości życiowej, tak dalekiego od otaczającego nas rzeczywistego życia. Stąd tęsknota rzewna jako główny nastrój uczuciowej poezyi Skirmuntta. Oto jak wymownie przemawia ona w pierwszym zaraz wierszu zbioru, w sonecie rozpoczynającym cykl liryczny p. t. „Rok życia“. Widok śnieżnej niepokalanej białości pól styczniowych staje się poecie symbolem niepokalanie czystej duszy ludzkiej, ku której pragnienia i tęsknoty nasze bezpośrednio nieraz się zwracają:

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!

W dalszych sonetach tegoż cyklu mamy nastroje myśli i uczucia, odpowiadające nastrojom przyrody w poszczególnych miesiącach roku. Wszędzie przebija taż sama podniosłość pragnień życiowych, wyrażona

zawsze z wielką prostotą w formie prostej, śpiewnej, zwięzłej i wysoce artystycznej. Oto np. nastrojowy obraz nocy czerwcowej.

Piaszczyste pole, miesiąc, drżące cienie,
Wierzby, jałowce na miedzach i zioła;
Jak zboże pachnie! coś szepce, coś woła,
Kłosy drżą... słyszysz? cyt, ciche westchnienie...

Widok piaszczystych, jałowych pól budzi w myśli poety obraz wyjałowionych pól duszy. Obyż miłość życiodajnem zakwitła na nich kwieciem! Przedziwnie też oddane jest wrażenie wspomnień lata w urokach września, do którego zwraca się poeta:

Letnich masz nocy błękitność w spojrzeniu
I fijołkowe uśmiechy masz w oku
I zatopionyś cały we wspomnieniu...

Pełen siły jest obraz lasu w listopadzie, który choć siekierą tępiony, trwa niezłomnie „wciąż życie rozsiewa... i szepce szumiące pacierze...“ A jak wymowne, rwące się wprost z duszy poety powitanie wieku nowego w ostatnim dniu grudnia:

Hej bywaj!
Nici odrodzenia ogromne
Garśćmi pełnymi tam zrywaj,
I świat ożywczem zlej zdrojem —
Światło ty złote, hej spływaj!...

Niemniej pełne myśli i uczucia są sonety składające następujący cykl zbioru: „Szkice z natury“. Natura zawsze tu jest ożywiona ideą moralną, dotyczącą najistotniejszych zjawisk i zadań życia. Myśl poety zwraca się niekiedy do naszej przeszłości narodowej i przedziwnie oddaje wrażenie tęsknoty po niej (w sonecie „Sen“) lub tragicznego znikania ostatnich jej śladów (w sonecie „Pałac“). Natomiast sonet „Powrót“ w rozmyślnie niejasnym obrazie symbolicznym oddaje myśl poety o naszej przyszłości, której żadne wrogie jej potęgi zniweczyć nie zdołają. I w pozostałych cyklach wiele jest wierszy godnych uwagi. Przykładowo tylko wspominam niektóre z nich, jak bardzo piękne pieśni (z muzyką przedtem wydane): „Dumka“, „Piosnka o Hryciu“, „Wieszczka kochania“, kilka „Wrażeń nocy“, doskonale utrzymana w stylu i pełna myśli „Bajka o Ikarze“ i kilka czysto osobistych wspomnień i zwrotów w cyklach „Do przyjaciół“ i „Z teki podróżnej“. Zbiór uzupełniony został dwoma doskonałymi przekładami z Musseta i Sully-Prudhomme. Miejmy nadzieję, że ten szczupły zbiorek nie będzie ostatni. Wśród płodów współczesnego modernizmu z jego mistyczno-satanistyczno-

kuglarsko-komedyanckimi wybrykami ta poezya prosta, szczera, płynąca z duszy głęboko wierzącej i dobra spragnionej, orzeźwiająco działać może.

Walery Gostomski.

Dzieje zniweczenia św. Unii na Białorusi i Litwie w świetle Pamiętników Siemaszki. *Ks. Dr. Wł. Chotkowski.* Kraków. Spółka wydawnicza. (W 8-ce, str. 205).

Autor tej pracy, głęboki znawca naszej przeszłości kościelnej i politycznej, jak tylko wyszły „Pamiętniki" Siemaszki (w Petersburgu w roku 1883, w trzech tomach) z dokumentami, zaraz na nie zwrócił uwagę, i, krytycznie je opracowawszy, wydrukował swoje studyum w *Przeglądzie Polskim* w 1884 r.; pojawiło się ono później w osobnej już wyczerpującej odbitce. Teraz ks. dr. Chotkowski sporządził drugie tego wydanie, uzupełnione i starannie powiększone.

Jako znakomity historyk z zawodu, zrozumiał autor odrazu doniosłość tych „Pamiętników", a raczej dokumentów przy nich wydanych, które powinny stanowić nową epokę w dziejach opracowań o Unii. Rzeczywiście dokumenty te tyle nowego rzucają światła na historyę dogorywającej Unii w zaborze rosyjskim, tyle nam podają zupełnie nowych wiadomości, cytują tyle faktów nieznanych, że dopiero teraz jesteśmy w możności zdać sobie sprawę dostatecznie z całego przebiegu działalności Siemaszki, zakończonej straszną katastrofą 12 lutego 1839 roku w Połocku, uzupełnioną dnia 25 marca tegoż roku w Petersburgu.

Dzieło Siemaszki obejmuje jakie 2300 stron, ale pamiętniki skreślone na 300 tylko stronach, reszta — dokumenty, mające, jakeśmy już zaznaczyli, większą wartość, jak samo Siemaszki opowiadanie, któremu czasami dokumenty nawet kłam zadają. Autor twierdzi, że Siemaszko przytacza dokumenty prawdziwe i że wogóle pamięć mu dopisuje i prawdy nie przekręca, chociaż fakty same nieraz w fałszywym sensie i kłamliwem przedstawia świetle. Tom trzeci pamiętników, zawierający same tylko dokumenty, jest najważniejszy i ma niezaprzeczone znaczenie dla badania dziejów zniweczenia Unii; na nim też przeważnie oparta niniejsza ks. dr. Chotkowskiego praca, należąca do najbardziej udatnych, interesujących i poważnych studyów w zakresie dziejów ruskiego zjednoczonego z Rzymem Kościoła.

Szanowny autor naprzód streszcza nam same Siemaszki pamiętniki, potem na podstawie dokumentów i aktów kreśli dzieje Unii

upadającej pod berłem rosyjskiem, a nakoniec podaje spis księży unickich, co przy Unii wytrwali i nazwiska Bazylianów, którzy do końca wierni byli katolicyzmowi, nie zapierając się jego.

Żywot Siemaszki opisany znakomicie! Powiemy nawet, że czyta się to z większem zajęciem, niż sam oryginiał, nie odznaczający się stylistycznymi przymiotami, ani autorskiem uzdolnieniem.

Nie możemy wyliczyć wszystkich udatnich stron (boby to wychodziło poza ramy krótkiego sprawozdania) opisu ostatnich chwil Unii na Litwie i Rusi, przez Rosyę zabranych, ale musimy zaznaczyć znakomite przedstawienie z tych czasów sprawy o ikonostasy, mszały moskiewskie, narzucanie języka zwyczajów rosyjskich; wykazanie, że często statystyczne daty Siemaszki rozmijają się z arytmetyką i wyprowadzanie stąd bardzo ważnych i pouczających wniosków; szczególnie są piękne i rzewne opowiadania o gwałtach Siemaszki, pastwieniu się nad bezbronnemi ofiarami, bezprawiach o pomstę do nieba wołających... Bardzo także ważny ustęp o klasztorach żeńskich (od str. 126—134) i o Makrynie Mieczysławskiej.

Szanowny autor należy do tych, co utrzymują, iż w drukowanych Makryny Mieczysławskiej zeznaniach są historyczne niedomagania i niedokładności... Porusza on także kwestyę skasowania klasztoru Bazylianek w Mińsku 1834 roku i przeniesienia ich do miadzolskiego pokarmelickiego klasztoru; wykazuje też niekonsekwencye w niektórych historycznych opowiadaniach Makryny Mieczysławskiej. Chociaż ks. dr. Chotkowski nie miał pod ręką dzieła archimandryty Mikołaja [1], jednakże sąd jego w tej sprawie Mieczysławskiej — co do kasaty klasztoru mińskiego — wierny i prawdziwy.

Autor wylicza około 70 kapłanów unickich, którzy schyzmy nie przyjęli; wkradły się tu tylko małe, nieznaczące niedokładności: Bazylego Kublickiego (str. 195) nie było; zapewne tu mowa o Bazylim Kulczyckim wspomnianym u Siemaszki w III t. (str. 47, 48, 499, 501); był ks. Jan Łoski (a nie Łocki, str. 195); znany jest ks. Bazyli Poturzycki z Wiśniowca (a nie Potuszycki, str. 197); wreszcie jedno i drugie, to może i zecerskie pomyłki, których tu nie podano.

Prawie 70 wynotowano Bazylianów-wyznawców za wiarę świętą i jedność z Rzymem. Ale, niestety, dla Wiktora Buczyńskiego niema tu miejsca, ponieważ w pamiętnikach Siemaszki (III, 557) wyraźnie

[1] *Istoriko-statističeskoje opisanie Minskoj eparchii.* Petersburg, 1864.

czytamy, że W. Buczyński w 1841 roku był już „podpiskowym“ i za to 150 rubli otrzymał, największą kwotę, jako „posobie“.

Właściwie mówiąc, był — o ile wiadomo — tylko Jonasz Sołtanowski [1], zmarły w Nieżynie w 1889 roku; otóż, jak się zdaje, to on wydał był naprzód na siebie cyrograf Siemaszce, ale się potem cofnął [2]; stąd gniew szczególnie okrutny Siemaszki. Tomasza Sołtanowskiego nie znamy.

Ponieważ pracę ks. dr. Chotkowskiego czytaliśmy z wielkiem zajęciem i należną uwagą, przeto wpadły nam w oko nawet małe usterki i niezupełna ścisłość. Tak np. (str. 14) powiedziano: Lipowiec w województwie kijowskiem (zamiast gubernii), a wiadomo, że Lipowiec był w województwie bracławskiem. Na str. 28 czytamy: Sierocyński, zamiast Sierociński (znany biskup unicki). Na str. 82 mowa o powiecie dryrieńskim, a jest to — drysieński (naturalnie omyłka w druku); tamże: Smaragd, episkop łucki, a toć był episkop witebski. Dziekan powiatu siewierskiego, czytaj: siebieskiego (gubernia witebska, str. 83). Na str. 141 omyłka w druku: ihumen Skiborski — zamiast Skibowski (znany bardzo dobrze jako, poprzednio, profesor, prefekt i rektor w Humaniu). Na str. 143 zdarzyła się też mniejsza pomyłka: powiedziano tam, że metropolita ruski, Budhak, umarł w 1835 roku, a on w 1838 r. rozstał się z tym światem, jak to nawet na innem miejscu, sam autor powiada. Na str. 147 występuje powiat drużeński zamiast drysieński. Apostata Łużyński (str. 181), nazwany Michałem, a on miał na imię Wasyl, jak go autor sam niejednokrotnie nazywa, a więc znowu omyłka w druku.

Ale jeszcze jedna rzecz: tytuł tej szanownej i pouczającej pracy wydał się nam niezupełnie dokładny; gdyby autor powiedział: zniszczenie Unii w białoruskiem i litewskiem biskupstwie unickiem, byłoby zupełnie dokładne określenie, ponieważ tak się urzędownie nazywały ostatnie unickie biskupstwa, a Litwa i Białoruś wcale nie obejmowały ówczesnego unickiego obszaru, bo gdzie w takim razie Ruś Czarna, Wołyń, Podole, Polesie, Ukraina; a w tych przecie prowincyach byli także wtedy jeszcze unici.

---

[1] Jego „pielgrzymkę“ wydrukował Heleniusz: „Wspomnienia polskich czasów“, Lwów 1894, I, str. 207 i n., a fotografię z własnoręcznym podpisem i my mamy.

[2] Coś podobnego miało być i z O. Samuelem Czarnoruckim; cf. „Pamt.“, t. III, str. 553.

Te małe usterki, omyłki w druku, niewielkie niedokładności nie zmniejszają wcale doniosłości tego ważnego i poważnego, jakeśmy to już niejednokrotnie zaznaczyli, dzieła, za które autorowi należy się wielka ze strony naszego społeczeństwa wdzięczność i uznanie.

Wołyniak.

Z piśmiennictw obcych.

Kulturgeschichte der römischen Kaiserzeit. I. Untergang der heidnischen Kultur. *Georg Grupp.* München 1903. VIII. S. 583.

Czasami rzymskich cezarów zajmowało się dotąd wielu uczonych, dosyć tu wymienić Döllingera, Friedländera, Marquardta, Seecka. Mimo to powyższa praca budzi wielkie zainteresowanie, spotykamy w niej nadzwyczaj wielką obfitość materyału i sumienne opracowanie. Autor używa przeważnie pierwszorzędnych źródeł, główną wagę kładzie na stosunki religijne i ekonomiczno-społeczne, zestawiając kulturę cezarów z wyłaniającą się kulturą chrześcijańską.

Po ogólnej charakterystyce religii Rzymian i ich bożków wraz z uroczystościami (str. 1—26) kreśli smutny wpływ religii rzymskiej na moralność i całą etykę (26—40). Widzimy następnie dumnych władców świata w ich mieszkaniach, w ich narodowych strojach, to znów przy ucztach lub zwykłych posiłkach codziennych. Przedstawiając zbytek i przepych pogan, uwydatnia autor prostotę i skromność współczesnych chrześcijan (str. 76—92). Dalej zapoznaje nas z rozkładem dziennym obywatela rzymskiego i jego stosunkami rodzinnymi. Charakterystycznym tu szczególnie rysem jest wzmagający się wielki wstręt do dzieci. Wstręt ten ogarniał wszystkie sfery rzymskiej rzeczypospolitej i był jednym z najgłówniejszych powodów jej zupełnego rozkładu i upadku. *Vor Kinder bebte die weibliche Natur zurück; nur keine Kleinen, keine Schreihälse!* Żalą się też na to współcześni pisarze [1]. Dzieciobójstwo było bardzo rozpowszechnionem. Na porządku dziennym było również wyrzucanie dzieci i to tak u biednych, jak i u bogatych. Obojętnie patrzyło na to prawo, bo nawet nie poczytywało tych zbro-

[1] Ovidius: „Raraque in hoc aevo, quae velit esse parens“ *(In nuce* 25) *Iuvenal at.* 6, 596, 602. „Sed iacet aureato vix ulla puerpera lecto“. Tacyt, *Germ.* 19, Plinius h. n. 27, 86, 32, 3.

dni przeciw naturze za najmniejszy występek. Przynajmniej zupełnie bezskutecznymi były w tym względzie orzeczenia Septimiusa Severa i niektórych prawników. Przeważnie wyrzucano słabych chłopców i dziewczęta, to też kobiet było o wiele mniej, niż mężczyzn. W niższych warstwach społecznych uważano dzieci jako gospodarski dobytek, tak się też z niemi obchodzono, jak z młodemi zwierzątkami domowemi. Często je sprzedawano, zatrzymywano zaś w domu wtedy tylko, jeśli zachodziła potrzeba sił roboczych. Kupionych lub znalezionych dzieci używano do samolubnych, nieraz wprost ohydnych celów (str. 127—131). Naturalnie to zwyrodnienie i zdziczenie rodziny musiało sprowadzić ogólny rozkład społeczny i państwowy. Następnie daje nam autor obraz szkoły z jej nauczycielami i materyałem naukowym (str. 132—146), przedstawia nam sąd z jego urzędnikami i postępowaniem karnem (146—157), to znów życie publiczne obywateli rzymskich. Widzimy szczegółowo ówczesnych ludzi na ulicy, na targu, w teatrze, w podróży, na polowaniu. Wielka tu rozmaitość. Przepych i zbytki przy bezczynności u jednych, u drugich zaś przy ciężkiej pracy niewolniczej opłakana dola, bo życie równe życiu zwierzęcia roboczego. Z kolei przedstawia nam autor dwór cezarów, ówczesną biurokracyę, stany wyższe, średnie i niewolników. Widoczny tu palec Boży, karzący człowieka własnem jego narzędziem grzechu. Światowładni Rzymianie doprowadzili przez podboje i niewolnictwo miliony ludzi do zupełnego zezwierzęcenia. W ich pojęciach niewolnik był rzeczą, to też właściciel mógł wszystko z nim robić. Stosunki niemoralne właścicieli z niewolnikami uchodziły za rzecz zupełnie niewinną. Tak jednak byli krótkowidzącymi ci władcy świata, że powierzali spodlonym przez siebie niewolnikom wychowywanie swych dzieci. Naturalną więc rzeczą, że owocem takiego wychowania było zupełne rozluźnienie obyczajów i rozbestwienie moralne młodzieży rzymskiej. W ślad za tem postępowało osłabienie fizyczne społeczeństwa rzymskiego i ubytek ludności.

Skreśliwszy obraz zgangrenowanej od stóp do głowy ludności rzymskiej, przedstawia nam ją autor we wystąpieniu Chrystusa Pana. Przyjście na świat Chrystusa podobne do wschodzącej wśród czarnej nocy gwiazdy. Od Niego zaczyna się inne życie religijne, obyczajowe, rodzinne, społeczne i polityczne. Gdyby Chrystus Pan nic więcej nie dał ludzkości jak tylko reformy społeczne wynikłe z Jego nauki, to ludzkość powinnaby Go i tak uwielbiać jako swego Zbawcę. Nie koniecznie potrzeba być dobrym chrześcijaninem, by kochać Chrystusa

i otoczyć Go aureolą czci nadziemskiej, wystarczy do tego mieć zdrowy rozum i znajomość stosunków społecznych w okresie światowładnych Rzymian.

Uwydatnia też autor wielką doniosłość wystąpienia Chrystusa (446—475). Kreśli Jego naukę, życie, śmierć, wreszcie mówi o Jego Bóstwie. Polemiki zupełnie unika. Trafnie jednak wyraża się o negatywnych krytykach, że mogą oni najwięcej i najniesłuszniej skreślić ustępów z Ewangelii, mimo to nie mogą usunąć dowodów na Bóstwo Zbawiciela, bo w Ewangeliach zbyt wiele jest wyrażeń stwierdzających, że Chrystus Pan w szczególny i osobliwy sposób jest Synem Bożym, zupełnie inaczej, jak zwykły pobożny człowiek (str. 471).

Zbawienne skutki nauki Chrystusa widzimy już na pierwszych gminach chrześcijańskich (475—487), w których rozszerzając się nowa nauka, podnosiła ludzkość moralnie umysłowo i społecznie. Następnie podaje nam autor krótki rys nauki św. Pawła o łasce i wykazuje szczególne znaczenie Ewangelii św. Jana (487—500). Nie zapuszcza się wcale w ściślejsze badania teologiczne, podaje tylko w sposób prosty utarte już i powszechnie przyjęte poglądy egzegetów biblijnych.

Pomijamy resztę dość obfitego materyału, służącego do przedstawienia ówczesnego społeczeństwa, uważając, że przytoczone rysy mogą zupełnie jasne rzucić światło na powyższe dzieło i wykazać jego znaczenie tak dla historyka, jak dla socyologa, a nie mniej również i dla badacza Pisma św. Ten ostatni szczególniej znajduje tu prawie plastycznie przedstawiony teren, czasy, ludzi i stosunki, wśród których wystąpił Chrystus Pan i apostołowie. Po tak cennej pracy w tomie pierwszym można się również wiele spodziewać w mającym się ukazać tomie drugim.

Ks. Dr. Stanisław Trzeciak.

„Für und wider" in Sachen der kathol. Reformbewegung der Neuzeit. Von *Dr. Mattias Höhler*, Domkapitular zu Limburg. Freiburg im B. Herder. 1903. (8-ka, str. 128).

Wahre und falsche Reform. Rede des hochwürdigstem Herrn *Dr. Paul Wilhelm v. Keppler*, Bischof von Rottenburg. Dritte Ausgabe. Freiburg im Br. Herder. 1903.

Czy i o ile obecne stosunki kościelne, zwłaszcza w Niemczech, koniecznie potrzebują naprawy i reform, oto pytanie, które dręczy wielu uczonych niemieckich. Tą kwestyą zajmują się także autorowie niniejszych broszur.

Pierwszy na tle popularnej dyskusyi zdrowo myślących ludzi rozmaitego stanu i zapatrywań roztrząsa najgłówniejsze z punktów spornych, mianowicie, co sądzić o profesorach idących własnemi drogami w nieuznanych jeszcze dotąd za dogmat wiary ś. prawdach; następnie czy słuszne jest domaganie się o upraszczanie nabożeństw i ceremonii, czy da się usprawiedliwić usuwanie się katolików od innowierców, czy też nie lepszem byłoby może zbliżenie się do nich drogą pewnych ustępstw; wreszcie kwestya uniwersyteckiego czy też seminaryjnego kształcenia teologów, i szerszy a żywszy udział osób świeckich, w sprawach tyczących się Kościoła, zamykają treść broszury. Rozprawa, mająca tak obszerny temat, nie mogła go wszechstronnie roztrząsać i wyczerpać, co też nie było celem dziełka, obliczonego na szersze warstwy. Tej to okoliczności przypisać należy, że nie znachodzimy w niem teologicznych wywodów, ale zato dużo praktycznych i na doświadczeniu opartych uwag. Najobszerniej uwzględnił autor kwestyę uniwersyteckiego studyum kandydatów do stanu duchownego, stając energicznie w obronie seminaryów. Charakter dziełka jest apologetyczny; zaleca je żywość dyalogu i trafność praktycznego sądu.

Ks. biskup Keppler natomiast, przemawiając do swego kleru ogólnikowo o tej samej kwestyi, występuje z całą siłą wymowy i powagą arcypasterza przeciw niebezpiecznym poglądom nowatorów i reformistów, przestrzega przed zwodniczymi pozorami naukowości. Uznaje i on potrzebę reformy w Kościele ale upatrując przyczynę złego gdzieindziej, wykazuje, że prawdziwa roforma zaczyna się od rzeczy zasadniczych, z wewnątrz nie z zewnątrz; miarą jej i duszą powinien być Duch św.; a więc ta reforma z natury rzeczy ma być religijną, jej motorami winny być środki łaski, wiara, sakramenta, msza św., modlitwa, pokuta, powinna obejmować całego człowieka nie tylko rozum, ale wolę, charakter, sumienie. Każe cenić naukę i wykształcenie — ale naukę prawdziwą, t. j. taką, która szanuje wiarę, która się nie nazywa podwaliną życia, ale zostawia tę zaszczytną nazwę wierze i religii.

Oto słowa i zapatrywania godne prawdziwie dostojnika kościelnego, dbającego o dobro swych poddanych.

Ojciec św. Leon XIII przeczytawszy tę konferencyę, kazał ks. biskupowi wyrazić swą radość i uznanie.

Ks. Józef Gliwa.

Lucifer. Drama in vier Acten von *Enrico Annibale Butti.* Deutsch von *Otto Erich Hartleben* und *Ottomar Piltz.* Berlin. S. Fischer, 1904. (8-ka, str. 187).

Z bezwzględnością w sferze politycznych stosunków łączy się u współczesnych Niemców wszechstronność w zakresie literatury. Stworzywszy pierwsi za czasów Goethego pojęcie *Weltliteratur*, położywszy za czasów romantyzmu podwaliny do swej olbrzymiej *Übersetzungsliteratur* i za dni naszych raz po raz jakiegoś nieznanego dotąd Europie pisarza „odkrywają". Tak np. „odkryli" Multatuli'ego i Shaw'a, ba nawet Gorki'ego „Mieszczanie" trafili na polskie sceny dopiero po niebywałym sukcesie w berlińskich teatrach. Z ostatniem, dokonanem przed kilku miesiącami „odkryciem" mamy niniejszem polski ogół zapoznać. Nie odkryto poety, lecz tylko jedno jego dzieło. Kto jest p. Enrico Annibale Butti, nie umiemy powiedzieć. Dość, że trzeba sobie to włoskie nazwisko zapamiętać, bo to autor *Lucifera.* Ten zaś dramat z wielu względów na szczególniejszą uwagę zasługuje. Oto po raz pierwszy w obecnej dobie ma się przed sobą dramat zbudowany na problemie religijnym. Dzisiejsza literatura dramatyczna niejednokrotnie przedstawiała motywy biblijne, usuwając z nich jednak zupełnie religijne problemy, sekularyzując je niejako, nie rzadko wprost profanując. Butti natomiast buduje akcyę z motywów zupełnie świeckich, jednak jako jej oś i podstawę daje zasadniczy problem religijny, kwestyę wiary i niewiary, katolicyzmu i pogaństwa. Stawiając zaś tę kwestyę, prowadzi ją i rozstrzyga w sposób, który — jeśli katolika nie zawsze i nie zupełnie zadowoli — nie obraża jego religijnych uczuć. Że zaś wkońcu czyni to bądźcobądź z dramatyczną siłą, której np. nawet protestanckie audytoryum berlińskiego teatru uległo, więc jest zjawiskiem, za którego „odkrycie" można literackim Niemcom podziękować.

Aleksander Alberini był niegdyś księdzem; zrzucił jednak suknię kapłańską, wyparł się kapłańskiego charakteru i — oczywiście podpadłszy klątwie — ożenił się. Ma z Reginą syna dorosłego, Guidona, bardzo zdolnego młodego uczonego, którego wychował w zasadach ateizmu i pogaństwa. Na razie żyją wszyscy troje szczęśliwie w jakiemś miasteczku w północnych Włoszech, gdzie Aleksander jest nauczycielem. (Uczniowie, znając jego ateistyczne zapatrywania, zwią go Luciferem). Rząd jednak mimo, że jest „antyklerykalnym", Alberiniemu nie bardzo dowierza i dla dozoru posyła mu jako kolegę w nauczycielskim zawodzie Tomasza Senardi'ego. Obaj profesorowie znają

się doskonale jeszcze od szkolnej ławy, obaj w jednem seminaryum duchownem się kształcili. Alberini został księdzem, Senardi ze względów familijnych musiał przed otrzymaniem święceń kapłańskich wystąpić z seminaryum, pozostał jednak wiernym dawnym ideałom i dzisiaj, równie jak dawniej, jest bogobojnym. Dramatyczny konflikt krystalizuje się nie koło tych obu dojrzałych, w swych przekonaniach tak przeciwnych utwierdzonych mężów, ale koło ich dzieci. Senardi ze zdumieniem patrzy na przyjaciela, o którym dotychczas sądził, że pozostał księdzem; przestrach jednak ogarnia go, gdy się dowiaduje, że Alberini w tej samej pogańsko-materyalistycznej bezbożności wychował syna. I mówi do Aleksandra: „A gdyby pewnego dnia przeznaczenie do jego (Guidona) drzwi zapukało, jedno z tych przerażających, strasznych ludzkich przeznaczeń, które serca miażdży i mózg niszczy — czyż się, Alberini, nie boisz, że on wtedy w swej nędzy nadaremnie łaknąć będzie jakiejś wiary, któraby go pocieszyła i ułagodziła?“ Aleksander dumnie temu przeczy, syna mieni bezpiecznym w rynsztunku pogaństwa.

W tych słowach zawiera się i dalsza treść i idea dramatu. Guido, syn Alberiniego i Matylda, córka Senardiego, oboje młodzi i serdeczni, rychło lgną ku sobie. Aleksander chętnie połączyłby ich w małżeństwo. Guido zrazu nie chce wiedzieć o żadnych koncesyach, wnet godzi się na uszanowanie wiary przyszłej żony, Matylda zrazu przerażona pogaństwem kochanka, widzi jednak, że mimo wszystko go kocha, może tajemnie ufa, że go w przyszłości nawrócić zdoła. Ale Tomasz Senardi, któremu proboszcz miejscowy i tak już wytknął surowo, że obcuje z wyklętym, o małżeństwie nie chce słyszeć. Więc młodzi żenią się wbrew jego woli (jak było ze ślubem, autor nie mówi). W trzy miesiące po weselu na święta Wielkiejnocy Guido, który tymczasem dostał posadę w pobliskiem liceum, przyjeżdża z żoną do ojca. I oto wśród ogólnego w rodzinie Alberinich szczęścia pada grom z jasnego nieba: Matylda, wczoraj jeszcze zdrowa, dziś zapada w chorobę ciężką, nawet śmiertelną. Guido w rozpaczy; wie o tem, że ludzie mówią o karze Boskiej, na Matyldę i na niego zesłanej, chciałby się z tego śmiać, a nie może, sam poczyna w to wierzyć, wierzyć w istnienie Boga. A wiara ta nie budzi w nim uczucia gniewu za doznany cios, lecz owszem ta wiara jest w ciężkiej chwili jedyną jego pociechą. Ojcu rzuca bolesne a tak słuszne słowa: „Skąd bierzesz odwagę w takiej godzinie pozbawiać mnie wszelkiej nadziei? O! zostaw mnie w spokoju! Dosyć, zanadto uciskałeś mnie w tem życiu... zostaw mnie

w spokoju! Zostaw mi przynajmniej ucieczkę do Tego, który silniejszym jest od ciebie. Do Niego ucieknę — Jego o pomoc wzywać będę. Ty przecież dla mnie nie masz żadnego słowa pociechy — O, modlitwy! O gdybym umiał jaką modlitwę! Nie umiem żadnej. Tyś mnie żadnej nie nauczył. Tyś nawet matce mojej zakazał, by mnie dzieckiem modlić się nie uczyła". A gdy ksiądz, którego do łoża chorej przywołał, mówi, że zmarła, Guido i wtedy ani w dawną niewiarę ani w bluźnierstwo nie wpada. Oto ostatnie słowa dramatu:

Guido (do księdza): Mój Ojcze! Pociesz ty mnie! (Rzuca się proboszczowi do nóg i chwytając się jego sukni, płacze jak dziecko).

Proboszcz (podnosi go miłośnie, łagodnie i serdecznie): Spokoju, mój synu. Chodź, chodź — do niej. Ona jest szczęśliwszą od nas. (Przyciąga go silnie ku sobie i prowadzi do pokoju zmarłej).

Aleksander (stoi koło okna, z trudnością się trzymając, jakby ogłuszony): Tak... Kto wie? Kto wie?" A jak w pierwszej części „Fausta", w tej chwili, która zbłąkanych ku Bogu wiedzie, odzywają się z sąsiedniego kościółka dzwony zwiastujące światu Zmartwychwstanie Pana...

Uwydatniwszy w powyższem sprawozdaniu przedewszystkiem ideową treść utworu, jej ocenę możemy snadnie czytelnikowi poruczyć. Jako utwór artystyczny rzecz ma dużą wartość. Krytyka zarzuciła jej jedno tylko: że konflikt wiary z niewiarą łączy się tutaj z katastrofą, jakiej ulega despotyczny ojciec, naginający gwałtem syna do swoich własnych przekonań, mniejsza o to jakich. Zarzutu nie podzielamy, bo byłby tylko w takim razie słusznym, gdyby się tutaj dwa równorzędne motywy plątały. Tak zaś nie jest: Butti chciał motyw religijny uczynić głównym i uczynił go takim; tamten drugi jest w zasadzie i w wykonaniu podrzędnym, uwydatnia lepiej ów pierwszy, mówi ostatecznie to, co życie ciągle powtarza: że antyreligijne materyalistyczne przekonanie zazwyczaj z nietolerancyą i terroryzmem idzie w parze. Raczej możnaby tu i ówdzie zauważać, że p. Butti mając znaczny talent dramatyczny, ma go jednak na taki potężny temat za mało i melodramatycznemi efektami osłania nieraz jego braki i słabości. Ale bądźcobądź rzecz to niezwykła, zasadniczo się od całej dzisiejszej poezyi dramatycznej wyróżniająca.

Dr. Józef Flach.

La duchesse de Montmorency 1600—1666. Avec approbation de Mgr l'Eveque de Montpellier. *M. R. Monlaur.* Paris. Plon Nourrit. 1903.

Wiek XVII we Francyi to pełna burz i wstrząśnień epoka. Królowie Francyi przetwarzali państwo, które rozerwane wojnami religijnemi oddane na pastwę możnowładców, groziło niebezpieczeństwem upadku. Wielki król Henryk IV zaczyna ten wiek, który się kończy panowaniem Ludwika XIV. Przedwczesna śmierć Henryka i dwukrotne regencye wstrząsały królestwem. Marya Medici, jako regentka, nie umiała sprostać zadaniu, Francya dopiero wtedy się zaczęła wzmacniać gdy potężna ręka Richelieu'go wzięła ster rządów nominalnie sprawowanych przez Ludwika XIII. Ale początek świetnego panowania kardynała nie miał dalszego ciągu. Gdy po latach dwudziestu małżeństwa Anna Austryaczka obdarza Francyę synem, późniejszym Ludwikiem XIV, życie króla dobiega kresu — umiera i Richelieu w r. 1643 i znowu Francya przechodzi konwulsye regencyi. Pięcioletni król, Anna Austryaczka byliby ulegli w walce z możnowładcami gdyby nie spryt dyplomatyczny znowu innego kardynała słynnego Mazarieniego, który zwyciężając bunt wewnętrzny frondę — utorował Ludwikowi XIV drogę do świetnych rządów nad Francyą, dotąd ulegającej łasce lub niełasce magnatów.

Te czasy burzliwe to epoka najwięcej może ciekawa. Na tle tych zapasów króla i królewiąt malują się postacie barwne rycerzy, szlachetnych dam, bohaterskich wysiłków i poświęcenia pełnego uniesień. Kobiety brały udział gorący w tych walkach, nie tylko dla idei niepodległości drogiej feudalnym panom, ale dlatego, że mężowie ich lub ukochani grali rolę wybitną w intrygach i walkach. Niebezpieczeństwo nieustanne życia, niepewność losu, ciągłe przerzucanie od upojeń zwycięstwa do okropnej trwogi, jaką napełnia ściganie skazanych, te wszystkie potężne z głębi istoty ludzkiej płynące uczucia tworzyły z kobiet wybitnych owego wieku jakieś niezwykłe zapamiętałe w nienawiści jak i fanatyczne w miłości amazonki pełne czaru, piękności i wdzięku podniecenia. Wiktor Cousin przed laty pięćdziesięciu prawie wziął sobie, jako zadanie odtworzyć te bohaterki frondy. I do dzisiaj czyta się z największem zajęciem te barwne i artystyczne monografie, gdzie pani Lougneville, Hautefort, Mlle de Montpensier występują tak żywo. Sainte Beuve w swoich *Causeries du Lundi* niejednokrotnie z upodobaniem w ślad za wydaniem jakichś pamiętników z XVII wieku zanurza się w przeszłość i snopem światła oblana postać niewieścia z cienia się wynurza nabierając przejmującej natężeniem

wyrazistości, dzięki wykwintnej a dziwnie ludzkiej prawdzie tego psychologa-krytyka.

Wśród heroicznych cieni wskrzeszonych piórem artystów-historyków, nie spotykamy dobrego wizerunku jednej z najwięcej pociągających wielkich có̀r tej Francyi z XVII wieku. Księżna de Montmorency stoi dumnie na uboczu, zdala od zgiełku namiętności. A jednak ta świetlana dusza, to jakby wymarzona bohaterka dla natchnienia poety a zarazem i pełna tkliwego uroku świętobliwości współzawodniczka Franciszki de Chantal.

Księżna de Montmorency przeszła całą skalę uczucia od szczęścia zawrotnego miłości pełnej uniesienia dla rycerskiego i pięknego małżonka do okropnej tortury utracenia go w kwiecie wieku przez wyrok śmierci na szafocie. I ta delikatna wątła roślina wysoką kulturą wyhodowana opiera się burzy. Po straceniu uwielbianego męża długie miesiące leży sparaliżowana, ślad życia zdradzając jedynie strugami łez płynących po wychudłej twarzy. Gdy się podźwignie z łoża boleści ta młoda, rozpieszczona zbytkiem pani już nie chce żyć życiem zwykłem. Bramy klasztoru Wizytek zamykają się za tą córką boleści i tam przez lat trzydzieści kilka bunt serca i ból rozdzierający rozstania przemieniają się na pełną słodyczy uległość woli Bożej. Miłość dla męża przeniknięta miłością Bożą tę duszę oderwaną od ziemi poniosła do wrót niebieskiej wieczności.

Marya Orsini córka możnego książęcego rodu, urodzona w r. 1600 w Rzymie, przybyła do Francyi jako dziewczę trzynastoletnie zaręczona przez matkę chrzestną królowę regentkę z synem sławnego konetabla. Marya Medici kochała i bawiła się razem tą nowo przybyłą rodaczką, która z powagą broniła samemu królowi zbyt wielkich poufałych grzeczności. Ludwik XIII, młodszy o 3 lata od swej kuzynki, serdecznie ją lubił; ale ten czas wstrząśnień, ciągłych intryg i zamieszek nie dawał żadnej rękojmi. Król, który dla matki nie zachował żadnych względów, tem łatwiej zdradzał przyjaciół. Wojna domowa z Hugenotami plątała się z podstępną wojną ambicyi i prywaty. Henryk Montmorency, gubernator Languedocu, daremnie cudami waleczności się odznaczał. Zuchwała odwaga jego odzyskała dla króla przedmurze Rochelli, wyspy Rè i Oleron, śmiała wyprawa do Piemontu zapewniała przewagę Koronie ze strony Włoch. Ale owoce tych zasług nie dojrzewały dla Montmorency. Ulubieńcy królewscy psuli serce króla, między nimi zaczynał wyrastać Richelieu.

Z wielką bystrością odkrył ten polityk piętę Achilesową władzy

królewskiej; postanowiwszy ukrócić możnowładztwo bez względu przystąpił do poniżenia i zniszczenia przedewszystkiem swych osobistych nieprzyjaciół. Wtedy to domniemany następca Ludwika XIII Gaston podniósł rokosz. Połączył się z nim Henryk de Montmorency: za późno było się cofać, gdy ujrzał beznadziejność tego kroku. Pobity, uwięziony, okryty ranami od razu zmierzył przepaść zasadzki, w którą go wciągnęli fałszywi przyjaciele. W r 1632 zginął na szafocie w Tuluzie, wyrokiem parlamentu osądzony za zbrodnię stanu. Królowi nie przyszło do głowy zawiesić wyrok. Richelieu tryumfował, bo z tą głową spadającą z szafotu widział zarazem i możnowładztwo w osobie Montmorency'ego na ziemię bezwładnie zrzucono.

Ta tkliwa, pełna zamkniętej egzaltacyi miłość, jaką księżna czuła dla świetnego małżonka i straszliwy cios ten było uderzeniem gromu, który przetopił to serce tak szlachetne w nowy a cenny metal dziwnego a nieziemskiego pochodzenia! Prześladowana, wyzuta z majątku, chora i opuszczona księżna oniemiała z boleści, nie wydaje słowa skargi. Gdy wyrokiem królewskim kazano chorej i nieszczęśliwej księżnej udać się na wygnanie do Moulins i tam w więzieniu pozostać, tem samem skierowano ją na drogę jedynej pociechy. Klasztor Wizytek z daleka pociągał panią de Montmorency, — urok słodkich nauk św. Franciszka Salezego i dziwnie silny wpływ pani de Chantal otoczył atmosferą świętości to męczeńskie życie. Gdy tylko wrócono jej swobodę, osiadła u Wizytek, postanawiając zamknąć się w klasztorze, gdy tylko dopełni obowiązków dla wrócenia pamięci męża czci należnych mu względów. Ostateczną jej pracą było postawienie Kościoła w Moulcris i grobowca, do którego z ogromną uroczystością przewieziono zwłoki księcia Montmorency.

Najciekawsze w tej książce, to kartki poświęcone stosunkom tej nieszczęśliwej pani z świętą Chantal. Długie rozmowy i korespondencya pełna wynurzeń zwracały ku niedościgłym wyżynom rezygnacyi tę zbolałą duszę. I przez dziwną a jednak zawsze trwałą prawo, pani de Montmorency sama śladem świętej Chantal wstąpiwszy na tę drabinę Jakóbową znowu z kolei podawała rękę innym duszom pod krzyżem upadającym, jak Henryecie angielskiej czy pani Lougneville, które szukały u niej pociechy.

Z największą czcią i skrupułami księżna de Montmorency postanowiła swój żywot wdowi zamienić na surową regułę zakonną. Matka Montmorency, jak odtąd ją zwano, stała się prawdziwą córką św. Franciszka Salezego przez niewyczerpaną dobroć, słodycz i miłość bli-

żniego. Ta wielka pani wychowana w zbytku i wyniosłości stała się pokorną, uprzejmą, cichą siostrą zakonną, lecząc dusze ludzkie tak skutecznie, że wszyscy smutni i zniechęceni śpieszyli do niej po nowe siły. Jako przełożona klasztoru p. de Montmorency odznaczała się niezwykłemi cnotami, miłość jej podwładnych najlepiej się objawiła w chwili jej zgonu w r. 1666.

Śliczną się kończy myślą ta zajmująca książka: „Panie odwróć kroki nasze od dróg w nizinach, otwórz ścieżki, które na wyżyny wiodą, choćby były przykre i urwiste. Strzeż tego, co jest słodkie. Daj nam to, co wzniosłe".

M. Harsdorf.

Archeografičeskij Sbornik dokumentov otnosjaščich sia k istorii sêvero-zapadnoj Rusi. Tom XIII. Wilno 1902. (W 4-ce. XXXVI + 235).

O poprzednim tomie „Sbornika archeograficznego" mówiliśmy niedawno; i ten tom cały prawie poświęcony sprawom zakonu Bazylianów i Unii i z tego powodu zasługuje na naszą uwagę.

Składowe jego części następujące: przedmowa na 36 str. podpisana przez p. J. Kraczkowskiego; Objaśnienie praw i konsytucyów zakonnych 1—34; Informacya o fundacyi collegium Połockiego Societatis Iesu i o dobrach onego 35—46; Refutacija Informaciji 47—71; Acta iudicialia Consistorii Metropolitani 72—153; Protokuł wizyty jeneralney dekanatów Cyryńskiego i Nowogrodzkiego w roku 1798, 154—235.

W przedmowie bardzo mało bibliograficznych wiądomości o pierwotworach wydrukowanych tu dokumentów; powiedziano tylko, że Informacya o fundacyi kolegium połockiego przedrukowana z rzadkiej broszury (ani rok ani miejsce druku nie wymienione przez p. Kraczkowskiego), znajdującej się teraz w wileńskiej publicznej bibliotece, Refutacya zaś, którą jakoby Jezuici (tak mniema p. K.) niszczyli zawzięcie, znaleziona w byłym żyrowickim klasztorze bazyliańskim przez p. O. Szerbickiego, ale w jakim stanie, o tem głucho, nawet na pewno nie można wiedzieć, czy to rękopis czy druk i dodano, że jak Refutacya tak i Opisanie praw i konstytucyi ułożone przez O. Olszewskiego, co wreszcie już było wiadome ze Stebelskiego (Dwa światła na horyzoncie połockim), że O. Jan Oleszewski (więc p. K. nawet mylnie nazwisko zacytował), z zakonu S. B. W., generalny prokurator wydał w Wilnie 1699 r. swą Refutacyę i jest autorem Objaśnień konstytucyi, lecz czy były one drukowane, tego i Stebelski nie mówi; skąd wzięte Acta

iudicialia i Protokuł wizyty, czy to oryginał czy kopia — o tem ani wzmianki... Nie potrzebujemy dodawać, że takie wiadomości dla badaczy a nawet czytelników wielkiej są bardzo wagi!

Autor przedmowy najwięcej się rozwodzi nad aktami sądowniczymi, od r. 1794—1798, generalnego konsystorza metropolitalnego, wyliczając w przedmowie cały szereg przestępstw świeckiego kleru unickiego, pomiędzy któremi figurują obwinienia, że dawali wiernym swoim komunią pod jedną tylko postacią i że odprawiali nabożeństwa w asystencyi księży katolickich (czytaj kapłanów łacińskich) p. XXVI; tak to p. K. wyjaśnia na podstawie tekstu: ... „pozwanego o to, iako przeciwko prawom koncilium Trydenckiego czyniąc, bez poprzedniczych wszystkich zapowiedzi (bo tylko po iedney ogłoszoney) dwom szlubom parochij swoiey i x. plebanowi obrządku łacińskiego assystować y one błogosławić dozwolił“... p. 101; że kapłani łacińscy odprawiali nabożeństwa w kościołach unickich, świadczą wydane n a w e t przez p. K. dokumenty, w których jest mowa, że w tych świątyniach w unii zostających były aparaty kościelne łacińskie i komunikanty dla wyznawców kościoła zachodniego; p. K. cytuje z protokółu wizyt z r. 1798 mnóstwo takich wypadków. Słusznie zgrozą jest przejęty p. K. na widok strasznych przestępstw unickich parochów, które przytoczone są w owym protokóle (chociaż jak w szpitalu nie szuka się zdrowych ludzi, tak w kryminale — cnotliwych, a powtóre wiadomo, jakie smutne były czasy Unii pod zaborem rosyjskim przy końcu XVIII wieku), lecz posłuchajmy, jaką konkluzyę z tego p. K. wyprowadza (p. XXVIII): „i właśnie w tych trudnych i przygniatających dla Unii czasach urodził się ten (t. j. Siemaszko, w grudniu 1798 r.), któremu Opatrzność przeznaczyła, aby upadający ten Kościół, przemocą oderwany, miłością znowu połączyć z prastarą prawosławną macierzą“...

Ale przystępujemy już do podania w krótkości treści tego Sbornika.

W objaśnieniu praw i konstytucyi zakonnych znajdujemy dużo bardzo ciekawych rzeczy i historycznych szczegółów ważnych. Walka Zakonu z metropolitami, z Kolendą i Żochowskim, pragnącymi być generałami Zakonu, była przyczyną ustawicznych utarczek i niepokojów w Zakonie, broniącym czwartego ślubu swojego; otóż do dziejów tego ścierania się mamy tu niemało przyczynków; nadto jest tu wiele historycznych materyałów, tyczących się różnych klasztorów bazyliańskich: w Byteniu, Berezweczu, w Torokaniach, a także informacye o klasztorze w Czerei, w Ławryszowie, Żydyczynie, Mińsku, Kołoży i niektórych innych czasowych nawet archimandryach (opactwach).

Informacya o fundacyi kolegium w Połocku także jest cennym nabytkiem, bo pierwsze wydanie tego dziełka stało się dziś wielką już rzadkością bibliograficzną. Jezuici stają w obronie ważności nadań swoich przez Stefana Batorego, mającego zupełne prawo, po zdobyciu ziemi Połockiej, nadać komu chciał posiadłości dawnych (przeważnie) monasterów dyzunickich.

Refutacya starała się dowieść, że dawne dobra mnichów dyzunickich powinny właściwie do Bazylianów należeć; stąd wywiązała się kontrowersya Jezuitów z Bazylianami; Jezuici, jak wiadomo, utrzymali się przy swoich prawach i włościach, ale poruszenie tej kwestyi posłużyło do odświeżenia i odnowienia w pamięci różnych historycznych wypadków, które bez tego może byłyby zapomniane, a zawsze one wzbogacają naszą wiedzę dziejową dawnych wieków. Wznowienie przeto Informacyi i Refutacyi z przyjemnością powitać należy.

Akta konsystoryalne, według tego wydawnictwa, przedstawiają, w samej rzeczy, niezmiernie smutny i przygnębiający widok... ale zawsze i w nich odszukać można zajmujące, charakterystyczne rzeczy i rysy.

Wizyty zaś w r. 1798 dekanatu cyryńskiego i nowogródzkiego, w dawnem województwie nowogrodzkiem, mają znaczenie nie tylko dla dziejów Unii w tych czasach, lecz w kwestyi historyczno-geograficznej nie są bez znaczenia, ponieważ podane jest tu zaludnienie miasteczek wsi i wiosek tych dekanatów, są wiadomości o kolatorach i wzmianki o tem, do kogo dawniej te miejscowości należały. Oprócz licznych wiosek, wymienione tu są następujące miasteczka, mniej lub więcej znane z przeszłości: Mysz, Ostrów, Swojatycze, Snów, Stwołowicze, Kroszyn, Horodyszcze, Cyryn, Wolówka, Wiedźma *alias* Stanisławów.

W następnym tomie Sbornika zapowiedziany ciąg dalszy różnych o Bazylianach dokumentów. Indeks ma być do trzech już tomów razem sporządzony.

Wołyniak.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Lud białoruski na Rusi litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej, zgromadzone w latach 1877—1894, przez *Michała Federowskiego.* T. III.

Życzenie, wypowiedziane w zeszłorocznej recenzyi tomu drugiego omawianego dzieła, spełniło się nadspodziewanie rychło. Bo oto po roku otrzymaliśmy dalszy tom tego pomnikowego wydawnictwa, za którego dokonanie winniśmy autorowi wdzięczność rzetelną, bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Układ naukowy, wszystkie opowiadania, zapisane w gwarze białoruskiej wiernie, (z czego pożytek mieć będzie nie tylko etnograf, ale także językoznawca), bogactwo wreszcie z mozołem zebranego materyału, oto trwałe zalety cennego dzieła p. Federowskiego, które mu zapewnia i chlubę i zasługę prawdziwą i imię jednego z najpoważniejszych etnografów polskich.

Tradycye historyczne, jakiemi zaczyna się omawiany tom, są bardzo a bardzo skąpe na Białorusi. Z ubiegłych stuleci zachowała pamięć ludu tak mało, jak może nigdzie. Zaledwie o tem lub o tamtem wie lud cośkolwiek, ale i to, co wie, jest bardzo ogólnikowe i fragmentaryczne. Garść krótkich opowiadań o Krzyżakach, św. Kazimierzu królewiczu, Bonie, Stefanie Batorym, wojnach szwedzkich, o Stefanie Czarnieckim, Auguście II, Stanisławie Poniatowskim, księciu Radziwille „Panie Kochanku", Kościuszce, wojnach napoleońskich, zniesieniu zakonu Bernardynów, pańszczyźnie i roku 1863, mieszcząca się na zaledwo 16 stronach druku, to wszystko, co zachowała Białoruś z lat minionych. Naturalnie, o pomięszaniu faktów historycznych nie mówię nawet wcale, bo są tego przykłady, np. zakonowi Krzyżackiemu przypisano usiłowania zdobycia Jasnej Góry. Tak samo, a nawet jeszcze szczuplejsze są podania miejscowe, w których znowu najczęściej powtarzają się wiadomości o znanych w etnografii „mogiłach szwedzkich". Poza tem tradycya lokalna niemal jakby wcale nie istniała.

Prawdziwe bogactwo widoczne jest dopiero w dalszych rozdziałach, mających za przedmiot powieści obyczajowo-moralne. Zupełnie jest stosunek ten nierównomierny uzasadniony. Do stworzenia bowiem opowiadań na tle życia codziennego ludu, który miał na każdym kroku doskonałą sposobność do zauważenia całego mnóstwa faktów, było wiele materyału, niejednokrotnie bardzo ciekawego. Mamy tu więc opowiadania o miłości w dawnych czasach, niestałości i wiarołomstwie małżeńskiem, uporze kobiet (str. 27, nr. 66, wersya ludowa motywu, zużytkowanego przez Mickiewicza w bajce p. t. „Golono — strzyżono"), nieposzanowaniu rodziców (między innemi wersye, podania o mordowaniu starców w zamierzchłych wiekach, o czem pisał prof. J. Polivka w pracy *Seit welcher Zeit werden die Greise nicht mehr getödtet?*), bezbożności, próżniactwie, pijaństwie i kradzieżach. Bardzo liczne są też opowieści przygodne o rozbójnikach, złodziejach, oszustach i anegdoty myśliwskie. Równie cenny i liczny jest zbiór opowiadań o plemionach i narodowościach, z którego można wiele wnioskować o poczuciu narodowem

Białorusinów. Mamy tutaj i Polaków i Cyganów i Mazurów, Niemców, Poleszuków, Rosyanów, Węgrów i Żydów (ostatni najliczniej są reprezentowani). Wszystkie zaś te opowiadania wraz z kpinami z Mazurów i szlachty mają dla nauki wysoką wartość pod każdym względem

Tom ten kończą dykteryjki o nowożytnych wynalazkach, a więc: o broni palnej, gazetach, kolejach żelaznych, telegrafie, sztuce fotograficznej i wreszcie próbki twórczości ludowej współczesnej (wierszem i prozą) przeważnie w formie listów pisane. Te ostatnie mają dla etnografii również niepoślednie znaczenie, jakkolwiek mimo tego dział ten bywa przeważnie pomijany milczeniem w monografiach etnograficznych, chociaż nie trudno postarać się o dokumenta do tego potrzebne.

W dodatkach mamy cały szereg uzupełnień do tomu poprzedniego, traktujących potwory mityczne (smoka), istoty w postaci ludzkiej (niedzielę, śmierć), ludzi-duchów (czarodzieja i potępieńca), metamorfozę (wilkołaka), duchy złe i dobre (dyabłów, anioła, św. Jerzego, św. Piotra), i podania o miejscowościach, oraz kilkanaście dodatkowych opowiadań, przeważnie o stanach i narodowościach.

Dr. St. Zd.

Germania. *P. K. Tacyt.* Tłumaczył *Wł. Okęcki.* Kraków. Nakładem autora. 1902. (Str. 25, w 8-ce).

Tłumaczenia dokonał autor nie w języku współczesnym, ale archaizującym. Dlaczego? Czy Tacytowskiej jędrności i poezyi obecny nasz język literacki nie sprosta? Może autor chciał oddać w ten sposób archaizmy Tacyta? Ależ styl Tacytowski nie nosi na sobie piętna starożytności. Ostatecznie autor tyle sprawił, że przywodzi na myśl tłumaczenie Naruszewicza, że nieraz trzeba brać do ręki Tacyta, by zrozumieć p. Okęckiego. Nie mówiąc o odtworzeniu myśli autora „Germanii", uważamy pomysł i pracę p. Okęckiego za rzecz nieudałą.

M. B.

Rozum życiowy. Według ks. d-ra M. Weissa „Die Lebensweisheit", z przedmową ks. d-ra Jana Siemieńskiego, napisał *Krzysztof hr. Mieroszowski.* Kraków 1903.

Książka powyższa jest zbiorem krótkich zdań, aforyzmów, stanowiących w całości niejako streszczenie prawideł etyki katolickiej. Rady, wskazówki, jak w tym kierunku postępować, daje nam dzieło ks. Weissa. Niepodobna podać tu choćby i w najogólniejszych zarysach osnowy tego dzieła: możemy je jedynie polecić najgoręcej do gruntownego zapoznania się z niem.

Streszczenie polskie poprzedza piękna przedmowa ks. Siemieńskiego, zawierająca między innemi wskazówki, jak zabrać się do czytania omawianej książki, by módz z niej odnieść jak największy pożytek.

L.

Antysemityzm św. Tomasza z Akwinu. Przez *ks. St. Gayrand.* Wydawnictwo *Roli.* Warszawa 1903.

Autor pierwotnie zamierzał dać tylko rozbiór listu św. Tomasza do księżnej Alicyi Brabanckiej traktujący sprawy ustaw przeciw Żydom. W ciągu pracy jednak rozszerzył on swój temat, dając jako tło obraz stanowiska Żydów w społeczeństwie i ustroju państw średniowiecznych, oraz zapatrywań pisarzy politycz-

nych i władców państw owoczesnych na kwestyę żydowską. Z tematu tego przechodzi autor w rozdziale ostatnim swej pracy do stosunków współczesnych. Rozpatrując antysemityzm współczesny dopatruje się jego źródła nie tyle w różnicy religii. co w odrębności rasowej i społecznej, oraz przewadze ekonomicznej narodu żydowskiego. Autor sprowadza go jednak na grunt religijny. Żydzi są wrogami Chrystusa: wedle autora tylko z tego założenia wychodząc można uzasadnić antysemityzm.

K.

Nowe hasła i dążenia demokracyi socaylnej. Napisał *ks. dr. Aleksander Pechnik.* Lwów 1903.

Autor nie zapoznaje, że partya socyalistyczna w pojedynczych swych postulatach ma słuszność. Postulaty te jednak to nie wyłączna własność nauki socyalistycznej, lecz wymagania słuszności, które uznają i państwa nowoczesne, przyjmują i społeczeństwa obce nauce socyalistycznej. Te postulaty, jak skrócenie dnia roboczego, ochrona robotników, opieka nad ich rodzinami, często przypuszczenie ich do udziału w zyskach i t. d. nie są zresztą osnową właściwej teoryi socyalizmu, lecz stawianie ich np. w ciałach ustawodawczych jest środkiem głównie agitacyjnym, zyskującym socyalizmowi setki i tysiące robotników, znajdujących się w nienajlepszych warunkach.

Poza tem zbija autor po kolei różne teorye socyalizmu i komunizmu. Nie zapuszcza się jednak w teoretyczne wywody i polemiki, lecz bada głównie stronę praktyczną i wykazując konsekwencye praktyczne, doprowadza je do *absurdum.*

Autor patrzy z otuchą w przyszłość. Choć socyalizm ma liczne zastępy zwolenników, to można mu przeciwdziałać. Idee religijne i moralne, jeżeli je będą głosić ludzie uzdolnieni, a przejęci duchem apostolskim, mogą powstrzymać rozwój socyalizmu. Na ruchliwość i zręczność agitatorów socyalistycznych należy odpowiedzieć odpowiednią kontragitacyą. Nie myśli tu naturalnie autor o agitacyi krzykliwej, frazesowej, lecz o działaniu realnem, mogącem wykazać rzeszom, gdzie mogą znaleźć prawdziwych przyjaciół. A więc opieka nad klasami uciśnionemi przez odpowiednie instytucye. W tym kierunku wielkie jest zadanie szkoły: ona bowiem daje młodzieży nieraz podwaliny na całe życie. Traktatem o pracy wychowawczej nad młodzieżą kończy autor swą pracę.

A. B.

O zapis Żyda Sterna. (W sprawie służby katoliczek u żydów). Skreślił *Jan Jeleński.* Wydawnictwo *Roli.* Warszawa 1903.

Poruszona jest w tej broszurce sprawa, pomimo swego lokalnego charakteru, zasadnicza. Mianowicie Izraelita Jankiel Stern, utworzył fundacyę, mającą być w zarządzie Tow. Dobroczynności w Warszawie, przeznaczoną dla katoliczek przebywających dłuższy czas w służbie u rodziny wyznania Mojżeszowego lub u kawalera takiego wyznania. Autor występuje przeciw temu ostatniemu punktowi zapisu Sterna, podnosząc i wykazując, że popiera on cele niemoralne, że zapisem tym rzucił Stern w twarz rękawicę całemu społeczeństwu chrześcijańskiemu.

A. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

AGITACYE PROTESTANCKIE W SZWAJCARYI.

Walka przeciwko Kościołowi, która od lat kilkunastu szczególnie zacięcie wre na całej linii, nie oszczędza i krajów, gdzie Rzym nie bardzo wielu liczy zwolenników. Dziwne echa dochodzą nas pod tym względem z wolnej Szwajcaryi. Przebywa tam względnie dużo robotników włoskich, na których obecnie protestanci zarzucają sieci; warto poznać metodę, jaką w tym wypadku stosują, gdyż dziwnie oświetla ona głośną w obozie protestanckim tolerancyę. W tym przeważnie akatolickim kraju założono osobny związek, mający na celu nie pastoracyę protestanckich, lecz protestantyzowanie katolickich Włochów. Związek ten sypie pieniądzmi w celach propagandy; pastorzy odwiedzają szpitale kantonalne, a „odwiedziny te nie pozostają bez skutku dla naszego dzieła, gdyż z odwiedzanych przez nas, chorych Włochów, jedni zostali członkami naszego związku, inni wstąpili w szeregi przygotowujących się do konfirmacyi“ (*Jahresbericht* z Zurychu z r. 1899). W tym samym celu rozdzielają protestanci ulotne broszury, traktaty i zaproszenia na wykłady; w samym r. 1901 rozesłano przeszło 20.000 zaproszeń, a rozrzucono 10.000 broszur. Jeżeli wierzyć sprawozdaniu za rok 1901, ilość apostazyi od Kościoła powiększyła się,

lecz to jeszcze nie wystarcza. Pastorzy wciskają się między katolickie rodziny i pracują nad ich „nawróceniem“: „gdziekolwiek się tylko zdarzy okazya, by całą jaką rodzinę w jej mieszkaniu do ewangelii nawrócić, tam z niej korzystamy“ (*Jahresbericht*, 1901, str. 6). Urządzają oni wreszcie odczyty i dysputy i zwołują zgromadzenia, gdzie wygłaszają swoją naukę i swoje zasady i tym sposobem jednają katolików dla swego kościoła. W tych zgromadzeniach bierze podobno udział do kilkuset Włochów, a zrażeni ujemnemi stronami katolicyzmu, o których tyle słyszą, pomnażają szeregi ewangielików.

Równocześnie i starokatolicy wzięli za cel swych wystąpień Kościół rzymski i imieniem „katolickiej gminy kościelnej miasta Zurychu“ rozsyłają peryodyczne cyrkularze, pełne najwstrętniejszych potwarzy, rzucanych w twarz Rzymowi. Prawdziwie klasycznym jest fakt, że ta rozpadająca się i ledwo jeszcze wegetująca sekta, żąda od katolików i to „oficyalnie“, by oświadczyli, czy chcą jeszcze być członkami swego, pełnego zabobonów i nadużyć, Kościoła. Przeciwko tym i podobnym insynuacyom wnieśli katolicy zażalenie, na które, jak łatwo można było przewidzieć, nie otrzymali odpowiedzi.

Nie śpią i protestanckie sekty, a skutkiem ich pracy w r. 1901 w jednej tylko części miasta Zurychu odpadło od Rzymu kilka rodzin z trzydziestu przeszło dziećmi, a trzeba zauważyć, że wiele z tych odstępstw uchyla się po prostu z pod kontroli proboszczów.

Rozbrzmiewa w Szwajcaryi i hasło *Los von Rom*; wielką rolę w tej agitacyi odgrywają, tak samo jak w Austryi, zwoływanie zgromadzeń, rozszerzanie broszur, agitacya pastorów i jak zwykle potwarze, rzucane na Kościół katolicki. W protestantyzmie wszystko prawie się rozkłada, wszystko się burzy i wali, hasło *Los von Rom* ma zjednoczyć i wzmocnić upadające szeregi.

Że i rząd zajmuje w Szwajcaryi stanowisko wybitnie antykatolickie, wynika z głośnego edyktu, mocą którego zamknięto kraj dla wydalonych z Francyi kongregacyi, które prosiły o pozwolenie na czasowy pobyt. Słusznie też pisała w tej sprawie szwajcarska *Gazeta kościelna:* „bezwstydne kobiety wypełniają

całe domy i uprawiają rozpustę, jako rzemiosło, na modlące się i dla ludzkości pracujące dziewice rzuca się interdykt. Anarchiści, którzy głoszą mord królów, używają wolności do ostatecznych granic posuniętej; Jezuici, których wybitne zasługi około religii, kultury i wiedzy każde bezstronne badanie uznaje, spotykają się z klątwą narodu. Tajne zgromadzenie wolnomularzy ze swemi tajemnicami doznaje najpełniejszej wolności — katolickie zaś zakony oskarża się *a priori, ex praesumptione iuridica*. o tajemne, przeciwnarodowe tendencye". Te słowa szwajcarskiej gazety zasługują tem bardziej na uwagę, jeżeli zważymy, że chociaż konstytucya szwajcarska nie pozwala na wznoszenie nowych klasztorów, instalowanie nowych zakonów i na otwarcie granicy dla Jezuitów lub im pokrewnych stowarzyszeń, to jednak te zgromadzenia żeńskie i męskie, które nie podpadają pod powyższą rubrykę, mogły przynajmniej korzystać na przeciąg jakiegoś czasu z gościnności i prawa asylu; to prawo znajdowali w Szwajcaryi wszyscy, ci nawet, którzy swego czasu byli postrachem Europy. Od wydania tego dziwnego edyktu upłynęło już półtora roku, należało się jednak o nim tu wspomnieć, gdyż edykt ten tworzy ciągłe niebezpieczeństwo dla sprawy katolickiej w Szwajcaryi. Rząd bowiem, wydając wspomniany zakaz, nie tylko że identyfikował pojęcia z a k o n i k o n g r e g a c y a, ale równocześnie te pojęcia tak rozszerzył, że jakikolwiek instytut, szpital nawet, w którym przez konstytucyę uznani zakonnicy pracują, może być w jego tłumaczeniu nazwany klasztorem i jako taki zakazanym; tym sposobem zachowała sobie władza państwowa na zawsze silną broń przeciwko katolicyzmowi, nie oglądając się bynajmniej na ustawy.

KONGRES KATOLIKÓW SZWAJCARSKICH.

W tych trudnych czasach katolicy nie opuszczają rąk. Odpowiedzią niejako na wszystkie te nieprzyjazne występy był kongres katolików szwajcarskich, który się odbył w Lucernie w dniach 27—29 września ubiegłego roku. Myśl takiego kongresu podniesiono już przed dwudziestu laty, nie dała się ona jednak urzeczywistnić. Wchodziły tu w rachubę względy zbyt niestety oportunistyczne i terytoryalnie zanadto

określona działalność poszczególnych stowarzyszeń, jak n. p. Partyi katolicko-konserwatywnej, Szwajcarskiego związku Piusa, zamienionego później na Szwajcarski związek katolicki i innych. Ostatecznie trudności usunięto, kongres przyszedł do skutku, a nie łatwo było przewidzieć, że się tak świetnie uda. W najśmielszych marzeniach przypuszczano, że zjazd zdoła może zgromadzić do 5.000 osób; te oczekiwania zostały wszystkie przewyższone. Przeszło 15.000 uczestników kongresu stwierdziło dobitnie, że wiara katolicka w ojczyźnie Tella solidaryzuje się jeszcze z dawną tradycyą i nie tylko wegetuje, ale żyje. Biskupi, prałaci, kler świecki i zakonny, górale, wieśniacy, rzemieślnicy, robotnicy, kupcy, fabrykanci, profesorzy, urzędnicy, wszyscy udziałem w kongresie stwierdzili swą przynależność do Kościoła. Nawet wroga prasa, jak n. p. *Neue Züricher-Zeitung* nazwała kongres „świetną manifestacyą", a protestancko-konserwatywna *Züricher Freitags-Zeitung* pisała: „nie mała to jednak musiała być rzecz, która wstrząsnęła tymi tysiącami i sprowadziła je do Lucerny, gdzie na nich przecież nie czekały żadne przelotne zabawy, ani materyalne rozkosze".

Praca w sekcyach przedstawiała się nie tylko imponująco, ale przedewszystkiem celowo i praktycznie. Tu można bez przesady powiedzieć, że nie było prawie ważniejszej kwestyi, którejby nie poruszono. Pierwszorzędnymi rezultatami mogła się poszczycić sekcya prasy, która spowodowała związek katolickich redaktorów i dziennikarzy szwajcarskich i powołała do życia tak zwany apologetyczny instytut, którego celem zbijać lub prostować fałsze, jakie krajowa akatolicka prasa rozsiewa o Kościele, o jego instytucyach i sługach. Wcale nie gorzej udały się dwa ogólne zgromadzenia, gdzie wielkie wrażenie wywołał serdeczny i nader długi telegram, wysłany imieniem Ojca św. przez kardynała sekretarza stanu Merry del Val. Pracowano dużo nad projektami połączenia katolików wszystkich kantonów, a długotrwałe oklaski mówiły o entuzyazmie, jakim gorzały serca uczestników kongresu. Może się to komu wydawać dziwnem, że oficyalnie zakończono kongres krótką na Rütli wygłoszoną mową, nie można jednak było wybrać ku temu celowi odpowiedniej-

szego otoczenia; te głazy i skały tyle przecież mówiły o jasnej chwalebnej, szczęśliwszej przeszłości.

Ciekawem było zachowanie się dzienników. Prasa katolicka miała dla kongresu słowa uznania i zachęty; prasa liberalna i radykalna katolickich kantonów starała się znaczenie kongresu obniżyć, choć i tam znalazły się pisma, które prawie entuzyastycznie o zjeździe się wyrażały; prasa Szwajcaryi francuskiej i niemieckiej pisała bardzo sympatycznie, stwierdzając, że kongres wypadł ponad oczekiwania wspaniale i imponująco. Wogóle przyznać trzeba, że dziennikarstwo protestanckie sądziło kongres bezstronnie i przychylnie nawet, a rozdźwiękiem w tym chórze był tylko głos *Neue Züricher Zeitung*, która, choć uznała w kongresie „świetną manifestacyę", widziała w nim jednak rozumie się „wyzwanie rzucone w twarz nowoczesnemu państwu". Te głosy prasy są bez wątpienia nie najmniejszem zwycięstwem sprawy katolickiej.

Owocem więc kongresu jest, to uznają nawet przeciwnicy, silna centralna organizacya katolików, pierwszy krok do osiągnięcia w Szwajcaryi nie teoretycznej, ale praktycznej i rzeczywistej równości między protestantami a katolikami. Kongres zamanifestował pełnię życia katolickiego wśród członków tej samej wiary i szczodrą dłonią rozsypał ziarno inicyatywy na wszelkich polach działalności katolickiej.

Z FRANCYI.

W tym samym czasie coraz dziwniejszy widok przedstawia nam Francya. Walka kulturna i prześladowania wrą w najlepsze; zasady wielkiej rewolucyi zapanowały na wszystkich polach, szczególniej na polu socyalnem i politycznem i stworzyły dzisiejsze towarzystwo; kontrast między państwem i Kościołem pogłębił się i musiał prędzej lub później wywołać obecną burzę. Stworzone przez rewolucyę prawa kodeksu Napoleońskiego, choć uwzględniające absolutny indywidyalizm, krępują wszelką wolność i stoją poza chrześcijaństwem, zdaje się, że nie wiedzą nawet nic o Bogu. O pierwszem świadczy n. p. fakt, że właściciel we Francyi nie może dowolnie rozporządzać swoim majątkiem, każdy członek rodziny musi odzie-

dziczyć po ojcu równą część; jeżeli zaś przedmiotu jakiegoś rozdzielić nie można, trzeba go sprzedać, aby równa suma dostała się w udziale członkom. Kiedy za czasów cesarstwa chciano choć trochę powyższe przepisy zmienić, grożono zemstą narodu za „taką zdradę zasad z 1789 r.“ Dotychczas nie można było we Francyi przeprowadzić urzędowego święcenia niedzieli; odrzucano wszelkie do tego zdążające prawa, jako krępujące wolność osobistą. Katolicy święcą niedzielę, jeżeli to wogóle mogą, robotnicy poniedziałek, wielki świat piątek, kupcy i niektóre inne klasy czwartek. Przedsiębiorca, który pragnie, aby robotnicy wstrzymali się od pracy w niedzielę, nie tylko musi im wypłacić całą należytość dnia, ale jeszcze naraża się na dużo rozmaitych nieprzyjemności. Charakterystycznym był fakt, że rada gminna Paryża zostawiła do woli przedsiębiorcom wybór dnia przeznaczonego na tygodniowy spoczynek, wyjęła jednak z pod tego wyboru niedzielę.

Gorzej jeszcze przedstawia się bezpośredni stosunek prawa francuskiego do Kościoła. Po zawarciu konkordatu dołączył do niego Napoleon tak zwane „artykuły organiczne“, które wolność konkordatem Kościołowi daną, bardzo ograniczają. Biskupom nie wolno bez pozwolenia rządu opuszczać dyecezyi, ani też zwoływać synodów dyecezyalnych; jeszcze surowiej zakazano im zbierać się na koncilia prowincyonalne lub krajowe, wykluczonem jest więc wszelkie porozumienie się i obradowanie prałatów kościelnych. To też nikogo nie zadziwi niezadowolenie, wywołane zbiorowym protestem episkopatu przeciw prawom kongregacyjnym. Wzajemne listy biskupów bywają kontrolowane; tym, którzy tej kontroli umieją uniknąć, jak n. p. arcybiskupowi z Besançon, zabiera rząd pensyę. Władza Papieża w mianowaniu pasterzy dyecezyalnych jest ograniczona, a Pius X był zmuszonym znieść znaną formułę *Nobis nominavit*, którą Ojciec św. deklarował swe wyłącznie najwyższe prawo w tej sprawie. Wikaryuszów generalnych i proboszczów mianują biskupi w porozumieniu z rządem, tak jednak, że rząd łatwo potrafi wymusić przeniesienie niemiłego kapłana; najczęściej ku temu używanym środkiem jest zatrzymanie pensyi. Katedry i te świątynie, które

mają architektoniczną wartość, są własnością państwa; biskupstwa, parafie, seminarya nie mogą bez pozwolenia rządu przyjmować żadnych darowizn, ich dochodami zarządzają urzędnicy cywilni. Działalność socyalna, a jeszcze więcej polityczna świeckiego kleru jest uniemożliwiona; proboszczowie i biskupi mają jedno tylko prawo i jeden najwyższy obowiązek: starać się, by wybory wypadły dla państwa jak najpomyślniej. W tych warunkach, gdy akcya Kościoła jest sprowadzona do zera, nie może zadziwić fakt, że życie religijne zanika, że ruch rewolucyjny się wzmaga, że zdziczenie moralne postępuje, że trzecia część wszystkich narodzin w samym np. Paryżu pochodzi ze związków nieślubnych, że rozszerzają się dzikie małżeństwa, że z 9.000 rocznych rozwodów dwie trzecie przypadają na stolicę, że samobójstwa w zastraszającej liczbie wzrastają, że jednem słowem obojętność religijna zatacza coraz szersze kręgi, przemienia się nawet w fanatyczną nienawiść Boga i Kościoła.

Walka, jaką w ostatnich czasach wypowiedział rząd francuski kongregacyom, jest więc aż nadto zrozumiała. „Wielka potęga kongregacyi spoczywa w tem, że rozwinęły one działalność, która przysługiwała jedynie państwu“ — ten zarzut wytoczono przeciwko kongregacyom przy obradach nad prawem lipcowem, pominięto jednak zręcznie pytanie, czemu państwo nie rozwinęło tej działalności i czemu pozwoliło się kongregacyom w tym względzie ubiedz; rząd francuski wystawił sam sobie nie bardzo pochlebne świadectwo. Rzeczywiście osiągnęły kongregacye we Francyi małymi środkami duże rezultaty. W ich gronie znachodzą się pierwszorzędne siły naukowe; szkoły ich tak się rozwinęły, że państwo wielkim nawet wysiłkiem nie mogło im sprostać; ósma część męskiej młodzieży szkolnej, a połowa żeńskiej kształciła się w zakładach kongregacyjnych. Do 400.000 sierot obojga płci, starców, ubogich, kalek i chorych znajdowało ochronną przystań w zakładach zakonnych; nim jeszcze rząd pomyślał o szkołach dla robotników i rzemieślników, kwitnęły już te szkoły pod kierownictwem kongregacyi; szkoły rolnicze i gospodarskie przysposabiały w swych murach przyszłych gospodarzy; Siostry Miłosierdzia na długo jeszcze przed rządem wypowie-

działy wojnę tuberkulozie i w swych zakładach w Villepinte i Ormesson niejedno zdrowie uratowały.

Działalność misyjna zakonów francuskich jest po prostu zdumiewająca. Przeszło 20.000 zakonników i zakonnic rozbiegło się po całym świecie, by wszędzie głosić hasło wiary. Pomijając już ich pracę apostolską, którą trzeba uznać, nie można nie zwrócić uwagi na ich misyę cywilizacyjną. W Tunisie, w Algierze, w Madagaskarze, w Tonkinie mogła Francya dopiero wtenczas rozpocząć swą pracę, gdy misyonarze przygotowali teren; prawo patronatu Francyi na Wschodzie nie mogłoby wejść w życie bez zakonników, którzy działalnością apostolską grunt przyspasabiali.

Prawdą jest, że w konkordacie zakonników wyraźnie nie wymieniono; że ich jednak nie myślano wykluczyć, pokazuje choćby ten sam fakt, że twórca konkordatu, Napoleon, pozwolił wypędzonym przez rewolucyę zakonom wrócić do Francyi i urzędowo je uznał. Ponieważ jednak pomiędzy męskimi zakonami pięć tylko aprobowano, a między żeńskimi około ośmset, zależała wielka liczba klasztorów od dobrej lub złej woli każdorazowego rządu. Tej dobrej woli zabrakło w ostatnich latach i stąd powstała agitacya państwowa przeciwko kongregacyom. Dokąd ona doprowadziła, jakie wywołała skutki, to czytelnikom naszym aż za nadto wiadomo, nie potrzeba więc nad tym punktem dłużej się rozwodzić. Wystarczy wspomnieć, że walka kulturna bynajmniej nie ustała, lecz coraz szersze zatacza koła.

A katolicy? Hr. de Mun w liście do kongresu związku młodzieży w Chalon sur Saône, wyraził się w te słowa: „po kongregacyach męskich przyjdzie kolej na kongregacye żeńskie, na uznane po nieuznanych, na kler świecki po zakonnikach. Combes rozpoczął zaciekłą walkę przeciwko Kościołowi. Prasa, która mu wydaje rozkazy, żąda stanowczo zerwania konkordatu; przyznał to sam Combes w senacie. Burza, jakkolwiek krótko potrwa, będzie jednak straszną; dlatego tem bardziej trzeba się na nią przygotować. Obmyśleć obronę jest rzeczą biskupów, my mamy obowiązek przyłączyć się do nich, dopomódz im, starać się wszędzie o chwałę Bożą i utrzymanie księży“.

Jak sobie te rozsądne słowa wzięli do serca katolicy francuscy? Jak za najlepszych czasów kłócą się między sobą. Do nich w pierwszej linii odnoszą się słowa, wypowiedziane przez holenderskiego parlamentarzystę, Schoepmana: „wszędzie wre walka przeciwko Kościołowi, tu otwarcie, tam w ukryciu; wszędzie zbliża się rozłam. Katolicy, podzieleni według grup i osobistości, rozproszeni, rozdzieleni, nie połączeni między sobą, czekają na wynik walki. Każdy ma swoją dynastyę, swoje zapatrywanie, swoje wyrachowanie, swoją ideę, swoją politykę, swoje poglądy i sposób pracy".

Mówiono głośno, że gdy walka kulturna wybuchnie, stosunki się zmienią; ta walka wybuchła już i stosunki na prawdę się zmieniły, ale na gorsze. Dotychczas jeszcze nie umieli katolicy zorganizować się w partyę katolicką, gdyż ważniejsze zadania na nich czekały. Jeżeli Combes powiedział przed kilku tygodniami, że republika znajdowała zawsze nieprzychylny sobie klerykalizm na swej drodze, to miał on niestety słuszność i ze swego stanowiska słusznie przeciwko „klerykalizmowi" walczy. Nie było w ostatnich dziesiątkach lat awantury, w którejby katolicy nie brali udziału. Swego czasu popierali Boulangera, później walczyli w sprawie Dreyfusa przeciwko rządowi, z Drumondem szli ręka w rękę, w Taxilu widzieli zbawiciela, załatwiali jednem słowem interesa wszystkich, tylko nie swoje. Opierali się o wszystkie partye przeciwrządowe i najgorzej na tem wychodzili. Wiele hałasu narobiło nie bardzo dawno połączenie się katolików z nacyonalistami przy wyborach gminnych w Paryżu; upatrywano w tem wygraną katolicką. Rząd tymczasem wydalił Siostry Miłosierdzia ze szpitalów paryskich, a nacyonaliści francuscy na to nadużycie najmniejszej nie zwrócili uwagi. Dotychczas żyli katolicy we Francyi zawsze iluzyami, a zamykali oczy na tak smutny fakt, że większość narodu francuskiego stoi na gruncie antykościelnym i wręcz nieprzychylnym wszelkiej pozytywnej wierze; moralnym policzkiem wymierzonym katolikom jest każde ustępstwo Ojca św., zrobione na rzecz rządu. Rzym nie robiłby tych ustępstw, gdyby czuł, że ma za sobą zwartą falangą wiernych swych synów. Znamiennym do historyi zapatrywań kato-

lików w tej sprawie i charakteryzującym całe ich niedołęstwo, jest fakt, podany w jednym z ostatnich numerów *Kölnische Volkszeitung*. Pewien cudzoziemiec złożył wizytę jednemu z arcybiskupów francuskich; przy tej sposobności powiedział do niego sekretarz arcybiskupa: „dzieci, które się urodzą w czasie prześladowania, zapewnią kiedyś zwycięstwo sprawie katolickiej". Piękna perspektywa na przyszłość!

Kościół sam nie wiele będzie mógł zdziałać, gdyż jest za nadto skrępowany, a jego czynność do niemożliwie małych zredukowana rozmiarów; od katolików francuskich nie wiele się jeszcze długo można będzie spodziewać; nie jest więc tak paradoksalnem, jak się wydaje, twierdzenie pewnego publicysty francuskiego: „zmiana na lepsze wyjdzie dopiero od rządu". Nie jest tak paradoksalnem, jak się wydaje, bo kryzys ekonomiczna, jaką obecna walka już wywołała i jeszcze wywoła, musi spowodować odwet. Zresztą większa moc Boska, niż złośliwość ludzka.

Ks. Wiktor Wiecki.

Przegląd przygotowań do jubileuszu maryańskiego.

Ostatni dokument wydany wprost przez Leona XIII i noszący jego podpis, zarówno jak i pierwszy akt tego rodzaju ogłoszony przez Piusa X mają jedną i tą samą sprawę za przedmiot: uroczysty obchód pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia [1].

Pierwsza myśl tego obchodu wyszła ze Stowarzyszenia młodzieży rzymskiej p. n. *Circolo della Immacolata della Gioventù di Roma*, za inicyatywą jego ojca duchownego, ks. Prałata Jakóba Radini Tedeschi, wielce zasłużonego około dzieł katolickich w Rzymie; projekt ten przyjął z radością Kongres katolicki włoski, zebrany w Mieście Wiecznem r. 1900. Przed dwoma niespełna laty dwóch pisarzy francuskich z Towarzystwa Jezusowego, księża: Renat Marya de La Broise i Alan du Bec-Boussay poświęcili tej sprawie w czasopiśmie *Études* obszerny

[1] Cf. Battandier: *Annuaire pontifical catholique*. 1904, str. 129.

artykuł [1], a pierwszy z nich wraz z ks. A. de Becdelièvre przedstawili tę sprawę na kongresie ku czci N. M. P. we Fryburgu roku 1902. Dzięki temu jedna z jego uchwał poleca obchodzić uroczyście pięćdziesiątą rocznicę ogłoszenia dogmatu Niepokal. Poczęcia wielkiemi pielgrzymkami do Lourdes, uroczystościami miejscowemi na d. 8 grudnia, oraz kongresem i wystawą powszechną [2] w Rzymie" [3].

Żeby ten obchód ująć w jak najszersze ramy, a zarazem należycie go zorganizować i powagą papieską umocnić, wydał w tym celu żarliwy czciciel Matki Bożej, Leon XIII na d. 26 maja r. z. pismo. „Z wielu stron — tak je rozpoczyna — doszło nas gorące życzenie wiernych, ażeby pięćdziesiąta rocznica dogmatycznego określenia Niep. Poczęcia Maryi była obchodzoną z nadzwyczajną uroczystością. Jak miłym był taki zamiar Naszemu sercu, łatwo sobie wyobrazić. Wszak nabożeństwo do Matki Bożej było nie tylko jednym z najmilszych przedmiotów Naszego upodobania począwszy od lat dziecięcych, ale jest ono dla Nas jednym z najsilniejszych środków obrony użyczonych przez Opatrzność Kościołowi katolickiemu. We wszystkich wiekach i we wszystkich walkach i prześladowaniach uciekał się Kościół do Maryi i zawsze znajdował wzmocnienie i obronę. A ponieważ czasy obecne są tak burzliwe i pełne pogróżek przeciwko Kościołowi samemu skierowanych, to cieszy się Nasz umysł i nabiera otuchy na widok, że wierni, korzystając z nadarzającej się okoliczności wspomnianego pięćdziesięciolecia, chcą z jednomyślnem uniesieniem ufności i miłości zwrócić się do Tej, która jest wzywaną jako Wspomożenie Chrześcijan". A dalej powiada: „Gdy więc jest Naszym zamiarem, aby uroczystości pięćdziesiątego roku miały cechę tej wspaniałości, jaka przystoi temu Naszemu Rzymowi i żeby mogły posłużyć za pobudkę i przykład dla pobożności katolików całego świata, postanowiliśmy utworzyć Komisyę Kardynalską, która będzie tem zarządzała i kierowała". W skład tej komisyi weszli z nominacyi papieskiej kardynałowie: Wincenty Vannutelli, Rampolla Del Tindaro, Ferrata i Vives. Po ogłoszeniu powyższego pisma wzięto się niezwłocznie do dzieła, bo już w uroczystość Zielonych Świątek (31 maja) wezwano świat katolicki do wzięcia w obchodzie udziału, dołączając program generalny uroczystości, zatwierdzony przez Komisyę kardynalską.

---

[1] W języku polskim zamieścił go *Sodalis Marianus*, r. III, zesz. I—V.

[2] Złożonej z ksiąg i broszur oraz dzieł sztuki, poświęconych czci Matki Bożej.

[3] Cf. *Compte rendu du Congrès Marial à Fribourg*, t. II, p. 538 i 539.

Na czele organizacyi całego obchodu stoi Komitet Centralny, złożony z Komisyi Kardynalskiej (władzy kierującej) i z Komisyi wykonawczej (wypełniającej to, co kardynałowie postanowią lub czemu udzielą swej sankcyi). Sekretarzem jest ks. Prałat Radini-Tedeschi, a do Komisyi wykonawczej należą, prócz członków wspomnianego *Circolo della Immacolata: a)* przełożeni kollegiów duchownych zagranicznych w Rzymie (między nimi O. Konstantyn Czorba, rektor kollegium polskiego); *b)* reprezentanci siedmiu stowarzyszeń katolickich rzymskich; *c)* trzech przedstawicieli prasy katolickiej w Rzymie; *d)* członkowie korespondenci (a więc nie mieszkający w Rzymie), którzyby byli łącznikami między Komitetem Centralnym a Komitetami narodowymi i dyecezyalnymi, o których niżej [1].

Żeby jednak jubileusz miał charakter uroczystości powszechnej świata całego, nie w samym jedno Rzymie, lecz wszędzie obchodzonej, udano się w tym celu z prośbą o interwencyę do Nuncyuszów i Delegatów Apostolskich, oraz do wszystkich Biskupów, prosząc ich o rozszerzanie ogólnego programu oraz zawiązywanie Komitetów narodowych i dyecezyalnych, któreby w ramach programu ogólnego zajęły się urządzeniem miejscowych uroczystości i postarały się, by prasa katolicka wspomagała ich pracę. Udano się również do kardynała Prefekta Propagandy (od którego zależy większa część świata katolickiego) z prośbą, by do Rzymu na uroczystości tameczne przybyły delegacye z poszczególnych misyi, i by na kongresie zdano sprawę o czci Matki Bożej w krajach misyjnych. Poproszono też Generałów zakonnych o pomoc ze strony ich zgromadzeń zarówno w urządzeniu kongresu jak i utworzeniu międzynarodowej biblioteki maryologicznej w Rzymie i o nadsyłaniu wiadomości o specyalnych obchodach z okazyi jubileuszu zarządzonych w ich Zakonach.

Postanowiono wreszcie wydawać co miesiąc czasopismo w języku włoskim p. n. *L'Immacolata*, które ma zawierać: *a)* sprawozdania z czynności Komitetu Centralnego; *b)* wiadomości o przygotowaniach do obchodu jubileuszowego po różnych krajach; *c)* artykuły naukowe i literackie, odnoszące się do czci Bogarodzicy Niepokalanej [2].

---

[1] Z Polaków zostali zaproszeni między innymi: ks. Adam książę Sapieha, kan. metrop. lwows., XX. Stefan Bratkowski i Alfred Wróblewski T. J., pp. Maryan Bartynowski, redaktor *Sodalisa*, i Marceli Gajewski ze Sodalicyi lwowskiej.

[2] Roczna prenumerata tego pisma ozdobionego artystycznie wykonanemi illustracyami, wynosi 6 fr. 50 cent.; adres administracyi: *Roma*,

W trakcie tych czynności ostatni z kardynałów i biskupów, jacy otaczali Piusa IX w bazylice watykańskiej w pamiętnym dniu 8 grudnia 1854 r. Papież Leon XIII odszedł do wieczności. Ale jego Następca Pius X już w uroczystość Narodzenia Matki Bożej potwierdził wyż wspomnianą Komisyę kardynalską, polecając jej gorąco wykonanie zamierzonego programu; dołączył ułożoną przez siebie modlitwę do Bogarodzicy Niepokalanej, wzbogaconą odpustem 300 dni, który można raz na dzień pozyskać. Nadto d. 14 grudnia udzielił audyencyi Komitetowi Centralnemu i dziękował mu za podjęcie się tego dzieła, które już dziś cieszy się wynikami pomyślnymi, a pozwala spodziewać się w przyszłości jeszcze lepszych i dodał, że Kościół i społeczeństwo oczekują od Dziewicy Niepokalanej w tych uroczystościach jubileuszowych wielkich łask; nie spodziewamy się jakichś cudów wielkich, ale reformy obyczajów, której tak bardzo wszędzie potrzeba: oto On sam błaga Ją codziennie od 8 grudnia począwszy, i błagać będzie, aby uroczystości jubileuszowe miały przebieg jak najgodniejszy naszej Matki Niebieskiej. Zwracając się do licznie zebranych przedstawicieli prasy, polecał c z w a r t e j p o t ę d z e, jak się żartobliwie wyraził, uroczystość obecnego jubileuszu.

Myślą przewodnią całego tego obchodu jest złożenie hołdu Bogarodzicy przez pobożność, nauki i sztuki piękne, a tem samem jeszcze większe pomnożenie czci Matki Bożej.

Z uczynków pobożnych wymienić trzeba naprzód n a b o ż e ń s t w a, jakie (począwszy od 8 grudnia z. r.) odprawiają się przez cały r. b. ó s m e g o d n i a k a ż d e g o m i e s i ą c a ku czci Niepokalanie Poczętej Dziewicy w Rzymie w bazylice *Santa Maria Maggiore,* a w innych miejscowościach w kościołach wskazanych przez władzę dyecezyalną. Nabożeństwo to, mające służyć za przygotowanie wiernych modlitwą i przyjmowaniem Sakramentów na oną wielką uroczystość, obdarzył Ojciec św. znacznymi odpustami i pozwolił tym kościołom, gdzie się ono odprawia, na wotywę uroczystą ku czci Niepok. Poczęcia; prócz tego w dniu tym we wszystkich Mszach św. odprawianych w kościele,

---

Via Torre Argentina, 76. Nadto w języku francuskim, niemieckim, hiszpańskim, a podobno i angielskim wychodzą skrócone (w części literackiej) wydania tego pisma. Prenumerata egzemplarza francuskiego wynosi 3 fr., adres: *R. P. Masquilier, église st. Joachim, Rome.* O niemiecki egzemplarz należy pisać do: *Collegium Marianum Societatis Divini Salvatoris, Roma, Borgo Vecchio, 165.* Abonament wynosi 1 kor. 40 gr.

gdzie to nabożeństwo zaprowadzono, można dodawać wspomnienie o Niep. Poczęciu.

Środkami również do wyjednania i skorzystania z obfitych łask, jakie ten obchód ma sprowadzić, będzie urządzanie w ciągu roku misyi, oraz odprawienie osobnych rekollekcyi przez członków stowarzyszeń katolickich celem przygotowania się do obchodu, udzielanie pierwszych Komunii św. z większą w tym roku, niż zwykle, solennością; różne dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego ku uczczeniu tego roku założone lub spełnione, między innemi nabożeństwa żałobne za dusze tych, którzy mieli szczególne do Matki Bożej nabożeństwo; pielgrzymki do wsławionych łaskami i cudami stolic Maryi, a wśród tych pielgrzymek kto wie, czy nie najbardziej niezwykłą nie będzie pielgrzymka międzynarodowa lekarzy katolickich, jaka w kwietniu zjawi się w Rzymie. Urządzenie jej powierzono katolickim wydziałom medycznym z Lille, Louvain, Montréal i Beyruthu, a stowarzyszenia lekarskie: św. Łukasza i św. Kosmy i Damiana również się o to starają. Przybywszy do Rzymu, lekarze odbędą narady celem przygotowania raportów, jakie ich delegaci złożą na kongresie światowym w grudniu oraz omawiania cudownych uzdrowień, zwłaszcza w Lourdes. Do sprawozdań o cudach będą dołączone fotografie zdjęte tak przed jak i po uzdrowieniu; będą one też wystawione podczas kongresu. Uwieńczeniem tych praktyk pobożnych będą pontyfikalne celebry w grudniu w bazylice watykańskiej i liberyańskiej, a nadewszystko koronacya obrazu Matki Bożej, znajdującego się w kaplicy chórowej u św. Piotra. Dokona jej na d. 8 grudnia sam Papież koroną z 12 gwiazd dyamentowych, na które się złożą ofiary wiernych całego świata. Między innemi na jedną z 12 gwiazd złożą się ofiary zebrane przez prasę Maryańską, na drugą przez Sodalicye Maryańskie i Kongregacye Dzieci Maryi, na trzecią przez najsłynniejsze świątynie ku czci Maryi wzniesione; z tych ostatnich pierwsze, które na to wezwanie odpowiedziały, świecąc innym przykładem, były bazyliki w Lourdes, Matki Bożej Zwycięskiej w Paryżu i na Fourvière w Lyonie. Jeżeli nabożeństwa odprawiane r. b. po katakumbach rzymskich przed najstarszemi wizerunkami Matki Bożej przypominać będą cześć wszystkich wieków dla Maryi, to nabożeństwa w bazylikach: watykańskiej i liberyańskiej będą obrazem czci wszystkich narodów katolickich, gdyż zgromadzą się na nie wierni z przeróżnych stron świata, przybyli do Rzymu na Kongres światowy ku czci Matki Bożej.

Zbierze się on w pierwszych dniach grudnia i obradować będzie trzy dni (nie licząc posiedzenia otwierającego i ceremonii zamykających) w pałacu laterańskim, użyczonym na ten cel przez papieża, który nie lubi, ażeby kościoły obracano na aule posiedzeń lub sale koncertowe. Referaty i obrady z niemi połączone każdego dnia toczyć się będą około jednego przedmiotu z Maryologii, a więc: pierwszy dzień będzie poświęcony czci Maryi tak pod względem teologicznym, jak historycznym i praktycznym (różne nabożeństwa ku czci Maryi; tegoż dnia będzie też mowa o czci Rodziców Najśw. Panny i Jej Oblubieńca św. Józefa). Drugiego dnia będzie mowa o dziełach i czasopismach odnoszących się do Matki Najśw. Prace dnia tego czytane już to będą poświęcone rozdziałom z Ojców greckich i łacińskich piszących o Niepokalanej, już to zwrócą uwagę wiernych na dzieła zasługujące na to a świeżo wydane, już to pomówią o sposobie uzupełniania biblioteki maryologicznej w Rzymie i innych tego rodzaju, już to zastanowią się nad sposobem układu modlitewników Maryańskich, odpowiadających najlepiej swemu celowi; wreszcie będzie tam mowa o czasopismach maryańskich, ich statystyce, sposobie ich redagowania i propagandy, oraz o ich zadaniu potrójnem, t. j. *a)* szerzeniu czci Matki Bożej, a przez te *b)* ulepszaniu zarówno osobników, jak i całych klas społecznych i stowarzyszeń; *c)* o obronie nauki Kościoła o Matce Bożej wobec propagandy błędnowierczej lub wprost bezbożnej. Dzień trzeci obróconym zostanie na przegląd zakonów, stowarzyszeń i instytucyi poświęconych Maryi, a więc przedstawionym będzie wpływ na rozwój Jej czci, pochodzący zarówno od całych instytucyi, jak dzięki pracom i staraniom poszczególnych osobiści, jakie do nich należały, następnie statystyka, urządzenie i wpływ różnych bractw i stowarzyszeń pod opieką Maryi istniejących na całe społeczeństwo i poszczególne tegoż klasy. Kongres podzieli się na liczne sekcye, ale nie według języka obrad (jak to było we Fryburgu), tylko wyłącznie według przedmiotu materyi omawianej; zaczem będzie w całem tego słowa znaczeniu międzynarodowym. Kto na kongres pragnie wysłać referat, powinien niezwłocznie wziąć się do dzieła (jeśli wprzód o tem nie pomyślał), gdyż wszystkie prace mają się znaleźć w Rzymie już przed 15 lipca b. r., a adresować je należy do sekretarza general. Kongresu, jakim jest O. Stagni, generał OO. Serwitów [1], *Via Torre Argentina 76, Roma.* Powodzenie Kongresu zależy

[1] Zakon poświęcony czci Matki Bożej Bolesnej.

w znacznej mierze od udziału czynnego tych, co się odznaczają głęboką nauką, rozległą wiedzą, co nie zakopali talentów otrzymanych od Boga. Poparcia materyalnego urządzeniu Kongresu, prócz hojnych darów, jakie już powoli zaczynają płynąć, udzielą mu jego uczestnicy podzieleni na 4 grupy: *a)* patronowie płacący 100 fr., *b)* dobrodzieje 50 fr., *c)* członkowie czynni 10 fr. i *d)* uczestnicy 5 fr. Pierwsze trzy klasy otrzymają akta Kongresu, a pierwsze dwie mieć będą wstęp na wykonanie Kantaty Perosi'ego *ad hoc* ułożonej. Zbyteczna dodawać, że niewiasty mogą brać udział w Kongresie, a nawet w sprawie dzieł, do których one wyłącznie należą, utworzą osobną sekcyę. Jeżeli Kongres w mowie będący będzie niemałem uświetnieniem obecnego Roku Maryi, to pomnikiem jego wiecznie trwałym będzie utworzenie w stolicy Kościoła Międzynarodowej biblioteki maryańskiej. Książnica ta, złożona wyłącznie z tysięcy dzieł i broszur, odnoszących się do Matki Bożej, we wszystkich znanych językach, narzeczach, począwszy od dzieł najstarszych, aż do wydawnictw ostatniej chwili, od klasycznych ksiąg Ojców i Doktorów aż do wydawnictw najpopularniejszych, od arcydzieł sztuki typograficznej [2], aż do broszurek groszowych, ma powstać z daru autorów, nakładców i właścicieli tych prac i zostanie ofiarowaną Ojcu św. jako hołd talentu i pobożności chrześcijańskiej dla Matki Bożej.

Jak celem tej książnicy jest dać, ile możności, najdokładniejszy obraz pracy umysłowej nieustannej w pochodzie wieków u przeróżnych ludów a odnoszącej się do czci Maryi, tak znowu illustracyą prac samegoż Kongresu i poniekąd ich uzupełnieniem będzie Wystawa Maryańska międzynarodowa, mająca trwać w pałacu apostolskim laterańskim od września b. r. do Wielkiejnocy r. 1905. Zadecydowano ją dopiero w ostatnich tygodniach, wskutek czego wyczerpujące o niej informacye odkładając na później, tu tylko wspominamy, iż będzie się składała z trzech działów: I. Cześć Maryi i jej objawy w ikonografii (malarstwo, rzeźba, rytownictwo) i w numizmatyce. II. Dzieła drukowane, czasopisma i rękopisy o wartości artystycznej odnoszące się do Matki Bożej. III. Instytucye religijne i stowarzyszenia pod wezwaniem Maryi (ustawy ich, dzieje, statystyka, bibliografia, słowem wszystko, co się do nich odnosi). I znowu rada dla przyszłych wystawców, by od

[1] Jak np. *Magnificat* w 150 językach wydane przez O. Maryę Colombana, opata Cystersów w Lérins.

razu już jęli się rozpatrywać w tem, co mają posłać i rychło się namyślili, bo termin oświadczenia się z chęcią udziału upływa z dniem 1 maja b. r.

O dalszych szczegółach w następnym zeszycie.

Maryan Bartynowski.

Z prasy.

W obronie własnej. — Z dalszych dziejów autora „Legend".

W obronie własnej.

Rzymska *Civiltà* zamieściła w numerze z 6 lutego str. 378 i 379 w dziale korespondencyi dziwną korespondencyę niemiecką o sprawie polskiej. Korespondencye *Civilty* nie zawsze zasługują na bezwzględną wiarę, brak im czasem zawodowego zbadania rzeczy. Ujemnie zwłaszcza przedstawiają się korespondencye, mające za przedmiot sprawę polską i pisane przez ludzi widocznie sprawie polskiej nieprzychylnych lub z nią nieobznajomionych. *Civiltà* rozwodzi się obecnie nad scysyą, jaka zaszła między stronnictwem polskiem a centrum; winę tego przypisuje na ogół Polakom, nie wspominając jednak nic o tem, jak się na tę sprawę zapatrywały wybitniejsze odłamy prasy polskiej. Dosyć, że Polacy przedstawieni tu jako agitatorzy, którzy tylko dzięki potwarzom na kler rzucanym potrafili przeprowadzić „po krwawej walce" wybór „radykała". Ale nie o to tak dalece nam chodzi; z ważniejszym zarzutem, świadczącym, mówiąc łagodnie, co najmniej o absolutnej nieznajomości stosunków polskich, wypada się jeszcze rozprawić. „Górny Ślązk — pisze *Civiltà* — jest oddzielony od Polski od pięciu wieków, był zaś z nią połączonym tylko przez dwieście lat. Ludność nie zachowała żadnego śladu, żadnej tradycyi z Polski i tylko dzięki przewrotnej agitacyi *(perfida agitazione)* udało się... podburzyć go przeciwko własnej ojczyźnie i przeciwko Kościołowi" *(a rivolgerla contro la propria patria e contro la Chiesa)*. Zarzut, że ludność śląska burzy się dziś przeciwko Kościołowi, odpiera sama rzeczywistość; twierdzenie zaś, że Ślązk nie zachował żadnego śladu, żadnej tradycyi z Polski, odpieramy jako błąd historyczny, a ponieważ nie chcemy być zbyt natarczywi, dlatego

z naszej strony stawiamy tylko pytanie, na które *Civiltà* trudno chyba znalazłaby rzeczową odpowiedź: co rozumie *Civiltà* przez *la propria patria*, przeciwko której Ślązk się burzy?

Ks. W. W.

Z dalszych dziejów autora »Legend«.

Pan Niemojewski, po nieudanej kampanii z „Legendami" nie dał za wygraną. Przetłumaczył na polskie przestarzałą książkę Renana: „Życie Jezusa". Żeby bez pożytku nie tracić czasu, powtarzamy to, co już inni o tem dobrze powiedzieli. Krakowski *Czas* pisał:

„Autor osławionych „Legend", p. A. Niemojewski przetłumaczył, a jakaś nieokreślona bliżej Spółka nakładowa polska przyjęła w komis „Życie Chrysusa", E. Renana, które tym sposobem po raz pierwszy ukazało się w polskim języku. Fakt ten w czterdzieści lat po narodzinach tego literackiego pamfletu, można traktować oczywiście tylko jako dowód, że niema tak przestarzałej mody obcej, któraby kiedyś nie zawitała do Polski, gdy już na świecie o niej dawno zapomną. Jeżeli więc co jest w tej zgoła przebrzmiałej książce ciekawem, to chyba przedmowa i to nie jako wyraz indywidualnego poglądu autora — gdyż pogląd ten jest antologią z frazesów, które jak świat światem, błąkają się po popularnych pismach radykalnego kierunku — lecz dlatego, że rzuca światło na zacofanie pewnego prądu inteligencyi warszawskiej, zarażonej w poglądzie na świat nieuleczalnym radykalizmem, tak znanym każdemu, kto przepędził choć jeden wieczór na warszawskim „czwartaku", wsłuchując się w światoburcze zapędy przyszłych obywateli.

„Jedną z cech tego radykalizmu jest ślepa wiara we wszystko, co nosi stempel wiedzy, choćby było w gruncie rzeczy tak nienaukowem, jak fantazya Renana; drugą — zupełna nietolerancya wobec wiary innych; trzecią wreszcie, bezbrzeżna zarozumiałość w sądzeniu i szufladkowaniu tego, co stworzył duch ludzki. M. Twain powiedział, że dziennikarz jest tem lepszy, im mniej wie. Z przedmowy do „Życia Chrystusa" możnaby sądzić, że zasada ta da się zastosować praktycznie nawet do pracy o płaszczyku naukowym. Czytając takie odkrycia, jak że jedna i ta sama logika obowiązuje na całym „obszarze myśli ludzkiej", albo że „wiedza jest dla wszystkich", dowiadując się z drugiej strony, że „jedna klasa stara się ukryć przed drugą cały szereg publicznych tajemnic", (a autor te tajemnice odsłania, tłumacząc Renana), mamy od razu pojęcie o rodzaju „wiedzy", jaka ma na nas

spłynąć z kart przedmowy, będącej zresztą rozwałkowaniem znanego parodoksu, że „religia jest rzeczą prywatną“. Zupełna naiwność, z jaką autor zaraz na wstępie etykietuje wiarę i rozum, rozbraja do reszty krytyczne pióro i sprawia, że skali naukowej na seryo tu przykładać niepodobna.

„Ale i jako materyał agitacyjny chybi to tłumaczenie celu i nie przysporzy wyznawców parodoksowi o „rzeczy prywatnej“. Tłumacz zbyt niepochlebnie ocenia kulturę polskiego społeczeństwa, jeżeli sądzi, że zdoła cofnąć czytelników wstecz do filozofii Renana. A na drugą tak głośną, sięgającą aż do interpelacyi parlamentarnych reklamę, jak przy równych tendencyą, choć gorszych literacko „Legendach“, tłumaczenie jeśli liczy, to się — przeliczy. Jedyny interes, powtarzamy, mogą tu żywić chyba badacze dziejów kultury polskiej. Ci winni jako *curiosum* zanotować próbę podszywania się pod „badanie naukowe“ z takiem przygotowaniem. Wobec tego trudno się dziwić, czytając, jak p. Niemojewski żali się na „prześladowanie“ przedstawicieli „nauki polskiej“. Istnieje pewna kategorya poetów, którzy piszą jak gdyby specyalnie dla redakcyjnego kosza. Otóż ci, w swojem mniemaniu, są zawsze prześladowani“.

Autor tej notatki trafnie przewidział dalsze losy spolszczonego Renana. Niezbyt widocznie zainteresowało się społeczeństwo tem tłumaczeniem, kiedy aż trzeba było, by, jak donosił jeden z dzienników krakowskich, dzieci po ulicach Krakowa rozpychały je przechodniom, egzemplarz za kilkanaście centów. Ale znowu ta uliczna, natarczywa propaganda rzuca ciekawe światło na całą tę sprawę.

X.

Druk ukończono 4 marca 1904 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Neoscholastycyzm. (Warunki jego żywotności). Przez *D. Merciera*	1*—16*
Nowe kierunki społeczne i ideały przyszłości. I, II. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	1 183
Doktryna Lwa Tołstoja. Przez *ks. Jana Urbana T. J.*	16 358
Alkoholizm i antyalkoholizm. (C. d.) Przez *d-ra Karola Kleckiego*	40 214 424
Ze świata agitacyi wśród naszej młodzieży. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.*	68
Najdawniejsze kolędy polskie. (Dok.) Przez *d-ra St. Dobrzyckiego*	84
Współczesna propaganda antypojedynkowa. Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego*	161
Wobec dzisiejszych badań nad biblią łacińską. Przez *d-ra Adama Miodońskiego*	196
„Dom Najświętszej“ w okolicy Efezu. Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.*	240
Dziwna historya. Przez *Elizę Orzeszkową.*	327
Nowy Indeks. Przez Przez *ks. Wł. Szczepańskiego T. J.*	378
Nowiny z historyografii polskiej. VII. Przez *d-ra Feliksa Konecznego*	397

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z NOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH: Julia Terpiłowska: „Przystań". — Alina Świderska: „Obok szczęścia". — Marya Rodziewiczówna: „Macierz". — Emma Jeleńska: „Z miłości". — H. Orlicz-Garlikowska: „Szablon". — Wacław Żmudzki: „Trędowaty". — Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki: „Jak to się kończy..." — Artur Gruszecki: „Zwycięzcy". - Teodor Jeske-Choiński: „Różycki". — Józef Glada: „Sergiusz Wasilewicz Gardow". — Eliza Orzeszkowa: „Mirtala", „Czciciel potęgi". — Teodor Jeske-Choiński: „O mitrę hospodarską".—Wiktor Gomulicki: „Miecz i łokieć".— Ludwik Stasiak: „Skarbiec króla Kazimierza". *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 100

Ὁμήρου Ἰλιας. Λοιμιός-μήνις. Homera Iliada. Pomór-gniew. Wydał Stanisław Wyspiański. *(Ks. B. Mączka T. J.)* 113

Z CZASOPISM POLSKICH w roku 1903: Ateneum. — Chimera. — Krytyka. — Ognisko. — Kraj. — Tygodnik illustrowany. — Wędrowiec. — Tygodnik polski. — Ziarno. — Biesiada literacka. — Illustracya polska. — Prawda. — Przegląd tygodniowy. — Głos.— Ogniwo. — Bluszcz. — Echo muzyczne i teatralne. — Praca. — Czasopisma dla dzieci. — Teka. — Promień. — Szkoła. — Miesięcznik pedagogiczny i inne pisma z zakresu pedagogii ludowej. — Przegląd pedagogiczny. — Muzeum. — Eos. — Kwartalnik historyczny. — Naokoło świata. — Lud. — Wisła. — Czasopismo prawnicze i ekonomiczno-społeczne. — Czasopisma przyrodnicze i lekarskie. — Technika. — Gospodarstwo, przemysł, handel. — Czasopisma zawodowe. — Książka. — Przewodnik bibliograficzny. *(Dr. Stanisław Zdziarski)*. 255

Przegląd Polski. — Biblioteka Warszawska. — Przewodnik naukowy i literacki. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 276

Z NASZYCH WYDAWNICTW RELIGIJNO-SPOŁECZNYCH: Kwartalnik teologiczny. — Przegląd kościelny.— Kronika dyecezyi przemyskiej.— Homiletyka. — Kazania i szkice. — Kazalnica — Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski. — Gazeta kościelna. — Przegląd katolicki. — Kronika rodzinna. — Biblioteka dzieł chrześcijańskich. — Apostolstwo modlitwy. — Misye katolickie. *(Ks. Władysław Szczepański T. J.)* 282

STUDYA I SZKICE Z DZIEJÓW SZTUKI I CYWILIZACYI. Maryan Sokołowski. Tom I. *(Lucyan Rydel)* 441

POEZYE. Henryk Skirmuntt. *(Walery Gostomski)* 455

DZIEJE ZNIWECZENIA ŚW. UNII NA BIAŁORUSI I LITWIE w świetle Pamiętników Siemaszki. Ks. dr. Wł. Chotkowski. *(Wołyniak)* . . 457

Z piśmiennictw obcych.

KATHOLISCHE MORALTHEOLOGIE. Dr. J. Pruner. *(Ks. Romuald Kudasiewicz T. J.)* 114

GRUNDRISS DER PATROLOGIE mit besonderer Berücksichtigung der Dogmengeschichte. Gerhard Rauschen. *(M. B. T. J.)* 120

Str.

Scythia biformis, das Urreich der Asen. Eine Skizze aus der polnisch-deutschen Vorgeschichte von Wajtes prusisk. *(Dr. J. Leciejewski)* 121

Les graces d'Oraison par R. P. Aug. Poulain de la Comp. de Jésus. *(X*)* 124

La question polonaise. *(T. W.)*. 125

The Cardinal's Snuffbox by Henry Harland. — The Lady Paramount by Henry Harland. *(T. Wodzicka)*. 126

Kulturgeschichte der römischen Kaiserzeit. I. Untergang der heidnischen Kultur. Georg Grupp *(Ks. dr. Stanisław Trzeciak)* 460

„Für und wider" in Sachen der kathol. Reformbewegung der Neuzeit. Von Dr. Mathias Höhler, Domkapitular in Limburg. Wahre und falsche Reform. Rede des hochwürdigsten Herrn Dr. Paul Wilhelm v. Keppler, Bischof von Rottenburg. *(Ks. Józef Gliwa T. J.)* 462

Lucifer. Drama in vier Acten von Enrico Annibale Butti. Deutsch von Otto Erich Hartleben und Ottomar Piltz. *(Dr. Józef Flach)* 464

La duchesse de Montmorency 1600—1666. Avec approbation de Mgr l'Eveque de Montpellier. M. R. Monlauer. *(M. Harsdorf)*. . . . 467

Archeografičeskij Sbornik dokumentov otnosjaščich sia k istorii sêvero-zapadnoj Rusi. Tom XIII. *(Wołyniak)*. 470

Zapiski bibliograficzne.

Anneksya w dawnej Polsce. Julian Klaczko. Tłumacz. K. Scipio. Studya dyplomatyczne. Sprawa polska. 1863—1865. Julian Klaczko. W tłum. K. Scipiona. *(W.)* 129

Wspomnienia rewolucyonisty. Książę Piotr A. Krapotkin. *(S.)* . . 130

Narodnopisná mapa uherských Slavaku na zakladě ščitani lidu z r. 1900, wydał Lubor Niederle. *(Dr. Z.)* 130

Polskija bibliograficzeskija izdanija za posliednie gody (1898—1901). Genrich Ułaszyn. *(wi)*. 131

Na bezdrożu. Powieść. W. Weressajew. *(Z.)* 132

Pisma Franciszka Zabłockiego. Zebrał i wydał dr. Bol. Erzepki. *(wi)*. 132

Melodye. K. Laskowski. *(M. B. T. J.)* 132

Weimar. Dr. J. Flach. *(M. B. T. J.)* 133

Leon XIII. Krótki obraz żywota i czynów Jego. Fr. Habura *(K.)* . . 133

Lud białoruski na Rusi litewskiej. Materyały do etnografii słowiańskiej, zgromadzone w latach 1877—1894, przez Michała Federowskiego. Tom III. *(Dr. St. Zd.)* 473

Germania. P. K. Tacyt. Tłumaczył Wł. Okęcki. *(M. B. T. J.)* 474

Rozum życiowy. Według ks. d-ra M. Weissa „Die Lebensweisheit", z przedmową ks. d-ra Jana Siemieńskiego, napisał Krzysztof hr. Mieroszowski. *(L.)*. 474

Antysemityzm św. Tomasza z Akwinu. Przez ks. St. Gayrand. *(K.)* 474

Nowe hasła i dążenia demokracyi socyalnej. Napisał ks. dr. Aleksander Pechnik. *(A. B.)* 475

O zapis Żyda Sterna. (W sprawie służby katoliczek u Żydów). Skreślił Jan Jeleński. *(A. B.)* 475

Str.

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Nazwa Kościoła Powszechnego przywłaszczona przez innowierców w Anglii. — Anglikanie zaczęli wypierać katolicyzm między Koptami. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* . 134
Przegląd działalności dla dobrobytu ludu w Galicyi za rok 1902. Przez *d-ra Antoniego Malkiewicza* 141

LUTY.

Sprawy Kościoła: XIX zgromadzenie katolików włoskich w Bolonii i *Motu proprio* Piusa X. — Z powodu kurendy ks. biskupa Wałęgi. — O szkołę katolicką we Włoszech. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 298
Nasze Towarzystwa oświaty ludowej w r. 1902: Macierz Polska. Fundacya imienia Tadeusza Kościuszki. Wydawnictwo ludowe we Lwowie. Towarzystwo Oświaty ludowej we Lwowie. Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej. Towarzystwo Szkoły ludowej. Uniwersytet ludowy. Przez *d-ra Antoniego Malkiewicza* 306
Varia: Wyższy instytut filozoficzny w Louvain. Biblioteki prowincyonalne. Muzeum szkolne. Towarzystwo do zwalczania chorób wenerycznych. 321

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Agitacye protestanckie w Szwajcaryi. — Kongres katolików szwajcarskich. — Z Francyi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 476
Przegląd przygotowań do jubileuszu maryańskiego. Przez *Maryana Bartynowskiego.* 485
Z prasy. W obronie własnej. *(Ks. W. W. T. J.)* — Z dalszych dziejów autora „Legend". *(X. T. J.)* 492

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.